

IAN McDONALD

LUNA: WILCZA PEŁNIA



UCZTA WYOBRAŹNI

Ian McDonald

LUNA: WILCZA PEŁNIA

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

WYDAWNICTWO MAC
WARSZAWA 2017

Tytuł oryginału:
Luna: Wolf Moon

Copyright © 2017 by Ian McDonald

Copyright for the Polish translation
© 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii i opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-739-5 Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743

WILCZA PEŁNIA

Almanach Rolniczy zapożycza nazwy miesięcy od rdzennych Amerykanów z terenów znajdujących się obecnie w północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych.

Wilcza pełnia oznacza styczeń, kiedy wilki wyją z głodu i tęsknoty -miesiąc największego chłodu i mroku.

SPIS POSTACI

CORTA

- Ariel Corta** - była prawniczka przy Sądzie Claviusa
Marina Calzaghe - asystentka i ochroniarka Ariel Corty
Robson Corta - syn Rafy Corty i Rachel Mackenzie
Luna Corta - córka Rafy Corty i Lousiki Asamoah
Lucas Corta - drugi syn Adriany; *jonmu* Corta Hélio
Amanda Sun - była *oko* Lucasa Corty
Lucasinho Corta - syn Lucasa Corty i Amandy Sun
Wagner „Lobinho” Corta - czwarty (wydziedziczony) syn Adriany Corty. Analityk i wilk księżycowy
Dr Carolina Macaraeg - lekarka osobista Adriany Corty

MADRINHAS

- Flavia** - matka zastępcza Carlinhosa, Wagnera i Lucasinho Cortów
Elis - matka zastępcza Robsona i Luny Corty

MACKENZIE METALS

- Robert Mackenzie** - założyciel Mackenzie Metals; prezes w stanie spoczynku
Jade Sun-Mackenzie - druga *oko* Roberta Mackenziego
Alyssa Mackenzie - *oko* Roberta Mackenziego (†)
Duncan Mackenzie - najstarszy syn Roberta i Alyssy Mackenzie, prezes Mackenzie Metals
Anastazja Woroncowa - *oko* Duncana Mackenziego
Apollonaire Woroncow - *keji-oko* Duncana Mackenziego

Adrian Mackenzie - najstarszy syn Duncana i Apollonaire;
oko Jonathona Kayode, Księżycowego Orła

Denny Mackenzie - najmłodszy syn Duncana i Apollonaire,
Pierwszy Nóż od czasu śmierci Hadleya Mackenziego

MACKENZIE HELIUM

Bryce Mackenzie — młodszy syn Roberta Mackenziego,
dyrektor finansowy Mackenzie Metals, ojciec licznych
„adoptowanych”

Hoang Lam Hung - adoptowany syn Bryce'a Mackenziego i
przez chwilę *oko* Robsona Corty

Analiese Mackenzie - ciemna *amor* Wagnera Corty w jego
ciemnym aspekcie

ASAMOAH

Lousika Asamoah - *Omahene* Złotego Stolca i szefowa
Kotoko

Abena Asamoah - polityczna i sporadyczna *amor* Lucasinho
Corty

Kojo Asamoah — kolega z grupy studenckiej Lucasinho
Corty i uczestnik Księżycowego Biegu

Adelaja Oladele - (przelotny) *amor* Lucasinho Corty

Afi - koleżanka Abeny z grupy studenckiej w Twe

SUN

Lady Sun - wdowa Shackleton, babka prezesa Tayiangu

Sun Zhiyuan - prezes Tayiangu

Sun Gian-yin -*yingyun* (wiceprezes) Tayiangu
Sun Liwei - dyrektor finansowy Tayiangu
Jade Sun - *oko* Roberta Mackenziego
Tamsin Sun - dyrektor prawny Taiyangu
Darius Mackenzie-Sun - syn Jade i Roberta Mackenziego
Amanda Sun - *oko* Lucasa Corty

VTO

Walerij Woroncow - założyciel VTO, prezes VTO Space
Jewgienij Woroncow - prezes VTO Moon
Walentina Woroncowa - dowódczyni cyklera VTO *Święty*
Piotr i Paweł
Doktor Wolikowa - osobista lekarka Lucasa Corty
Grigorij Woroncow - (dawny) *amor* Lucasinho Corty

LUNAR DEVELOPMENT CORPORATION

Jonathon Kayode - Księżycowy Orzeł, prezes Lunar
Development Corporation
Vidhya Rao - ekonomista, matematyk, członek Towarzystwa
Księżycowego i Białego Zająca, orędownik niepodległości

ZAKON PANÓW CHWILI

Madrinha Flavia - dołączyła do Zakonu po wygnaniu z Boa
Vista
Máe-de-Santo Odunlade Abosedede Adekola - siostra
przełożona sióstr Panów Chwili
Irmá Loa - siostra Panów Chwili i dawna spowiedniczka

Adriany Corty

POŁUDNIK/KRÓLOWA POŁUDNIA

Mariano Gabriel Demaria - dyrektor Szkoły Siedmiu Dzwonów, kolegium dla asasynów

WILKI

Amal - przywódca Sinych Wilków Południka

PO UPADKU: BARAN 2103

- Wieźcie mnie na Ziemię — powiedział Lucas Corta.

Załoga wypięła go z pasów kapsuły pętli księżycowej i zawlekła do śluzy, niedotlenionego, wyziębionego, odwodnionego.

- *Senhor* Corta, jest pan na pokładzie cyklera VTO *Święty Piotr i Paweł*— poinformowała go kierowniczka śluzy, hermetyzując drzwi.

- W azylu — wyszeptał Lucas Corta i zwymiotował.

Trzymał się przez pięć godzin, podczas gdy kapsuła uciekała z niszczonej korporacji Corta Hélio. Pięć godzin, w trakcie których precyzyjne uderzenia niszczyły jego instalacje przemysłowe na morzach Luny, bojowy soft zamrażał jego środki finansowe, a noże Mackenziech patroszyły jego miasto. Jego bracia wyciągnęli swoje, by bronić rodu Cortów, a on uciekał, najpierw przez Morze Żyzności, potem w ogóle z Księżyca.

- Ratuj firmę - powiedział wtedy Carlinhos. - Masz jakiś plan?

Zawsze mam plan.

Pięć godzin ucieczki z eksplodującego Corta Hélio jak powybuchowy odłamek. Potem - uspokajający dotyk dłoni, ciepło ludzkich głosów, solidny statek wokół, nie cienka bombka z aluminium i plastiku, sprawiły, że rozluźnił napięte mięśnie. Dlatego zwymiotował. Obsługa śluzy przyniosła bezprzewodowe odkurzacze.

- *Senhor* Corta, lepiej zorientować się w tym kierunku — powiedziała kierowniczka śluzy. Narzuciła mu na ramiona termiczną folię, a inni ustawili go pionowo i wmanewrowali do windy. - Niedługo znajdzie się pan z powrotem w księżycowym ciężeniu.

Lucas poczuł, że winda rusza, że rotacyjne ciężenie cyklera

chwyta go za stopy. „Ziemia”, usiłował wykrztusić. Krew pochłonęła słowa. W piersi bulgotały popękane pęcherzyki płucne. Tam, w dole, na Morzu Żyzności, gdy Amanda Sun próbowała go zabić, przez chwilę oddychał próżnią. Przez siedem sekund znajdował się na otwartej powierzchni Księżyca. Bez skafandra. Bez powietrza. Wydech. Pierwsza zasada Księżycowego Biegu. Opróżnij płuca. A on zapomniał, zapomniał o wszystkim z wyjątkiem śluzy stacji pętli księżycowej, którą miał tuż przed sobą. Popękały mu płuca. Był teraz Księżycowym Biegaczem, powinni mu dać tę odznakę z Panią Luną o twarzy, która jest w połowie czarnoskóra, w połowie zaś naga, białą czaszką. Lucas Corta zaśmiał się. Przez moment myślał, że się zadławi. Na podłogę windy kapnęła krwawa ślina. Trzeba mówić wyraźnie. Te kobiety Woronców muszą go zrozumieć.

- Dajcie mnie w ziemską grawitację - powiedział.
- *Senhor* Corta... - zaczęła kierowniczka śluzy.
- Chcę polecieć na Ziemię. Muszę polecieć na Ziemię.

Leżał na diagnostycznej leżance ubrany tylko w krótkie spodnie. Nienawidził krótkich spodni. Absurdalne i dziecinne. Nigdy czegoś takiego nie włożył, nawet kiedy były u szczytu mody, jak wszystko po kolei na Księżycu. Już wolałby być nagi. Nosiłby tę nagość z godnością.

W nogach leżanki stała kobieta. Otaczały ją, niczym bóstwo, ramiona z czujnikami i strzykawkami. Biała, w średnim wieku, zmęczona. I stuprocentowo opanowana.

- Galina Iwanowna Wolikowa - powiedziała. - Będę pana osobistym lekarzem.
- Lucas Corta - skrzeknął Lucas.

Prawe oko doktor Wolikowej zaiskrzyło - czytała coś z lekarskiego interfejsu.

- Odma opłucnowa. Liczne pęknięcia podczaszkowych

naczyń krwionośnych, dziesięć minut brakowało panu do potencjalnie śmiertelnego krwotoku. Obrażenia rogówki, krwotok wewnętrzny w obu gałkach ocznych, pęknięcia pęcherzyków płucnych. Oraz przebicie błony bębenkowej. Którą już naprawiłam.

Rzuciła mu nieznaczny, wąski uśmieszek ponurego rozbawienia i Lucas już wiedział, że z tą panią można się będzie dogadać.

- Ile to... - wysyczał. W lewym płucu zazgrzytało tłuczone szkło.

- Co najmniej przez jedną orbitę pana stąd nie wypuszczę. I proszę nie mówić.

Orbita. Dwadzieścia osiem dni. Jako dzieciak Lucas interesował się fizyką cyklorów, ich cwanyimi okołoksiężycowymi orbitami o minimalnym zapotrzebowaniu na energię, mającymi dwa punkty kontaktu, a potem okręcającymi się asystą grawitacyjną wokół Ziemi, tak zwanym „back-flipem”. Obliczeń nie rozumiał, ale był to element biznesu Corta Hélio, musiał więc rozumieć, jak działa, choćby tylko ogólnie. Pętle wokół Księżyca i Ziemi na zmianę, podczas gdy Ziemia i Księżyc kreślą własne pętle wokół Słońca, które wraz ze swymi światami wykonuje w ćwierć miliarda lat obrót wokół środka galaktyki. Wszystko się porusza. Wszystko uczestniczy w kosmicznym tańcu.

Nowy głos, nowa postać w nogach łóżka, niższa i bardziej umięśniona niż doktor Wolikowa.

- On mnie słyszy? - Damski głos, wyraźny i melodyjny.

- Słyszy.

- I mówi - wychrypiał Lucas.

Postać weszła w krąg światła. Znana na obu światach kapitan Walentina Walerijewna Woroncowa, która mimo to przedstawiła się oficjalnie Lucasowi.

- Witamy na pokładzie *Świętych Piotra i Pawła, senhor* Corta. Kapitan Walentina była krępa, mocno zbudowana. Ziemskie

mięśnie, rosyjskie kości policzkowe, kazachskie oczy. Oba światy wiedziały także, że jej siostra bliźniaczka dowodzi *Matką Boską Kazańską*. O obu krążyły legendy. Pierwsza - że są identycznymi zarodkami donoszonymi przez dwie różne surogatki w różnych warunkach grawitacyjnych. Urodzona w kosmosie i urodzona na Ziemi. Drugi uporczywy mit głosił, że mają wrodzoną więź telepatyczną, wspólną tożsamość zapewniającą łączność niezależnie od odległości. Kwantowe czary. Trzeci mit - regularnie zmieniają się za sterami dwóch cyklierów VTO. Ze wszystkich legend o Bliźniaczych Kapitanach Lucas wierzył tylko w tę. Niech się wrogowie domyślają, kto jest gdzie.

- Jak rozumiem, jeszcze nie zostałeś poinformowany o sytuacji na Księżycu - powiedziała kapitan Walentina.

- Jestem na to gotowy.

- Oj, nie sądzę, Lucas. Mam dla ciebie bardzo, ale to bardzo złe wieści. Wszystko, co znałeś, przepadło. Twój brat Carlinhos zginął podczas obrony João de Deus. Boa Vista zostało zniszczone. Rafael zginął w dehermetyzacji.

- Dehermetyzacji?

- Proszę nie mówić, *senhor* Corta - wtrąciła pani doktor.

- Mackenzie Metals wysadzili służbę powierzchniową. Rafael zapakował wszystkich do schronów. Wygląda na to, że szukał maruderów, kiedy habitat się zdehermetyzował.

- To do niego podobne. Coś szlachetnego i głupiego zarazem. A Luna? Robson?

- Asamoah uratowali pozostałe osoby i zabrali je do Twé. Bryce Mackenzie już wystąpił do Sądu Claviusa o formalną opiekę nad Robsonem.

- Lucasinho? - Teraz panował nad emocjami, panował nad ciałem, mógł już wypowiedzieć to imię, które chciał wykrzyczeć na samym początku. Jeśli Lucasinho nie żyje, wstanie z tego łóżka i wyjdzie przez służbę.

- Jest bezpieczny w Twe.

- Na Asamoah zawsze można było polegać. — Radość, że Lucasinho jest cały i bezpieczny, była jak słońce, jak hel w temperaturze fuzji.

- Ochroniarka Ariel pomogła jej uciec do Bairro Alto. Ukrywa się. Podobnie twój brat Wagner. Ukrywa go Stado Południka.

- Wilk i kaleka - szepnął Lucas. - A firma?

- Robert Mackenzie już przejmuje całą infrastrukturę Corta Hélio. I proponuje kontrakty twoim byłym pracownikom.

- Byliby głupi, gdyby nie przyjęli.

- I przyjmują. Powołał nową spółkę zależną, Mackenzie Fusible. Syn jego siostrzenicy, Yuri Mackenzie, został prezesem.

- Po pierwszych dwóch czy trzech ci Australijcy mi się zlewają. - Lucas zaśmiał się, chrapliwie i krwawo, z własnego ponurego żartu. Żartować to jak sypnąć piaskiem w oczy komuś potężniejszemu od siebie. - Tak naprawdę wiadomo, że to Sunowie. Sunowie nas na siebie napuścili.

- *Senhor* Corta - napomniała go znów doktor Wolikowa.

- Patrzą z radością, jak sami sobie podrzynamy gardła. Bo ci Sunowie planują na dziesiątki lat do przodu.

- Taiyang realizuje znaczną liczbę opcji na działki wokół równika - powiedziała kapitan Walentina.

- Chcą obstawie cały pas okołorównikowy bateriami słonecznymi - wysyczał Lucas. Razem z krwawym śluzem wykaszłał kawałki płuca.

Ramiona robotów poruszyły się, by zetrzeć czerwoną maź.

- Dosyć, pani kapitan - odezwała się lekarka.

Kapitan Walentina zetknęła czubki palców z kciukami i pochyliła głowę - księżycowy ukłon, choć była kobietą z Ziemi.

- Przykro mi, Lucas.

- Pomóż mi.

- VTO Space i VTO Earth są odseparowane od VTO Moon - powiedziała kapitan. - Jesteśmy narażeni na atak jak nikt inny na świecie. Najważniejsze jest dla nas bezpieczeństwo naszego

działa elektromagnetycznego w punkcie Lagrange'a oraz naszych ośrodków kosmicznych na Ziemi. A patrzą na nie zazdrośnie Rosjanie, Chińczycy i Hindusi.

Ramiona maszyn poruszyły się jeszcze raz. Lucas poczuł za prawym uchem nagłe ukłucia licznych igiełek.

- Walentina, musimy przekonać cały Księżyc, że ja umarłem. Pani kapitan i pani doktor, powolne modlitewne odnóża medycznego robota, wszystko rozplywa się w białą mgłę.

Nie był w stanie dojść, w którym momencie uświadomił sobie obecność muzyki, ale wynurzył się w nią jak pływak przebijający menisk. Otoczyła go jak powietrze, jak wody płodowe, z przyjemnością pławił się w niej, z zamkniętymi oczyma, oddychając, nie czując bólu. Była elegancka, uporządkowana i ogarnięta. Jakiś jazz, orzekł Lucas. Nie w jego typie, nie była to muzyka, którą by lubił i rozumiał, ale dostrzegał jej wewnętrzną logikę i układające się w ład przebiegi czasowe. Długo leżał, starając się skupić wyłącznie na niej.

- Bill Evans - usłyszał kobiecy głos.

Lucas Corta otworzył oczy. To samo łóżko, te same medyczne boty, to samo rozmyte, łagodne światło. To samo buczenie klimatyzacji i energii, mówiące mu, że jest na statku, nie na jakimś świecie. Ta sama lekarka poruszająca się na skraju pola widzenia.

- Badałam pana aktywność nerwową - powiedziała. - Dobrze pan reaguje na jazz modalny.

- Podobało mi się to. Może to pani puszczać, kiedy pani zechce.

- Naprawdę mogę? - Tym razem usłyszał rozbawienie w jej głosie.

- Jak ze mną jest, pani doktor?

- Był pan nieprzytomny przez czterdzieści osiem godzin.

Udało mi się naprawić wszystkie poważniejsze uszkodzenia.

- Dziękuję, pani doktor. - Lucas Corta poruszył się, chcąc się podeprzeć na łokciach. Poczuł, jak coś mu się w środku nadrywa, a doktor Wolikowa krzyknęła nerwowo i podbiegła do łóżka. Położyła go z powrotem na miękkiej powierzchni.

- *Senhor* Corta, musi pan dojść do siebie.

- Muszę pracować. Nie mogę tu tkwić nie wiadomo ile. Mam firmę do odbudowania i ograniczone środki. I muszę polecieć na Ziemię.

- Pan się urodził na Księżycu. Nie może pan lecieć na Ziemię. To niemożliwe.

- To nie jest niemożliwe. To jest superproste. Tyle że się umiera. Ale od wszystkiego się umiera.

- Nie może pan polecieć na Ziemię.

- Nie mogę to wrócić na Księżyc. Bo Mackenzie mnie zabiją. Nie mogę zostać tutaj. Gościnność Woronców nie jest nieskończona. Proszę mnie na razie wysłuchać. Pani specjalizuje się w medycynie niskogra-witacyjnej. Mówimy hipotetycznie.

Teraz nowa melodia, modalna i bujająca. Fortepian, kontrabas, szepcząca perkusja. Minimalne środki, a taki wspaniały skutek.

- Hipotetycznie to po intensywnym treningu i wsparciu medycznym człowiek urodzony na Księżycu jest w stanie przeżyć w ziemskich warunkach dwie luny.

- A czy hipotetycznie dałoby się cztery?

- Potrzebne byłoby wiele lun treningu fizycznego.

- Ile lun, pani doktor? Hipotetycznie.

Zobaczył, jak wzrusza ramionami, usłyszał delikatne westchnienie irytacji.

- Co najmniej rok. Czternaście, piętnaście lun. A i tak szanse na przeżycie lotu na dół to może z pięćdziesiąt procent.

Lucas nigdy nie znosił hazardu. Pracował z pewnikami. Jako wiceprezes Corta Hélio przeobrażał czynniki niepewne w

pewniki. Teraz pewniki nastawały na jego życie, a jedynym wyjściem był hazard.

- No to mamy plan, pani doktor.

1.
PANNA 2105

Chłopak spada z samego szczytu miasta.

Jest szczupły i gibki jak przewód energetyczny. Skórę ma koloru miedzi, ciemno nakrapianą piegami. Oczy zielone, wargi zmysłowe i pełne. Włosy to szopa rdzawych dredów wciśniętych pod jadowicie zieloną opaskę. Obie kości policzkowe podkreślone paskami białej farby, pionowa kreska przez środek ust. Ma na sobie mandarynkowe sportowe legginsy, niskie w talii, oraz białą megaobszerną koszulkę. FRANKIE SAYS... -mówi koszulka.

Od dachu do dna wielkiej magmowej komory, w której stoi Królowa Południa, są trzy kilometry.

Dzieciaki biegały po samej górze, trasowały stare, zautomatyzowane poziomy przemysłowe, przeskakiwały z niesamowitą gracją i zręcznością po belkach podpierających świat, skakały pomiędzy dźwigarami i wspornikami, odbijały się od ścian, śmigwały, robiły salta, przelatywały nad przepaścią, coraz wyżej i wyżej, jakby ciężar ciała był dla nich paliwem, które można spalić, żeby przeciwstawić się grawitacji.

Chłopak jest w tej ekipie najmłodszy. Ma trzynaście lat. Odważny, zwinny, bojowy, ciągnie go do wysokich miejsc. Rozgrzewa się razem z kolegami traserami na drewnianej podłodze Królowej Południa, choć jego wzrok już przyciągają niebotyczne wieże sięgające linii słonecznej. Porozciągając mięśnie, włożyć przyczepne rękawiczki na dłonie i stopy. Parę skoków na rozgrzewkę, potem wchodzi na ławkę i w okamgnieniu jest dziesięć metrów wyżej. Sto metrów. Tysiąc metrów — tańczy po gzymsach, odbija się pięciometrowymi susami od wyciągów wind. Wyżej. Aby wyżej. Na szczyt.

Wystarcza jeden nieskończenie drobny błąd, ułamek sekundy

opóźnienia w reakcji, o milimetr za krótki zasięg ramion, zbyt słaby chwyt palca. Ręka ześlizguje się ze stalowej liny, chłopak leci w powietrzu. Nie krzyczy, wydaje z siebie tylko krótkie zdumione sapnięcie.

Spadający chłopak. Twarzą do góry, wyciąga ręce i stopy ku dłoniom w rękawiczkach sięgającym ku niemu z płataniny rur i przewodów pod dachem Królowej. Chwila szoku, gdy traserzy uświadamiają sobie, co się stało - i zaraz wzbijają się rojem ze swoich gniazd, pędząc po dachu ku najbliższym wieżom. Tyle że ciężenia nigdy nie prześcigną.

Są zasady, jak się spada. Spadać nauczył się, zanim zaczął skakać, wspinać się, przeskakiwać.

Zasada numer jeden: obrócić się. Jeśli nie widzisz, co masz pod spodem, w najlepszym razie ciężko się zranisz, w najgorszym zginiesz. Odwraca głowę, patrzy w rozległą przestrzeń między setką wież Królowej. Wykręca tułów, naciąga sobie mięśnie brzucha i krzyczy z bólu, przestawiając całe ciało tak, by spadało twarzą w dół. W dole jest śmiertelna płatanina galeryjek, kładek, lin kolejek i kabli światłowodowych poprzeczanych między wieżowcami Królowej. Musi je wszystkie ominąć.

Zasada numer dwa: maksymalnie zwiększyć opór aerodynamiczny. Rozpościera ręce i nogi. Ciśnienie atmosferyczne w księżycowych habitatach to 1060 hektopaskali. Przyspieszenie grawitacyjne na powierzchni Księżyca to $1,625 \text{ m/s}^2$. Prędkość krytyczna, powyżej której obiekt spadający w takich warunkach nie przyspieszy, to sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Uderzając w podłoże Królowej Południa przy sześćdziesięciu, ma 80 procent szans, że zginie. Uderzając przy pięćdziesięciu — 80 procent szans, że przeżyje. Modna luźna koszulka łopocze w podmuchu powietrza. A FRANKIE MÓWI: Tak możesz przeżyć.

Zasada numer trzy: wezwij pomoc.

- Dzoker - mówi.

Chowaniec wyświetla się i wyostrza na soczewce prawego oka, odzywa w implancie w lewym uchu. Prawdziwy traser nie korzysta z pomocy AI. To by było za łatwe - dla chowańca żaden problem wyznaczyć najlepszą trasę, wypatrzeć niewidoczne chwyt, odpowiedzieć, jakie są warunki mikroklimatyczne. A cały sens parkouru to autentyczność w kompletnie sztucznym świecie. Dżoker analizuje sytuację.

Jesteś w ekstremalnym niebezpieczeństwie. Zawiadomiłem służby ratunkowe i medyczne.

Zasada numer cztery: czas ci sprzyja.

- Ile czasu, Dżoker?

Cztery minuty.

Teraz chłopak ma wszystko, żeby przeżyć.

Naciągnięte mięśnie brzucha bolą jak cholera, coś też przerywa mu się w lewym barku, gdy ściąga z siebie koszulkę. Na parę sekund musi przyciągnąć kończyny do siebie i od razu niepokojąco przyspiesza. Wiatr wydziera mu koszulkę z rąk. Jeśli ją puści, jeśli ją zgubi, zginie. Musi zawiązać trzy węzły, spadając z prędkością krytyczną. Węzły to życie. A mostek na 77. poziomie jest... tuż! Rozkłada ręce i nogi, pokazuje, czego się nauczył: przechyla tułów naprzód, ręce, przesuwają środek ciężkości, śledzi położenie. Przesuwają się w przód, mijają mostek o parę metrów. Ludzie zadzierają głowy, patrzą na niego. Patrzą raz jeszcze. Fruwaczy widzi się ciągle, ale ten chłopak to nie fruwacz. To spadacz.

Związuje rękawy i otwór na głowę, tworząc luźny worek.

- Czas?

Dwie minuty. Szacuję, że uderzysz w ziemię o...

- Cicho.

Ścisną w obu dłoniach materiał koszulki. Najważniejsze to wyliczyć czas. Zbyt wysoko, a będzie miał ograniczoną sterowność i nie ominie wszystkich kładek i kabli. Zbyt nisko - a zaimprovizowany spadochron nie wyhamuje go do prędkości, przy której może przeżyć. Chce przecież wylądować

z prędkością dużo mniejszą niż pięćdziesiąt na godzinę.

- Dżoker, powiedz, kiedy zostanie minuta.

Dobrze.

Hamowanie będzie gwałtowne. Może mu wyrwać koszulkę z rąk.

Wtedy zginie.

Tego sobie nie wyobraża.

Wyobraża sobie, że jest ranny. Że wszyscy stoją, patrzą nań z góry i płaczą nad jego tragedią. Ta myśl mu się podoba, ale to nie jest śmierć. Śmierć to jest nic. Nawet mniej niż nic.

Kuli ręce, by śmignąć pod liną kolejki na 23. poziomie.

Teraz.

Wyrzuca ramiona przed siebie. Koszulka trzepocze i łopocze na wietrze. Chowa głowę pod łokcie, wysuwa ręce jeszcze bardziej do góry. Powiązana tkanina wydyma się jak balon. Hamowanie jest brutalne. Krzyczy z bólu, gdy siła wyrывa mu ramiona ze stawów. Trzymaj trzymaj trzymaj. Bogowie bogowie, jak blisko jest ta ziemia. Spadochron szarpie się, wyrывa mu się jak żywa istota, która z nim walczy - chce go zabić. Napięcie ramion, ból w nadgarstkach. Jeśli teraz puści, wylądjuje twardo i źle - stopami prosto w ziemię, kości łydek i ud popękają i powbijają mu się w organy wewnętrzne. Trzymaj. Nie puszczaj. Krzyczy z wysiłku i frustracji.

- Dżoker - wysapuje. - Ile...

Mogę tylko estymować na podstawie...

- Dżoker!

Czterdzieści osiem kilometrów na godzinę.

Dalej za szybko. Już widzi, gdzie spadnie, to tylko parę sekund. Otwarta przestrzeń między drzewami, w parku. Ludzie biegną po promienistych torach, niektórzy w miejsce, gdzie spadnie, inni wręcz przeciwnie.

Boty medyczne wezwane, informuje Dżoker.

To coś jasnego, dość duże i wypukłe, co to jest? Powierzchnie. Różne wystające rzeczy. Namiot jakiś. Grają tam muzykę,

sprzedają sorbety czy coś. Z tkaniny. Może zniwelować jeszcze parę tak potrzebnych kilometrów na godzinę. Ma też te wystające rzeczy — maszty, podpory. Jeśli trafi z taką szybkością, przebiją go na wylot. Ale jeśli trafi w cokolwiek z taką szybkością, to zginie. Trzeba to odpowiednio wyliczyć. Szarpie jedną stronę koszulkowego spadochronu, próbuje skrócić, przesunąć się w stronę namiotu. Jak ciężko ciężko. Krzyczy z bólu, wyginając udręczone ramię, próbując przesunąć się odrobinę w bok. Ziemia pędzi w górę.

W ostatniej sekundzie puszcza koszulkę i usiłuje ułożyć się poziomo, żeby trafić w namiot maksymalną powierzchnią ciała. Za późno, za nisko. Uderza w dach namiotu. Twardy, strasznie twardy. Ułamek sekundy oszołomienia i bólu. Przebija się przez powłokę. Boczny dryf unosi go ponad stojącymi w namiocie sprzętami. Osłania twarz ramionami i zderza się z ziemią.

Nic go nigdy tak nie uderzyło. Pięść wielkości Księżyca robi zamach i wybija zeń każdy oddech, każdą myśl, wszelkie czucie. Czerń. Zaraz wraca, próbuje zrobić wdech, nie może się ruszyć. Kręgi. Maszyny, twarze, gdzieś dalej pędzący ku niemu koledzy-traserzy.

Nabiera powietrza. Boli. Trzeszcą wszystkie zebra, jęczą wszystkie mięśnie. Przewraca się na bok. Medyczne boty unoszą się, zawisają na osłoniętych śmigłach. Próbuje się podnieść z ziemi.

- Oj, nie, dzieciaku! - dobiega jakiś głos spośród otaczających go twarzy, ale żadna dłoń go nie zatrzymuje ani nie podtrzymuje.

Jest jak zepsuta zabawka. Z krzykiem podnosi się na kolana, zmusza się do wstania. Stać może. Nic sobie nie połamał. Robi krok naprzód, chudzielec w mandarynkowych legginsach.

- Dżoker - szepcze. - Jaką miałem prędkość?

Trzydzieści osiem kilometrów na godzinę.

Unosi pięść w geście zwycięstwa, po czym uginają się pod nim nogi, zatacza się. Wyciągają się ręce, przyskakują boty, łapią go,

Robsona Mackenziego, chłopaka, który spadł ze szczytu świata.

- I jak to jest, być sławnym?

Hoang Lam Hung opiera się o drzwi. Robson nie zauważył, kiedy przyszedł. Zajęty był masturbowaniem się swoją świeżo nabytą sławą. Gdy wieziono go do ośrodka medycznego, świat dwa razy okręcił się wokół Księżyca. Chłopak, który spadł na ziemię. Tylko że nie spadł na ziemię, bo tu nie jest Ziemia. Spadł na dół. Ale to już nie brzmi. Zresztą to nie był upadek. Pośliznął się. A reszta to było kontrolowane opadanie. Wstał z ziemi i poszedł. Co prawda zrobił tylko jeden krok, ale liczy się, że zrobił. Nieważne, może go głupio nazwali, ale gada o nim cały Księżyca - kazał Dżokerowi wyszukiwać w sieci wszystkie wzmianki i wszystkie zdjęcia. Szybko dotarło do niego, że większość treści to w kółko udostępniane te same teksty i obrazki. Niektóre bardzo stare, z czasów dzieciństwa, z czasów, kiedy był Cortą.

- Pół godziny i się nudzi - odpowiada Robson.

- A boli?

- Nic nie boli. Napakowali mnie po uszy różnymi rzeczami. Wcześniej bolało. Bolało tak, że ja pierdołę.

Hoang unosi brew. Nie aprobeuje wulgarnego języka, który chłopak podłapuje od swoich kolegów traserów.

Gdy Robson był jedenastoletnim dzieciakiem, a Hoang miał dwadzieścia dziewięć lat, przez kilka dni byli małżeństwem. Ariel unieważniła je, używając swoich prawniczych supermocy, ale jedyna spędzona razem noc była świetna - Hoang narobił jedzenia, jak zawsze pysznego, i uczył Robsona sztuczek karcianych. Żaden z nich nie palił się specjalnie do tego ślubu - to było dynastyczne małżeństwo, wiążące ród Cortów z samym sercem klanu Mackenziech. Drogocenny zakładnik. Cortów już nie ma. Rozproszyli się, pomarli, poginęli. Teraz status rodzinny Robsona jest zupełnie inny - zalicza się do

adopcyjnych synów Bryce'a Mackenziego. Zatem Hoang jest jego bratem, nie *oko*. Bratem, wujem, opiekunem jednocześnie. A Robson nadal jest zakładnikiem.

- No to ruszaj się.

Twarz Robsona pyta: „że co?”.

- Do Tygła jedziemy. Co, zapomniałeś?

Zapomniał. Można kurczy mu się ze strachu. Tygiel. Hoang zabrał Robsona do Królowej Południa, by uchronić go przed żądzami Bryce'a i rodzinną polityką Mackenziech, ale Robson niczego w życiu nie boi się tak, jak szarpnięcia za nitkę, która ściągnie go razem z Hoangiem prosto do twierdzy rodu.

- Na imprezę - dodaje Hoang.

Robson zwala się z powrotem na łóżko. Sto pięćdziesiąte urodziny Roberta Mackenziego. Zjazd całego rodu. Hoang i Dżoker wysłali mu dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt przypominajek, ale Robson miał co innego w głowie: chwyt, przyczepne podeszwy, traserską modę, wybór stylizacji na swój pierwszy parkour, kondycję i zbijanie wagi.

- Cholera.

- Wydrukowałem ci odpowiednie ubranie.

Hoang rzuca na łóżko pokrowiec na garnitur. Robson otwiera go. Aromat świeżo drukowanej tkaniny. Garnitur od Marco Carlotty, jasnoniebieski, czarna koszulka z dekoltem w szpic, mokasyny. Bez skarpetek.

- Lata osiemdziesiąte! - mruczy z zachwytem Robson.

To najświeższy trend - były 2010, były 1910, potem 1950. Hung uśmiecha się chytrze.

- Pomóc ci się ubrać?

- Nie, spokojnie dam radę. - Robson odrzuca koc i zsuwa się z łóżka.

Diagnostyczne boty cofają się. Opada na podłogę. Blednie. Krzyczy.

Uginają się pod nim kolana. Łapie się brzegu łóżka, by zachować równowagę.

Hoang przyskakuje, podtrzymuje go.

- Albo i nie...

- Cały jesteś siny. Od stóp do głów.

- Tak?

Dżoker sięga do obejmującej pokój kamery. Robson widzi własną śniadą skórę całą w czarnożółte cętki siniaków przechodzących jeden w drugi. Krzywi się, gdy Hoang wsuwa mu ręce w rękawy marynarki. Dźgnięcie bólu przy wkładaniu mokasynów. Ostatni szlif - na dnie pokrowca jest wisienka na tort - okulary Ray Ban Tortuga Aviator.

- Jakie piękne. - Robson nasuwa je na nos, przesuwa mostek palcem. -Au. Nawet od okularów mnie boli.

Jeszcze jeden ostatni szlif. Robson podwija do łokci rękawy marynarki od Marco Carlotty.

Na horyzoncie płonie oślepiające światło - to lustra Tygła ogniskujące słońce na piecach hutniczych dziesięciokilometrowego pociągu. Jako dziecko Robson uwielbiał to światło - znaczyło, że od Tygła dzieli go tylko parę minut. Od razu pędził do kopuły obserwacyjnej, przyciskał dłonie do szyby, czekając na moment, kiedy wjadą w cień Tygła i zobaczy nad sobą tysiące ton habitatów, pieców, przenośników i reaktorów.

Teraz tego widoku nienawidzi.

Gdy światła latarek ekipy ratunkowej VTO przebiły zamrożony mrok Boa Vista, powietrze było już smrodliwe, gęste od dwutlenku węgla i pary wodnej. Schron był na dwadzieścia osób, a wcisnęły się do niego trzydzieści dwie dusze, oddychające płytko, oszczędzające każdy ruch. Z każdej krawędzi skapywały skropliny, każdą powierzchnię pokrywała rosa. „Gdzie *paizinho?*!” - zawołał, gdy ratownicy z VTO pakowali go do kapsuły transportowej. „Gdzie *paizinho?*!” - pytał Lucasinho w ładowni księżycowego statku. Lucasinho zerknął

przez zatłoczoną ładownię na Abenę Asamoah i przysunął usta do jego ucha. Te słowa są tylko dla niego. „Wagner się ukrywa. Ariel zaginęła, Lucas zniknął, prawdopodobnie zginął. Carlinhosa powiesili za pięty na kładce w Kwadrze São Sebastião. Rafa nie żyje”.

Ojciec nie żyje.

Sądowe batalie były zaciekle i jak na księżycowe standardy dość krótkie. Po jednej lunie Robson już siedział w wagoniku Mackenzie Metals i pędził przez Ocean Burz, mając naprzeciwko siebie Hoanga Lam Hunga, a w dyskretnej odległości cały oddział noży, będący wyłącznie podkreśleniem siły Mackenzie Metals. Sąd Claviusa orzekł: Robson Corta jest odtąd Mackenzie. W wieku jedenastu lat z kawałkiem nie potrafił zinterpretować miny Hoanga. W wieku lat trzynastu już wie - to była twarz człowieka zmuszonego do zdrady kogoś, kogo kocha. Wreszcie dostrzegł na horyzoncie jaskrawą gwiazdę, światło Tygla płonącego pod słońcem w wiecznym zenicie. Już go nie zapraszała. Zmieniła się w gwiazdę piekielną. Robson wspomina *orixas* z Boa Vista, te gigantyczne kamienne oblicza wyrzeźbione w gołej skale, nieustannie obecne i przypominające, że życie pokonało zimną brutalność Księżyca. Oxala, Yemanja, Xango, Oxum, Ogun, bliźnięta Ibeji, Omolu, Iansa, Nana. Nadal potrafi wymienić odpowiadających im katolickich świętych, nadal pamięta ich atrybuty. Prywatna religia Cortów zawierała niedużo Boga, jeszcze mniej teologii, i nie obiecywała nieba lub piekła, lecz wieczny powrót. Coś naturalnego, recykling duszy, tak jak Zabbalini odzyskują z martwego ciała węgiel, wodę i minerały. Piekło było czymś bezsensownym, okrutnym i niespotykanym. Robson wciąż nie rozumie: po co bóg miałby skazywać kogoś na wieczne potępienie, skoro wtedy tą karą już niczego nie osiągnie?

- Witamy z powrotem - odezwał się Robert Mackenzie z czeluści systemu utrzymującego go przy życiu. W szyi pulsowała mu rurka respiratora. - Teraz jesteś jednym z nas. -

Nad lewym ramieniem chowaniec, Czerwony Pies. Nad prawym żona, Jade Sun, ze swoim chowańcem, typowym dla Taiyangu heksagramem z I Chingu: *Si ké*. Robert Mackenzie rozkłada ramiona, rozprostowuje haczykowate palce. - Zaopiekujemy się tobą.

Robson odwrócił głowę, gdy te ramiona go objęły. Suche usta musnęły jego policzek.

Potem Jade Sun. Idealne włosy idealna cera idealne usta.

Potem Bryce Mackenzie.

- Witaj z powrotem, synu.

Hoang nigdy nie wyjawiał, na jakie ustępstwa musiał pójść, żeby przenieść Robsona z Tygla do dawnej rodzinnej rezydencji, Królewskiego Dworu w Królowej Południa, choć Robson jest przekonany, że drogo za to zapłacił. W Królowej mógł sobie swobodnie biegać, w Królowej mógł być, kim zechce, mieć jakich zechce przyjaciół. W Królowej był w stanie zapomnieć, że do końca życia będzie zakładnikiem.

A teraz wraca do Tygla. Blask luster wielkiego pociągu wzmagają się, staje się oślepiający, nawet przez fotochromowe szkło kopuły obserwacyjnej.

Robson unosi dłoń, ocienia oczy. Nagle ciemność. Mruga. Powidoki. Po obu stronach ciągną się wózki, na których Tygiel toczy się po szynach Równikowej Jedyńki — tysiące kół, zakrzywiających się poza ciasny horyzont. Silniki napędowe, przewody zasilające, platformy i suwnice, serwisowe drabinki. Bot konserwacyjny wbiega po dźwigarze, Robson wieździe za nim wzrokiem. Gwiazdami na tym niebie są światła umieszczonych u góry przetwórnicy i modułów mieszkalnych.

Robson, trzecie księżycowe pokolenie, nie zna klaustrofobii - dla niego ciasne pomieszczenia to otucha i bezpieczeństwo - lecz dziś okienka, reflektory i migające światła ostrzegawcze Tygla napierają na niego niczym ciężka dłoń. Nie potrafi wyzbyć się myśli, że ponad tymi słabszymi światłkami płoną białym żarem tygla z roztopionym metalem w ognisku luster

pieca. Wagonik zwalnia, spod brzucha Tygla wysuwają się uchwyty. Nieznaczne drgnięcie, zaciski łapią wagonik i wsuwają go we wnękę stacji.

Dotknięcie ramienia. Hoang.

- Chodź, Robson.

„Przyjechał! Przyjechał!”

Śluz wagonika rozsuwa się, ukazując twarze, wszystkie wpatrzone w niego. Pięć kroków i Robsona otaczają młode kobiety w odświętnych sukienkach - krótkich i obcisłych, falbaniastych i bufiastych; lśniące rajstopy, śmiercionośne szpilki, włosy zaczesane do tyłu i uniesione w aureolę. Cyklamenowe szminki, oczy obrysowane kredką, policzki podkreślone prostymi kreskami różu.

- Au! - Ktoś dźgnął go palcem. - Tak, boli.

Roześmiane dziewczyny eskortują Robsona na koniec wagonu, gdzie gromadzą się młodzi ludzie. Cieplarnia, w mowie Mackenziech Gaj Paproci, jest wielka i na tyle skomplikowana, pełna krętych ścieżek i gęstych zarośli, że impreza spokojnie może się rozpaść na kilka mniejszych. Kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków z 1788¹, flagowym koktajlem Mackenziech, wyłaniają się spod paprociowych łuków; kieliszek nagle pojawia się w dłoni Robsona. Wypija, krzywi się na gorycz, rozkoszuje się rozlewającym się po ciele ciepłem. Paprocie szeleszczą, klimatyzacja miesza wilgotną atmosferę. Żywe ptaki obdziobują liście, przefruwają ledwie widoczne z krzewu na krzew.

Robson stoi pośrodku dwudziestki młodych Mackenziech.

- Pokażesz siniaki? - pyta dziewczyna w obcisłej, elastycznej, karmazynowej spódnicy, którą nieustannie obciąża, oraz w niebezpiecznie wysokich szpilkach, cały czas zmuszających ją do kontrolowania równowagi.

- No dobrze. - Robson zrzuca marynarkę, zadziera koszulkę.
- Tutaj i tutaj. Głębokie urazy tkankowe.

- Dużo ich masz?

Robson zarzuca koszulkę na głowę i czuje dotyk dziesiątek dłoni, dziewczęcych i chłopięcych. Wytrzeszczają oczy, widząc żółte połacie za-sinień na jego plecach i brzuchu, niczym mapy ciemnych księżycowych mórz. Każde dotknięcie to grymas bólu. Kreska chłodu na brzuchu - to któraś z dziewczyn narysowała mu różowym błyszczkiem uśmiechniętą buźkę. W okamgnieniu wszyscy wyciągają kosmetyki i atakują Robsona różem i cyklamenem, bielą i fluorescencyjną zielenią. Śmieją się. Cały czas się śmieją.

- Rany, jaki ty jesteś chudy - rzuca piegowaty, rudy mały Mackenzie.

- Jak to zrobiłeś, że się nie potrzaskałeś na kawałki?

- To boli? A to, a to, a tutaj?

Robson kuli się, odwraca plecami do dźgających go szminek, osłania głowę ramionami.

- Już, już.

Lekkie klepnięcie w ramię tytanowym szpicem wapera.

- Zostawić go.

Dłonie cofają się.

- Ubierz się, skarbie. Trzeba się przywitać z paroma osobami.

Darius Mackenzie jest tylko rok starszy od Robsona, jednak dzieciaki od razu się cofają. To ostatni żyjący syn Jade Sun-Mackenzie. Jak na trzecie pokolenie raczej niski, z rysami bardziej Sunów niż Mackenziech. Nikt z całego Tygla nie wierzy, że spłodził go zamrożony plemnik Roberta Mackenziego. Za to tonem rozkazującym włada równie dobrze jak stary władca.

Robson poprawia koszulkę, znajduje marynarkę.

Nigdy nie rozumiał, dlaczego Darius go tak lubi - jest z tej samej krwi, co zabójca jego brata, Hadleya, który zginął na arenie Sądu Claviusa. Ale jeśli ma w ogóle w Tyglu jednego przyjaciela, to właśnie jego. Za każdym razem, gdy przyjeżdża

tu z Królowej Południa - na urodziny, czy niejawne ustępstwa Hoanga wobec Bryce'a - Darius się dowiadyje i znajduje go po paru minutach. Zachowuje się tak tylko w Tyglu. Robson to docenia. Podejrzewa, że Dariusza boi się nawet Bryce.

Tego najbardziej z całego Tygla nienawidzi, owego lęku. Otwartego, rozdygotanego lęku, przenikającego każdy gest i słowo, każdą myśl i każdy oddech. Tygiel to machina lęku. Linie lęku wiją się tam i z powrotem wzdłuż jego dziesięciokilometrowego kręgosłupa, drgają, szemrzą, pociągają za dziesiątki haków - sekretów, długów - wbitych pod skórę każdego mieszkańca wielkiego pociągu.

- Tak naprawdę to ci zazdroszczą - mówi Darius, zaciągając się głęboko z waporyzatora i obejmując go ramieniem w talii. - No, idziemy. Trzeba zrobić rundkę po przyjęciu. Wszyscy chcą cię poznać. Jesteś gwiazdą. Czy to prawda, że żaden kolega od biegania nie odwiedził cię w szpitalu?

Darius zna odpowiedź na to pytanie, lecz Robson i tak potakuje. Wie, dlaczego je zadał. Te linie lęku sięgają z Tygla nawet do starych kwadr Królowej Południa. Nawet chłopaki-traserzy znają legendę, że Mackenzie odplącają po trzykroć.

- Robbo!

Robson nie cierpi tego australijskiego, poufatego zdrobnienia. Nie rozpoznaje żadnej z tej bandy ultramodnych białych kobiet o potężnych fryzurach, którym się wydaje, że są z nim jakoś spokrewnione. Onieśmielają go te włosy.

- Niezły garnitur, Robbo. Marco Carlotta, no-no-no. I rękawy leżą jak trzeba. Słyszałam, że miałeś drobny wypadek?

Towarzystwo wybucha śmiechem. Robson opowiada swoją historię do akompaniamentu pełnych podziwu „ooo” i przewracania oczyma, Darius już jednak wypatrzył kolejną grupę i wymówiwszy się zgodnie z etykietą, ciągnie Robsona dalej.

Pod koroną paprociowych liści, z 1788 w dłoniach, Mason Mackenzie gada z grupką młodych mężczyzn o piłce ręcznej. Mackenzie tak mają -kobiety rozmawiają sobie, a mężczyźni sobie. Mason jest nowym właścicielem Jaguarów z João de Deus. Zwerbował Jojo Oquaye z drużyny Twé All-Stars i przechwala się, jak zniszczył Diego Quarteya z Twe. Robson nie może słuchać, jak Mason gada o swoim klubie, To nie jest jego klub i nigdy nie będzie. To nie są żadne Jaguary, to nigdy nie będą żadne Jaguary, w ogóle co to takiego te „jaguary”? To są Moços. Chłopcy, dziewczęta. Klub ukradniesz, ale nazwy w życiu nie ukradniesz, nazwa jest wyryta w sercu. Wspomina, jak *pai* podniósł go nad balustradę prezesowskiej łoży i wręczył mu piłkę. Leżała wygodnie w dłoni, była cięższa, niż się spodziewał. „Rzuć na boisko”. Patrzyli na niego wszyscy gracze, wszyscy kibice i goście na Estádio da Luz. Prawie jęknął, chcąc, by *paizinho* opuścił go z powrotem, z dała od tych wszystkich oczu. Potem uniósł piłkę wysoko i rzucił nią z całej siły, a ona poszybowała wysoko, o wiele dalej, niż myślał, ponad zadartymi twarzami ludzi na trybunach w dole, ku prostokątowi zieleni na środku.

- Moços nigdy nie będą dla was wygrywać - mówi Robson.

Panowie przerywają rozmowę. Przelotny gniew, potem rozpoznają dzieciaka, który spadł ze szczytu świata.

Darius znów bierze Robsona pod rękę.

- No dobra. Dostyc. - Darius wypatrzył w cieniach między paprociami grubszego zwierza. - Sport to i tak durnota.

Kuzyni i jeszcze dalsi krewni w przelocie komplementują Robsona za strój, za sławę i za to, że przeżył. Nikt nie domaga się pokazania umazanych szminką siniaków. Żywi muzycy grają bossa novę. Od upadku Corta Hélio zrobiła się popularna jak nigdy. Stała się globalną muzyką. Gitara, kontrabas, szepczące bębny.

Robson zamiera. Pomiędzy estradą a barem tłoczą się Duncan Mackenzie i jego okos Anastasia i Apollinaire, Yuri Mackenzie,

prezes Mackenzie Fusion, jego przyrodni bracia Denny i Adrian, oraz oko Adriana - Jonathon Kayode, Księżycowy Orzeł. Dariusz delikatnie pociąga Robsona za rękaw.

- Pogadaj ze wszystkimi.

Anastasia i Apollinaire zachwycają się wylewnie przygodą Robsona. Ściskają, całują, każą mu stać pośrodku i obracać się wte i wewte, pokazując obrażenia - „ma lepszą cerę niż ty, Azja”. Yuri uśmiecha się nieporuszony, Duncan łypie z dezaprobatą - upadek ze szczytu świata to ewidentne naruszenie rodzinnych procedur bezpieczeństwa. Robert Mackenzie przejął z powrotem kontrolę nad Mackenzie Metals. Yuri jest prezesem firmy zajmującej się helem-3, którą Mackenzie Metals zbudowało na gruzach Corta Hélio. Denny, o zaciętych ustach, to kłębek energii ściśniętej jak hel w polu elektromagnetycznym reaktora termojądrowego. Denny to ogniwo w łańcuchu zemsty - Carlinhos zabił w Sądzie Claviusa jego wuja Hadleya, Denny poderżnął Carlinhosowi gardło podczas najazdu na João de Deus. Chwyć broń upuszczoną przez wroga i zwróć ją przeciwko niemu.

Księżycowy Orzeł chce poznać tajemnicę Robsona. „Spadłeś z trzech kilometrów, wstałeś i poszedłeś?”. Robson jest onieśmielony. Nigdy nie widział Orła na własne oczy. Jest wyższy, niż sobie wyobrażał, wysoki prawie jak trzecie pokolenie, ale zbudowany jak szafa. Oficjalne szaty *agbada* jeszcze przydają mu majestatu.

„Tajemnicę?”. Dariusz odpowiada za Robsona, który zapomniał języka w gębie. „Staraj się nie walnąć w ziemię”.

- Dobra rada.

Głos jest cichy i wytworny, niski i cichy, ale ucisza nawet Księżycowego Orła. Mackenzie płci męskiej pochylają głowy. Księżycowy Orzeł całuje wyciągniętą dłoń.

- Dzień dobry, lady Sun.

- Dzień dobry, Jonathon, Duncan, Adrian.

Lady Sun od niepamiętnych czasów jest dziedziczką Taiyangu.

Nikt nie zna prawdziwego wieku Sun Cixi i nikt nie śmie o niego zapytać. Długowiecznością mogłaby pewnie konkurować nawet z Robertem Mackenzie. I nie dla niej moda retro na lata osiemdziesiąte XX w. Ma na sobie kostium ze sztucznej wełny, rok 1935, ze spódnicą za kolano i żakietem do bioder, z szerokimi klapami i jednym guzikiem. Kapelusz fedora z szerokim rondem. Klasyka nigdy nie wychodzi z mody. Jest drobna, nawet jak na standardy pierwszego księżycowego pokolenia; góruje nad nią świta złożona z przystojnych uśmiechniętych Sunów obojga płci, zgrabnych i wysportowanych, w modnych jasnoniebieskich garniturach od Armaniego i zabójczych płaszczach od Yohjiego Yamamoto. Przyciąga wzrok wszystkich obecnych. Każdy jej ruch emanuje siłą woli i sprawczością. Nic nie pozostawia przypadkowi. Jest pełna energii, elektryzująca, aż iskrzy mocą. Oczy ma ciemne i błyszczące. Wszystko widzą i niczego nie odbijają.

Wyciąga się dłoń, w dłoni koktajl. Martini - sam dzin z ledwie kropelką wermutu.

- Przyniosłam swój - mówi lady Sun i upija łyk. Na kieliszku ani śladu szminki. - Tak, wiem, że to bardzo niekulturalnie, ale nie jestem w stanie pić tych waszych sików zwanych „1788”. - Zwraca oczy jak igły na Robsona. - Słyszałam, że jesteś tym chłopcem, który spadł z dachu Królowej Południa. Zapewne wszyscy ci teraz powtarzają, jaki jesteś wspaniały, że to przeżyłeś. Ja mówię: przede wszystkim jesteś durniem, bo spadłeś. Gdyby mój syn coś takiego zrobił, wyparłabym się go. Na miesiąc, może na dwa. Ty jesteś z Cortów, prawda?

- Robson Mackenzie, *qiansui* - odpowiada Robson.

- „Qiansui”. Jeśli chodzi o maniery, to Corta pełną gębą. Wy, Brazylijczycy, zawsze jesteście tacy gładcy. Bo u tych Australijców finezji za grosz. Uważaj na siebie, Robsonie Corta. Za wielu was nie zostało.

Robson składa prawą dłoń i pochyla głowę, tak jak go uczyła *madrinha* Elis. Lady Sun uśmiecha się. Godność Cortów.

Robsona obejmuje ramię. Krzywi się z bólu. Darius prowadzi go dalej.

- Teraz będą gadać o polityce — mówi Darius.

Robson jeszcze nie widzi Roberta Mackenziego, a już go czuje. Środki dezynfekcyjne i antybakteryjne nie są w stanie zamaskować smrodu gówna i sików. Robsona owiewa oleisty, waniliowy aromat nowego sprzętu elektromedycznego, pomady do włosów, zaschniętego potu, kilkunastu infekcji grzybiczych i zmagających się z nimi kolejnych kilkunastu środków przeciwgrzybiczych.

Robert Mackenzie, zainstalowany i podłączony do swojego medycznego systemu, zamieszkuje zieloną od szeleszczących paproci pergolę pośrodku ogrodu. Między paprociami poćwierkują i polatują ptaki, migają kolorowymi plamkami. Piękne i jaskrawe. A Robert Mackenzie, poza kategorią wieku, poza granicami biologii, siedzi na tronie pełnym pomp i filtrów, rurek i czujników, zasilaczy i odżywczych kroplówek, zeschnięty na skórzany wór pośród pulsujących rurek i rureczek. Robson nie może na niego patrzeć.

Za Robertem Mackenzie, jako cień za tronem, Jade Sun-Mackenzie.

- Darius.
- Dzień dobry, mamó.
- Darius, ten waper? No nie.

Stwór w fotelu skrzeczy i spazmuje w suchym śmiechu.

- Robson.
- Sun *qiansui*.
- Nie cierpię, kiedy mnie tak nazywasz, czuję się jak własna babka.

Teraz odzywa się stwór na tronie, tak powoli i skrzekliwie, że Robson nie od razu się domyśla, że mówi do niego.

- Nieźle to było, Robbo.

- Dziękuję, vo. Wszystkiego najlepszego, vo.
- Nic w tym najlepszego nie ma. A po drugie, jesteś Mackenzie, nie? To mów, kurwa, po angielsku.
- Przepraszam, dziadku.
- No dobra. Ale i tak nieźle, spaść z trzech kilosów, wstać i się otrzepać. Zawsze wiedziałem, że do nas pasujesz. A swoją drogą, masz coś z tego?
- Co coś?
- Dupy. Damskie. Męskie. Nijakie. Jakie tam lubisz.
- Ja mam dopiero...
- Na to nigdy nie jesteś za młody. Jest okazja, wykorzystujesz. Tak się robi u Mackenziech.
- Dziadku, a mogę mieć prośbę?
- Podobno mam urodziny. To dzień dobroci dla zwierząt. Co chcesz?
- Ci traserzy... moi koledzy od parkouru. Nie będziesz ich ścigał?

Robert Mackenzie porusza się w autentycznym zdziwieniu.

- Ja? Czemu?
- Bo tam byli. Mackenzie mógł zginąć. A Mackenzie odpłacają po trzykroć.
- Prawda, Robbo, prawda. Ale ci twoi koledzy mnie nie interesują. Jak chcesz oficjalne oświadczenie, proszę bardzo. Nie tknę palcem żadnego z tych „traserów”. Czerwony Pies, poświadczysz.

Czerwony Pies, chowaniec Roberta, nazwany od miasta w Australii Zachodniej, w którym doszedł do swojej fortuny, miał kiedyś postać psa, ale przez kolejne iteracje i dziesięciolecia zmieniał się razem ze swoim właścicielem i teraz jest ułożonym z trójkątów wzorkiem - uszy, figura sugerująca pysk, skośne oczy - abstrakcyjną psią głową. Czerwony Pies opatruje słowa Roberta Mackenziego cyfrowym podpisem i przekazuje Dżokerowi, chowańcowi Robsona.

- Dziękuję, dziadku.

- Postaraj się może powiedzieć to tak, jakby nie chciało ci się rzygać. I daj dziadkowi buzi z okazji urodzin.

Robson wie, że Robert widzi, jak zamyka oczy, kiedy muska ustami łuskowaty, suchy jak papier policzek.

- O tak. Robbo, teraz Bryce chce się z tobą zobaczyć.

Robsona ściska w dołku. Mięśnie tężeją boleśnie. Żołądek jakby otworzył się na próżnię. Wzrokiem szuka pomocy u Dariusa.

- Darius, mógłbyś pięć minut poświęcić matce — mówi Jade Sun. — Ostatnio prawie cię nie widuję.

Znajdę cię potem, śle mu Darius przez Dzokera. Robson przez chwilę rozważa ukrycie się w labiryncie paprociowych gęstwin, Bryce jednak to przewidział - Dzoker rysuje mu na soczewce trasę prowadzącą pomiędzy krótkimi sukienkami, rozłożystymi ramionami marynarek i jeszcze bardziej rozłożystymi fryzurami.

Bryce rozmawia z jakąś kobietą - Robson jej nie kojarzy, ale po wzroście, po kroju ubrania, po tym, jak niezręcznie porusza się w księżycowym ciężeniu, poznaje, że jest z Ziemi. Z Chińskiej Republiki Ludowej, orzeka, widząc pewność siebie i apodyktyczność. Kobieta żegna się. Bryce kłania się jej. Jak na wielkiego faceta, naprawdę ogromnego faceta, porusza się wyjątkowo lekko na stopach. Drobnych stopkach.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć?

Bryce Mackenzie ma ośmiu „adoptowanych”. Najstarszy jest trzydziestotrzyletni Byron, protegowany Bryce'a w dziale finansów. Najmłodszy, Ilia, ma dziesięć lat. Został sierotą po dehermetyzacji habitatu w kraterze Schwarzschilda. Przeżył osiem godzin w schronie jak trumna, z szybką hełmu przywaloną trupami i skałami. Robson trochę to nawet rozumie. Uciekinierzy, potrzebujący, porzuceni, sieroty - wszyscy zamaszystym gestem zagarnięci do rodziny Bryce'a

Mackenziego. Tadeo Mackenzie wziął nawet ślub, z kobietą, choć Robson wie, że te same linie sił, które przerastają jak nerwy wybielony słońcem szkielet Tygła, wrastają także pod skórę każdego przybranego syna. Jedno szarpnięcie i wszyscy zbiegają się do niego.

- Robson.

Imię w normalnej formie. Nadstawiony policzek, synowski całus.

- Bardzo zły jestem na ciebie, rozumiesz. Bardzo. Sporo czasu minie, zanim będę ci w stanie wybaczyć.

- Ale nic mi się nie stało. Parę siniaków.

Bryce lustruje go od stóp do głów. Robson czuje się rozbierany wzrokiem.

- Fakt, chłopcy to nadzwyczaj odporne istoty. Potrafią znieść niesamowicie ciężkie uszkodzenia.

- Nie trafiłem w chwyt. To był mój błąd.

- Tak, tak, ja wiem, ćwiczenia fizyczne są bardzo ważne, ale Robson, serio. Hoang miał się tobą opiekować. Był za ciebie odpowiedzialny. Nie. Nie mogę drugi raz zgodzić się na takie ryzyko. W Tyglu będziesz bezpieczniejszy.

Robsonowi wydaje się, że serce mu stanęło.

- Kupiłem ci prezent.

Słyszy ekscytację w głosie Bryce'a. Zaraz zwymiotuje z lęku i obrzydzenia.

- Moje urodziny są dopiero w Wadze - mówi Robson.

- Nie na urodziny. Robson, to jest Michaela.

Odwraca się od rozmowy, w której brała udział — niska zieluniaczka o napiętych mięśniach. W trakcie krótkiego pobytu na Księżycu zdążyła już nauczyć się protokołu Mackenziech: pochyła na moment głowę.

- Robson, ona jest twoją osobistą trenerką.

- Nie chcę osobistej trenerki.

- Ale ja chcę. Musisz nabrać trochę ciała. Moi chłopcy mają mieć mięśnie. Jutro zaczynacie.

Bryce przerywa, unosi wzrok. Robson też to widzi: zmianę w kącie padania światła.

Tu światło się nigdy nie rusza. Na tym polega potęga Tygla - nieprzerwane południe, Słońce w zenicie skupione na lustrach wytapiaczy. Światło poruszyło się. Rusza się.

- Robson, chcesz żyć, to idziesz ze mną.

Drobnostopy Bryce jest także szybki. Łapie Robsona za ramię i prawie leci, wielkimi księżycowymi susami. Alarmy rozlegają się dookoła i wyświetlają na każdej soczewce. Całkowita ewakuacja. Całkowita ewakuacja.

Światło muska twarz Duncana. Zadziera głowę. W górę patrzy każdy Mackenzie w Gaju Paproci, ich liście rzucają na twarze niespodziewane pasiaste cienie. Lady Sun unosi brew.

- Duncan?

Gdy się odzywa, Esperance, chowaniec Duncana, szepcze mu na ucho jedyny zwrot, który przeraża go od urodzenia.

Żelazny Potop.

Mit apokaliptyczny Mackenzie Metals - dzień, w którym z nieba spada ulewa roztopionych metali ziem rzadkich. Nikt w Tyglu nie wierzył, że to jest w ogóle możliwe. Choć nazwę zna każdy.

- Lady Sun, trzeba się ewakuować... - mówi Duncan, choć orszak Dziedziczki Taiyangu już ustawił się wokół niej w falangę i przebija się bez skrępowań przez zdumionych gości przyjęcia.

Odpychają Jonathona Kayodego, jego ochrona zbija się w ciasny szyk, dłonie sięgają do pochew po noże.

- Zostawić to, wyprowadzić nas stąd! - krzyczy Adrian Mackenzie.

Wir ludzi wlewający się do śluzy do następnego wagonu nabiera panicznego tempa. Krzyki przeradzają się we wrzaski.

- Nie tam, debile! Do kapsuł!

- Adrian, co się dzieje? - pyta Księżycowy Orzeł.
- Nie wiem - odpowiada Adrian Mackenzie, kuląc się pod osłoną pierścienia ochroniarzy Orła. Z wyciągniętymi nożami odpychają oszołomionych imprezowiczów z drogi. - Ale to nie jest dehermetyzacja. - Po czym wytrzeszcza oczy, gdy chowaniec szepcze mu na ucho ten sam zwrot: *Żelazny Potop*.
- Proszę pana. - Szef ochrony Duncana Mackenziego to niski Tanzańczyk z zieluniackimi mięśniami. - Straciliśmy kontrolę nad lustrami.
- Iloma?
- Wszystkimi.
- Co takiego?
- Sir, za niecałą minutę będzie tutaj dwa tysiące kelwinów. Blask przeświecający przez liście paproci jest jaskrawy i ostry jak świeżo wykute noże. Zamilkł każdy ptak, każdy owad w zielonej dżungli. Duncan czuje, że powietrze pali go w nozdrza.
- Ojciec...
- Sir, mój obowiązek to chronić pana.
- Gdzie ojciec? Gdzie jest ojciec?

Bryce Mackenzie ma stalowy uścisk. Pod tą masą kryją się mięśnie. Rozrzuca na boki imprezowych chłopaków i dziewczyny — rozmazany makijaż, połamane obcasy - ciągnąc Robsona ku zielonym, migającym świetlnym kręgom oznaczającym kapsuły ewakuacyjne.

- Co to jest, co się dzieje? - pyta Robson.
- Wszystkie głosy wokół zadają to samo pytanie, coraz głośniejsze, w miarę jak niepewność przeradza się w strach, a potem w panikę.
- Żelazny potop, synu.
- Ale to niemożliwe. To znaczy...
- Światło robi się mocniejsze, a cienie są krótsze.
- Oczywiście, że nie. To nie jest jakiś wypadek. To atak.

Hoang, szepcze Robson i na soczewce ukazuje się jego twarz.

- Robson, gdzie jesteś? Jesteś cały?

- Jestem z Bryce'em! - krzyczy Robson.

Głosy już brzmią paskudnie. Dłonie łapią go, próbują oderwać od Bryce'a i przypisanego mu miejsca w kapsule. Bryce Mackenzie ciągnie go pomiędzy czepliwymi dłońmi i sięgającymi ramionami.

- Jesteś cały?

- Już uciekłem. Robson. Znajdę cię. Obiecuję. Znajdę cię. -
Twarz Hoanga rozpryskuje się na piksele.

Brak sieci, informuje Dżoker. Gaj Paproci wypełnia krótka, potworna cisza. Zniknęły wszystkie chowańce. Wszyscy się rozłączyli. Każdy jest sam przeciwko wszystkim innym. Teraz dopiero naprawdę rozlegają się krzyki.

- Bryce! — wrzeszczy Robson, szarpie go za rękę. Jakby próbował poruszyć sam Księżyc.

Złożona z ochrony straż broni śluzy, stoją w podwójnym kordonie z wyciągniętymi nożami.

- Bryce, gdzie Darius?

Noże rozstępują się, żeby wpuścić Bryce'a i Robsona. Odpychają z powrotem napierających, spanikowanych imprezowiczów. Śluza wejściowa jest otwarta, pierścień światła pulsuje zielono.

- Bryce! - Robson usiłuje uwolnić dłoń.

Bryce zatrzymuje się, odwraca, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

- Durny, niewdzięczny gówniarz.

Robson chwieje się zamroczony po uderzeniu. Szczeka mu opada, przed oczyma eksplodują gwiazdy. Czuje, że z nosa leci mu krew. Krzyczą wszystkie siniaki na ciele. Potyka się, lecz zaraz dłonie łapią go za klapy marynarki i ciągną przez śluzę do kapsuły.

- No chodźże, chodź! - wrzeszczy Bryce.

Robsonowi dzwoni w uszach od ciosu. Opada na miękką

ławeczkę. Do kapsuły wskakuje sześciu ochroniarzy, po czym drzwi zamykają się nożycowo.

Uwolnienie kapsuły za dziesięć sekund, mówi AI.

Bryce wpina się tuż obok Robsona, przyciskając go do potężnego Ukraińca ochroniarza.

Dziewięć.

- Robbo. Robbie. Robson.

Robson potrząsa głową, chcąc odzyskać ostrość widzenia. Darius, przypięty pasami dokładnie naprzeciw niego. Oczy ma wytrzeszczone, twarz bladą z przestachu. W zaciśniętej pięści ściska waper.

- Darius.

Dwa. Jeden. Spadek.

Świat gubi dno.

Wewnętrzne drzwi śluzy zamykają się, otwierają się zewnętrzne. Jade Sun sadowi się godnie w kapsule. System podtrzymywania życia Roberta Mackenziego manewruje w ciasnej śluzie. Wewnętrzne drzwi dudnią jak bęben - pięści pięści. Konstrukcje Mackenziech są obliczone na Księżyc, ludzkie dłonie to dla nich nic, choćby nie wiadomo jak liczne i jak zdesperowane. Za parę sekund wszystkie lustra skupią blask na Gaju Paproci, na każdym po kolei wagonie Tygła. Dwanaście tysięcy luster, dwanaście tysięcy słońc. Konstrukcje Mackenziech nie wytrzymają blasku dwunastu tysięcy słońc.

Wtedy skończy się łomotanie do drzwi.

Pięćdziesiąt sekund do Żelaznego Potopu, informuje Jade Sun jej chowaniec. Sieć nie działa, ale Czerwony Pies Roberta Mackenziego pewnie mu powiedział to samo.

- Jade, kobieto, pomóż mi. To cholerstwo nie chce się ruszyć.

Jade Sun-Mackenzie sadowi się na wyściełanej ławie w azylu kapsuły.

- Jade! - To rozkaz, nie prośba.

Jade Sun-Mackenzie zapina pasy. Robert w służbie szarpie się i rzuca z całą swoją znikomą siłą, jakby wydawało mu się, że swą piórkową wagą będzie w stanie przesunąć potężny tron z systemem podtrzymywania życia.

- Kurwa mać! Czemu to nie jedzie!
- Bo ja mu tak kazałam.

Żołądek Duncana Mackenziego podchodzi mu do gardła, gdy zwalniają się uchwyty i kapsuła opada. Siedzący naprzeciwko Jonathon Kayode wbija w niego wzrok. Księżycowy Orzeł jest szary ze strachu. Z całej siły ściska dłoń swego *oko*. Do kapsuły nie załapał się żaden z jego ochroniarzy. Kapsuła przez parę sekund spada swobodnie po linach, potem włączają się hamulce - nagłe hamowanie, od którego z piersi Księżycowego Orła wyrywa się jęk strachu. Łąduje miękko i pewnie na kołach. Ładunki wybuchowe, każdy jak lekki szturchaniec, odcinają liny. Wyją silniki. Kapsuła pędzi, uciekając od ginącego Tygła. Wielki pociąg jest linią oślepiającego światła wygiętego wzdłuż horyzontu - jak wschód nowej.

- Ojciec jest bezpieczny? - pyta Duncan Mackenzie. - Jest bezpieczny?

Fotel nie chce jechać. Wyniszczone ciało Roberta Mackenziego trzęsie się, gdy usiłuje przymusić system podtrzymywania życia do posłuszeństwa. Oczy, mięśnie szczęki, w których tkwi ostatnia rezerwa jego potwornej siły woli, żyły na gardle, nadgarstki, skronie, wszystko napina się i puchnie. Tron stawia mu opór.

- Włamaliśmy się do twojego systemu — mówi Jade Sun. — Dawno temu. Wcześniej czy później byśmy cię wyłączyli.

Kapsuła drga, delikatne wstrząsy oznaczają, że inne kapsuły wypadają ze swoich śluz.

- Lustra to nie nasza sprawa, ale czy byłabym godna miana Sun, gdybym nie wykorzystała okazji?

Gdy Robert unosi dłonie do rurek na szyi, z kącików jego ust ciągną się nitki gęstej śliny.

- Nie odłączysz się, Robercie. Za długo się z tym zrastałeś. Zamykam śluzę.

Jade Sun czuje, że każdy oddech ją pali. Si Ké mówi, że temperatura we wnętrzu Tygla wynosi czterysta sześćdziesiąt kelwinów.

Łomotanie do drzwi śluzy ustało.

- Ja nie. Próbuję się. Odłączyć — mówi Robert Mackenzie. Palce jak szpony manipulują przy kołnierzyku.

Coś leci, rozmazując się w smugę. Jade Sun odchyła się w wyściełanym foteliku, gdy trafia w nią maleńki, brzęczący przedmiot. Unosi dłoń, czując nagłe ukłucie bólu na szyi. Dłoń opada. Rozluźniają się mięśnie twarzy, otwierają się oczy i usta. Neurotoksyny AKA działają szybko i pewnie.

Jade Sun obwisa w siedzeniu przytrzymywana pasami bezpieczeństwa. Mucha-asasyn bzyczy na jej szyi.

- Było nie czekać z zamknięciem śluzy, ty pizdo — syczy Robert Mackenzie. - Nigdy, kurwa, nie ufaj żadnemu Sunowi.

Nagle jego mściwy skrzekot przeradza się we wrzask, gdy blask luster skupia się na nim, paląc żywym płomieniem starca, innych ludzi i wszystko dookoła. Tytan, stal, aluminium, konstrukcyjne tworzywa topią się, płyną, mieszają, po czym wytryskują na wszystkie strony strugami roztopionych metali, gdy następuje wybuchowa dehermetyzacja Tygla.

Robson bał się, kiedy spadał ze szczytu Królowej Południa. Bał się jak nigdy w życiu. Nie wyobrażał sobie większego strachu. Ale oto jest. Jest przypięty do niego pasami, gdy nad jego głową roztapia się Tygiel. Podczas tamtego upadku przeżycie zależało od jego własnych decyzji i umiejętności. Tu jest bezradny.

Uratuje się albo nie, sam nie ma na to wpływu.

Zawisa na pasach. Żołądek podchodzi mu do gardła. Chwila swobodnego spadku, potem kapsuła gwałtownie uderza w ziemię. Dalej się porusza, stara się oddalić na bezpieczną odległość, ale jak daleko, jak szybko, kiedy to nastąpi - o tym Robson nie ma pojęcia. Coś miota nim, to na lewo, to na prawo. Szarpnięcia, łoskot. Skrzypienie, trzaski, wycie. Nie ma pojęcia, gdzie jest, co się dzieje. Huk, uderzenia. Chce coś widzieć. Musi coś widzieć. A widzi tylko twarze wokół siebie — każdy zerka na innych, ale tak, by nie zauważyli, inaczej zrzygałby się ze strachu.

Kapsuła staje. Długi metaliczny zgrzyt. I rusza z powrotem, bardzo powoli.

Robson przenosi się znów do Boa Vista, na sam koniec, kiedy zgasły światła, wyłączył się prąd i nie było widać nic poza twarzami popatrującymi po sobie w zielonym blasku awaryjnych biolampki schronu. Hałasy. Przypomina sobie trzaski ładunków wybuchowych i to, jak po każdym ludzkie zamykali oczy, bojąc się, że jeszcze jeden i kapsuła rozbije się jak upuszczona szklanka. Jedna potężna eksplozja i potworny, przeciągły ryk, jakby świat rozdzierał się na pół. Schron trząsał się i podskakiwał na amortyzatorach, ludzie byli zbyt przerażeni, by wrzasnąć. Po czym ryk ustał, a Robson już wiedział, że Boa Vista jest otwarte na próżnię. Oraz że jego ojciec nie żyje.

„Jesteśmy bezpieczni”. *Madrinha* Elis objęła mocno Lunę, powtarza jej to w kółko. „Nic ci się nie stanie. Schronu nie wysadzą”.

Wysadzili Boa Vista, pomyślał wtedy Robson, ale nie powiedział tego na głos, bo wiedział, że wystarczy jedna iskra, by strach rozlał się po zatłoczonym schronie jak pożar, w sekundę wypalając cały tlen.

Schronu nie wysadzą. Kapsuła wytrzyma wszystko.

Kiedy w ciemności zabłyśły poruszające się promienie latarek,

nie wiedział, czy to wybawcy, czy mordercy.

Robson wali pięścią w przycisk uprząży na piersi. Przysuwa się do okienka obserwacyjnego.

Nie może umrzeć w środku stalowej bańki. Musi widzieć. Musi.

Tygiel, świetlna krecha stopionego metalu, umiera w powolnych erupcjach. Drugi koniec pociągu jest za horyzontem, lecz Robson wciąż widzi rozjarzone iskry metalu, każda wielkości kapsuły, sypiące się łukami na kilometry, koziołkujące, opadające, rozszczepiające się na mniejsze krople. Osłania oczy przed blaskiem. Lustra wciąż manewrują, wciąż się poruszają, przesuwają swoimi ostrzami o dwóch tysiącach kelwinów po pomostach i wózkach. Przewracają się podcięte retorty, łamią wsporniki, konwertory wylewają zawartość. Żelazny Potop. Metale ziem rzadkich rozlewają się dookoła. Rozjarzone strugi lantanu, kałuże ceru i fermu, długie fontanny stopionego rubidu. Detonują nisze z powietrzem. Eksplodują wspaniałe, skomplikowane maszyny. Płynny metal spada deszczem na Ocean Burz.

Teraz i same lustra upadają z podciętych wsporników. Jedno po drugim wyginają się i spadają, omiatając świetlnymi mieczami całe niebo, całe morze, stapiając na szklisty łuk pył Oceanu. Robson widzi, jak ginie jedna kapsuła, rozcięta śmiertelnie, zogniskowanym snopem lustra. Potem druga. Upada, jedno po drugim, dwanaście tysięcy zwierciadeł. Stopniowo zapada ciemność. Teraz jedynym źródłem światła są światełka awaryjne uciekających kapsuł i rozjarzony metal.

Robson stwierdza, że płacze. Ciężkie łzy bezradności. Pierś mu trzepocze, oddech faluje. To ból. Nienawidził Tygła, nienawidził tych intryg, tajemnic, obezwładniającego strachu, polityki i poczucia, że każda napotkana osoba ma plan, w którym on figuruje jako ofiara. Mimo wszystko to był dom. Nie taki jak Boa Vista; nic już nie będzie takie jak Boa Vista, do tego się nie wróci. Ale to był dom, i już go nie ma, przepadł, jak

przepadło Boa Vista. Zginął. Zniszczony. Miał dwa domy i oba zostały zniszczone. Co je łączy? Robson João Baptista Boa Vista Corta. Coś musi z nim być nie tak. Chłopiec, który nie może mieć domu. Ciągłe mu go zabierają. Tak jak zabrali *paizinho*, zabrali Mãe, zabrali Hoanga. *Pai* wysłał go do Królowej, do Tygla, gdzie Hadley próbował go wyuczyć na zaszczytnika. Kiedy wrócił do Boa Vista, *paizinho* rzucał w niego piłką, tak mocno, że bolało, tak mocno, że zostawały siniaki, na tyle mocno, by wzbudzić nienawiść. Wszystko. Zawsze. Zabierają.

Stalowy deszcz ustał. Kapsuła ewakuacyjna pędzi po skropionym metalem morzu, uzgadniając z innymi cel - schrony ratunkowe, bazy górnicze i habitaty na całym Oceanie Burz. Lustra zerkają ognistymi oczyma z miejsc, w które upadły. Zniszczony Tygiel rozbłysł na tyle jasno, że był widoczny z Ziemi. Niebo lśni poruszającymi się gwiazdozbiorami, świetlnymi iskierkami - Robson wie, że to silniczki manewrowe. VTO wysłało tutaj wszystkie statki ratunkowo-poszukiwawcze z całego Księżyca. Nie ma tu kogo poszukiwać, nie ma kogo ratować. Albo przeżyłeś, albo Księżyc cię zabił.

Robson czuje w swojej dłoni jakiś przedmiot. Prostokątne krawędzie, zaokrąglone rogi, grubość, ciężar. Zerka w dół. Jego karty do gry, talia, którą dał mu Hoang, kiedy byli *okos* - odtąd zawsze miał ją przy sobie. Tasuje je, powoli, starannie. Palce manipulujące kartami to otucha i pewność. To jest w stanie opanować. Nad kartami panuje.

1

1788 - rok osiedlenia się w Australii pierwszych Europejczyków (przyp. tłum.).

PANNA - WAGA 2105

Ludzie w każdym pomieszczeniu, w każdym tunelu, w każdym korytarzu i śluzie. Ludzie siedzą, kucają, leżą, siedzą po turecku, pochylają głowy. Opierają się o siebie nawzajem. Ludzie w eleganckich strojach — Chanel, D&G, Fiorucci, Westwood. Ludzie nic niemówiący, poruszający się jeszcze mniej, czekający. Oszczędzający oddech. Pomieszczenia, tunele, korytarze, śluzy Lansberga rozbrzmiewają zsynchronizowanymi, płytkimi oddechami ocalonych. Co parę minut otwiera się śluza i wychodzi z niej kolejna grupa ewakuowanych w eleganckich ubraniach, bierze jeden wdech wilgotnego, śmierdzącego, przeoddychanego powietrza; potem ich czuby przełączają się w tryb awaryjny i przykręcają im odruch oddychania do szeptu. Rzęząc, próbując dyszeć, znajdują sobie miejsca w ciżbie innych, by sięść i czekać.

Lansberg to Centralna Stacja Techniczno-Postojowa Równikowej Jedyńki na Oceanie Burz, reduta wykopana pod kraterem Lansberga dla botów, pojazdów serwisowych i ekip torowych wymienianych co dwie luny. Jej system podtrzymywania środowiska jest obliczony na pięćdziesiąt osób w trybie awaryjnym. Teraz w zatęchłych komorach tłoczy się dwadzieścia razy tyle. Osiem godzin po Żelaznym Potopie kapsuły wciąż doczołgują się na rezerwie prądu do śluzy, by wypuć niedotlenionych, odwodnionych, przerażonych ludzi. Inżynierowie z Lansberga non stop drukują pochłaniacze dwutlenku węgla, ale teraz zaczyna się psuć system odzyskiwania wody. Toalety poddały się parę godzin temu. Nie ma też nic do jedzenia.

Darius Mackenzie syczy sfrustrowany i ciska karty w korytarz. *Nie rozumiem*, mówi przez Adelaidę, swojego chowańca.

Robson zbiera je. Wyrównuje talię i ponownie, powoli, pokazuje trik Dariusowi. Wysunięcie karty kciukiem, ukrycie w dłoni, zwane palmowaniem Tenkaia. Pokazuje dłoń, rozcapierza palce. Teraz widzisz? Sztuczka polega na ustawieniu karty pod odpowiednim kątem względem ręki, tak by nie było jej widać. To jedna z trudniejszych iluzji. Ćwiczył ją przed kamerą przez wiele godzin. Pamięć mięśniowa jest oporna i powoli się uczy, tylko liczne powtórzenia są w stanie wbić ruch, płynność, rytm we włókna mięśni. Iluzja wymaga najwięcej prób ze wszystkich sztuk. Sztukmistrz każdy trik ćwiczy dziesięć tysięcy razy, zanim odważy się pokazać go publiczności.

Bryce w przelocie zapytał Robsona, czy jest cały, nim zarządził przybycie statku VTO, który ma go zabrać do Królowej Południa. Tygiel padł, ale Mackenzie Metals ma przeżyć. To było pięć godzin temu. Przez pierwszą godzinę Robson i Darius obejmowali się nawzajem otępiali od ogromu zniszczenia. Potem Robson odważył się wpiąć do sieci. Zalały go okropności. Liczby, nazwiska, imiona, które znał, które uśmiechały się, rozmawiały z nim, niewinnie dotykały palcami siniaków i rysowały mu po żebrach szminką, imiona z nastroszonymi fryzurami, w eleganckich strojach. Osiemdziesiąt ofiar, setki osób zaginionych. Siedział, ważąc każdy płytki oddech. Nie docierało do niego, co słyszy. Trzy godziny słuchał wiadomości. Potem wyciągnął karty.

„Nauczę cię, jak się palmuje kartę”, szepnął. Palmowanie to sama esencja iluzji. Mam tę kartę, ale jest ukryta, na oczach wszystkich, i kiedy tylko zechcę, mogę przywołać ją z powrotem.

Pokazał Dariusowi palmowanie klasyczne, Hungarda i Tenkaia, a nowi uciekinierzy tymczasem lawirowali pomiędzy ich wyciągniętymi nogami, a korytarzami wędrowały tam i z powrotem ekipy medyczne i roznosiciele wody z VTO.

„Spróbuj jeszcze raz”.

Darius bierze talię, unosi wierzchnią kartę między palcem wskazującym i środkowym, markuje wsunięcie jej z powrotem i zgina palce, by umieścić kartę pomiędzy opuszką i zgięciem kciuka. Coś odwraca jego uwagę - trik pozostaje nieukończony. Karty wypadają mu z dłoni. Robson mruży oczy, wpatruje się w zamglone, zapyłone powietrze. Lady Sun ze świtą ostrożnie przestępująca przez leżących uciekinierów. Oddycha głęboko i swobodnie w masce tlenowej, jeden z ochroniarzy niesie za nią butlę. Zdejmuje maskę z ust.

- Darius. Wstawaj, no wstawaj.

Porusza palcami - wstawaj. Darius chwiejnie zbiera się na nogi. Ochroniarze podtrzymują go z obu stron. Przycięty oddech nie sprawia im żadnego problemu. Lady Sun obejmuje go. Robson aż zaciska zęby, widząc jej chude jak patyki ręce i długie kościste palce wokół przyjaciela.

- Mój mały. Mój kochany. Mój skarb. Przepraszam cię.

- Babciu... - mruczy Darius.

Lady Sun przyciska mu długi palec do ust.

- Nic nie mów. - Przyciska maskę tlenową do swojej twarzy, potem do twarzy Dariusza. - Wagonik już czeka. W Pałacu Wiecznego Światła będziesz bezpieczny.

Przystojni chłopcy i dziewczyny tworzą straż wokół Dariusza. Ogląda się na Robsona i wtedy pierwszy raz zauważa go lady Sun.

- *Senhor* Corta, cieszę się, że jest pan cały i zdrowy.

Robson składa palce i pochyla głowę w rodzinnym geście szacunku. Lady Sun uśmiecha się. Szybki iluzjonistyczny ruch ręki i Robson wręcza Dariusowi pół swojej tali. Darius wsuwa ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Straż już popycha go korytarzem, torując drogę wśród napierających, zniecierpliwionych Mackenziech, którzy usłyszeli słowo „wagonik”. Ogląda się jeszcze po raz ostatni i orszak lady Sun popycha go przez służbę do wejścia na stację.

- Nigdy już cię nie zobaczę, prawda? - szepcze Robson.

Lansberg opróżnia się, ciało po ciele. Płuca Robsona rozszerzają się, oddech za oddechem. Zapowiedzi pociągów, ludzie wstający i wychodzący. Obsługa z VTO pyta: Jedzie pan? Nie jedzie. Czeka. Na co pan czeka?

Wreszcie Robson zostaje sam w korytarzu. Siedzi tam, bo to jedyna droga na stację. On musi tędy przejść. W końcu zasypia, bo czekanie to tępy, mdlący ból, coś jakby duszy dzwoniło w uszach.

Kopnięcie w podeszwę buta. Potem kolejne.

-Ej.

Hoang. Kuca przed nim. Prawdziwy, najprawdziwszy Hoang.

- Och, Hoang, oj... - Robson rzuca się na niego. Przewracają się w tył w pustym korytarzu. - Gdzie byłeś? Gdzie się podziewałeś?

- Był tam pociąg, zabrał mnie do Południka. I tyle czasu musiałem czekać na pierwszy pociąg, który jedzie do Lansberga. Tyle czasu. -Hoang ściska Robsona mocno miażdżącą kości miłością. Nowe siniaki na starych.

- Strasznie się bałem - szepcze mu Robson do ucha. - Wszyscy... -Słowa to za mało.

- No chodź - mówi Hoang. - Umyjesz się trochę. Kiedy ostatni raz jadłeś?

Kiedy słowa to za mało, wystarczą rzeczy.

Stare kobiety powinny siedzieć na słońcu. Każde miejsce wokół stołu jest oświetlone od góry promieniem słońca pełnym unoszących się pyłków. Gra ma setki lat, ale jest warta świeczki: trzeba wysledzić, który snop pada z którego lustra i tak po kolejnych jasnych punkcikach luster wyjść z wiecznego cienia niecki Shackletona i dotrzeć do niebotycznego, świetlistego słupa Pawilonu Wiecznego Światła. Od wiecznego mroku po

wieczne światło. Takie tam zabawy z lustrami, ku rozrywce tych, którzy wiedzą, na czym polega ta sztuczka, choć ona wciąż czuje ten dawny podziw, gdy lustro poruszają się w ciemności, chwytają światło i się rozświetlają.

Gdy lustro się poruszają, znaczy, że zarząd Taiyangu ma posiedzenie.

- Lady Sun?

Zwraca się ku niej dwanaście twarzy, a każda oświetlona własnym, osobistym słońcem.

- Trzeba ich skłócić.

Myśleliście, że nie słuchałam, myśleliście, że jestem głupkowatą staruszką, której pozwala się siedzieć w blasku tylko przez wzgląd na jej wiek, zgrzybiałą, starą kobietą, która chce poczuć ciepło słońca na twarzy.

- Słucham? - pyta Sun Liquiu.

- Bracia zawsze nienawidzili się nawzajem. Trzymali się razem tylko przez firmę i ojca. Teraz Robert nie żyje, a Tygiel to kałuża metalu na Oceanie Burz. Mamy idealną okazję, by przejąć biznes w pasie równikowym.

- Bryce rozpoczął negocjacje w kwestii sprzedaży zapasu helu, który Mackenzie Fusibles ma w punkcie L5 - mówi Sun Gian-yin, *yingyun* Taiyangu. Silne światło rysuje na każdej twarzy głębokie, ostre cienie.

- Nie, do tego nie możemy dopuścić - mówi lady Sun. - Musimy mieć jakiś środek nacisku na Bryce'a.

- Człowiek zadłużony to człowiek mniej awanturujący się — mówi Tamsin Sun. Jest dyrektorką biura prawnego Taiyangu.

Lady Sun bardzo podziwia jej wyostrzony, ambitny umysł i kompletnie mu nie ufa.

- Wszystko będzie bardzo bezpieczne - mówi Sun Liwei. - Niczego nie da się z nami skojarzyć.

-Ale wszyscy się będą domyślać - dodaje Amanda Sun. Padające z góry światło obchodzi się z nią gorzej niż z innymi członkami zarządu. Cienie w oczach, pod kośćmi policzkowymi

mówią: morderczyni.

Dobrze to rozgrywasz, myśli lady Sun. Ale ja ci nie wierzę. Nie masz ani tyle talentu, ani tyle charakteru, żeby zabić Lucasa Cortę. Nie, mała morderczyni, tak naprawdę zawsze chciałaś dopaść mnie. Nigdy mi nie wybaczyłaś tej okrutnej *nikah*, która przykuła cię do Lucasa Corty.

- Niech się domyślają - mówi lady Sun.

Teraz głowy odwracają się do Sun Zhiyuana, *shouxi* Taiyangu.

- Zgadzam się z moją babką. Dzielimy i rządzymy. Tak jak z Mackenziemi i Cortami.

Cortowie mieli polot. Lady Sun często ubolewa, że zniszczyła ich dla czegoś tak nieeleganckiego jak zysk.

Abena Maanu Asamoah nie odbiera od niego połączeń głosowych. Nie reaguje na wiadomości, nie odpowiada na próby kontaktu na żadnym forum. Zaprzecza istnieniu Lucasinho Corty w tym samym wszechświecie. On kontaktuje się ze znajomymi i znajomymi znajomych. Rozpytuje rodzinę. Śle do jej mieszkania odręcznie napisane listy na perfumowanym, ręcznie czerpanym papierze. Płaci bratanicy, żeby mu je pisała. Bo Lucasinho Corta nie potrafi pisać odręcznie. Wysyła przeprosiny. Wysyła ślicznie rysunki, *kawaii*, *emoji*. Wysyła kwiaty i pachnące motyle. Robi się na rzewnego, na żalostnego, zaczesuje włosy na oczy i lekko zaciska pełne wargi, wiedząc, że wtedy wygląda najatrakcyjniej. Złości się.

W końcu sam idzie do jej mieszkania.

Twé jest najbardziej dezorientujące ze wszystkich księżycowych miast -najmniej zaplanowane, najbardziej organiczne i najbardziej chaotyczne. Jego początkiem była grupa farm rurowych wrytych w powierzchnię krateru Maskelyne, które przez lata i dziesięciolecia wypuściły w skałę tunele, linie energetyczne i chodniki, a te łączyły się,

krzyżowały, zakwitały bąblami habitatów i kielkowały ku słońcu nowymi walcami i rurami. To miasto pełne klaustrofobicznych korytarzy kończących się niebotycznymi silosami, jasnymi od luster oświetlających słońcem wielopiętrowe, wielopoziomowe uprawy. Zabłąkane odbłaski ze zwierciadeł przenikają labirynt Twé i rozbłyskują o pewnych porach na ścianach, w mieszkaniach, w klatkach schodowych. W długą księżycową noc światło barwy magenta z baterii lamp LED-owych przesącza się z farm rurowych w labirynt tuneli i chodników. Lucasinho uwielbia ten nieprzyzwoity, erotyczny róż. Zamienia każdy tunel i każdy szyb w strefę erogenną.

Przestrzeni publicznej jest niewiele, a ta jest zastawiona budkami, straganami, drukarniami i barami. Tunele i ulice Twé są za wąskie dla *motos*, więc niebezpiecznie gęste od powerboardów i hulajnóg. Każdy brzęczy brzęczykiem, dzwoni dzwonkiem, wrzeszczy. Twé to kakofonia, tęcza, nieustająca impreza. Każdą powierzchnię zdobią graffiti, hasła, *adinkry*, cytaty z Pisma Świętego. Lucasinho uwielbia ten jazgot, ten rozpęd, to, że może celowo źle skręcić i trafić w nowe miejsce, pomiędzy nowe twarze. Ale najbardziej podoba mu się zapach. Wilgoć, pleśń, wzrost i gnicie, ścieki i głęboka woda. Ryby, plastik. Jedyne w swoim rodzaju zapach powietrza prześwietlonego ostrym światłem. Perfumy i owoce.

Przez osiemnaście miesięcy od przyjazdu do Twé był książątkiem na wygnaniu, cieszącym się opieką i względami Asamoah. Lucasinho kocha Tve, lecz dzisiaj Twé nie kocha Lucasinho. Przyjaciele odwracają głowy, unikają kontaktu wzrokowego, znikają w tłumie, odpalają deski, skręcają i odpływają. Grupki rozchodzą się, gdy się zbliża.

Zatem wszyscy wiedzą o Adelaji Oladelem.

Mieszkanie grupy studenckiej Abeny jest na dwudziestym piętrze habitatu Sekondi, półkilometrowego mieszkalnego walca otaczającego pionowy sad moreli, granatów i fig. System luster pod szklanym dachem odbija w dół, między liście, długie,

ostre świetlne odłamki. Abena przeniosła się tutaj, kiedy dołączyła do grupy Kwame Nkrumah. Podobno to najlepsza politologiczna grupa w Twe, ale Lucasinho wolał poprzednie mieszkanie Abeny. Intymniej tam było. Mniej ludzi, a ci, na których tam trafiał, nie potępiali go nieustannie za niesłuszną ideologię, poglądy polityczne czy uprzywilejowanie.

No i o wiele więcej seksu tam było.

Drzwi nie reagują, mówi jego chowaniec, Jinji.

Lucasinho przegląda się w soczewce, przeczesuje włosy, poprawia węzeł białego krawata na czarnej koszuli. Wszystkie kolczyki ma powkładane do odpowiednich dziurek. Podobają się jej. Stuka kostkami palców w drzwi.

Ruch w środku. Będą wiedzieć, kto stoi na galerii.

Puka raz jeszcze. I jeszcze.

- Abena!

Znowu.

- Abena, ja wiem, że tam jesteś.

- Abena...

- Abena, ja chcę porozmawiać.

- Tylko porozmawiać. Naprawdę. Tylko.

Teraz już opiera się o drzwi, przyciska do nich policzki, postukuje lekko kostką środkowego palca prawej dłoni.

- Abena...

Drzwi otwierają się na tyle, by ukazać oczy. To nie są oczy Abeny.

- Lucas, ona nie chce z tobą gadać. - Afi to koleżanka z grupy studenckiej, która zawsze najmniej się z niego nabijała.

To już pewien postęp, myśli Lucasinho.

- Przepraszam. Naprawdę. Chciałbym to wszystko naprawić.

- To może trzeba było o tym pomyśleć, zanim posunąłeś Adelaję Oladelego.

- Nie posunąłem.

- Tak? W trzy godziny doszedłeś pięć razy. To co to ma być?

- To był *edging*. Na pewno wiesz, że on jest w tym obłądnie

dobry. Obłądnie.

- Więc *edging* to nie seks.

Czemu on ma wrażenie, że Abena podpowiada mu teksty?

- *Edging* to nie pieprzenie. *Edging* to *edging*. Ręczna robota. To nie jest nic intymnego, jak pieprzenie się.

- Ade trzy godziny trzyma rękę na twoim fiucie i to nie jest nic intymnego?

Adelaja Oladele ma dłonie anioła, musi przyznać Lucasinho. Trzy godziny. Pięć orgazmów.

- To tylko... taka zabawa. Męska zabawa.

- Męska zabawa. Super.

Lucasinho widzi, że nic tu nie ugra. Trzeba się wycofać, zminimalizować straty.

- To nie jest tak, że ja...

- Że ty co?

- Że ja go kocham albo coś.

- Więc kochasz mnie. Ją. Ją.

- Adelaji Oladelego w każdym razie nie kocham.

Z wnętrza mieszkania dobiega szloch. Afi ogląda się.

- Lucas, po prostu idź sobie.

- Pójdę sobie.

Mogłem cię pokierować, mówi Jinji, gdy Lucasinho wpatruje się w zamknięte drzwi.

- Jesteś AI - dziwi się Lucasinho. - Co ty wiesz o dziewczynach?

Jak widać, więcej niż ty, odpowiada chowaniec.

Jednakże Lucasinho ma już plan. Bezbłędny, romantyczny plan. Dociera do tunelu komunikacyjnego na poziomie 12 i biegnie ile sił. Łopocą poły marynarki od Armaniego. Jinji wrzuca do sieci ofertę i powerboard czeka na niego na skrzyżowaniu Ósmej i Dolnej. Ugina nisko nogi, rozkłada ręce dla równowagi, pęd powietrza wydyma mankiety spodni. Deska tańczy między strumieniami pieszych i pojazdów. Lucasinho hamuje przed mieszkaniem ciotki Lousiki, splata ręce na piersi

- nonszalancja od Armaniego.

Zanim kuchnia zdąży się porozkładać, jest nagi.

- Luna, chodź, idziemy na sorbet - mówi *madrinha* Elis.

Tia Lousika nie aprobeuje entuzjastycznej nagości Lucasinho, lecz *tia* Lousika ostatnio mało bywa w domu: obowiązki Omahene Złotego Stolca trzymają ją w Południku. Luna przyzwyczała się to tego, że widzi kuzyna na golasa. Nie dlatego chcą z *madrinhą* wyjść z domu - dlatego że Lucasinho znalazł się w kuchni. W kuchni zachowuje się jak diwa.

Nagi Lucasinho podchodzi do blatu. Ma przepis, ma składniki, ma talent. Bierze głęboki oddech, przesuwa dłońmi po wyrzeźbionych mięśniach brzucha, dołeczkach w niesamowitych, jędrnych poślądkach, napiętej muskulaturze grzbietu. No, Abena, to cię położy na łopatki. Napina biceps i strzela kostkami palców. Unosi plastikowe sitko z mąką i pozwala jej spadać śniegiem do miski. Cudo i rarytas. Lucasinho wie, jaki to drogi i rzadki materiał. To będzie dzieło miłości, dzieło sztuki, nie proste rzemiosło. Wsuwa dłonie do miski i rozkoszuje się jedwabistą sypkością mąki, niemal płynnej, przelewającej się między palcami. Nabiera jej w ręce i patrzy, jak się sypie, jak nad kupką na dnie miski unosi się chmurka pyłu.

Zanurza palec w osiadającej mące i rysuje sobie nią kreski na obu kościach policzkowych. Linie przez środek czoła. Odrobinę mąki na oba sutki. Na koniec białe kółko na czakramie svadhithana. Kreatywność, seks, namiętność, pożądanie. Kontakt, relacja, erotyczna pamięć. Jest gotowy.

- No to pieczemy.

Bitą śmietaną ją dekoruje. Kropka na szyi, kropki na sutkach, na brzuchu, w pępku. Ona zatrzymuje niosący śmietaną palec w pół drogi pomiędzy niedobitkami ciasta a swoim wzgórkim łonowym.

- Co, smarujesz mi czakramy? — pyta Abena Maanu Asamoah.

Lucasinho pochyła się wtedy i umieszcza kleks śmietany na napletku jej łechtaczki.

Abenie aż zapiera dech od tej śmiałości i chłodu. Łapie dłoń Lucasinho i zlizuje resztki śmietany z jego palców.

- No i co ja teraz będę jeść? - pyta on, a Abena śmieje się, gardłowo, erotycznie, i nadstawia mu swoje piersi.

Gdy dotyka językiem sutków, ona zaczyna mruczeć.

- Anahita, manipura, svadhithana - mówi. Kładzie dłoń na głowie Lucasinho i delikatnie, acz stanowczo kieruje go pomiędzy rozwierające się uda. - Muladhara. Zostaw sobie miejsce na drugie danie.

Piętnaście minut czekał pod drzwiami, cały osrebrzony kroplami z systemu nawadniającego pionowego sadu. Woda skraplała się i ściekała z trzymanego w dłoniach kartonu z ciastem. Woda moczyła i psuła postawioną grzywkę. Woda zwilżała garnitur od Isseya Miyakego i przedostawała się w jego fałdy. Woda ściekała z każdego ze srebrnych kolczyków w jego skórze. Gdy drzwi się otworzyły, stała za nimi Abena.

- Lepiej wejdź, jeszcze coś złapiesz.

Czy ona skrywa uśmiech?

Starła się nie patrzeć na ciasto, które postawił obok siebie na kanapie.

On starał się nie zauważać, że w mieszkaniu nie ma nikogo więcej.

- Upiekłem ci ciasto.

- Myślisz, że to jest odpowiedź na wszystko? Po prostu idziesz sobie, robisz ciasto i to ma wszystko naprawić?

- Większość rzeczy tak.

- Czemu posunąłeś Adelaję Oladelego?

- Nie posunąłem.

- Ale ręką ci zrobił...

- *Edging...*

- No tak, podobno w *edgingu* jest świetny. Wszyscy to mówią.

- Legendarny. Wszyscy mówią, że to coś, co cię nie może ominąć. A skoro ty...

- Skoro ja co?

- Ciągłe jesteś zajęta...

- Nie. Zwalaj. Tego. Na mnie. Nawet. Nie próbuj. Powiedzieć, że pieprzyłeś się z Oladelem, bo ja studiowałam.

- No dobrze. Ale przecież się umówiliśmy. Zgodziłaś się. Że nie jesteśmy na wyłączność. Że możemy się spotykać z innymi ludźmi.

- Bo ty się przy tym uparłeś.

- Bo ja tak mam. Wiedziałaś, nim zaczęliśmy się spotykać.

- Ale mogłeś zapytać... - powiedziała Abena. — Czy to dla mnie OK, że będziesz z Adem. Chętnie bym sobie popatrzyła. Dwóch takich chłopaków, no wiesz.

Ciągle go zaskakuje tym, jak bardzo potrafi go zaskoczyć. Najpierw ta impreza po Księżycowym Biegu, tuż przed próbą zamachu na Rafę, kiedy wbiła mu w ucho ten specjalny kolczyk i delektowała się smakiem jego krwi. Ślub, kiedy skorzystał ze specjalnej mocy tego kolczyka i zażądał azylu u Asamoah, żeby nie zostać mężem Denny'ego Mackenzie. I Abena czekała na niego za szybą na stacji kolejki w Twe. Upadek Boa Vista, kiedy bez wahania wbiła się w skafander, wsiadła z nim do czekającego statku VTO i przez cały lot trzymała go za rękę. Zeszła z nim do ciemnego, pustego piekła, które kiedyś było jego domem.

Ona była bohaterką, boginią, gwiazdą. A on przygłupem, co piecze ciasta.

- Mogę zdjąć to mokre ubranie?

- Jeszcze nie. Jeszcze długo nie, *senhor*. Ja cię znam. Myślisz, że pokażesz kaloryfer i wszyscy od razu ci wybaczą. Ale kawałek ciasta chętnie zjem.

Lucasinho otworzył pudełko.

- Ciasto z bitą śmietaną i owocami.
- Z jakimi owocami?
- Wiem tylko, jak się po portugalsku nazywają.
- Powiedz.

Powiedział. Abena przymknęła oczy z rozkoszy. Uwielbiała melodię cortowego portugalskiego.

- Truskawki. Kocham truskawki. Bardzo bym chciała spróbować twojego ciasta z truskawkami.

- I bitą śmietaną.
- Lucasinho, nie przeginaj.

W aneksie jadalnym, o wiele większym niż u Tii Lousiki i o wiele gorzej wyposażonym, pokroił ciasto na precyzyjne plasterki - na małe porcje, ma nadzieję - i zrobił miętową herbatę.

- Ty się trzęsiesz?

Lucasinho kiwa głową. Przemarzył na kość pod tymi zraszczami.

- To wyskakuj z tych mokrych rzeczy.

I właśnie wtedy przyszedł mu do głowy ten świetny pomysł z bitą śmietaną.

Po cieście, po grze wstępnej, po seksie na pogodzenie Abena przytuliła się mocno do niego, usuwając mu ze szpiku kości ostatnie powiewy chłodu. Budzi go jej zimna nieobecność.

Ciasto zabrała ze sobą.

Zastaje ją siedzącą po turecku na podłodze wspólnego pokoju, przygarbioną w skupieniu. Ubrała się w workowatą koszulkę i obcisłe szorty, włosy spięła z tyłu zieloną plecioną opaską. Lucasinho obserwuje tę stuprocentową, intensywną koncentrację. Gdyby pozwolił Jinjiemu spać się z jej chowańcem, zobaczyłby, że pokój jest pełen duchów i polityków - to jej forum. Tłumaczyła mu to kiedyś: grupa zaangażowanych ludzi pracujących nad nową przyszłością dla

wszystkich. Lucasinho nie potrafi myśleć o przyszłości. Z jego miejsca widok we wszystkich kierunkach jest tak samo ponury, ponury jak Morze Spokoju. Abena, jak się zdaje, każdą godzinę wolną od studiów spędza, subwokalizując z politykierami z forum. Dużo się dzieje, mówi mu. Na dole. Na Ziemi.

Cortowie nie zajmują się polityką. Raz spróbowali. I zginęli od tego.

Kładzie Abenie dłoń między łopatkami, drugą na krzyżu i poprawia jej postawę. Abena wydaje okrzyk zaskoczenia.

- Strasznie się garbisz, strasznie.

- Luca...

Uwielbia, kiedy ona używa tego najpieszczotliwszego rodzinnego imienia.

- Wracaj do łóżka.

- Sytuacja cały czas się zmienia.

- Tygiel.

- Liczba ofiar wzrosła do stu osiemdziesięciu ośmiu. Nie odnaleziono Roberta Mackenziego i Jade Sun.

- Spalili się. Bardzo dobrze. Cieszę się.

- Na forach aż się gotuje. Rynki wariują. Widzę paniczne zakupy na rynku helu. - I wtedy dociera do niej, co powiedział Lucasinho. - Cieszysz się? Luca, tam zginęli ludzie.

- To oni zdehermetyzowali Rafę. Carlinhosa powiesili za nogi. Ariel połamali kręgosłup. Wagner się ukrywa, a mój ojciec... nikt nawet nie wie, czy on żyje, czy nie. Za mną posłali noże. Nie pamiętasz o tym. I teraz się spalili. Trudno mi ich żałować. Widziałaś Boa Vista. Widziałaś Rafę.

- On jest bezpieczny.

Lucasinho kręci głową na ten nagły przeskok, potyka się o emocjonalną rozpadlinę.

- Co? Kto?

- Twój kuzyn. Robson.

- Robson jest w Królowej Południa.

- Robson był na urodzinach Roberta Mackenziego. Jest

bezpieczny, Luca. Ale ty o tym nie wiedziałeś.

Lucasinho zwała się z powrotem na sofę. Abena zamyka forum.

- Luca. On jest twoją rodziną.

Ta sama rozmowa od lat. Koleiny ma głębokie, a emocje przećwiczone do spodu.

- Myślisz, że ja nie wiem? Myślisz, że nie chciałem powstrzymać Bryce'a przed zabranie go? Nie byłem w stanie. Ja mam dziewiętnaście lat. I jestem spadkobiercą. Ostatnim Cortą. Nawet Robsona nie byłem w stanie przy sobie utrzymać. Zapewnić mu bezpieczeństwa.

- Luca, ty nie jesteś prawnikiem.

- Abi, cicho bądź. Ty zawsze musisz mieć rację. Jak wy wszyscy, Asamoah, zawsze nieomylni, zawsze mądrzy i zawsze - pstryk — i macie na wszystko odpowiedź. Siedź cicho i posłuchaj mnie. Ja się boję. Kiedy Mackenzie zaczną szukać winnego, to kto im pierwszy przyjdzie do głowy? Cortowie. Cały czas się boję. Ta akcja z Adelają... to nie chodziło o seks. To były trzy godziny, kiedy się nie bałem. Ty w ogóle rozumiesz, co to znaczy cały czas się bać?

Abena rozumie co innego: ona mieszka w świecie, którego może dotykać i kształtować go, gdzie jej słowa i myśli mają siłę sprawczą i wpływ.

Lucasinho mieszka w świecie, w którym jest za coś odpowiedzialny, ale nie może nic zmienić, w świecie, gdzie jest winny czegoś, czego nie popełnił. Ta przepaść będzie się jeszcze poszerzać i w końcu ich rozdzieli. Widzi to teraz wyraźnie. Widzi też okaleczonego, bezbronno chłopca po niewyobrażalnych przejściach. Chłopca, któremu nie potrafi pomóc-i tym samym go rozumie, bo teraz i ona jest odpowiedzialna i bezradna zarazem.

Obejmuje go ramieniem.

I tak znajduje ich Afi, kiedy wraca z koktajlu i wchodzi, żeby poszukać oczyszczającej herbatki. Znajduje coś lepszego niż

herbata - ciasto. Ten chłopak je zrobił. Słodko wyglądają, jak tak śpią objęci na sofie. Jest bardzo ładny na swój świadomy, brazylijski sposób, lecz ona nigdy nie potrafiłaby związać się z kimś tak poważnie uszkodzonym.

Chociaż ciasta robi nadzwyczajne.

Nadworny miksolog Mackenziech stworzył pamiątkowy koktajl. Staromodna przemysłowa wódka, syrop z hibiskusa, limonka, gałązki akacji i kropla cynamonowo-mirtowego żelu, powoli wypuszczającego w róż pomarańczowe macki. Zamknięte w szkle upamiętnienie matuzalekowego życia Roberta Mackenziego. Kelnerzy z tymi dekoktami stoją przy drzwiach i wciskają je gościom w dłonie.

- I co to jest?
- Czerwony Pies, proszę pani.

Lady Sun bierze szklankę, wacha ją, próbuje i oddaje komuś ze swej świty. Bezguście, począwszy od szkła, przez koktajl, aż po nazwę. Typowe dla Mackenziech. Jeden z ochroniarzy nalewa jej naparstek jej własnego, prywatnego dżinu. Wzmocniona sunie do salonu, by się przyłączyć do żałobników.

Mauzoleum ją zaskoczyło. Mackenzie nigdy nie przejawiali żadnych religijnych odruchów, a tu proszę: w sercu Królewskiego Dworu, ich dawnego pałacu w Królowej Południa, kryje się mała świątynka - śnieżnobiała salka, idealnie sześcienna, trzy na trzy na trzy metry. Duncan wszedł do niej sam, potem zaprosił rodzinę i gości, by oddali hołd zmarłemu. Ciekawość kazała lady Sun tam wejść. Malutki pokoik mieszczący co najwyżej trzy osoby. Biały. Na białych ścianach kropki kolorowych krążków o dziesięciocentymetrowej średnicy. Lady Sun znalazła się w komorze w grochy.

Każdy z nich to zamrożony w ceramicznych obwodach chowaniec zmarłego Mackenziego. Ciało trafia do recyklingu, elektroniczna dusza przeżywa. O, tu jest Robert Mackenzie,

karmazynowy krążek pośrodku przeciwległej ściany. Jego chowaniec nazywał się Czerwony Pies, przypomniała sobie. Dotknęła go, na wpeł spodziewając się fali danych, echa dawnego płomiennego gniewu i ambicji, lecz był to tylko krążek barwionego szkła, w dotyku jak aksamit, nic więcej.

Po pogrzebie najważniejsza rzecz - stypa. Lady Sun przygotowała sobie listę rozmów, jadąc tramwajem z Pałacu Wiecznego Światła. Kolejność dziobania jest bardzo istotna.

Pierwszy w kolejności jest Jewgienij Woroncow otoczony córkami. Dobre kości, ale na skutek chowu wsobnego durny jak but. Za dużo promieniowania wplecionego w DNA.

- Jewgienij Grigorijewicz.

Prezes VTO Luna jest wielki jak szafa, długowłosa, z potężną brodą, nieskazitelnie ubrany i zadbany. Lady Sun podziwia zwłaszcza adamaszkową koszulę. W dłoni ma szklanekę z czystą wódką. Dłoń się trzęsie. Informatorzy lady Sun szepczą, że problem z alkoholem jest chroniczny i że kontrola nad VTO została przekazana w ręce młodszego, twardszego pokolenia. Przekazana albo odebrana.

- Lady Sun. Serdeczne kondolencje.

- Dziękuję. Wygląda na to, że tragedia dotknęła wszystkich rodów bez wyjątku.

- My też ponieśliśmy stratę, lady Sun.

Jade Sun była dziełem jej całego życia, dziesiątkami lat ostrożnych manewrów i manipulacji - wszystko zniweczone przez kroplę roztopionego słońca. Jade była naostrzonym mieczem, Amanda nigdy nie miała ostrości, subtelności, cierpliwości swej starszej siostry. Lucas Corta pod każdym względem górował nad nią umysłowo. Trzeba było wydać Amandę za Rafę, choćby i jako trzecią oko, ale Trzech Dostojnych upierało się, że Lucas Corta będzie któregoś dnia rządzić Corta Hélio.

- Ciężkie czasy, Jewgienij.

Jewgienij Grigorijewicz Woroncow wie, kiedy się go odprawia.

Teraz do Lousiki Asamoah, eleganckiej i groźnej w sukni od Claude'a Montany. Polityka AKA jest dla lady Sun kompletnie nieczytelna, wie jednak, że Lousika jest teraz Omahene Kotoko, czyli przewodzi czemuś w rodzaju rady czy zarządu i że to stanowisko zmienia się rotacyjnie, a członkowie Kotoko przychodzą i odchodzą. Wydaje się to strasznie skomplikowane i nieskuteczne. Ale Asamoah dochowują każdej tajemnicy. Tyle jej teraz wystarczy.

- Ya Doku Nana. - Chowaniec informuje ją, że taka jest przyjęta forma zwracania się do Omahene.

- Lady Sun.

Rozmawiają o rodzinach, o dzieciach i wnukach, o tym, że Księżyc każde kolejne pokolenie czyni dziwniejszym od poprzedniego.

- Twoja córka jest w Twé - mówi lady Sun.

- Luna? Tak. Ze swoją *madrinhą*.

- Nigdy nie rozumiałam tej tradycji Cortów, a już w ogóle, dlaczego zaimportowałaś ją w całości do Twe. Wybacz mi, jestem już stara, więc mówię prosto z mostu.

- Ona jest do niej przyzwyczajona, po prostu.

- Zapewne tak. I rozumiem, że posiadanie kogoś do opieki nad dzieckiem przydaje się, gdy przeważnie cię nie ma w domu, tak jak ciebie, odkąd zasiadasz na Złotym Stolcu. Ale powiedz mi, jak ty się z tym czujesz? Dziecko poczyina się w tobie, ale inna kobieta je nosi, rodzi, karmi.

Lady Sun dostrzega iskierkę irytacji na stuprocentowo opanowanej i idealnie umalowanej twarzy Lousiki Asamoah i rozkoszuje się upuszczoną kropelką krwi. Asamoah dzierżą sekrety, ja je odkrywam. Któregoś dnia, gdy zajdzie potrzeba — choć może nigdy nie zajdzie — lady Sun będzie w stanie wbić ostrze w tę maleńką ranę i wykorzystać je do przełamania Lousiki Asamoah na pół.

Wmanewrowała ją na skraj przestrzeni Bryce'a Mackenziego i teraz gładko przeskakuje z orbity na orbitę. Nie była w

fizycznej obecności Bryce'a od lat i ledwie jest w stanie opanować odragę. To potwór. Ohydztwo. Jedyne sposob, aby znieść jego bliskość, to wyobrażać sobie, że jego ogrom to jakaś perwersyjna forma artystycznej modyfikacji ciała. Dzisiaj tylko dwóch katamitów przyprowadził. Ładne, zadbane chłopaki. Choć ten wyższy jest już pewnie dla niego za stary.

- Bryce. - Kładzie dłoń na jego dłoniach. Całe szczęście, że włożyła rękawiczki. - Brak mi słów. Naprawdę brak mi słów. Wielka, wielka strata.

- Także dla ciebie.

- Dziękuję ci. Wciąż nie mogę uwierzyć, że tam byłam... że oboje tam byliśmy. Co za tragedia. Co za okropność. Ktoś to spowodował. Takie wypadki się nie zdarzają.

- Nasi inżynierowie już to badają. Ale trudno będzie o dowody, a VTO chce jak najszybciej z powrotem otworzyć Równikową Jedynekę.

- Ale Mackenzie Metals żyje dalej. Jak zawsze. Byliśmy pierwsi, twój ojciec i ja. Przynajmniej została ci produkcja helu. Daleka jestem od tego, by mówić komuś, jak ma prowadzić swój biznes, ale czasami szybkie, autorytatywne oświadczenie potrafi uspokoić nerwową sytuację na rynku. Dopóki nie ogłosicie testamentu ojca.

- Sprawy Mackenziech to sprawy Mackenziech, lady Sun.

- Oczywiście, Bryce. Ale przez wzgląd na odwieczną bliskość naszych rodzin nie bądź rzadkim gościem w Pałacu Wiecznego Światła.

- W Pałacu Wiecznego Światła - powtarza Bryce. — To tam zabrałaś Dariusa?

- Tam jest i tam zostanie. Nie pozwolę, żebyś zrobił z chłopaka kolejnego swojego kochasia.

„Adoptowani” Bryce'a przestępują niepewnie z nogi na nogę. Ich publiczne uśmiechy tężeją.

- Lady Sun, on jest Mackenziem.

- Darius jest przede wszystkim, i od zawsze, Sunem.

Niemniej, być może, jesteśmy w stanie rozważyć jakieś zadośćuczynienie.

Bryce pochyła głowę w nieznacznym ukłonie, a lady Sun zmierza do ostatniego celu. Duncan Mackenzie opiera się o balustradę balkonu, na której stoi jego szklanka z Czerwonym Psem. Wieże Królowej Południa są obwieszane flagami i proporcami, transparentami, balonami i mitologicznymi zwierzętami - to przygotowania do wielkiego święta Zhōngqiūjié. Lady Sun zapomniała o nim, zaprzątnięta Żelaznym Potopem i jego pokłosiem. W Pałacu Wiecznego Światła ma być, jak zawsze w święto Księżycowego Ciastka, konkurs laserowego rzeźbienia w lodzie.

- Zawsze wam zazdrościłam tego dworu - mówi. - Pozwoliliśmy waszemu ojcu zająć miejsce na środku. Trzeba mi było bardziej powalczyć.

- Z całym szacunkiem, ale ojciec, jak czegoś chciał, to sobie to brał.

Wspomina, jak Robert Mackenzie stanął na tej kamiennej podłodze i obwieścił, że tu będzie miał swoją siedzibę. Komora magmowa nawet nie była jeszcze zahermetyzowana, gdy ściągął tu budowlańców i zaczął budować pierwsze piętra Królewskiego Dworu. Królowa Południa, magmowa komora długa na pięć kilometrów i wysoka na trzy, leżąca blisko lodu w kraterze Shackletona, była logicznym miejscem do zapuszczania korzeni na Księżycu - lecz Mackenzie szybko poszli dalej, najpierw do Hadleya, gdzie zbudowali pierwszy wytapiacz, potem do obłędnie ambitnego Tygła, nieustannie okrążającego Księżyc pod słonecznym młotem. Królewski Dwór zaś pozostał ich łonem, miejscem, gdzie się rodzi i wychowuje dzieci, gdzie się konstruuje dynastię. Lady Sun przez dziesięciolecia patrzyła, jak rośnie aż po strop. Teraz stanowił środkowy filar całego lasu, całej katedry innych wież.

- Jak mi przykro, Duncan.

Duncan Mackenzie ubrany jest jak zawsze na szaro, szary jest

jego chowaniec Esperance, choć lady Sun wydaje się, że to nie jest kolor, a raczej sposób na wyzucie jego duszy z wszelkiego koloru, żeby tym twardsza się stała.

- Robert Mackenzie. - Duncan odstawia swój koktajl - Nie mogę wznieść toastu za ojca tymi sikami.

Lady Sun przywołuje przez chowańca kobietę z ochrony. Młoda ochroniarka daje im dwa maleńkie kieliszki. Lady Sun wyciąga piersiówkę z torebki.

- Myślę, że to będzie godne.

Stukają się zroszonymi kieliszkami i przetykają dżin.

- Widzę, że nawet w czasie katastrofy firma Mackenzie Metals działa jak gdyby nigdy nic. Wasz ojciec byłby dumny. Bryce stabilizuje wahania cenowe na ziemskich rynkach helu-3. Bardzo rozsądnie. Minie trochę czasu, nim znów zaczniecie produkować lantanowce. To sprytne, by na razie zarabiać na helu.

- Bryce zawsze był proaktywnym szefem finansów - mówi Duncan.

Lady Sun napełnia kieliszki.

- Pewna dłoń na sterze. Dowolna dłoń na sterze. Ziemianie to lubią. Mają nas za zbieraninę anarchistów, przestępców i socjopatów. Rynki bardzo nie lubią niepewności. A sukcesja jest nieustalona. Wszyscy aż za dobrze wiemy, jak powoli mielą młyny księżycowego prawa. - Podaje Duncanowi kolejny kieliszek czystego dżinu.

- Ja jestem dziedzicem Mackenzie Metals.

- Oczywiście, że tak. To nie ulega kwestii. - Lady Sun unosi kieliszek. -Kwestia jest inna. Kto rządzi, Duncan? Ty czy twój brat?

Lady Sun zaczyna z powrotem krążyć po przyjęciu. Tu powitanie, tam komplement, tam krzywe spojrzenie czy westchnienie. Odczekawszy stosownie długo, podpływa do Sun

Zhiyuana.

- Dobrze się bawisz, *nainai*?
- Oczywiście, że nie. Śmierdzi tu *laowaiami*.
- A drinki są obrzydliwe.
- Ohydne. - Lady Sun nachyla się do ucha swego *sunzi*. - Paliwo już jest. Ty podłóż ogień.

W tym salonie ucztować będą Mackenzie z Królewskiego Dworu. Pod sufitem wiszą piñaty wypełnione prezentami. Jest bar. A tu jest scena dla zespołu. Za parę dni będzie Zhōngqiūjié, Święto Środka Jesieni, i sala wypełni się tańczącymi, pijącymi, ćpającymi, obmacującymi się dziewczynami w bufiastych spódnicach, chłopakami z poduchami na ramionach, aseksami w eleganckich sukniach. A na razie zjeżdżają się Mackenzie z całego Księżyca, żeby złożyć kondolencje i stanąć przy barze. Pamięć jest krótka. To umarli grzebią umarłych.

Teraz Bryce Mackenzie planuje. Wezwał do siebie czterech dyrektorów Mackenzie Metals. Mają władzę, doświadczenie, autorytet. I wszyscy są mężczyznami. Dwadzieścia pięter niżej odbywają się rytuały ku czci Roberta Mackenziego - zawikłane tańce żałoby i hipokryzji.

- Jesteście tutaj, bo was znam i wam ufam - zaczyna Bryce Mackenzie. - Mam konkretne oferty na nasze zapasy helu-3 z L5. - Bryce utrzymuje tajny zapas helu w punkcie libracyjnym L5, aby zabezpieczyć się przed wahaniami cen.

- Na ile? - pyta Alfonso Pereztrejo, dyrektor finansowy Mackenzie Fusible. - Mamy tam zapas na trzy miesiące.

- Na wszystko.
- To wywoła spadek cen - ostrzega Alfonso.
- Na to właśnie liczę - mówi Bryce Mackenzie. - Nie chcę, żeby wydobycie helu-3 na Ziemi zaczęło się opłacać. Nie wytrzymamy konkurencji. Nadal produkujemy tylko na trzydzieści procent mocy.

- Morza Żyzności, Przesień i Wężowe wciąż nic nie przynoszą - dodaje Jaime Hernandez-Mackenzie. Jest dyrektorem operacyjnym Mackenzie Metals, weteranem powierzchni, o płucach na wpół skamieniałych od dziesiątków lat wdychania pyłu. Lantanowce, hel, chemia organiczna, woda: ten człowiek potrafi wziąć Księżyc w ręce i wycisnąć z niego zysk. - Dawne bastiony Corta Hélio. Są ślady sabotażu. Ci Brazylijczycy długo pamiętają.

- Trzeba spacyfikować João de Deus — mówi Bryce. - Wszelkimi środkami. Chcę, żeby za dwie luny MH miało sto procent mocy produkcyjnej.

- MH? — pyta Rowan Solveig-Mackenzie. On jest tu głównym analitykiem. Młody, bystry i ambitny, stanowi wzorzec kapitalistycznych cnót.

- Ojciec nie żyje - mówi Bryce. - Mackenzie Metals, to Mackenzie Metals, które stworzył ojciec, które znaleźliśmy, już nie istnieje. Epoka korporacji rodzinnych się skończyła. Metale się skończyły. Teraz jesteśmy firmą od helu.

- Czyli już ustaliłeś spadkobiercę - rzuca sucho Rowan Solveig-Mackenzie.

- Jak zaczniemy czekać na prawników, firmę szlag trafi - odpowiada Bryce.

- Z całym szacunkiem, ale póki spadkobierca nie zostanie ustalony, nie będziemy mieć finansowania - mówi Dembo Amaechi. Jest szefem bezpieczeństwa. Małomówny, dotąd się nie odzywał. - I nie mamy prawa zawierania kontraktów.

- Ja już mam finansowanie - mówi Bryce. - Sun Zhiyuan już ze mną rozmawiał.

- Zewnętrzne źródło — zauważa Jaime.

- Bryce, twój ojciec nigdy by... - mówi Dembo.

- A od Sunów to już w ogóle - dodaje Rowan.

- A chuj z ojcem! - wybucha Bryce. Aż dygoce od powstrzymywanej pasji. - MH. Mackenzie Helium. Wchodzicie czy wychodzicie?

- Nim zaczniemy przygotowywać kontrakty - wtrąca Dembo Amaechi - mam pewne informacje o tej awarii luster.

Wszyscy dostrzegają, z jakim naciskiem wypowiada słowo „awaria”.

- Zhakowali nas — mówi Dembo.

- To oczywiste - dodaje Bryce.

- Bardzo sprytny programik. Zintegrował się z naszym systemem operacyjnym, był niewidoczny dla zabezpieczeń, kiedy coś aktualizowaliśmy, przechodził dalej razem z uaktualnieniami.

- I ty chcesz się dogadywać z Sunami?! - krzyczy Jaime na Bryce'a. - Przecież na kilometr widać, że to Taiyang.

- Jedna rzecz jest trochę nietypowa - mówi Dembo. - On tam strasznie długo siedział. Siedział i czekał.

- Jak długo? — pyta Bryce.

- Trzydzieści, trzydzieści pięć lat.

- Wschodni Ocean Burz - szepcze Bryce.

Kiedy Cortowie zaatakowali Tygiel, miał osiem lat. Duncan dorastał wśród upału i brzydoty Hadleya, Bryce wśród intryg i polityki Królewskiego Dworu. Robert Mackenzie miał zasadę: następcy tronu są rozdzieleni. Żadna katastrofa nie pozbawi Mackenzie Metals głowy. Któregoś dnia jego matka, Alyssa, powiedziała: „Wszystko gotowe. Jedziemy do nowego domu”. Jazda pociągiem z Królowej trwała długo, z Południka jeszcze dłużej, lecz kiedy na koniec matka zawołała go do okna wagonu, kiedy zobaczył płonącą na horyzoncie gwiazdę, poczuł emocje, jakich dotąd nie znał. Podziw i strach. Jego rodzina - jego ojciec - potrafiła zdjąć gwiazdę z nieba i przykuć ją do Księżyca. Taka potęga przerastała wyobraźnię ośmiolatka. Gapił się na rzędy luster wypełnionych pojmanym Słońcem. Wszystko nowe, prosto z drukarki, pachnące plastikami i chemią organiczną. Zapach nowego łazika i pachnie tak całe miasto. Tu będę mieszkać, w najwspanialszej maszynie we wszechświecie.

A potem uderzyli Cortowie, zniszczyli tory z przodu i z tyłu. Bryce patrzył, jak nad tygłem wiecznego blasku zachodzi słońce, i poznał dwa nowe uczucia: obrazę i upokorzenie. Cortowie zbezczęścili coś czystego i pięknego. Sami nigdy nie osiągną takiej potęgi i mocy, więc zaatakowali z zawiści i z zazdrości. Bryce, w przeciwieństwie do brata, nigdy nie znał świata wolnego od cienia Cortów. W przeciwieństwie do brata był niezdarnym chłopakiem, z dyspraksją i problemami z koordynacją, słabym w sportach, które uwielbiali ojciec i wujkowie, za to od najwcześniejszych dni pod iglicą Dworu zainteresowanym biznesem ojca. W wieku siedmiu lat rozumiał, na czym polega wydobywanie, rafinowanie i sprzedaż lantanowców. Tygiel był dla niego jak przedłużenie ciała, jak trzecia ręka. Ból, gdy został upokorzony, odczuł wręcz fizycznie.

Ten kod przez trzydzieści pięć lat ukrywał się w AI Tygla, rósł, mutował, rozszerzał się.

- Pierwsze ślady wskazują, że został uruchomiony zdalnie - mówi Dembo.

- Któryś Corta - orzeka Bryce Mackenzie. — A trzeba ich było wybić do ostatniego dziecka.

- My jesteśmy biznesmenami, nie nożami - mówi Rowan. - Cortowie to teraz trójka dzieciaków, jeden ten tak zwany wilkołak i podupadła była prawniczka. I co: Cortowie zniszczyli nasz dom? My i tak zagraliśmy lepiej: mamy ich maszyny, ich rynki, ich miasto, ludzi, wszystko, co posiadali, wszystko, co kochali, a za pięć lat nikt nie będzie pamiętał o żadnych Cortach. Nie pamiętasz, Bryce, co twój ojciec ciągle powtarzał? „Monopole są okropne”.

- „Chyba że własne” - odpowiada Bryce.

Robson budzi się z krzykiem. Twarz, ma coś na twarzy, nie może unieść rąk, żeby to odepchnąć. Twarde, nieustępliwe

powierzchnie ze wszystkich stron. I to stuk stuk stuk stukanie, stuk stuk stukanie. Umarł i leży w trumnie. Czeką na recykling. To stuk stuk stukanie - to Zabballini, ciągną jego trumnę po złączach korytarza. Nożami wytną wszystko, co może się przydać, potem boty powieszają go w suszarni i osuszają do ostatniej kropli wody, którą wysą swymi rurkowatymi paszczami. Na koniec zeszlą skórę zabiorą i wrzucą do młynka. A on nie może się ruszyć, nie może wydobyć słowa, nie może nic zrobić, żeby ich powstrzymać.

- Robson.

Światło. Robson mruga. Już wie, gdzie jest, w kapsule do spania, w noclegowni w bazie VTO w Lansbergu.

- Robson. — Twarz w świetle. Hoang. — Już dobrze, Robson. To ja. Możesz wstać? Trzeba wstawać.

Robson łapie się uchwytów i podnosi z kapsuły. Noclegownia to kłębowisko kapsuł, drabinek, kabli. Wszystko nagrzane, pełne odorów ludzkich ciał.

- A która godzina? - Robson wciąż jest ogłupiały od sennych koszmarów.

- Czwarta rano - mówi Hoang. - Ale to nieważne. Musimy jechać.

- Co takiego?

- Trzeba jechać. Bryce myśli, że to wasi ludzie zniszczyli Tygiel.

- Nasi ludzie co?

Hoang sięga do kapsuły i wyciąga z siatki kłęb zmiętych tkanin. Garnitur Robsona, od Marco Carlotty.

- Ubieraj się. Ktoś się włamał do kodu słonecznych pieców. I ten kod wygląda jak od Corta Hélio.

Robson wkłada garnitur. Śmierdzi chyba gorzej niż on sam. Nurkuje do kapsuły i wsuwa połowę talii kart do kieszeni najbliższej serca.

- Kod Cortów?

- Nie ma czasu. - Hoang dotyka czoła palcem wskazującym.

„Wyłącz chowańca”. - Idziemy.

Na Stacji Lansberg pełno przepychających się ludzi i bagażu. Ekipy torowe z Południka, Królowej i wielkiej stacji rozrządowej VTO w Świętej Oldze wysiadają, a na ich miejsce ładują się ocaleni z Żelaznego Potopu.

- Kupiłem ci bilet do Południka, ale tam nie dojeżdżasz - mówi Hoang, prowadząc Robsona do słuz. — Wsiadasz w Sömmering. To stacja VTO, tak samo jak ta. Ktoś tam będzie na ciebie czekał.

- Czemu nie do Południka?

- Noże Bryce'a już tam będą czekać na każdy pociąg.

Robson staje jak wryty.

- Bryce nie może mnie zabić. Ja jestem Mackenzie.

- Dla Bryce'a jesteś Cortą, którego ma w zasięgu. Zresztą by cię nie zabił. Najpierw by się z tobą zabawiał. Modliłbyś się o śmierć, zanimby skończył. Chodź ze mną. - Hoang wyciąga rękę.

Królowe torów VTO przepychają się w przeciwną stronę, elastyki, ciężkie plecaki, hełmy pod pachami.

- Ostatnim razem, jak uciekłem od Bryce'a... - mówi Robson.

Nie widział, jak ginie matka. „Nie oglądaj się”, powiedziała. „Nie oglądaj się, choćby nie wiem co się działo”. Był dobrym synem i dlatego nie zobaczył bota, nie widział ostrzy podcinających jej ścięgna ani wiertel z wyciem wbijających się w szybkę hełmu. „Cameny, startuj. Zabierz go stąd”. Jej ostatnie słowa. I tak się nie obejrzał. Kapsuła BALTRAN-u zahermetyzowała się, złapał pasy, nagłe przyspieszenie rozmazało mu wszystkie krople krwi w całym ciele. Stracił przytomność. Nieważkość. Walczył z mdłościami. W nieważkości, jeśli zrzygasz się do hełmu, to już nie żyjesz. Potem hamowanie, równie brutalne jak start. I całość jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Cieszyły go te wstrząsy, ten ból, mdłości i wysiłek konieczny, by je pohamować - dzięki temu nie docierała do niego prawda: mama nie żyje.

- Odezwij się. - Hoang wbija się w tłum wylewający się ze śluzy, przepycha przez niego.

Coś ogłaszają, przez jazgot tłumu prawie tego nie słysząc. Coś tam trzydzieści siedem. Wszystkie przystanki. Wszystkie przystanki.

- A ty? - pyta Hoanga.

- Ja pojedę późniejszym pociągiem.

Obejmuje go, unosi, wysoko jak pod niebo. Przytulają się policzkami.

- Ty płaczesz - mówi Robson.

- Tak. Robson, ja zawsze cię kochałem.

I wciska Robsona do śluzy.

- Kto będzie na mnie czekał?! - odkrzykuje Robson, gdy śluza przepompowuje go do pociągu.

- Twój wujek! - krzyczy Hoang. — Ten wilk!

3. BARAN 2103 - BLIŹNIĘTA 2105

Bot sprzątający znalazł go leżącego w korytarzu ostatniego, zewnętrznego pierścienia, tego z ziemskim ciężeniem. Trzy metry od drzwi windy.

- Jeszcze pięć minut i udusiłbyś się pod własnym ciężarem - powiedziała doktor Wolikowa, towarzysząc mu w podróży na łóżku szpitalnym do pierścienia księżycowego przez pierścień pośredni mający pół g.

- Musiałem to poczuć.

- I co poczułeś?

Każdy mięsień słaby i rozpadający się. Każdy staw wysypany tłuczonym szkłem. Wnętrze każdej kości wypełnione roztopionym ołowiem. Każdy oddech jak żelazo wlewane do kamiennych płuc. Każde uderzenie serca jak żywy ogień. Winda powiozła go studnią pełną bólu. Ledwie był w stanie oderwać dłonie od poręczy. Drzwi otworzyły się, ukazując łagodną krzywiznę pierścienia g. Droga pod górę cierpienia. Musiał wysiąść. Przy drugim kroku poczuł, że wyginają mu się biodra, po piątym załamały się kolana niezdolne już go utrzymać. Wirowa grawitacja przycisnęła go do pierścienia, miażdżąc go, oddech za oddechem. Grawitacja to surowa pani. Grawitacja nie ustąpi, nie przestanie, nie zlituje się. Usiłował odepchnąć się od podłogi. Czuł, jak krew napływa mu do rąk, do twarzy, jak nabrzmiwa od niej przyciśnięty do podłogi policzek.

- Rozmawialiśmy hipotetycznie - powiedział Lucas, gdy łóżko wpięło się do stacji dokującej *medycznej* AI. Rozpostarły się diagnostyczne manipulatory. - Teraz chcę porozmawiać praktycznie. Bo ja jestem praktycznym człowiekiem. Powiedziałaś, że przygotowanie się do ziemskich warunków

zajmie czternaście miesięcy. Za czternaście miesięcy lecę wahadłowcem na Ziemię. Już mam zarezerwowany lot. I za czternaście miesięcy wsiądę na ten statek, z tobą lub wbrew tobie.

- Lucas, nie szantażuj mnie.

Po imieniu. Pierwsze małe zwycięstwo.

- Już to zrobiłem. Galino Iwanowno. Jesteś najwybitniejszą ekspertką VTO od medycyny mikrograwitacyjnej. Jeśli ty mówisz, że to możliwe teoretycznie, to jest możliwe fizycznie. - Imię i *otczestwo* lekarki zapamiętał już za pierwszym razem, gdy się przedstawiła, stojąc w nogach tego łóżka.

- Nie pochlebiaj mi - powiedziała doktor Wolikowa. - Różnisz się fizjologicznie od ziemskich ludzi na tysiąc sposobów. Praktycznie jesteś obcym.

- Potrzebuję trzech miesięcy na Ziemi. Lepiej czterech. Przygotuj mi plan ćwiczeń, a ja go będę nabożnie przestrzegał. Muszę tam polecieć, Galino Iwanowno. Kogo przekonam, żeby mi pomógł odzyskać firmę, jeśli sam nie jestem gotowy do poświęceń?

- To będzie najtrudniejsza rzecz ze wszystkich, jakich w życiu próbowałeś.

Cieęższa niż śmierć braci, spalenie mojego miasta, zniszczenie rodziny? - pomyślał Lucas.

- I nie mogę obiecać, że się uda - dodała doktor Wolikowa.

- O to nie proszę. To już ode mnie będzie zależało. Pomożesz mi, Galino Iwanowno?

- Pomogę.

Diagnostyczne manipulatory łóżka poruszyły się, celując w szyję i ramiona Lucasa. Uniósł powolne, ołowiane ręce, żeby się opędzić, one jednak były szybsze, a ból zastrzyków krótki, ostry i czysty.

- Co to było?

- Kolejne nadużycie moich lekarskich umiejętności - stwierdziła doktor Wolikowa, przyglądając się odczytom

fizjologicznym Lucasa na soczewce. - Coś, co ma cię postawić na nogi. Bo zaraz masz spotkanie.

Światło popłynęło tętnicami Lucasa i wlało się do mózgu. Zerwał się z łóżka, jakby było pod prądem. Staął stopami na pokładzie. Nic go nie bolało. Nic a nic.

- Trzeba mi wydrukować garnitur — oświadczył.
- Jesteś ubrany jak trzeba — odparła doktor Wolikowa.
- W szorty i koszulkę — rzucił z obrzydzeniem Lucas Corta.
- I tak będziesz ubrany lepiej niż twój gospodarz. Walerij Woroncow ma dość osobliwy gust.

- To się panu przyda - powiedziała obsługa windy. - Proszę poćwiczyć. To trudniejsze, niż się wydaje.

Lucas Corta naciągnął płetwiaste rękawiczki i skarpetki. Powachlował, powiosłował w powietrzu. Ci Woroncowowie. Wiecznie szydzący z niekompetencji i niedoświadczenia ludzi uwięzionych na swoich światach. Lucas miał dosyć opinii niekompetentnego. Odbił się od windy w środek piasty. Nawet księżycowe mięśnie były zbyt silne na tutejsze śladowe ciśnienie. Rozłożył ręce, złapał wiatr w błony, powiosłował w przeciwnym kierunku. Rozpostarł palce stóp, rozłożył dłonie w hamulce aerodynamiczne. Proste to było. Instynktowne. Zatrzymał się w samym środku walca. W osi obrotu statku. Dokładnie zero g. Obracał się powoli - ludzka gwiazda.

Wierzgnął nogami, machnął rękami, lecz ani drgnął. Spiał całe ciało, jakby siłą tego skurczu mógł się wyrwać z grawitacyjnej pułapki. Od drzwi windy dobiegły go śmiechy. Spiał się jeszcze raz. Nic. Gibkie postacie we fluorescencyjnych kombinezonach zanurkowały ku niemu od wewnętrznej śluzy. Dwie młode dziewczyny, w obcisłych strojach, ze starannie upiętymi włosami, gwałtownie wyhamowały po obu jego stronach.

- Pomóc panu, *senhor* Corta?
- Nie. Dam sobie radę.

- Proszę się złapać tej liny, *senhor* Corta.

Kobieta w różowym kombinezonie przypięła linę do swojego paska z narzędziami i odplynęła. Szarpnęło, omal nie puścił liny. Poruszał się. Leciał. Czuł prąd powietrza na twarzy, we włosach. Niesamowite to było. Przepłynęła obok niego druga kosmiczna dziewczyna. Przy jej pasku zauważył przypięty odkurzacz.

W służbie prowadzącej do prywatnej komory Walerija Woroncowa podziękował młodym dziewczynom za ekscytującą przejażdżkę.

- Uwaga na gałęzie. - Tak brzmiała ich jedyna rada.

Sala audiencyjna Walerija Woroncowa w samym sercu *Piotra i Pawła* była walcowatym lasem. Lucas unosił się w tunelu pełnym gałęzi i liści.

Drzewa rosły tak gęsto, że w ogóle nie widział ścian. Gdzieś w dole muszą być pnie, korzenie, aeroponiczne instalacje żywiące ten nieważki las. Wilgoć, aromaty wzrostu i zgnilizny były mu dobrze znane - dokładnie tak pachniało Twé - tu jednak czuł kilka nowych nut, dotąd znanych mu tylko z tworzonych na zamówienie dżinów. Jałowiec, sosna, rośliny kwiatowe i zielne. Las był oświetlony od strony korzeni, choć drzewa ozdobiono także tysiącami biolampek. Gwiazdy na górze, gwiazdy po obu stronach, gwiazdy w dole. Lucas dopiero po paru sekundach przyzwyczał się do szarówki - wtedy dostrzegł, że liściasta korona jest rozrzeźbiona w loki i spirale, grzbiety i doliny fal. Drzewobraz. Od czasu do czasu wystawały ponad niego pojedyncze gałęzie, powyginane i sękate, podtrzymujące starannie przycięty grzebyk liści niczym ofiarę. Oczy przyzwyczały mu się do światła. Zobaczył sylwetkę pośrodku nieważkiego lasu. Coś ledwie widocznego, na wpół skrytego między liśćmi, poruszającego się powoli, z namysłem.

Środkiem walca szła lina. Lucas podciągnął się ku tej postaci. Człowiek... nie, doszedł do wniosku, zbliżywszy się: coś przypominającego człowieka. Coś, co kiedyś było człowiekiem.

Odwrócony do niego plecami pilnie pracował nad gałązkami ręcznym sekatorem. Przycinał, podcinał, rzeźbił. Otaczała go aureola jałowcowych ścinków. Lucas poczuł wśród zapachów żywicy i liści jeszcze jeden odór — moczu. Grzybice.

- Walerij Grigorijewicz.

Coś przypominającego człowieka odwróciło się twarzą do niego. Całe życie w mikrogravitacji ukształtowało jego ciało równie zdecydowanie i nieodwołalnie, jak on swój las. Nogi miał jak powyginane patyki, paski zasuszonych mięśni. Klatkę piersiową - potężnie szeroką i wypukłą, choć Lucas widział po tym, jak wypełniała kompresyjną koszulkę, że nie ma w niej cienia siły. Pod elastycznym materiałem sterczały żebra. Mostek miał ostry jak nóż. Ramiona - długie, ze ścięgnami jak liny. Głowę -ogromną, jakby ludzką twarz przyspawano do skórzanego balonu. Pasek siwych włosów u podstawy czaszki tylko podkreślał jej wielkość. Spod kości potylicznych wychodziła podwójna rurka prowadząca do unoszącej się swobodnie pompy. Drugi zestaw rurek biegł od lewego boku do pakietu wypełnionych woreczków do kolostomii obracających się powoli w nieważkości.

Tak to się dzieje z ludzkim ciałem po pięćdziesięciu latach w nieważkości.

- Lucas Corta. Witam.

- Jestem zaszczycony, sir.

- Naprawdę? Naprawdę? — Walerij Woroncow chwycił przypięty do paska odkurzacz i z wyćwiczoną przez dziesięciolecia zręcznością wessał nim unoszące się w powietrzu ścinki gałązek. - Nigdy nie spotkałem się z żadnym innym Smokiem. Wiedziałaś o tym?

- Nie jestem już Smokiem, sir.

- Słyszałem. To oczywiście bzdura. Masz to w genach. Ale sytuacja jest dość nowa dla mnie. I dla ciebie.

- Walerij u Grigorijewiczu, ja chciałbym cię prosić...

- Wstrzymaj się na razie z tym cholernym proszeniem.

Wiem, czego chcesz. Okaze się, czy wszechświat ci na to pozwoli. Ale to właśnie o to chodzi, prawda? Zawsze trzeba wszechświatowi zadawać takie pytania. Lucas, czy ty widziałeś w życiu coś takiego?

Wskazał sekatorem oświetlony gwiazdami las.

- Chyba nikt czegoś takiego nie widział.
- Pewnie, że nie widział. A wiesz, co to jest? To było moje pytanie do wszechświata. Jak będzie las rósł w niebie? Dobre pytanie. A oto jest odpowiedź. Cały czas rośnie i cały czas się zmienia. Pracuję nad nim, kształtuję go, jak chcę. Takie powolne rzeźbienie. On mnie przeżyje. I to mi się podoba. Tacy jesteście skupieni na sobie. Wszystko mierzymy miarą swojego życia. A czas zniszczy wszystko, czym jesteśmy, wszystko co mamy, wszystko, co kiedykolwiek zbudowaliśmy. Dobrze jest wyjść myślą poza swoje własne życie. Mój las może przetrwać milion lat, a może miliard. Może spali się, kiedy wybuchnie Słońce. A kiedy ja umrę, moje pierwiastki znajdą się w korzeniach, w gałęziach i liściach. Stopię się z moim lasem. To jest dla mnie ogromna pociecha.

Walerij Woroncow odczepił woreczek od odkurzacza i puścił go lotem w głąb walca. Spomiędzy liści wyskoczył bot Zabbalinów, chwycił go i poniosł do śluzy.

- Moja matka wspierała Zakon Panów Chwili - powiedział Lucas. - Ich misja jest planowana na dziesięciolecia albo i stulecia.

- Wiem, co robi Zakon. Ty, Lucas, nie wierzysz, prawda?

- To zakłada istnienie siły nadprzyrodzonej. Nie mogę w coś takiego wierzyć.

- Hmm. Słyszałem, że chcesz polecieć na Ziemię. To jest chęć, nie pytanie. Wszechświat nie ma obowiązku spełniania naszych chęci, ale na dobre pytanie może dać odpowiedź. To jakie masz pytanie?

- Jak odzyskać to, co ukradziono mojej rodzinie?

- Hmm. - Walerij Woroncow odłamał czubek gałązki,

powąchał, podsunął Lucasowi. — Co o tym sądzisz? Prawdziwy jałowiec. Wszystko, co w życiu wąchałeś, to był syntetyk. Ci Asamoah, ja wiem, co oni potrafią. Babrzą się w DNA. Przesztawiają geny z miejsca na miejsce. Dziecinada. Ja tworzę środowisko i pozwalam życiu dopasować się do niego. Hoduję prawdziwy jałowiec w najbardziej sztucznym środowisku, jakie kiedykolwiek stworzyła ludzkość. Nie, nie, Lucas. Takie pytanie jest na nic. Do niczego. Prawidłowe pytanie brzmi: jak człowiek urodzony na Księżycu może polecieć na Ziemię i przeżyć?

- Doktor Wolikowa opracowuje dla mnie plan treningowy.
- Jeśli nie zabije cię lot z orbity. Jeśli serce ci nie wysiądzie podczas aklimatyzacji. Jeśli nie umrzesz od oparzeń słonecznych. Jeśli nie opuchniesz jak woreczek do kolostomii od miliona uczuleń. Jeśli ziemskie flora bakteryjna nie wywróci ci kiszki na lewą stronę. Jeśli zanieczyszczenia nie zatkają ci twoich delikatnych płuczek. Jeśli będziesz w stanie spać na dole studni, nie budząc się co pięć minut od bezdechu. Z koszmarów.

- Gdybyśmy zastanawiali się nad każdym „jeśli”, to nie bylibyśmy Smokami - odparł Lucas.

Obaj podświadomie, subtelnie dopasowali się położeniem, tak by unosić się jeden przy drugim, twarzą w twarz.

- Sam powiedziałeś. Już nie jesteś żadnym Smokiem. A na Ziemi tym bardziej będziesz nikim. Księżyc nie jest państwem. Księżyc to zamiejscowa kolonia przemysłowa. Nie będziesz miał żadnych dokumentów, narodowości, tożsamości. Prawnie w ogóle nie będziesz istniał. Nie będziesz znał prawa, przepisów, zwyczajów. Bo tam są prawa. I będą cię obejmować, a ty nie będziesz wiedział, jak działają. Są jak grawitacja. Obowiązują cię i nie da się z nimi negocjować. Tam nie masz żadnego prawa do negocjacji. Nikt nie będzie miał pojęcia, kim ty jesteś. Nikogo nie obejdzie, że jesteś z Księżyca. Będziesz cudakiem, sensacją na jeden dzień. Nikt cię nie będzie szanował. Nikt cię nie będzie traktował poważnie. Nikt niczego

od ciebie nie chce. Nie masz niczego do zaoferowania. Jesteś przecież inteligentnym człowiekiem. Sam do tego wszystkiego doszedłeś, pewnie jeszcze w kapsule. A jednak stajesz przede mną, ze swoim planem, z prośbami o pomoc - więc chyba musisz mieć coś, co mnie przekona, że mam ci tej pomocy udzielić?

Każdy argument Walerija był jak gwóźdź przebijający palec, stopę, dłoń, kolano, bark. Jak umartwienia. Lucas Corta nigdy nie rozumiał poczucia winy ani wyrzutów sumienia. Jego cnotą była duma. I duma szarpnęła za te gwoździe, wydarła je z jego ciała. Ból był niczym wobec tego, co już przecierpiał. Co stracił.

- Waleriju Grigorijewiczu, nie zaprzeczę. Nie mam nic do zaoferowania, nie mam żadnej karty przetargowej. Chcę twojego wsparcia, twoich statków, twojej wyrzutni elektromagnetycznej, a mam tylko słowa.

- Słów jest we wszechświecie pełno. Słów i wodoru.

- Asamoah uważają was za wyhodowane wsobnie monstra. Mackenzie biorą z wami śluby, żeby mieć prawa do przewozu towarów, ale wasze DNA ze swoich dzieci wycinają. Moja rodzina miała was za pijanych przygłupów. Sunowie nawet nie uważają was za ludzi.

- Nam ich szacunek nie jest do niczego potrzebny.

- Za szacunek się powietrza nie kupi. Ja proponuję coś bardziej materialnego.

- To jednak masz coś do zaproponowania? Ty, Lucas Corta, który stracił firmę, rodzinę, majątek i nazwisko?

- Imperium.

- No to słucham, Lucas.

- Cały korytarz? - zapytała doktor.

- Cały - odparł Lucas Corta. Korytarz zakrzywił się stromo. Sufit był jak niski, bliski horyzont. — Chodź ze mną.

Doktor Wolikowa nadstawiła ramię. Lucas odsunął je.

- Lucas, ty nawet stać nie powinieneś.
- Chodź za mną.
- Cały korytarz.
- Jestem bardzo systematyczny — powiedział Lucas. Nawet w księżycowym ciążeniu wewnętrznego pierścienia każdy krok powodował falę palącego bólu rozlewającego się od kostki po szyję. - Prawie nie mam wyobraźni. Muszę mieć plan. Dziecko najpierw chodzi, później biega. Chodzę po pierścieniu księżycowym. Biegam po pierścieniu księżycowym. Chodzę po środkowym. Biegam po środkowym. Chodzę po ziemskim. Biegam po ziemskim.

Krok miał teraz pewny i zdecydowany. Doktor Wolikowa stała w zasięgu ręki. Zauważył charakterystyczny błysk w jej oczach. Sczytywała dane z soczewki.

- Gała, ty mnie monitorujesz?
- Cały czas, Lucas.
- I co?
- Idź dalej.

Lucas powstrzymał się od uśmiechu. Pierwsze drobne zwycięstwo.

- A słuchałaś tej playlisty, którą ci dałem? - zapytał.
- Tak.
- I co myślisz?
- To jest bardziej wyrafinowane, niż myślałam.
- Nie powiedziałaś, że brzmi jak muzyka z centrum handlowego. Jest nadzieja.
- Nostalgję słyszę, ale tego *saudade* to w ogóle nie rozumiem.
- *Saudade* to coś więcej niż nostalgia. To coś w rodzaju miłości. Strata i radość zarazem. Silna melancholia i radość.
- Na oko to i ty, Lucas, nie powinieneś tego za dobrze rozumieć.
- Można czuć *saudade* także do przyszłych zdarzeń.
- Ty się nigdy nie poddajesz, co?

- Nie, Gala.

Stawy się rozluźniały, ból łagodniał, sztywność ustępowała.

- Masz podwyższone tętno i ciśnienie.

Spojrzał w górę zakrzywiającego się korytarza.

- Muszę to skończyć.

- Niech ci będzie.

Kolejne drobne zwycięstwo.

Zatrzymał się.

I dalej, w górę krzywego świata. Płuca miał skurczone, brakowało mu powietrza, serce bolało, jakby ktoś zacisnął je w pięści. Dwadzieścia, dziesięć, pięć metrów do drzwi centrum medycznego. Dasz radę. Dasz radę.

- To zajmie rok - powiedziała doktor Wolikowa. — Co najmniej.

- Wypada - wydyszał Lucas. Mówił urywanymi sylabami, łapiąc powietrze. Oparł się o framugę drzwi i obejrzał się na łuk korytarza. - Dać swoją. Playlistę w zamian. - Ledwo był w stanie mówić. Sto metrów pod jego rodzimą, księżycową grawitacją i już sapie, dyszy, wszystko go boli. Obrażenia są cięższe, niż myślał. Czternaście lun intensywnego treningu wydało mu się nieosiągalne. - Jeśli się od kogoś dostaje.

- Zrobić z Billem Evansem? - zapytała doktor.

- I resztą w tym stylu. To się chyba nazywa „jazz modalny” czy coś. Powybieraj jak uważasz. Zabierz mnie w podróż przez krainę jazzu. Muszę mieć coś, co mi pozwoli przetrwać ten trening.

Obudził się w swojej kapsule, pstryknął światło. Skrzypienie, grzechotanie. Kapsuła się trzęsła. Trząśł się statek. Szarpnęło nim. Chwytał się poręczy, ścisnął je mocno, jeszcze mocniej, aż paznokcie wbiły mu się we wnętrze dłoni. Kapsułą znów szarpnęło. Czuł, że świat usuwa mu się spod nóg. Nie było czego się chwycić. Zresztą to nie był żaden świat. To był statek,

kręcący się bączek z aluminium i włókien węglowych. Człowiek w kapsule na metalowym kółku na małym stateczku daleko poza ciemną stroną Księżyca.

- Toquinho - szepnął. - Co się dzieje?

Statek znów usunął się spod niego. Lucas złapał się mocnych i kompletnie bezużytecznych poręczy. Głos w implanicie był nieznamy, z dziwnym akcentem. *Święci Piotr i Paweł* byli zbyt mali, aby mieć pełną sieć.

Daję ciąg impulsów korekcyjnych, powiedział Toquinho. Moja orbita jest stabilna i przewidywalna na jedenaście lat naprzód. Drobne okresowe poprawki co mniej więcej dziesięć okrążeń wydłużają ten przedział przewidywalności. Na orbicie z dwoma punktami kontaktowymi są wykonywane podczas co drugiej peryluny. Procedura jest w pełni kontrolowana i rutynowa. Jeśli chcesz, mogę pokazać diagramy.

- Nie ma potrzeby - odparł Lucas, a rozdygotane, szarpiące, paskudne, paskudne wrażenie spadania w pustkę nagle ustało.

Święci Piotr i Paweł okręcili się wokół Księżyca, Księżyc cisnął ich ku niebieskiemu klejnotowi Ziemi.

Piknął Toquinho. Pliki od doktor Wolikowej. Otworzył je. Muzyka, całe luno muzyki. Cała muzyczna podróż.

Przez pierwsze trzy luno eksplorował hard bop - jego język, instrumentację, charakterystykę i tonalność, triadowe harmonie i kadencje plagalne. Nauczył się nazwisk jego luminarzy. Mingus, Davis, Monk i Blakey - to byli jego apostołowie. Uczył się najważniejszych nagrań - jego ewangelii i konstytucji. Nauczył się, jak słuchać, czego w słuchaniu szukać, kiedy tego szukać. Odkrył korzenie w bebopie, dowiedział się, że hard bop jednocześnie zbuntował się przeciw swojemu przodkowi i chciał go zreformować. Zapisał się w krainy nieprawomyślności, gdzie różnice pomiędzy funky jazzem i soul jazzem oraz rozpad na west coast cool jazz i east

coast hard bop stały się całymi schizmami w muzycznym wszechświecie. Była to najgorsza możliwa muzyka do ćwiczeń. Uwielbiał ją. Ćwiczeń nienawidził. Były ciężkie i nudne. Carlinhos był apostołem zakwasów, hajów dopaminowych, uwalniania hormonów stresu. To, co unosiło go w transcendencję, u Lucasa budziło lęk i wściekłość.

Wychodził z sali ćwiczeń rozpalony furia, warczał na każdego, kto choćby na niego spojrzał, kładł się do łóżka obolały, podenerwowany i przerażony planem kolejnego dnia. Pięć godzin. Sześć prawd pchało go na trening. Gra Art Blakey. Carlinhos i jego endorfiny nie żyją. Rafa nie żyje. Ariel się ukrywa. Lucasinho jest w azylu u AKA. Boa Vista to pozbawiona powietrza ruina, a ten statek, *Święci Piotr i Paweł*, wiezie ukradzione Cortom zbiorniki z helem-3 dla ziemskich reaktorów termojądrowych. Trenował zatem. Hard bop był czymś wyrastającym ponad nieskończoną taśmę bieżni, odliczane serie sztangelkami, pozbawione godności napinanie mięśni. Rok takiego reżimu zdawał się bez końca, trzeba go było dzielić na większe całości, nie na sesje ćwiczeń, noce, dni, orbity, lecz na akty. Coś wymyślonego, rozpoczętego, przepracowanego, zakończonego. Potem kolejny. I kolejny. Kwantyzacja. Nie będzie mierzył tego roku z kawałkiem coraz większymi obciążeniami, coraz lepszymi osobistymi rekordami, siłą i wytrzymałością własnego ciała. Będzie go mierzył kwantami nowej muzyki. Po hard bopie nauczy się modalnego jazzu, potem przejdzie przez free jazz do afro-cuban i jazzu brazylijskiego, przez który wróci do swej ukochanej bossa novy. Gdy następnym razem usłyszy bossa novę, będzie stał stopami na Ziemi, pod otwartym niebem. Na razie jednak, przez pierwsze parę orbit, ostrym, wyraźnym horyzontem jest hard bop - horyzontem szerszym i dalszym niż gdziekolwiek na Księżycu.

Po półlunie obiegł najmniejszy z pierścieni. Cały. Po lunie przeszedł środkowym, mającym pół ziemskiego przyśpieszenia,

a trzy księżycowe. Przeszedł bez pomocy, bez podparcia, bez przerwy, a zajęło mu to pół godziny. Po dwóch lunach był w stanie go przebiec. Po trzech lunach się na nim przespał. Pierwszej nocy miał wrażenie, że demon z brązu siedzi mu na piersi i sra roztopionym ołowiem do serca i płuc. Drugiej, trzeciej, czwartej. Po piętnastu przespał całą noc, miał jedynie koszmary, że jest uwięziony pod żelaznym lodem na stalowym morzu. Potem już każdej nocy spał w trzykrotnym księżycowym ciężeniu.

Przez następne trzy luny Lucas Corta studiował jazz modalny, pasję doktor Wolikowej. Teraz pewniej stawiał kroki w świat tej muzyki - widział już jej teren z innego kraju, orientował się, odkąd dokąd sięga, gdzie płyną jego rzeki. A i geograficzne metafory nabrały dlań teraz znaczenia, gdyż postępowi w głąb jazzu modalnego towarzyszyło skupienie uwagi na Ziemi. Na studia nad Ziemią można było poświęcić całe życie. Geografia, geologia, geofizyka. Oceanografia, klimatologia i meteorologia, ich córka. Fascynowały go wzajemne zależności wody, ciepła, ruchu wirowego, termodynamiki oraz przepiękne chaotyczne układy utkane z tak prostych żywiołów. Skomplikowane, nieprzewidywalne, niebezpieczne. Uwielbiał czytać raporty meteorologiczne i patrzeć na prognozy wyrysowane szarobiałą na błękitnym oku planety w dole. Zapamiętałe oglądał Ziemię. Obserwował przetaczające się nad oceanami burze i huragany; wyschnięte równiny zazieleniające się po przejściu deszczu, pustynie rozkwitające roślinnością, mokradła i sundarbany znikające pod skrzącymi się falami powodzi. Okrążając planetę, luna za luną, patrzył na wkradające się od biegunów pory roku, na śnieg postępujący i wycofujący się, na ciemną plamę monsunu nawilżającą spragnioną milionową rzeszę.

Na jedno nie mógł patrzeć - na kontakt z Ziemią, gdy cykler wymieniał kapsuły z pasażerami z windą orbitalną i zrzucał kapsuły z ładunkiem, w kontrolowany sposób opadające do oceanu. Siedział w kabinie, czuł drgania wypuszczanych kapsuł

i zasobników, szarpnięcia dokujących nowych, lecz nigdy nie przyłączył się do widzów w bąblu obserwacyjnym. Nie będzie zaszczycał swoją uwagą tej grabieży. Na Księżyc też już ani razu nie spojrział.

Pod koniec roku na orbicie doktor Wolikowa poleciała na Ziemię, na urlop w Petersburgu. Zastąpił ją Jewgienij Czesnakow, arogancki trzydziestoparolatek, kompletnie nierozumiejący, dlaczego Lucas nim pogardza. Był zbyt poufały, zachowywał się tak, że dostałby za to nożem w dowolnej knajpie w João de Deus, a gust muzyczny miał paskudny. Rytm nie tworzą muzyki. Rytm to łatwizna. Nowy rytm byłby w stanie wymyślić nawet jego chowaniec Toquinho, nawet w obecnej, ograniczonej postaci. Zdążył się już przyzwyczaić do jego płaskiego charakteru. Jeden statek, jeden głos, jeden interfejs. Toquinho wprawdzie zachowywał się teraz jak uosobienie statku, *Świętych Piotra i Pawła*, lecz jego wahania i pauzy sprawiały, że nie wydawał się wszechwiedzący. Opóźnienie w łączności utrudniało dostęp w czasie rzeczywistym do ziemskich bibliotek, lecz i w systemach cyklera było dość informacji, by Lucas mógł prowadzić systematyczne badania. Z geofizyki i klimatologii planety pozwolił wwieść się w geopolitykę. Ziemia przechodziła zmianę klimatu - wpływało to na każdy aspekt ziemskiej polityki: ciągnąca się od dziesięcioleci susza w Sahelu i na zachodzie Stanów Zjednoczonych, nieustające burze nękające północno-zachodnią Europę, powódź za powodzią, za powodzią. Lucas nie rozumiał: to szaleństwo żyć na świecie, nad którym się nie panuje.

Dowiedział się o potędze helu, na której jego rodzina zbudowała swą fortunę. Czysta energia, zero promieniowania, zero emisji węglowej. Ściśle kontrolowana. Reaktory termojądrowe - nieliczne i kosztowne. Każde państwo zawzięcie strzegło swoich elektrowni - przed innymi państwami, przed niekonwencjonalnymi siłami parapaństw,

armiami wolnościowymi i lokalnymi watażkami wypartymi ze swych siedzib przez susze, nieurodzaje, głód czy wojny domowe. W dowolnym momencie ostatnich pięćdziesięciu lat, jak przeczytał Lucas, na powierzchni Ziemi toczyło się ponad dwieście takich mikrowojen. Długo studiował materiały, usiłując zrozumieć państwa narodowe i stojące im naprzeciw niezmiernie liczne grupy interesów. Księżyc przetrwał dzięki odebraniu władzy takim grupom i stronnictwom. Na Księżycu są ludzie i są rodziny. Pięć Smoków- Cztery Smoki, poprawił się od razu, uznając nieprzyjemne ukłucie bólu za karę za sentymentalizm — to były korporacje rodzinne. Lunar Development Corporation zaś było nieskuteczną radą nadzorczą międzynarodowego holdingu, tak skonstruowaną, by wikłać się w nieustanne spory wewnętrzne.

Państwa natomiast, ze swoją tożsamością, prerogatywami, zobowiązaniami i granicami geograficznymi, wydały się Lucasowi jeszcze bardziej nieskuteczne i arbitralne. Absurdalna była sama idea, że jesteś lojalny wobec jednego brzegu rzeki, a wrogi wobec drugiego. Bo rzeki, jak się dowiedział, mają koryta i brzegi. I nic z tego nie było dobrowolne. Nie mógł zrozumieć, jak ludzie są w stanie znieść taką bezsiłę. Twierdziło się, że prawo chroni i uciska wszystkich jednakowo, lecz choćby pobieżny przegląd aktualnych wiadomości - a Lucas stał się zapamiętałym konsumentem ziemskich wiadomości, chłonał wszystko, od wojen religijnych po ploteczki o celebrytach - demaskował to odwieczne kłamstwo. Mając bogactwo i wpływy, można było sobie kupić lepsze, łagodniejsze prawo. Tu Ziemia niewiele się różniła od Księżyca. Lucas nie był prawnikiem, wiedział jednak, że księżycowe prawo opiera się na trzech filarach: im mniej prawa, tym lepiej, wszystko, z prawami włącznie, podlega negocjacom, a w Sądzie Claviusa poddawane osądowi może być wszystko, włącznie z samym Sądem Claviusa. Ziemskie prawo chroniło ludzi, ale co miało chronić ludzi przed prawem? Wszystko było im narzucone. Nic

nie podlegało negocjacji. Władze narzucały wszystkim swoje decyzje, motywowane ideologią, a nie naukowymi dowodami. Czy jakoś rekompensowały to obywatelom, którym takimi decyzjami zaszkodziły? Same zagadki, tajemnice, enigmy, jedna powkładana w drugą.

Pytał o takie rzeczy doktora Czesnakowa podczas regularnych kontroli, gdy ten analizował dane zebrane przez niezliczone medyczne czujniki Lucasa. Kochasz klub piłkarski CSKA Moskwa i kochasz Rosję. Kogo kochasz bardziej? Płacisz podatki, ale nie masz nic do powiedzenia w kwestii, jak są wydawane, nie możesz też ich nie zapłacić, kiedy chcesz wpłynąć na politykę rządu. I to ma być dobry kontrakt? Pod kontrolą państwa jest edukacja, system prawny, wojsko i policja, a ochrona zdrowia i transport nie. To ma być spójna polityka w kapitalistycznym ustroju? Czesnakow milkł, gdy Lucas zaczynał go wypytywać o rosyjski rząd i jego politykę, zupełnie jakby obawiał się, że ktoś go usłyszy.

Później poleciał na dół, a doktor Wolikowa wróciła na górę na kolejny dyżur. Aż podskoczyła, zobaczywszy Lucasa w swoim gabinecie.

- Potwór z ciebie — powiedziała. — Istny niedźwiedź.

Nie uświadamiał sobie, jak bardzo się zmienił przez dwie luny, które spędziła na Ziemi. Poszerzył się o dziesięć centymetrów. Mięśnie barków pięły się ukosem ku szyi. Pierś miał jak dwie bryły kamiennych mięśni, nogi wydymały się bąblami. Uda nie stykały się ze sobą. Na bicepsach i łydkach miał żyły jak księżycowe wały. Nawet twarz zrobiła mu się szeroka i kwadratowa. Nie cierpiał tej nowej twarzy. Wyglądał jak luniarz. Jak przygłup.

- To wszystko nienawiść i Bill Evans — powiedział. - Chcę przejść trzeci pierścień.

- Pójdę z tobą.

- Nie, Gala, nie trzeba.

- No to będę cię obserwować.

Nowe ciążenie, nowa muzyka. W windzie kazał Toquinho przygotować reprezentatywną playlistę z free jazzem. Wokół głowy szalały mu instrumenty, strumienie i potyczki nut, ostre i szorstkie dźwięki waltorni i saksofonów. Umysł wirował. Oto było wyzwanie. Ornette Coleman sypał falami triol, a Lucas czuł, jak ciążenie chwyta go, ciągnie, poddaje jego wielkie, brutalne ciało próbie, rozrywa je na strzępy.

Drzwi windy otworzyły się. Lucas wysiadł. Ból wwiercił się w obie kostki. Miał wrażenie, że w kolana ktoś wbił mu pręt z rozżarzonego tytanu. Więzadła naciągały się, wykręcały, groziły, że puszczą. Zacisnął zęby. Chaotyczna muzyka była jak ręka i głos szalonego guru. Ruszaj. Dwa kroki, trzy, cztery kroki, pięć. Żeby chodzić w ziemskim ciążeniu, trzeba było odnaleźć nowy rytm, niepodobny do rozkołysanego w biodrach księżycowego kroku; dźwignąć ciężar, przemieścić się naprzód, postawić go. Na Księżycu po czymś takim poleciałby pod sufit. Na zewnętrznym pierścieniu *Piotra i Pawła* omal nie padał na podłogę. Dziesięć kroków, dwadzieścia. Już był dużo dalej niż za pierwszą, idiotyczną próbą w tym ciążeniu. Teraz mógł obejrzeć się za siebie, zobaczyć, jak punkt wyjścia znika za horyzontem pierścienia. Cykler szedł po swojej orbicie na zewnątrz - na ziemskim pierścieniu roilo się od zieluniaków, naukowców z Farside, z dodatkiem ludzi podróżujących służbowo, pracowników korporacji, polityków i turystów. Za parę dni przeniosą się na środkowy pierścień, potem na wewnętrzny, dający księżycowe przyspieszenie, gdzie osiemdziesiąt procent z nich zapadnie na chorobę lokomocyjną. Kiwali mu głowami, gdy szedł, kołysząc ramionami, z twarzą zaciętą w determinacji. Stalowe taśmy uciskały mu obrzmiałe serce, przy każdym uderzeniu krew pulsowała czerwono za oczami, a same oczy jakby zwisały z oczodołów.

Uda mu się. Udaje mu się. Uda się.

Już widział na krzywiźnie pierścienia drzwi windy. Wyliczył

liczbę kroków. Serce drgnęło z radości. Radość zaburzyła staranność. Precyzyjny rytm kroków zakłócił się. Stracił równowagę. Grawitacja chwyciła go. Lucas uderzył w pokład z siłą, która wycisnęła z niego całe powietrze i wszystkie myśli poza jedną: że w życiu tak mocno od nikogo nie dostał. Leżał sparaliżowany bólem. Na boku, niezdolny się ruszyć. Ciężenie przyciskało go do pokładu. Wokół tłoczyli się ziemscy ludzie. Co się stało? Nic się nie stało? Opędził się od pomocnych dłoni.

- Zostawcie mnie.

Korytarzem przybiegł piszczący przeraźliwie bot medyczny. Takie upokorzenie? Nie ma mowy. Dźwignął tułów na uginających się rękach. Podkulił nogi pod siebie. Przejście z pozycji kucznej do stojącej wydawało się niemożliwe. Mięśnie prawego uda zadrgały, nie był pewien, czy kolano utrzyma jego ciężar. Czerwone oko bota patrzyło oskarżycielsko.

- Spierdalaj - rzucił i krzyknąwszy od rwącego bólu, podniósł się na nogi.

Bot krążył za jego plecami jak fretka dopraszająca się uwagi. Super byłoby go teraz kopnąć. Kiedyś. Nie dzisiaj. Zrobił krok. Żrący ból rozlał się po prawej stronie ciała, od stopy po bark. Sapnął.

Krok był stabilny. To tylko ból.

Bot nie odstępował go na krok, gdy pokonywał ostatnie kilkanaście metrów do windy.

- Masz szczęście, że nic sobie nie połamałeś - powiedziała lekarka. - To mógłby być koniec.

- Kości się zrastają.

- Ziemskie kości tak. Kości zieluniaków. O kościach urodzonych na Księżycu, a z gęstością w ziemskiej normie, nie ma żadnej literatury.

- Możesz napisać o mnie pracę.

- Piszę.

- Przecież mam gęstość kości w ziemskiej normie.
- W ziemskiej normie dla siedemdziesięciolatka chorego na osteoporozę. Będę ci musiała znowu podkreślić wapń.

Lucas już układał sobie plan na podstawie słów „ziemska norma”. Chodzić, aż stopy się w to wczują, a biodra odpowiednio zakołyszają. Chodzić dalej. Potem trzy minuty iść, minutę przebiec. Powtarzać, aż ból będzie do wytrzymania. Iść dwie minuty, dwie minuty bieć. Iść minutę, bieć trzy. Na koniec tylko bieć.

- I jak ci się podoba free jazz? - zapytała doktor Wolikowa.
- Sam do ciebie nie przyjdzie, musisz ty do niego - powiedział Lucas. - Nie idzie na kompromisy.
- Ja go nie mogę. Dla mnie to już za dużo jazzu w jazzie.
- Trzeba się trochę przyłożyć, żeby znaleźć w nim piękno.

Lucasowi nie podobała się ta muzyka, ale podziwiał ją. Stanowiła doskonałą ścieżkę dźwiękową do tego, co musiał teraz robić. Do rzeczy trudnych. Do rzeczy, które robił najlepiej, które zawsze mu najlepiej wychodziły, do których miał swój jedyny talent i dar. Do intryg.

Najtrudniejsze do ogarnięcia były rządy, więc nimi zajął się w pierwszej kolejności. Na pierwszy ogień Chiny, dlatego że to Chiny, ale też ze względu na ich odwieczną wojnę z Sunami. Stany Zjednoczone, ze względu na ich bogactwo, historyczną wrogość wobec Chin oraz dlatego, że upadające imperium jest pierwsze do obrony swego honoru. Ghana. Nie jest pierwszoligowym graczem, ale widziała, co garstka ich śmiałków działała na Księżycu, i chciałyby więcej. Poza tym Akra nieustannie chce przelicytować swego potężniejszego sąsiada, Lagos. Indie, które nie załapały się na księżycową gorączkę złota i do tej pory przeżywały tę klęskę.

Rosja, z uwagi na jego umowę z VTO, a także dlatego, że któregoś dnia może będzie musiał zdradzić Woronców. Dla rządów tych państw upadek Corta Hélio był drobną lokalną przepychanką, liczył się tylko jej wpływ na ceny helu-3. Będzie

ich trzeba nauczyć, aby go słuchali. Miał swoje kanały, nazwiska, które dadzą dostęp do innych nazwisk. Całe ciągi nazwisk, powoli pnące się w górę politycznej hierarchii. To będzie trudne i zabawne. Do tego idealnie pasował Ornette Coleman.

Wgłębiając się w spuściznę muzyczną Johna Coltrane'a, rozpracowywał ziemskie korporacje. Robotyka, owszem, ale to były stada drobnych firemek, a on potrzebował kogoś, kto zrozumie jego propozycję w aspekcie krótko- i długoterminowym. Banki i *venture capital* - tu stąpał ostrożnie, bo choć rozumiał, jak działają pieniądze, nigdy nie rozumiał obłąkańczo skomplikowanych ziemskich instrumentów finansowych i tego, jak się przecinają na globalnych rynkach. Te spotkania były łatwiejsze do zaaranżowania, ci ludzie byli autentycznie zainteresowani - wręcz zachwyceni - jego śmiałym planem. Wcześniej zrobili sobie wywiad na jego temat, wiedzieli o jego upadku. Zniszczenie Corta Hélio działało im na wyobraźnię. Ci posłuchają człowieka z Księżyca, gotowego poświęcić rok swego czasu i zdrowie, żeby polecieć na dół i porozmawiać z nimi.

Każdego dnia, gdy pierścienie *Świętych Piotra i Pawła* okręzały Księżyc, rozmawiał z kimś wpływowym. Obrabiał na telekonferencjach i rozmowach w cztery oczy nazwisko za nazwiskiem. Leżąc w koi, rozgrywał inwestorów przeciwko spekulantom, rządy przeciwko rządowi. Komu ufać i jak dalece, kiedy to zakończyć. Kogo zdradzić, kiedy i jak. Kto jest podatny na przekupstwo, a kto na szantaż. Komu polechtać próżność, a komu podsyć paranoję. Krystalizował się plan spotkań. Będzie potrzebował co najmniej trzech lun na Ziemi.

- Lepsze byłyby cztery — powtórzył doktor Wolikowej.

Teraz codziennie obiegał trzeci krąg. Był mężczyzną w średnim wieku, najlepsze lata miał za sobą, a podjął się wyzwania, które przerosłoby kogoś o połowę młodszego. Może jeszcze od tego umrze, a może zostanie kaleką i nie pomoże mu

nawet cała księżycowa medycyna.

- Musiałbyś mieć jeszcze miesiąc. A lepiej dwa.
- Nie mogę sobie na to pozwolić. Pamiętasz, mówiłem ci, że wylatuję na Ziemię po czternastu miesiącach. Mam tylko jedno małe okienko, potem koniec.

- Za miesiąc.
- Za jeden ziemski miesiąc lecę orbiterem na dół. A Ornette'a Colemana i tak nigdy nie zrozumie.

Przez ostatni miesiąc, tak jak sobie zaplanował, zajął się jazzem afro-kubańskim. Tu znalazł brzmienia i rytmy bliskie swemu sercu i budzące uśmiech. Stąd mógł już sięgnąć i ująć dłoń bossa novy. Spodobała mu się beztraska utworów z tej części playlisty, po chwili jednak jej rytm zaczął mu się wydawać zbyt unormowany i zbyt dobitny. Gdy ćwiczył w zewnętrznym pierścieniu, muzyka narzucała mu go. Nienawidził tego. Wydawała się zbyt niepoważna do pracy, która zaprzętała go przez ostatnie dni - pracy nad własną tożsamością i bezpieczeństwem. Walerij Woroncow zatrudnił go w VTO Space, starannie wykalkulowane łapówki VTO Earth dały mu kazachski paszport. Ocalałe resztki swego majątku zamienił na płynne i szybko dostępne walory. Ziemia podejrzliwie patrzyła na przepływy pieniężne. Co krok pytania, kontrole, dochodzenia w sprawie prania pieniędzy. Poczł się urażony. Nie był jakimś drobnym narkotykowym baronem czy paskudnym kieszonkowym dyktatorem. Chciał tylko odzyskać swoją firmę. Irytująca, niewdzięczna robota, która nigdy się nie kończyła, ciągle bowiem ktoś przychodził i domagał się kolejnych wyjaśnień czy zaświadczeń.

- Moja matka przyleciała na górę tym statkiem - powiedział doktor Wolikowej podczas ostatniego badania przed lotem.

- Pięćdziesiąt lat temu - odparła doktor Wolikowa. - Sporo się od tego czasu zmienił.

- Dobudówki tylko. Przeróbki. Niczego się nie pozbyliście.
- Do czego ty zmierzasz, Lucas?

- Chciałbym się przespać w tej samej koi, co matka.
- Nawet nie będę wnikać w psychiatrię, która za tym stoi.
- Zgódź się. Dla świętego spokoju. Co ci szkodzi.
- Ale to nie będzie to samo.
- Wiem. Zgódź się.
- Gdzieś ci się to zapisze. Woroncowowie nigdy nie zapominają.

Pierścień numer trzy, niebieska ćwiartka, numer 34 po prawej. Doktor Wolikowa otworzyła prywatną kabinę. Była niewiele większa od kapsuły, w której Lucas dotarł do cyklera. Wgramolił się do środka, położył się na leżance, w ubraniu - wysiłek rozebrania się chwilowo go przerastał. Materac był miękki i sprężysty, kabina dobrze wyposażona - jedyne, o czym potrafił przez cały czas myśleć, to grawitacja. I tak będzie przez wiele miesięcy. Na statku, kiedy już nie może wytrzymać, może uciec na środkowy pierścień, albo i na wewnętrzny, o księżycowym ciężeniu. Na Ziemi nie będzie ucieczki. Przerażało go to. Kabina była ciasna i przytulna. Urodzony był do ciasnych przestrzeni, gniazd, nor - całe życie przeżył pod różnymi dachami. A tamten świat w dole będzie miał niebo. Otwarte na kosmos. Agorafobia go przerażała. Wszystko go przerażało. Nie jest gotowy. Nigdy nie będzie gotowy. Nikt nie byłby gotowy. Jedyne wyjście to zaufać własnym zdolnościom, które doprowadziły go aż tutaj, a wcześniej pozwoliły ująć cało z upadku Corta Hélio.

I to wystarczy.

Przed zapadnięciem w ciężki sen przypomniał sobie twarze. Lucasinho. Taki śliczny i taki pogubiony. Ariel, w szpitalnym łóżku, po nożu, któremu grubości nerwu zabrakło, by ją zabić. Carlinhos na imprezie z okazji Biegu Księżycowego Lucasinho, wielki, szeroki jak niebo, z uśmiechem maszerujący przez trawnik, z hełmem elastyka pod pachą. Rafa. Żółty chłopak, żółty jak zawsze. Roześmiany. Dzieci wokół niego, okos u boku, także roześmiane. Adriana. Ją potrafił sobie wyobrazić tylko na

dystans, w drzwiach żłobka, w jej ulubionej altanie pomiędzy twarzami *orixas* w Boa Vista, na przeciwległym końcu stołu w sali posiedzeń zarządu.

Zapadł w sen. W tej starej kabinie przespał jeszcze cztery noce. Sny miał męczące, pełne potu i krzyków. Pod tym nieludzkim ciężeniem zawsze takie będą.

A piątego ranka poleciał na dół na Ziemię.

Obsługa służy zaprotestowała, widząc jego krawat. Będzie się unosił, zadusi go, będzie stwarzał zagrożenie dla innych. Lucas zaciskał węzeł, póki nie poczuł go jak noża na gardle, w stylu późnych lat 2010. Trzyczęściowy, jednorzędowy garnitur od Thoma Sweeneya w spokojnym odcieniu szarości. Wąskie spodnie z trzycentymetrowymi mankietami.

- Nie będę na Ziemi wyglądał jak jakiś dziad z samej góry Bairro Alto -oświadczył. Rozpiął ostatni guzik kamizelki.

- Jak go pan sobie obrzyga, to tak właśnie będzie pan wyglądał.

Śluza zamknęła się. Wyrównanie ciśnienia z kapsułą transportową trwało całe wieki. Klatka piersiowa Lucasa pulsowała lękiem. Garnitur był próbą odwrócenia uwagi, stawienia czoła temu lękowi. Sposobem, aby ponownie stać się Lucasem Cortą. Trzyście lun pomiędzy światami, o jedną mniej niż przewidywał budżet, trzyście lun geopolityki i globalnej ekonomii, zawierania umów, precyzyjnego manipulowania łąpówkami, wykrywania i wykorzystywania antagonizmów, niestrudzonych treningów, spowodziło się do tego. Czubek ostrza. Ze statku do kapsuły. Kapsuła na hol. Z holu na orbiter. Orbiterem na Ziemię. W niecałe cztery godziny będzie po wszystkim. Ale nie stanowiło to żadnej pocięchy.

Śluza otworzyła się. Lucas złapał poręcz i popłynął do środka.

Żegnamy brak godności, bezpłciowe funkcjonalistyczne ubrania oraz jazz z połowy XX wieku.

Kapsuła transportowa była pozbawionym okien i całkowicie zautomatyzowanym dwudziestometrowym walcem. Dziesięć rzędów siedzeń. Doktor Wolikowa chwyciła się oparcia, siadła i zapięła pasy tuż obok niego.

- Przyda ci się osobisty lekarz.
- Dziękuję ci.

Wsiadło jeszcze pięć osób i śluza się zamknęła. Na dół zawsze mniej niż na górę. Informacje o bezpieczeństwie, albo oczywiste, albo bezsensowne. Toquinho, podłączony do AI kapsuły, zaproponował mu widok z zewnętrznych kamer. Raz spojrzął na ogromny niebieski świat w dole i wyłączył go. Puścił sobie latami pielęgnowaną playlistę z klasyczną bossą. Melodie, które znał, które kochał, o których zagranie prosił Jorgego, w najlepszym pokoju odsłuchowym na dwóch światach.

Łomoty, szarpnięcia. Cisza. Kapsuła oddzieliła się od *Świętych Piotra i Pawła*, drobinka z zamkniętymi w środku ludźmi spadająca na błękitne oblicze świata. Czytał o tym. Wiedział, jak to działa. To spadanie jest w pełni kontrolowane. Poprosił Toquinho, żeby pokazał mu model holu transferowego obracającego się po stycznej do planety. Takie diagramy zawsze go uspokajały.

Zapadł w drzemkę, z której obudziło go przeniesione przez kadłub szczęknięcie. Złapał ich hol. Żołądek stracił oparcie, przyśpieszenia wzięły go w obroty — hol wrzucał kapsułę na orbitę kontaktu z orbiterem. Lucas już raz leciał na holu, uciekając z Księżyca, kiedy księżycowa pętla zgarnęła go ze szczytu wieży i wrzuciła na orbitę transferową cyklera. Wtedy w szczycie miał trzy-, czterokrotność księżycowej grawitacji. Ale teraz to było coś o wiele mocniejszego niż pętla księżycowa. Poczul, jak wargi zsuwają się z zębów, gałki oczne rozplaszczają się w oczodołach, krew spływa pod potylicę. Nie był w stanie oddychać.

I nagle znalazł się z powrotem w nieważkości. Hol puścił kapsułę, Lucas swobodnie spadał na spotkanie z orbiterem.

Toquinho pokazał mu orbiter - niesamowicie piękny, skrzydlaty i opływowy jak żywa istota, zupełnie obcy estetyce maszyn, do której był przyzwyczajony, przystosowanych do działania wyłącznie w próżni. Prom kosmiczny otworzył luki. Impulsy silniczków korekcyjnych ustawiły kapsułę. Lucas patrzył, jak orbiter rozkłada ramię manipulatora, które chwyta kapsułę za złącze dokujące. Poczł delikatne przyspieszenie, jak w windzie, gdy ramię szarpnęło go ku sobie. Podróże kosmiczne były czymś, co się odczuwało dotykiem: szczęknięcia, stuknięcia, szarpnięcia i przyspieszenia. Wibracje przenoszone przez podłokietniki.

Lucas przepowiadał sobie liczby. Sto pięćdziesiąt. Wysokość orbity orbitera w kilometrach. Trzydzieści siedem. Liczba minut do ciągu na zejście z orbity. Dwadzieścia trzy. Czas trwania przelotu przez atmosferę w minutach. Tysiąc pięćset. Temperatura ceramicznego pancerza orbitera podczas wejścia w atmosferę, w stopniach Celsjusza. Trzysta pięćdziesiąt. Prędkość podczas przyziemienia w kilometrach na godzinę. Zero. Liczba osób załogi, które mogą przejąć stery, jeśli coś pójdzie nie tak.

Kabina zatrzęsa się, zatrzęsa się jeszcze raz, dygotała i dygotała. Impuls do zejścia z orbity. Grawitacyjna pięść chwyciła Lucasa za głowę i próbowała pociągnąć pod sufit. Przyspieszenie przy hamowaniu było potworne. Palce Lucasa wbiły się w podłokietniki - nie było czego się złapać, nic tu nie było pewne i nieruchome. Jego serce chciało umrzeć. Nie wytrzyma tego. Pomylił się. Okazał się pyszałkiem i durniem. Człowiek z Księżyca nie może polecieć na Ziemię. Na morderczą Ziemię. W gardle trzepotał mu okrzyk strachu niezdolny przebić się przez miążdzące ciśnienie.

Drgania jeszcze się wzmogły; szarpnięcia i podskoki na moment wywoływały nieważkość, a potem znów ciskały nim w pasach, na tyle mocno, by pozostawić siniaki; potem wszystko zawibrowało z wysoką częstotliwością, jakby statek z

zawartością ścierał się na pył.

Wymacał czyjąś dłoń i chwycił ją tak mocno, że poczuł, jak w środku przemieszczają się kości. Trzymał tę dłoń jak jedyną pewną rzecz w huczącym, rozdygotanym świetle.

Nagle dygot ustał i poczuł od dołu ciężenie, prawdziwe ciężenie.

Jesteśmy w locie atmosferycznym, powiedział Toquinho.

- Pokaż - stęknął Lucas i na oparcia siedzeń i tablice ostrzegawcze w szarej kapsule nałożyło się okienko.

Był tak wysoko, że widać było jeszcze krzywiznę planety. Ciągnęła się w nieskończoność, delikatna i niezmierna jak życie. Niebo nad nim pociemniało do barwy indygo. Pod spodem — woal za woalem chmur przechodzących w szarżółtą mgiełkę. Dostrzegł coś pylisto niebieskawego.

Ocean, pomyślał. Był o wiele większy, o wiele potężniejszy i bardziej majestatyczny, niż sobie wyobrażał. Orbiter przebił się przez najwyższą warstwę chmur. Lucasowi zaparło dech. Łąd. Ledwie widoczna przez chmury brązowa kreska.

Wcześniej douczył się i wiedział, że schodzą nad wybrzeże Peru, 2300 kilometrów od miejsca lądowania. Za brązem nadbrzeżnej pustyni pojawią się nagłe cienie gór, łańcucha ciągnącego się jak kręgosłup przez cały kontynent. Andów. Śnieg błysnął w słońcu, serce Lucasa podskoczyło. Za górami leżały niedobitki wielkiego lasu, plamy soczystej zieleni wśród jaśniejszych zielonych łąk, złotych pól uprawnych, oraz burobeżowych połaci jałowej gleby. A te słupy, dziwnie płaskie w jego oczach, to dym, nie pył. Spiętrzone chmury wygotowane ze spieczonej ziemi. Pod nimi jeszcze jedna warstwa chmur. Lucas wstrzymał oddech, gdy orbiter opadł ku nim, a potem wbił się w nie. Szarość, nic nie widać. Statkiem szarpnęło. Powietrzne dziury. Potem się wyłonił i Lucasowi zaparło dech. Słońce najpierw srebrne, potem złote; wielka rzeka, żółta od mułu. Orbiter leciał wzdłuż niej na wschód, mijając kratkę dopływów i dopływów dopływów. Lucas, zahipnotyzowany,

próbował dojść do ładu w meandrach i pętłach tych pomniejszych rzek. Powiadomienie od Toquinho, co to było? Nie zwrócił uwagi. Ile minut do lądowania?

Kolejna wielka rzeka, czarna, zlewająca się ze złotą, a u ich połączenia ślady ludzkiej działalności. Tysiące słonecznych odbłasków, gdy mija to orbiter. Miasto, uświadomił sobie Lucas. Miasto pomiędzy dwiema rzekami pozbawione kopuły, otwarte na wszechświat, rozlewające się po ziemi. Ogromne ponad wszelkie wyobrażenie. Te siateczki światła, które widywał, gdy Ziemi nie przesłaniały chmury, w ogóle nie dawały pojęcia o wielkości i wspaniałości ziemskich miast.

Wahadłowiec przechylił się. Lucas zacisnął zęby, gdy przeciążenia znęcały się nad jego ciałem. Krążyli, wytracając prędkość przed lądowaniem. Słyszał dotyk powietrza, jak dłonie na kadłubie. Mignął mu długi pas, gdzie ten statek zapewne wylądował, miasto przechylone pod przerażającym kątem, ujście rzek. Czarna i złota woda płyną, nie mieszając się, przez wiele kilometrów. Piękne, uznał Lucas. Nie znał ziemskiej hydrodynamiki na tyle, by wiedzieć, czy zjawisko jest pospolite, czy niezwykle. A co to są te poruszające się przedmioty na wodzie?

Dziesięć minut do lądowania, powiedział Toquinho.

- Lucas — odezwała się doktor Wolikowa.

- Co?

- Możesz już puścić moją rękę.

Jeszcze raz ponad miastem i rzekami, tym razem niżej. Prom wyrównał lot. Lądują. Pas był prosty i znajdował się dokładnie na wprost. Poczuli, jak podwozie wysuwa się i blokuje. Kosmiczny samolot zadarł nos i opadł stabilnie na tylne koła, drgnął delikatnie, gdy na ziemię opadły przednie.

Ziemia. Jest na Ziemi.

Doktor Wolikowa powstrzymała Lucasa, gdy zaczął rozpinać uprząż.

- Jeszcze nie dojechaliśmy.

Lucasowi wydało się, że wahadłowiec przez całe eony kołuje po lotnisku. Poczuł, jak staje. Czuł przez kadłub jakieś poruszenia, niewytłumaczalne szturchnięcia i drgania.

- Jak się czujesz? - zapytała lekarka.
- Żywy — odparł.
- Zamówiłam ekipę medyczną i wózek.
- Ja stąd wysiadam na własnych nogach.

Doktor Wolikowa uśmiechnęła się, a Lucas poczuł charakterystyczne szarpnięcie, oznaczające, że dźwig wyciągnął kapsułę z orbitera.

- Jeszcze chodzę — dodał.

Blokady zatrzaśnięte, zamki otwarte. Kłapa otworzyła się. Lucas zamrugał, widząc ziemskie światło. Zaciągnął się ziemskim powietrzem. Pachniało środkami czystości, plastikami, ludzkimi ciałami, wżartym w powierzchnie brudem, elektrycznością.

- Pomóc?! — zawołała od drzwi doktor Wolikowa.

Inni pasażerowie już wyszli, nonszalancko, jak robotnicy zmianowi wysiadający sobie z ekspresu Peary-Aitken.

- Powiem, jak będzie trzeba.
- Czas leci, Lucas.

Kiedy został sam, oparł dłonie stabilnie na podłokietnikach. Wciągnął w płuca przeoddychane, przefiltrowane powietrze. Oparł ciężar ciała na przedramionach, pochylił się, spiął energicznie mięśnie ud - szalony, niemożliwy ruch. Na Księżycu poleciałby pod sufit i walnął głową w schowki na bagaż. Na Ziemi wstał. Najpierw ręka prawa, potem lewa. Puścił podłokietniki i stanął swobodnie. Tylko na chwilę - było tu wąsko i potrzebował rąk, żeby precyzyjnie się do przejścia. Ciężar był potworny, nieustępliwy, nieubłagany, czyhał tylko, aż straci równowagę, żeby walnąć nim o ziemię. Upadki cię zabiją, powiedziała mu kiedyś doktor Wolikowa.

I prawie upadł podczas tego pierwszego kroku przez przejście. To nie było rotacyjne ciążenie *Świętych Piotra i Pawła*. Nauczył

się chodzić pod jednym g plus siła Coriolisa powodowana przez wirujące pierścienie habitatów. I przez brak tej siły wszystko było odrobinę krzywo. Przeniósł ciężar na jedną stopę - okazało się, że ona nie do końca stoi tam, gdzie powinna. Zachwiał się, chwycił oparcie, odzyskał równowagę.

Dotarł do śluzy. Światło go oślepiło. Za nią był rękaw dla pasażerów. Na końcu rękawa - doktor Wolikowa, sanitariusze, wózek inwalidzki.

Nie da się wwieźć do nowego świata. Zaciągnął się potężnie ziemskim powietrzem. Był w stanie oddychać. Oddychać swobodnie.

- Lucas?! - zawołała doktor Wolikowa.

Lucas Corta szedł dalej, jeden powolny, chwiejny krok za drugim, w górę rękawa.

- Laska - polecił. - Wydrukujcie mi laskę do chodzenia. Ze srebrną gałką.

- U nas druk nie jest na takim poziomie, jak u was - odpowiedział poważny młody człowiek w kiepskim garniturze.

Lucas zmrużył oczy, żeby odczytać jego nazwisko na identyfikatorze przypiętym do kieszeni marynarki. Psuł całą linię garnituru, który i tak był tani i byle jaki. Abi Oliviera-Uemura. VTO Manaus.

- Może na jutro uda nam się znaleźć.

- Na jutro?

Zatrzymał się przed oknem. Rowkowany beton pasa startowego i płyty falował w ciepłe. Orbiter był jak czarna strzała, piękna i groźna, jak broń, nie statek kosmiczny. Na odległym skraju lotniska, dalej niż jakikolwiek księżycowy horyzont, ponad kreską wody była druga, nieregularna i ciemna. Toquinho by mu ją powiększył, lecz Toquinho był teraz martwą soczewką w oku, głuchym powietrzem w uchu. Drzewa, domyślał się Lucas, drzewa rozfalowane przez ciepłe powietrze. Ile tam jest stopni? Od światła aż bolały oczy. I to niebo. Tyle go było, ponad wszystkim, ciągnęło się w

nieskończoność. I takie niebieskie. Było przerażające, onieśmielające. Długo nie będzie mógł się pogodzić z agorafobicznym ziemskim niebem.

Wyprostował się.

- A więc Brazylia - powiedział.

Brazylia widziana z okna pokoju kwarantanny składała się ze zbiorników na wodę, anten satelitarnych, paneli słonecznych oraz paska burego betonu, kreski drzew i słupka nieba. Czasami tę zielono-niebiesko-szarą abstrakcję przełamywały chmury. To miała być Amazonia, dżungla. A wyglądała na suchszą niż Ocean Burz.

VTO nie pozwoliło Toquinhu podłączyć się do swojej sieci, Lucas musiał więc polegać na staroświeckim, pośrednim dostępie do informacji. Ludzie, z którymi się kontaktował, codziennie zasypywali go zaproszeniami na rozmowy, telekonferencje, osobiste spotkania. *Jestem cały i zdrowy*, odpowiadał Lucas. *Już niedługo się odezwę*.

Codziennie treningi fizyczne były tak nudne i przygnębiające, jak to tylko możliwe. Przydzielono mu trenera osobistego, Felipe. Rozmowy z nim ograniczały się do ruchów, mięśni, powtórzeń. Może do rozmowy zniechęcała maseczka chirurgiczna, którą nosił. Doktor Wolikowa uparła się przy maseczce. Układ odpornościowy Lucasa gotował się od dziesiątek szczepień i fagów, a i tak był podatny na setkę zakażeń i chorób. Ćwiczenia odbywali na basenie w ośrodku. „Woda to twój przyjaciel”, mówił Felipe. „Zmniejsza ciężar ciała. I świetnie ćwiczy wszystkie najważniejsze grupy mięśniowe”.

Lucas spał dręczony smrodem chloru. Ciężenie było straszne, ciężenie było nieubłagane, ale tego wroga już znał. W jego ciele wojnę na wyniszczenie prowadziło tysiąc przypadłości. Mokry kaszel z odkrztuszaniem ciemnej, pełnej pyłu flegmy. Biegunka

od zmiany wody i diety. Katar i podrażnienie spojówek od jednego uczulenia za drugim. To, jak powoli musiał wstawać, żeby krew nie odpłynęła mu z głowy. To, jak stopy puchły mu w butach. Wózek inwalidzki. Potworny ból przy schylaniu się. To, że nie rozumiał ani słowa z tego, co mówią inni. To nie był znany mu portugalski, pełen hiszpańskich wpływów oraz setek zapożyczeń z trzydziestu języków. Ten miał dziwny akcent. Gdy Lucas próbował mówić w globo, unosiły się brwi, a głowy kręciły.

Mięso w posiłkach powodowało potworne skurcze.

Cukier w sosach, napojach, chlebie.

Chleb. Żołądek buntował się przeciwko niemu.

Pewność, że trener, steward, młode i urocze asystentki z VTO - wszyscy go szpiegują.

- Powiniennem pracować - pozałił się doktor Wolikowej.

- Cierpliwości.

Nazajutrz rano steward powiedział mu, żeby wziął prysznic, ogolił się, pomógł mu się ubrać w elegancki garnitur. Usadził go wygodnie na wózku. W drzwiach Lucas chwycił jeszcze laskę ze srebrną gałką, której sobie zażyczył. Odkąd przełknął dumę i pogodził się z wózkiem, laska stała się teatralnym rekwizytem. Steward powiózł go korytarzami bez okien, potem tunelem dla pasażerów, kończącym się rurą pełną foteli.

- Co to jest? - zapytał Lucas Corta.

- Samolot - powiedział steward. - Leci pan do Rio.

Chmury były oszałamiające. Wisiały nad krawędzią świata, nad oceanem, układały się w warstwy, w pasy, w słupy, mnożyły, pączkowały, a wszystko to ruchem na pograniczu ludzkiej percepcji. Odwracał wzrok, patrzył na zapalające się kwartał po kwartale światła, a gdy spojrzał z powrotem, miały zmieniony kształt. Liliowy przetykany fioletem; fiolet ciemniejący do koloru siniaków, gdy z nieba uciekało światło,

potem do indygo i innych nienazwanych i niedoświadczanych odcieni niebieskiego. Czemu tu w ogóle ktokolwiek coś robi, zamiast patrzeć w chmury?

Wieczorem upał będzie do wytrzymania, mówiła mu hotelowa obsługa. Apartament był wygodny i znakomicie wyposażony. Toquinho gładko wpiął się w miejscową sieć, choć Lucas nie miał wątpliwości, że dziesiątki systemów monitoringu przekazują każde jego słowo i krok setkom obserwatorów. Pracował pilnie i efektywnie, umawiał rozmowy konferencyjne i osobiste spotkania, choć jego uwaga bez przerwy wędrowała ku oknu, za którym była ulica i falujące nad nią powietrze, zmieniające ją i pędzące samochody w żywe srebro, ku oceanowi i maszerującym na plażę falom. Na Księżycu nigdy nie czuł klaustrofobii. A ten narożny apartament w legendarnym Copacabana Palace był złotym więzieniem.

Wieczory, gdy zar trochę łagodniał, spędzał w jacuzzi. Staraj się siedzieć w wodzie, powiedział mu Felipe. Lucas, zrzucając z siebie ubranie, które zawsze wcześniej nic nie ważyło, i zanurzając się w basenie na balkonie, poczuł, że ciężenie schodzi mu z barków. Był na zewnątrz, na powietrzu, w wielkim świecie. Widok był przepiękny. Obróciwszy się w prawo, widział favele pnące się po wzgórzach za hotelem. W słabnym świetle ich światła, z okien, z ulic, z klatek schodowych, tworzyły rozrastającą się plataninę kolorów — chaotyczny kontrast dla uporządkowanej kratki Copacabany, sztywnej i spiętej, pomiędzy Ladeira dos Tabajaras a oceanem. Wśród światła ziały ciemne przerwy, miejsca, gdzie stromość zbocza wygrywała z pomysłowością budowniczych miasta ruder. Albo gdzie zabrakło prądu. Na paru kilometrach kwadratowych mieszkał tam milion ludzi. Ich bliska obecność napawała Lucasa otuchą. Favele, codziennie przybliżające się o jeden dom, jedno mieszkanko, jedną dobudówkę, kojarzyły mu się z piętrowymi kwadratami João de Deus, z potężnymi, kilometrowymi kanionami Południka.

Kelner przyniósł martini. Upił łyk. Działo tak, jak powinno działać martini - posłusznie i niezawodnie. Był to najrzadszy dzin, jaki mieli w hotelu, choć i tak masowo produkowany i pospolity; wermut - z krótkiej serii, ale wciąż komercyjny. Masowy drink dla masowego rynku. Nie był w stanie się nim delectować - delectować się pewnością, że nikt na dwóch światach nie pije tego samego, co on.

Coraz ciemniejsze indygo - już prawie zapadł zmrok. Dłoń ze szklanką zamarła przy ustach. Światło na wschodnim kraju świata wyłaniające się zza horyzontu. Srebrne usta ucałowały ocean. Patrzył, jak Księżyc wstaje z morza. Wszystkie mity, wszystkie zabobony, wszystkie boginie - teraz w nie wierzył. Oto prawdziwe bóstwo. Świetlista linia wiodła przez ocean, łącząc Księżyc i człowieka z Księżycem. Luna wyłoniła się z morza. Przybywało jej, była w fazie Ole Ku Kahi. Luniczne dni miał wryte w głowę, jak każdy urodzony na Księżycu, nigdy jednak nie rozumiał ich tak dobrze jak teraz - one były nazwane z punktu widzenia Ziemi, patrzącej na zmieniające się fazy Luny.

- Jaka ty jesteś mała - wyszeptał Lucas, kiedy Księżyc wyłonił się w całości spoza przesłaniającego go horyzontu i zawisł samotnie na niebie.

Mógł zasłonić go kciukiem, zasłonić kciukiem wszystko i wszystkich, których w życiu znał i kochał. Nie ma Lucasinho. Nie ma mórz, gór, wielkich kraterów, nie ma miast i kolei. Nie ma miliarda śladów stóp pozostawionych przez ludzi w ciągu siedemdziesięciu lat.

Patrzył teraz na Panią Lunę tak samo jak jego matka prawie sto lat temu: Yemanja, jej osobista orixa, rozścielająca srebrną ścieżkę przez wodę i kosmos. I tylko tyle do końca życia widziała Adriana - tę jedną twarz Doni Luny, zmieniającą się, ale nigdy nie odwracającą. Całe rozumienie świata odwróciło mu się do góry nogami. Ziemia była bezlitosnym, przygniatającym piekłem. Księżyc był nadzieją. Wątlą, maleńką

nadzieją, którą można było zasłonić uniesionym kciukiem, ale zawsze nadzieją.

Srebrno obrzeżone pasmo chmur przesłoniło kwadrę Księżyca. Niebo wokół Lucasa nabrało głębi. Luna nie była już błyskotką na krańcu świata. Była daleka i niedosiężna. A przesłaniająca ją chmura - przepiękna i przygnębiająca. Dłoń i kciuk Mórz Żyzności Nektaru, wewnątrz dłoni Spokoju, część nadgarstka Jasności. Według księżycowych mitów rękawica skafandra.

Ciemna źrenica Morza Przesileń, jakże jasne wzniesienia na południowym wschodzie. Dostrzegał nawet jeden z jasnych promieni odchodzących od krateru Tycho. Patrzył na to wszystko beznamiętnie, beznamiętnie wymieniał nazwy, z astronomicznej odległości. Nagle dostrzegł, że ciemna część Księżyca jest usiana maleńkimi światełkami. Iskierki skupiały się wzdłuż równika, osady i habitaty wzdłuż Jedyńki Równikowej. Ten kłębek światełek to Południk, pośrodku jasnej strony, w punkcie najbliższym Ziemi. Oko powędrowało na południe: parę iskierek na ciemnym biegunie. Królowa Południa. Rozproszone iskierki wzdłuż linii łączącej bieguny. Mając lornetkę, rozróżniłby poszczególne pociągi. A tam, te ostre światełka na skraju terminatora, w ciemności, to lustra farm pod Twe. Tygiel zaś, najjaśniejsza iskra na obliczu Księżyca, nie będzie w tej fazie widoczny - znajduje się w pełnym słońcu, za księżycowym ramieniem.

Lucas, po szyję w podtrzymującej go wodzie, pił swoje nie dość dobre martini pod światłami księżycowych miast.

4. WAGA 2105

W tej czarnej piramidzie usadowionej na Bagnie Zgnilizny, pięćdziesiąt trzy lata temu się urodził. Duncan Mackenzie przeciąga palcem po grubej warstwie kurzu na blacie. W tym kurzu jest jego złuszczonej skóra - z każdym oddechem zaciąga się swoim dzieciństwem. Adrian ma na sobie maskę przeciwpyłową, Corbyn Woroncow-Mackenzie kicha teatralnie, lecz Duncan nie mógł zebrać swego zarządu w innym miejscu niż Hadley, pierwsza stalownia Mackenziech.

Teraz kładzie prawą dłoń na blacie stołu. Esperance śle bezgłośny rozkaz rozchodzący się układem nerwowym starego miasta. Duncan uśmiecha się, czując pod stopami drgania - systemy budzą się, sprawdzają się, uruchamiają. Jeden po drugim rozświetlają się bezpowietrzne korytarze. Hermetyzują się, zamykają się klapy, w próżnię wdiera się atmosfera. Ukryte grzejniki i promienniki podczerwieni podnoszą temperaturę. Kończy się księżycowy mróz. Duncan Mackenzie budzi swoją stolicę, komora za komorą, układ za układem. Gdy rodzina będzie bezpieczna, a firma stabilna i okopana, dopuści do siebie ciężką myśl o losie Tygla. Ale do tego czasu ktoś musi dźwigać strop na swoich barkach. Ktoś musi podzielić się powietrzem, aż wszyscy zdążą uciec z łazika.

- Bryce relokuje się do João de Deus - mówi Yuri Mackenzie,
- Operacyjni z Morza Spokoju dostali polecenie przekazania kodów sterujących.

- Skurwysyn. Nic ma prawa - mówi Denny Mackenzie.
- Mój brat organizuje zamach stanu - stwierdza Duncan. - Musi położyć łapy na helu. Bo jedyny wytapiacz metali po jasnej stronie mamy my. Ale teraz, jeśli szybko zadziałamy, możemy to zdławić w zarodku. Kogo mamy na Spokoju i

wschodniej Żyzności?

Denny wymienia ekipy, luniarzy, sprzęt. Duncana dekoncentrują nowe złote zęby. Stracił dwa podczas ucieczki z Tygła. Ma nadzieję, że nieszczęśnik, który przegrał walkę o miejsce z Dennyem, zginął szybko i czysto od jego noża.

- A na których możemy polegać? - pyta.

Ta lista jest dwukrotnie krótsza.

- Weź dwudziestu porządných *jackaroos* i przejmij dla mnie te ekstraktory. Najważniejsze, żeby Bryce ich nie miał. Użyj wszystkiego, co tylko uznasz za stosowne.

Pokonam ich ich własną bronią - mówi Denny.

Duncan pamięta tę maksymę. Hadley Mackenzie, jego przyrodni brat, uczył walki Robsona Cortę. Pomiędzy ostrymi snopami światła w Sali Noży, w Tyglu. Trzema ruchami rozbroił chłopaka, powalił go i przytknął mu do gardła czubek jego własnego noża. Robson miał jedenaście lat. Pani Luna jest kapryśna. Kochała Cortów, szczęściarzy i nowobogackich. Dla Mackenziech nigdy nie była dobra. Hadley Mackenzie zginął od noża Carlinhosa Corty. Carlinhos zginął od noża Denny'ego, gdy padło João de Deus. Pani Luna lubi poddawać próbie tych, których kocha.

- I na Morze Przesilen też trzeba wysłać ekipy - dodaje Duncan.-Yuri, ty się tym zajmij. Nie pozwolę sobie dwa razy stracić Morza Wężowego.

Denny już jest w windzie. Zaraz będzie rozsyłać kontrakty, zbierać ludzi i sprzęt, aby uderzyć mocno i szybko. Bryce ma jeden słaby punkt -nigdy nic ogarniał fizycznych rzeczy. Jego świat to kody, polecenia, analizy. Luniarze na morzu, ludzie na regolicie zawsze z tym wygrają. Duncan wbije nóż w ten słaby punkt i przekręci, aż poleje się krew.

- Adrian.

- Tak, tato?

Księżycowy Orzeł pofrunął do swego gniazda w Południku, Adrian jednak przyjechał do Hadleya. Gdy leje się żelazo,

rodzina trzyma się razem.

- Musisz mi dać LDC na tacy.

Adrian Mackenzie waha się. Duncan widzi w mięśniach wokół jego ust dziesiątkę sprzecznych emocji.

- Orzeł już nie ma takiego dobrego przełożenia na LDC jak kiedyś. W wielu kwestiach się różnią.

Okrąga odpowiedź, godna oko dyplomaty.

- I co to znaczy? - pyta Duncan, przerywa mu jednak głos Vassosa Palaeologosa, dawniej intendenta Tygla, teraz intendenta Hadleya:

- Proszę pana.

Vassos, najdoskonalszy ze służących, przerywa tylko wtedy, gdy ma coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

- Mów.

Jest drobny, łysiejący, o ziemistej cerze. Jego chowaniec to koncentryczne błękitne kręgi - nazar, oko chroniące przed urokiem.

- Mam informację ze stacji w Południku. Wang John-Jian nie żyje.

John-Jian był najlepszym inżynierem metalurgii na Księżycu. Duncan zapewnił sobie jego lojalność podczas pogrzebu w Królewskim Dworze. To poważny cios.

- Jak? Jak to się stało?

- Na peronie. Owad-asasyn.

Drony-owady, cyborgi uzbrojone w szybko działające neurotoksyny, to flagowa broń rodu Asamoah, lecz w małej dyspozytorni Hadleya nikt nawet przez moment nie sądzi, że ten zamach jest usankcjonowany przez AKA. Ta metoda została wybrana, bo jest dyskretna, cicha, dokładna, okrutna i nie ma postronnych ofiar, które mogłyby domagać się odszkodowań. Morderstwo dokładnie w stylu Bryce'a Mackenziego.

Uderzaj mocno i szybko. Szybko. Bryce gładko przemieścił się po krzywej charakterystycznej od rywalizacji do wojny. Esperance wywołuje chowańca Denny'ego. Denny już jest w

drodze, wyjeżdża z cienia półkilometrowej czarnej piramidy Hadleya rozpędzającym się pociągiem linii biegunowej Aitken-Peary.

- Mam pięć pełnych oddziałów. Sami zaufani *jackaroos*.

- Świetnie, Denny. Niech to się szybko skończy. Pokrój skurwiela. Przez pokój przechodzi pomruk aprobaty i potaknięć. Duncan wyciąga rękę.

- Czy ktoś tutaj zaprzeczy, że jestem szefem Mackenzie Metals? - pyta.

Pierwszy ujmuje wyciągniętą dłoń Yuri. Corbyn. Vassos. Ostatni jest Adrian.

- Jestem z tobą, tato. - Mimo to nie patrzy na ojca, unika jego wzroku, gdy Duncan chce mu spojrzeć w oczy.

Synu, jesteś po mojej stronie? Po stronie Bryce'a nie jesteś, więc po czyjej? Rękę mi ściskasz, ale czy przysięgasz wierność? Bryce może i ma firmę, lecz Duncan ma rodzinę.

Ostatni akt spektaklu. Duncan Mackenzie lubi doszukiwać się teatralnego dramatyizmu w codziennych sprawach, w przechodzeniu od prezentacji do produkcji, lubi dostrzegać melodramat w biznesowych spotkaniach. Jego flagowa szarość, od stóp do głów, razem z migotliwie szarą kulą Esperance - to wszystko wykalkulowany efekt. Bezgłośny rozkaz - za jego plecami odsuwają się dawno nieunoszone rolety za oknami sterowni Hadleya. Za wąskimi, grubymi szybami osadzonymi w pancernych, spiekowych ścianach rozciąga się niesamowity widok na Bagno Zgnilizny i tysiące czekających tam ciemnych przedmiotów.

Lustra się budzą.

Hadley powstaje pośrodku baterii pięciu tysięcy luster. Na rozkaz Duncana dawno nieuruchamiane mechanizmy poskrzypują i trzeszczą, mielą pył w silnikach i siłownikach. Lustra z wahaniem i dygotem unoszą swe twarze ku słońcu. Pole luster płonie tak jasno, że zanim zdąży zareagować fotochromowe szkło, ludzie w sterowni zasłaniają oczy dłońmi.

Zaraz przyciemnia się do przyzwoitego poziomu. Mackenzie zawsze czerpali siłę ze słońca. Bateria luster Hadleya była obiektem zazdrości obu światów i szczytowym osiągnięciem solarnej metalurgii, lecz dla Roberta i to było za mało. Przez czternaście dni księżycowej nocy lustra stały w ciemności, a piec stygł. Wymyślił więc sobie wytapiacz, który nie zna ciemności, który zawsze ma nad sobą karmiące lustra słońce. I zbudował Tygiel. Sunowie pyszną się swoim pałacem z iglicą, Pawilonem Wiecznego Światła. Tania przechwałka, zawdzięczana lokalizacji i selenografii. Mackenzie swój nieskończony dzień sami sobie skonstruowali. Osiągnęli cel, zmieniając Księżyc.

Lustra ustawiają się w pozycji roboczej, pięć tysięcy świetlnych snopów skupionych na wytapiaczu u szczytu ciemnej piramidy. Nawet podczas pełni będzie to widać z Ziemi - pośrodku Bagna Zgnilizny rozpała się nowa gwiazda.

Duncan Mackenzie zamyka oczy, choć blask pali czerwono i przez powieki. Zamyka je, by lepiej to poczuć. Wrażenie nieznaczne, ale po wyizolowaniu go z tła dźwiękowego budzącego się miasta jest nie do pomylenia.

Wspomnienie zaszyte głęboko w pamięci ciała - przenikający wszystko dygot działającego pełną parą Hadleya; drgania wzbudzone przez płynny metal lejący się z wytapiaczy do żaroodpornego przetyku pośrodku piramidy.

Odwraca się do swoich ludzi.

- Mackenzie Metals wraca do gry.

Ekipa szklarzy Szczęśliwa Ósemka dostaje wezwanie na pomoc pięćset kilometrów od Południka. Prawie całą lunę przepracowali na wyżynach na wschód od Morza Spokoju, jadąc wzdłuż północnego brzegu słonecznej elektrowni, sprawdzając poprawne działanie pieców spiekalniczych, naprawiając, konserwując, meldując i analizując. Praca przy

szkle jest dobrze płatna i nudna, nudna, nudna. Przez ostatnie trzy dni zajmowali się naprawą uszkodzeń po deszczu mikrometeorytów w rejonie krateru Dionizosa. Tysiąc drobnych dziurek, dziesiątki tysięcy pęknięć, niedzia-łający cały sektor ogniów. Mozolna, precyzyjna robota, której nie da się przyspieszyć, nie da się jej wykonać szybciej ani bardziej wydajnie.

„Ekipa Szczęśliwa Ósemka”. Wagner na początku każdej wyprawy mówi wszystkim to samo. Niektórzy weterani słyszeli to siedem razy. „Tak się nazywamy”. Nowi popatrują po sobie. Luna to zazdrosna pani. Nazywasz coś „szczęśliwym”, „szczęściarzem”, „trafem” czy „fuksem”, to prosisz się o jej gniew. „Bo tak jest”. Starzy stoją ze złożonymi ramionami. Wiedzą, że to prawda. „A wiecie, dlaczego mamy to szczęście? Bo jesteśmy nudziarzami. Bo jesteśmy uważni i dokładni. Bo umiemy się skupić. Bo nie jesteśmy szczęściarzami, my jesteśmy sprytni. Bo na powierzchni ma się tysiąc pytań, ale liczy się tylko jedno: czy zginę dzisiaj? I moja odpowiedź na to pytanie brzmi: nie”.

W ekipie Wilczka jeszcze nikt nigdy nie zginął.

Na szkle, czterdzieści kilometrów na południe od Dionizosa, na soczewce Wagnera wyświetla się wirująca czerwona gwiazdka — SUTRA 2, przedostatni z pięciu kodów zagrożenia na powierzchni. Najwyższy poziom jest biały. Na Księżycu biel to kolor śmierci. W krainie szkła stało się coś bardzo złego. Wagner sprawdza zapasy atmosfery, wody i prądu, przerzuca kierowanie łazikiem na swoją *junshi* Zehrę Aslan, sam zaś potwierdza odebranie sygnału i urządza ekipie Ósemki odprawę. Dr Luz, jego chowaniec w jasnym aspekcie, wyświetla kontrakt ratunkowy. Mackenzie Metals. Napływają wspomnienia - kuli się, sam, przerażony, na stacji Hypatia, gdy upada jego ród; przekrada się do domu, do stada, widząc nóż w każdym cieniu; ukrywa się między ciałami wilków, nienawidzi samego siebie, bo przeżył.

Wagner podpisuje kontrakt i śle go do Pałacu Wiecznego Światła po zatwierdzenie. Wspomnienia to jedno, przetrwanie to drugie. Pracuje teraz dla Sunów. Próbowali go zabić, kiedy zdemaskował ich intrygę mającą nastawić Mackenziech i Cortów przeciwko sobie. Uratowało go wtedy stado Magdalena z Królowej Południa. Gdy upadło imperium Cortów, ochroniło go stado Południka, płaciło za jego cztery żywioły, póki nie dotarło do niego, że po zniszczeniu Cortów Sunowie już nie mają powodu żywić do niego jakiejkolwiek wrogości. Zgłosił się do pracy na szkłe i następnego dnia dostał kontrakt. Od prawie roku pracuje dla Taiyangu. Dobry wilk.

Pierwszego trupa znajdują dwadzieścia kilometrów na zachód od krateru Schmidta. Ekipa Ósemki unosi pałaki bezpieczeństwa i zeskakuje na regolit. Medyczna AI łazika szuka śladów życia, lecz szklarze już wiedzą, że ich tam nie znajdzie. Mocny materiał elastyku jest rozpruty od gardła po jaja.

- Czyste brzegi - mówi Zehra Aslan.

Wagner kuca, żeby przyjrzeć się cięciu. Pani Luna zna tysiąc sposobów zabijania, ale żaden nie jest czysty. To jest śmierć od noża. Ósemka zostawia znacznik dla grupy recyklingowej Zabbalinów - węgiel jest drogocenny, nawet porzucony na kamienistych polach Zachodniego Spokoju. Awaryjne światelka prowadzą łazik do kolejnych trupów. Po dziesiątym ekipa nawet nie wysiada. Wagner i Zehra robią zdjęcia, dają przez radio znacznik, jadą dalej. Ciosy nożem, cięcia, amputacje. Odcięte głowy. Wszystko od noża.

Zehra kuca, by dokładniej przyjrzeć się czterem splątanim ciałom.

- W ogóle nie kojarzę tego logo na skafandrach.
- Mackenzie Helium - wyjaśnia Wagner. Prostuje się, rozgląda po ciasnym horyzoncie.
- Gąsienice.
- Trzy łaziki i coś dużo większego.

- Ekstraktor helowy.

W cieniu zachodniej ściany krateru Schmidta znajduje łażnik. Ma przetrącony kręgosłup, połamane osie, koła sterczą pod dziwacznymi kątami, talerze anten pogięte i zmiażdżone. Podniesione klatki ze wszystkich siedzeń. Załoga próbowała uciec ze zniszczonego pojazdu. Nie udało jej się.

Trupy w elastykach zaścielają powierzchnię krateru. Ósemka bada ciała. Wagner podłącza doktora Luz do AI martwego łażnika i wyczytuje z niej logi, dane i zapisy dźwiękowe. Trzeba jakoś zrekonstruować, co się tu stało, co się tu skończyło, w zimnym cieniu Schmidta.

Zehra wstaje i macha ręką.

- Żyje! Mamy żywego!

Ledwie. Jedyne ocalały w pierścieniu ciał. Złoty elastyk. Wagner słyszał o tym skafandrze. Pół ekipy Ósemki słyszało o tym skafandrze. Medyczna AI Wagnera diagnozuje całą listę urazów, całe dziesiątki. Rany tłuczone i miażdżone, liczne zmiany, otarcia, głęboka rana kłuta między siódmym i ósmym zębem. Elastyk zasklepił się nad raną, napięcie materiału musiało ją zamknąć.

Jak myślisz.?- pyta Zehra na prywatnym kanale Wagnera. *Wołać statek?*

Do Hypatii mamy czterdzieści minut, odpowiada Wagner. Będziemy tam szybciej niż każdy statek. Mają ośrodek medyczny ze wszystkim.

Skafander ocalonego ma mało baterii i tlenu. Ile on tu leży i czeka? Z nadzieją? Wagner często się zastanawiał, podczas nudnych prac na dziewiczym czarnym szkłe, co by zrobił sam, gdyby Pani Luna zostawiła go rannego na powierzchni, z kończącym się powietrzem i poziomem energii zbyt niskim, by choćby zawołać o pomoc. Długie chwile oko w oko ze śmiercią, z każdym oddechem przybliżającą się o krok na martwym regolicie. Nic bardziej nieuchronnego, nic bardziej pewnego. Otwórz hełm. Spójrz Pani Lunie w twarz. Poczuj mroczny

pocałunek. Czy miałby odwagę to zrobić?

Wsuwa wtyczkę do złotego skafandra.

- Musimy cię ruszyć.

Człowiek jest nieprzytomny, na pograniczu śpiączki, Wagner ma jednak potrzebę gadać do niego.

- Uwaga, to może boleć.

Ekipa Wagnera unosi rannego i przypina go do noszy. Zehra podłącza mu do skafandra rurki uzdatniaczy wody i powietrza.

- Ma strasznie niską temperaturę ciała - mówi, zerkając w odczyty w hełmie. Podłącza kabelek do plecaka podtrzymywania życia. - Przepłuczę mu skafander ciepłą wodą. Boję się, cholera, że się utopi, ale jak tego nie zrobię, to umrze z wyziębienia.

- Zrób to. Willard, wywołaj Hypatię. Powiedz, że ranny w drodze.

Człowiek porusza się. Stęknęcie w słuchawkach hełmu Wagnera. Wagner przyciska mu pierś rękoma.

- Nie ruszaj się.

Krzywi się na przeraźliwy krzyk bólu w słuchawkach.

- Kurwa mać... - Australijski akcent. - Kurwa - powtarza jeszcze raz, w błogim rozmarzeniu, gdy ogarnia go ciepło.

- Wieziemy cię do Hypatii - mówi Wagner.

- Moja ekipa...

- Nic nie mów.

- Zaskoczyli nas. Zrobili zasadzkę. Bryce się, kurwa, domyślił, że przyjdziemy. Weszliśmy prosto na jego noże.

- Mówiłem: nic nie mów.

- Jestem Denny Mackenzie - mówi ocalały.

- Wiem - odpowiada Wagner.

Wagner zna legendę o człowieku w złotym skafandrze. W fazie ciemnej, gdy światło Ziemi jest słabe, próbował sobie wyobrazić, co widział Carlinhos przed samą śmiercią. Twarz Denny'ego Mackenzie, który unosi mu głowę, odsłania gardło. Pokazuje nóż, który go zabije. Dla niego nigdy nie miał twarzy,

tak samo jak teraz, za odblaskową szybą hełmu. I ja dla ciebie też nie mam twarzy.

- Zabiłeś mojego brata.

Rozmowy Szczęśliwej Ósemki na wspólnym kanale milkną jak ucięte nożem. Wagner czuje, że wszystkie szybki zwracają się ku niemu.

- Kim ty jesteś? — Pokłuty nożem, w dziurawym skafandrze, z hipotermią, wyczerpany, oszołomiony przemysłowymi środkami przeciwbólowymi, zdany na łaskę i niełaskę człowieka, który ma wszelkie powody, by go zabić. Ale wciąż wyzywający. Cały Mackenzie.

- Jestem Wagner Corta.

- Pokaż się - mówi Denny Mackenzie.

Wagner podnosi osłonę przeciwsloneczną. Denny robi to samo.

- Zabiłeś mojego brata jego własnym nożem. Przewróciłeś go na kolana i rozciąłeś mu gardło. Patrzyłeś, jak się wykrwawia, a potem go rozebrałeś, przeciągnąłeś mu linkę pod ścięgniami Achillesa i zwiesiłeś z kładki na Zachodnim Siódmym.

Denny Mackenzie ani drgnie, nie odwraca wzroku.

- Więc co zrobisz, Wagner?

- My nie jesteśmy tacy, jak wy. - Wagner bezgłośnie wydaje ekipie polecenie: zapiąć się i jechać.

Opadają pałaki bezpieczeństwa, elastyki podłączają się do systemu podtrzymywania życia łazika.

- Moja rodzina jest twoim dłużnikiem - mamrocze Denny Mackenzie, gdy pałaki przyciskają Wagnera Cortę.

- Nic od twojej rodziny nie chcę - odpowiada Wagner Corta. Przełącza kierowanie łazikiem na Zehrę.

- To nie ma znaczenia, Wagner - stęka Denny Mackenzie, gdy łazikiem trzęsie na pobojuwisku. - Mackenzie zawsze odpłacają po trzykroć.

- Marina!

Zero reakcji.

- Marina!

Zero reakcji. Ariel Corta klnie pod nosem i sięga po linę. Podciąga się na niej znad pustej lodówki.

- Nie ma dżinu!

Chwyta się siatki pod sufitem i przeciąga z kuchennej wnęki, obok przynoszącego wstyd hamaka, do zagrodki, gdzie pracuje. Trzy krótkie wymachy nogami i wyćwiczony zeskok na koniec, prosto w krzesło, które nazywa Tronem Prawa. Klitka jest zbyt mała dla dwóch kobiet i wózka inwalidzkiego. Mija luna, odkąd rozdrukowała wózek i mieszkają tu tylko dwie kobiety. Potrzebowała jego kwoty węglowej. I zdążyła już przepić dziewięćdziesiąt procent tej kwoty.

- Beijaflor, pokaż, jak wyglądam.

Chowaniec podpina się do kamery kubika. Ariel przypatruje się swojej biznesowej twarzy. Policzki wycieniowane pudrem, pomarańczowa kredka, czarny tusz. Nagle wytrzeszcza oczy. Beijaflor powiększa obraz. Co, nowa zmarszczka? Skąd się wzięła? Syczy ze złością. No nic, Beijaflor wymaże ją dla klientów. Twoja prawdziwa twarz to twój chowaniec. Wydyma usta. Cyklamen, elegancki łuk Erosa. Na niewiele modnego ją teraz stać, ale kosmetyki to mus. No i bluzka. Karminowa Norma Kamali, szerokie rękawy, szalowy kołnierz. Jeszcze jest na rynku.

Górna połówka Ariel Corty to profesjonalistka. Dół, niewidoczny dla kamery, to fleja. Od talii w dół Ariel przedstawia obraz nędzy i rozpaczy-buja się po mieszkaniu w tych tanio drukowanych legginsach, których akurat nie ma na sobie Marina. Zawsze je kradnie, nigdy nie pyta, czy może pożyczyć. To by było przyznanie się do klęski. A sprawy klientów mogłaby równie dobrze jak z Tronu Prawa obsługiwać z hamaka, lecz to także byłoby przyznanie się do klęski.

- Beijaflor, powiedz Marinie, żeby załatwiła jakiś dżin. - Na

poziomie osiemdziesiątym siódmym jest całkiem niezła drukarenka. I bierze papierową kasę.

Masz tylko dziesięć bitsów danych.

Ariel klnie. Potrzebuje pasma do obsługi klientów. A dżin na śniadanie, teraz, gdy nie może go mieć, staje się sufitem i podłogą, Ziemią i słońcem, szumem wszechświatowego tła. Zaciąga się z długiego, tytanowego wapera. Nic nie daje, poza wyniosłą pozą i satysfakcją dla ust. Sprawdza fryzurę. Sterczy nastroszona zgodnie z najnowszą modą.

- Dawaj pierwszego.

Nikah Fuentesesa. Beijaflor wyświetla na soczewce Astona Fuentesesa. Ariel błyskawicznie przelatuje przez dwadzieścia siedem klauzul kontraktu mających potencjał, by obrócić się przeciwko klientowi i wypruć mu serce z piersi. Po każdym takim punkcie Astonowi odrobinę bardziej opada szczeka.

- Aston. Masz otwarte usta.

Klient numer dwa. Wong, sprawa rozwodowa. Jest tylko jeden sposób, żeby otrzymał opiekę nad dzieckiem — musi nakłonić córkę, żeby złożyła odrębny wniosek, o pozbawienie tej władzy współojca, oczywistą drogą jest oskarżenie go o niezapewnienie odpowiedniego wyżywienia czy optymalnego środowiska domowego, choć Lily pewnie najłatwiej będzie tłumaczyć się osobistą odrazą do Marco pozostającego w roli rodzica. Ariel zaleca pójście głęboko w brudy - coś się znajdzie, każdy coś ma. Nawet jeśli się uda, potem to dziewczynka będzie musiała zdecydować, czy zaproponować Brettowi kontrakt rodzicielski. A Marco miałby zniszczone dobre imię i reputację, za co też mógłby domagać się odszkodowania. Tak więc Brett musi sam się zastanowić - czy warto płacić taką cenę?

Amoria Czerwony Lew. Teraz dżin jest już drogocenny jak rzadkie deszcze oczyszczające z pyłu powietrze Kwadry Oriona. Nie nie nie nie nie, skarbie. Ariel nigdy nikomu nie pozwoli, żeby, wchodząc do amorii, zapakował się w jakiś ciężki kontrakt.

- Amorie to istoty lekkie, otwarte, ulotne i przelotne. Nie można ich, skarbie, miażdżyć ciężką *nikah*. Wyślij mi ten kontrakt, ja go rozłożę na czynniki pierwsze i zaproponuję...

Koniec.

Skończyły się dane, mówi Beijaflor.

- Kurwa mać! - klnie Ariel Corta. Z całej siły wali pięścią w białą ścianę. - Nienawidzę tego. Jak tu, kurwa, coś doprowadzić do końca? Marina! Marina! Załatw mi trochę sieci! Ja pierdołę, prolka się ze mnie robi.

Słyszysz ruch za drzwiami wejściowymi.

- Marina?

Marina wielokrotnie ją ostrzegęła, żeby nie zostawiała otwartych drzwi. To niebezpieczne. Każdy może wejść. Na tym to polega, kochana. U adwokata jest zawsze otwarte. Na co Marina odpowiada: „A kto cię tu wtaszczył na rękach, nie pamiętasz? Pewnie nigdy nie będziesz bezpieczna”.

Ruch w przedpokoju.

- Marina?

Ariel podciąga się, unosi z Tronu Prawa i czepia palcami siatki pod sufitem małego mieszkanca. Przerzuca się do „salonu”.

Postać odwraca się.

Najpierw czuje cios pięścią, potem kopniaka.

Idzie poprzeczką, jednym z tych zapomnianych chodników prowadzących przez gołą skałę i łączących kwadry ze sobą. Są stare, zapyłone, napromieniowane, że aż strach. Za sobą ma północ w Kwadrze Antaresa, przed sobą poranek w Orionie. Niesie pas pełen brudnych papierowych pieniędzy od klientów, trochę makaronu curry i księżycowych ciastek. Wraca do Ariel.

Poprzeczki są długie i pełne cieni. Na Księżycu zaniedbuje się niepotrzebną infrastrukturę. Przyswajają ją sobie dla własnych celów dzieciaki, buntownicy i typy spod ciemnej gwiazdy.

Czekali na nią. Byli zorientowani, znali jej zwyczaje, wiedzieli,

co niesie. W ogóle ich nie zauważyła. Oczywiście, że nie. Gdyby ich zauważyła, nie zaatakowałyby. Pierwszy trafił ją w środek krzyża. Pięść, z ciemności, prosto w nerki, tak, że zapiera dech, mąci myśli i przewraca na kratę.

Potem kopniak. Widzi go przez czerwoną mgłę bólu i robi unik. Dostaje w bark, nie w głowę.

- Hetty - jęczy. Niestety jest sama. Wyłączyła chowańca, żeby Ariel miała pasmo na porady prawne.

Bucior znów unosi się nad jej głową. Łapie go, próbuje odepchnąć, zanim wgniecie jej czaszkę w tytanową kratę. Bucior opada na rękę. Marina wrzeszczy.

- Jest, mam to! - krzyczy ktoś. Nóż przecina jej pas z pieniędzmi.

- Ja bym ją załatwił.

- Zostaw.

Marina łapie powietrze. Krwawi. Tupot buciorów na kracie w tunelu. Nie wie nawet, czy to byli mężczyźni, czy kobiety. I tak ich nie zatrzyma. Nie może nic im zrobić. Zabrali jej kasę, zabrali makaron, zabrali ciastka.

Nie mogła nic zrobić. To przeraża ją bardziej niż krew, bicie, boląca nerka, pęknięte żebra, zasinione palce. Kiedyś pod służą w Beikou ciskała luniarzami Mackenzie Metals jak zabawkami. Teraz - dwóch oprychów w poprzecznym tunelu o północy i nic nie jest w stanie im zrobić.

- Poczęstowałabym cię dżinem, ale akurat się skończył. Zrobiłabym ci herbatę, ale ja nie robię, a poza tym zajmuję jedyne krzesło, jakie mamy - mówi Ariel Corta. - Przykro mi strasznie. Są hamaki albo możesz sobie gdzieś przysiąść.

- Przysiądę sobie - odpowiada Vidhya Rao. Przysiada na brzegu biurka Ariel.

Trochę przytyło, odkąd Ariel widziała je ostatni raz, wśród wypłowiałego przepychu Towarzystwa Lunariańskiego. Teraz

wygląda jak bulwa, człapie niezdarnie, przelewa się, otulone w wiele warstw tkanin. Ma obwisłe policzki i wory pod oczami.

- Przykro mi cię widzieć w tak marnej sytuacji - mówi.

- Cieszę się, że w ogóle oddycham - mówi Ariel. - A ty jak, dalej pracujesz dla Whitacre Goddarda?

- Doradzam. Mam pewien portfel klientów. I dalej trochę mieszam na rynkach, patrzę, co się uda namieszać. Śledziłam twoje ostatnie sprawy. Mogę zrozumieć, dlaczego zajmujesz się prawem matrymonialnym. Widowisko z tego jest niesamowite.

- To widowisko to nadzieje i serca ludzi. Szczęście ludzi. - Dżinu. Trochę dżinu, do cholery. Gdzie on jest, gdzie jest Marina? Ariel wkręca kapsułkę do wapera i pstryka paznokciem wyłącznik. Jarzy się grzałka, Ariel wciąga chmurę przygotowanego na zamówienie spokoju. Luz i beztroska zalewa jej płuca. Prawie tak dobry jak dżin.

- Twoja sława nadal cię wyprzedza - stwierdza Vidhya Rao. - Mam najnowocześniejszy soft do rozpoznawania wzorców, ale szczerze, nie był mi potrzebny, żeby cię znaleźć. Jak na kogoś, kto się ukrywa, to polot masz niesamowity. Teatralny wręcz.

- Nie znam żadnego adwokata, który by nie był niespełnionym aktorem. Sąd, scena... jedno i drugie to widowisko. Pamiętam, jak kiedyś powiedziałaś, kiedy należałam do tego twojego radosnego politycznego klubiku, że twój soft zobaczył we mnie osobę znaczącą, osobę, która zatrząsie Księżycem. - Gestykułuje waperem, kłęb dymu rozchodzi się po całych trzech i pół pokoiku jej imperium. - A tu Księżyc dalej się nie zatrząśł. Przykro mi, że tak rozczarowałam twoich Trzech Dostojnych.

- Zatrząśł się, zatrząśł. Właśnie widzimy skutki tego wstrząsu.

- Nie możesz mnie wiązać z tym, co się stało w Tyglu.

- Ale pewne powtarzalne wzorce są - mówi Vidhya Rao. - Zawsze najtrudniej zauważyć te duże, co wyglądają jak krajobraz.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi było jakoś przykro, że Bob Mackenzie wziął prysznic, co miał tysiąc stopni. - Ariel podkreśla słowa kłębem pary. - Jak się mieszka pod milionem ton roztopionego metalu, to się kusi, może nie los, ale na pewno kogoś, kto ma oko do ironii. No, nie patrz tak na mnie.

- Tam był twój bratanek — zauważa Vidhya Rao.

- No to ewidentnie żyje, inaczej byś tego nie powiedziała. Wzorce. Który bratanek?

- Robson.

- Robson. O bogowie. — Nie myślała o bratanku, odkąd ze starych prawnych dokumentów wynikało, że jest teraz podopiecznym Mackenziech. Ani o Lucasinho, o Lunie, o żadnym z dzieciaków, które przeżyły. Nie myślała o Wagnerze wilku, ani o Lucasie, żyje czy nie żyje. Nie myślała o niczym oprócz własnego losu, własnego życia, własnego przetrwania. Zaciąga się głęboko, żeby pokryć grymas smutku i poczucia winy. - Kontrakt rodzicielski dalej mają Mackenzie?

- Tak. Jest podopiecznym Bryce'a Mackenziego.

- O. To muszę go z tego wyciągnąć. — Ariel pstryka palcami. — Kontrakt Mackenziech zawsze łatwo poznać. Zawsze są byle jak zrobione.

- Ważniejsze jest to, że od Żelaznego Potopu na ziemskich rynkach surowców panuje zamieszanie - mówi Vidhya Rao. - Ceny lantanowców i helu-3 wczoraj pobiły rekord wszech czasów, a dziś pewnie padnie nowy. Grupy G10 i G27 apelują o stabilizację cen i produkcji.

- W próżni nikt nie słyszy twojego krzyku - zauważa Ariel.

- Księżyc łączy z Ziemią coś więcej niż tylko grawitacja.

Ariel wypuszcza długą strużkę pary.

- Vidhya, po co przyszłość?

- Z zaproszeniem.

- Na to święto? Wolalabym sobie oczy wykluć. A jeśli coś politycznego, Cortowie się polityką nie zajmują.

- Zaproszenie na koktajl. Crystaline, Mohalu, godzina

trzynasta, czas Kwadry Oriona.

- Crystaline. To muszę mieć sukienkę - mówi Ariel. - Elegancką suknię koktajlową. I dodatki.

- Oczywiście.

Beijaflor szepcze: *Przelew pieniężny*. Wystarczy na sukienkę i dodatki, na nowy wózek, na *moto*. Na dżin. Przepyszny, przepyszny dżin. Ale przede wszystkim na dane. Beijaflor łączy się z siecią. Fala wrażeń, napór świata, informacji, wiadomości, czatów, plotek jest aż zmysłowy - jej ciekawość biegnie przed siebie jak dziecko.

- Beijaflor, daj Marinę - rozkazuje. Beijaflor już otwiera katalogi i księgi wzorów. - Musi mi odebrać rzeczy z drukarki.

- Może ci ktoś to dostarczyć, stać cię - mówi od drzwi Vidhya Rao. - Nie jesteś ciekawa, z kim to spotkanie?

- Wszystko jedno. Dam sobie radę bez przygotowania.

- Z Księżycowym Orłem.

Marina wlecze się, utykając, długą na kilometr poprzeczką do Kwadry Oriona. Wciska przycisk windy serwisowej i krzyczy, gdy poczerwiałe, posiniaczone palce rozpała ból. Zjeżdżając klatką windy ze szczytu miasta, wspomina wszystkich ludzi, których śmierć widziała na Księżycu. Nagłą i przypadkową śmierć. Głowa zmiażdżona przez aluminiową belkę na stanowisku szkoleniowym. Nóż wbity w gardło. Czaszka przebita srebrną włócznią waporyzatora. Ta śmierć już zawsze będzie jej stać przed oczyma. Nigdy nie zapomni oczu tego człowieka, jak z żywych stawały się martwe. Nigdy nie przestanie widzieć tej chwili, gdy uświadamiał sobie, że został mu tylko ułamek sekundy życia. Edouard Barosso. Okaleczył Ariel, zabiłby ją, gdyby Marina nie chwyciła pierwszego przedmiotu, który wpadł jej w rękę, i nie wbiła mu go pod brodę, aż wyszedł wierzchem jego miękkiej, urodzonej na Księżycu czaszki.

Jakże łatwo było dołączyć do tej listy ofiar, tu, na samej górze, w poprzeczce. Pobili ją. Chcieli ją zabić. Kiedyś by nie dali rady. Kiedyś tacy szmaciarze z trzeciego pokolenia nawet by jej nie tknęli.

Klnie, szarpiąc sztywnymi czarnymi palcami zamknięcie bramki, uwiesza się na kracie zmęczona. Każdy oddech to powoli i głęboko wbijany nóż. Kuśtyka na Zachodni 17, przeciska się między przechodniami, żeby chwycić się balustrady. Przed nią rozpościera się przepaść Kwadry Oriona. Pełźnie wzdłuż poręczy, od belki do belki. Najbliższy lekarz jest kilometr w kierunku północnym tego potężnego walca, w miejscu, gdzie spotyka się pięć skrzydeł Kwadry. Od belki do belki, ku pomocy. Przejście stu metrów zajmuje jej dziesięć minut.

Już prawie szepcze do Hetty, żeby się uruchomiła. Zawołaj pomoc. Zadzwoń do Ariel. Ariel pomoże. Wszyscy na Bairro Alto tak mówią. Ale nie może. Zawiodła ją. Dała sobie zabrać pieniądze Ariel. Jak może twierdzić, że ją ochroni, skoro nawet jej kasy ochronić nie umie? Odkąd Corta Hélio upadło, w ogniu i we krwi, a ona wspięła się na dach świata, szczebel za szczeblem, dłoń za dłonią, z Ariel Cortą na ramionach, obroniła ją przed tysiącem wrogów, gwałtownych i cierpliwych.

Dłoń za dłonią Marina wędruje wzdłuż poręczy.

Dzwoń do niej. Wystarczy głupota, po co jeszcze duma.

Hetty startuje. Trzy wiadomości. Dwie o dżinie i jedna informująca, że przekroczyły limit na dane. Marina Calzaghe wali posiniaczoną pięścią w poręcz. Ból jest intensywny i oczyszczający. Należy się jej.

Nie przeraża jej to, jak jest pobita. Przeraża ją, że udało im się ją pobić.

Podjeżdża *moto*. Otwiera się.

- Pracujesz u Ariel, nie? - Pasażerem jest facet w średnim wieku o twarzy i włosach poszarzałych od lat promieniowania.

Marina z wysiłkiem kiwa głową.

- Wsiadaj. Rany, strasznie wyglądasz.
Pomaga jej podejść do drzwi przychodni.
- Pracowałem kiedyś dla Corta Hélio — mówi. — Byłem
luniarzem. — I dodaje po portugalsku: — W dupie mam
kontrakty Mackenziech.

- Oczywiście, że Ariel ma kredyt.
Przychodnia doktor Macaraeg na 17. poziomie nad głównym
placem Oriona jest błyszcząca i świetnie wyposażona.
Wypucowane boty, wypucowani pacjenci. Marina zostawia
krwawe smugi na kontuarze recepcji, na którym stoją świeże
kwiaty. Doktor Macaraeg to dawna lekarka domowa Boa Vista i
osobista Adriany Corty. Zajmowała się Ariel w szpitalu w João
de Deus po tym, jak Edouard Barosso przerwał jej rdzeń
kręgowy nożem wyhodowanym z własnych kości. Tłoczyła się
razem z rodziną w przeludnionym, śmierdzącym schronie, gdy
niszczyli miasto; opatrywała ocalonych - ostatnia rzecz, jaką
mogła dla Cortów zrobić. Przyjechała do Południka i otworzyła
elegancki ośrodek na placu Oriona, lecz to osoba, która
pamięta jeszcze, co to takiego honor i obowiązek, rodzina i
lojalność.

- Ale za niski, żeby zrobić skan i cię poskładać.

Doktor Macaraeg nie jest instytucją charytatywną.

- To sam skan poproszę - mówi Marina.

- Radziłabym... - zaczyna doktor, lecz Marina przerywa jej.

- Skan.

Skaner jest tani i bada powierzchownie - dwa czujniki w
zatrzaskach uniwersalnych manipulatorów. Do tego celu
jednak wystarczy. Marina ustawia stopy na wskazanych
miejscach, a bot przesuwają wokół niej ramiona, robiąc dokładną
mapę każdego centymetra jej ciała. Nawet rozbierać się nie
musi.

- Ile czasu?

- Jedna luna, może półtorej.

Wniosła Ariel Cortę, ręka za ręką, szczebel za szczeblem, na dach świata, do Bairro Alto, gdzie chronią się wyrzutkowie - ludzie biedni, ludzie bez kontraktów, uciekinierzy, chorzy i ci, którym kamienieją płuca od wdychania zapyłonego powietrza. I ścigani. W górę, schodami, drabinkami, do klitek, komórek i kryjówek poutykanych w luki pomiędzy starymi systemami środowiskowymi, agregatami, liniami energetycznymi i zbiornikami z wodą. Marina знаła ten świat. Sześć tygodni na Księżycu, ledwie nauczyła się chodzić prosto. Jeden zerwany kontrakt i wylądowała na samej górze Bairro Alto. Sprzedawała szczyny. Oddychała płytko, żeby ktoś na dole mógł za kasę oddychać głęboko. Myślała, że już tu nie wróci.

Ale znała to miejsce i wiedziała, co robić, aby tu przeżyć. Wiedziała też, że Ariel nie ma o nim pojęcia i ta niewiedza zabije ją szybciej niż noże Mackenziech. Znalazła tę klitkę, skombinowała hamaki, siatkę pod sufit, a potem, gdy nabierało się trochę bitsów, wyposażyła tak, by żyło się względnie wygodnie. Dobre łącze. Dobra drukarka mająca jakieś pojęcie o modzie. Kosmetyki. Lodówka i dzin w lodówce. Jednakże, budując życie dla Ariel, zupełnie zapomniała o własnym. O własnym ciele. Zapomniała, co robi z nim Księżyc, jak wypłukuje wapń z jej kości, wysącza siłę z mięśni, tę zieluniacką siłę, która pozwalała jej ciskać luniarzami Mackenziech po śluzie jak szmatami. Aż doszło do tego, że dwóch chudych gnojków było w stanie przewrócić ją, pobić i okraść.

Marina podsuwa sobie pod oczy wyświetlacz skanera.

- Nic innego nie powie — uprzedza doktor Macaraeg.

I nie mówi, lecz Marina musi na własne oczy zobaczyć liczby wskazujące, że zbliża się jej Księżycowy Dzień. Że to już niedługo. Dzień, w którym trzeba będzie zdecydować, czy wraca na Ziemię, czy na zawsze zostaje na Księżycu. Jedna luna, może półtorej. Trzydzieści, czterdzieści pięć dni. Dni.

- Proszę nie mówić Ariel.
- Nie powiem.

Musi jej to sama powiedzieć. Osobiście. Powiedzieć jej, że zbliża się Księżycowy Dzień. Że nienawidzi Księżycyca i zawsze go nienawidziła, za to, co robi z ludźmi, za lęk, za niebezpieczeństwo, za wszechobecny smród pyłu, który dostaje się wszędzie, jest w każdym mrugnięciu okiem, w każdym oddechu, jak odór śmierci. Że została tylko dlatego, że tylko dlatego służy Ariel, chroni ją, opiekuje się nią, bo nie może jej tak zostawić.

Czyli nic jej nie powiedzieć.

- Dziękuję, pani doktor.

Doktor Macaraeg przyciska palce do jej obitych żeber, zmuszając ją bólem, żeby z powrotem usiadła na wózku.

- Siedź i się nie ruszaj. Zaraz cię poskładam.

W Południku jest wieczór święta Zhōngqiūjie. Cała Kwadra Wodnika jest wystrojona na czerwono i złoto, proporce z rozwidlonymi końcami, flagi modlitewne i kaskady lampionów zwieszają się z wysokich pięter, z galeryjek i kładek, a każda klatka schodowa i pochylnia migocze światłami. Pod przyciemnioną linię słoneczną wznoszą się przeogromne lampiony. Pośrodku w powietrzu unoszą się stada wypełnionych helem Księżycowych Królików, lawirując między flotyllami czerwonych baloników, które uciekły dzieciom z rączek. Jest też latający dron-smok, wijący się pomiędzy kładkami i duktami z kablami. Biolampki przeświecają między drzewami, lśnią w kawiarniach, budkach herbacianych i straganach z Księżycowymi Ciastkami wzdłuż Prospektu Tierieszkowej. O, patrz: stoiska z koktajlami! O, słuchaj! Muzyka idąca o lepsze z zonglerami, ulicznymi magikami i puszczającymi bańki mydlane! Na Księżycu bańki osiągają tytaniczne rozmiary Rodzice opowiadają maluchom, że potrafią uwięzić w środku niegrzeczne dzieci i ponieść je aż na Bairro Alto. Szlachetne kłamstwo. Jest i malowanie buziek. Malowanie

buziek jest zawsze. „Pomaluję cię w tygrysa”, mówi, unosząc pędzel, jedna z animatorek. „Co to tygrys?” - pyta dziecko.

Cała Kwadra Wodnika występuje w świeżo wydrukowanych odświętnych ubraniach. Tłumy ludzi na ulicach, na piętrach, na kładkach. Dzieci uganiają się od straganu do straganu, nie mogąc się zdecydować, tyle tych cudów. Nastolatki i młodzi ludzie poruszają się grupkami, patrząc z pogardą na cały ten populizm, lecz skrycie i tak kochają to święto. Niektórzy świętowali je po kolei w każdej z trzech kwadr Południka. W Zhōngqiūjie podrywasz kogoś, kogo pragnąłeś przez cały rok, ale nie miałeś odwagi podejść. O? Widzieliście? Dziewczyny czy chłopcy - w końcu dziewczyny to były? Chłopcy? Przebiegły ze śmiechem przez tłum ubrane tylko w farbę. Dziesięć Pań Lun, w połowie czarnych i żywych, w połowie białych i martwych. Zhōngqiūjie to czas na pokazywanie ciała i na bezczelność.

Prawowitą właścicielką Zhōngqiūjie jest Chang'e, Bogini Księżycy, lecz Pani Luna, uzurpatorka, oszustka, złodziejka, ukradła je. Pani Miłości i Śmierci dzieli się w tę noc zaszczytami z setką pomniejszych świętych, *orixas*, bogów i herosów. Pod strop wznosi się sto spiralnych wstążek dymów z kadzideł, pachnie sto aromatów. Yemanja i Ogun przyjmują kwiatowe ciastka i dżin. Uliczne kapliczki Matki Boskiej Kazańskiej płoną mrowiem luminescencyjnych wotów. Dziś wieczorem do niszczarek trafi trylion w banknotach.

No i Księżycowe Ciastka. Okrągłe, z wyłobieniami dookoła, z wytłoczonymi hasłami lub *adinkrami*, w kształcie króliczków, zajączków, jednorożców, kucyków, krówek i rakiet. Wszyscy je kupują. Nikt nie je. „Za ciężkie. Za gęste. Za słodkie. Zęby bolą od samego patrzenia”.

Na przedzie hełmu, tuż nad szybką, jest godło - pół żywa, pół kościana głowa. Ale nie Pani Luna, nie jest to twarz kobiety. To pysk wilka. Pół wilk, pół wilcza czaszka. Hełm wisi przytroczony do plecaka skafandra, plecak wisi na ramieniu

Wagnera Corty. Wraca do domu, pomiędzy Księżycowymi Ciastkami, wśród muzyki, świętych i seksu. Śmiertelnie znużony, choć zadowolony - widoki, dźwięki, zapachy, duchy ciągną go na wszystkie strony, jak wbite w skórę cieniutkie haczyki.

Przemieszcza się między świętującymi, wędruje coraz wyżej pochylniami, schodami ruchomymi i nie. Czuje się świetlisty, naświetlony, oświecony. Wyostrzone zmysły łapią dziesiątki rozmów jednocześnie, rejestrują sto chwil. „Uwielbiam tę piosenkę. No chodź, spróbuj. Chociaż trochę”. Niespodziewany pocałunek. Wymioty z wytrzeszczonymi oczyma. Za dużo Księżycowych Ciastek. „Dotykaj mnie, kiedy tańczę. Mogę balon? Gdzie jesteś?”. Kątem oka dostrzega chowańca, jednego chowańca w mrowiu cyfrowych asystentów... potem pięć, dziesięć, kilkanaście innych sunących przez tłum ku niemu. Puszczą się biegiem. Wilcze stado wyszło mu na spotkanie.

Amal, przywódca południkowej sfory, rzuca się pierwsza, łapie go, tarnosi mu włosy, przygryza dolną wargę w rytualnym geście dominacji.

- Oj ty, ty, ty.

Unosi go, z elastykiem, hełmem i wszystkim, okręca wokół siebie, a wtedy dopada go reszta sfory. Całusy, uściski, delikatne, czułe ukąszenia. Dłonie mierzwią mu włosy, wymierzają udawane ciosy w brzuch.

Śmiertelnie zimne Zachodnie Morze Spokoju, równina usiana elastykami, okropności, których się naoglądał tyle, że popadł w apatię; wszystko to niknie pod czułymi całusami sfory.

Amal lustruje Wagnera od stóp do głów.

- *Lobinho*, wyglądasz jak śmierć.

- Rany, kupcie mi wreszcie jakiegoś drinka - odpowiada Wagner.

- Jeszcze nie. Musisz jechać do Sömmeringa.

- A co się stało w Sömmeringu?

- Jest specjalna przesyłka dla ciebie, Wilczku, od Hoang

Lama Hung - Mackenziego. A skoro chodzi o Mackenziech, to jedziemy z tobą.

Wagner wstaje bardzo wcześnie, zanim zbudzi się reszta sfory, i wygrzebuje się ze wspólnego pośłania. Wytrząsa sny z głowy. Wspólne sny są ciężkie, lepkie, dojmujące. Ciężko było wybić się z tego snu. Ubranie. Pamiętaj o ubraniu.

Góra koców, gdzie kładł chłopaka spać, jest pusta. Miejsce po Robsonie ma wyraźny, obcy zapach. Miód, ozon, pot, ślina. Tłuste włosy, pryszczki. Przepecone ciuchy, niedomyta skóra. Grzyb ze stóp i spod pach. Bakterie za uszami. Nastoletnie chłopaki śmierdzą jak nie wiem.

- Robson?

„To wy śpicie razem? Wszyscy?”. Gdy sfora wracała do Południka, Zhōngqiūjie już dogorywało: porozrzucane lampiony, porozlewana wódka, podeptane Księżycowe Ciastka. „Wilki”, szeptali ludzie, schodząc z drogi ciasnemu, zawziętemu szykowi grupki o ciemnych twarzach, z chłopcem w jasnym garniturze z podwiniętymi rękawami pośrodku. Po wszystkim Robson ledwo chodził, ale jeszcze musiał z uporem, dokładnie zbadać dom sfory. Wagner wiedział, co robi. Przystawia sobie teren. Poznaje świat wilków.

„Coś się wymyśli”, powiedział wtedy Wagner. „Prześpisz się na kanapie czy coś. Naprawdę nie mamy oddzielnych łóżek”.

„A jak to jest spać tak razem?”.

„Ma się wspólne sny”, odparł Wagner.

Znajduje Robsona w aneksie kuchennym, zgarbionego na wysokim stołku przy barku, owiniętego prześcieradłem. Tasuje talię kart - pół talii, zauważa spostrzegawczy Wagner - zręcznie, jedną ręką unosi górną połówkę, zestawia z dolną, przesuwając, wyrównuje. I jeszcze raz. I jeszcze.

- Jak tam, Robson?

- Za dobrze to nie spałem. - Nie odrywa wzroku od

kompulsywnie tasowanych kart.

- Przepraszam cię. Dzisiaj spróbujemy ci wydrukować jakieś łóżko. -Wagner odpowiada po portugalsku. Liczy, że stary język ucieszy Robsona i doda mu otuchy.

- Może być kanapa - odpowiada Robson w globo.

- Coś ci przynieść? Soku?

Robson stuka w mały stolik szklanką z herbatą.

- Jak czegoś ci trzeba, to mów.

- Dobrze. - Dalej w globo.

- Niedługo będą się tu kręcić ludzie.

- Nie będę im przeszkadzać.

- Ale może byś coś na siebie włożył.

- A oni? - Karty dzielą się i łączą z terkotem.

- Czegoś ci trzeba, to...

Robson unosi głowę, gdy Wagner się odwraca. Kątem oka dostrzega błysk oczu.

- Mogę sobie wydrukować jakieś ubranie?

- Pewnie.

- Wagner.

- Co?

- Wy naprawdę wszystko robicie razem?

- Dobrze nam ze sobą. A co?

- A moglibyśmy gdzieś wyjść na śniadanie? Tylko we dwóch?

Wagner Corta nawet po dwudziestu dniach na szkle nie był tak wyczerpany, jak po trzech dniach z Robsonem. Jak to możliwe, żeby trzynastolatek wymagał tyle czasu i tyle energii? Żywność - on nigdy nie przestaje jeść. Jest idealną maszyną do przetwarzania masy na energię. I jeszcze to będzie jadł, tamtego nie będzie, w tym miejscu będzie jadł, w tamtym nie. Wagner żadnego hot-shopu nie odwiedził dwa razy.

Oddychanie. Kontrakt adopcyjny Mackenziech gwarantuje chłopakowi Cztery Żywioty. Ktoś taki jak Bryce mógłby się

zniżyć do zerwania takiego kontraktu z zemsty. Sfora pracuje przez godzinę, w pełnym *gestalcie*, żeby dyskretnie przełączyć czib Robsona na inne konto, należące do całego łańcucha pozagnieżdżanych jedna w drugiej firm-wydmuszek. Oddychaj spokojnie, Robsonie.

Nauczanie indywidualne czy w grupie? Ogólnokształcące czy specjalistyczne?

Masturbacja. Znalezienie w domu wilków intymnego miejsca, żeby to robić. O ile to w ogóle robi. Wagner jest pewien, że on w tym wieku jeszcze tego nie robił. No i kolejna kwestia, w którym miejscu spektrum się chłopak plasuje - co lubi, kto mu się podoba, kto i co podoba mu się bardziej, o ile w ogóle cokolwiek mu się podoba.

Finansowanie. Bogowie, jaki drogi jest ten chłopak. Wszystko dla trzynastolatka kosztuje.

Isolacja. Chłopak jest miły, poważny, dowcipny i dziesięć razy na dzień potrafi Wagnera wzruszyć, lecz każda chwila spędzona z nim to chwila poza stadem. U wilków to działa inaczej - potrzeba przebywania razem *jest* fizyczna, wypalona w kościach błękitnym blaskiem Ziemi. Wagner czuje ból rozłąki przez cały czas, gdy jest z Robsonem, wie też, że i sfora to odczuwa. Widzi spojrzenia, widzi zmianę emocjonalnego klimatu. Robson też to wyczuwa.

- Amal chyba mnie nie lubi.

Jedzą obiad w Jedenastej Bramie. Robson jest ubrany w bardzo krótkie białe szorty, z eleganckimi kantami, oraz białą koszulkę z obciętymi rękawami, z wielkim napisem „WHAM!”. Do tego Wayfarery w białych oprawkach. Wagner jest od stóp do głów w dżinsie. Niektóre sfory noszą się w jednym stylu i nieodmiennie jest to gotyk. Sfora Południka - zawsze zgodnie z trendem.

Jedenasta Brama to hałaśliwy barek z makaronowymi sałatkami *woon sen*. Po Zhǒngqiūjie jest tu cicho, Wagner jest jednak nieufny. Omiata jedzących i popijających herbatę

wilczymi zmysłami. Ze wszystkich problemów, które Robson przywiózł ze sobą z Sómmeringa, największym jest bezpieczeństwo.

- Czuję się przy tobie nieswojo. Wielu z nas czuje się przy tobie nieswojo.

- A co ja takiego robię?

- Nie chodzi o to, co robisz, ale czego nie potrafisz zrobić. O *ekate*.

- Słyszałem to słowo. - Rozmawiają teraz po portugalsku. *Ekata* to wilcze słowo, pożyczone z pendzabskiego i przywłaszczone.

- Nie da się tego przetłumaczyć. Poczucie bycia razem. Chrześcijanie powiedzieliby „wspólnota”, muzułmanie — pewnie *umma*, ale to coś o wiele silniejszego. Jedność, jakby. Jeszcze coś więcej. Otwierasz oczy i ja nimi patrzę. Rozumiemy się, nie rozumiejąc... Jestem wilkiem. Nie wiem, czy da się to wytłumaczyć komuś, kto wilkiem nie jest.

- Uwielbiam, jak ty to mówisz. „Jestem wilkiem”.

- Bo jestem. Długo mi zajęło, żeby samemu przed sobą się przyznać. Byłem mniej więcej w twoim wieku, kiedy dotarło do mnie, co znaczą te wszystkie wahania nastroju, zmiany osobowości i napady furii. Nie mogłem spać, byłem agresywny, nadaktywny - a potem, w ciemnej fazie, potrafiłem całymi dniami się do nikogo nie odzywać. Myślałem, że jestem chory. Że umieram. Doktor dawała mi leki. *Madrinha* wiedziała, co to takiego.

- Choroba dwubiegunowa.

- To nie jest choroba - mówi Wagner, po czym uświadamia sobie, że odpowiedział za szybko i za ostro. — To znaczy... to nie musi być choroba. Można ją zagłuszyć lekami albo popchnąć w całkiem innym kierunku. Można zrobić z niej coś więcej. I właśnie wilki zbudowały dla niej społeczny konstrukt, kulturę, która ją akceptuje i wspiera. Pielęguje.

- Wilki.

- Tak naprawdę to my nie jesteśmy wilkami. Nie zmieniamy się fizycznie, kiedy zajdzie Ziemia. Znaczą... chemia w mózgu się zmienia. I bierzemy leki, które ją zmieniają. „Wilkołaki” to bardzo wyrafinowana i spełniająca emocjonalnie konstrukcja narracyjna obudowująca fakt, że cyklicznie przechodzimy z jednego stanu psychologicznego do drugiego. Anty-wilkołaki. Wyjące na widok Ziemi. Chociaż u dwubiegunowców nadwrażliwość na światło wcale nie jest taka rzadka. Posłuchaj mnie. Zapewne mówię bardzo szybko i staccato?

- Jeszcze jak.

- To jest jasny aspekt. Robson. Ja biorę kupę leków. Wszyscy bierzemy. *Madrinha* Flavia wiedziała, co ze mną jest, i to ona skontaktowała mnie z wilczymi stadami, jeszcze kiedy była w Boa Vista. Pomogli mi, pokazali, do czego mogę dojść. I nigdy nie wywierali na mnie żadnej presji. To musiała być moja decyzja. To życie jest bardzo intensywne. I trudne: co piętnaście dni stajesz się kimś innym.

Robson siada prosto, oszołomiony. Makaron i krewetki spadają mu z pałeczek.

- Co piętnaście dni. Nie miałem pojęcia...

- To kosztuje. W Boa Vista widzieliście mnie tylko w jednym aspekcie. Ciemnym. Myśleliście, że to właśnie jest Wagner Corta. A nie ma żadnego Wagnera Corty. Jest wilk i jego cień.

- Ja cię w Boa Vista za wiele nie widziałem - mówi Robson.

- Były jeszcze inne powody — odpowiada Wagner i Robson rozumie, że dalsze pytania innym razem.

Pyta za to:

- Wagner, a jak to będzie... kiedy przestaniesz być wilkiem? Kiedy zejdziesz do cienia. Co będzie ze mną?

- Stado się rozchodzi. Każdy wraca do życia i miłości w cieniu. Ale to nie koniec stada. Troszczymy się o siebie nawzajem. Jestem wilkiem, ale nadal jestem Cortą. Ty jesteś Cortą. Będę w pobliżu.

Robson gmera pałeczkami w misce.

- Wagner, a myślisz, że mógłbym się zobaczyć z kumplami z Królowej?

- Jeszcze nie.

- Dobrze. - Kolejne spojrzenie spod Wayfarerów. - Wiesz co, muszę ci powiedzieć, że próbowałem znaleźć ekipę tych moich traserów.

- Wiem. Robson...

- Wiem: uważaj w sieci. Nie mogłem ich znaleźć. Boję się o nich. Bob Mackenzie powiedział, że nic im nie zrobi...

- Ale Bob Mackenzie nie żyje.

- No właśnie. Bob Mackenzie nie żyje. - Robson rozgląda się wokół. - Podoba mi się tutaj. Chciałbym tu regularnie przychodzić. - To część rytuału przejścia w dorosłość: wybrać sobie ulubiony hot-shop. - Czy to ci nie przeszkadza?

- Nie.

- Wagner, wiesz, ja zajmuję ci strasznie dużo czasu. Odciągam cię od nich. To nie problem?

- To pewne napięcie.

- Wiesz... a ja mógłbym się nauczyć *ekaty*?

Dwie kobiety wysiadają z *moto* pod drzwiami klubu Crystalline. Marina wciska guzik, wózek rozkłada się. Ariel przerzuca się na niego. Obsługa odwraca się i wytrzeszcza oczy niepewna, co ma robić, jak je obsłużyć. Młodzi są, w życiu nie widzieli wózka inwalidzkiego.

- Mogę cię popchać — mówi Marina.

- Sama się popcham - odpowiada Ariel.

Toczy się po lśniącej spiekowej podłodze baru. Odwracają się twarze w łóżach po obu stronach, ludzie gapią się od stolików. „Wróciła, patrzcie, zobaczcie, ja myślałam, że nie żyje”. Marina idzie miarowym, pełnym godności krokiem nieco przed nią, usuwając jej ludzi z drogi, Ariel widzi jednak delikatne utykanie, nieznaczące grymasy skrywanego bólu. Doktor

Macaraeg połatała, pozszywała, posklejała, znieczuliła co większe rany; resztę Ariel zakryła ubraniem i makijażem.

- Dzięki bogom, że twarzy ci nie zniszczyli - powiedziała. Marina skrzywiła się przy naciąganiu koronkowych rękawiczek na opuchnięte palce. - Parę paznokci ci odpadnie. Nic, wydrukuję ci nowe.

- Wyhoduję sobie nowe.

- Tyle czasu jesteśmy razem, a ty dalej taka ziemiska jesteś? - Ariel poczuła reakcję w trzymanej dłoni, i to nie wywołaną fizycznymi obrażeniami. - Proszę. - Ostatni szlif kredką do oczu, ostatnie zczesanie postawionych włosów. Pełna gotowość koktajlowa.

Księżycowy Orzeł czeka w prywatnej salce za prywatną salką. Stolik stoi wśród stalagmitów i stalaktytów, z których kapie woda - istny bulgocząco-ciurkający park wodny. Ariel wydaje się to raczej prostackie. Woda pachnie świeżo i czysto. Zaciąga się głęboko.

Księżycowy Orzeł śmieje się tubalnie. Czekają już drinki - dla niego woda, dla niej zimne, zroszone martini.

- Ariel. - Pochyla się i chwyta ją za obie dłonie. - Wspaniale wyglądasz.

- Wyglądam chujowo, Jonathon. Ale mam mnóstwo siły w mięśniach górnej części ciała. - Ariel opiera łokieć na stole, przedramieniem do góry, w klasycznej pozie do siłowania się na rękę. - Wygrałabym z tobą i pewnie z każdym w tym barze, oprócz niej. - Wskazuje brodą Marinę. - Adriana dzisiaj nie ma?

- Nie powiedziałem mu, dokąd idę.

- O, intrygi, Jonathon? Wspaniale. Ale to nic nie da. Plotki już dotarły do Farside. A Adrian zawsze był takim wiernym Mackenziem.

- Teraz ma pilniejsze sprawy na głowie — odpowiada Orzeł.

- A po czyjej stronie on w ogóle jest, ojca czy wuja?

- Po swojej. Jak zawsze.

- Nad wyraz rozsądnie. A po której stronie w wojnie

domowej Mackenziech jest Orzeł Księżycowy?

- Orzeł Księżycowy jest po stronie wolności kontraktu, wzrostu gospodarczego, odpowiedzialnego obywatelstwa i nieprzerwanego przepływu rent - odpowiada Jonathon Kayode, jednocześnie dotykając palcem prawego oka. To znak, że odtąd rozmowa będzie prowadzona bez chowańców.

Piksele wirują i znikają w soczewkach. Są nadzy. Księżycowy Orzeł pochyla nieznacznie głowę, kiwając na Marinę.

Marina zamyka drzwi do dyskretnie oświetlonego, ciurkającego wodą pokoju stalaktytów. Ariel mówi:

- Wiesz, co ja najbardziej lubię w swojej pracy? Plotki. I wiesz, co słyszałam? Że zarząd LDC nie jest z ciebie zadowolony.

- Zarząd LDC chce się mnie pozbyć - mówi Orzeł. - Mam szczęście, że kolejnym kandydatom nie ufają jeszcze bardziej, na tyle, że nikt nie chce położyć na stole wniosku o wotum nieufności. Ziemia pręży mięśnie. I tak jest odkąd padło Corta Hélio.

- „Padło” - powtarza Ariel. - Jonathon. Mówisz o mojej rodzinie.

- Kiedyś powiedziałaś mi, że to dzięki Cortom tam, na górze, palą się światła. Ziemia boi się braków prądu, ciemnych miast. Cena energii dla osób prywatnych wzrosła trzykrotnie. Ariel, ja byłem w Tyglu. Widziałem, jak się palił. Duncan i Bryce skaczą sobie do gardeł. Ściągają najemników nawet z samej Ziemi. Noże walczą na prospektach Południka. Ceny towarów szybują w niebo. Zamykają się całe branże. Stara Ziemia patrzy na Księżyc i widzi świat, który się rozsypuje. Widzi Orła, który nie potrafi dotrzymać swojego kontraktu.

Ariel bierze łyk martini. Orzeł zna ją aż za dobrze. Jest idealne: zimne, cierpkie, fantastyczne.

- Jonathon, gdyby LDC naprawdę chciało się ciebie pozbyć, kupiłoby twoich ochroniarzy i wypatroszyło cię we śnie.

- Ty cieszysz się moją opieką, ja mam opiekę Smoków. Nikt z nich nie chce, żeby zastąpiła mnie marionetka LDC. Sunowie

boją się kolejnej próby przejęcia władzy przez Republikę Ludową. Moskwa nigdy się oczywiście nie przyzna, ale Woroncowowie regularnie demaskują u siebie ich agentów i wyrzucają ich za służbę. Asamoah może mnie nie kochają, ale jeszcze mniej kochają Moskwę i Pekin. Mackenzie są uwikłani w tę swoją wojenkę, ale zwycięzca stanie po stronie tego, kto zaoferuje Mackenzie Metal największą swobodę w biznesowych machinacjach.

- A Cortowie?

- Nie mają władzy, wpływu, majątku. Nie mają statusu ani rodziny, którą chcieliby bronić. Nie mają nic do stracenia, nie mają się czego bać. I dokładnie dlatego chcę, żebyś została moim doradcą.

Czy Orzeł wykrywa to sekundowe drgnienie szoku, kołyszące meniskiem dżinu z trzynastoma ziołami w jej kieliszku?

- Ja się zajmuję kontraktami małżeńskimi. Biorę ludzką namiętność, żądzę i głupotę, zapewniam jej tyle dróg ucieczki, ile tylko się da.

- Ariel. Możesz wszystko odzyskać. Wszystko, co straciłaś, wszystko, co ci odebrano. - Pochyliła głowę przed jej wózkiem.

- Jonathon, nie wszystko. Niektóre rzeczy nie są w twojej gestii. - Odstawia jednak kieliszek, zanim zdradzi ją rozkołysany dżin.

Nigdy nie wierzyła w osobistą wariację matki na temat *umbandy* -w żadne wierzenia nie wierzyła. Kiedy Adriana przyprowadziła ją do nowego pałacu w Boa Vista, miała trzynaście lat. Wyszła ze stacji tramwaju i niemal przytłoczyła ją ta wielkość, ta jasność, ta perspektywa. Poczwała zapach skały, gleby, roślinności, słodkiej wody. Uniosła dłoń, żeby osłonić oczy przed światłem linii słonecznej, zmrużyła je, spróbowała skupić wzrok na czymś odleglejszym niż kilkadziesiąt metrów. João de Deus było takie ciasne i tłoczne. Tu — nieskończoność. I nagle pokazały się twarze *orixas*, każda wysoka na sto metrów, zbudowana z materii Boa Vista - i wiedziała, że nigdy

w nie nie uwierzy. Wyglądały głupkowato i kamiennie. Martwe i niewarte wiary. Żenujące: te stwory chcą od niej zaufania?

Madrinha Amalia zawsze jej powtarzała, że święci działają subtelnie; i Ariel nauczyła się od *orixas* prawd, które nosi ze sobą całe życie. Nie ma nieba, nie ma piekła; nie ma grzechu, nie ma winy; nie ma sądu ani kary. *Orixas* oferują tylko jedną okazję, jedną na całe życie. Na tym polega ich łaska. A ona zasługuje na sukienki od Marca Jacobsa, buty od Maud Frizon, na apartament na dole przy placu Wodnika, na stałe miejsce na imprezach, na świętę wielbicieli. Zasługuje na sławę, zasługuje na podziw. Zasługuje na to, by znów chodzić.

- Co mam robić, Jonathon?

- Chcę, żebyś była moim najbardziej zaufanym prawnikiem. Żebyś mi doradzała, kiedy wszyscy inni mnie porzucą. Dlatego potrzebny mi ktoś, kto nie ma sprzecznych interesów, nie ma lojalności wobec rodziny ani ambicji politycznych.

Czuje wokół siebie *orixas* jak pelerynę, choć niematerialne, tłoczą się, napierają, chcą widzieć, czy przyjmie ofiarowany przez nie dar. Jeszcze nie, wy święci. Znak dobrego prawnika - tego prawnika - to wszystko poddawać próbie. Nawet świętych. Filarem księżycowego prawa jest podstęp, cwany ruch, tania sztuczka. *Malandragem*.

- Ostatnia prawna deska ratunku - mówi Ariel.

- Mam i innych prawników, jak oczekują moi wrogowie. Nie ufam im.

- To są twoi zakontraktowani prawnicy.

- Pani Luna złamała każdy zawarty kontrakt.

- Jonathon, ja nie będę działać w ukryciu. Nie będę szeptać w ciasnych pokoikach. Cały Księżyc ma wiedzieć, że doradza ci Ariel Corta.

- Załatwione.

Ariel wypija ostatni łyk koktajlu. Kochaj mnie, mówi spiralka ze skórki pomarańczowej w pustym kieliszku. Weź mnie jeszcze raz. Pokochaj mnie. Palce dotykają nóżki, gotowe, by

przekręcić ją o ćwierć obrotu, w ogólnie przyjętym geście oznaczającym powtórkę. Stolik to wyczuje, kelner przyniesie kolejne martini, czyste, zroszone i oczyszczające. Prawie ją przekręca. Puszczą.

- A jaką rolę pełni Vidhya Rao?
 - Kogoś, kto twierdzi, że potrafi przewidzieć przyszłość, lepiej mieć ze sobą niż przeciwko sobie.
 - Ktoś, kto potrafi przewidzieć przyszłość, to kompletnie wszystko jedno, po której stronie jest.
 - Nasze stosunki się zmieniły. Kiedyś byliśmy doradcą i słuchającym rad. Teraz okazuje się, że jesteśmy raczej sojusznikami.
 - Vidhya powiedziało mi kiedyś, że jego maszyny uznały mnie za osobę, która wstrząśnie Księżycem. Ciekawe, co o tobie powiedziały?
 - Że Orzeł pofrunie.
 - Super są te prorocтва, nie? Dobrze. Zgadza się. Jeden warunek. Nie będę działać w ukryciu. Chodzę na każde spotkanie. Beijaflor dostaje każdy raport. Muszę widzieć ich twarze.
 - Dziękuję, Ariel.
 - To były warunki początkowe. Teraz klauzule operacyjne. Marina jest moją ochroną. Chcę mieć budżet na ubrania. Chcę ładne mieszkanie, minimum sto metrów, przy placu. Nie wyżej niż Piętnasta ulica. Chcę z powrotem moje nogi. Niedługo. Ale najpierw...
- Rozsuwa waper na pełną długość i zatrzaskuje go. Potem przekręca nóżkę kieliszka do martini.

Wilki tańczą, ale Robson Corta nie tańczy. Kroki wydają mu się bardzo proste — większość wilków słabo się rusza i kiepsko tańczy, byłby w stanie przelicytować w *funku* każdego z nich, a ta muzyka - muzyki, bo oni potrafią śledzić dwa rytmy

jednocześnie - też nie jest najgorsza, on jednak nie ma ochoty dołączyć do zabawy. Wagner kiwa na niego, Amal wyciąga zapraszająco ręce, ale Robson kręci głową i odpycha od rytmów i ciał. Wychodzi na balkon. Amal - wilk alfa, próbowało z rana go ugryźć. Usunął się i unikał go przez resztę dnia, teraz jednak myśli, że może to być komplement. Wilki, tyle jeszcze się o nich musi dowiedzieć.

Klub jest na 87. poziomie po wschodniej stronie Prospektu Krikalowa, w mało stylowej lokalizacji: daleko od placu i wysoko. Nie miał ochoty tam iść, ale stadu ciężko się odmawia. Gdy jest ziemiska pełnia, wilki lubią się bratać. Tym razem spotykają się ze sforą z Twe: jedni członkowie sfory przychodzą, inni odchodzą. Zamiany. Przy okazji w planie jest też sporo seksu.

Robson wychyla się za balustradę. Prospekt Krikalowa to świetlny kanion, plac Antaresa jest jak odległa rozjarzona galaktyka. Wagoniki kolejek linowych tworzą girlandy rozkołysanych lampek; rowerzyści uprawiający *downhill* na 75. są jak świetlne smugi spływające z oszałamiającą szybkością po poziomach i klatkach schodowych. Robson wstrzymuje oddech. Kiedyś robił takie rzeczy, kiedy jeszcze był chłopcem, który spadł na ziemię.

Trzyma koktajl nad przepaścią. Zawiera coś więcej niż tylko alkohol. Hoang w kwestii psychotropów był bardzo restrykcyjny. Za to Wagner nie ma pojęcia, co się nadaje dla dzieci, a co nie. Hoang pilnował granic, przestrzeganych ściśle, ale podlegających negocjacji. Wagner nie zna żadnych granic. Przynajmniej nie pod postacią wilka. Tęskni za Hoangiem. Często myśli o jego ostatnim kłamstwie wypowiedzianym pod służą na

Stacji Lansberg. Wagner wciąż nie pozwala mu się skontaktować z Hoangiem, z Dariusem czy z traserami.

Odstawia nieruszoną szklanekę z drinkiem. Gdyby to był inny wieczór i inna impreza, być może wypiłby ją duszkiem i cieszył

się z szumu w głowie, jednak do tego, co wymyślił teraz, potrzebuje przytomności umysłu i kości. Sięga do getrów po farbę w sztyfcie. Podejrzewa, że ten jego strój do ćwiczeń, z lat osiemdziesiątych XX w., nie był pierwotnie projektowany dla facetów. Faceci zrobiliby więcej kieszeni. Ale dobrze w nim wygląda i dobrze się czuje. Maluje w poprzek ust szeroką białą kreskę. Skośnie w lewo, skośnie w prawo — powstają białe linie na obu kościach policzkowych.

Nikt nie widzi, jak Robson Corta wskakuje na balustradę, mając po lewej dwa kilometry rozświetlonej przestrzeni, jak przebiega po niej lekko i pewnie na koniec balkonu. Sfory wilków bawią się dalej. Dwa rytmy to schodzą się w fazie, to rozchodzą.

Miejsce jest łatwe. Jest jak ścianka wspinaczkowa. Prosty *tic-tac* i jest na balkonie poziom wyżej. Podejście do ściany, noga na ścianę, odepchnięcie się, skok na przeciwległą ścianę. Wyżej. Odwraca się. Chwyta się balustrady wyższego balkonu i wykorzystuje rozpęd, aby przerzucić się nad nią w *saut-de-bras*, z nogami między rękami. Biegnie, odbija się, robi salto, którego nie widzi nikt poza nim samym — i którego nikt poza nim samym widzieć nie powinien — i już jest między dźwigarami podtrzymującymi poziom powyżej; przebiega od belki do belki, aż znajduje zbieg belki i dźwigara; w tym rozwidleniu może się ułożyć i obserwować cały klub naraz. Kuli się, owija kolana ramionami.

Kiedyś też miał swoje stado. Baptiste, który uczył go pozycji i nazw poszczególnych ruchów. Netsanet, który tresował go i tresował, aż wbiły mu się odruchy, jak oddychanie i bicie serca. Rashmi, która pokazała mu możliwości własnego ciała. Lifen, który otworzył mu zmysły, by postrzegały nie tylko oczyma, czuły nie tylko skórą. Zaky, który zrobił z niego trasera. To było jego stado. Jego *ekata*.

Na balkon w dole wychodzi Amal. Podchodzi do balustrady, podziwia widok w dole. Zadziera głowę, zupełnie jakby mogło

go wyczuć węchem - Robson zdaje sobie sprawę, że widział tylko drobną część tego, na co stać wilki, gdy łączą się w grupową świadomość. Patrzy w górę. Ich oczy spotykają się. Kiwa głową Robsonowi uczeptionemu żeber tego świata. Robson potwierdza nieznacznym gestem.

Teraz do Amal dołącza Wagner. Robson patrzy, niewidoczny, ze swej podniebnej grzędy. Drinki powolnymi błękitnymi łukami wypadają im z dłoni, palce wczepiają się w ubranie drugiego. Amal rozdarło Wagnerowi koszulę od Guarabery aż po pępek. Chwyta zębami za sutek. Robson widzi krew. Widzi obcą rozkosz na jego twarzy. Ono zostawia krwawe ślady ukąszeń na umięśnionym brzuchu. Zęby Wagnera zaciskają się na jego uchu; ono mruczy z bólu i zadowolenia.

Robson patrzy. Krew, namiętność, tajemna kryjówka, bardzo to wszystko ekscytujące, lecz Robson patrzy przede wszystkim po to, by zrozumieć. Z dziesiątków ugryzień płynie krew, ścieka Wagnerowi po śniadej skórze - i Robson już wie, że być wilkiem to nie jest coś, co da się zrozumieć. Tego nie da się nauczyć. Z tym się rodzisz albo nie. Robson może mieszkać ze stadem, chroniony, otoczony troską, kochany, ale częścią stada nie będzie nigdy. Nigdy nie zostanie wilkiem. Będzie, już zawsze będzie całkiem sam.

Stolik Robsona jest na tyłach Jedenastej Bramy, pod samą szklaną ścianą. Obraca w palcach nietkniętą szklaneczkę z miętową herbatą, ćwierć obrotu w prawo, z powrotem, ćwierć obrotu w lewo, z powrotem.

- Nie powinienes tak sam siedzieć - mówi Wagner, opadając na stołek.

- Sam mówiłeś, że to ważny etap socjalizacji: wybrać sobie ulubiony hot-shop. A tu mi się podoba. I teraz już nie jestem sam.

- Musisz pamiętać o bezpieczeństwie.

- Wiem, gdzie są wyjścia. Siedzę twarzą do wejścia. To ty siedzisz tyłem do ulicy.

- Nie lubię, kiedy jesteś daleko od stada.

- To nie jest moje stado. - Chłopak wyciąga rękę nad stoliczkiem i wbija paznokiec w ślad po ugryzieniu z boku szyi Wagnera. - To boli?

- No, trochę. - Wagner się nie odsuwa, nie odpędza ręki Robsona.

- Boli, kiedy ono cię gryzie?

- Tak?

- To czemu mu na to pozwalasz?

- Bo to lubię. - Wagner dostrzega na twarzy chłopca mignięcie dziesięciu wariacji obrzydzenia, niewidocznych dla nie-wilka. Dobrze maskuje emocje. Dorastał w Tyglu, potem mieszkał w Królowej Południa w ciągłym strachu przed wezwaniem do domu. Musiał się nauczyć samokontroli.

- A ty go kochasz?

- Nie.

Znowu to spięcie szczęki, napięcie w kącikach ust, chwilowa ucieczka spojrzenia.

- Robson, ja muszę wyjechać.

- Wiem. To ten czas luny. Wchodzisz w ciemną fazę.

- No tak, ale nie dlatego wyjeżdżam. To praca. Bardzo bym chciał zostać, ale muszę pracować. Jadę z ekipą na szkło. Nie będzie mnie gdzieś siedem, może dziesięć dni.

Robson odchyła się i opiera o chłodną szklaną taflę. Wagner nie jest w stanie na niego spojrzeć.

- Amal się tobą zaopiekuje - mówi. - Bo ktoś zawsze zostaje, żeby pilnować domu sfory. Ale ono też się zmieni. Jak ja. - W nieznaczonej grze mięśni pod śniadą skórą Robsona wyczytuje nieufność, niepokój, lęk. - Wiem, że nie lubisz Amal, ale możesz mu ufać.

- Przecież to już nie będzie to samo Amal. Ono zniknie. Wy wszyscy znikacie. Stajecie się kimś innym. Odchodzicie. Jak

wszyscy.

- Robson, to tylko siedem dni. Góra dziesięć. Wróć. Zawsze będę wracał. Obiecuję.

Rozeszła się wieść, że delegacja przybędzie pociągiem. Będzie o 14.25 na stacji w João de Deus, prosto z Królowej Południa. Przyjedzie prywatnym wagonem.

Informacja przyszła późno, a oczekiwania okazały się wysokie. Na inspekcję do nowej siedziby Mackenzie Helium przyjedzie nie kto inny, jak Bryce Mackenzie we własnej osobie, i João de Deus ma go uhonorować. Zastępy robotów sprzątają ulice i prospekty, zmywają anti-Mackenziowskie graffiti ze ścian i fasad bloków. Ludzie drukują transparenty i proporce, zwieszają je z belek dachu i galeryjek. Złączone litery logo Mackenzie Helium powiewają w nieustających podmuchach z uzdatniaczy powietrza. Billboardy i plakaty pokrywają szramy w budowlach i puste, okopcone skorupy budynków, które osiemnaście miesięcy po bitwie o João de Deus wciąż stoją puste. Prospekty patrolują grupy noży i tanich stróżów porządku, nieskazitelnie ubrane i jeszcze nieskazitelniej uzbrojone.

Pociąg jest punktualny co do sekundy. Bryce Mackenzie ze świtą i ochroną wychodzi z opróżnionej stacji na Prospekt Kondakowej. Tu szanownego prezesa witają Jaime Hernandez-Mackenzie i jego noże. Bryce odprawia flotę *motos*, czekających, by przewieźć go do głównej siedziby.

- Idę na piechotę.

- Oczywiście, proszę pana. - Jaime Hernandez-Mackenzie pochyla głowę, rozkazuje jednemu z prywatnych ochroniarzy, by szedł z eskortą Bryce'a.

- A co myślałeś, Jaime? Pokaż mi, że wszystko tu działa jak w zegarku u Mackenziech.

Jaime Hernandez-Mackenzie recytuje pokrycie pól

ekstraktorami, szacowany poziom surowców, przetwarzania i produkcji końcowej, zapasy, terminy dostaw, transporty na orbitę i z orbity na Ziemię. Informacje, które łatwiej i szybciej byłoby przekazać z chowańca do chowańca. Informacje, które Bryce mógłby przeczytać w swoim gabinecie na szczycie Królewskiego Dworu, nie zbliżając się na tysiąc kilometrów do João de Deus. Tu jest zdobywcą, który pokazuje podbitym swoją siłę i prawo. „Chodzę między wami, a wy nie możecie tknąć mnie choćby palcem”.

- A te początkowe problemy z ludźmi? Rozwiązane? - pyta Bryce. Wąskie, zatopione w tłuszczu oczy błyskają na lewo i prawo. Uwagi Bryce'a nie ujdzie żaden niuans.

- Tak, proszę pana — mówi Jaime. - I to bezkrwawo.

- Cieszę się. Bez marnotrawstwa ludzkich zasobów. Ładnie to wszystko wysprzątałeś. Czyściej tu niż za tych Cortów.

Jaime wie, że Bryce nigdy wcześniej nie był w João de Deus.

- Na wierzchu tak, proszę pana. Sporo infrastruktury wymaga wymiany, żeby doprowadzić to miasto do współczesnych standardów. - I ryzykuje: - Jako szef produkcji chętnie bym się dowiedział, że mogę bezpiecznie wyprowadzić ekstraktor na Morze Przesień. Bez zagrożeń dla moich *jackaroos*.

- Morza Wężowe, Przesień i wschodnie Spokoju są wyczyszczone. I też bez krwi. - Uśmiecha się. - Prawie.

- Nie licząc głowy Denny'ego Mackenzie - mówi Alfonso Pereztrejo. - To jest wyczyn.

- Nie do końca - mówi z wyraźną satysfakcją Rowan Solveig-Mackenzie. - Jacyś Taiyangowi szklarze znaleźli go pod kraterem Schmidta. Miał tlenu na dziesięć minut.

— Ten mój bratanek to zawsze był twardy mały szcurek — mówi Bryce. — Ale póki mój brat z powrotem zajmuje się laniem metalu, jestem zadowolony. Na razie.

Staje jak wryty, jego świta o krok później.

— Jaime, podobno ty kontrolujesz to miasto?

Ze środka kładki na Zachodnim Siódmym zwisa lina. Koniec ma pofarbowany na czerwono.

— Zaraz ją zdejmujemy.

Noże już biegną.

- I to szybko.

Bryce Mackenzie sunie dalej. Straż sprawdza podcienie i boczne uliczki. Małe krwawe memento tego, co uczynili z miastem Mackenzie - było szybką, ukradkową akcją. Złoczyńca nie mógł daleko uciec. Czyjś chowaniec musiał to nagrać. Bryce być może miałby nawet ochotę przesłuchać go osobiście.

Biuro Mackenzie Helium w João de Deus pachnie świeżo wydrukowanymi meblami i podłogami. Garstka pracowników ma miny ludzi, którzy muszą za wszelką cenę wyglądać na fachowych, ale jeszcze nie do końca znają teren. Stoją świeże kwiaty, Bryce docenia gest, wachając je. Nie pachną. Asamoah promują w hodowli piękny wygląd, nie zapach.

Sadowi swe ogromne cielsko za biurkiem. Jest dostosowane do jego ciała. Nie ma wątpliwości, że trafi do recyklera, gdy tylko jego wagonik opuści stację João de Deus. Przypatruje się biurku, ścianom, wygodnym i eleganckim krzesłom ustawionym przed biurkiem. Do pracowników dopiero po dłuższej chwili dociera, jaki błąd popełnili. Młodszy młodszy asystent pędzi do aneksu kuchennego. Piszczycie drukarka, woda huczy, gotując się na obowiązkową herbatę.

— Drażni mnie to - obwieszcza Bryce, wydymając z niezadowoleniem wargi.

Fotel trzeszczy, gdy cielsko się na nim przemieszcza. Stopy mu machinalnie podrygują, gdy się złości. Wszyscy zauważają te jego drobne stopy. Legenda Mackenziech - maleńkie stopki Bryce'a.

— Z tym chłopakiem. To dla mnie osobista zniewaga, że nie jestem w stanie dopilnować i zapewnić bezpieczeństwa swojej rodzinie.

— Jest pod ochroną Stada Południka - mówi Dembo

Amaechi.

— Stada Południka! — ryczy Bryce.

Wszyscy sztywnieją, z kuchni dobiega dźwięk tłukącego się szkła.

- Jakichś, kurwa, gówniarzy, co bawią się, kurwa, w wilki. Dembo, masz mi przyprowadzić moją własność.

- Zorganizuję to, proszę pana - odpowiada Dembo Amaechi.

- I to szybko. Bo Ariel Corta wróciła. Dać jej trochę czasu, to rozjedzie mi ten kontrakt adopcyjny ekstraktorem do helu.

Rowan Solveig-Mackenzie i Alfonso Pereztrejo zerkają po sobie. To dla nich nowina, i to niedobra nowina. To porażka ich wywiadu.

- Panie Mackenzie, mógłbym wziąć asasynów... - odważa się Dembo Amaechi.

- Nie waż się, niech jej włos z cipki nie spadnie. Pół Południka widziało, jak pije drinka z Księżycowym Orłem. Zakontraktował ją.

- A po cholere Orłu prawniczka kategorii D? - dziwi się Rowan.

- To, że ktoś jest duży, nie znaczy, że koniecznie głupi - mówi Bryce i wszyscy obecni słyszą stal w jego głosie.

- Proszę pana? — Stażysta stoi w drzwiach z tacą pełną szklanek z herbatą. Wytycza idealną, ostrożną trasę pomiędzy stłoczonymi w pomieszczeniu mężczyznami.

Bryce machnięciem przyzywa go do środka.

- Dawać mi Robsona Mackenziego - rozkazuje. - A jeśli boicie się złego księżycowego wilka, to poczekajcie, aż sfera się rozproszy.

Dembo Amaechi maskuje płytkim uśmiechem posłuszeństwa błysk złości w oczach.

- Osobiście będę za to odpowiedzialny.

- Świetnie. Nie ma potrzeby jakoś szczególnie łagodnie się z nim obchodzić. — Bryce unosi świeżo drukowaną szklankę do pełnych, zaciśniętych ust. Upija łyk, krzywi się. - Bez smaku.

Kompletnie, kurwa, bez smaku. I o wiele za gorąca. - Odstawia ją na biały blat biurka.

Reszta świty też stawia nietknięte szklanki na tacy. Stażysta jest szary ze strachu.

- To jak, byli już wszyscy z tej zasranej dziury, co chcieli się ze mną spotkać? Tak? To wieźcie mnie z powrotem do Królowej.

5. WAGA - SKORPION 2105

Wagner Corta zawsze uważał złoto za tandetne. Kolor - pretensjonalny, blask - oszukańczy, a ciężar to fikcja zrównująca gęstość z wartością. Tam, na niebie, wisi cała planeta zahipnotyzowana tą ściemą. Tam to szczyt bogactwa, kwintesencja chciwości, ostateczna miara wartości.

Na Księżycu złota jest obfitość. W strugach materiału odpadowego ekstraktorów Corta Hélio znalazłoby się wiele ton złota rocznie. Nawet nie opłacało się go przesiewać. Adriana Corta nie nosiła złota ani kamieni szlachetnych. Obrączkę miała ze stali wytopionej z księżycowego żelaza. Stalowy pierścień dla Żelaznej Ręki.

Cerkiew Bożej Rodzicielki Konstantina jest jak złota macica. Złote są niskie drzwiczki, w których każdy musi pokłonić się nisko, wchodząc do domeny świętej ikony, złote są ściany i kopuła świątynki, złote balustrady, lampy i kadzielnice, złota rama maleńkiego obrazka. Tło ikony jest z kutego księżycowego złota. Matka Boża i Dzieciątko mają złotą suknię, widać im tylko twarze i dłonie. Złota jest święta korona. Matka ma ciemną skórę, wzrok spuszczonej, odwraca go od potrzebujących, ściska mocno dziecko w objęciach. Wagner nigdy nie widział tak smutnych oczu. Dzieciątko zaś jest potworem, jest stare, jak maleńki starzec; chciwie wyciąga rękę ponad szyją matki, przyciska mocno twarz do jej policzka. Brązy i złoto. Legenda mówi, że Konstantin Woroncowa pisał swą ikonę na orbicie, a drewno i farby przylatywały raketami z Kazachstanu razem z materiałami do konstrukcji pierwszego cyklera. Dokończył ją natomiast na Księżycu, wykańczając tło złotym pyłem z Morza Spokoju.

Cerkiew Bożej Rodzicielki Konstantina to idealne miejsce na

spotkanie z Denny Mackenzie.

I oto jest: złoty chłopak, pochyla się w niskich drzwiach, mruży oczy, przyzwyczajając się do bioluminescencji. Wagner jest rozczarowany, że dziś ma na sobie czarny garnitur od Helmuta Langa. Denny uśmiecha się szeroko na widok wnętrza. Błyszczą złote zęby.

- Gustowne.

W środku świątyni jest miejsce akurat dla nich dwóch, bez żadnej świty.

- No, Wagner, a gdzie pochowałeś swoje wilki?

- Tam, gdzie ty swoje noże.

- Raczej nie. - Denny Mackenzie rozchyła marynarkę, pokazując głównie noży w dwóch pochwach. Są złote.

- Też sądzę, że raczej nie - mówi Wagner.

- Oczywiście, że nie. Myślisz, że przyszedłbym tu bez ochrony? Nawet ich nie zobaczysz.

Południk to w wojnie domowej Mackenziech terytorium wolne i sporne. Zdarzają się potyczki, wyciągane są noże, na prospektach wybuchają bójki, Zabbalini zmywają krew z ulic. Denny zapina marynarkę. Pochyla się, żeby spojrzeć na ikonę.

- Ładna.

- Teoria mówi, że ten wizerunek istniał od zawsze. Że artysta po prostu go odnalazł — mówi Wagner. - Widzisz to starte złocenie? To od ust. Tysięcy ust. Może milionów. Całujesz ikonę, obdarzasz Matkę Boską swoją miłością.

- I ci Woroncowowie wierzą w takie pierdy? Trzy żądania, Wagner. Jedno zużyłeś, żeby mnie tu ściągnąć.

- Macie mu zapewnić bezpieczeństwo.

- Chłopakowi?

- A komu? Zużywałbym żądanie na kogoś innego? Macie go ochronić przed Bryce'em. Przez ciemną fazę. Kiedy sfera się rozchodzi. Kiedy mnie nie ma. Opiekujcie się nim.

- Nie ma sprawy, Wagner — mówi Denny Mackenzie. — Daję ci moje słowo. To są dwa żądania. Zostało ci jeszcze jedno.

- Nie. Jeszcze nie. Będę wiedział, kiedy muszę je zużyć.
- Niech ci będzie. To co, Wagner, koniec na dziś?
- Koniec.

Wagner zostaje w kapliczce. Ikona Bożej Rodzicielki stoi nisko, by klęknąć musiał każdy, kto chce jej oddać cześć, zachwycić się nią, dziwić czy po prostu szukać u niej pociechy.

„Dogadałem się z człowiekiem, który zabił mojego brata”, mówi Wagner maleńkiej ikonie. „Oddałem w ręce wroga dziecko, które przyrzekłem chronić. Potępiasz mnie, Matko, czy wybaczasz?”

Ikona nie mówi nic. I Wagner Corta też nic nie czuje.

Lady Sun wzdycha na widok zamków i smoków. Co za banały. Unosi oczy do nieba, patrząc na księżniczki z komiksów *manhua* i pamiętne momenty z meczów piłki ręcznej. Technicznie perfekcyjne, ale wysilone. Przez gąszcz wężlastych pni i gałęzi przechodzi, nawet nie spojrzawszy.

- A to? - pyta.

Pusty w środku sześcian zwisa spod kopuły na niewidzialnych żyłkach. Wydaje się, że wisi w powietrzu. Kostka jest pusta, a w ściankach ma wypalone geometryczne wzory inspirowane mauretańską architekturą pałacu Alhambra. Pośrodku jest źródło światła rzucające misternie tkane cienie na stojących obok ludzi. Oddech lady Sun skrapla się w powietrzu i sam staje się ekranem dla igrających cieni rzucanych przez rzeźbioną bryłę.

- Precyzyjne lasery - mówi Sun Zhiyuan. — Topienie i zamarzanie.

- Nie mam ochoty wiedzieć, jak to jest zrobione! — warczy lady Sun, choć jednocześnie bierze wnuka pod rękę i przyciąga go bliżej do siebie.

Para z oddechu już zamarza jej na futrze, którym ma obsyty

kaptur peleryny. Wzdryga się, choć tu już nie jest tak zimno jak wtedy, gdy odkryli to pole lodowe. Woda, która przez dwa miliardy lat utrzymała się jako lód w wiecznym cieniu krateru Shackletona, podczas gdy szczyt Góry Malaperta płonął wiecznym blaskiem. Lód i ogień, ciemność i światło, przeciwstawne żywioły, z których Sunowie zbudowali swój Księżyc. Jeden przy drugim. Nie ma już trzech czwartych tego przedwiecznego lodu, lecz to, co zostało i tak z nawiązką wystarcza na coroczny konkurs lodowej rzeźby. Na sto świąt Zhōngqiūjie. Na zamki i smoki. Rany boskie.

Jej podoba się prostota i geometryczna elegancja tej kostki.

- Kto to zrobił? - pyta.

Wnuk wymienia trzy nazwiska dzieciaków, których lady Sun nie odróżnia od nazwiska kobiety ręcznie szyjącej jej buty. Obchodzi kostkę z Alhambry, patrzy na zmieniające się cieniobrazy i myśli o swoim ciepłym, łagodnie oświetlonym apartamencie.

- Myślę, że Lucas Corta żyje - mówi.

- O, to by była ważna nowina - odpowiada Zhiyuan.

- Jest wiele przesłanek - dodaje lady Sun, cały czas orbitując wokół lodowego sześcianu. - Zrobiłam dyskretny wywiad. Amanda mówi, że nigdy nie znaleziono łazika, w którym zginął Lucas. Nie ma trupa, więc podejrzenia są naturalne. Kazałam moim ludziom puścić skan satelitarny terenu pokrywającego cały zasięg łazika. Znaleźli go obok wieży pętli księżycowej na środkowym Morzu Żyzności. Woroncowowie to niekończący się ciąg kamuflaży i zmyłek, ale moi ludzie znaleźli zapis: był start kapsuły, zgrywa się w czasie z dojazdem łazikiem z João de Deus.

Lady Sun znów bierze wnuka pod rękę i podprowadza go do trzeciej ścianki lodowej latarni

- Musisz zrozumieć: dyskrecja jest najważniejsza. Dowody są bardzo wątpliwe, ale są: Lucas Corta mógł uciec z tego świata pętlą księżycową. Jest tylko jedno miejsce, gdzie mógł się ukryć. A

skoro Woroncowowie go ukrywają, będzie im zależało, żeby utrzymać to w tajemnicy. Zbyt mocno przyciśniesz, to ich zaalarmujesz.

- Ale...

Lady Sun ściska ramię Zhiyuana.

- Wścibska ze mnie staruszka, wiem. Ale nie mogłam się oprzeć. Woroncowowie coś ukrywają, to od razu widać. I w kosmosie, i na Ziemi. Przemieszcza się kasa. Kasa jest ciężka i zostawia głębokie ślady. Ziemskie korporacje tworzą nowe konsorcja inwestycyjne. VTO Ziemia dogadało się z rosyjskim rządem.

Zhiyuan puszcza ramię lady Sun.

- To niemożliwe.

- To jeszcze nie wszystko. Moi szepczący w Chińskiej Partii Komunistycznej zamilkli. Niepokoi mnie to. Boją się. Osaczają mnie intrygi. Ziemia coś kombinuje, a Księżycowy Orzeł nagle odkrywa, że zarząd zwraca się przeciwko niemu? Pani Luna nie zna przypadków.

- Co myślisz, *nainai*?

- Lucas Corta wraca, żeby odzyskać, co mu ukradziono. I zemścić się na tych, którzy zniszczyli mu rodzinę.

- Może Trzej Dostojni coś będą w stanie przewidzieć?

- Niechętnie bym ich pytała. - Pociągnięciem za rękaw doprowadza wnuka do ostatniej ścianki. Zamyka oczy w poszatkowanych promieniach światła bijącego z lodowej kostki. — Nie możemy działać otwarcie. Amanda będzie podejrzewać, że wiemy, że nas okłamała w kwestii śmierci Lucasa Corty. Skompromitowałyby się i musiałyby odejść z zarządu. Lucas Corta już raz ją upokorzył, tym rozwodem. Nie dopuści do drugiego razu. A zapytasz Trzech Dostojnych, to dowie się cały zarząd.

- Musimy wiedzieć, komu można zaufać. Będę działać dyskretnie, jak należy. Żadnych błędów.

- Dziękuję, Zhiyuan. - Lady Sun znów splata ramiona. Na

futrze jej kaptura jest już gruba warstwa szronu. - Dobra. Dość mam tego mroźnego piekła. Prowadź mnie z powrotem na ciepłą herbatkę.

Okazja jest niesamowita.

I to prawda. Nic bardziej prawdziwego. To jak to jest, że szczerą prawdą brzmi jak nieudolne kłamstwo?

Luca, trafiła mi się okazja, jedyna w życiu, żeby studiować w Kaboszonie.

On zapyta: Kaboszon? Co to? I będzie trzeba mu znowu tłumaczyć, że to czołowy zespół naukowy pracujący nad alternatywnymi modelami zarządzania Księżycem. I wtedy zdziwi się: co takiego? I cała decyzja się od tego rozmydli. A cięcia powinny być szybkie, ostre, czyste.

To jeden rok. Brzmi jak wieczność, ale to nie wieczność. Zresztą to tylko w Południku, o godzinę jazdy pociągiem. Rok to nie koniec.

A jednak to koniec. Wszyscy przyjaciele mówią, że związki się nie sprawdzają, gdy się jest w grupie naukowej. Tak było, tak jest i tak będzie. Zerwij z nim. Mógłby ze mną przyjechać. Dłonie unoszą się w przerażeniu. Zwariowałaś? To jeszcze gorzej. Będzie chodził za tobą na polityczne salony, na koktajle, a ty w pewnej chwili spojrzysz na niego kątem oka i nie zobaczysz Lucasinho Corty; zobaczysz domowe zwierzątko; a potem przyjdzie chwila, kiedy będziesz się go wstydzić, później - kiedy przestaniesz go zapraszać, a jeszcze później - kiedy będzie miał gdzieś, że go nie zapraszasz.

Czyli to musi być koniec. No to koniec. Postanowione. Zatem kolejna kwestia: jak mu powiedzieć, że to koniec?

Przez chowańca, mówią kumple. Tak się teraz robi. Nie. Nie mogę. Zasluguje na coś więcej. Zasluguje? Ma humory, jest zaborczy, zero ambicji, zero szacunku dla samego siebie, a do tego ma ochotę zerznąć wszystko, co ma puls — i robi to.

Dobry seks i jeszcze lepsze wypieki tego nie rekompensują. A ona mówi: tak, dodajcie jeszcze, że doprowadza do szału, że jest próżny, płytki, zblazowany, wymagający, nieczuły, że jest emocjonalnym analfabetą. I jest potwornie, potwornie zraniony. Ma blizny do kości. On jej potrzebuje. Ona nie chce być potrzebna. Nie chce mieć nikogo pod opieką. Nie może dać się skrępować czymś takim.

Kiedy dostała do rąk maleńką paczuszkę, przywiezioną BALTRAN-em z Południka, kiedy znalazła w środku dwie połówki stalowego kolczyka, poprosiła o radę *abusę*. Nie wahali się. Ten kolczyk to kontrakt. Oddała go Lucasinho, a on bez zastanowienia wetknął go z powrotem do ucha, choć zakłęcie było już zużyte. I cały czas go nosi. Gdy Abena wścieka się na niego, gdy go nienawidzi, ma wrażenie, że nosi go po to, żeby jej przypomnieć, że nadal jest jego dłużniczką, bo uratował Kojo. Że będzie nią już zawsze. Że tylko on może ją od tego zobowiązania uwolnić. Jakby wbił w jej wolność mały tytanowy haczyk. Ma ochotę wykrzyknąć: „To nasz dług, nie mój!”.

Nienawidzi go teraz. I nagle wyobraża sobie jego oczy, te kości policzkowe Sunów, te pełne, prześliczne chłopiące usta. Tę nonszalancję i cwaniacki uśmiezek, skrywający i ukazujący tak wiele lęków.

Umie czytać? - pyta chowańca. List, coś odręcznie napisanego byłoby osobiste, ale i z dystansem.

Chowaniec odpowiada: *Umiejętność czytania: poziom sześciolatka.*

Te *madrinhe* Cortów w ogóle czegoś te dzieci uczą?

Zatem nie list. I nie „wypierdalaj” rzucone przez chowańca. Czyli osobiście. Boi się tego, w wyobraźni już odtwarza się scenariusz. Lucasinho jest niewierny, zaborczy, denerwuje ją jak nikt nigdy, lecz tyle chociaż jest mu winna.

Zarezerwuj stolik u Świętego Józefa, rozkazuje. Lokal elegancki, neutralny i na tyle odległy od jej towarzyskiej orbity,

że nie spotkają tam nikogo znajomego.

Będzie jej brakowało tych jego ciast.

Barek w pociągu nie chce go obsłużyć. W pierwszej chwili nie przyjmuje tego do wiadomości. Barek jest uprzejmy, ale nieugięty. Potem krzyczy: „Nie wiesz, kto ja jestem?!”. Barek wie, ale kolejowe barki nie mają wbudowanych żadnych reakcji na status społeczny. W końcu wali go pięścią tak mocno, że pęka płyta czołowa. Barek informuje o uszkodzeniu i przygotowuje wniosek o drobne odszkodowanie.

Chyba powinienes wracać na miejsce, mówi Jinji.

Pasażerowie się gapią.

- Chcę jeszcze się napić.

Nie polecam. Masz we krwi dwieście miligramów czystego alkoholu na sto mililitrów krwi.

Kłóci się z prostej złości, ale sprzeczka z chowańcem to bezsensowny bunt. W drodze na miejsce łypie groźnie na każdego, kto odważa się nawiązać kontakt wzrokowy.

To trzeci dzień jego ciągu. Pierwszego dnia szła chemia. Dziesięciu robiących na zamówienie wytwórców i dwa razy tylu narko-DJ-ów. Jego umysł, emocje, zmysły, to wzlatywały, to opadały, to zwracały się do środka, to otwierały; obrazy i dźwięki rozszerzały się i kurczyły. Chemia i seks: uzbrojony w całą torbę erostymulantów poszedł do Domu Węża, gdzie mieszkał Adelaja Oladele o Anielskich Dłoniach, razem z całą armią ślicznych chłopców, którzy przyjęli torbę sekspigulek niczym Święto Nowego Jama.

Ciotka Lousika dzwoniła do niego, słała wiadomości, błagała, żeby wracał do domu, póki nie wyłączył Jinjiego i nie zamknął się w bąblu ciał, potu i spermy. Tylko odłączając się od sieci, był w stanie powstrzymać się od bombardowania Abeny wyzwiskami w sieciach społecznościowych. Drugiego dnia, wciąż schodząc dziesięcioma różnymi ścieżkami z dziesięciu

różnych hajów, zabrał, co mu zostało w torbie pełnej niespodzianek, i poszedł do Kojiego Asamoah. Kajo zrobił mu herbaty, położył do łóżka, wtulił się w niego, żeby cieszyć się resztkami farmakologicznych przysmaków i odbijał jak piłeczkę wszystkie pytania: czemu siostra pojechała do Południka, czemu jej na nim nie zależało na tyle, żeby zostać, czemu nikt na świecie nigdy nie zostaje. Nad ranem Lucasinho zniknął. Kajo poczuł ulgę. Już dość się namęczył, obciążając mu przez całą noc.

Trzeciego dnia Lucasinho wziął się do picia. Twé miało cały ekosystem maleńkich knajpek, od słomianych szałasów, przez bary z basenami, aż po nory wyryte w skale, tak ciasne, że klienci spasowywali się w środku jak cząstki pomarańczy. Lucasinho nie potrafił pić. Nie wiedział, że w ciągu trzeba mieć strategię, więc pił szybko, chaotycznie i po katolicku. Pił rzeczy wysokoprocentowe i nie pochodzące z drukarek; pił rzeczy ręcznie robione, piwo bananowe, jamowe, dyniowe; i te typowe dla Twé drinki nieprzypominające niczego innego na Księżycu. Był potwornym pijakiem-dyletantem. Zanudzał ludzi. Zapominał w pół zdania. Stawał za blisko. Rozbierał się w towarzystwie. Dwa razy się zrzygał. Nie miał pojęcia, że po alkoholu tak się dzieje. Zasnął na łonie niedoszłego kochanka i obudził się z takim bólem głowy, że był pewien, pewien, pewien, że umrze, póki Jinji, w trybie offline, nie wytłumaczył mu, że to odwodnienie i pomoże mu wypicie litra wody.

Gdy drugi raz doszedł do siebie, stwierdził, że siedzi zwinięty na siedzeniu ekspresowego pociągu. I znów chce się napić. A barek mu nie pozwala.

- Dokąd ja jadę? - pyta, lecz zanim Jinji zdąży odpowiedzieć, słyszy męski głos mówiący do dziecka, słyszy odpowiedź dziecka, jedno i drugie po portugalsku; na dźwięk tych nosowych samogłosek i sepleniących spółgłosek przyciąga kolana do piersi i zaczyna konwulsyjnie, bezgłośnie łkać.

João de Deus. Tak. Jedzie z powrotem.

Z pociągu wysiada ostatni, ostatni przechodzi przez służę, ostatni staje, niepewny, na peronie stacji kolejowej. Tyle razy szedł po tej lśniącej posadzce. Jeździł do kumpli, do *amores*, do innych wielkich księżycowych miast. Na własny ślub. Do Południka, dokąd uciekał od nudy i ciasnoty Boa Vista, odkrywając zarazem, że na świecie tak małym jak Księżyc każda ucieczka od czegoś jest ucieczką do czegoś i da się co najwyżej zmienić mniejszą pieczarę na większą.

- A jak mój makijaż? - pyta chowańca.

Przypomina sobie teraz, że ostatnio się malował w toalecie u Kojo. Nie jest to pełny rynsztunek, tylko tyle, żeby poczuł się szalony i drapieżny, tyle by uczić, że Lucasinho Corta wraca do João de Deus.

Jestem offline, więc nic nie widzę, ale ostatni raz poprawiałeś się trzy godziny temu, więc zapewne parę poprawek się przyda.

Łazienka ma staroświeckie lustra. Lucasinho pracuje zręcznie, na ile pozwala mu alkohol w mózgu. Podziwia jeden profil, potem drugi. Ta moda retro z lat osiemdziesiątych XX w. naprawdę mu pasuje.

Zapach. Zapomniał o nim, lecz zapach to klucz do pamięci - jeden wddech i przed oczyma staje mu pierwsze dziesięć lat cortowego życia. Surowa skała i ostra woń elektryczności. Przeciążona kanalizacja i perfumy mające ten smród zamaskować, siki, olej do smażenia. Waniliowo-tłusty zapach plastiku do drukarek. Ciała. W João de Deus oni nawet pocą się inaczej. Świeża słodycz botów. I pył. Wszędzie ten pył.

Lucasinho kicha.

Jakie to wszystko małe. Prospekty są wąskie, a strop tak niski, że aż się wzdryga. W Twé obowiązuje zupełnie inna architektura. Twé to miasto postawione na głowie - gromada wąskich, wysokich na kilometr silosów pełnych roślin, z prawdziwym światłem dostarczaniem na dół przez kaskady luster, nie tym fałszywym blaskiem linii słonecznej. Twé to miasto kryjówek i odkryć. João de Deus jest otwarte. Prospekt

Kondakowej, poprzecinany kładkami i galeryjkami, otwiera dokładnie na wprost przed nim widok na plac.

Właśnie tędy oni weszli do środka w noc noży. Wyszli z pociągu, przeszli przez służę, rozeszli się po wielkim placu nad stacją. Widmowi żołnierze przemaszerowują obok Lucasinho, z rękoma na głowniach noży. Osmolone ściany i fasady; dawne biura Corta Hélio puste jak z powybijanymi zębami. Apartament ojca; najlepszy pokój odsłuchowy na dwóch światach to masa stopionego sprzętu grającego i zwęglonego drewna.

Santinhos śmigają wokół niego, pieszo, na hulajnogach, w *motos*. Osiemnaście miesięcy temu jego twarz znał cały Księżyc. Ślub roku! Piękny i stylowy Lucasinho Corta. Niektóre twarze się odwracają, niektórzy przystają z niedowierzaniem, większość nie zaszczyca go choćby spojrzeniem. Czy to dlatego, że go nie poznają, czy dlatego, że bezpieczniej go nie poznawać?

Kładka na Zachodnim Siódmym. Lucasinho staje i rozgląda się. To na tych belkach Mackenzie powiesili nagie ciało Carlinhosa. Zwisają ręce, długie włosy i fiut. Gardło rozcięte. Powalili go paralizatorami i wtedy podeszli. Za dużo noży Nie mógł uciec. A Lucasinho ukrywał się wtedy w Twe, broniony przez noże i żywą broń Asamoah.

Logo Mackenzie Helium na frontonach biur, na botach, na pięćdziesięciometrowych flagach zwisających z wyższych pięter. Przechodzi luniarz w elastyku, na palcach ręki wisi za szybkę hełm z małym MH na czole. Nie pamięta, żeby tu było aż tyle białych twarzy. Hot-shopy, herbaciarnie i bary wypisują na swoich ścianach specjalności dnia, po portugalsku i w globo. Za to na ulicach słychać angielski. Angielski z australijskim akcentem.

Bez sieci nie będę w stanie cię ochronić, mówi Jinji, jakby czytając mu w myślach. Może i czyta. Może jego obwody przebiły się przez czaszkę do zwojów mózgowych i odczytują

przeskakujące między neuronami iskierki. A może po prostu zna już Lucasinho tak dobrze, że stał się echem jego myśli.

Przystaje na placu przed wejściem na Estádio da Luz. Nowe napisy, nowa nazwa, nowe logo. Ballarat Arena. Stadion Jaguarów.

- Jaguary... - mówi.

Ziemski gatunek dzikiego kota... - zaczyna Jinji.

Wołanie z wyższego poziomu: hej! Lucasinho wie, że to do niego. Powtarza się, tym razem z powątpiewaniem. Idzie dalej. Już wie dokąd.

Stacja tramwaju do Boa Vista jest zagrodzona foliami, poprzecinanymi taśmami z napisem NIE WCHODZIĆ i symbolami skafandra i hełmu ostrzegającymi przed dehermetyzacją. Nawet gdyby nie była, nie pojechałby tam. Boa Vista umarło, jest zdehermetyzowane, otwarte na próżnię; zamknięte za ciśnieniowymi grodziami. U podnóża ściany faluje kałuża kolorowych światełek. Setki, setki biolamppek; niektóre nowe i świeże, inne pulsujące nerwowo na pograniczu śmierci. Światelka - czerwone, złote, zielone - wydobywają z mroku całe mrowie porozstawianych wokół drobiazgów. Lucasinho podchodzi bliżej i widzi, że to tanie plastikowe wydruki *orixas* i ich atrybutów, zarówno chrześcijańskich, jak i z *umbandy*. Nóż Oguna, piorun Xango, korona Yemanji.

Cztery podobizny ustawione w trójkąt. Pośrodku Adriana, w szczycie trójkąta Rafa, dolne wierzchołki zajmują Carlinhos i Lucas. Obrazki są małe, poręczne, jak obrazki świętych; ramki mają grube i zdobione farbą, klejnotami, kolejnymi plastikowymi wotami. Bioluminescencja migotliwie podświetla trójkąt tych twarzy, jak i twarz Lucasinho, gdy ten kuca, by przyjrzeć się innym wotom w ołtarzyku.

Koszulka Moços, sezon '15. Inna koszulka, współczesny krój, z nadrukowanym luncyklem. Rajd na Wytrzymałość po Serenitatis. Wiele noży z odłamanymi czubkami. Muzyczne kostki, po podniesieniu grające starą bossa novę, ulubioną

muzykę babki i ojca. Zdjęcia, dziesiątki zdjęć: luniarze, kibice piłki ręcznej, wspaniałe obrazy z pionierskich księżycowych czasów, gdy Adriana budowała ten świat. Podnosi je: obrazy są stare, ale zdjęcia drukowane niedawno. Ten brodaty, uśmiechnięty mężczyzna to dziadek, którego nigdy nie poznał, bo zmarł jeszcze przed urodzeniem jego ojca. Oto *madrinhas* z dziećmi w objęciach i u boku. Niedokończone rzeźby Boa Vista. To są bogowie, którzy do niego przemawiają - twarze odnalezione w kamieniu, wyłaniające się z surowej skały. A tu - dwie młode kobiety, jedna to jego babcia, drugiej nie kojarzy. Głowa przy głowie, uśmiechają się do aparatu. Babcia ma na sobie koszulkę kompresyjną z podwójnym M Mackenzie Metals. Na koszulce drugiej kobiety jest ghańska *adinkra*.

Ich już nie ma. Klęczy, pijany, między wotami. Obrzydliwy jest. Sam się sobą brzydzi. Ikony patrzą nań z wyrzutem.

- Ty nie. - Lucasinho próbuje zedrzeć ze ściany zdjęcie ojca. Klej zbyt mocno trzyma. Szuka brzegu, za który dałoby się szarpnąć.

Dłoń na ramieniu, głos.

- Zostaw.

Odwraca się, zaciskając pięść do ciosu, wykrzywiając twarz.

Starsza kobieta cofa się, unosi ręce. Nie w obronnym geście: w zdumieniu. Jest chuda jak szczapa, ciemnoskóra, spowita w białe szaty, z białym turbanem na głowie. Ma zielononiebieską etolę, mnóstwo pierścionków, jeszcze więcej koralu. Lucasinho zna ją, ale nie może sobie przypomnieć skąd. Ona zaś go poznaje.

- Ach, to ty, mały *mestre*...

Wyrzuca ku niemu ręce, szybko jak zadający cios nożownik, i obejmuje nimi jego dłonie.

- Ja nie... — Nie potrafi się cofnąć. Jej ciemne i głębokie oczy sprawiają, że paraliżuje go strach. Poznaje te oczy: raz u *vo* Adriany w Boa Vista, potem drugi raz na przyjęciu z okazji jej osiemdziesiątych urodzin. - Jesteś tą siostrą...

- Irma Loa, z Zakonu Panów Chwili. - Klęka przed Lucasinho. - Byłam spowiedniczką twojej babki. A ona hojną donatorką zakonu. - Ustawia z powrotem poprzewracane przez niego wota. — Boty muszę odganiać, one żadnego szacunku nie mają, ale Zabbalini pamiętają Cortów. Od początku wiedziałam, że ktoś musi przyjść. Liczyłam, że to będziesz ty.

Lucasinho wrywa ręce z gorącego, suchego uścisku. Wstaje i jest jeszcze gorzej. Klęcząca przed nim staruszka przeraża go. Patrzy mu w oczy, w górę, jakby błagała.

- Masz tu przyjaciół. To jest twoje miasto. Mackenzie go nie mają i nigdy nie będą mieli. Tu ludzie dalej mają szacunek dla nazwiska „Corta”.

- Idź sobie, daj mi spokój! - krzyczy Lucasinho, odsuwając się od zakonnicy.

- Witaj w domu, Lucasinho Corta.

- W domu? Widziałem dom. Byłem tam. Ty nic nie widziałaś, nic. Dokarmiasz sobie lampki, odganasz boty, przecierasz obrazki. Ja tam byłem. Zszedłem na dół, widziałem zdechłe rośliny, zamrożoną wodę, pokoje otwarte na próżnię. Wyciągałem ludzi ze schronów. Brata stryjecznego wyciągnąłem. Ty nic nie widziałaś. Nie było cię tam.

Przysięgł jednak, że wróci. Pod podszewkami buciorów od skafandra chrupały zamrożone szczątki wielkiego domu, a on przysięgał, że go odbuduje. Bo to jest jego.

Nie potrafi. Za mało ma charakteru. Jest słaby, próżny, rozpieszczony i głupi. Odwraca się i ucieka otrzeźwiony przez szok i adrenalinę.

- Ty jesteś ich prawdziwym dziedzicem! - woła za nim Irma Loa. - To jest twoje miasto!

Po drugim już wie, że Blue Moon to obrzydliwy drink. Dopija go, zamawia trzeciego, a barman wie, jak się je powinno przyrządzać - robi ten numer z odwróconą łyżeczką, z której w

głęb dżinu spęłzają niebieskie macki, jak poczucie winy. Lucasinho łapie kieliszek i próbuje spojrzeć przez niego na światła baru. Wrócił znowu do stanu upojenia, dokładnie tak, jak chciał. To jego *tio* Rafa stworzył Blue Moona. Pojęcia nie miał o drinkach.

Bar jest mały, ciemny, duszny, dudni w nim głośnie muzyka i jeszcze głośniejsze rozmowy, a barman rozpoznaje Lucasinho, choć zachowuje zawodową dyskrecję. Za to dziewczyna nie. Przyszli w połowie pierwszego drinka, dwie dziewczyny, dwóch chłopaków, jedno neutko. Cały czas zerkali na niego ze swojej wrytej w gołej skale łoży, odwracając wzrok, gdy się oglądał. Spod oka, ukradkiem. Dziewczyna odczekuje do czwartego Blue Moona i podchodzi.

- *Ola*. Ty jesteś, eee...

Nie ma sensu zaprzeczać. Tylko plotki się rozejdą, a plotki to legendy, które dopiero co nauczyły się raczkować.

- To ja. Tak.

Nazywa się Geni. Przedstawia mu Mo, Jamala, Thora, Calyxa.

- Mogę...? - Wskazuje na pusty stołek obok.

- W sumie nie.

Albo nie słyszy, albo się tym nie przejmuje.

- My jesteśmy... ten... urbaniści?

Lucasinho słyszał o tym. Taki tam sport ekstremalny: wbijasz się w skafander i badasz stare, opuszczone habitaty i fabryki. Zjeżdżasz na linie do szybów po farmach. Czołgasz się tunelami, a w kąciku oka widzisz spadający poziom tlenu. Nic ciekawego. Historia, sport, bezcelowe ryzyko. Brzydzi się tym wszystkim. Za bardzo to przypomina pracę. Lucasinho osuwa się na stołku, póki nie oprze brody na dłoniach, wpatrując się w na wpół wypitego piątego Blue Moona. Barman zerka na niego, porusza głową, bezgłośnie sugerując: „Kiwnij głową, to ją wywalę”.

- Byliśmy tam. Trzy razy.

- W Boa Vista.

- Możemy cię zabrać.
- Byliście w Boa Vista?

Ma nieco mniej pewną minę. Ogląda się na kumpli. Przerwa pomiędzy lożą i barem wydaje się przepaścią.

- Poszliście do Boa Vista? - pyta Lucasinho. - Do mojego domu? A jak? Wzdłuż linii tramwajowej? Czy zeszliście szybem z powierzchni? I co, dumni byliście, kiedy tam stanęliście, pomyśleliście sobie: „No, to jest coś”? Przybiliście sobie piątki, tak?

- Oj przepraszam, pomyślałam po prostu...

- Do mojego domu. Kurwa mać. - Lucasinho zwraca na dziewczynę całą moc swojej furii, żarliwej, czystej, podgrzewanej wstydem, pogardą dla samego siebie i Blue Moonami. — Wleźliście do mojego domu, obe-szliście wszystko, porobiliście zdjęcia i filmiki. Patrzcie, oto ja w pawilonie São Sebastião. A tu przed Oxalą. Kumplom się podobało, mówili: „Co za odwaga, wow, niesamowite”? Łaziliście po moim domu. Kurwa. Ktoś wam pozwolił wleźć do mojego domu? Pytaliście kogoś? Przyszło wam w ogóle do głowy, żeby kogoś zapytać? Ze przeżył jakiś Corta i trzeba by go zapytać?

- Przepraszam - mówi młoda kobieta. - Przepraszam.

Jest przerażona, Lucasinho, napędzany alkoholem i wstydem, jest agresywny, a jej lęk jeszcze bardziej go napędza. Z hukiem wali kieliszkiem o bar, łamie nóżkę, rozlewa po podświetlanym blacie niebieski płyn. Zrywa się na nogi, zatacza się.

- To nie było wasze!

Barman spogląda porozumiewawczo na dziewczynę, ale jej kumple już zaczynają się zbierać.

- Ja nie chciałam! - woła ona jeszcze od drzwi. Jest we łzach.

- Was tam nie było! - krzyczy za nią Lucasinho. - Nie było!

Barman startł porozlewanego drinka i postawił na barze szklaneczkę herbaty.

- Jej tam nie było - mówi do niego Lucasinho. - Przepraszam.

Przepraszam.

- A więc to on.

Lucasinho dotąd prawie nie spojrział na luniarkę siedzącą na przeciwległym końcu baru, lecz teraz ona unosi wzrok znad swojej caipiroshki i odzywa się. Bar rysuje na jej twarzy ostre cienie. Jest śniada, z białymi popromiennymi plamami bielaczymi.

- Mão de Ferro.

- Co? - rzuca się Lucasinho.

- Żelazna Ręka. Tak mówiono na Cortów. Oddałam waszej rodzinie dwadzieścia pięć lat życia. Jesteście mi coś winni.

„Winni?” - ma na końcu języka Lucasinho, lecz zanim zdąży się odezwać, bar wypełnia się potężnymi mężczyznami i kobietami w modnych garniturach, z wypukłościami pod marynarkami sugerującymi broń białą. Troje otacza Lucasinho, dwójka pilnuje baru, dwóch staje po obu stronach luniarza. Za chowańców mają *adinkry*. Ochroniarze AKA.

Dowódca oddziału kładzie na jarzącym się biało kontuarze tytanowy szpikulec.

- Zapomniał pan - mówi. Luniarka zerka na Lucasinho, wzrusza ramionami. — Proszę z nami, *senhor* Corta.

- Nigdzie nie... - zaczyna Lucasinho, lecz ochroniarze stawiają go na nogi. Stanowcza dłoń na prawym przedramieniu, druga na krzyżu.

- Przepraszam - mówi luniarka, gdy ochroniarze Asamoah pośpiesznie wyprowadzają Lucasinho na Prospekt Kondakowej.

- Wzięłam cię za Żelazną Rękę.

- Pomyślałam, że pokój z oknem będzie ci odpowiadał.

Ariel wytacza się z salonu do sypialni i objężdża łóżko. Łóżko, nie hamak. Stożące na ziemi. Szerokie na tyle, żeby rozprostować każdą kończynę. I z miejscem naokoło. Wystarczającym, by poruszać się swobodnie i jak należy. W

porównaniu z domem, w którym Marina dorastała, drewnianym, omszałym, z deszczem ściekającym z gontów, apartament przy placu Oriona to kilka klitek, ciasnych jak gniazdo os. Jednakże jak na standardy Południka to szczyt luksusu — na tyle nisko, żeby było z klasą, na tyle wysoko, żeby uciec od co obrzydliwszych zapachów i hałasów z prospektu. Jak na standardy Bairro Alto to raj.

- No tak, dla mnie hałas z ulicy — mówi Marina. Widzi zawód w oczach Ariel i żałuje riposty. Apartament jest przepiękny. - Pokazuj dalej - dodaje pośpiesznie, ma nadzieję, że z wystarczającym entuzjazmem. Ekscytacja nowym mieszkaniem chyba przytępiła Ariel jej sądową spostrzegawczość. Kiedy indziej słyszałaby tę nieszczerłość równie wyraźnie jak świątynny dzwon.

Sypialnie są dwie, jest salon, z dodatkową wnęką, którą można odgrodzić. Gabinet, obwieszca Ariel. I jest jeszcze mały, oddzielny pokój, do zastosowań wymagających małego oddzielnego pokoiku.

- Można by tu urządzić twój pokój do seksu - oznajmia Marina, wsuwając głowę przez drzwi, żeby sprawdzić wymiary. - Dać miękką wykładzinę, wymienić obicia na ścianach.

Na Bairro Alto seks był problematyczny. Niepełnosprawność i obniżona stopa życiowa nie wpłynęły na autoseksualność Ariel. Negocjowało się terminy i pomieszczenia, Marina poświęcała swoją nędzną kwotę węglową na drukowanie dla Ariel zabawek. Seks stał się dyżurnym żartem, trzecim członkiem rodziny, mającym swoje przezwiska, swoje słownictwo i swój szyfr; *senhora* Siririca¹, Pan Żeberkowany, Tajemny Guziczek, Siostra Króliczka - Marina musiała wyjaśnić, co to takiego „króliczek”, była domowym psotnym bóstwem, *Senhor* Gruby prowadził odwieczną rywalizację z *senhorem* Długim. Rozmowy stały się gładkie, ale nic w nich nie dotyczyło części maleńkiego mieszkanka zajmowanej przez Marinę. Z kim by to robiła, z kim by chciała, czy w ogóle? Marina pogodziła się już z

celibatem, uznała go za nieodłączną część sprawowanej nad Ariel opieki. Przez większość czasu była zbyt umęczona, żeby w ogóle pamiętać o seksie, a co dopiero konstruować sobie jakieś fantazje. Teraz, gdy zamyka drzwi do małego pokoiku w ogromnym, nowym mieszkaniu, możliwość pojawia się na nowo. Będzie mogła pomyśleć o sobie.

Prywatna *bania*. Oddzielne spa, w którym woda leje się, póki jej nie zakręcisz. Marina wciąż nie dowierza, że ikonki Czterech Żywiołów na jej czubie wciąż są złote i ani drgną. Mają i domową drukarkę. Jest mała spiżarka, blat do robienia posiłków i lodówka. Lodówka jest pełna designerskich dzinów i wódek, spiżarka - dodatków do drinków, wermutów, syropów, a blat jest zastawiony zestawami odpowiednich kieliszków.

- Marina, *corãcão*, tak by mi się przydało martini.
- Dopiero dziesiąta.
- Ale trzeba to uczcić, nie czujesz tego?

Bairro Alto nie obfitowało w przyjemności. Ariel musiała uczcić każdy, choćby najwątleszy posmak sukcesu - sprawę, ugodę, nowy sprzęt w domu. Marina dostrzegła punkt, w którym świętowanie zdegenerowało się w niebezpieczne picie. Wiedziała, że któregoś dnia trzeba będzie się z tym zmierzyć. Ale nie na Bairro Alto. Tutaj już można, lecz dzisiaj *jeszcze* nie ma serca. Dziś rzeczywiście jest co świętować. Przyrządza dwa oszałamiająco wytrawne martini z dzinu z dwudziestoma dwoma ziołami z Cyrillusa. Ariel dźwiga się z wózka i opada w miękkie czeluści sofy. Wózek ucieka do kąta i składa się na płasko.

- I co myślimy? — Ariel podnosi nogi na sofę, jedną po drugiej, wyciąga je, z kieliszkiem martini w drugiej dłoni.

- Myślimy: ciekawe, kto tu wcześniej mieszkał - odpowiada Marina.

- Wy *nortes* to straszni purytanie jesteście. — Unosi szklanekę. — *Saude!*

Marina stuka się z nią kieliszkiem. Dźwięczy jak porządny

kryształ.

Tim-tim.

- A skoro pytasz, należało do Julii Szczerban. Była specjalnym doradcą ekonomicznym Rostama Baranghaniego.

- Członka zarządu LDC?

- Tego właśnie. Odwołano ją na Ziemię. Sporo osób z personelu pomocniczego LDC odwołano.

- A nie myślisz...

- Wspominałam o tym Orłu.

- I co?

- I podziękował mi za moją staranność.

- No, ja wiem, że w działce ochrony osobistej jest teraz rynek sprzedającego - mówi Marina. - Przede wszystkim kupują Mackenzie. Każdy, kto choć chwilę pracował dla Smoków, może dyktować cenę.

Ariel siada prosto.

- Gdzie to słyszałaś?

- Kiedy ty słuchasz, ja rozmawiam.

- Czemu ja tego nie usłyszałam?

- Bo akurat siedziałaś u boku Kayodego i zastanawiałaś się, czy pozostali jego prawnicy najpierw powyrzynają się nawzajem, czy najpierw jego zadźgają.

- Powinnam była to wiedzieć - złości się Ariel. - Kiedyś nikt nie pierdnął w Południku, żebym ja o tym nie wiedziała.

- Trochę cię nie było...

Ariel przerywa.

- On ma przejebane. Cały zarząd jest przeciwko niemu. Prawnicy ratują własne dupy, on ich nie obchodzi. Tylko mnie ufa. — Bierze wielki haust martini. - Wszyscy oczywiście bardzo oficjalni, ugrzecznieni, dyskretni, ale ja to widzę w ich twarzach. LDC zawiązano, żeby żaden ziemski rząd nie mógł przejąć całkowitej kontroli. A teraz oni są dogadani. Coś się zmieniło. Zarząd niedługo go usunie.

- A jeśli skoczy, zanim go zepchną?

-To zarząd i tak mianuje swoją marionetkę.

- Czyli przejebane ma tak czy owak. To czym on tak podkurwił ten zarząd?

- Orzeł Księżycowy jest wielkim i durnym romantykiem. Wierzy, że stanowisko Orła to powinno być coś więcej niż tylko podpisywanie wszystkiego, co mu podsunie LDC, i kręcenie się po przyjęciach. On wierzy w ten świat.

- A co to znaczy, że „wierzy w ten świat”, jak ty to mówisz...?

- W samostanowienie. Żebyśmy zostali państwem, a nie kolonią przemysłową. Się kochaniutki upolitycznił.

- O, to by mogło ich podkurwić - stwierdza Marina.

- Tak. Ja mu szepczę do ucha, biorę jego kasę, biorę mieszkanie i nic na to nie mogę poradzić. - Rzuca się z powrotem na sofę i szeroko rozkłada ręce. Marina łapie wysuwający się z jej palców kieliszek. - A trochę szkoda, bo w sumie ja tego wielkiego przygłupa nawet lubię. Dobra. Dosyć polityki. Teraz chcę z wódką.

- Ariel, a nie myślisz...

- Marina, zrobisz mi, kurwa, wódka martini czy nie?

Szklanka, lód, płyn zmrożony, że aż gęsty. Homeopatyczna dawka wermutu. Nonszalancka arogancja Ariel dalej rani tak samo jak na początku. Nigdy się nie zastanowi, choćby przez moment, czego by mogła chcieć Marina. Nawet nie pomyślała, że Marina mogłaby nie chcieć sypialni z oknem. Nawet nie przyszło jej do głowy, że Marina mogłaby nie chcieć się tu przeprowadzać. Jej życie w ogóle Ariel nie obchodzi. Ręka Mariny trzęsie się z tłumionej furii, gdy miesza martini. I tak nie rozlewa ani kropelki. W życiu.

- Przepraszam - odzywa się Ariel. - To było mało eleganckie.

- Upija martini. - Rewelacja. Ale powiedz mi: co ty naprawdę o tym myślisz?

- Ja myślę, że jak Orzeł będzie spadał, to postaraj się nie być pod spodem.

- Nie, nie pytam o Orła, dość, kurwa, gadki o Orle - burczy

Ariel. -I o pieprzonej LDC, o prawnikach, o doradcach, kurwa, o kanapowych klubikach politycznych, klubach dyskusyjnych i o działaczach. Dość. Chodzi o to, że będziesz mi dzisiaj potrzebna. Towarzystwo Lunariańskie ma konferencję i chcę na nią pójść.

- Chcesz pójść do Towarzystwa Lunariańskiego?

- Tak. Grupa naukowa Kaboszon będzie prezentować swoje prace o modelach demokracji księżycowej.

- No... dzisiaj ja mam wymówkę. Mam bilet na koncert grupy rockowej.

- Na co? Nic mi nie mówiłaś.

Marina najeża się.

- Muszę mieć pozwolenie, żeby pójść sobie na koncert?

- A czemu ty w ogóle chcesz iść na jakiś koncert jakiegoś zespołu? U nas są jeszcze jakieś zespoły?

- Są, i ja niektóre lubię, i jeden taki chciałam dziś obejrzeć.

- To chodzi o tego jakiegoś „rocka”?

- Muszę ci się spowiadać z mojego gustu muzycznego? - Marina szybko przekonała się, że Ariel, w odróżnieniu od brata, nie interesuje się muzyką, a swoją niewiedzę maskuje pogardą.

- To zrobisz tak. Wyszadzisz mnie tam, weźmiesz sobie szklankę herbaty i puścisz sobie ten... koncert przez Hetty'ego. To zupełnie jakbyś tam była. A nie będziesz się musiała tłoczyć i stać w tłumie spoconych typów.

- Tłum spoconych typów to jest właśnie cały sens koncertu rockowego - mówi Marina, lecz niezrozumienie Ariel jest tak absolutne i dobitne, że dalsza obrona gitarowej muzyki tylko skomplikuje sprawę. - Jesteś mi to winna.

- Jestem ci winna tyle, że nie ma żadnej nadziei, że do końca życia cokolwiek splecę. Ale chcę pójść do tego Towarzystwa. Ten ich zenujący studencki idealizm w ogóle mnie nie interesuje, nic a nic. Muszę pójść, bo Abena Maanu Asamoah będzie bronić swojej pracy naukowej, a słyszałam niedawno, że pieprzy się z moim bratankiem Lucasinho. Trochę się

przejmuję losem tego małego chujka. No to jak?

Marina kiwa głową. Rodzina wygrywa.

- Dziękuję ci, skarbie. A teraz pytam po raz trzeci: co myślisz? - I zamaszystym gestem obejmuje wielki biały salon, chlapiąc wódką na sofę.

- Myślę: jak to pourządzać.

- W sensie: siatki, sznurki? Uchwyty wszędzie?

- Nazwałabym to raczej pomocami ruchowymi.

- Planuję, że nie będą mi potrzebne.

Jest tylko jeden scenariusz, w którym Ariel nie potrzebuje, żeby Marina obwieszała mieszkanie siatkami i linami ułatwiającymi poruszanie się.

- Nic nie mówiłaś.

— Mam ci opowiadać o wszystkich szczegółach mojej umowy z Orłem?

- Chodzenie jest chyba trochę ważniejsze niż moja chęć pójścia na koncert rockowy.

— Myślisz, że ja bym się w ogóle zgodziła, gdyby chodzenia nie było w pakiecie? — pyta Ariel.

— Pamiętam, że doktor Macaraeg powiedziała, że to zajmie wiele miesięcy — mówi Marina. - Że te nerwy w kręgosłupie robi się powoli i mozolnie.

- Będzie trwało tyle, ile musi. Ale w końcu będę chodzić. Nie będę musiała się w tym wozić. — Ariel chlupie wódką w stronę ładującego się wózka. - I nie będziesz już mi potrzebna. A. Nie. Będziesz. Rozumiesz, co mam na myśli. Zawsze będziesz mi potrzebna.

Obrzydliwe są te dłonie zasłaniające mu oczy. Gorące, suche, papierowe, szeleszczące. Zaciska mocno powieki. Wzbiera mu w gardle odruch wymiotny na samą myśl, że ta pergaminowa skóra mogłaby dotknąć nagiej gałki ocznej.

Ruch ustaje, otwierają się drzwi. Dłonie popychają go jeszcze

parę kroków i znikają.

- Otwórz oczy, chłopcze.

W pierwszej chwili chce odmówić zirytowany rozkazującym tonem w głosie starej kobiety i stanowczym dotykiem dłoni na ramieniu, choć jest od niej o głowę wyższy. Najeżył się buntem już w chwili, gdy rozkazała mu zamknąć oczy i mieć je zamknięte przez całą jazdę windą, zjeżył się, gdy wyrwała mu z dłoni waper. Pretensjonalne i obrzydliwe. Lecz bunt kosztuje, a poza tym wie, że ona poczeka tyle, ile będzie trzeba, póki jej nie usłucha.

Darius Mackenzie otwiera oczy. Światło. Oślepiające światło. Zamyka oczy. Widział blask Żelaznego Potopu, blask zniszczenia. To światło tutaj jest tak silne, że widzi naczynia włosowate w powiekach.

Pawilon jest szklaną latarnią na szczycie wieży na górze Malaperta. Darius stoi pośrodku sześciokątnej podłogi. Kafle, belki, rozporki, dźwigary, samo szkło wreszcie, wszystko wydaje się zmęczone i poobijane, zżarte, pozbawione wytrzymałości przez wieloletnie bombardowanie fotonami. Ideogramy na pulpicie windy zblakły tak, że są prawie nieczytelne. Samo powietrze smakuje, jakby było prześwietlone, przepalone, zjonizowane.

- Tu przyprowadzamy każdego Suna w wieku dziesięciu lat - mówi lady Sun. - Ty trochę późno zostałeś Sunem, ale nie będziesz wyjątkiem.

Darius unosi rękę, żeby osłonić oczy. Opuszcza ją. Dziecko Pałacu Wiecznego Światła w życiu by tak nie zrobiło.

To nie latarnia, dociera do niego. Światło latarni powstaje w środku. To - dociera z zewnątrz, z oślepiającego słońca usadowionego na samej krawędzi krateru Shackletona. Stojące nisko, o północy, rzuca długie cienie - cień Dariusa za jego plecami wygląda jak skrzydła. Tańczy każdy pyłek kurzu. Pawilon Wiecznego Światła to nie miejsce na obserwowanie słońca; to miejsce, gdzie słońce obserwuje ciebie.

- Tak, mieliśmy coś takiego w Tyglu - mówi Darius.
- Ty mi się tu nie mądrz - odpowiada lady Sun. - Różnica jest ogromna. Tygiel zawsze musiał gonić za słońcem. A do nas słońce przychodzi. No dalej. Popatrz na nie. Podejdź tak blisko, jak się odważysz.

Staruszka nie będzie go miała za tchórza. Bez wahania podchodzi do szyby, przyciska do niej dłoń. Hartowane szkło wydaje się kruche. Pachnie kurzem i czasem. Patrzy prosto w słońce toczące się po krawędzi świata. Ten pawilon jest Szczytem Wiecznego Światła, jednym z tych legendarnych miejsc, na biegunach, gdzie słońce nigdy nie zachodzi.

- Pięćdziesiąt lat temu przyszła wiadomość, w nocy. Na innym świecie, w innym mieście, w innym kraju. Czekałam na nią od lat. Wszystko było przygotowane. Zebrałam się i poszłam, tak jak stałam, do samochodu. Wiedziałam, że będzie czekał. Samochód podwiózł mnie do prywatnego samolotu. W nim już siedzieli moi wujowie, ciotki, siostry, kuzyni. Samolot zawiózł nas do VTO w Kazachstanie, stamtąd poleciliśmy na Księżyc. Wiesz, chłopcze, co mówiła ta wiadomość?

Darius ma ogromną ochotę polizać szybę, spróbować, jak smakuje.

- Mówiła, że pewna rządowa frakcja zamierza aresztować moją rodzinę - mówi lady Sun. - Chcieli mieć zakładników, żeby wpłynąć na mojego męża. Nawet Mackenzie powinien kojarzyć nazwisko Sun Aiguo. Sun Aiguo, Sun Xiaoqing, Sun Honghui. To oni stworzyli Taiyang. Zbudowali Księżyc. Ucz się, chłopcze, historii: Traktat o Przestrzeni Kosmicznej nie pozwala ziemskim państwom wysuwać roszczeń do terenów na Księżycu, przejmować nad nimi kontroli — dlatego rządzi nami korporacja, nie partie polityczne. Ziemskie państwa zawsze zazdrościły nam wolności, bogactwa, osiągnięć. Wszystkie się boją, że kto inny zawłaszczy Księżyc, dlatego pilnują się nawzajem. Zazdrość to szczerą emocją, łatwa do zmanipulowania. Zapewniała nam tu bezpieczeństwo przez

pięćdziesiąt lat.

- Każda rodzina się czegoś boi. Każdy z Pięciu Smoków. Cortowie bali się, że dzieci zaprzepaszczą ich dziedzictwo. Mackenzie...

- Żelaznego Potopu — odpowiada bez namysłu Darius.

- A wiesz, czego boją się Sunowie? Że zgaśnie słońce. Że któregoś dnia zajdzie za horyzont i nigdy nie wzejdzie. Będziemy umierać w zimnie i ciemności. Powietrze zamarźnie. Pękną szyby.

- To się nie może stać — mówi Darius. - To jest astronomia, fizyka. Nauka.

- Od razu te proste odpowiedzi. Dzień, w którym zachodzi słońce, to dzień, w którym reguły przestają działać. Na przykład reguła, która chroniła nas tu przez pięćdziesiąt lat; dzień, kiedy ziemskie państwa uświadomią sobie, że więcej zyskają, działając razem, a nie czając się jedno na drugie z nożami. To jest lęk mojej rodziny — wiadomość w środku nocy. Przychodzi wiadomość i wiemy, że wszystko co zbudowaliśmy, wszystko, co osiągnęliśmy, będzie nam odebrane, bo nie mamy dokąd uciec.

- Ty to mówisz każdemu, kogo tu przyprowadzasz?

- Tak, mówię im to. Tym, którzy powinni to ode mnie usłyszeć.

- I myślisz, że ja powinienem to od ciebie usłyszeć?

- Nie. Ty powinienes usłyszeć ode mnie coś innego. Że Żelazny Potop to nie był wypadek.

Odwraca się od szyby. Twarz lady Sun jest beznamiętna - ona zawsze jest dyskretna i doskonała, Darius wie jednak, że ucieszyła się, mogąc nim wstrząsnąć.

- To był sabotaż. W systemie operacyjnym Tygla, w kodzie sterującym lustrami był kod. Prosty, ale skuteczny. Widziałeś, co spowodował.

- Specami od kodów to wy jesteście - mówi Darius.

Wokół lady Sun tańczą świetlne pyłki.

- To prawda. Przede wszystkim. Informacja to nasza specjalność. Ale to nie był nasz kod.

- A czyj?

- Darius, nie jesteś królewiczem. Nie jesteś ostatnim spadkobiercą Roberta i Jade. Duncan i Bryce wzięli się za gardła, naprawdę myślisz, że przy stole któregoś z nich jest miejsce dla ciebie? Myślisz, że nic ci nie grozi?

- Eee...

- Tutaj nic ci nie grozi, Darius. I to jedyne takie miejsce. Tu, z rodziną. - Lady Sun przesuwiała się niepostrzeżenie krok za krokiem, subtelnie kierując Dariusiem tak, że teraz stoi pomiędzy nim a powoli wschodzącym słońcem.

Darius mruży oczy przed oślepiającym światłem. Lady Sun to ciemna sylwetka.

- Myślisz, że my pozwolilibyśmy tej australijskiej dziczy decydować, kto jest spadkobiercą? Ty nie jesteś Mackenziem. Nigdy nie byłeś. Oni o tym wiedzą. Nawet sześciu lun byś nie przeżył. Ten kod, który spowodował Żelazny Potop, Darius, on miał wiele lat. Był starszy od ciebie. Dużo, dużo starszy.

- Nie rozumiem.

- Pewnie, że nie rozumiesz. To Cortowie zabili twoją matkę.

Abena Maanu Asamoah uśmiecha się nieśmiało, słysząc oklaski. Sala Erazma-Darwina Towarzystwa Lunariańskiego jest pełna; twarze są blisko. Łatwo się wyczuwało tę publiczność: ci, co siedzą rozparci z założonymi rękami w pierwszym rzędzie; ci, co siedzą pochyleni i nieustannie się marszczą, w drugim rzędzie; daleko po prawej ten, co kręci głową; ci, co mamroczą, w drugim rzędzie pośrodku; ten, co tłumii ziewanie, w rzędzie trzecim. Towarzystwo Lunariańskie dodrukowało krzesel, lecz i tak część słuchaczy musiała przysiąść na poręczach staroświeckich foteli albo opierać się o ścianę z tyłu. Prawie nic nie widać przez chmurę chowańców unoszących się nad

ramionami wszystkich obecnych.

Abena mówi ostatnia i kiedy schodzi z mównicy, w sali zaczynają się prywatne dyskusje. Podchodzą koledzy z grupy studenckiej, żeby pogratulować i pochwalić. Obsługa podsuwa drinki: wódka, holenderski dżin, herbaciane koktajle. Abena bierze szklaneczkę schłodzonej herbaty. Słuchając komplementów, przyjmując propozycje wygłoszenia wykładu, odpowiadając na pytania pewnego dociekliwego młodego człowieka, zauważa przechodzącą przez audytorium fałę, jakby ludzie rozstępowali się wokół czegoś, co jedzie ku niej. Kobieta na wózku. Sam wózek jest czymś niewiarygodnym, a kobieta jeszcze bardziej niesamowita. Ariel Corta. Koledzy Abeny robią jej miejsce w kręgu.

- Nieźle to było - mówi Ariel. Zerka na kolegów Abeny. - Pozwolisz?

Abena kiwa do nich głową: „Później w klubie pogadamy”.

- Chodźmy na balkon. Niedobrze mi się robi od tego wystroju. - Ariel toczy się ku altanie ponad Wschodnim 65. - Parę uwag. Zawsze trzeba mieć czym zająć ręce. Adwokaci i aktorzy dobrze o tym wiedzą. Nie chodzi o prawdę, chodzi o to, by być przekonującym. Ludzie wierzą w mowę ciała nawet wtedy, gdy w zwykłą mowę nie wierzą. — Zgarnia dżin z tacy i dziękuje kelnerce. - Druga uwaga. Pracuj nad publicznością. Zanim jeszcze otworzysz usta, wybierz sobie cele. Popatrz, kto jest przestraszony, kto jest nadmiernie pewny siebie, kto zerka ci w oczy, kiedy rozglądasz się po sali, kogo najbardziej chciałabyś sobie zjednać. I do nich kieruj to, co masz do powiedzenia. Żeby mieli wrażenie, że bezpośrednio do nich przemawiasz. Jeśli kiwają głowami, jeśli naśladują twoją postawę, to znaczy, że ich masz.

Ariel poklepuje ręką niską, miękką ławeczkę przy balustradzie. Abena przyjmuje zaproszenie i siada. Z pomieszczeń z tyłu dobiega bulgot głosów, śmiechy i okrzyki przydają dramatyzmu jednostajnemu szmerowi kontaktów

towarzyskich. Linia słoneczna przyciemnia się do indygo. Kwadra Oriona jest królestwem świetlnych kanionów, rozświetloną nawą gigantycznej bezbożnej katedry.

- Zabierasz mnie od znajomych, żeby wytknąć, co robię źle?
- odzywa się Abena.

- No wiem. Jestem aroganckim potworem. - Ariel bierze łyk dżinu i krzywi się. - Co za paskudztwo.

- Co sądzisz o mojej pracy?

- Strasznie dużo ryzykujesz, zadając mi takie pytanie. Mogłabym odpowiedzieć, że wydała mi się banalna, naiwna i niedojrzała.

- I tak nie zmienię tych poglądów.

- Bardzo miło mi to słyszeć.

- No to co naprawdę sądzisz?

- Jestem prawniczką. Dla mnie społeczeństwo to zbiory indywidualnych, ale wchodzących ze sobą w interakcję kontraktów. Sieci zależności i wzajemnych zobowiązań. Społeczeństwo to jest to - unosi naparstek dżinu i wskazuje nim światła miasta — w sukni od Nicole Farhi. Mam jeden problem z demokracją: uważam, że nasz ustrój już teraz jest o wiele efektywniejszy. Twój argument z małych ziemskich państweczek był fascynujący, ale Księżyc to co innego. Nie jesteśmy państwem. Jesteśmy kolonią przemysłową. Chcąc znaleźć analogię na Ziemi, trzeba by poszukać czegoś odizolowanego i zamkniętego, z podobnymi warunkami środowiskowymi. Dalekomorski statek rybacki? Albo może stacja badawcza na Antarktydzie? Jesteśmy klientami, nie obywatelami. Nasza kultura opiera się na wynajmowaniu. Niczego nie posiadamy, nie mamy majątku trwałego, wszyscy mamy niewiele do stracenia. Jaką miałabym mieć motywację do uczestniczenia? Demokracja, nawet tak elegancko skonstruowana i bezpośrednia, jak ta twoja, ma jeden problem: jazdę na gapę. Zawsze znajdują się ludzie, którzy nie będą chcieli uczestniczyć, problem polega na tym, że oni też odnoszą

korzyści kosztem tych, którzy uczestniczą. Ja na pewno jechałabym na gapę, gdyby system mi na to pozwalał. Zgodziłam się wstąpić do Pawilonu Białego Zająca, bo myślałam, że da mi to przepustkę do Sądu Claviusa. Sędzia Ariel Corta - prawda, że ładnie brzmi? Nie da się zmusić ludzi do angażowania w politykę. To by była tyrania. W społeczeństwie, gdzie korzyść z takiego zaangażowania jest niewielka, tworzy się większość, która jeździ na gapę, i niewielka kasta zaangażowanych politycznie. Zostawiasz demokrację tym, którzy mają ochotę ją praktykować, i tworzy się klasa polityczna. Albo jeszcze gorzej: demokracja przedstawicielska. Teraz mamy ustrój, który angażuje każdą osobę na Księżycu. Nasz system prawny sprawia, że każdy jest odpowiedzialny za swoje życie, dobrobyt i bezpieczeństwo. To jest indywidualistyczne, atomizujące, okrutne i tak dalej, ale przynajmniej jasno powiedziane. I ograniczenia są jasne. Nikt za nikogo nie podejmuje decyzji ani nie bierze odpowiedzialności. Ustrój nie wyróżnia żadnych grup, religii, stronnictwa ani partii. Są ludzie, są rodziny, są korporacje. Na Farside przyjeżdżają z Ziemi profesorowie, cmokają, przewracają oczyma, jakimi to jesteśmy bezwzględnyimi indywidualistami, nierozumiejącymi idei solidarności. Ale społeczeństwo obywatelskie, jak to oni nazywają, przecież mamy. My po prostu uważamy, że lepiej opierać je na negocjacji, nie na regulacji. Jesteśmy prostymi, mściwymi barbarzyńcami. I mnie to całkiem odpowiada.

- A więc: banalna, naiwna i niedojrzała - mówi Abena. - Ale ty tu nie przysłaś słuchać, jak studenci politologii wygłaszają naiwne banały.

- Oczywiście, że nie. Co u niego, wszystko w porządku?
- Będziemy dbać o jego bezpieczeństwo.
- Nie o to pytałam.
- Jest u *madrinhi* Elis. Luna też. Czasem odwiedza ich Lousika, kiedy nie musi być w Południku.

- O to też nie pytałam.
- No dobrze. - Abena zagryza wargę, zdradzając dyskomfort emocjonalny. - Wygląda, że złamałam mu serce.

Ariel unosi brew.

- Bo musiałam tu przyjechać. Rozumiesz, okazja, żeby studiować w Kaboszonie?

Brwi Ariel unoszą się jeszcze wyżej.

- Może ty go nie poważasz, ale to najlepsza grupa politologiczna na całym Księżycu. A on się zrobił taki lepki, taki zaborczy. I niesprawiedliwy. Jemu wolno było umawiać się na seks, z kim zechce, jeśli to tylko sprawi, że poczuje się lepiej, a jak chciał pobyć ze mną, myślał, że wystarczy, że się rozbierze i upiecze ciasto. I już wszystko załatwione.

- Rozpuszczony mały królewicz, to fakt — mówi Ariel — ale dla oka bardzo miły.

Tonacja głosów w sali za nimi zmienia się; zmieniają się odgłosy ruchu ulicznego w dole. Ludzie zaczynają się żegnać i wychodzić, umawiać na spotkania i rozmowy, wyciągać od siebie przysługi i obietnice; *motos* przyjeżdżają i otwierają się dla pasażerów, grupki ruszają pieszo do najbliższych wind.

- Dobra, już za długo cię tu trzymałam - stwierdza Ariel. - Koledzy się niecierpliwią. - Odjeżdża wózkiem od balustrady tarasu, zawraca ku ciźbie gości. Kieliszek z dżinem stoi niedopity na balustradzie, niebezpiecznie, nad świetlistą przepaścią z drzewami Prospektu Gagarina w dole.

- Mogę cię popchnąć - proponuje Abena.

- Ja się sama pcham. - Ariel przystaje, robi pół obrotu. - Ale przydałaby mi się stażystka. Jesteś zainteresowana?

- Płacisz?

- Oczywiście, że nie. Zwrot kosztów. Napiwki. Kontakty. Polityka. Ciekawe czasy. Dasz się zauważyć. - Ariel jedzie dalej. Rzuca przez ramię, nie czekając na odpowiedź Abeny: — Powiem Marinie, że ma to zacząć organizować.

- Będzie bolało - mówi Preeda, mediatorka. — Będzie bolało jak nigdy w życiu.

Na widok szesnaściora ludzi na ustawionych w krąg krzesłach Marina omal nie odwróciła się na pięcie i nie uciekła. To wygląda jak grupowa terapia odwykowa. Tak zresztą jest.

Spóźniła się - celowo to odwlekała — ale mediatorka ma długie doświadczenie i bystre oko.

- Marina?

Ma mnie.

- Tak. Cześć.

- Siadaj.

Szesnaścioro ludzi patrzy, jak sadowi się na siedemnastym krześle.

Mediatorka kładzie dłonie na udach i rozgląda się po kręgu twarzy. Marina unika kontaktu wzrokowego.

- A więc witam wszystkich. Na początek chciałam wam podziękować, że podjęliście decyzję. Nie jest łatwa. Jest trudna - trudna jest sama decyzja, by w ogóle tutaj przyjść. Łatwo nie będzie. Są aspekty fizyczne - wszyscy dobrze o tym wiecie. Będzie bolało. Będzie bolało jak nigdy w życiu. Ale są też aspekty mentalne i emocjonalne. I to dopiero będzie bolało. Będziecie podważać wszystko, co o sobie wiecie. Będziecie iść długim ciemnym wąwozem pełnym wątpliwości. Ja proponuję tylko jedno: nas. Będziemy tu dla was. Przysięgniemy sobie: jeśli ktokolwiek z nas będzie w potrzebie, będziemy tu dla niego. Tak?

Marina razem ze wszystkimi mamrocze coś w odpowiedzi. Wzrok ma wbity w kolana.

- No to nie traćmy czasu. Ostatni będą pierwszymi. Powiedz nam coś o sobie.

Marina opanowuje nerwy i unosi głowę. Cały krąg na nią patrzy.

- Nazywam się Marina Calzaghe i będę wracać na Ziemię.

Pierwsza myśl: złodzieje splądrowali mieszkanie. Meble są przewracane. Wszystkie szklanki, wszystkie pojemniki po jedzeniu, wszystkie przybory kuchenne rozbite lub wyrzucone na podłogę. Pościel rozwleczona po całym pokoju, kosmetyki porozrzucane. Kompletna ruina. Druga myśl: na Księżycu przecież nie ma włamywaczy. Nikt nie ma niczego, co warto byłoby ukraść.

Potem dostrzega leżący na boku wózek tuż pod drzwiami pokoju Ariel.

- Ariel!

Ariel leży na wznak na górze pościeli.

- Co się tu, kurwa, dzieje? - pyta Marina.

- Co, kurwa, zrobiłaś z moim dżinem?! - krzyczy Ariel.

- Wylałam do prysznicza.

- A z drukarką?

- Zhakowałam ją.

Ariel podpira się na łokciach.

- W domu nie ma dżinu. - Ton jest oskarżycielski.

- Nie ma dżinu, nie ma wódki, nie ma w ogóle żadnego alkoholu.

- Pojadę, coś sobie wezmę.

- Zhakuję ci wózek.

- Nie odważysz się.

- Naprawdę?

- Odhakuję go z powrotem.

- Gównu się znasz na programowaniu.

Ariel zwała się z powrotem w skotłowaną pościel.

- Zrób mi drinka. Jednego drinka. Tylko jednego.

- Nie.

- Wiem, wiem. Ale zawsze gdzieś jest pora na martini.

- Nie prosz. To żałosne. Zasady są takie. W domu nie ma alkoholu. Na mieście nie mogę cię powstrzymać, zresztą to by

było niestosowne.

- No super, dziękuję. Gdzie ty w ogóle byłaś? Znowu na jakimś koncercie?

- Na treningu. - Nie jest to do końca kłamstwo. - Jiu-jitsu. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu będę cię musiała ratować.

- Zawsze to samo. Zawsze.

- Ariel, daj mi, kurwa, spokój.

- Daj mi, kurwa, dzinu! Daj mi, kurwa, moje nogi! Daj mi, kurwa, moją rodzinę. - Po chwili, gdy znów mogą na siebie patrzeć, Ariel dodaje: - Przepraszam.

- Wystraszyłaś mnie. Zobaczyłam, co się tu dzieje, przewrócony wózek, co miałam pomyśleć? Pomyślałam: a co, jak ona tam leży martwa?

Teraz Ariel nie jest w stanie na nią spojrzeć.

- Marina, a możesz coś dla mnie zrobić?

- Ale nie drinka.

- Nie chcę, żebyś mi robiła drinka.

- I ty masz się za prawniczkę? Nawet dla mnie to było grubymi nićmi szyte.

- Chcę, żebyś się skontaktowała z Abeną Asamoah.

- Tą, co miała odczyt w Towarzystwie Lunariańskim?

- Ta jej praca to demokratyczne bzdury, pełne uproszczeń. Za to ona sama jest bystra i ambitna.

- I pieprzy się z twoim bratankiem.

- I jej ciotka, moja niegdysiejsza szwagierka, jest Omahene Złotego Stolca. Patronat Orła może mi daje wstęp na posiedzenia LDC, za to patronat któregoś Smoka dałby mi o wiele ostrzejsze pazury.

- To co właściwie mam zrobić?

- Wspomniałam jej, że szukam stażysty. Byłaby kretynką, gdyby się na to zgodziła, ale zamierzam ją uwieść. Na Ku Kola jest zaplanowane posiedzenie LDC. Zaproś ją jako mojego gościa. Powiedz, że będzie miała okazję zobaczyć, jak naprawdę działa polityka. I załatw jej wszystkie przepustki, dobra?

- Czemu ja mam to robić?
- Bo ja od teraz mam do tego ludzi - mówi Ariel. - Powiedz jej, że ma się lepiej ubrać. I pomóż mi wstać i posprzątać cały ten bajzel.

Wszyscy w służbie unoszą wzrok. Trzydzieści, pięćdziesiąt osób, szacuje Wagner, schodząc pochylnią. Hełm ma pod pachą, u boku Zehrę Aslan, swoją *junshi*. Niektóre twarze znajome, aż za bardzo znajome. Większość nowych. Więcej nowych niż kiedykolwiek. Sombra przegląda ich życiorysy. Paru twierdzi, że pracowali dla Corta Hélio. Cefalka wszystko zniesie.

Tłum rozstępuje się. Wagner i Zehra podchodzą do łazika Szczęśliwej Ósemki.

- Mogę wziąć cztery osoby - obwieszcza.

Nikt się nie rusza.

Wagner podchodzi do wysokiego Igbo w elastyku obklejonym nalepkami Manchester United.

- Ty. Zieluniaku. Wyjdź.

Oczy wielkiego faceta rozszerzają się w furii. Nadyma się. Jest o głowę wyższy od Wagnera — drugie pokolenie.

- Mam certyfikaty na powierzchnię.
- Jesteś oszustem. Widzę, jak stoisz, jak trzymasz ramiona, jak przenosisz ciężar ciała, jak pachniesz, jak masz założony skafander, jak trzymasz hełm w palcach, jak masz ułożone uszczelki. Nie. Jesteś zagrożeniem sam dla siebie, ale też, co gorsza, dla mojej ekipy. Idź, nabij sobie trochę godzin na powierzchni, może za kolejnym razem cię nie wyrzucę. I nigdy więcej nie ściemniaj w cefalce.

Zieluniak wpatruje się w Wagnera, chce zgromić go wzrokiem, lecz Wagner ma oczy wilka. Wielki facet dostrzega płonącą w środku furie, odwraca się i przeciska przez tłum.

Ładne przedstawienie, wilczku, mówi przez chowańca Zehra.

Ale on nie jest teraz wilkiem, bo twarz Ziemi jest w cieniu. To właśnie ciemny aspekt i typowa dlań nadludzka koncentracja pozwoliły mu dostrzec, że ten zieluniak jest oszustem.

- Ola, Mairead, Neile. Jeff Lemkin. - Z pierwszą trójką Wagner już jeździł na szkło, czwarty jest nowy, ale ma wzorowe rekomendacje od ekip torowych VTO naprawiających zniszczenia po Tyglu. - Pozostałym dziękujemy.

Gdy w doku zostaje tylko jego nowa ekipa, Wagner omawia w punktach zadanie - kładzenie szkła na Morzu Spokoju, na wschód od Południka.

- *Laoda?*- Głos Zehry. - A przemowa?

- O, przepraszam.

Jedynym, który tego jeszcze nie słyszał, jest Jeff - i nawet on jest w stanie poznać, że Wagner klepie to wszystko z pamięci. Przemowa, specyfikacja zadania, rozkaz włożenia skafandrów i przypięcia się. Imiona ekipy wyskakują mu na soczewce, pałaki zabezpieczające opadają na niego i zatrząskują się, cyferki wskaźnika ciśnienia zjeżdżają do zera. Światło czerwone i zielone.

- Zehra.

- Tak?

- Pokieruj, dobra? - Przekazuje jej HUD łazika.

- Oczywiście.

Zehra jest *junshim* Wagnera od dziesięciu lat i ich relacja jest bliska, zażyła i zoptymalizowana, niczym w dobrze zakontraktowanym małżeństwie. Przechodzi przez testy, wysyła plan drogi, a ekipa Szczęśliwej Ósemki podcina się do pokładowego systemu podtrzymywania życia. Wagner każe Sombrze nawiązać prywatne połączenie.

- Wagner.

Jest w Jedenastej Bramie, nad herbatką, ma na sobie pomarańczowe sportowe szorty z niebieskimi wstawkami i workowatą koszulkę, włosy spięte do góry.

- Tak tylko sprawdzam, czy nic ci nie brakuje.

- Nic mi nie brakuje.
- I wszystko w porządku?
- Wszystko w porządku.
- Jakbyś czegoś potrzebował...
- Nie będę.
- Ale jakbyś...
- To Amal się mną zajmie.

Wagner przypomina sobie, jak ostatni raz zobaczył Robsona, pod dachem sfory, z Amal u boku, obejmującym go ramieniem. Znów przeżywa to bolesne uczucie: po równi strata, zazdrość i tęsknota.

- No to świetnie.

Dok jest pod próżnią, unoszą się zewnętrzne wrota. Zehra odpala silniki i zjeżdża łożyskiem po rampie w rozszerzającą się ciemną szczelinę.

- Wagner, po co dzwoniłeś? - pyta Robson.
- A tak. Żeby sprawdzić. Po nic w sumie. Zresztą za dziesięć dni będę z powrotem.
- Dobrze. Uważaj na siebie, *Lobito*.

Robson i jego herbatka znikają z soczewki Wagnera, a gdy łożysko stacza się na powierzchnię Księżyca i wzbija spod baloniastych kół fontanny pyłu, ten wyrzuca sobie: dlaczego, dlaczego, dlaczego, do cholery, tego nie powiedział?

Kocham cię, mały wilczku.

Zdmuchuje biolampkę i siada w najgłębszym cieniu przy najdalszym stoliku. Podkulone ramiona, opuszczony wzrok, zniechęcający do rozmowy każdego, nawet właściciela hot-shopu. Horchata dawno ostygła.

Myśli maszerują dręczącą ścieżką. Mdlący szok. Szkarłatne upokorzenie. Rozwrzeszczana furia. Zimna niesprawiedliwość. Mózg przetacza się od jednej emocji do drugiej, w koło i w koło, jak po stacjach pielgrzymki.

„Zabiłeś moich rodziców”.

Darius odrzucał połączenie za połączeniem. Piętnaście. Dwadzieścia. To powinno mu dać do myślenia. Robson napierał dalej. Naiwny Robson, głupi Robson, dzwoni i dzwoni, nie rozumie, czemu stary przyjaciel, najlepszy przyjaciel, nie odbiera; wyobraża sobie wszelkie możliwe sprawy służbowe, sprawy rodzinne, choroby, które nie pozwalają mu odebrać, a tymczasem prawda jest taka, że jego przyjaciel, najlepszy przyjaciel, został przekabacony.

„Odbieram tylko po to, żeby ci powiedzieć, że cię nienawidzę”.

A gdy w końcu po dwudziestu pięciu próbach Darius odebrał, naiwny Robson, głupi Robson uśmiechnął się i powiedział: „Cześć, Darius, co słyszeć?”.

I za tę głupotę najbardziej się teraz nienawidzi. Upokorzenie jest jak coś, co wdziera mu się do żołądka, żeby go rozszarpać szponami i pożreć.

„Zdrajcy i mordercy”.

Dalej cały się trzęsie. Słyszy dwie różne rzeczy: głos Dariusa i jego słowa. Bo to nie to samo. Słowa koziółkują mu w głowie, a głos rozbrzmiewa bez końca. Darius mówił przez niecałe trzydzieści sekund, ale Robson odtwarza to sobie w kółko w pamięci.

„Wykluję ci oczy i wypruję kłamliwy język”.

Dżoker przerwał połączenie, a Robson wybiegł z domu sfory. Przyjaciel zwrócił się przeciwko niemu.

- Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Ramiona Robsona sztywnieją. Unosi wzrok. To ono.

- Nie chce mi się z tobą gadać.

- Robson...

- Chujowo się do mnie odnosisz, wiesz?

Amal przysuwa sobie krzesło i stawia je pod kątem do Robsona. Zero kontaktu wzrokowego, żadnej konfrontacji. Robson, jakby mógł, zabiłby Amal swoim spojrzaniem.

- Usiądę i poczekam.

- A siedź sobie.

Ono nie siada.

Ono robi coś innego: łapie szklanę z horchatą i rzuca nią. Łapie krzesło, na którym miało się, zamachuje się nim i odgania postacie, które podeszły do niego blisko, niepostrzeżenie dla Robsona. Przewraca stolik, zrzuca Robsona z miejsca i wciska go za tę osłonę.

Szklanka trafia faceta w dresie Reeboka. Uderzony zatacza się. Krzesło przewraca kolejnych dwóch mężczyzn w dresach Adidasa. Czwartego Amal wali z główki. Kobieta chwieje się, ale dochodzi do siebie, łapie Amal za ubranie i podrzuca je jedną ręką. Ciemne zmysły Amal zaalarmowały je o napastnikach, lecz ta kobieta ma siłę zieluniaczki. Zaciska dłoń w rękawiczce w pięść, uderza. Szklany kompozyt rozpryskuje się i pęka. Żelazna Pięść. Robson słyszał o tym. Elastyczny materiał, który przy uderzeniu robi się twardy jak stal. Kobieta ponownie unosi pięść, wbija ją w brzuch Amal. W środku coś mu pęka. Robson już rzucił się do ucieczki.

Grupa uderzeniowa pozbierała się i uderza za nim, szybko i sprawnie. Robson pędzi przez kuchnię, przewraca woki, patelnie, wylewa gorące płyny. Słyszy pisk ładującego się paralizatora. Nurkuje w kanał wentylacyjny i w okamgnieniu jest na drabince z tyłu budki. Strzałki paralizatora z brzękiem stukają w metal. Jest na dachu, ręka za ręką wspina się po rurze na poziom 1. Tylko dzieciak, i do tego traser, byłby w stanie go ścigać tą drogą. Zaplanował to wszystko, wyliczył czas, ale nigdy dotąd nie sprawdzał tego własnym ciałem. Skacze, wspina się, chwyta za balustradę i przerzuca się za poręcz Zachodniego Pierwszego Wodnika. Ucieczka się nie skończy, póki nie będzie trzy poziomy wyżej, ale poświęca chwilę, kucając na poręczy, by popatrzeć na swoich prześladowców, wściekłych i bezradnych na dachu budki.

Na wysokość jego oczu opada dron.

- To nie fair - mówi Robson, gdy strzałki paralizatora trafiają

go w brzuch i zrzucają na sam środek Wschodniego Pierwszego.

Nie może oddychać. Wszystkie mięśnie są jak zanurzone w roztopionym ołowiu, naciągnięte tak mocno, że ściętna zaraz oderwą się od stawów. Złał się w szorty. Dron unosi się nad jego twarzą, w zasięgu ręki. Mógłby go rozwalić, gdyby był w stanie ruszyć choćby powieką.

Postacie na powerboardach przyjeżdżają i ostro hamują.

- Zwinny gówniarz - mówi wielki facet, w którym Robson rozpoznaje szefa od bezpieczeństwa Bryce'a.

Dron odrzuca druciki paralizatora i odlatuje. Robson nie może się ruszyć, nie może oddychać. Dembo Amaechi podchodzi do niego. Robson jest cały sztywny.

Wtedy z dachu, zza balustrady, z bocznych zaułków wyskakują ludzie. Błyska stal, dwaj noże Bryce'a leżą na ziemi. Trzeci upuszcza nóż, krzyczy:

- Tego w kontrakcie nie mam! — Odwraca się, ucieka.

- I co u ciebie, Dembo?

Robson nie jest w stanie odwrócić głowy, ale głos poznaje. Denny Mackenzie.

- Rowan mówił, że nie zginąłeś.

- Żyję. Jestem żywy. „Niezginięty”.

- I to niedopatrzenie zamierzam teraz naprawić.

- Dobry tekst, Dembo — mówi Denny Mackenzie.

Robson mimo wszystko usiłuje się ruszyć. Może się odczołgać, boleśnie obcierając skórę o podłoże.

- W słowach to zawsze byłeś dobry. Nie to co ja, *jackaroo* bez wykształcenia. Ale za to z nożem sobie radzę.

Uciekaj. Uciekaj. Dwa ostrza ścierają się. Uciekaj. Robson podnosi się z trudem. Nogi nie chcą go utrzymać, spada ciężko na rękę. Podnoś się. Uciekaj. Wszystkie oczy zwrócone są na walkę. Mackenzie kontra Mackenzie. Tym razem nogi dają radę. Kuśtyka ku kolejnemu etapowi drogi ucieczki. Kwadra Wodnika swoje instalacje nosi na lewą stronę, są jak jedna

gigantyczna ścianka wspinaczkowa. Czepia się rur palcami. Są drętwe, ale mają dość siły by go utrzymać. Podciąga się. I jeszcze. I jeszcze. To najtrudniejsza rzecz, jakiej w życiu dokonał. Przez moment odpoczywa na zakręcie pomostu na Poziomie 2. Mrowienie w stopach i dłoniach powoli ustępuje.

Potężny okrzyk zwycięstwa. Zerka w dół. Jedna postać na ziemi, druga idzie ku jego kryjówe.

Denny Mackenzie uśmiecha się do niego, rozkłada zapraszająco ramiona.

- Robson, chłopaku. Schodź. Już jesteś bezpieczny.

Robson podciąga się jeszcze wyżej i przeciska przez przepust na wiązkę kabli.

- Nie zmuszaj mnie, żebym tam za tobą wszedł.

Nie dasz rady, myśli Robson. Dorosły się tu nie zmieści.

Z dołu dobiegają głosy. Denny zagląda do przepustu.

- Robbo, Wagner mnie o to prosił. „Zaopiekuj się nim, kiedy ja nie będę mógł”.

Robson wspina się dalej. Może gdyby Denny nie użył tego znienawidzonego zdrobnienia. Może gdyby nie usłyszał, jak Amal coś nieodwracalnie pęka w środku. Może gdyby nie poczuł furii i żółci Dariusa. Może wtedy by zszedł. Nie będzie Mackenzie, nie będzie Sunem, wilkiem też nie będzie. Dwa piętra wyżej droga ucieczki prowadzi do windy na Wschodnim Czwartym. Zeskoczy sobie na kabinę i pojedzie na samą górę, ponad ogrody bogaczy, na sam dach świata. Tam są ludzie, którzy mu pomogą.

- Znajdę cię, Robbo! - woła Denny Mackenzie. — Jesteś moim długiem. A ja spłacam długi.

Zawsze dokładnie golił wszystkie włosy na całym ciele: już kiedy dojrzewał płciowo, brzydziły go pierwsze włoski wokół penisa. Absolutnie wszystkie - od czubka głowy po włosy na palcach stóp. Między odbytem i moszną. Przesuwa maszynką

po całym ciele, póki nie będzie idealnie gładkie. Suszy się, przegląda się w obrazie z chowańca. Poklepuje się po brzuchu. Wciąż napięty, kaloryfer mocny, więzadła pachwinowe wyraźne. Jeszcze daje radę. Na koniec olejek. Własny, osobisty miks, z drogich, organicznych, nie syntetycznych, składników. Smaruje się nim powoli i starannie. Każdy mięsień, każda fałda. Kark, głowa, z tyłu kolan, w kroczu. Między palcami. Cały złoto lśni. Jest gotowy.

Hoang Lam Hung bierze głęboki, głośny oddech i biegnie w miejscu, rozluźniając mięśnie.

Otwiera drzwi od kabiny prysznicowej. Przed nią czeka trzech ochroniarzy Mackenzie Helium.

- Przyszliście zabrać mnie do Królowej Południa! - mówi Hoang. - Macie pojęcie, jak się nudziłem w Lansbergu? - Pokazuje swoje nagie ciało. - Ogoliłem się dla Bryce'a!

Noże robią zmieszane miny.

- Żart taki. - Gorzki żart.

- Bryce nie jest zadowolony - mówi dziewczyna z ochrony. Niska, dobrze zbudowana zieluniaczka, w ręce ma pałkę paralizującą. - Chciał mieć chłopca.

- W życiu bym do tego nie dopuścił.

- Naprawdę lepiej by było, gdybyś się nie odzywał — mówi drugi nóż.

- Bryce psuje wszystko, czego się dotknie. Nie mogłem dopuścić, żeby zrobił z nim to, co ze mną.

- No daj już spokój - mówi trzeci. Ten ma w rękach przybory do sprzątanania.

- Przykro mi, kolego - mówi dziewczyna i wbija paralizator w brzuch Hoanga.

Przewraca się, zaciskają się mięśnie szczęki, pięści, kręgosłup, napinają się wszystkie ścięgna. Wszystkie nerwy palą jak trawione kwasem. Zsikał się. Zesrał się. Kobieta krzywi się z odrazą, gdy wspólnie z drugim nożem muszą go unieść na kolana i wyciągnąć na korytarz. Wchodzi ten od sprzątanania.

Woroncowowie słyną z pieczołowitego pilnowania czystości. Żyją w świecie, gdzie jeden włos, jedna łuska naskórka mogą zepsuć statek kosmiczny.

Hoang jest wyperfumowany i śliski od olejku. Wyślizguje im się z rąk, gdy ciągną go do śluzy. Stopy i łydki zostawiają tłuste plamy na miękkiej wykładzinie. Nie może się ruszyć. Nie może mówić, nie może oddychać.

Robson jest w Południku. Ze stadem, z Wagnerem. Jest pod opieką. Hoang żałuje, że kłamał, ale gdyby powiedział Robsonowi prawdę, że on musi zostać, oddać się w zamian, że taka jest cena, Robson w życiu nie wsiadłby do tego pociągu.

Drugi nóż wstukuje kod. Śluza otwiera się. Nadzy ludzie rzucają się naprzód; dzieciaki, pięciu chłopców, trzy dziewczyny, wszyscy nadzy. Usta i policzki ozdobione smugami białej farby. Hoang mimo bólu rozpoznaje te barwy wojenne. Traserzy. Parkourowcy. Kumple Robsona. Wrzeszczą, wyciągają ku nim ręce, łapią ich, drapią. Ochroniarze odganiają ich paralizatorami i nożami, wrzucają w środek Hoanga. Parę dźgnięć pałką elektryczną, parę kopniaków, obite palce, obita twarz, drugi nóż zasuwają drzwi śluzy. Zielone światło. Tępy, daleki łomot pięści o blachę. Odlicza do dziesięciu. Wciska przełącznik. Zielone światło zmienia się w czerwone.

W przedsionku śluzy trzeci ochroniarz wbija się w elastyk. Będzie tam musiał potem wejść i posprzątać. Ci Woroncowowie i ich czyste środowisko!

Ochroniarka zagląda Abenie w prawe oko. Przepuszcza ją kiwnięciem głowy, a Abena omal nie wybucha chichotem, czując przechodzący całe ciało dreszcz ekscytacji. Elitarny dostęp. To nigdy nie spowszednieje. Minęła przedostatnią Bramę Lęków. Pierwsza: czy propozycja złożona przez Ariel na tarasie Towarzystwa Lunariańskiego jest prawdą. Jej chowaniec, Tumi, zadzwonił do Mariny Calzaghe. Prawda, choć odpowiedź

Mariny wydała jej się zbyt lakoniczna. Może trzeba było zadzwonić osobiście, ale to takie staroświeckie. Druga Brama Lęków — czy LDC ma ją na liście osób towarzyszących Ariel. Tumi sprawdził w LDC. Abena Maanu Asamoah. Asystentka Ariel Corty. Tak. Jesteś w zespole.

Trzecią Bramą Lęków było ubranie. Czy Christian Lacroix będzie odpowiednio profesjonalny na spotkanie zarządu LDC i wystarczająco modny, żeby spodobać się Ariel Corcie? Ubranie — czyli także buty, makijaż, fryzura. Koleżanki z grupy naukowej z rana dwie godziny pracowały nad jej fryzurą.

Przez czwartą bramę właśnie przeszła gładko, lądując w foyer centrali Lunar Development Corporation. Samo drewno i chrom. Lepiej nie liczyć, jaki jest tego budżet węglowy. W foyer tłoczą się wszystkie księżycowe znakomitości, konkurując ze sobą krzykliwymi, robionymi na zamówienie perfumami i podniesionymi głosami. Wysokie buty, jeszcze wyższe fryzury, poduchy na ramionach, cienie do powiek. W powietrzu pośrodku roi się od chowańców - *adinkry* Asamoah, I-Chingowe heksagramy Sunów. Woroncowowie w tym sezonie wolą stylistykę heavymetalową - dużo umlautów i rdzy. Członkowie zarządu noszą na chowańcach proste logo LDC: kropka i orbitujący wokół niej satelita. Zauważa też symbol z Potrójną Boginią, emblemat ruchu niepodległościowego, który jednak zaraz ztraca się wśród innych ikon. Żywa obsługa roznosi szklaneczki z herbatą i drobne przekąski, których Abena nie bierze, bojąc się zatłuścić swego Christiana Lacroix. Wybrała idealnie - nie ma najszerzych ramion na sali ani najwęższej talii. Teraz Ariel. Abena prze-patruje salę, szukając w linii głów przerwy sugerującej obecność kobiety na wózku. Nie. Rozgląda się jeszcze raz, i jeszcze, aż w końcu znajduje ją pośrodku wianuszka adwokatów i sędziów, z waperem w urękawiczonej dłoni. Ariel machnięciem wapera przyzywa ją do siebie.

Abena kojarzy wszystkich ludzi w otaczającym ją wianuszku.

Żołądek kurczy jej się ze strachu. To najostrzejsze prawnicze brzytwy na całym Księżycu, najznamienitsi sędziowie, najwybitniejsi politolodzy. Waha się. Ariel kiwa na nią drugi raz. Abena wie, że trzeci raz nie kiwnie; Ariel nie widzi jednak, że między nimi stoi Piąta Brama Lęków, brama, której nigdy dotąd nie udało się jej przejść. To brama, która pyta: „A kim ty właściwie jesteś? Co ty tu właściwie robisz?”. Brama Hochsztaplera.

Przełyka ślinę i idzie naprzód. Czyjaś dłoń dotyka jej rękawa. Omal nie upuszcza szklaneczki z herbatą, odwraca się i widzi Księżycowego Orła. Jonathon Kayode jest jednym z tych nielicznych Ziemian, którzy mają oczy na tej wysokości, co trzecie księżycowe pokolenie.

- Jak mi miło, jak miło! - Ściska jej rękę nieświadomy siły własnego uścisku. Nie puszcza, dodając: - Nowe talenty to najważniejsze, prawda? -Te słowa kieruje do Adriana Mackenziego, bladego cienia u swego boku.

Adrian nie podaje jej ręki.

- Miło mi, madame Asamoah.

- Ten zaszczyt zawdzięczam *senhorze* Corcie... - zaczyna Abena, lecz Orzeł już jest zajęty witaniem się z kolejnymi gośćmi.

- Skarbie. - Ariel obcałowuje ją trzy razy, a do swojej świty mówi: -Pozwólcie, że przedstawię: Abena Maanu Asamoah, z grupy politologicznej Kaboszon. Utalentowana młoda polityczka. Mam nadzieję wbić jej do głowy trochę rozumu.

Świta się śmieje, a Ariel po kolei wymienia ich nazwiska. Abena zna je, choć samo ich brzmienie jest jak fizyczny cios.

- Poza tym wszyscy macie asystentki, to czemu ja mam nie mieć? Przynajmniej ubiera się lepiej od waszych. I jest dużo, dużo bystrzejsza.

Towarzyskie pływy popychają tłum ku otwartym drzwiom sali posiedzeń zarządu.

- Może być. - Ariel taksuje strój i makijaż Abeny. - Siadasz

po mojej lewej, robisz zainteresowaną minę i nic nie mówisz. Od czasu do czasu możesz się do mnie nachylić i udać, że coś szepczesz. Aha, i jeszcze to. — Dotyka się między oczyma palcem wskazującym, choć Abena już widzi, jak gasną wszystkie chowańce, gdy do środka wkraczają członkowie zarządu.

Nie przypomina sobie, kiedy ostatnim razem musiała się obywać bez pomocy AI. Czuje się tak, jakby zapomniała bielizny.

Sala posiedzeń zarządu Lunar Development Corporation to szereg coraz wyższych pierścieni. Orzeł i zarząd zajmują środkowy, najniższy krąg. Prawnicy i pełnomocnicy, eksperci i analitycy zajmują coraz wyższe kręgi, zgodnie z hierarchią ważności. Ariel prowadzi Abenę na drugi poziom. Niski i ważny. Nazwisko Abeny wyświetla się na blacie biurka tuż obok Ariel. Fotel ma wysokie oparcie i jest kosztownie wygodny. Ariel siedzi na własnym wózku. Abena marszczy czoło, widząc na biurku papierowy blok i krótki, drewniany patyczek. Pozostali prawnicy Orła siadają kolejno po obu stronach Ariel i Abeny, lecz Orzeł, siedzący dokładnie poniżej nich, tylko im kiwa głową. Sala wypełnia się bardzo szybko, wśród cichych szmerów rozmów - prawnicy naradzają się z klientami, nachylają nad pulpitemi lub wyciągają szyje, żeby przywitać się z kolegami i konkurentami. Abenie wydaje się to dziwaczne i archaiczne. Na pewno dałoby się to wszystko przeprowadzić przez sieć, jak posiedzenia Kotoko.

- Za parę minut zaczynamy — wyjaśnia Ariel. - Jonathon oficjalnie otworzy posiedzenie, będzie protokół z ostatnich obrad i agenda na dziś. Nudne to jak nie wiem. Ale obserwuj doradców. To po nich się poznaje, co się dzieje.

- A jaki jest klimat?
- Aż za serdeczny.
- I co to znaczy?
- Nie mam pojęcia.

Jonathon Kayode znów obraca się w fotelu.

- Gotowi? - pyta swoich doradców. Potakujące pomruki.
- Jakież ostatnie pytania? — pyta Ariel Abenę.
- Tak. - Abena unosi papierowy notatnik i drewniany patyczek. - Jak to działa?

Marina, w zakiecie z baskinką od Caron, siedzi na końcu kontuaru w herbaciarni, do której chodzą ochroniarze, i kręci tam i z powrotem szklaneczką miętowej herbaty. To najgorsze miejsce przy barze, ale chociaż jest przy barze. Stolik to towarzyska śmierć. Ochroniarze lubią ten bar, Marina jednak nie ma pojęcia o niuansach księżycowej herbaty. Unosi szklaneczkę, przygląda się, jak powyginane są listki w środku. Księżycowa ekonomia i socjologia w jednym szkle. Uprawa herbaty i kawy w księżycowych farmach rurowych jest kompletnie nieopłacalna. Za to mięta rośnie bez opamiętania, tak że trzeba ją przycinać piłami łańcuchowymi. Ale porządnej herbaty miętowej nie da się zrobić bez prawdziwej herbaty, więc AKA przeszczepiła mięcie parę genów *Camellia sinensis*. No i właśnie - teraz AKA jest już na tyle zaawansowane w genetyce, że mogłoby zaprojektować prawdziwą herbatę, która dobrze rosłaby w księżycowych warunkach - albo nawet i kawę - ale tymczasem Księżyc zdążył polubić miętową herbatę.

Marina nie cierpi miętowej herbaty. Nigdy jej nie polubi.

Siedzi wśród tych ochroniarzy i marzy o kawie. Mocnej i mocno wypalanej arabice, parującej, aż gryzącej od kofeiny; dobrej, północno-zachodniej kawy, parzonej powoli i czule - woda łana z odpowiedniej wysokości, żeby idealnie się napowietrzyła, pomieszana widelcem, nie łyżką, pozostawiona, by osiadła. Sama ci powie, kiedy będzie gotowa. Delikatnie ubita. Dwie dłonie złożone na ręcznie robionym kubku, para znad niego miesza się z parą z oddechu, w chłodny poranek na ganku, kiedy szary deszcz łomocze w rynnach i ścieka strugami

po ocynkowanych łańcuchach, które dom ma zamiast rynien. Góry skryte przez wiele dni za grubą warstwą chmur, mgła odcinająca perspektywę i sprawiająca, że najbliższe drzewo sprawia wrażenie rosnącego przy samym domu. Rękaw wiatrowy obwisły i nasiąknięty wodą, krople spływające z obu stron sznura do suszenia prania i skapujące pośrodku. Pies pomrukuje i wierci się. Muzyka dobiegająca z trzeciego pokoju.

Skrzypienie desek pod kółkami wózka mamy. Jej ciągłe pytania, pytania, pytania przy każdym programie telewizyjnym: „O co chodzi, kto to jest, czemu ona tu przyszła, a to, to kto?”. Atlas opon samochodowych, ich charakterystyczny odgłos na podjeździe przed domem, opony znajome, które się rozpoznaje i otwiera drzwi, te, których się nie zna i trzeba się schować. Pentatoniczne brzmienie dzwoneczków wiatrowych, umieszczonych tak, aby reagować na wschodni wiatr, ten sam, który przywiął znad Puget Sound zarazek wieloopornej gruźlicy, który zagnieździł się w płucach Ellen-May Calzaghe. Wschodni wiatr, wiatr zarazy. Gęsta biała wydzielina, niekończący się spazmatyczny kaszel.

Coś przywołuje Marinę z powrotem do herbaciarni w LDC. Upuszcza szklaneczkę miętowej herbaty. Nie ona jedna - spadają wszystkie szklaneczki, podrywają się wszyscy ochroniarze. Puszczają się biegiem do drzwi.

Idź do Ariel!- krzyczy jej do ucha Hetty. *Jesteś jej potrzebna!*

Uzbrojeni najemnicy wpadają przez drzwi i zbiegają po schodach do sali. Obstawiają zarząd LDC, grożą nożami, celują paralizatorami. Druga fala wlewa się do sali i obstawia doradców, z dłońmi na rękojeściach noży i kaburach z paralizatorami. Trzeci oddział wynajętych noży zabezpiecza wyjścia. Sala zarządu aż huczy: członkowie zarządu, ich prawnicy, zbrojni najeźdźcy.

- Co się dzieje?! - krzyczy Abena.

- Zaraz się, kurwa, dowiem. — Ariel odjeżdża wózkiem od swojego stolika.

Najemniczka podsuwa jej pod nos iskrzącą niebiesko końcówkę paralizatora. Ariel wbija w nią wzrok, patrzy wyzywająco, gromi ją wzrokiem.

- Nie mogę się dostać do sieci! - woła Abena.

Wszyscy krzyczą: napastnicy, delegaci, zarząd LDC szarpie się w przytrzymujących ich silnych ramionach. Pośrodku jest spokojne oko cyklonu. Jonathon Kayode siedzi na miejscu, dłonie na kolanach, opuszczona głowa. Odwraca się, patrzy w oczy Ariel.

„Przykro mi”, mówi samymi ustami. Nagły huk ucisza salę posiedzeń jakby w jednej chwili zapanowała w niej próżnia. Z sufitu sypią się odłamki spieków, wszyscy się kulą. Broń palna. Ktoś strzelił z pistoletu, z prawdziwego pistoletu. Najemniczka staje pośrodku sali, broń w górze, wycelowana w sufit. Czarna, krótka, obca. Nikt w tej sali w życiu nie widział prawdziwego pistoletu.

Teraz Jonathon Kayode podnosi się ociężale.

- Obywatele. Przyjaciele. Zgodnie z moimi prerogatywami prezesa Lunar Development Corporation niniejszym rozwiązuję zarząd Lunar Development Corporation, a jego członków umieszczam w areszcie domowym, ponieważ stanowią oczywiste zagrożenie dla stabilności, bezpieczeństwa i dochodowości Księżyca.

Głosy z dołu, głosy z widowni wykrzykują sprzeciw, lecz najemnicy już skuli wszystkich członków rady i wyprowadzają ich wyjściami awaryjnymi. Twarze napięte od wrzasku, ściętna naprężone jak stalowe liny, usta zaplute w furii.

- Jemu wolno to zrobić? - szepcze Abena do Ariel.

- Zrobił to - odpowiada Ariel. Wtacza się na środek sceny. W ułamku sekundy staje nad nią dwóch najemników, z nożem i paralizatorem. -Żądam dostępu do mojego klienta.

Najemnicy są jak z kamienia, lecz Księżycowy Orzeł

zatrzymuje się o dwa kroki od wyjścia awaryjnego. Twarz ma poszarzałą.

- Ariel, mogę ci ufać? - pyta Jonathon Kayode.
- Jonathon, co ty narobiłeś?
- Mogę ci ufać?
- Jestem twoją prawniczką.
- Mogę ci ufać?
- Jonathon!

Czterech najemników zabezpiecza odwrót Kayodego przez wyjście awaryjne - tymczasem wybucha kolejne zamieszanie, dotąd tłące się w foyer. Ochroniarze, *escoltas*, noże i wojownicy przełamują opór najemników przy drzwiach i przebijają się do sali zarządu. Pałki paralizujące nacierają i parują, dźgają i rażą prądem. Ciała spazmują i padają na ziemię w kałuże płynów fizjologicznych. Ochroniarze i najemnicy ślizgają się na krwi, szczyinach i wymiocinach, przewracają się. Brudna, chaotyczna bitwa, w której przecinają się dziesiątki różnych kontraktów i różnych interesów, a nikt nie ma pewności, kto jest po której stronie. Delegaci chowają się pod biurkami, zasłaniają krzesłami, kulą na środku sali. Ariel chwyta Abenę za rękę.

- Trzymaj i nie puszczaj.

Dostrzega Marinę na skraju pola walki. Ma po paralizatorze w obu rękach i dość rozumu, by wiedzieć, kiedy nie ma szans. Kolejny strzał. Trzeci. Wszyscy zamierają.

- Nic do was nie mamy! - krzyczy kobieta z bronią. - To nie jest wasza walka. Przerwijcie walkę, a wypuścimy wszystkie postronne osoby.

Abena zaciska mocniej dłoń.

- Nic nam nie zrobią - szepcze Ariel.

Najemnicy i ochroniarze rozdzielają się, najemnicy odchodzą pod wyjście awaryjne. Kobieta z pistoletem wychodzi ostatnia. Całe zajście kończy się w niecałe sto sekund.

Marina wyłącza paralizatory i chowa je w sprytnych kaburach pod żakietem od Caron.

- Co tu się, kurna, dzieje?
- Mój klient właśnie urządził zamach stanu.

1

Siririca (port. sl.) - masturbacja, zwł. kobieca (przyp. tłum.).

6. BLIŹNIĘTA 2105

Wiązka plastikowych rur była lekka, ale po czterdziestu piętrach schodów wydawała się odlana z żeliwa. Wrednie zachowywały się na zakrętach, bucząc i mucząc przy obijaniu się o stopnie niczym smutne instrumenty muzyczne. Dodać do tego pas z narzędziami, maskę spawalniczą, na czubek jeszcze zarzuconą na grzbiet torbę z lampami warsztatowymi, i kiedy otwierasz drzwi na dach i wywlekasz rury na sam szczyt Ocean Tower, palą cię przedramiona i uda. Chwila rozkoszowania się morzem w szybko zapadającym liliowym zmierzchu, chwila przysłuchiwania się hukowi fal na plaży Barra ponad szumem aut na Avenida Lucio Costa i pomrukiem klimatyzatorów. Dziesięć muzyk i głosów z okien dziesięciu mieszkań.

O zmroku upał był do wytrzymania. Poustawiała sobie światła. Sodowy blask wydobywał z mroku ostre cienie rzeczy niezauważalnych w słońcu dnia. Igły, plastry, niedopałki. Damskie majtki porzucone za talerzami satelitarnymi. Szuranie kur w klatkach. Plantacja skuna pięknie pachnąca pośród nocy.

Później. Dla pani hydraulik to są nagrody.

Założyła maskę spawalniczą, otworzyła kluczem pokrywę sterylizatora wody i sprawdziła lampy ultrafioletowe. Wszystko w porządku. Te nowe w ogóle się nie psują. UVC to groźna rzecz. Przy każdej nowej instalacji zwoływała na miejsce mieszkańców całego budynku, tłumaczyła im, że dzięki kwarcówkom woda jest bezpieczna do picia, oraz opowiadała okropności o wywołanym ultrafioletem zapaleniu spojówek, „jakby do końca życia mieć piasek w oczach”. Pokazywała zdjęcia poparzonych oczu i zmian wywołanych ślepotą śnieżną, a wszyscy tylko pojękiwali. Nikt nigdy nie tknął jej urządzeń sterylizacyjnych.

Odłączyła baterię UV i zdjęła maskę. Teraz było już całkiem ciemno. Przyjrzała się rurom. Dobrze, że zakręciła wodę - palce przeszły na wylot przez pierwsze kolanko, plastik rozsypał się w przejrzyste płatki. UV zżera polietylen.

Trzeba będzie wymienić wszystkie rury. Na szczęście mnóstwo ich przytargała.

Kruszyły się, gdy je demontowała. Sterylizator padłby za parę godzin, a może za parę minut. Podniesione głosy z dołu, narzekające, że nie ma wody. Nie do wszystkich dotarła wiadomość, że Królowa Rur będzie dziś serwisować Ocean Tower. „Za co my jej w ogóle płacimy?”.

Za partyzanckie podłączenia do wodociągów na Barra i łapówki dla inspektorów FIAM, żeby nigdy ich nie znaleźli. Za rury idące w górę wzgórza, po bokach wieżowców, za podłączenie ich do zdezelowanych instalacji w każdym mieszkaniu. Za pompy, zasilające je panele słoneczne, za zbiorniki na dachach, filtry i za ten sterylizator UV, dzięki któremu wasze dzieci pojone są świeżą, czystą i przejrzystą wodą. Za to mi płacicie.

I co, jak wydam tę kasę na używanego pickupa Hawtai w dobrym stanie, na korkotramпки dla syna, na nowy router do mieszkania, albo na intensywny manicure i remont paznokci, to będziecie mi mieli za złe? Bo robota hydraulika strasznie szkodzi na paznokcie.

Puściła sobie w słuchawkach playlistę i zabrała się do pracy. Noc się pogłębiała, a przy trzecim zestawie rur zadzwonił Norton i chciał się z nią umówić na bzykanie.

- Robię.
- A jak skończysz?
- To ty będziesz w pracy.

Zaciskając kolejne złączki, bawiła się, jak to miała w zwyczaju, myślą, że w sumie może powinna znaleźć sobie lepszego chłopaka. Norton był napakowany, wyrzeźbiony i nosił się z pełną siłą nonszalancją, łagodzoną przez odrobinę nieśmiałości,

którą miała za uroczą. Szczycił się, że jego dziewczyną jest Królowa Rur, mimo że nie rozumiał, czemu właściwie ona się tym zajmuje. Złościło go, że zarabia więcej niż on. Złościło go, że w ogóle pracuje. Prawdziwy facet powinien ją utrzymywać, rozpieszczać, dogadzać jej. Norton pracował w ochronie. Ochrona to dobra branża, ochrona jest teraz ważna. Spotyka się gwiazdy, spotyka się bogatych ludzi, ale i kulkę w łeb można zaliczyć.

Nigdy mu nie powiedziała tego, co wiedzą wszyscy: że najlepsza i najdroższa ochrona to teraz roboty. Że ludzi zatrudniają gwiazdy czwartej kategorii. On jednak miał plany i aspiracje dla nich obojga. Mieszkanie przy samej plaży i porządny samochód. Nie pickup Hawtai, to psuło mu opinię, że ona jeździ czymś takim. Audi: o, to jest porządny samochód. „A zmieszczą się moje sprzęty do bagażnika?” - pytała wtedy, a on odpowiadał: „Jak będziesz ze mną, nie będziesz wozić żadnych sprzętów”.

Nie chciała tej przyszłości od Nortona. Przyjdzie czas, kiedy się go pozbędzie. Chociaż jest miły, a i seks jest niezły, kiedy uda się zgrać kalendarze.

Zgrzała ostatnią rurę, włączyła wodę, sprawdziła złączki, odpowietrzyła wszystko. Wsłuchała się w bulgot i szmer wody w rurach. Potem założyła maskę spawalniczą, uruchomiła baterię lamp UV, zatrzasnęła klapę i zamknęła ją na klucz.

Macie swoją wodę, Ocean Tower.

W uchu znów jej brzęknęło. Tym razem to nie Norton. Powiadomienie. Uruchomiła soczewkę, aplikacja narysowała siateczkę w miejscu zrzutu. Południowo-południowy wschód, dwadzieścia kilometrów dalej. Oberwała parę pączków z uprawy skuna i usiadła sobie na gzymsie, zwieszając nogi nad osiemdziesięciometrową przepaścią, postukując obcasami w beton i patrząc na ocean. Ciemne ulice - znowu nie ma prądu. W sam raz, żeby patrzeć na zrzuty. Nie za dobrze, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Na dachach sąsiednich bloków sapały

generatory. Sklepiki i stragany jarzyły się energią zebraną z solarów. Trzysta kilometrów w głąb morza, powiedziała siatka na soczewce. Sto pięćdziesiąt kilometrów w górę. Powiodła wzrokiem tam, gdzie mówiły cyfry, i wpatrzyła się w łagodną, ciepłą noc. I niebo zapłonęło. Ogniste łuki, trzy, opadające złoto-karmazynowymi krechami od termosfery. Zaparło jej dech. Zapierało go tak od dwudziestu lat, od nocy, kiedy jako siedmiolatka wyszła na górę z *tio* Hermanem, żeby popatrzeć na Księżyc.

Widzisz Księżyc? Widzisz te światełka? To są twoi kuzyni. Rodzina. Cortowie. Tak jak ty. Twoja cioteczna babka Adriana poleciała tam i doszła do wielkiego bogactwa i potęgi. Jest Królową Księżyca. Potem zobaczyła spadające gwiazdy, ogniste łuki między gwiazdami i wszystko inne przestało się liczyć. Teraz wie, że to kapsuły i kontenery z towarem. Metale-lantanowce, farmaceutyki. Hel-3. Corta Hélio zapalała światła na Ziemi. Dzięki syntezie termojądrowej miały się skończyć problemy z prądem. Fuzja miała być czymś tanim i nieograniczonym, świetlistym zbawcą ludzkości. I zawiodła, jak każdy zbawca. Nigdy nie chodziło o dostarczanie wszystkim energii, lecz o to, by się wzbogacić, kupując i sprzedając energię na rynkach. Spadły trzy kontenery, spowite w rozżarzoną plazmę, powoli, niesamowicie pięknie. Wolała wspomnienia z czasów dziecinnej niewinności, gdy babcia zrzucała z nieba gwiazdy jak cukierki.

Kiedyś Adriana Corta wysyłała pieniądze swoim braciom i siostram na Ziemi. Cortowie z Brazylii żyli wystawnie i komfortowo. Wtem któregoś dnia strumień się urwał. Adriana Corta przestała zrzucać kasę z nieba, ale wnuczka jej siostry ciągle patrzyła na ogniste smugi na niebie i czuła, że serce jej pęka.

Ciemno. Koniec przedstawienia. Na ciemnym oceanie statki zbierały kapsuły. Alexia Corta spakowała torbę z narzędziami i maskę. Stare rury niech pozbiera sobie kto inny. Ona miała w

kieszeni obciętych džinsów trochę sensimilli. Trochę sobie pochichocze, patrząc, jak rozmazuje się ten tandetny, zniszczony świat. Za każdym razem, gdy widziała spadającą z nieba świetlistą gwiazdę kapsuły, czuła ukłucie żalu, czuła, że zmarnowała okazję. Tak, na Barra była Królową Rur, ale kim mogłaby zostać w tym świecie tam, na górze?

Przy drzwiach wejściowych chłopaczek-ochroniarz wręczył jej kopertę z gotówką.

- Dziękujemy, *senhora* Corta.

Przeliczyła ją w pickupie. Będzie na jeden miesiąc szkoły Marisy. Na farmę dla babci Pii, na wieczór na mieście z Nortonem. Będzie na malowanie pazurów, trochę osiądzie na koncie oszczędnościowym. Królowa Rur włączyła się w strumień czerwonych świateł aut na Avenida Lucio Costa, a zdradziecki Księżyc wisiał na niebie jak nóż.

Aplikacji z syreną policyjną Alexia użyła dwa razy, jak to bywa z większością aplikacji - raz po zakupie i raz, żeby pokazać znajomym, a potem o niej zapomniała. Parę razy, gdy czyściła listę softu, zastanawiała się, czy jej nie wywalić, ale mała ikonka z uśmiechniętym radiowozikiem zawsze podskakiwała i mówiła: „Kiedyś ci się przydam i wtedy naprawdę się przydam”.

Tego ranka, na Avenida Armando Lombardi, z wyłączonym autopilotem, z siedzącymi z tyłu jedenastoletnim Caio, czternastoletnią Marisą i siostrą Marią Aparecidą z Abrigo Christo Redentor, naprawdę jej potrzebowała.

Syreny trąbiły alarmowo. Niebieskie koguty błyskały - kolejna drobna przeróbka w aucie, podobnie jak znacznik policyjnego radiowozu, dzięki któremu każde auto na Leblon myślało, że widzi pojazd uprzywilejowany. Wszystko jedno co, aby tylko jej ustępowali. Przeleciała przez skrzyżowanie Avenida das Americas i Avenida Ayrton Senna.

Siostra Maria Aparecida z tyłu łomotała w dach i nachylała się,

żeby wrzeszczeć przez okno kierowcy.

- A dokąd ty jedziesz?! Do Matki Boskiej w lewo!
- Nie jadę do Matki Boskiej! - odwrzaskiwała Alexia, przekrzykując wycie syren. - Wiozę go do Barra D'or.
- Nie stać cię na Barra D'or.
- Stać! - krzyczała Alexia. — Tylko już na nic innego nie zostanie. - Wbiła dłoń w klakson i przejechała przez skrzyżowanie.

Automatyczne pojazdy rozpierzchły się jak gazy.

Kiedy wychodził z domu, był zawsze nakarmiony i elegancki. Codziennie czyste, wyprasowane ubranie, wypucowane buty. Elegancki, nakarmiony, porządne drugie śniadanie, produkty, które zje, i takie, które może z kimś wymienić. Pieniądze dla ochroniarzy, pieniądze do kasy oszczędnościowej; Alexia jako wbity w telefon kontakt w razie czego. Najlepszych ocen nigdy mieć nie będzie, jego inteligencja tak nie działa, ale zawsze ma wyglądać dobrze i dobrze świadczyć o domu Cortów.

Szkolna ochrona zadzwoniła do niej, gdy spóźnił się pół godziny Rzuciła narzędziami. Sąsiedzi już go znaleźli, w płytkim betonowym kanale wypełnionym butelkami ze skrobi kukurydzianej i zawiązanymi foliowymi torebkami z ludzkimi odchodami. Była przy nim siostra od Matki Najświętszej. Alexia zsunęła się po betonowej pochyłości. Głowa - kompletnie rozwalona. Rozwalona. Jego piękna główka. Wszystko się nagle posypało. Nie wiedziała, co robić.

- Podjedź tu samochodem! - krzyknęła siostra Maria Aparecida. Sąsiedzi wyciągnęli Caio z kanału z chropowatego betonu. Cofnęła pickupem do miejsca, gdzie ulica przecinała się z przepustem. Dłonie uniosły go, położyły na pace, gdzie Maria Aparecida rozłożyła wcześniej jakąś piankę z opakowań. Ułożyła go w pozycji bocznej, wyrwała komuś z dłoni podsuniętą butelkę wody, żeby obmyć ranę. Tyle krwi.

- Jedź no! — wrzasnęła na nią.
- A gdzie jego plecak? - zapytała Alexia.

Nudził i nudził o ten plecak z Capitanem Brasil, a kiedy ustąpiła i kupiła mu go, był taki zadowolony i dumny, że prawie z nim spał. A teraz go nie było.

- Alexia! — wydarła się na nią siostra.

Alexia wskoczyła na siedzenie. Syrena.

Zajechała na podjazd dla karetek pod Barra D'or. Pikapa otoczyła uzbrojona ochrona.

- Dawać nosze! - krzyknęła na solidnych, dobrze odżywionych ochroniarzy.

Dłonie powstrzymały inne dłonie sięgające po broń. Znali Królową Rur. Alexia wpadła na izbę przyjęć Oddziału Ratunkowego. Nachyliła się nad kontuarem rejestracji.

- Mam chłopaka, jedenaście lat, pół głowy ma rozbite. Trzeba się nim natychmiast zająć.

- Proszę podać dane ubezpieczenia - powiedziała rejestratorka. Na białym blacie stały kwiatki.

- Nie mam ubezpieczenia.

- Szpital Dzienny Barra oferuje także Medicare.

Alexia chwyciła terminal płatniczy, uniosła do oka, przycisnęła do niego kciuk, podsunęła z powrotem rejestratorce.

- Czy to pokryje...?

- Tak.

- To wieźcie go.

Pielęgniarki musiały wołać ochronę, żeby odciągnęła Alexię od wywożonego w głąb szpitala Caio.

- Lê, pozwól im robić, co trzeba - powiedzieli ochroniarze. - Jak tylko będzie można, lekarz ci pozwoli się z nim zobaczyć.

Usiadła. Wierciła się z nerwów. Siadała to tak, to tak na niewygodnych krzeselkach poczekalni, przesiadała się na inne, potem znów - żadne nie pasowało do jej kości. Podchodziła po kilka razy do automatów sprzedających. Łypała morderczo na każdego, kto choćby na nią zerknął. Dwie i pół godziny później wyszła do niej lekarka.

- Co z nim?

- Jest ustabilizowany. Mogę na słowo?

Wzięła ją do gabinetu. Położyła na leżance brudny skrawek papieru.

- Znaleźliśmy to w jego kieszeni. To jego pismo?

- No nie, on lepiej pisze.

- To jest zaadresowane do pani.

Adres i podpis. Podpisu nie rozpoznawała, choć nazwisko kojarzyła. Dziecięce pismo, choć treść sugerująca dorosłego.

- Mogę to zabrać?

- To zależy, czy chce pani zawiadomić policję.

- Policja nie pracuje dla takich ludzi jak ja i Caio.

- To proszę to wziąć.

- Dziękuję, pani doktor. Wrócę tu, ale muszę najpierw załatwić jedną sprawę.

Tylko nowi ćwiczący wytrzeszczyli oczy, gdy weszła na siłownię. Starzy, wiedzący, kim jest, unieśli głowy znad sztang i worków, ukłonili się z szacunkiem. Minęła recepcję i tabliczkę tylko dla mężczyzn, przeszła obok sauny, jacuzzi, przez ciemny labirynt, aż pod gabinet na samym tyle. Drogę zastąpiło jej dwóch *escoltas* w koszulkach z logo siłowni.

- Chcę się widzieć z *seu* Osvaldem.

Młodszy *escolta* już miał otworzyć durną gębę i jej odmówić; starszy położył mu dłoń na ramieniu.

- Oczywiście. - Zamruczał coś do ukrytego mikrofonu. Kiwnięcie głową. - Proszę wchodzić, *senhora* Corta.

Gabinet *seu* Osvalda był nieduży i przytulny niczym kajuta na szkunerze. Mosiądz, drewno na wysoki połysk. Na ścianach pełno oprawionych zdjęć z zawodnikami MMA. Pod zasłoniętym żaluzją oknem stał dobrze wyposażony barek. W powietrzu unosił się chiński elektro-pop, słyszalny, ale nie tak głośny, by psuć *seu* Oswaldowi skupienie. Był wielki jak niedźwiedź, wysoki i potężny, wylewał się z fotela za biurkiem,

gdzie obserwował kilka naraz walk MMA na kilku staroświeckich monitorach. Powietrze było wyklimatyzowane, pachniało delikatnie mentolem, mimo to pocił się obficie. Nie tolerował upału i słońca. Ubrany był w odprasowane białe szorty i koszulkę z logo swojej siłowni.

Puknął w jeden ze swoich ekranów.

- O, ten chłopak. Tak się zastanawiam, czy go nie kupić. Drapieżny mały chujek. - Głos *seu* Osvalda jest tubalny i głęboki, obniżony jeszcze przez chrypkę, pozostałość po gruźlicy z dzieciństwa. Legenda na Barra mówiła, że kiedyś uczył się na katolickiego księdza. Alexia w to wierzyła.

- A ty co myślisz? - Przekreślił ekran, pokazując jej zawodników w klatce.

- O którym mowa, *seu* Osvaldo?

Zaśmiał się i jednym zręcznym gestem złożył wszystkie ekrany na płasko.

- Ty to byś świetnie walczyła. Masz dyscyplinę, masz koncentrację. I pasję. Co mogę dla ciebie zrobić, Królowo Rur?

- Ktoś mnie skrzywdził, *seu* Osvaldo.

- Wiem o tym. Jak twój brat, lepiej?

- Ma czaszkę pękniętą w trzech miejscach. Poważny wstrząs mózgu i duży krwotok wewnętrzny. Lekarze mówią, że kalectwo jest nie do uniknięcia. Pytanie: jak ciężkie?

Seu Osvaldo przeżegnał się.

- Co mu będzie?

- Może wymagać opieki do końca życia. Lekarze mówią, że może nigdy nie odzyskać pełnej sprawności.

- Cholera - mruknął *seu* Osvaldo swoim tubalnym, basowym głosem. - Jeśli chodzi o pieniądze...

- Nie proszę o pieniądze.

- To dobrze. Bardzo bym nie chciał naliczać ci odsetek.

- Gularte chcieli mi w ten sposób coś powiedzieć. Więc chciałabym im też coś przekazać.

- Z przyjemnością, Alexia. Jak dobitnie potrzebujesz im to

przekazać?

- Chcę, żeby już nigdy nie grozili mojej rodzinie ani nikomu innemu. I żeby ich wodne imperium zniknęło z powierzchni ziemi.

Seu Osvaldo usiadł z powrotem. Skrzypnął pod nim fotel. Na łysej głowie perlił się obfity pot, choć dla Alexii w gabinecie było raczej chłodno.

- Jesteś Żelazną Ręką.

- Słucham?

- Nie słyszałaś o tym? Tak się mówi na Cortów. Nasze rodziny znają się od dawna. Mój dziadek kupował mercedesa od twojego pradziadka.

- Tak słyszałam, że kiedyś byliśmy przy kasie.

- To przezwisko jest jeszcze z Minas Gerais, z kopalni. Oznacza kogoś, kto ma siłę, wolę i ambicję, żeby wydrzeć światu, czego potrzebuje. Żelazna ręka. Twoja cioteczna babka, ta, co poleciała na Księżyc, była prawdziwą *miniera*. Mão de Ferro.

- Adriana Corta. Wypięła się na nas. Spała na pieniądzach na tym Księżycu, a na nas się wypięła.

- I zapomnieliście, że nazywali was Żelaznymi Rękami. Może ona tam po prostu czeka. Alexia, ja zrobię to dla ciebie. Bardzo się przejąłem tym twoim Caio. Dzieciaka... Złamali nasze reguły. Dopilnuję, żeby bracia Gularte poczuli przed śmiercią, co to znaczy prawdziwy ból.

- Dziękuję, *seu* Osvaldo.

- Robię to przez szacunek dla Królowej Rur. Wszyscy jesteście moimi dłużnikami. Zrozum jednak, że nikt nie może zobaczyć, że od kogoś nie biorę zapłaty. Choćbyś to była ty.

- Oczywiście.

- Moja matka — niech jej błogosławi Jezus i Maryja — żyje na starość bardzo komfortowo. Ma ładne mieszkanie, z widokiem na morze, ma prąd, prawie cały czas. Ma werandę, kierowcę do wożenia na mszę, koktajle, na brydża z

koleżankami. Ale chciałyby jedną rzecz. Myślę, że mogłabyś jej to dać.

- Proszę mówić, co, *seu* Osvaldo.
- Zawsze chciała mieć taką fontannę. Kaskady, aniołki i te drugie, co dmą w rogi. Muszle, poidelka dla ptaków. Ciurkanie wody przez cały dzień. Już niczego by jej w życiu nie brakowało. Będziesz mogła coś takiego zorganizować, *Rainha de tubos*?
- To będzie dla mnie zaszczyt, dać starszej pani trochę wody. Ale mogę prosić o jeszcze jedną przysługę?
- Jakbyś mogła zacząć w tym tygodniu, to tak.
- Chcę z powrotem plecak Caio, Capitan Brasil.

Norton przyszedł do jej domu.

- Masz nie przychodzić do domu - powiedziała Alexia, ze sztabą na drzwiach i okiem przytkniętym do szczeliny.

Za drzwiami wypuściła z dłoni paralizator i odkopnęła go na bok. Po tym, jak poprosiła *seu* Osvalda o przysługę, dopóki jej nie spełnił, każde niespodziewane stukanie do drzwi spotykało się ze zbrojną reakcją. Kamery w korytarzu nie pokazywały nikogo poza Nortonem. To nic nie znaczyło. Gularte mogli wziąć jego rodzinę na zakładników. Marisa, przyciśnięta do ściany, podniosła paralizator. Zawsze trzeba mieć kogoś w odwodzie.

- Muszę z tobą pogadać.
- Masz nie przychodzić do domu.

Dach. Marisa wrzuciła wiadomość do sieci wieżowca i zanim Alexia i Norton zdążyli wejść na górę schodami, gniazdko na dachu było wolne.

Szmer wiatru na wzgórzach sprawiał, że wieczorny skwar był do zniesienia. Alexia zwinęła się w kłębek na kanapie. Przyniosła sześć Antarctic w torbie termicznej - nonszalancko otworzyła jedną o drewnianą poręcz. Podsunęła Nortonowi.

Odwrócił wzrok. Ściągnął w szyi, gardle, żyły na czole miał napięte ze złości. Alexia pociągnęła spory łyk z butelki. Kochane, zimne, sakramentalne piwo.

- Po co przylazłeś do domu?
- Po co polazłaś do *seu* Osvalda?
- Miałam sprawę. Nie pytasz mnie o moje sprawy.

Norton zaczął chodzić tam i z powrotem. Tak miał. Ty w ogóle wiesz, jak ci chodzą ręce, kiedy jesteś zły? - pomyślała Alexia.

- I nie przychodzę do mieszkania - powiedział. - Jest jakaś umowa? Zapomniałem podpisać?

- Pierdzielenie, Norton. - Alexia nigdy nie znosiła docinków. Norton to rozumiał: z Alexii Corty nie wolno się śmiać. Nigdy.

- Wiem, po co się chodzi do *seu* Osvalda. Czemu nie przyszałaś do mnie?

Alexii wyrwało się szczere, spontaniczne parsknięcie śmiechem.

- Do ciebie?
- Ja robię w ochronie.
- Norton, ty nie grasz w tej lidze, co *seu* Osvaldo.
- *Seu* Osvaldo kosztuje. Nie chcę, żebyś mu była coś dłużna.
- Osiemdziesięcioletnia *mamãe seu* Osvalda będzie miała na swoim balkonie najpiękniejszą fontannę na Barra. Z aniołkami i wszystkim.

- Nie śmieć się ze mnie — warknął Norton i aż zaparło jej dech, gdy zobaczyła ten mroczny błysk gniewu, szybką jak nóż zmianę nastroju. Przepięknie się złościł. - Co o mnie pomyślą, jeśli za każdym razem, gdy potrzebujesz pomocy, lecis do *seu* Osvalda? Kto będzie chciał do ochrony faceta, który własną kobietą się nie umie zaopiekować?

- Norton, uważaj, bardzo cię proszę. - Alexia odstawiła na w pół wypitą butelkę piwa. - Ty się mną nie opiekujesz. Nie jestem twoją „własną kobietą”. Jeśli twoi kumple, przygłupy z ochrony, nie szanują cię przez to, to albo znajdź sobie nowych kumpli, albo nową kobietę.

Już mówiąc te słowa, pożałowała i chciała je wycofać.

- Jak chcesz — powiedział Norton.

- Jak chcesz — przedrzeźniła go Alexia, wiedząc, że to najgorsze możliwe słowa, ale nie mogąc się powstrzymać. Junior, kiedy żył, mówił, że ona klóciłaby się nawet z własnym cieniem. - Może raz w życiu ty byś podjął jakąś decyzję?

- Jak chcę? Chcę już iść sobie! - wrzasnął Norton. Wybiegł.

- I bardzo dobrze! - odskrzyknęła za nim Alexia.

Trzasnęły drzwi wyjściowe. Nie pobiegnie za nim. Nie będzie nawet pozwalać sobie na zabójczą ripostę wykrzychaną z góry schodów. Niech on do niej wróci.

- Bardzo dobrze.

Odczekała trzy minuty. Cztery. Pięć. Potem usłyszała z parkingu na dole odgłos motocykla enduro. Nie do pomylenia był ten dziecinny ryk silnika, który doinstalował sobie do elektrycznego motorka.

- Skurwiel - powiedziała i cisnęła niedopitą butelką wzdłuż dachu. Rozbiła się o betonowy murek. - Skurwiel.

Drzwi na dach skrzypnęły.

- *Lê?*

To Marisa przyszła do niej na dach. Patrzyły, jak z Atlantyku wyłania się Księżyc w kwadrze. Latarnie w alei zamigotały i zgasły.

- Oby się rozbił.

- No nie, nie myślisz tak.

- Nie?

- Nikomu nie pozwalasz się z siebie śmiać, a śmiejesz się z niego.

- Zamknij się, *irmazinha*.

Marina przewiesiła nogi za krawędź. Alexia sięgnęła do torby termicznej po zroszone piwo.

- Otworzysz mi? - Marisa piła piwo od dziesiątego roku życia.

Kapsel pokoziołkował w niebo w blasku Księżyca.

Świeżo wygolone jaja Nortona były fantastyczne w dotyku. Uwielbiała gładkość i elastyczność skóry moszny, delikatność olejku; i to, że wydawały się czymś niezależnym od ciała, jakby małym, łaszącym się zwierzątkiem. Uwielbiała ich ciężar w dłoni, to, jak mogła objąć nasadę moszny kciukiem i palcem wskazującym, jak ciało ustępuje, a potem napina się, gdy delikatnie pociąga. Uwielbiała ich wielkość i wrażliwość — i to, że za pomocą sznurowadła czy gumki do włosów mogła je zamienić w dwa piękne, nabrzmiałe jabłka pożądania. Lubiała też pstrykać paznokciem w tak ściśnięte jądra. Gdy zrobiła to po raz pierwszy, omal nie rozbił sobie głowy o wezglowie.

Zacisnęła dłoń na wygolonej nasadzie jego penisa. Był wielki, gładki, naoliwiony — próżny potwór, istny olbrzym z dżungli sterczący dumnie pośród przystrzyżonego poszycia. Duży i ładnie zakrzywiony. Od dawna potrafiła trzymać go na krawędzi, sprowadzić na sam skraj orgazmu i stamtąd zawrócić, samą manipulacją dłoni zaciśniętej na tym wspaniałym kutasie. Wcisnęła jego główkę w dłoń, przesunęła kciukiem po grubej koronie żołądźci. Jęknął i zwałił się na poduszki.

Po tym właśnie poznała, że to nie był seks na pożegnanie. Po tym, że się dla niej wygolił.

Dotknęła opuszką kciuka małego trójkątka, gdzie przy dziurce schodziły się dwie połówki żołądźci. Jak serduszko, pomyślała. Właśnie tak to miejsce nazywała: *coraçãozinho*. Nie wiedziała, czy ma jakąś naukową nazwę, wiedziała za to, że gdy go tam dotyka, pieści, pociera i poklepuje, dzięki temu unerwionemu centymetrowi kwadratowemu skóry ma nad nim absolutną władzę.

Inni goście z jego grupy ochroniarskiej musieli widzieć, że się dla niej wygolił.

Może też podłapali jakiś pomysł czy dwa.

Miała taką fantazję, że któregoś dnia sama go namydła, goli, przejeżdża mu po całym ciele staroświecką brzytwą, aż będzie tak gładki, że każde z jąder będzie można wziąć do ust jak cukierka. Wyobrażała sobie ten strach, ufność i błogość na jego twarzy.

Pochyliła się i dotknęła *coraçãozinho* czubkiem języka. Norton szarpnął się, jakby ktoś przepuścił mu prąd przez moczowód. Mięśnie brzucha napięły się, pośladki się zacisnęły. Teraz skupił się na niej. Alexia poprowadziła jego Serduszko tam, gdzie miało wejść.

Po wszystkim wysunęła się z łóżka i popędziła do łazienki, a potem do lodówki.

- Jest jakaś guarana?
- Za bohemią.

Gdy kucnęła w błękitnej poświacie i zagrzechotała puszkami piwa, światło w lodówce zamigotało. Lodówka faceta. Piwo, kawa, napoje gazowane. Seks zawsze zmieniał jej równowagę płynów. Płynęły się zużywały i trzeba je było uzupełnić. Otworzyła puszkę i wsunęła się z powrotem pod czarne prześcieradło.

Czarna pościel. Nowa, specjalnie dla niej. Czyste prześcieradła do seksu na pojednanie. Jezus Maria.

Leżał na boku, z jedną nogą zgiętą, drugą wyprostowaną, tulił do siebie prześcieradło. Wiedział, że wygląda uroczo. Skórę miał o trzy tony ciemniejszą od niej: on — *castana-escura*, ona — *canela*. Miły był dla oka.

Zgasły światła.

- Cholera. Poczekaj sekundkę. - Kucnął nagi i zaczął zapalać świeczki zapachowe, które mu pokupowała. Tłumiły nieświeży męski zapach w pokoju. Alexia wołała mieszkanie Nortona w świetle świec. Lepiej było nie oglądać go w zbyt wysokiej rozdzielczości.

Naprawdę powinna znaleźć sobie lepszego faceta.

- Caio wypuścili - powiedziała. Guarana już zaczęła działać.

Cukier i kofeina.

- I jak się czuje?

- Przez dwa miesiące nie będzie chodził do szkoły. Załatwiam mu nauczycieli. Ma niedowład prawej strony, będzie się musiał nauczyć wszystko robić lewą.

- Cholera. Chciałbym się z nim zobaczyć.

To jej się w Nortonie podobało: że traktował Caio jak młodszego brata. A nie podobało się, że próbował go urabiać na podobnego do siebie. Na *malandro*.

- Po to możesz przychodzić do mieszkania.

- Dziękuję. Miło mi, *lê*.

Wzruszała się, gdy przestawał grać twardziela i mówił, co czuje.

- A z Gularte co się stało?

- Lepiej nie pytaj. - Trupy w betonowych filarach nowego wiaduktu kolejki dojazdowej. - Na pewno nikt już nie będzie groził Caio.

- *Lê...*

Alexia przewróciła się na bok. Norton unikał kontaktu wzrokowego. To było kolejne narzędzie, którym mogła nim manipulować.

- Kiedyś mieliśmy jeszcze jeden rodzinny przydomek, wiedziałeś o tym? *Máo de Ferro*. Tak się dawno temu w Minas Gerais mówiło na kogoś ostrego, poważnego. Tego, co robi, co trzeba zrobić. Ja jestem *Żelazną Ręką*. Więc zamknij się i więcej mi o tym nie wspominaj.

Norton usiadł gwałtownie, potrącając jej rękę i wychlapując lepką guaranę na jej piersi.

- Norton, ja pierdzielę...

- Nie. Słuchaj, słuchaj. Ja pracuję teraz dla Corty. Nowy kontrakt, wczoraj zacząłem. Dobrze, że mi przypomniałaś. Zawsze mówiłaś, że was było bardzo mało, że nikt nie wie, skąd się wzięło to nazwisko, i skąd wy się wzięliście, też nie za bardzo wiadomo. No, a tu gość ma na nazwisko Corta i

przyleciał z Księżyca.

- Z Księżyca się nie przylatuje. - Alexia próbowała wymacać chusteczkę, która nie byłaby lepka od spermy. Nauczyłby się mieć w domu mokre chusteczki.

- No, *lê*, to nie do końca prawda. Milton wrócił z Księżyca.

- No dobra, prawda, robotnicy z Księżyca wracają.

Całe Barra wiwatowało, gdy ich sąsiad trafił na Księżyc, żeby wydobywać hel-3. Wrócił na Ziemię, zanim ciążenie zerodowało mu kości, przywiózł kasę, dość, żeby wynieść się z Barra, zamieszkał w Zonie Sul i rok później go zamordowali. A cały majątek miał w formie elektronicznej - mordercy nie wzięli złamanego centavo.

- To nie robotnik. On się tam urodził.

Alexia podskoczyła. Puszka guarany rozlała się po czarnej pościeli Nor-tona. Wsunęła się na Nortona, usiadła na nim okrakiem, mocno napała waginą na jego fiuta.

- Kto to jest? Mów natychmiast.

- Jakiś tam Corta. Lucas Corta.

- Lucas Corta nie żyje. Zginął, kiedy Mackenzie przejmowali Corta Hélio.

- Może to był jakiś inny...

- Jest tylko jeden Lucas Corta. Ty w ogóle coś wiesz o Księżycu?

- Wiem, że grają w piłkę ręczną i że można się pojedynkować na śmierć i życie, i to właściwie tyle, nie bardzo mnie obchodzi, co się tam dzieje.

Alexia napała jeszcze raz. Norton stęknął.

- Tam na górze jest moja rodzina. Pewien jesteś, że on się nazywa Lucas Corta?

- Lucas Corta z Księżyca.

- A jak on był w stanie...? Zresztą nieważne.

- W stanie jest strasznym. Wrak człowieka. Lekarze cały czas nad nim wiszą.

- Lucas Corta na Ziemi. - Alexia zsunęła się z fiuta Nortona i

ukazała mu się w całej okazałości. — Nortonie Adilio Daronch de Barra de Freitas. Jeśli chcesz tu jeszcze kiedyś wejść, musisz mi załatwić rozmowę z Lucasem Cortą.

Strój pokojówki był o numer za mały. Bluzka rozłaziła się między guzikami. Spódnica była za krótka i za obcisła. Nieustannie ją obciągała. Rajstopy zjeżdżały. Nieustannie je podciągała. To absurd, że obsługa musi pracować w takich beznadziejnych butach. Dała menedżerowi hotelu bardzo solidną łapówkę, mógł chociaż skombinować strój w dobrym rozmiarze.

W usługach pracowało pół Barra, Alexia jednak nigdy nie widziała pięciogwiazdkowego hotelu od środka. Pomieszczenia, które zarabiają, były z marmuru i chromu, nadmiernie wypolerowane i zmęczone staniem na baczność. Kuchnia i przejścia służbowe - z betonu i stali nierdzewnej. Podejrzewała, że tak jest zawsze. Korytarze pachniały przeoddychanym powietrzem i zdeptanymi dywanami.

Apartament Jobima.

Strach ogarnął ją, gdy naciskała dzwonek.

Co, jeśli będzie jeszcze inna ochrona oprócz tej, z którą Norton się dogadał?

Coś się wymyśli. Zadzwoń. Drzwi zabzyczały i otworzyły się.

- Czy mogę zasłać łóżko?

- Proszę.

Zaskoczył ją jego głos. Alexia nie miała pojęcia, jak powinien brzmieć ktoś z Księżycy, ale na pewno nie tak. Lucas Corta mówił głosem kogoś bardzo, bardzo chorego. Zmęczonego, przytłoczonego, z trudem oddychającego. Jego portugalski miał dziwny akcent. Siedział na wózku inwalidzkim przy panoramicznym oknie. Na tle jasnej plaży, oceanu i nieba był ciemną sylwetką. Nie wiedziała nawet, czy jest zwrócony do niej twarzą, czy plecami.

Podeszła do łóżka. Nigdy nie widziała takiego szerokiego i tak świeżo pachnącego. Pilnowało go pięć różnych botów medycznych, na stoliku nocnym stało kilkanaście różnych lekarstw. Dotknęła pościeli. Łóżko zafalowało. Wodne. Oczywiście.

Coś załaskotało ją w bok szyi. Uniosła rękę.

- Dotknij tylko tego owada i nie żyjesz — powiedział Lucas swoim głosem chorego starca. — Kto cię przysłał?

- Nikt. Ja...

- Mało przekonujące.

Alexia wzdrygnęła się, czując dotyk owadzich nówek maszerujących do wrażliwego punktu za lewym uchem. Odruch strzepnięcia owada był aż za silny. Lecz nie wątpiła w jego słowa. Czytała o takich owadach-cyborgach atakujących trucizną. Na Księżycu były ulubioną bronią rodu Asamoah.

I myślała o tym teraz, doceniała to, podczas gdy jedynie milimetr dzielił ją od neurotoksycznej śmierci w kałuży własnych sików i rzygów.

- To jeszcze raz. Kto cię przysłał?

- Nikt...

Jęknęła, czując nieznaczne muśnięcie skóry igłą.

- Ja jestem Żelazna Ręka! - krzyknęła.

I owad zniknął.

- To nie jest pierwsze z brzegu imię — powiedział Lucas Corta. - A reszta jak brzmi?

Alexia powstrzymała wymioty, rękoma próbując znaleźć oparcie i pewność w falującym morskim krajobrazie łóżka wodnego, dygocąc resztkami strachu.

- Alexia Maria do Céu Arena de Corta - wysapała. - Mão de Ferro.

- Ostatnią Mão de Ferro była moja matka.

- Adriana. Mój dziadek nazywał się Luis Corta. Imię dostał po swoim dziadku Luisie. Adriana po babce ciotecznej. Ta jej babka miała w mieszkaniu organy elektryczne.

Na tle oślepiającego błękitu nieba i wody uniosła się dłoń.

- Chodź do światła, Żelazna Ręko.

Zrozumiała teraz, że on jeszcze na nią nie spojrzał. Cały czas siedział odwrócony plecami. Światło zmniejszało go, wysuszało, wydawał się w nim przezroczysty i niezdrowy, jak schwytyany w snop światła pająk. Ręce składały się z sękatych ścięgien i opuchniętych stawów. Obwisła skóra na szyi, na policzkach, pod oczyma i wokół ust. Wyglądało to jak coś okrutniejszego niż starość i straszniejszego niż śmierć.

Lucas Corta spojrzał w słońce oczyma czarnymi od polaryzujących soczewek.

- Jak wy możecie z tym żyć? - zapytał. - Przecież ono was musi ciągle zachwycać, ciągle odwracać uwagę? Widać, jak się porusza... i wy wierzycie, że ono się porusza... Na tym polega pułapka, prawda? Ono oślepia was na rzeczywistość. Można ją zrozumieć dopiero, kiedy odwróci się wzrok.

Wbił wzrok w Alexię, a ta poczuła się tak, jakby czarne soczewki obierały jej twarz ze skóry, kości policzkowe z mięśni, wszystkie nerwy z osłonek. Nie drgnęła. Ciepło bijące od potrójnej szyby było aż namacalne.

- Wyglądasz na rodzinę, to prawda.

Odwrócił się i odtoczył od okna w chłodny półmrok wnętrza.

- I czego pani ode mnie chce, *senhora* Corta? Chodzi o pieniądze?

- Tak.

- A dlaczego, *senhora* Corta, miałbym akurat pani dać pieniądze?

- Mój brat... — zaczęła Alexia, lecz Lucas jej przerwał.

- *Senhora* Corta, ja nie jestem organizacją charytatywną. Ale potrafię docenić umiejętności. Spotkajmy się jutro o tej samej porze. Proszę znaleźć nowe dojście. Ta droga jest już zamknięta. Proszę mi pokazać, że jest pani godna miana Żelaznej Ręki.

Alexia wzięła hotelową torbę z upominkami do rozłożenia na

łóżku. Jeszcze kręciło jej się w głowie. Mogła zginąć na tym łóżku. Ułamek sekundy, czubek igły - tyle brakowało, żeby wszystko się skończyło.

Nie powiedział nie, nie powiedział tak. Powiedział: pokazać.

- *Senhor* Corta... a po czym pan poznał?

- Strój jest o dwa numery za ciasny. I nie tak mi pani pachniała. Kobiety z room service'u mają swój specyficzny zapach. Jakieś środki chemiczne wżerają im się w skórę. Wygląda na to, że my na Księżycu jesteśmy bardziej wrażliwi węchowo niż Ziemianie. A jak będzie pani wychodzić: proszę mi przysłać prawdziwą pokojówkę od pościeli. Śpię o kompletnie idiotycznych porach.

Alexia zdarła z siebie mundurek pokojówki, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi służbowego korytarza: przyciasną bluzkę, przykrótką spódnicę. I te debilne buty. W bieliźnie i obwisłych w kroku rajstopach wcisnęła się do auta Nortona w podziemnym garażu Copa Palace.

- Mam to, kurwa, na skórze! Na własnej skórze! — krzyczała, gdy wiozł ją do swojego domu. - Czuję to!

W mieszkaniu popędziła prosto pod prysznic.

- Powiniennem go zabić — powiedział Norton, przyglądając się jej sylwetce za ociekającą kropelkami zasłoną.

- Nie waż się go tknąć.

- Próbował cię zabić.

- Nie próbował. Bronił się. Ale i tak czuję się brudna. On po mnie chodził. Ten owad, Nortinho. Nigdy już nie będę czysta.

- Na to mogę coś zaradzić — mruknął Norton i wśliznął się za zasłonkę. Ubranie opadło na mokre kafelki. Wyskoczył ze spodni, strząsnął majtki. - A sam gość jak? Tak cię przeraził ten owad-robot, że o nim w ogóle nic nie powiedziałaś.

- Też mnie przeraził — powiedziała Alexia. Stała tyłem do niego, woda spływała jej po skórze, po zasłonce. - Jakby coś

udawało człowieka. Z odległości wygląda w miarę, ale jak podejdziesz, wszystko trochę nie gra. Dolina niesamowitości. Wszystko ma nie taki kształt. Wszystko za duże, za długie, zbyt wysoko środek ciężkości. Jak obcy. Słyszałam, że ludzie urodzeni na Księżycu inaczej rosną, ale nie przyszło mi do głowy...

- Rodziny się nie wybiera - odparł Norton i wszedł pod strumień wody. Przycisnął się do mokrego, ciepłego boku Alexii, aż sapnęła. - To gdzie dokładnie się czujesz brudna?

Odgarnęła włosy i przechyliła głowę, żeby pokazać mu czułe punkty na szyi i za uchem, gdzie sadowił się owad-asasyn. Pocałował ją tam.

- Czyściej?

- Nie.

- A teraz?

- Może trochę.

Przesunął dłonie, żeby złapać ją za idealny tyłek. Naparła na niego tak, aby poczuć mięśnie, owinęła nogę wokół jego uda, przycisnęła go do siebie.

- I co, widzisz się z nim jutro?

- Oczywiście.

- Ładny chłopak.

- O, tu jest w drużynie halówki. - Alexia pstryka mu w soczewkę zdjęciem uśmiechniętego Caio w koszulce, spodenkach i długich getrach.

Lucas unosi się w basenie, chłodna woda delikatnie się marszczy. Parę razy ją zapraszał, żeby też weszła. Ona jednak się brzydzi. Siedzi na leżaku w cieniu parasola. Słońce jest dziś mordercze. Morze wygląda jakby umierało.

- Dobry jest?

- Nie za bardzo. Wcale. Biorą go tylko przez wzgląd na mnie.

- Mój brat miał drużynę piłki ręcznej. João de Deus Moços i

Gatinhas. Też nie była tak dobra, jak mu się wydawało.

Alexia pstryka w niego kolejnym zdjęciem Caio, napinającego mięśnie na plaży; pasy niebieskiego kremu od słońca na nosie, policzkach, sutkach.

- I jak się czuje twój... Caio?

- Trochę już chodzi. Ciągłe wszystko przewraca i musi chodzić z kulą. Halówka już nie wchodzi w grę.

- Skoro nie był za dobry, to może i dobrze. Ja byłem beznadziejny we wszystkich sportach. W ogóle sensu w nich nie widziałem. Jeden mój wujek miał na imię Caio.

- Caio właśnie po nim ma to imię.

- Zmarł na gruźlicę tuż przed wylotem matki na Księżyc. Matka mnie nauczyła imion wszystkich ciotek i wujków, tych, co nigdy za nią nie przylecieli. Byron, Emerson, Elis, Luis, Eden, Caio. Luis to był twój dziadek.

- Luis dziadek, a Luis junior to był mój ojciec.

- Był?

- Poszedł sobie, kiedy miałam dwanaście lat. Zostawił nas troje. A matka tylko rozłożyła ręce.

- Na Księżycu mamy na to kontrakty.

Teraz. Proś go o pieniądze. Powołaj się na pokrewieństwo. Pozwolił ci wkraść się do hotelu. Wyśledziła doktor Wolikową, załatwiła z nią, że wejdzie jako masażystka. Ubrała się odpowiednio. Usiadła przy jego basenie w sportowych legginsach i krótkiej koszulce. No, proś go. Na soczewce Alexii pojawiło się zdjęcie. Okazja uleciała.

- To Lucasinho, mój syn.

Bardzo ładny chłopak. Wysoki na ten dziwaczny, księżycowy sposób, ale proporcjonalny. Gęste, lśniące włosy, które, jak wiedziała, pachniałyby czysto i świeżo. Delikatnie azjatycki wykrój oczu, przez który wydawał się wycofany i wspaniale wrażliwy, kości policzkowe, w których można by się zakochać, usta, które można by całować bez końca. Nie w jej typie - wolała mężczyzn umięśnionych i bez widocznych oznak

inteligencji - ale taki śliczny. Chłopak, co w sekundę łamie ci serce.

- Ile on ma teraz lat?
- Dziewiętnaście.
- I jest... cały i zdrowy?
- Bezpieczny. O ile mi wiadomo. Jest pod opieką Asamoah.
- Mieszkają w Twe. — Lucas zrobił wywiad na temat Alexii, ona na temat jego i jego świata. - Zajmują się rolnictwem i środowiskiem.
- Są naszymi tradycyjnymi sojusznikami. Legenda mówi, że każdy Smok ma dwóch sojuszników...
- I dwóch wrogów. Wrogowie Asamoah to Woroncowowie i Mackenzie, Sunów - Cortowie i Woroncowowie, Mackenziech - Cortowie i Asamoah, Woroncowów - Asamoah i Sunowie, a Cortów...
- Mackenzie i Sunowie. Uproszczone, ale jak w każdym banale, jest w tym ziarenko prawdy - powiedział Lucas Corta. - Cały czas się o niego boję. To elegancki, wyrafinowany lęk, złożony z wielu elementów. Lęk, że za mało zrobiłem. Lęk, że nie wiem, co się z nim dzieje. Lęk, że nic nie będę mógł zrobić. Lęk, że gdybym nawet mógł, to wszystko, co zrobię, zrobię źle. Słyszałem, co zrobiłaś z ludźmi, którzy napadli na twojego brata.
- Musiałam dopilnować, żeby już nigdy nie tknęli ani Caio, ani nikogo z nas.
- Moja matka zrobiłaby tak samo. - Lucas łyknął herbaty ze szklanki ustawionej na krawędzi basenu. - Ciągłe się zastanawiała, czemu nikt z was nigdy nie przyleciał. To chyba było największe rozczarowanie jej życia. Zbudowała świat dla swojej rodziny i nikt go nie zechciał.
- Ja wychowałam się w przekonaniu, że ona odwróciła się do nas plecami. Odcięła nas od swoich pieniędzy i potęgi, zostawiła, żebyśmy zgnili.
- Zdaje się, że cały czas mieszkacie w tym samym

mieszkanii?

- Wszystko się tam sypie, windy przestały działać jeszcze przed moim urodzeniem, a prądu częściej nie ma, niż jest. Ale za to woda jest, jak trzeba.

- Kiedy miałem dwanaście lat, matka zabrała nas na powierzchnię podczas nocy na Ziemi. Pokazała nam linie i siatki światełek na wszystkich kontynentach, świetlne plamy wokół wielkich miast i powiedziała: „To my palimy te światła”.

- Ludzie więcej kasy zarabiają na handlu tą energią niż używaniu jej - powiedziała Alexia. — Za to Corta Aqua niezawodnie dostarcza czystą wodę dla dwudziestu tysięcy ludzi w dzielnicy Barra da Tijuca.

Lucas Corta uśmiechnął się. Ciężki uśmiech, kosztowny dla ciała i przez to jeszcze cenniejszy

- Chciałbym to zobaczyć. Zobaczyć miejsce, gdzie wychowała się matka. Rodziny nie chcę spotykać... to by nie było bezpieczne. Ale chcę zobaczyć Barra i plażę, gdzie Księżyc rysował jej drogę na wodzie. Zorganizuj to dla mnie.

Wypożyczony minivan był jak szklany bąbel, same drzwi i okna. Alexii od razu zrobiło się nieswojo. Jak ten samochód, z którego papież błogosławi tłumy i macha do ludzi. Nie ma gdzie się schować, może cię uratować tylko wiara i pancerne szkło. Gdy auto powoli jechało Avenida Lucio Costa, wierciła się na siedzeniu naprzeciwko Lucasa.

Doktor Wolikowa stanowczo odmówiła wypuszczenia Lucasa z hotelu, póki nie odbyła się krótka kłótnia w ostrych słowach. Alexia aż zdumiała się jej pasją i gwałtownością. Pacjent i lekarka kłócili się jak kochankowie. Doktor Wolikowa pojechała za nimi pickupem wyładowanym medycznymi botami ratunkowymi.

- To jest mój dom - powiedziała Alexia.

W liliowym zmierzchu, barwiona od wschodu indygo oceanu,

z latarniami zapalającymi się ulica po ulicy, poziom za poziomem, Barra mogła popisywać się resztkami dawnej urody. O ile nie zwracało się uwagi na dziury w jezdniach, brakujące płytki chodnikowe jak powybijane zęby, na śmieci w rynsztokach, pasożytnicze kable elektryczne i maszty sieci komórkowych oraz białe plastikowe rury wodociągowe pnące się jak figowce po każdej pionowej powierzchni.

- Pokaż gdzie - odezwał się Lucas.

Norton kazał minivanowi zatrzymać się przy wyszczerbionym krawężniku. Alexia nie miała zamiaru pozwalać mu kierować, ale samo wydawanie autopilotowi poleceń wystarczało, żeby czuł się sprawcą.

- Chciałbym wysiąść.

Norton teatralnie przepatrzył ulicę. Tak uroczco umiał wyglądać na twardziela.

Alexia otworzyła drzwi i rozłożyła podnośnik. Lucas przejechał nim kilka centymetrów, by wylądować na planecie Barra.

- Chcę pójść. Na nogach.

- Pewien jesteś? - zapytała Alexia.

Doktor Wolikowa była w pogotowiu, zanim jeszcze otworzyły się drzwi auta.

- Oczywiście, że nie. Ale chcę.

Dwie kobiety pomogły mu podnieść się z wózka i stanąć, podały laskę. Stukając, pokuśtykał po chodniku. Alexia przez cały czas czuła lęk, że chybotliwa płytka, porzucona puszka, dziecko na rowerku, nawiany piasek, wszystko jedno co, przewróci go z hukiem na ziemię.

- Które mieszkanie?

- To z rękawem w barwach narodowych.

Lucas Corta długo stał o lasce, patrząc w górę na światła w mieszkaniu.

- Od czasów twojej matki zrobiliśmy sporo remontów - powiedziała Alexia. - Podobno kiedyś to była bogata dzielnica.

Tak słyszałam. Dlatego jest prawie na samej górze. Kiedyś tak było: im bogatszy jesteś, tym wyżej mieszkasz. Teraz to tylko znaczy, że dłużej leziesz po schodach. Jeśli masz wybór, wolisz mieszkać na dole. Słyszałam, że na Księżycu też jest podobnie.

- Przez promieniowanie - odparł Lucas Corta. - Chcesz być tak daleko od powierzchni, jak tylko cię stać. Ja urodziłem się w João de Deus i mieszkałem tam, zanim matka zbudowała Boa Vista. To była rura magmowa mająca dwa kilometry długości. Uszczelniła ją, wyrzeźbiła w środku, wypełniła wodą i roślinami. Żyliśmy w mieszkaniach w środku gigantycznych twarży *orixas*. Boa Vista... jeden z cudów Księżyca. Nasze miasta to wielkie kaniony wypełnione światłem, powietrzem i ruchem. A kiedy pada... jest pięknie nie do wyobrażenia. Wy mówicie, że Rio to Cudowne Miasto. W porównaniu z wielkimi miastami Księżyca to favela. - Odwrócił się od wieżowca. - Chciałbym pójść na plażę.

Zapadł już zmierzch i plaża była domeną młodocianych gangów i nastolatków obmacujących się albo ciągnących z waperów. Szczeka Nortona skrzywiła się z niezadowoleniem, choć pomógł Lucasowi zejść po schodkach na plażę. Jego laska zapadła się w piasek. Podskoczył przerażony, próbując ją wyciągnąć.

- Ostrożnie, ostrożnie - napomniwała go doktor Wolikowa.

- Mam to w butach. Czuję, jak wsypuje mi się do butów. To straszne. Wyciągnijcie mnie z tego.

Alexia i Norton wynieśli Lucasa na chodnik.

- Wysypcie mi to z butów.

Alexia i Norton trzymali go, a doktor zdjęła mu buty i wysypała z nich strużki drobnego piasku.

- Przepraszam - powiedział Lucas. - Nie przyszło mi do głowy, że tak zareaguję. Poczułem to i pomyślałem „pył”. Odruch. Pył to wróg. Nie jestem w stanie nad tym zapanować. To pierwsza rzecz, jakiej się w życiu uczymy.

- Wszedł Księżyc - szepnął Norton.

Chudnący sierp stał nad wschodnim horyzontem. Światełka księżycowych miast migotały jak diamentowy pył. *Oceany pyłu*, pomyślała Alexia, podekscytowana i przerażona zarazem. Ten człowiek, ten kruchy człowiek, umierający od ciężenia po każdym kroku i każdym ruchu, pochodził właśnie stamtąd. Corta. Jej krew, a taki nieodwracalnie obcy. Alexia wzdrygnęła się, maleńka i niema w blasku dalekiego Księżyca.

- Matka mi opowiadała, że na Nowy Rok cała rodzina tu przychodziła i puszczała na wodę papierowe lampki. I ocean jakoś je zabierał, aż tracili je z oczu.

- Dalej się tak robi - odparła Alexia. - To się nazywa Reveillon. Wszyscy ubierają się na biało i niebiesko, w kolory Yemanji.

- Yemanja... to była *orixa* matki. Nie wierzyła w nią, ale sama idea *orixas* jej pasowała.

- Wydaje mi się dziwne, że na Księżycu są religie.

- Czemu. Jesteśmy gatunkiem irracjonalnym i szeroko tę irracjonalność krzewimy. Matka była donatorką Sióstr Panów Chwili. One sądzą, że Księżyc jest laboratorium do eksperymentów na społeczeństwie. Nowe ustroje polityczne, społeczne, nowe formy rodziny i pokrewieństwa. Ich długoterminowym celem jest ustrój społeczny, który przetrwa dziesięć tysięcy lat - bo uważają, że tyle zajmie nam przekształcenie się w prawdziwie międzygwiazdny gatunek. To już łatwiej by mi było uwierzyć w *orixas*.

- Bardzo to optymistyczne — odparła Alexia. — Mówi, że nie wysadzimy się wszyscy w powietrze ani nie zginiemy w katastrofie klimatycznej. Że sięgniemy do gwiazd.

- My może tak. O was, na Ziemi, Zakon nic nie mówi. - Lucas ponownie zerknął na ciemny ocean. Księżyc kreślił na czarnej wodzie świetlny pas. - My tam żyjemy, giniemy, budujemy, tworzymy, kochamy, nienawidzimy, żyjemy pasją dla was niewyobrażalną, a was tu, na dole, nic a nic to nie obchodzi. Chciałbym już stąd iść. Niepokoi mnie to morze. W

dzień jest do wytrzymania, ale w nocy nie ma końca. Bardzo mi się to nie podoba.

Norton i Alexia wmanewrowali Lucasa do minivana. Auto zamknęło się. Alexia dostrzegła ulgę na twarzy Lucasa. Norton kazał samochodowi włączyć się do ruchu. Dwa razy wyprzedziło ich parę motocykli, co go zdenerwowało. Alexia zerknęła za siebie, sprawdzając, czy nie wcisnęły się między nich a doktor Wolikową w pickupie ze sprzętem medycznym.

- *Senhora* Corta — powiedział Lucas. — Chciałbym pani złożyć pewną propozycję. - Dotknął szklanej szyby i wyłączył mikrofony auta. Siedzący z przodu Norton był teraz głuchy. - Jest pani zdolną, ambitną, bezwzględną młodą kobietą, wystarczająco inteligentną, by dostrzec okazję i ją wykorzystać. Zbudowała tu pani imperium, ale stać panią na wiele więcej. I ten świat nie ma pani wiele więcej do zaoferowania. Składam pani tę propozycję, którą moja matka złożyła pani przodkom. Proszę polecieć ze mną na Księżyc. Pomóc mi odzyskać to, co zabrali mi Sunowie i Mackenzie, a wynagrodzę panią tak, że pani rodzina już nigdy nie zazna biedy.

To była ta chwila. Po to dawała w łapę i oszukiwała, by wkraść się do jego sypialni. Włożyła stopę w drzwi prowadzące do bogactwa i potęgi Corta Hélio. A z tyłu był cały Księżyc.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Oczywiście. Tylko dureń rezygnowałby bez namysłu z Ziemi na rzecz Księżyca. Ma pani swoje wodociągowe królestwo, dlatego nie poprosiłem, żeby pani dla mnie po prostu pracowała. Proszę, żeby pani poleciała ze mną na Księżyc. Chcę, żeby to panią drogo kosztowało. Ma pani dwa dni na decyzję. Mój czas na Ziemi dobiega końca, zostały mi jeszcze może trzy-cztery tygodnie, kiedy mam szansę przeżyć lot powrotny na orbitę. A nawet teraz jest spora szansa, że doznam trwałego uszczerbku na zdrowiu. Kiedy się pani zdecyduje, proszę przyjść do hotelu. Otwarcie, bez żadnych przebieranek.

7. SKORPION 2105

Księżycowy Orzeł serwuje przepyszne martini, Ariel zostawia je jednak nietknięte na wypolerowanym kamiennym blacie, tuż nad przepaścią.

- Myślałem, że zawsze w którejś kwadrze jest pora na martini.

- Dzisiaj rano nie mam ochoty.

Siedzą naprzeciw siebie przy małym kamiennym stoliku, pod rzeźbionym daszkiem Pawilonu Pomarańczowego, na samym skraju bezdennego kanionu placu Antaresa. Wieczorny ruch szumi na kładkach i galeriach, sunie po linach, kołysząc się w powietrzu. Linia słoneczna ciemnieje, powoli zapalają się latarnie, jasne światło dnia wycofuje się w głąb prospektów kwadry. Gdy ostatni raz tu siedziała, w tej altanie, mając przed sobą ten oszałamiający widok, był ranek. Gdy ostatni raz tu siedziała, w tym Orlim Gnieździe, Orzeł zarządzał małżeństwo dynastyczne. Corta z Mackenzie. Lucasinho i Denny. Bergamotki na ozdobnych drzewach wciąż noszą ślady srebrnej farby po ślubnych dekoracjach.

- Należy mi się wyjaśnienie.

- Zarząd miał zaraz głosować za wotum nieufności. Uprzedziłem ich.

- Wziąłeś ich na zakładników.

- Aresztowałem.

- W naszym systemie prawnym nie ma pojęcia aresztowania. Porwałeś ich i trzymasz jako zakładników. Gdzie są?

- Są pod strażą, we własnych mieszkaniach. W ramach środków ostrożności pozwoliłem sobie przykręcić im oddychanie. To bardzo dobrze wpływa na posłuszeństwo.

- W statucie LDC nie ma nic, co by cię uprawniało do

pozbawienia wolności członków zarządu Lunar Development Corporation.

- Ariel, jesteśmy na Księżycu. Tu każdy robi, co chce.
- Jonathon, mam zrezygnować? Jak będziesz mi tak pierdzielił, to nawet się nie obejrzysz. Za drzwiami masz osiem tysięcy pozwów i tylko ja trzymam te drzwi.

- Dostałem cynk, że na tym posiedzeniu zarząd spróbuje mnie usunąć.

- Vidhya Rao.

- Przewidziało wotum nieufności. Ten ruch był koordynowany z Ziemi. Ziemskie państwa działają przeciwko mnie.

- Jonathon, po co mnie zatrudniłeś?

- Maszyny Vidhyi wyłapują prawidłowości, często niedostrzegalne dla ludzi, i na ich podstawie stawiają hipotezy. Vidhya prześledziło przepływy finansowe, które szły przez płataninę firm-przykrywek. Ich źródłem są państwowe fundusze inwestycyjne. A w centrum jest ktoś, kogo bardzo dobrze znasz. Twój brat.

Ariel bierze pod pachę torebkę od Oscara de la Renty i odwraca wózek.

- Jonathon. Mrzonki. Paranoja. Rezygnuję. Wypowiadam ci kontrakt. Już cię nie reprezentuję.

Jonathon Kayode wyciąga dłoń nad stołem i łapie Ariel za przegub. Szybki ruch jak na takiego wielkiego faceta.

- Sunowie urządzili na niego zamach, ale przeżył, uciekł z Księżycu i dostał azyl w VTO.

- Jonathon, puszczaj. — Patrzy mu w oczy. Uścisk na nadgarstku ustępuje. Orzeł jest nie dość, że wielki, to jeszcze silny, zostawił na jej śniadej skórze blade odciski palców. - Zatrudniłeś mnie jako tarczę.

- Tak.

- Ty skurwysynu.

- Tak. To co, odchodzisz?

Ariel wpatruje się w martini. Zimne, mocne, święte. Unosi kieliszek ze stolika i bierze łyk. Równowaga umysłu, pewność. Cudowne.

- Jonathon, czy ja jestem bezpieczna?
- Udaremniłem próbę usunięcia mnie, którą zaaranżował Lucas.
- Jeśli myślisz, że mój brat miał tylko jeden plan, to jesteś idiotą.

Drugi wierny odpadł na 8. Zachodnim. Marina od godziny i dziesięciu minut biegnie sama. Będzie tak biegła, póki ktoś nie dołączy Taka jest wiara nowego Długiego Biegu. Że zawsze ktoś do Ciebie dołączy. Bo Długi Bieg nigdy nie ustaje.

Marina nie może wytrzymać w nowym mieszkaniu, czuje się w nim jak w klatce. Już nie musi wiązać końca z końcem, więc sam komfort i bezpieczeństwo przestają jej wystarczać. Wysilek fizyczny związany z programem powrotu na Ziemię budzi pragnienie nauczenia ciała jeszcze innego słownika. Wspomina Długi Bieg: pomalowane ciała, kolorowe wstążki i frędzle w barwach *orixas*, zespolenie w jedną całość, w nieświadomą świadomość, w której ulatnia się czas i odległość, w której nikną fizyczne granice. Wielonożnego potwora, który biegnie przez mrok i śpiewa.

Wspomina Carlinhosa. Pot rozmazujący fluorescencyjną farbę na jego klatce i udach. Nieśmiałość i zażenowanie, gdy razem ochłonęli z ekstazy biegu. Aksamitna miękkość jego skóry w łóżku, w noc przed walką. Furia i radość we krwi Hadleya Mackenziego na arenie Sądu Claviusa.

Przez kanały sportowe i fitnessowe, przez instruktorkę jiu-jitsu, Gracie, przez *santinhos*, którzy wynieśli się z João de Deus, gdy Bryce Mackenzie urządził tam swoją stolicę, dotarły do niej pogłoski. Długi Bieg dotarł do Południka. Potrzebna była masa krytyczna. Od samego początku musi być wieczny

Zawsze ktoś musi biec. Południk wyglądał inaczej niż João de Deus; nie było tu obwodowego tunelu technicznego z dala od głównych prospektów, gdzie ciała mogłyby w nieskończoność płynąć i śpiewać. Wymyślono więc trasę, skomplikowaną, kręcącą się po drogach serwisowych przez siedem poziomów prospektu Wołka: siedemdziesiąt kilometrów. Potem pięć prospektów Kwadry Wodnika - trzysta pięćdziesiąt kilometrów. Na koniec wszystkie trzy kwadry: tysiąc pięćdziesiąt kilometrów.

Jeden cykl nowego Długiego Biegu będzie trwał sześćdziesiąt godzin — najdłuższy ciągły bieg na obu światach. Było ryzyko, że taki bieg na wytrzymałość stanie się modny, a przecież Długi Bieg to nie żadne zawody. Jego esencją są samodyscyplina i transcendencja. Stworzono system powiadomień, mający zapewnić, by zawsze ktoś poruszał się trasą biegu. Marina nie jest inicjatorką, jej specjalnością jest podtrzymanie - obsługuje długie, samotne odcinki, przez godzinę, która zmienia się w dwie. Stają się dla niej osobistym transcendentalnym przeżyciem. Myśli o Ziemi, myśli o erodujących kościach, o rosnącej masie mięśniowej. Myśli o Żadnym Biegu. Po powrocie przez wiele tygodni będzie przykuta do wózka inwalidzkiego, przez wiele miesięcy będzie chodzić o kulach i laskach. Minie co najmniej rok, zanim odważy się włożyć coś skąpego, obcistego i pójść pobiegać. A nawet wtedy to będzie tylko bieg. Nie będzie żadnych świąt, śpiewów, wspólnoty.

Myśli o tym, żeby nie myśleć o Ariel.

Punkt zbiórki za sześćdziesiąt sekund, mówi Hetty. Marina widzi kolejną biegaczkę, zbiegającą po *ladeirze* Wschodniego 26. Spotkają się przy wejściu na kładkę na 18. poziomie.

- *Que suesper correm certeza* - mówi kobieta. Jest ubrana i wymalowana na czerwono. Na szortach i topie ma błyskawicę Xango.

Bardzo się Marinnie podoba. Przy jej karnacji nie wyglądałoby to dobrze.

- *Corremos com os santos* - odpowiada, a kobieta przechodzi na globo.

Marina nigdy nie nauczyła się dobrze wymawiać tego starożytnego języka. Obie wpadają w rytm i przebiegają przez kładkę. Jest noc, biegną pomiędzy dwiema niekończącymi się ścianami świateł.

- Pracujesz u Ariel Corty? - pyta tamta.

- Tak jakby.

- Tak myślałam. Widziałam cię koło niej. Ariel pomogła mi załatwić sprawę z amorią, która się skiepszyła. Zemsta, prześladowania, tego typu rzeczy I tylko ja jedna nie dostałam zakazu kontaktów. Wszyscy mówią, że z amorii superłatwo jest wyjść. Bzdury gadają. Jak ją zobaczysz, podziękuj jej ode mnie. Amara Padilla Quibuyen. Nie będzie mnie pamiętała.

- Zdziwiłabyś się, jakie ona rzeczy pamięta - mówi Marina. I proszę, znowu o niej myśli.

Marina Calzaghe i Amara Padilla, w zieleni Oguna i czerwieni Xango, piją drinki. Długi Bieg przejęły inne stopy, a one, jak para luniarek po sześciotygodniowym kontrakcie, poszły prosto do baru. Bar jest tajemnicą Amary - składa się z grotty wydłubanej w ścianie Wschodniego 35. Siedzenia i stoły są z gołej skały; to lokal, w którym barman zna wszystkich po imieniu, bo mieści tylko osiem osób.

- Muszę ci coś wyznać — mówi Marina. — Blue Moony nigdy mi nie wchodziły.

- Mnie też. Lubię słodkie i owocowe.

Marina stuka się swoją caipiroshką z jej guava batide.

- *Eternamente*. - Pożegnanie uczestników Długiego Biegu.

- *Eternamente* - powtarza Marina w swoim żalonym portugalskim.

Chlanie po bieganiu. Naruszenie wszelkich zawodowych i sportowych protokołów. A Ariel od czasu orlego zamachu stanu

potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek. Lecz w tym wielkim, przestronnym mieszkaniu klaustrofobia jest nie do wytrzymania; Ariel ściągnęła całą dywizję prawniczych AI, żeby ostrzeliwały szwadrony pozwów, Abena pomaga jej w bezgłośnym skupieniu, wykopuje kazusy, precedensy i orzeczenia, świadoma, że ta praca jest na pograniczu jej kompetencji i że od niej zależy jej kariera w Kaboszonie. Gówniara śpi w hamaku w kuchni, ale w myślach już zasiada na Złotym Stolcu.

- Byłaś w João de Deus czy na powierzchni?
- W płacach pracuję. - Amara unosi szklanekę. - Księgowym się nie podskakuje.

- A wyglądasz jak luniarka.

Amara opuszcza nieśmiało głowę.

- Tak jakoś... podoba mi się ich styl.
- Pasuje ci idealnie.
- A ty i Ariel, jak to jest?
- Jakoś przypadkiem wyszło, że u niej pracuję. Mam doktorat z symulowanej informatycznie biologii ewolucyjnej w architekturze sterowania procesami. Roznosiłam drinki na imprezie z okazji Biegu Księżycowego Lucasinho Corty, kiedy ktoś usiłował zabić Rafę. Mam lepsze kwalifikacje niż wszyscy Cortowie do kupy, a robię za jej ochroniarzkę, asystentkę i barmankę.

Jak to możliwe, że ta caipiroshka tak szybko zniknęła? Dmitry za barem już robi kolejną.

- Jeszcze jedna? - pyta Amara.

W sumie czemu by nie zastąpić utraconych płynów alkoholem?

- A ja robiłam dyplom z tworzenia indywidualnych modułów logicznych dla sztucznych inteligencji - ciągnie Amara. - I wylądowałam w płacach. Ludziom zawsze trzeba będzie płacić jakieś wynagrodzenia.

Druga caipiroshka jest równie cierpka, przepyszna i obfita, jak

pierwsza.

- No to za wynagrodzenia.

- A długo jesteś na Księżycu? - pyta Marina.

- Co, widać? Liczyłam, że weźmiesz mnie za drugą generację. Rodzina mówiła, że jestem paskudnie wyrosnięta. Pochodzę z Filipin. Z Luzonu. Matka jest ortodontką, tata w bankowości. Wiem. Dobre wychowanie, w porządnej nuklearnej rodzinie z wyższej średniej. Wszyscy mieli być znakomici, wszyscy poszli na dobre amerykańskie uczelnie, pokończyli z wyróżnieniami, aż tu nagle ta paskudna wyrosnięta łapie raketę, robi pa, pa i leci se na Księżyc. Im się to dalej w głowie nie mieści. Trzy lata osiem miesięcy.

- Rok i jedenaście miesięcy. Cztery dni.

- No, to dlatego ci tak szybko weszła ta druga caipiroshka.

Druga pusta szklanka zdumiewa Marinę. Dmitry błyskawicznie ją zabiera. Na barze już rozłożył składniki do trzeciej.

- Powiedz mi: co cię przekonało, żeby zostać?

- A do czego tam wracać? Nieudolne władze, wszędzie terroryzm, poziom morza się podnosi, a od kolejnej osoby, którą pocałujesz, możesz złapać zarazę, która cię rozłoży.

- Rodzina?

- Rodzina, no... rodzina faktycznie. A ty jesteś skąd?

- Z Północnego Zachodu. Półwysep Olimpijski. Prawie pod samym Port Angeles. Pewnie powiesz: super, góry, lasy, morze. Tak jest. Raz nawet widziałam śnieg. Coś się nawyprawiało z pogodą i nagle, o! Na samych najwyższych szczytach coś białego. Śnieg! Wzięliśmy auto i pojechaliśmy do parku pod górę, tylko po to, żeby sobie po nim połązić. Bo dzień później już go prawie nie było. Deszcz go od razu załatwił.

- Czyli wracasz, nie?

- Nie potrafię tu żyć. Mam już bilet. Miejsce na Pętli i koję w cyklerze.

Amara dopija pierwszego drinka. Dmitry podsuwa kolejne, dla

Amary drugi, dla Mariny trzeci. Ona mu chyba wydaje polecenia przez chowańca.

- Ariel mówiłaś?

Marina kręci głową.

- Skoro mi nie potrafisz powiedzieć, jaka szansa, że powiedziałaś jej?

Marina unosi wzrok znad szklanki.

- Masz strasznie dużo do powiedzenia na temat mnie i Ariel.

- W końcu cały wieczór stawiam ci drinki.

- A dwie godziny temu po prostu razem biegłyśmy.

- Mam wrażenie, że od dawna chcesz to wszystko komuś powiedzieć. Spokojnie mogę postawić ci jeszcze jedną caipiroshkę.

- Co to ma być, caipiroshkowa terapia?

- Nie, po prostu dwie biegaczki, które schodzą z endorfin.

- To poproszę.

Caipiroshka numer 4 przybywa, równie cudowna jak poprzedniczki. Marina aż dygoce, biorąc pierwszy łyk, rozkoszuje się ciepłem i przytulnością maleńkiego troglodyckiego baru otulającego ją jak kamienne ubranko.

- Mogę wyjechać nagle, ale nie mogę ładnie. Rozumiesz?

Amara marszczy czoło, popijając batide przez słomkę.

- Zawsze coś zostanie.

- Zawsze będzie taki moment, kiedy będę jej potrzebna. Chwila wyjątkowej potrzeby. A ja ją zostawiam.

- Jeśli jej powiesz, poprosi, żebyś została.

- Nie poprosi. Ona nigdy nie prosi. Ale będę wiedzieć. I być może nawet zostanę i znienawidzę ją za to. - Marina wstaje. - Muszę lecieć. Wracać. Przepraszam. I dzięki za te wszystkie drinki.

- To chociaż tego dopij.

- Nie powinnam. Staram się odstawić ją od dzinu i jak sama przytoczę się nawalona...

- Należy ci się.

- No nie, nie mogę. Hetty, zawołaj mi *moto*. - Marina pochyla się, żeby ucałować Amarę na pożegnanie.

Amara przyciąga ją do siebie i szepcze:

- Przepraszam cię. Wiesz, ja miałam plan na ten wieczór. Wpadłaś mi w oko. Zauważałam cię. Zmieniałam plany, żeby biegać wtedy, kiedy ty. I miałam tajny plan, żeby cię tu zwabić, napić drinkami i uwieść, albo chociaż się z tobą umówić, ale widzę, że nie mam szans. Najmniejszych. Bo wszystkie moje talenty są na nic wobec miłości. — Całuje Marinę czule. - *Eternamente*.

Im ważniejsza szycha w AKA, tym ochrona dyskretniejsza - na szczycie ochrona wtapia się w otoczenie i staje niedostrzegalna dla ludzi. Ariel nie wątpi, że te owadzie szmery, ten trzepot ptasich skrzydeł, mignięcia sierści i błyski oczu w niskich zaroślach mogą ją zabić, tak, że niczego nie zauważy. Nigdy nie ufaj żywym stworzeniom. Nieodrodna córka swojej matki. Jednakże w cieniu pod gałęziami jest chłodno, pachnie korzennie rozkładającymi się liśćmi, a ścieżki parku są tak puste, jak to potrafi zarządzić tylko potęga Złotego Stolca.

- Nadaje się ona do czegoś? - pyta Lousika Asamoah.

Idą we dwie, spacerowym krokiem, po chrzęszczących ścieżkach z różowego żwiru. Spotykają się po raz pierwszy od upadku Corta Hélio, zniszczenia Boa Vista i śmierci Ruffy Corty.

- Polityczną ścieżkę kariery to raczej jej zrujnowałam - odpowiada Ariel. - Zacznie myśleć, że każdy problem da się rozwiązać dużą liczbą najemników.

Śmiech Lousiki jest szczery, perlisty i dźwięczny jak dzwon. Ariel negocjowała dla Ruffy jego *nikah* i od początku było dla niej oczywiste, że w tym związku jest miłość, tak jak nigdy jej nie było w jego drugim małżeństwie, z Rachel Mackenzie.

- Powinam ją odesłać prosto do domu, do Twé - mówi. - Tylko bogowie wiedzą, w co ona się dalej wpakuje.

Okrągłe słowa, choć Ariel wyczuwa w nich nutę niepokoju. Polityczna brutalność zszokowała statecznych, nudnych urzędników Południka -nikt nie wie, jak poważny jest to uraz i jak daleko sięgną fale.

- Ona nie uczestniczy w tej grze.

- Teraz chyba wszyscy uczestniczą. — Lousika przystaje na zwirowej ścieżce.

Poruszenia pomiędzy gałęziami, liśćmi, wśród bluszczu, ustają razem z nią. Ariel czuje na sobie wzrok dziesiątków jadowitych stworzeń.

- Nasze rodziny zawsze były blisko - kontynuuje Lousika - lecz dzisiaj jestem tu jako Omahene Kotoko. Posunięcie Orła jest bezprecedensowe. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć konsekwencji. I to nas niepokoi.

- Orzeł prosi tylko o opowiedzenie się.

- I na to właśnie nie możemy sobie pozwolić. AKA nie jest jak inne Smoki. Nasza organizacja jest skomplikowana i wielowarstwowa. Trzeba wysłuchać tylu zdań i zapewnić sobie tyle głosów. Niektórzy mają to za powolne, kłopotliwe i niewydolne, my jednak zawsze sądziliśmy, że najlepiej oddać władzę w jak największą liczbę rąk. AKA działa powoli, ale pewnie. Po prostu nie mieliśmy dotąd czasu na konsensus.

- Orzeł byłby wdzięczny za choćby prywatną sugestię...

- To nie leży w mojej mocy. Złoty Stolec nie ma własnego głosu. - Lousika idzie dalej.

Wózek Ariel dopasowuje się szybkością. Obserwatorzy w zaroślach także.

- Nasze rodziny zawsze były blisko — powtarza Lousika. — Tak jak wy, nie jesteśmy ani najbogatszym, ani najpotężniejszym Smokiem. Osiągnęliśmy naszą pozycję, nie angażując się w rywalizację pomiędzy rodzinami, a tam, gdzie się nie dało, stosując przemyślane sojusze. Kotoko będzie obserwować rozwój sytuacji, ale nie będzie skłonne do pośpiesznego opowiadania się.

- Czyli poczekacie i staniecie po stronie zwycięzcy - mówi Ariel.

- Tak. Nie mamy innego wyjścia. VTO, obaj Mackenzie, w mniejszym stopniu Taiyang, wszyscy oni są zależni od układu z Ziemią. My nie. My mamy tylko Księżyc. Ale, jak to się mówi, każdy musi jeść, każdy musi spać.

- I to mam Orłu powiedzieć?

- Taka jest odpowiedź Złotego Stolca.

Ruch wśród drzew; nagły łopot skrzydeł. Ptaki podrywają się, motyle śmigają Ariel przed twarzą, maleńkie zwierzątka rozbiegają się ścieżkami. Kordon znika, straż się rozchodzi. Ariel domyśla się, że Omahene idzie, a ona ma pozostać. Słucha szelestu suchych liści, koziółkujących nad zwirem w nieprzewidywalnych wiatrach mikroklimatu Kwadry Wodnika. Szmer butów i opon. Biegaczy i wózków handlarzy słodyczami.

Lady Sun obciąga Dariusowi rękawy marynarki, by zakrywały przeguby. Darius podciąga je z powrotem.

- Taka moda - mówi.

Lady Sun ustępuje, ale waper mu zabiera.

- Tego tolerować nie będę.

Buty Dariusza stukają na polerowanym betonie. Wielka Sala Taiyangu to otwarty, pusty sześcian, wyrzeźbiony z milimetrową dokładnością w surowej skale brzegu krateru Shackletona. Jej proporcje i akustyka mają budzić fizjologiczny respekt. Sunowie lubią w niej przyjmować gości i klientów.

- To jest Ariel Corta - mówi Darius.

Ariel, w czerwonej sukni od Ungaro, płonie jak słońce na orbicie taiyangowych znakomitości. Nawet na wózku przykuwa każde spojrzenie. I nie jest osobą, którą się onieśmieli jakimiś architektonicznymi sztuczkami.

- A ci ludzie z nią? - pyta Darius.

- Ta młodsza to Abena Maanu Asamoah.

- Siostrzenica Omahene — mówi Darius. Wielka Sala ma zwodniczą perspektywę. Wydaje mu się, że przeszedł wiele

kilometrów, a nie zbliżył się choćby o krok.

- Słuchałeś - stwierdza lady Sun. - To dobrze. Znaczenie?
- Asamoah i Cortowie według tradycji są sojusznikami.
- Połowa ich rodu żyje teraz w azylu u Asamoah.
- Tak jak ja w azylu u Sunów - zauważa Darius.
- Jeszcze raz zobaczę ten szyderczy grymas, to sama cię otruję, młody człowieku. A ta trzecia to jej osobista ochrona. Ona nas nie interesuje.

- Zabiła człowieka samym waperem - mówi Darius.
- Sam to znalazłeś czy chowaniec ci sprawdził? - pyta lady Sun.

- Przypomniałem sobie - odpowiada Darius. - Nie tego ode mnie oczekujesz?

Oficjele rozstępują się. Głowy skłaniają się przed lady Sun.

- Babciu, oto Ariel Corta. Reprezentuje Księżycowego Orła - mówi Sun Zhiyuan.

Lady Sun wyciąga dłoń. Ariel ją ściska. Tak się nie robi, myśli Darius. Lady Sun się w dłoń całuje.

- Madame Sun.

Darius przypatruje się przedstawianej kolejnym osobom Ariel. Siedzi na wózku, a podporządkowuje sobie całą salę. Jej uwaga jest zaszczytem, który wydziela z rzadka, tak że łakną go nawet prezesi Taiyangu. Dlaczego ona jeszcze nie chodzi? Spokojnie stać ją na operację. Czy z tego wózka płynie jakaś moc? Daje jej jakąś przewagę? Wszyscy, nawet lady Sun, muszą się pochylić, żeby do niej mówić. Darius próbuje zrozumieć charakter, który wybiera niepełnosprawność i autorytet, a nie sprawność i anonimowość. Kryje się w tym jakaś nauka.

- I mój podopieczny, Darius.

Darius skłania głowę.

- Miło mi niezmiernie, *senhora* Corta.

Błysk w głębi jej oczu, gdy w nie patrzy, sprawia, że czuje ukłucie lęku. Zbyt miły ton przybrał? Przejrzała go?

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Traktuje go podejrzliwie.

- Chciałam, Ariel, by się z tobą zapoznał - mówi lady Sun. - Młodzi muszą uczyć się cnoty wytrwałości. Bez niej nie wykuje się nic wielkiego. Upadek, czas spędzony z dala od świata, wznoszenie ku sławie i potędze. Wytrwałość. Chodź, Darius.

Spotkanie wznowia bieg. Zhiyuan i Ariel omawiają służbę cywilną, urzędników, dzięki którym Księżyc kręci się wokół Ziemi; od tych, co recyklują zmarłych, po tych, co wstawiają czib w każdą nową gałkę oczną. Ten personel będzie pracował dla każdego, kto zapewni mu powietrze do oddychania. Ale komu będą służyć zarządcze AI Taiyangu - Orłu czy Radzie?

- Byłeś niepoważny - drwi lady Sun, wyprowadzając Dariusza z konferencji.

- A ty nieuprzejma - odpowiada Darius. - Prosto w oczy.

- Jestem dziedziczką Shackleton — mówi lady Sun. - Dziedziczki z reguły są nieuprzejme. O Trzech Dostojnych słyszałeś.

- Słyszałem jakieś tam historie.

- To nie są „jakieś tam historie”. To są kwantowe komputery, które zbudowaliśmy dla banku Whitacre Goddard, żeby bardzo dokładnie przewidywały przyszłe zdarzenia. Prorokowały, jeśli wolisz. Oczywiście zostawiliśmy sobie furtkę i odtąd i my otrzymujemy od nich dawki wglądu w przyszłość. Wredne są jak nie wiem, gadają mętnie i nigdy nie zgadzają się ze sobą. Jak dotąd tylko w jednej kwestii były jednomyślne: że Ariel Corta będzie ważną postacią w historii Księżyca.

- Dlatego jest naszym wrogiem.

- Jeszcze nie jest. Ale może być. Mnie już wtedy pewnie zabiorą Zabbalini, ale ty będziesz przygotowany.

- Będę przygotowany, prababcu.

Buty Dariusza stukają o lśniący kamień. Za to lady Sun, i wcześniej, gdy wchodziła, i teraz, porusza się absolutnie bezgłośnie.

Abena nie może powstrzymać dreszczy. Powietrze jest ciepłe, unosi się w nim cierpko-ostry aromat pyłu, przyjemny dla każdego, kto wychował się w rozrastających się bez końca labiryntach tuneli i farm rurowych Twe. Kamień, kamień, nic tylko kamień. Przytłaczają to. Hadley to sama skała i metal, niezłagodzone choćby cieniem życia czy koloru. Sam martwy metal, przytłaczający i zimny. Abena ma wrażenie, że wlecze się tym korytarzem całe lata. Na pewno już skręcał, na pewno się rozgałęział, ona jednak sunie naprzód tylko siłą woli, dłonią dla otuchy dotykając prawego podłokietnika wózka Ariel, dygocąc z klaustrofobii.

- Mogli kogoś po nas wysłać na stację.

- Nie ma mowy, żeby prowadzili mnie do Duncana Mackenziego ci sami ludzie, którzy zabili moich braci - mówi Ariel.

- I próbowali zabić ciebie — dodaje Marina po lewej stronie toczącego się bezgłośnie wózka.

- Ja nie rozumiem, jak ty w ogóle możesz tu przychodzić - mówi Abena.

- To dlatego, że nie rozumiesz relacji pomiędzy prawnikiem i klientem - stwierdza Marina. - Ariel reprezentuje Księżycowego Orła. Jest jego radcą prawnym i pełnomocnikiem. To, co czuje, jej dawne przejścia z rodem Mackenzie, to nie ma tutaj znaczenia. Tu nie jest Ariel Cortą. I Duncan to uszanuje.

- Dla mnie to i tak jest wyzbywanie się etyki osobistej.

- Zamknąć się, jedna i druga - warczy Ariel. - Jeszcze, kurwa, nie umarłam.

Abena słyszy jednak, że złość jest podszyta niepokojem.

Dochodzą do drzwi. Za drzwiami jest winda. Za windą złotowłosa, uśmiechnięta kobieta z Mackenzie Metals, która nie mogłaby dobitniej przekonywać, że jest bezbronna i niegroźna, gdyby była naga i bezwłosa. Za nią sala o niskim

suficie, sam kamień i metal. Okna jak szczeliny. Z otworów w niskim suficie biją snopy ostrego światła.

- Ciągłe te lustra - szepcze Ariel.

Między padającymi z góry ostrymi snopami światła stoi w imponującym szyku pięć postaci. Abena rozpoznaje je z odprawy - to zarząd nowego Mackenzie Metals. Oczywiście sami mężczyźni. Duncan Mackenzie jest potężniejszy, niż sobie wyobrażała. W swojej sztandarowej szarości za chowańca ma oleistą kulę szarego światła. Psychoarchitektura Pałacu Wiecznego Światła wydała jej się tandetną sceniczną iluzją - ten człowiek zaś budzi respekt samą swoją prezencją i powagą.

- Duncan.

- Ariel.

Jak ona może podawać mu rękę? Jak jest w stanie z nim rozmawiać, wypowiadać jego imię? Abena jest przekonana, że sama nigdy nie upadłaby tak nisko. Zdaje sobie sprawę, że musi się nauczyć profesjonalnego obiektywizmu, lecz są zasady, których nie można łamać, nie tracąc przy tym całej wiarygodności i dobrego imienia. Podziwia zawodowy dystans Ariel, choć nie jest przekonana, czy go szanuje.

- Dziękuję ci, że przybyłaś do Hadley - mówi Duncan Mackenzie.

- Sprawdzasz mnie, Duncan?

- Trochę tak. Poza tym już nie czuję się bezpiecznie w Południku. Kobieta z Mackenzie Metals przynosi tacę z napojami. Ariel pasuje bez zastanowienia, nawet na nią dłużej nie spojrzy, ta zaś do Abeny i Mariny nie podchodzi.

- To czego ode mnie chcesz, Ariel?

- Księżycowy Orzeł chciałby wiedzieć, czy nadal cieszy się poparciem Mackenzie Metals.

- A wobec kogo lojalny jest mój brat?

- Przecież nie pozwolisz, by taki drobiazg wpływał na twój osąd?

- Trzysta pięćdziesiąt ofiar i pięćdziesiąt milionów bitsów

strat i utraconych przychodów to ma być drobiazg?

- Twój brat na razie nie prosił o spotkanie z żadnym doradcą Orła. Myślałam, że raczej o tym wiesz. Czy też twoja wtyczka u Orła nagle zamilkła?

- Adrian stanowczo pozostaje neutralny - mówi Duncan Mackenzie. Zaprasza Ariel do kręgu foteli.

Abena zauważa, że nie ma tam miejsca dla niej czy Mariny. Wygląda na to, że praca stażystki u radcy prawnego Orła polega głównie na staniu. Dobrze, że Ariel doradziła jej włożenie wygodnych butów.

- Potrzebujemy stabilności. Nasze rodzinne problemy, do tego jeszcze urządzony przez Orła zamach... to nie uspokaja rynków. Kapitał nienawidzi niepewności, a my jesteśmy biznesmenami. Mackenzie Metals poprze stronę, która zapewni nam najbardziej stabilne i bezpieczne otoczenie biznesowe gwarantujące nam zyski. — Duncan rozpiera się w fotelu, a członkowie zarządu bezwiednie powtarzają ten gest. - Takie jest stanowisko Mackenzie Metals. A stanowisko głowy rodziny Mackenzie jest takie: ojciec przybył na Księżyc, żeby zbudować tu świat. Swoją własny świat, wolny od kontroli i ograniczeń stawianych przez ziemskie władze, unie, imperia. Rady nadzorcze i fundusze inwestycyjne. Cały swój majątek, do ostatniego grosza, wydał na wysłanie na Księżyc pięciu robotów poszukiwawczych, potem na budowę stacji budowlanej, potem fabryki i bazy transportowej, na koniec bazy mieszkalnej. Zyski zawsze reinwestował. Nie wziął od nikogo ani grosza, nikomu z zewnątrz nie pozwolił zainwestować ani kupić udziałów Mackenzie Metals. Walczył, aby ziemskie państwa nie zamieniły nas w kolonię. Walczył o utrzymanie Paktu o Przestrzeni Kosmicznej, a potem o jego wzmocnienie. Sprzeciwiał się powstaniu Lunar Development Corporation, a kiedy wbrew niemu powstała, dopilnował skłócenia i podzielenia jej władz, tak by żadne ziemskie państwo nie mogło narzucić swojej polityki wolnym księżycowym ludziom.

Do ostatniego dnia stał po stronie naszej wolności i niepodległości. A zatem powiedz Jonathonowi Kayode, że Duncan Mackenzie go popiera.

Abena widzi, że Ariel Corta przygotowuje odpowiedź. Duncan Mackenzie podnosi rękę.

- O ile stanie po mojej stronie przeciwko Bryce'owi.

Ariel patrzy, jak kropelka rosy spływa po pochyłości kieliszka do martini, zatrzymuje się na moment na złączeniu czaszy i nóżki, zbiera siły, wypełnia się, dygoce pod własnym ciężarem i osuwa się na stopkę.

- Piękne - mówi Ariel Corta. - To najpiękniejsza rzecz na tej ćwierćkuli.

Na Bagnie Zgnilizny pociąg rozpędza się do ośmiuset kilometrów na godzinę. Kolej biegunowa Aitken-Peary była pierwszą linią na Księżycu, obsługiwała wtedy złoża lodu i węglowodorów na obu biegunach - później zdezonizowała ją Równikowa Jedyńska. Ariel, Marina i Abena są jedynymi pasażerami w wagonie widokowym Biegunowego Ekspresu, choć Abena czuje się w szklanej kopule nieswojo, bezbronna, zbyt bliska próżni. Skóra ją swędzi od wyimaginowanego promieniowania. Widok mają na krajobraz zrujnowany przez maszyny wydobywcze Mackenzie Metals. Każdy krater wyrównany na gładko, każda dolina wypełniona skałą płonącą, a wszystko upstrzone śladami łazików, porzuconymi maszynami, płytkami łupka, opuszczonymi schronami i kapsułami.

Ciekawsze to niż zwykłe łagodne wzgórki i jasnoszare kopce.

Ariel przesuwa kieliszek w stronę kelnera.

- A teraz proszę to zabrać.

Kelner pochyla głowę i błyskawicznie zabiera szkło. Rosa na kieliszku ani drgnie, ani zmarszczki na powierzchni.

- Zrobisz to jeszcze raz - mówi Ariel do Mariny - to wbiję ci szkło w mózg przez oko.

- Czyli zadziało.

- I to samo, skarbie, jeśli będziesz mnie chwalić albo wstawiać jakieś motywacyjne pierdoły.

Marina tłumy śmieszek. Abena wciąż nie ogarnia tych ciągłych iskier dyskretnej agresji, przeskakujących między nimi dwiema, ani śmiechu, którym podszyty jest każdy docinek i każda drwina. Ariel traktuje Marinę po chamsku, krytykuje ją, albo wręcz otwarcie obraża, a mimo to w Hadleyu, gdy Abena zakwestionowała jej etykę osobistą, Marina prawie rzuciła się na nią z nożem.

- I on dotrzyma tej obietnicy? - pyta Marina.

- Duncan ma trochę honoru - odpowiada Ariel, łapiąc zmianę tematu jak mistrzyni piłki ręcznej. - Nie to, co ten jego brat-pojeb.

- Dalej nie rozumiem, czemu tego nie dało się załatwić przez sieć - mówi Abena. - Byłyśmy w Hadleyu, w Pałacu Wiecznego Światła... a i do Twé byśmy pojechały, gdyby Sewaa Lousika nie była akurat w Południku.

- Prawo polega na osobistym kontakcie - mówi Ariel. - Osoby zawierają kontrakty, porozumiewają się, osobiście je negocjują. Kiedy zadajesz się ze Smokami, musisz im przynieść jakiś skarb. Może go zabiorą, może pozwolą ci go zatrzymać. A nie ma większego skarbu niż twoje własne życie.

- A wiesz, gdzie nie byliśmy? - pyta Marina. Abena marszczy czoło. Ariel kiwa głową.

Olśnienie.

- U Woroncowów!

- Nie prosili o spotkanie - mówi Ariel.

- Więc VTO popiera członków zarządu LDC? - pyta Abena.

- Ariel powinna wiedzieć - mówi Marina.

- Ariel powinna - mówi Ariel. - Ale Ariel nie ma pojęcia, gdzie stoją Woroncowowie. I to się Ariel nie podoba. Więc Ariel pogada z kimś, kto się może domyślać.

Grafika jest naprawdę bardzo mała, nie większa niż dwa złożone razem kciuki. Ariel musi nachylić się bardzo nisko, żeby rozróżnić maleńkie postacie stojące na krawędzi zakrzywionego świata i mniejszą, trzecią, na pierwszym szczeblu drabiny opartej o wąski sierp Księżyca.

„I want! I want!” - czyta Ariel. Pod maleńkim tytułem jest napisane coś jeszcze, ale pismem ręcznym, którego nie umie przeczytać.

- William Blake - mówi Vidhya Rao. - Angielski malarz i poeta, z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Wizjoner, prorok, mistyk. I we wszystkich dyscyplinach sztuki, które uprawiał, był znakomity.

Ariel w życiu nie słyszała o Williamie Blake’u, za to Vidhyę zna na tyle dobrze, by wiedzieć, że przez myśl mu nie przejdzie popisywać się fałszywą erudycją. Obiad był doskonały, zważywszy lokalizację. Salki jadalne Towarzystwa Lunariańskiego są intymne i dyskretne - i da się je odciąć od sieci - Ariel wie jednak z doświadczenia, że takie kluby rzadko miewają dobrą kuchnię. Ramen był w miarę, jak na makarony, za to sashimi tak świeże, że podejrzewała, że ktoś pociął rybę na żywca.

- Nasz twórca koktajli jest najlepszy na dwóch światach - powiedziało Vidhya Rao, gdy spotkało się z Ariel w foyer Towarzystwa Lunariańskiego i ujęło uchwyty jej wózka.

- Zbyt jestem zajęta, żeby sobie pozwolić na drinka - odparła Ariel. Wiedziała już, że pora na drinka może nigdy nie nadejść.

Przy małym stoliku w dyskretnym pokoju skupia się na małej miniaturze. Styl jest prosty, ascetyczny niemal, metafora oczywista, a jednak rycina niemal buzuje energią, mocą, która przyciąga oko i pobudza wyobraźnię.

- Tęsknota za Księżycem - mówi. Usta Rao krzywią się nieznacznie. Rozczarowała go.

- Ja uwielbiam Blake’a, podziwiam go - mówi. - U niego

ciągle można odkryć coś nowego.

- Ta powierzchnia, na której oni stoją, jest bardziej księżycowa niż sam Księżyc - podsuwa Ariel.

Zauważyła, że nad każdym stolikiem wisi na ścianie taka mała rycina, tuż nad lampką. Beijaflor powiększa, wyostrza - wszystkie w tym samym stylu, tego samego artysty. Ozdoby i tematy do rozmowy.

- Interesujące spostrzeżenie - mówi Vidhya Rao. - Więc właściwie, z naszego punktu widzenia, to byłaby Ziemia widziana z Księżyca.

- Chyba poza zasięgiem dziewiętnastowiecznej wyobraźni.

- No nie, nie Blake'a - stwierdza Vidhya Rao. Wyjmuje z torby teczkę i kładzie ją na stoliku.

Ariel zagląda do środka.

- Papiery - dziwi się.

- Moim zdaniem bezpieczniejsze.

- To co ty tam masz za mroczne tajemnice?

- Chciałaś wiedzieć, dlaczego VTO nie zażyczyło sobie spotkania z tobą.

Ariel nigdy za dobrze nie czytała. Mozoląc się ze streszczeniem na początku dokumentu, walczy z odruchem poruszania ustami. W miarę zagłębiania się w tekst, wysiłek narasta. Otwiera usta. Odkłada dokument na stół.

- Rozniosą nas na strzepy.

- Tak. Nie mamy żołnierzy, nawet uzbrojonej policji nie mamy. Jesteśmy przemysłową kolonią. W najlepszym razie możemy wystawić prywatnych ochroniarzy i bojówki.

- Usłyszałeś to od Trzech Dostojnych.

- Powiedzieli: prawdopodobieństwo takiego rezultatu, osiemdziesiąt dziewięć procent.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Komu mielibyśmy powiedzieć? Jesteśmy bezbronni. Whitacre Goddard już zaczęli dywersyfikować swój portfel, żeby się zabezpieczyć.

- Jebani banksterzy.

Vidhya Rao uśmiecha się.

- To jest właśnie sedno problemu. U nas nie ma solidarności. Są osoby, rodziny i korporacje, każda działa tylko we własnym interesie.

- Mówiłeś, że Sunowie mają furtkę do Trzech Dostojnych. Oni o tym wiedzą?

- Ja patrzę tylko na prawidłowości. Próbuję wyciągać z nich wnioski. Na podstawie ostatnich inwestycji i dezinwestycji Taiyangu wnioskowałbym, że nie.

- Jak to możliwe, że czegoś takiego nie dostrzegli?

- To bardzo proste. Nie zadali odpowiednich pytań.

Ariel rozkłada papiery na małym stoliku.

- To wymaga gigantycznej zdolności wynoszenia.

- Ziemskie państwa takiej zdolności nie mają.

- Czyli mam odpowiedź na moje pytanie o VTO. Ale nie rozumiem dlaczego.

- VTO jako jedyne wśród Smoków ma także ziemską odnogę. A przez nią może być podatne na naciski polityczne.

- Bogowie.

- O tak. Wszyscy naraz, dowolnej natury i imienia. Przykro mi, Ariel. Herbatki?

Ariel omal nie wybucha śmiechem na ten przeskok. Herbatka. Rozgniecione listki mięty w szklance, zalane wrzątkiem. Pośłodzić do smaku. Uniwersalny smar społeczny. Coś znanego i uspokajającego. Rzecz elegancka, szklaneczka z odrobiną nonszalancji. Gdy spadają gwiazdy, gdy światy zderzają się ze sobą, gdy lamentują prorocy i jasnowidze - jedyne, co pozostaje. Szklaneczka herbaty.

- Dziękuję. Chyba tak. Vidhya, ostatnie pytanie. - Ariel zbiera porozrzucane papiery i układa je równiutko w teczce. — Ile mamy czasu?

- O mój Boże. To już się zaczęło.

Na szkle nuda to bezgłośny zabójca. Kilometr za kilometrem, godzina za godziną, czarnego szkła, czarnego szkła, czarnego szkła. Uwaga mięknie, topi się, umysł zwraca się do środka. Rozrywki, zabawy, gry dają coś, na czym można się skupić, ale wiąże się z nimi inne ryzyko - rozkojarzenia. Łaziki Taiyangu mają setki czujników i alarmów, potrafią ostrzec przed tysiącami wewnętrznych i zewnętrznych zagrożeń dla życia ekipy, lecz żaden luniarz nie polega stuprocentowo na AI.

Żaden luniarz, który chce żyć dalej.

Wagner Corta wypracował sobie własne metody pracy na szkle, inne dla obu aspektów. W jasnym aspekcie jego mózg radzi sobie z wieloma jednoczesnymi bodźcami, może więc obserwować szkło, horyzont, monitorować układy łożnika, grać w *Run the Jewels* i słuchać dwóch strumieni muzyki naraz. Za to w ciemni, gdy skupienie jest monomaniakalne i stuprocentowe, wpatrując się w czarne szkło, osiąga stan głębokiej czujności i uważności. Ponad szklanymi polami błędnie nieruchoma, stojąca wysoko, błękitna Ziemia - i Wagner przechodzi w ciemny aspekt. W pełnym świetle i pełnym mroku wilki są doskonałymi *laodami*, w okresie przejściowym są wrażliwe, mogą popełniać błędy.

Wiadomość od Kontroli Regionu Taiyangu. Stracony kontakt z zespołem równiarek spod Armstronga. Wielkie automatyczne księżycowe spychacze to fizyczni szklanych pól - ustawione po dziesięć w szeregu, w tak zwaną linię samby, potrafią wyrównać na gładko pas regolitu szerokości stu metrów. Linia samby - stare określenie, rodem jeszcze z Corta Hélio.

Wagner wymrukuje wspólny kanał.

- Zmiana planów. Zjeżdżamy ze szkła. Armstrong stracił zespół równiarek.

Ekipa gwizdże pogardliwie. Rozdźwięk między publicznie pielęgnowanym przez Taiyang wizerunkiem wspaniałego pasa solarnego a codzienną skrzeczącą rzeczywistością jest tak

wielki, że już wy dostał się z prywatnych luniarskich żartów i stał się ogólnoksiężycową legendą.

- Mamy zadanie zbadać sytuację, przechwycić je i zrestartować.

Kontrola Morza Spokoju rzuca współrzędne na soczewkę Wagnera.

Wagner przesyła je łażikowi, który wyznacza trasę - wyciągniętą na południowy wschód krzywą przez panele słoneczne.

- Będzie premia.

Ekipa Szczęśliwa Ósemka wydaje krótkie okrzyki radości.

Mamy obraz satelitarny, mówi Kontrola.

Wagner analizuje nakładkę na mapę. Linia samby księżycowych równiarek jest niemal widoczna gołym okiem z Ziemi - dziesięć śladów gąsienic w idealnie równych odległościach, zmierzających prosto na wschodnie Morze Spokoju.

- To coś dziwnego? - pyta Wagner.

- Mają prosty algorytm stadny, zwykle trzymają się razem - mówi Kontrola. - Niezwykłe jest to, że jadą prosto do Kwabre.

- A co to jest to Kwabre?

- Nowe agrarium AKA. Pracują tam inżynierowie od ekosystemów. -Pauza.

- Te spychacze przejadą im przez środek wszystkiego. - Wagner przyśpiesza. I tak zdążą na styk. - Powiadomiliście ich?

- Nie dają się wywołać. Skontaktowaliśmy się z AKA, oni też nie mogą. Łączność może się zepsuć ze stu powodów. I jest z dziesięć przyczyn, dlaczego spychacze mogły się zbuntować. Ale część wspólna tych dwóch zbiorów napawa Wagnera lękiem.

- Spróbuję wywołać ich na lokalnym, jak tylko wyjdziemy z za horyzontu.

Kwabre mieści się czterdzieści kilometrów za południowym skrajem pasa słonecznego. W odległości dziesięciu Wagner

wysuwa antenę i próbuje nawiązać kontakt z agrarium. Ani piśnie. W odległości pięciu Szczęśliwa Ósemka nawiązuje kontakt wzrokowy ze spychaczami. Wielkie maszyny, pięć razy wyższe i dwadzieścia razy dłuższe od łazika Szczęśliwej Ósemki, spychają regolit na przezroczyste pokrywy farm rurowych Kwabre.

Wagner nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Nikt w ekipie nie widział. Nikt na Księżycu nie widział.

Po pierwszym szoku milczenie Kwabre staje się oczywiste. Wieże z antenami poprzewracane, lustra odbijające słońce do wewnątrz farm są pustymi ramami wiszącymi na masztach.

- *Laoda* - mówi Zehra. — Spychacze mogły poprzewracać anteny, ale te lustra to ktoś wytlukł po kolei.

- Ogłaszam Sutrę Jeden - mówi Wagner. Najwyższy poziom alarmu na powierzchni Księżyca, bezpośrednie zagrożenie ludzkiego życia, wszyscy muszą natychmiast udzielić pomocy. - Zehra, zawiadom Tve. Czekamy na odebranie kodu Dziewięćset Jeden przez VTO.

- Twé wysłała trzy ekipy - melduje Zehra.

Wagner rusza łazikiem naprzód. Miej zmysły otwarte, patrz nie tylko oczyma, czuj nie tylko dotykiem. Jedna z równiarek obraca się przodem do nich. Wagner staje jak wryty, potem skręca w prawo. Spychacz obraca się na gąsienicach i ustawia tak, aby jechać równo z łazikiem.

- Co jest, kurwa? - rzuca Zehra na jego prywatnym kanale.

- Zehra, zawiadom Kontrolę.

Wagner po raz drugi przesuwa łazik. Spychacz ponownie przesuwa się razem z nim.

- No... ja się z nim nie biję - mówi Wagner.

- Też bym wolała nie - mówi Zehra.

Równiarka pchająca przed sobą wielki wał ziemi najeżdża na ostatnią kopułę, zasypuje ją, dusi. Tworzy się szyk - maszyna, która blokowała drogę ich łazikowi, dojeżdża do niego ostatnia. Linia samby kieruje się na północno-północny wschód.

- *Laoda*, Kontrola kazała nam... - odzywa się Zehra.
- To jest Sutra Jeden - odpowiada Wagner. - Bezpośrednie zagrożenie ludzkiego życia. - Podjeżdża łazikiem pod główną śluzę. - Neile, Mairead, Ola ze mną. Zehra, przekaż do Twé obraz z kamer Neilego.

- Do Twe?

- One tam właśnie jadą.

Ekipa Wagnera zsiada z łazika na regolit. Zehra unosi baterię reflektorów i oświetla teren.

- Neile. — Wagner przykuca przy śladach na regolicie. - Nagraj to.

- Machiny?

- Boty. Ślady botów.

Ostre, trójpalczaste odciski są delikatne, ledwie widoczne, lecz on je rozpoznaje. Widzi, że powierzchnia wokół Kwabre jest cała nimi pokryta.

- Patrzcie.

Gąsienice równiarki zamazują tropy.

- To, co narobiło tych śladów, było tu przed spychaczami - mówi Neile.

Wagner-wilk prostuje się.

- Zehra, daj światło na główną śluzę.

Bateria reflektorów obraca się i skupia światło na szczelinie śluzy przysypanej grubą warstwą spieku. Jest otwarta. Ostry blask wydobywa coś stojącego na pochylni, tuż za zewnętrznymi wrotami.

- Dać to w kamerę? - pyta Zehra.

- Nie - odpowiada Wagner. - Wchodzimy.

- Lepiej tam, kurwa, uważaj, *laoda* - mówi Zehra na prywatnym kanale. Nie mówi, nie musi, że ekipa Wagnera Corty nigdy nie straciła żadnego człowieka.

- Zehra, na mój znak musisz być gotowa ruszyć.

Ostra biel odbija się od szarych ścian, mechanizmy śluzy rzucają długie cienie. Wagner kiwa na ekipę, żeby zeszła w dół

pochyłości, do obłego kształtu, który nie przystaje do schematu śluzu. Szklarze Szczęśliwej Ósemki rzucają przed siebie długie cienie.

Zehra mówi:

- I co myśli wilk?
- Wilk się boi.

Snopy świateł z czołówek pochylają się nad tym przedmiotem. Próznia zabija wrednie, ale tego trupa nie zabiła. Ekipa rozstępuje się, żeby Zehra mogła go dobrze oświetlić. Młody mężczyzna w farmerskich gumiakach i kamizelce z mnóstwem kieszeni, rozpruty od mostka po pępek. Lśnią wnętrzości i krew.

- Kurwa mać - szepcze Ola.
- Dajesz to do Twe? — pyta Wagner łazika.
- Co by mogło coś takiego zrobić?
- Zaraz się dowiem. - Neile kuca przy zwłokach. - Może zostało mu trochę baterii w soczewce i da się coś przeczytać zbliżeniowo.

Przytyka szybkę do jego czoła. Czołówka odbija się w zamarzniętych gałkach ocznych. Wagnerowi ta bliskość z trupem mrozi krew w żyłach. Trupi pocałunek.

- Już wam rzucam - mówi Neile.

Odzyskany kawałek nagrania jest krótki i przerażający. Ruch, bieg, skręt, nagle coś rzuca się na soczewkę, coś niskiego, szybkiego i zrobionego z samych noży. Błysk stali, upadek. I przedśmiertne konwulsje. Dostrzeżone kątem umierającego oka maleńkie, drobne stalowe racice. Trójpalczaste.

- Jezus Maria - odzywa się Mairead i przykłada do ust wierzch rękawicy.

Wagner unosi rękę. *Cisza*. Coś na pograniczu percepcji jego wilczych zmysłów. Nie dźwięk — w próżni nie ma dźwięku. Jakieś drgania. Poruszenia.

- Zehra, daj światło w lewy róg.

Cienie przesuwają się i kurczą. W ciemności za łazikiem

agrarium... coś, co nie jest tym łazikiem.

Wilcze zmysły Wagnera krzyczą.

- Uciekać.

Maszyna wyskakuje zza osłony. Wagner kątem oka dostrzega kończyny, ostrza, wysięgniki z czujnikami. Drobnie stalowe kopytka. Błysk światła z reflektorów na metalu. Nic więcej. Biegnie. Obok Mairead, Ola krok za nim, Neile jeszcze krok dalej.

— Zehra! — krzyczy Wagner.

Zehra już ruszyła. Łazik podskakuje na krawędzi zewnętrznych drzwi śluzy, ląduje w połowie pochylni. Zehra zarzuca na zapyłonym spieku. Wagner rzuca się ku pałkom łazika, który sunie ku niemu. Łapie je, wskakuje na siedzenie.

— Neile?! — krzyczy Mairead.

Na HUD-zie Wagnera chowaniec Neile zmienia się z czerwonego, przez różowy, w biały. Wagner ogląda się, widzi, jak jej ciało zsuwa się z trzech precyzyjnych tytanowych ostrzy. Pada na twarz. Ostrza przebiły ją na wylot, od mostka do kręgosłupa, gładko przecinając mocny materiał elastyka. Krew tryska, paruje, zamarza. Zabiła ją ta sekunda wahania, ten jeden krok z tyłu za Wagnerem. Nieludzko szybkie zmysły Wagnera odczytują maszynę stojącą za ciałem. Bot stworzony specjalnie do zabijania. Ma nogi, nie koła. Ostre racice służą także jako broń, choć potrafią się rozłożyć w płaskie stopy, do biegania po pyle. Porusza się szybko i pewnie po zmiennym księżycowym terenie. Cztery ramiona, trzy zakończone ostrzami, jedno chwytakiem. Ostrza są szybsze i pewniejsze niż pociski. Głowa to kapsuła z czujnikami. Duże, pojemne baterie. Bot przestępuje przez trupa Neile, wbija spojrzenie czujników w szybkę hełmu Wagnera. Widzi go. Rozpoznaje. Rzuca się za nim.

Za jego plecami otwierają się wewnętrzne drzwi śluzy.

Łazik Szczęśliwej Ósemki pełnym gazem wjeżdża po rampie i wyskakuje w górę - dziesięć, piętnaście dwadzieścia metrów. Z

otwartej śluzы wypadają dwa kolejne boty. Trzeci idzie za nimi. Bogowie, jakie one są szybkie! Łazik ląduje, sypie pyłem, prawie koziołkuje, lecz ratuje go Zehra. Zehra prowadzi lepiej niż AI. Wywołuje okienko z widokiem z tylnej kamery, żeby obserwować boty. Idą nisko nad ziemią gotowe do ataku, rozglądają się.

— Wzywam pomoc — mówi do Zehry na prywatnym kanale.

— Szybciej będzie do Twé — odpowiada ona.

— Nie chcę ich doprowadzić do Tve. Punkt ewakuacji tutaj.
- Rzuca Zehrze współrzędne GPSS i nadaje dwa wezwania o pomoc, jedno do sieci VTO, drugie do Kontroli Morza Spokoju Taiyangu.

Wywołuje HUD ze statusem. Trzeba zakładać, że te maszyny, które ich gonią, mają więcej energii niż łazik. Czterdzieści procent baterii. Bez Neile łazik jest lżejszy. Waży życie kontra poziom naładowania baterii, beznamiętnie, z wilczym wyrachowaniem. Znow widzi ciało Neile zsuwające się powoli z morderczych ostrzy. Widział już śmierć ludzi. Śmierć przypadkową, głupią, paskudną, tandetną, tak - ale śmierć zadaną umyślnie widział tylko raz. I to było wśród lśniącego drewna i ciepła starej krwi, w Sądzie Claviusa, a nie w śluzie martwego agrarium. Tamto mordercze ostrze należało do Hadleya Mackenziego, a dłoń, która wbiła je w gardło właściciela, do Carlinhosa. O bracie, co robić?

Trzydzieści pięć procent baterii. Mordercy dopadną ich dziesięć kilometrów przed punktem spotkania. Czemu VTO nie odpowiada? Wagner pyta Sombkę o rozkład punktów ewakuacyjnych. Odpowiedź jest jedna. Nie da się im uciec. Nie ma wyjścia: trzeba z nimi walczyć.

Jesteśmy ekipą szklarską. Naprawiamy panele słoneczne. Mamy spiekacze, podnośniki do paneli, taśmy instalacyjne, boty naprawcze. Kontra trzy bojowe roboty.

Trzeba je pobić ich własną bronią.

- Zehra, daj sterowanie. - Wagner przejmuje HUD łązika. - Trzymać się.

Zehra jest lepszym kierowcą, ale tego, co trzeba zrobić teraz, może dokonać tylko wilk. Wagner zaciska zęby i skręca w poślizgu, wzbijając fontanny pyłu mającego miliard lat. Przez chwilę myśli, że będzie dachował, jednak łąziki Taiyangu są stabilne. Daje pełny gaz i wali prosto na morderców. Rozpierzchają się na cienkich, szybkich nóżkach. Nie dość szybkich. Wagner zawadza jednego bokiem, bot koziołkuje, wymachując nogami i ostrzami. Odlatuje na sto metrów. Lewe przednie koło trafia na racicę drugiego i miażdży ją. Bot rzuca się. Wagner hamuje, daje wsteczny, wali żebrami w pałaki. Łazik trzęsie się od uderzenia, części bota przelatują nad nim. Zaciska zęby, zarzuca łązikiem po raz kolejny i jedzie pełnym pędem na drugiego uszkodzonego bota. Ten staje niepewnie na kopytkach, ogniskuje czujniki, rozkłada ostrza. Za wolno. Dużo za wolno. Tępy dziób łązika wbija go prosto pod koła. Łazik podskakuje. Ekipa Szczęśliwa Ósemka wiwatuje i krzyczy.

- To dwa - mówi Zehra.

Nagle chowaniec Jeffa bieleje.

- Zehra, kieruj! — Przerzuca jej HUD łązika.

Łapie go w okamgnieniu. Na wspólnym kanale wrzeszczy Ola. Wagner wali w przycisk awaryjnego podnoszenia pałaków, staje na siedzeniu. Tylko wilcze zmysły ratują go od ostrza celującego w czubek hełmu.

- Jest na górze!

- Stawać?

Ola krzyczy, ale jego chowaniec jest stuprocentowo czerwony. Czerwień to życie.

- Nie stawaj! Zginiemy.

Łazik podskakuje i trzęsie się. Wagner syczy w skupieniu, balansując na fotelu. Wolną ręką wypina szpadel z wieszaka z narzędziami z tyłu. Unosi go nad sobą. Ostrze trafia weń z brzękiem, który czuje w kościach nadgarstka. W ułamku

sekundy między atakiem i wycofaniem udaje mu się wejść na górę łazika.

Morderczy bot trzyma się razem z nim, nogi rozstawione szeroko, racico-szpony zaczepione o szyny i belki. Jedno ostrze ma wbite po nasadę w hełm i czaszkę Jeffa. Drugim dźga w dół, w dół, w dół, w stronę Oli usuwającego się spod niego w klatce ochronnych pałaków. Ostatnie z ostrzy jest dla Wagnera. Pierwsze tkwi w czaszce Jeffa. Zatem bot też jest zablokowany. Struga czarnej, zamrożonej próżniowo krwi na obudowie czujników bota. To ta maszyna, która zabiła Neile. Wagner czuje to wszystko w ułamku sekundy, którego potrzebuje, by odparować szpadlem jedyne swobodne ostrze, a gdy bot odzyskuje równowagę i zamierza się ponownie, dziabnąc go ostrą krawędzią w nogę, przecinając kable. Szpony kurczą się spazmatycznie i odpadają. Bot skupia na nim wszystkie czujniki. Atakuje wirem ostrzy, zbyt szybko, by jakikolwiek człowiek mógł się zasłonić. Wilcze zmysły dostrzegają podjęcie decyzji w soczewkach kamer, zanim mózdek bota zadziała - Wagner pada płasko i odsuwa się z zasięgu ostrzy.

- Zehra, bączek!

Wagner trzyma się z całej siły. A i to może nie wystarczyć, gdy Zehra potężnie zarzuca łazikiem. Boczne belki tłuką go po żebrach. Zaraz się ześlizgnie, zaraz. Koniec. Wisi na burcie łazika. Odważa się unieść jedną rękę, sięga, chwyta akurat zsuwający się nad krawędzią szpadel. Bot stracił równowagę, przewraca się. Wrywa ostrze zaklinowane w hełmie Jeffa. Wagner zamierza się szpadlem, trafia, wali go raz za razem. Bot spada, wymachując ostrzami.

- Zehra!

Nagle przyśpieszenie prawie wrywa mu ramię ze stawu. Zwisa z belek ochronnych, odwraca się z wysiłkiem, widzi, jak bot zbiera się, podwija uszkodzoną stopę pod siebie i goni za łazikiem.

- Giń, kurwa mać, giń! - wrzeszczy Wagner.

Łazik najezdza na krawędź niskiego krateru, wyskakuje w powietrze. Ląduje, odbija się. Uszkodzony bot okręca się. Za wolno. Łazik uderza w niego centralnie. Rozpryskują się nogi, ramiona, obudowy czujników. Łazik sunie bokiem, sypiąc na ekipę Ósemki oslepiającymi strugami pyłu. Gdy opada, ostatni bot jest tylko plątaniną metalowego złomu na regolicie, a z nimi zrównuje się inny łazik. Płyty i ramię ma pokryte misternymi geometrycznymi wzorami. AKA. Ich kierowca kiwa, żeby się zatrzymać. Wagner opada na ziemię, potem na kolana. Nie może stać, nie może mówić. Nie może powstrzymać dygotu. Na jego ramię opada dłoń.

- *Lobinho...* - Tylko Zehrze wolno używać dawnego przydomku z Corta Hélio. - Spokojnie, wilczku. Spokojnie.

- Sytuacja?—wydusza Wagner przez dzwoniące zęby. Marznie na śmierć.

- Mamy możliwość jazdy.

- Nie o to...

- Jeff nie żyje.

- I Neile.

- I Neile.

- Nigdy nikogo nie straciłem — mówi Wagner. - Nigdy. Nikogo. W ekipie Szczęśliwa Ósemka nikt nigdy nie ginie.

Dowódca łazika AKA kuca przed nim.

- Cały jesteś?

Sombra podpisuje ją „Adjoa Yaa Boakye”. Wagner kiwa głową.

- Co to w ogóle było? - pyta Adjoa.

- Nie widzisz, że jest w szoku? - warczy Zehra.

- Chciałam tylko zapytać, czy nie ma ich więcej - odpowiada Adjoa.

Ekipa luniarzy Czarnych Gwiazd zeskakuje z siedzeń na regolit.

Wagner kręci głową.

- On potrzebuje pomocy - nalega Zehra.

Wagner siedzi prosto tylko dzięki jej dłoniom na ramionach.

- Gdzie, kurwa, podziewa się ten statek? - pyta Zehra.
- VTO nie odpowiada - mówi Adjoa.
- To niemożliwe - dziwi się Zehra.

Wagnerowi jest zimno. Potwornie, potwornie zimno. Hełmy, skafandry, ludzie, to wyłaniają się, to giną w ciemności pełnej wirujących krwawych mroczków.

- Ratownik! - woła Adjoa.

Jeden z czarnogwiazdowców klęka przy Wagnerze, wyciąga z kieszeni na łydce strzykawkę, rozpakowuje ją, przygotowuje.

- Przytrzymać go.

Zehra i Adjoa łapią Wagnera za ramiona. Ratownik przebija igłą elastyk, skórę, mięsień. Wagner dostaje skurczy, jakby ktoś podłączył mu do aorty kabel pod napięciem, potem zalewa go fala dobrostanu i serce, oddech, buzująca krew uspokajają się, wpadają w normalny rytm.

- To go powinno ustabilizować - mówi sanitariusz.

Wagner czuje, że Zehra i Adjoa unoszą go i przypinają w fotelu.

- Kwabre już nie żyje - szepcze Wagner. - Jadą do nich spychacze.

- Co się stało? - pyta Adjoa.

- Dalej nie mogę wywołać VTO - mówi Zehra. - Co tu się, kurwa, dzieje?

Nagle błysk.

Potem trzęsienie ziemi.

Potem deszcz metalu.

Penis Lucasinho jest długi i zakrzywiony, zwieńczony grubą żółdzą. Dłonie Abeny przesuwają się po nim w dół, by objąć pełne, miękkie jądra, potem w górę, po idealnym brzuchu, do piersi. Są jędrne, sterczące, z dużymi sutkami. Idealne.

Abena wzdycha.

Ścisza kciukami i palcami wskazującymi sutki Lucasinho. On

mruczy. Rozchyła pełne, błyszczące wargi. Ona przywiera do niego, piersi do piersi, brzuch do brzucha. Fiut jest twardy, napiera główką na jej pępek. Przesuwa palcami po ciemnych, lśniących włosach, sięgających mu do tyłka. Przyciąga go do pocałunku.

Przez ostatnią lunę ciągle ubiera go w wirtualną *skórkę futanari*¹. Kiedy pierwszy raz uniósł słodką baletową spódniczkę, wyskoczył z majteczek, a jego fiut wydostał się na wolność, doszła w sekundę. Ekstatyczne przekroczenie granic. Za drugim i trzecim razem, gdy uprawiała seks przez sieć z *Jutą Lucasinho*, pikanteria polegała na tym, że nie wiedział, co zrobiła z jego awatarem. Za czwartym, piątym, szóstym razem elektryzowała ją kontrola nad jego postacią. Mogła go zmienić, jak chciała. Zmienić mu skórę w plastik. Dać mu wiele piersi, jak bogini. Dać fiuta pozaziemskiego obcego. Wrażenia dotykowe i tak by się przenosiły. Za siódmym razem zauważa, że dała mu lepsze cycki od własnych.

Popycha go na leżankę i siada na nim okrakiem, żeby móc, pieprząc się z nim, podziwiać, jak podskakują mu piersi. Fiut jest jak z komiksu, jak z mangi. *Lucasinho* operuje nim niesamowicie, na drugim końcu łączy kablowego w Twe, choć przecież nie wie, czym go obdarzyła. Zachwyca się *Lucą* - dziewczyną z kutasem.

Na koniec schodzi z niego i kładzie się na boku, podziwiając stworzone przez siebie dzieło sztuki.

- Kojo i Afi dobrze mówili - odzywa się *Lucasinho*. - Naprawdę mam lepsze cycki od ciebie.

- Cholera - mówi *Abena*.
- Trzeba było poprosić.
- A masz coś przeciwko?
- Nie, ale to nie o to chodzi.

Seks na odległość, tak jak wszystkie inne formy ludzkiej ekspresji seksualnej, polega na dobrowolności. *Abena* złamała tę zasadę, rzeźbiąc awatara *Lucasinho* bez jego wiedzy.

- Kojo i Afi nie powinni byli mówić.
- Afi była zła na ciebie. O coś tam ze studiów.
- To nie znaczy, że może wszystko rozpowiadać.
- Czyli sama byś mi powiedziała?
- Tak - kłamie Abena. Teraz, gdy on już wie, ulatnia się z tego cały nieprzyzwoity dreszczyk. - Pokazała ci?

- Pokazała.

- I co, podoba ci się?

- Fiut mi się bardzo podoba.

- Proszę cię bardzo. A cycki?

- Dopiero co się dowiedziałem. Ciebie one kręcą?

Abena waha się.

- Pomysł nasunął mi Grigorij Woroncow. Wiesz, kiedyś był takim wielkim miśkiem, typowym Woroncowem. Już nie. - Wskazuje brodą awatar Lucasinho.

- Futa?

- Ale naprawdę.

- Wow - mówi Lucasinho Corta. Siada.

O bogowie, patrzcie, jaki ja mu zrobiłam tyłek, modli się bezgłośnie Abena. Jak brzoskwinka.

I znowu Lucasinho:

- Wow. Od kiedy?

- Od Koziorożca. Trochę potrwało, zanim się wszystko zagoiło po operacji.

- Grigorij. W życiu bym nie pomyślał.

- Jest śliczny - mówi Abena.

Awatar Lucasinho siada na końcu leżanki i buja nogami. Pół Księżycy stąd, w kabinie do seksu w Twe, jego fizyczne ciało robi to samo.

- Luca - pyta Abena - a ty mnie czasem skórkujesz?

Grigoria Woroncowa jest oszałamiająca. Abena powiedziała stuprocentową prawdę. Potężny rudy Rosjanin, bezgranicznie

pożądający Lucasinho Corty jest teraz szczupłą, rudą kobietą o pełnych biodrach i mangowych oczach.

- *Ola* Luca - mówi. - Fajnie, że się odezwałeś.
- No... ten - jąka się Lucasinho. - Wyglądasz...
- Fantastycznie? Jak miło. Ty też, Luca, wyglądasz seksownie jak zawsze.

Lucasinho rumieni się w swoim pokoju w domu *abusui* Oyoko w Twe, ćwierć Księżyca od Południka. Grigorij zawsze wiedział, jak wetknąć paluchy do jego mózgu.

- To którą wersję wolisz?
- Nie wiem, co masz na myśli... - jąka się Lucasinho.
- Grigorię czy Grigorija? Ułatwię ci decyzję. - Grigoria oddala się od obiektywu.

Ma na sobie bolerko i spódniczkę baletnicy. Rękawiczki bez palców, prześwitujące legginsy-rybaczki i getry. Wokół szyi krzyże i Matkę Bożą Konstantina, we włosach złotą kokardę. Grigoria rozbiera się, warstwa za warstwą. Stanik rozpina się i opada na ziemię, Grigoria patrzy wyzywająco w kamerę. Lucasinho traci dech.

- Jeszcze nic nie widziałeś, Lucasinho Alves Mão de Ferro Arena de Corta.

Chwyta palcami gumkę majteczek i zaczyna je zsuwać.

Wtem światła mrugają spazmatycznie i gasną. Grigoria Woroncowa znika z soczewki. Pokój się trzęsie, sypie się pył, a na zewnątrz rozlegają się krzyki.

Wagner wygląda spod łoża. Kamiennie-metalowa ulewa ustała parę minut temu. Powierzchnia jest zasłana gradem małych kamyków i kałużami roztopionego metalu.

- Meldować się! - woła.

Laoda, mówi Zehra. „*Laoda*” od Mairead i od Oli.

Szczęśliwa Ósemka wyczołguje się z ukrycia. Łazik to obraz nędzy i rozpacz - setki rys i pęknięć. Zehra bada uszkodzenia,

przekłada przerwane kable, zakleja przedziurawione przewody systemu podtrzymywania życia. Wagner i jego odpowiednik z AKA spotykają się na dziobatym gruncie pomiędzy łazikami.

- Co to było? - pyta Wagner.

- Twé melduje, że wybuch w elektrowni w Maskelyne G - mówi Adjoa.

- W elektrowni termojądrowej? - Wagner czuje, jak tężeją mu brzuch i jądra, pyta Sombre o poziom promieniowania. Urodzeni na Księżycu mają nowy odruch: ochrony DNA przed promieniowaniem.

- Jakby Maskelyne G wybuchło, tobyśmy tu nie stali - mówi Adjoa. - Coś przebiło się przez pięćdziesiąt metrów regolitu, czysto przeszło przez obudowę zewnętrzną i środkową i naruszyło wewnętrzny keson.

Szmery na wspólnym kanale.

- Meteoryt? - pyta Wagner.

- VTO by nas ostrzegło - stwierdza Adjoa.

- VTO to miało tu po nas przylecieć - wtrąca Zehra ze szczytu łazika Szczęśliwej Ósemki.

Jedna zagadka za drugą. Wagner nie lubi zagadek. Od zagadek się ginie. A tu na Wschodnim Spokoju zginęło już za dużo ludzi. Jedyne bezpieczne miejsce - gdzieś głęboko, plecami do nieba, przykryte grubą warstwą skały.

- Strasznie celny ten meteoryt. Pechowo celny - dodaje Zehra, łatając dziury.

- To znaczy? - pyta Adjoa.

- To znaczy, że ktoś celował w Maskelyne. Przeliczyłam sobie parę wariantów prędkości i masy. Albo coś bardzo dużego, wtedy byśmy to widzieli, albo coś małego i bardzo szybkiego.

- Ktoś coś widział? - rzuca Adjoa. Obie ekipy zaprzeczają. Kamery też nic nie złapały.

- Mówię tylko, że te boty, które załatwiliśmy, nie były wyprodukowane ani u nas, ani przez AKA. Mackenzie tłuką się na całej tej ćwiartce, ale mają dość rozumu, żeby nie wciągać do

tego Sunów ani AKA. I nagle Maskelyne dostaje. VTO ma wyrzutnię elektromagnetyczną w punkcie L₂. Może robić za armatę, jeśli się ją odpowiednio wyceluje.

- Ale czemu mieliby... - zaczyna Adjoa. Zehra przerywa jej.
- A co my tu możemy wiedzieć, robole na powierzchni?
Straty uboczne.

- Mamy możliwość poruszania się? - pyta Wagner.
- Z grubsza - odpowiada Zehra, wbrew wszelkim procedurom BHP lekko zeskakując z samej góry łazika na regolit. - Straciliśmy parę paneli słonecznych. Lepiej, żebyśmy nie musieli przed niczym uciekać.
- Jedźcie za nami do Twé - mówi Adjoa i wskazuje na siedzenie dowódcy.

W połowie lat 2060. grupa robotów do kopania zapuściła się na południowe Morze Spokoju. Rozłożyły baterie słoneczne i zaczęły kopać. Kopały precyzyjnie i starannie, wygryzając w dnie morza idealną spiralę. W miejscach, gdzie regolit był spękany, spiekały go, a tam gdzie natrafiały na twardy bazalt, kuły go mozolnie, centymetr po centymetrze. Po dwóch lunach na zachód od krateru Maskelyne powstał stumetrowy szyb z trzema spiralnymi pochylniami wzdłuż ścian. Boty wyjechały po nich na słońce. Wykopały sobie schronienia i w nich czekały.

Zza horyzontu wyłoniła się Efua Asamoah z karawaną robotników na krótkich kontraktach. Zaparkowali przewoźne habitaty i obsypali je regolitem. Z platform wylądowali uniwersalne kratownice konstrukcyjne, ekstraktor, który przepuszczał wodór przez regolit i generował wodę oraz dwie tony gówna i sików z Królowej Południa.

Efua Asamoah zainwestowała w tę karabinową lufę pośrodku Morza Spokoju cały swój kapitał. Szczególnie kosztowne okazało się to gówno. Przystąpili do pracy. Z kratownic powstał

pylon, który biegł przez całą wysokość szybu i wystawał jeszcze sto metrów nad powierzchnię. Spiekacze odlały z regolitu czarne lustra; Efua Asamoah z ekipą powiesili je, jedno po drugim, na pylonie. Boty przykryły szyb wiekiem z przejrzystego węglowego tworzywa i uszczelniły je. Pod tym dachem Efua Asamoah stworzyła ekosystem. Ręcznie mieszała gówno z Królowej Południa ze sproszkowanym regolitem, aż uzyskała glebę. Tego dnia roztarła ją w dłoniach, spróbowała, i wiedziała, że to było dobre. Robotnicy ręcznie rozprowadzili ją po spiralnych półkach. Zainstalowali wytwornice wody i systemy nawadniające, wymiennik gazów usuwający nadmiar tlenu, silniki napędzające lustra i baterię różowych świateł. Wtedy Efua Asamoah przywiozła aż z Królowej Południa całą przyczepę sadzonek i wszyscy trudzili się w różowym blasku przez długą księżycową noc, ręcznie obsadzając spiralne półki.

Budujemy farmę i żywimy świat, powiedziała wcześniej swoim inwestorom. Ryzyko było ogromne. Efua Asamoah prosiła ich, by zgodzili się z jej założeniem, że Księżyc będzie się rozwijał wzdłuż równika, a nie na biegunach. I że jej projekt farmy, wykorzystujący światło słoneczne i regolit, sprawdzi się, już nie mówiąc, że okaże się tańszy i wydajniejszy niż dotychczasowe farmy wieżowe. Większość zrezygnowała. Tylko dwóch zjawilo się na miejscu w dniu, gdy Efua otworzyła żaluzje i spuściła słoneczny blask w dół szybu, budząc do życia ogród ukryty pod Morzem Spokoju.

Zamknięty ogród zmienił się w dwa, potem pięć, obrósł korzeniami i chodnikami, zmienił się w pięćdziesiąt, przeobraził się w Twe, miasto -ogród - trzysta pięćdziesiąt szklanych kopuł na równinach Morza Spokoju.

Które teraz jest obłązione.

Ekipa szklarska Szczęśliwa Ósemka i czarnogwiezdni Adjoi Yaa Boakye wspinają się na krawędź niskiej zachodniej doliny i zatrzymują się. Wagner widzi teraz, gdzie się podziały jego brakujące równiarki. Setka spychaczy cierpliwie zasypuje

księżycowym regolitem kopuły świetlików Twe.

Odciąć światło, odciąć prąd od lamp, wymierają uprawy.

Wagner rozumie to od razu. Niszczysz farmy, bierzesz świat głodem.

Staje obok Adjoi na niewielkim wzgórku. Jest w ciemnym aspeckie, jego umysł przelatuje przez pomysły, przez strategie i porzuca je, jedną po drugiej. Dwa łąziki pełne robotników powierzchniowych przeciwko armii morderczych spychaczy.

- Może by je odhakować z powrotem albo podłożyć ładunki... - rzuca Adjoa.

- Nie dasz rady do nich podejść - przerywa Zehra. - *Laoda...*

Wagner już wskakuje na siedzenie. Zza otaczających Twé rowów, wałów i rumowisk na ich pozycję szarżuje tyraliera dwudziestu botów z uniesionymi ostrzami.

1

Futanari, futa (jap.) — hermafrodytyczna postać w japońskiej popkulturze (przyp. tłum.).

8. SKORPION 2105

Dwa łaziki jadą bezgłośnie i gładko na zachód, przez południową odnogę Morza Spokoju. Przed nimi za horyzontem leży Hypatia. Za nimi dwadzieścia bojowych botów.

Hypatia to nadzieja - jak niebo. Może będą w stanie dotrzeć do niej na resztkach prądu. Może w Hypatii znajdzie się coś, co poradzi sobie ze szwadronem morderczych botów. Może pomiędzy ich aktualną pozycją a Hypatią zdarzy się coś, co ich uratuje.

Albo może skończą im się baterie, mimo że tak je oszczędzają. Wtedy boty ich dopadną i rozniosą. Wagner co dziesięć minut wysuwa maszt z radarem, żeby wyjrzeć za horyzont. Cały czas tam są. I za każdym razem bliżej. Nie ma co liczyć, że je zgubią - dwa łaziki zostawiają niezatarte, świeże ślady, wycelowane w Hypatię jak strzałki.

Tyle tych nadziei, tyle gdybania, tyle wariantów kończących się nadzianiem na ostrze bota, a mimo to lęki i niepokoje Wagnera krążą wokół Robsona. Śmierć to nic; prawie paraliżuje go strach, że ostatnią emocją, jaką odczuje, będzie poczucie klęski. Łączność leży na całej ćwierćkuli, niebo milczy. Nie może połączyć się z Kontrolą Taiyangu. Księżyc wywrócił się do góry nogami, przekroczone są wszystkie parametry, a Wagner myśli tylko o trzynastoletku, którego zostawił w Południku. Wyobraża sobie Robsona, czekającego, nic niewiedzącego, czekającego, pytającego Amal, nic niewiedzącego, pytającego kolejnych ludzi i kolejnych. Nikt nic nie wie.

Słuchawki Wagnera eksplodują mu w uszach ogłuszającym szumem. Szyba hełmu płonie biało, oślepiając go. Czuje, jak łazik Ósemki staje w miejscu. Padła cała elektronika. Próbuje wywołać Sombkę. Nic. Odzyskuje wzrok, płatami jarzącej się

czerni i fluorescencyjnej żółci. Dzwoni mu w uszach. Próbuje wymrużyć jedną martwą płamę pośrodku pola widzenia i nie może. Padła mu soczewka.

To się nie może stać.

Usiłuje wymrużyć HUD. Nic. Żadnych odczytów ze skafandra, systemu podtrzymywania życia, zero temperatury i wskaźników fizjologicznych, nic od ekipy. Wagner próbuje rozkazać Szczęśliwej Ósemce, żeby się poruszyła, żeby meldowała o sytuacji, a kiedy to się nie udaje, żeby podniosła pałaki i wysadziła go na powierzchnię. Nic. Nie ma dostępu do żadnego sterowania, absolutnie żadnego. Zerka na resztę ekipy. Żadnych imion, znaczników, chowańców. Nic.

Musi się jakoś dać przejść na ręczne sterowanie. Każdy używany na Księżycu sprzęt ma po kilka rezerwowych systemów. Próbuje sobie przypomnieć szkolenia z łazika Taiyang XBT. Dłoń unosi się i wali w przełącznik. Pałak unosi się, siedzenie opada gwałtownie na powierzchnię. Zehra przyciska hełm do hełmu Wagnera.

- Już nie żyjemy. - Jej głos to daleki, ledwie słyszalny krzyk, stłumiony przez powietrze i warstwy izolacyjne hełmu.

- Zaraz nas dogonią! - drze się Wagner. - Co się stało?

- Impuls EM! - krzyczy Zehra. - Jedyna rzecz, która może załatwić to wszystko od razu.

Za wschodnim horyzontem podnosi się pył. Parę chwil później przyjeżdża eskadra łazików, w geometrycznych wzorach AKA. Czarnogwiazdowcy zeskakują na powierzchnię. Przez plecy mają przewieszane długie, ciemne, napięte przedmioty. Gdy Wagner rozpoznaje, co to takiego, wydają mu się tak nie na miejscu, że aż komiczne. Łuki. Coś z opowieści *madrinhi* o dawnej Ziemi i jej herosach. Łuki i strzały. Pierwszy z łazików wysuwa maszt z radarem, żeby patrzeć ponad horyzont, a kilkunastu łuczników zajmuje pozycje, chwyta łuki, daje strzały na cięciwy. Może i te łuki to zaawansowane, groźne urządzenia, pełne bloczków i przeciwwag, lecz i tak to średniowieczna

ziemska broń. Strzały są wyważone i obciążone, na końcu mają małe cylindryczne główce. Ciemnoaspektowa inteligencja Wagnera wgrzyza się w tę niespójność. Balistyka lecącej strzały jest równie dokładna, jak balistyka BALTRAN-u. Albo i lepiej - mały pocisk, mniejszy wpływ wiatru słonecznego. Łuki - banalne do wydrukowania, bo napędem są po prostu ludzkie mięśnie. AI celuje dokładnie, przy księżycowym ciężeniu łucznicy AKA są w stanie strzelać za horyzont. Inteligentny system ostrzału głowicami z impulsem elektromagnetycznym.

Sprytne.

Barwy na skafandrze dowódcy łuczników układają się w słowa.
WSIADAĆ

Skafander bieleje i układa się w nowe litery.

DO ŁAZIKÓW

Ludzie z AKA, którzy nie stali na straży, już biorą ich łaziki na hol. Wagner znów szuka ręcznego przełącznika - Zehra uprzedza go. Jadąc w górę na siedzeniu i czując opadający pałąk, wyobraża sobie jej szeroki uśmiech za szybką.

KILKA

ZOSTAŁO - mówi skafander.

Na tym polega ich słabość, myśli Wagner, gdy łucznicy AKA biegną do swoich łazików. Impulsy EM są skuteczne na dużą odległość, na krótki dystans jesteś tak samo narażony jak twój cel.

Koła ruszają. Wagner podskakuje w uprzęży, gdy hol napina się i szarpie Szczęśliwą Ósemką. Odcięty elastykiem od wszystkiego, od świata, chowańca, sfory i kochanków, od swego podopiecznego, Wagner patrzy na półksiężycową Ziemię. Pozwala, by jej słaby blask wlewał mu się przez szybkę hełmu. Niepostrzeżenie stał się żołnierzem w jakiejś podejrzanej wojnie, której nikt nie wypowiedział. I nikt go nie zwerbował.

Całus.

- To ty nie jedziesz z nami? - pyta Luna Corta.

Madrinha Elis kuca, mimo sztywności w starych łydkach, patrzy w oczy Lunie.

- *Anjinho*, w pociągu nie ma tyle miejsc.

- Ja chcę, żebyś jechała.

Berçario trzęsie się po raz kolejny. Wysoko nad nimi maszyny zasypują okna Twe, toną za toną regolitu, zakrywając je, dusząc. W trzy godziny napięcie trzy razy zanikało i wracało.

- Lucasinho się tobą zajmie.

- Tak, Luna. Ja cię tam zawiozę.

Lousika Asamoah używa wszystkich wpływów Złotego Stolca, by załatwić im dwojgu miejsca w pociągu. *Madrinha* Elis wie, że wiązało się to z przerzuceniem dwójki innych uchodźców do późniejszego pociągu, lecz tego nigdy Lunie nie powie. Ani nawet Lucasinho.

- Boję się, Elis.

- Ja też, *corãcão*.

- I co będzie? - pyta Luna.

- Nie wiem, *corãcão*. Ale w Południku będziesz bezpieczna.

- A tobie się nic nie stanie?

- Trzeba już iść - mówi Lucasinho, a Elis ma ochotę wyczałować go za to. Całuje go dwa razy. Z miłości i na szczęście.

- Idziemy. Lucasinho?

Taki jest bezradny. Oto są granice opieki - zimne królestwo zdarzeń i sił, które nie ugną się przed przywiązaniem i miłością.

- Uważaj na siebie.

Gdy zamyka drzwi *berçario*, Twé znów się trzęsie. Światła migoczą, zapalają się na pół mocy.

- Lucasinho, daj mi rękę — mówi Luna. — Proszę.

Światło gaśnie na dobre. Twé zanosi się wrzaskiem. Sto dwadzieścia pięć tysięcy głosów uwięzionych w ciemności pod

ziemią. Lucasinho przyciąga Lunę do siebie i przyciska mocno do piersi - wąskim tunelem przeciskają się spanikowani rodzice i dzieci, usiłując znaleźć stację, pociąg, zbawczy pociąg. Wrzask nie ustaje. Zderzają się z nim postacie małe i duże. Czemu oni biegają bez sensu, kiedy najrozsądniej byłoby się zatrzymać i poczekać na awaryjne oświetlenie? Przecież musi się zapalić. Oświetlenie awaryjne nie działa tylko jeśli nie działają rezerwowe generatory. Wie to od *madrinhi* Flavii. A jeśli rezerwowe generatory nie działają? Obraca Lunę twarzą do ściany, osłania własnym ciałem przed spanikowanym tłumem.

- Lucasinho, co się dzieje?

- Znowu nie ma prądu — odpowiada.

Przygarnia Lunę do siebie, potrącany i uderzany przez ludzkie ciała, starając się nie odczuwać miazdzącego, materialnego naporu ciemności.

Skoro nie ma prądu, to co z powietrzem? Czuje duszność, walczy z odruchem panicznej hiperwentylacji. W duszącym mroku zapada decyzja.

- No chodź... - Łapie Lunę za rękę i ciągnie za sobą, pod prąd strumienia ludzi w ciemnym jak noc tunelu.

Głosy nawołują zaginione dzieci, dzieci i rodzice wołają się nawzajem. Lucasinho toruje sobie drogę wśród ślepych, zdezorientowanych ciał.

- Gdzie my idziemy? - pyta Luna. Jej dłoń jest taka mała i drobna. Tak łatwo mogłaby mu się wyślizgnąć.

Chwyta ją mocniej. Luna piszczy z bólu.

- To boli!

- Przepraszam. Jedziemy do João de Deus.

- Ale *madrinha* Elis mówiła, że mamy zabrać się pociągiem do Lousiki.

-*Anjinho*, ten pociąg nie pojedzie. Żaden pociąg już nie pojedzie. Nigdzie. Musimy polecieć do João de Deus BALTRAN-em. Siostry się nami zajmą. Jinji, daj widok w podczerwieni.

Przykro mi, Lucasinho, ale sieć jest chwilowo niedostępna.

Są ślepi w ciemności mroczniejszej niż ciemne Twe.

- Jinji - szepcze Lucasinho. — Musimy się dostać do BALTRAN-u.

Mogę nawigować na podstawie ostatniej znanej pozycji, moich lokalnych map i średniej długości twojego kroku, mówi Jinji. Ze znacznym marginesem błędu.

- Pomóż mi.

Sto dwanaście kroków naprzód. I stop.

Dłoń szarpie Lucasinho, zatrzymuje go w pół kroku.

- Nie mogę znaleźć Luny.

W ciemności, w hałasie, w strachu, Lucasinho nie rozumie, co mówi ten dziecinny głos za nim. Luna nie może znaleźć Luny? O co chodzi? Potem sobie przypomina: jej chowaniec też się nazywa Luna. Babcia Adriana ciągle sznurowała usta i cmokała, że co to za pomysł — a do tego jej wnuczka wybrała sobie na skórkę dla chowańca niebieską ćmę lunę — zwierzę!

- Sieć nie działa, *anjinho*. Trzymaj się mnie. Nie puszczaj mojej ręki. Prowadzę nas do miejsca jasnego i bezpiecznego.

Sto dwanaście kroków i stop. Lucasinho rusza w mrok. *Raz krok dwa krok trzy krok cztery*. Tunel wydaje się teraz bardziej pusty — zderzeń jest mniej, głosy rzadsze - lecz za każdym razem, gdy ociera się o kogoś, staje jak wryty, w myślach przepowiadając sobie ostatnią liczbę kroków. Po piątym takim przystanku Luna dopytuje się:

- Czemu się ciągle zatrzymujemy?

Liczba kroków ulatuje jak imprezowe motyle. Lucasinho powstrzymuje się od wrzaśnięcia na kuzynkę.

- Luna! Liczę kroki i naprawdę bardzo mi zależy, żebyś mi nie przeszkadzała. - Ale liczba już uleciała. Cierpnie mu skóra ze strachu. Zagubieni w ciemności.

Osiemdziesiąt pięć, mówi Jinji.

- Luna, chcesz pomóc? - pyta Lucasinho. Po nieznacznej grze mięśni w ręce poznaje, że kiwnęła głową. - Zrobimy sobie

taką grę. Licz ze mną. Osiemdziesiąt sześć, osiemdziesiąt siedem...

Czuje, że wyszedł na skrzyżowanie tuneli. Ruch powietrza na twarzy. Dźwięki dobiegają nowymi drogami. Czuje pleśń, wodę, gnijące liście -zapachy Twe. Powietrze z głębi miasta jest zimne. Nie ma ogrzewania. Lucasinho nie chce się zbyt długo nad tym zastanawiać.

Skręć w prawo o dziewięćdziesiąt stopni, podpowiada Jinji.

- Teraz nie puszczaj — mówi Lucasinho i dłoń Luny zaciska się na jego dłoni.

Tu jest ryzyko. Jinji z łatwością może odmierzać kroki, gorzej ze skręcaniem. Pomyli kąt i mogą zejść z wyliczonej ścieżki. Lucasinho przekręca prawą stopę i przystawia ją piętą do lewej. Czuje, że są pod kątem prostym. Stawia lewą stopę równoległe do prawej. Bierze głęboki wdech.

- Dobra, Jinji, jest.

Dwieście osiemdziesiąt kroków, skręćcie w drugi korytarz.

Dwa korytarze.

- Musimy się przysunąć do ściany — mówi Lucasinho i robi kroki w bok, aż wyciągnięte palce dotykają gładkiego spieku. - Masz ją? Wyciągnij rączkę. Masz?

Cisza, potem Luna mówi:

- Kiwam głową, że tak.

-To licz ze mną. Raz, dwa, trzy...

Przy stu pięciu Luna staje jak wryta i krzyczy:

- Świąteczka!

Palce Lucasinho są tak naelektryzowane i podrażnione, że ledwie jest w stanie sunąć nimi po wypolerowanej ścianie. Są uwrażliwione jak sutki. Gapi się w bezdenną ciemność.

- Luna, ty coś widzisz?

- Nic nie widzę - odpowiada Luna. - Czuję świąteczka.

Teraz i Lucasinho wyczuwa nutę trawiastego, pleśniowego zapachu biolampek. Już rozumie.

- Są zdechłe.

— Może trzeba im tylko wody.

Lucasinho czuje, że dłoń Luny ciągnie go, wymyka mu się z uścisku. Idzie za nią przez nieodgadniony mrok.

Zrób dwanaście kroków w lewo i kontynuuj wzdłuż wyznaczonej trasy, komenderuje Jinji.

Lucasinho słyszy szelest tkaniny, czuje, że Luna ciągnie go w dół, kuca obok niej. Nie widzi nic. Ani fotonu.

— Zaraz je ożywię — mówi Luna. — Nie patrz.

Lucasinho słyszy szelest ubrania, ciurkanie, czuje zapach ciepłego moczu. Ożywione biolampki budzą się z ciepłym zielonym blaskiem. Światło ledwie wystarcza, by odróżniać kształty, jednak nasila się z każdą sekundą, gdy bakterie karmią się moczem Luny. To uliczna kapliczka Yemanji -maleńka, wydrukowana w 3D ikona otoczona pierścieniem biolamppek przyklejonych do posadzki i ściany. Teraz blask jest już wystarczający, by widzieć wspomniane przez Jinjiego dwa tunele i trupa leżącego pod ścianą pomiędzy nimi. Potknęliby się o niego, przewrócili się i zgubili w ciemności.

- Proszę. - Luna odkleja lampki całymi garściami i podaje Lucasinho. Są mokre i ciepłe. Brzydzi się, omal ich nie upuszcza. Luna zaciska usta z niezadowolaniem.

- O tak. - Przykleja mu małe okrągłe lampki do czoła, ramion i przegubów.

- Ta koszula to Malihini — protestuje Lucasinho.

- Dzisiaj moda, jutro węgla szkoda - oświadcza Luna.

- Kto cię tego nauczył?

- *Madrinha* Elis.

Trzymając się za ręce, obchodzą ciało z daleka, po czym idą we wskazany tunel. Podłoga się trzęsie od jakichś hałasów na górze, jakichś poruszających się po powierzchni ciężkich maszyn. Nieprzewidywalne wiatry Twé przywiewają urywki głosów, szczęku metalu, okrzyków, jakiegoś basowego dudnienia. Tu w lewo, w górę pochylnią, łukowatą drogą po obwodzie. Skręcają w prawo i natrafiają na tłum ludzi

kłębiących się w ciemnym pomieszczeniu.

Luna obraca się na pięcie.

- Widzą nasze światełka! - syczy.

Lucasinho odwraca się, ukrywa swój blask.

- Są pomiędzy nami i BALTRAN-em.

- Trzeba wrócić na dwudziesty piąty, schodami, i tam jest taki stary tunel do BALTRAN-u - mówi Luna. - Jesteś trochę za duży, ale chyba się przecisniesz.

- Skąd ty to wiesz?

- Znam wszystkie takie przejścia - mówi Luna.

Gdyby było jasno, Lucasinho bez namysłu przeciskałby się za Luną ponad, pod i pomiędzy sterczącymi rurami i surową skałą, ale gdy jedynym źródłem światła jest jego własne ciało, a do tego nie wie, jak daleko prowadzi ten tunel i na jakie niespodzianki w nim jeszcze natrafi, czy nagle się zwęzi, czy rozszerzy, ogarnia go panika. Lęk przed uwięzieniem w ciemności, przed tym, że lampki nagle zwiędną, zamigocą, zdechną -nie będzie nic widział, nie będzie mógł się ruszyć. Z góry cisną megatony kamienia, z dołu - odległe serce Księżyca.

Czuje, jak spiek napiera mu na zgięte plecy, ściska w ramionach, zamiera. Zaklinował się. Ani w tył, ani w przód. Znajdą go tak przyszłe pokolenia, zmumifikowanego, wyschniętego. W koszuli Malihini. Musi się uwolnić. Musi się wydostać. Tyle że, jeśli zacznie się szarpać, jeśli spanikuje, tylko zaklinuje się bardziej. Trzeba się przekręcić, przesunąć najpierw jeden bark, o tak, potem drugi, potem biodra i nogi.

- No chodź! - woła Luna.

Biolampki tańczą przed nim jak zielone gwiazdeczki. Podkula lewe ramię. Materiał zahacza o coś i rozdziera się. Gdy już będą w João de Deus, sprezentuje sobie nową koszulę. Koszulę bohatera. Jeszcze dwa ruchy i wydostaje się. Dwadzieścia - i wyłania się ze szczeliny na 2. Ulicy, której nigdy wcześniej nie zauważył. Trzymając się za ręce, biegną korytarzem do BALTRAN-u. Stacja BALTRAN-u ma oddzielne zasilanie. Twe,

żywiciel Księżyca, jest dobrze wyposażone w wyrzutnie. Wychodzą ze śluzu do przeładowni, która mogłaby pomieścić ciężarówki.

- Jinji - mówi Lucasinho.

Przed nimi wiszą rzędami i stumetrowymi kolumnami kapsuły BALTRAN-u, wznoszą się wysoko pod strop silosu.

Dostępna jest lokalna sieć, mówi Jinji.

- Do stacji BALTRAN-u João de Deus - odzywa się Lucasinho.

Jinji sprowadza na dół kapsułę pasażerską i blokuje ją w komorze.

Kapsuła dopiero teraz pyta o stację docelową.

Już wprowadziłem trasę, mówi Jinji. BALTRAN jest bardzo obciążony, więc nie jest bezpośrednia.

- To ile skoków?

Osiem, odpowiada Jinji. Muszę was wysłać naokoło, przez drugą stronę Księżyca.

- Co się stało? - pyta Luna, gdy kapsuła BALTRAN-u otwiera się przed nimi. Patrzy z lękiem na jej tapicerowane wnętrze, pasy i uprząże, maski tlenowe.

- Potrzeba będzie ośmiu skoków, żeby dotrzeć do João de Deus - wyjaśnia Lucasinho. - Ale się uda. Po prostu dłużej to potrwa. Szybko. Musimy lecieć. Wsiadaj.

Luna nie rusza się. Lucasinho wyciąga rękę. Luna ujmuje ją. Wchodzi do kapsuły.

- Dalej masz na sobie te lampki - odzywa się Luna.

Lucasinho zaczyna je odklejać. Zostawiają tłuste, lepkie kręgi na koszuli od Malihini. Zostawia małe, jarzące się krążki na podłodze kapsuły. Były dobre i niezawodne, a on jest zabobonnie lojalny wobec przedmiotów. Jinji pokazuje mu, jak przypiąć Lunę. Zatrzaskuje własne pasy i czuje, jak pianka pamięciowa mięknie, uczy się i dopasowuje do jego ciała.

- Można lecieć, Jinji.

Sekwencja przedstartowa, mówi chowaniec. Po starcie będę w

trybie offline do momentu przybycia do João de Deus.

Drzwi zamykają się. Lucasinho czuje, jak dociskają się uszczelki. Zaczyna buczeć klimatyzacja. Kapsuła jest oświetlona łagodnym złotym blaskiem, uspokajającym, ciepłym, spokojnym. Lucasinho kojarzy się z rzygami.

- Weź mnie za rękę - mówi, wydobywając palce spod uprzęży.

Luna z łatwością uwalnia dłoń i ściska go. Kapsuła trzęsie się i opada.

- Wow!

Kapsuła w tunelu wyrzutni, mówi Jinji.

- Ty też to słyszysz? - Lucasinho przekrzykuje wypełniające teraz kapsułę buczenie i grzechotanie.

Luna kiwa głową.

- Fajnie!

Wcale nie fajnie. Kiedy kapsuła sunie na poduszce magnetycznej do wyrzutni, Lucasinho zamyka oczy i walczy ze strachem. Szarpnięcie, gdy trafia do komory wyrzutni.

Przygotować się na duże przeciążenie, ostrzega AI kapsuły.

- Jak na karuzeli! - woła bez przekonania Lucasinho, po czym wyrzutnia chwytą kapsułę i przyśpiesza ją: każda kropla krwi, żółci, spermy spływa mu w stopy.

Bolą oczy wciśnięte w oczodoły, a jaja ma jak ołowiane kule. Czuje, że wszystkie kości chcą mu przebić skórę. Uprząż to siatka z tytanowych drutów szatkujących go na drżące ochłapy, a nawet nie jest w stanie krzyknąć.

Przeciążenie ustaje.

Nie ma ciężaru, nie ma kierunku, nie ma góry ani dołu. Żołądek podchodzi mu do gardła. Gdyby miał w nim coś poza wypitą rano herbatą, fruwałoby teraz konstelacją żółci w powietrzu. Ma wrażenie, że twarz mu puchnie, że dłonie ma niezdarne i obrzęknięte, grube, parówkowate palce zaciśnięte na ręce Luny. Słyszy szum krwi w mózgu. Niektórzy kumple Abeny latali BALTRAN-em na seks w nieważkości. Nie

wyobraża sobie uprawiania seksu w czymś takim. Nie widzi w tym nic fajnego. A trzeba to będzie przeżyć jeszcze siedem razy.

- Luna, nic ci nie jest?
- Chyba nic. A tobie?

Luna wygląda tak, jak zawsze: mała, radząca sobie, choć pełna nienasyconej ciekawości wobec każdego świata, w którym się znalazła, kosmologicznej i osobistej zarazem. Lucasinho zastanawia się, czy ona wie, że siedzi w wyścianej, hermetycznej puszcze, która leci wysoko nad Księżycem, wycelowana w odległą rękawicę łapacza — stacji odbiorczej, nie mogąc zmienić kursu, stuprocentowo zależna od dokładności maszyn i obliczeń balistycznych.

Uwaga, hamowanie, mówi kapsuła.

Tak szybko? Ledwie byłby czas zacząć grę wstępną, a co dopiero dojść do tego niesamowitego orgazmu w nieważkości, o którym chłopaki opowiadają z takim zapałem i z takimi szczegółami.

- Lądujemy - mówi Lucasinho.

Coś bez ostrzeżenia łapie go za głowę i nogi i próbuje sprasować o dziesięć centymetrów. Hamowanie jest ostrzejsze, ale krótsze niż przyśpieszanie - przed oczyma tańczą mu czerwone plamy, potem zawisa do góry nogami w uprzęży i dyszy. Sapanie zamienia się w chrapliwy rechot, w śmiech. Nie może opanować tego śmiechu. Spazmatyczny, obezwładniający śmiech, od którego bolą wszystkie napięte mięśnie i naciągnięte ścięgna. Zaraz wyśmieje sobie płuca. Luna zaraża się tym śmiechem. Wisząc do góry nogami, zaśmiewają się, rechoczą, podczas gdy wyrzutnia BALTRAN-u wciąga ich i ustawia w dobrej pozycji, do następnego skoku. Przeżyli. Wylądowali.

- Gotowa na powtórkę? - pyta.

Luna kiwa głową.

Drzwi kapsuły otwierają się. Drzwi kapsuły nie powinny się otwierać. Lucasinho i Luna powinni siedzieć zahermetyzowani przez cały ciąg skoków.

Proszę opuścić kapsułę, mówi Jinji.

Do środka wpada zimne, gęste od pyłu powietrze.

Proszę opuścić kapsułę, powtarza Jinji. Lucasinho rozpina uprząż i wychodzi na metalową siatkę. Przez podeszwy mokasynów czuje, jaka jest zimna. Ma wrażenie, że to miejsce ożywiono parę chwil temu. Wyją wiatraki klimatyzacji, ale światła są przygaszone.

- Gdzie my jesteśmy? - pyta Luna o ułamek sekundy przed nim.

Stacja przekaźnikowa Lubbock, szepcą im chowańce. Jinji pokazuje Lucasinho pozycję na mapie. Są na zachodnim skraju Morza Żyzności, czterysta kilometrów od João de Deus.

- Jinji, wyznacz trasę do João de Deus - rozkazuje Lucasinho.

Przykro mi, Lucasinho, ale nie mogę tego wykonać, odpowiada chowaniec.

- Dlaczego?

- Nie można wystrzeliwać kapsuł z uwagi na ograniczoną dostępność energii. Nie działa elektrownia w Gutenbergu.

Szarpnięcie przyspieszenia, przeskok w nieważkość i z nieważkości do elektromagnetycznego hamowania to nic wobec mdlącej pustki, która pojawia mu się w brzuchu.

Ugrzęźli na totalnym pustkowiu.

- A kiedy wróci prąd?

Nie potrafię odpowiedzieć. Brak dostępu do sieci. Działam na lokalnej architekturze.

- Coś nie tak? - pyta Luna.

- System się aktualizuje - kłamie Lucasinho, sparaliżowany strachem, nie wiedząc, co począć. Luna i tak się boi, każda odpowiedź od Jinjiego przerazi ją jeszcze bardziej. - Zdaje się, że na trochę tu zostaniemy, może się rozejrzysz za czymś do

jedzenia albo picia?

Luna rozgląda się. Obejmuje się ramionami z zimna. Lubbock to nie Tve, gdzie było kilka wyrzutni i rampy załadownicze. To bezobsługowa stacja przekaźnikowa na odludziu. Jest w stanie przenocować ekipę techniczną dwa razy na księżycowy rok, przez dzień czy dwa. Lucasinho widzi z platformy większość stacji.

- Strasznie tu jest - oznajmia Luna.
- Spokojnie, *anjinho*, nikogo więcej tu nie ma.
- Ludzi się nie boję - odpowiada ona i jednak biegnie zbadać swój nowy, mały świat.
- Ile mamy czasu? - pyta szeptem Lucasinho.

Stacja działa na zasilaniu rezerwowym. Jeśli główne zasilanie nie zostanie przywrócone w ciągu trzech dni, warunki środowiskowe znacznie się pogorszą.

- Znacznie?

Chodzi głównie o ogrzewanie i atmosferę.

- Dzwonź po pomoc.

Wysyłałem wezwanie na kanale awaryjnym, odkąd tu przybyliśmy. Jak dotąd nie otrzymałem potwierdzenia. Wydaje się, że na całej jasnej stronie nie działa łączność.

- Jak to możliwe?

Ktoś nas atakuje.

Luna wraca z puszką wody.

- Jedzenia nie ma - mówi. - Przykro mi. Możesz zrobić trochę cieplej? Strasznie mi zimno.

- Nie wiem jak, *anjinho*.

Kłamie. Jinji może to zrobić w okamgnieniu. Lucasinho w końcu pogodził się z faktem, że nigdy nie będzie intelektualistą, ale tyle policzyć potrafi nawet on - jeden stopień wyżej to godzina mniej oddychania. Zdejmuje koszulę Malihini i wkłada Lunie ręce w rękawy. Wisi na niej jak peleryna, jak strój na bal przebierańców.

- Coś jeszcze znalazłaś?

- Skafander. Taki gruby, jak te stare w Boa Vista.

Radość Lucasinho jest jak chemiczny haj. Skafander. To proste. Po prostu sobie stąd pójda.

- Pokaż.

Luna prowadzi go do służby wyjściowej. Jest mała, na jedną osobę. W służbie wisi twardy, awaryjny skafander skorupowy, o regulowanej wielkości, jaskrawopomarańczowy. Jak ten, w którym przeszedł z Boa Vista do João de Deus. To proste. Krótki spacer po powierzchni. Jeden skafander. Luna tak zresztą powiedziała: skafander, nie skafandry. Nie słuchał. Powinien słuchać. Powinien mieć wyczulone wszystkie nerwy i zmysły, nie polegać na założeniach i na chciejstwie. Domysły mogą tu ich zabić.

A pewne jest tyle: powietrze skończy się za trzy dni i mamy jeden skafander.

- Luna, być może będziemy się musieli tu przespać. Mogłabyś poszukać czegoś do przykrycia?

Kiwa głową. Lucasinho nie wie, jak wiarygodne są te próby odwracania jej uwagi, ale woli, by nie słyszała, jak zadaje Jinjiemu trudne pytania.

- Jinji, najbliższe osiedle?

Messier, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód.

- Cholera. - Daleko poza zasięgiem twardego skafandra. Wizja pieszej wyprawy pada martwa. - Czy są tu jakieś inne urzędnicy ze zdolnością próżniową? - Podstuchał ten zwrot kiedyś u Carlinhosa. „Zdolność próżniowa”. Pobrzmiwa siłą i panowaniem nad sytuacją. Brzmi jak Mão de Ferro.

Jedynym takim urządzeniem jest awaryjny skafander, odpowiada Jinji.

- Kurwa mać! - Lucasinho wali pięścią w ścianę.

Eksplozja bólu jest taka, że omal nie traci przytomności. Ssie pokrwawione kostki.

- Dobrze się czujesz? - Luna wróciła z foliowym kocem termicznym. -Niestety nic innego nie znalazłam.

- Luna, jesteśmy w tarapatach.
- Wiem. On się wcale nie aktualizuje.
- Nie. Nie ma prądu. I nie wiadomo, kiedy wróci.

Luna łapie szybko i nie zadaje pytań. Bo Lucasinho nie ma odpowiedzi. Mają powietrza na trzy dni, jeden skafander, a najbliższe schronienie jest sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Tyle łązik przejechałby w godzinę.

Na zewnątrz pod stacją może stać łązik, a on by go nigdy nie zobaczył.

- Jinji, masz dostęp do logów?

To bardzo proste.

- Daj mi wszystkie ruchy łązików z ostatnich... - Wymyśla jakąś rozsądną liczbę. - Trzech lun.

Jinji rzuca mu na soczewkę nakładkę z wizytami serwisowymi, poszukiwaczami surowców, ekipami szklarzy. Lucasinho może nie za dobrze czyta i liczy, ale w jednym jest nadzwyczajny: w interpretowaniu informacji wizualnej. Abenę, odczytaną i uzdolnioną matematycznie, zawsze zadziwiała jego umiejętność wychwycenia jednej osoby, rzeczy, jednego wątku narracji z tłumy ludzi czy powodzi ruchomych danych.

Jest anomalia, odchyłka od pętających się i orbitujących tras łązików.

- Powiększ mi ten.

Jinji izoluje jedną ścieżkę, małego łązika nadjeżdżającego od strony pustkowi i skręcającego na północ w stronę nieprzebytych kraterów Tauruntiusa.

- Pokaż go.

Teraz wideo: łązik przejeżdża skrajem zasięgu zewnętrznej kamery. Od strony Gutenberga, jedzie w kierunku pustkowi. Donikąd. W tamtą stronę przez tysiąc kilometrów nie ma żadnego osiedla. Lucasinho ocenia jego prędkość na jakieś trzydzieści, czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Specyfikacja?

Jinji wykonuje polecenie. Zmysł wizualny Lucasinho znów

wybiera jedyną potrzebną informację z powodzi danych technicznych. Zasięg przy optymalnej prędkości: trzysta kilometrów plus możliwość podładowania z baterii słonecznej po drodze. Na podstawie nagrania szacuje, że jechał tylko trochę poniżej prędkości maksymalnej.

Najbliższe osiedle, z którego mógł wyjechać, wnioskując z kursu, to Gutenberg. Lucasinho próbuje obliczyć zasięg. Liczby szcękają jak metal.

- Jinji, policz.

Jeszcze nie dopowiedział ostatniej sylaby polecenia, gdy chowaniec wyświetla mu na soczewce wyniki. Łuk wykreślający potencjalne położenia łożnika wyliczone na podstawie jego zasięgu, kierunku i szybkości. Minimalna odległość to dziesięć kilometrów. Maksymalna — dwadzieścia pięć.

- Powiększ, proszę.

Malutki łożnik ma logo Bryce'a Mackenziego - złączone litery MH. Postać w elastyku siedzi na nim okrakiem. Słońce stoi wysoko, kod czasowy mówi: dziesięć dni.

Łażnik. Elastyk. Lucasinho ma jedno ostatnie pytanie do stacji przekaźnikowej Lubbock. Ostatnia szansa, żeby cały plan rozlaźł mu się w palcach.

- Jinji, a ile mam czasu?

Tym razem to nie są wykresy ani sprytne infografiki. Tym razem są liczby, zimne, nieustępliwe i bezosobowe. Nie ma czasu na nadzieje, czekanie, rozważanie możliwości, podejmowanie decyzji. Jeśli mają wyjść żywi ze stacji Lubbock, musi iść teraz. Każda sekunda wahania to waty energii, wdechy i łyki wody. Czekaj z nadzieją albo działaj z nadzieją.

Decyzja jest jedna. Liczby tak mówią.

- Jinji?

Tak, Lucasinho?

- Odpalaj ten skafander.

Okienko w wewnętrznych drzwiach służy idealnie kadruje Lunę. Macha. Lucasinho unosi tytanową łapę. Jest potworem porzucającym dziecko. I złodziejem. Napęłnił skafander powietrzem Luny, jej wodą i energią. A co, jeśli mu się nie uda? Co, jeśli nie wróci? Wyobraża sobie, jak Luna marnieje na stalowej siatce, jak marznie, usycha z pragnienia, cały czas z nadzieją, że wróci, że włączą prąd.

Nie wolno mu tak myśleć. Wolno myśleć tylko o tym, co należy zrobić, myśleć jasno i precyzyjnie.

- Dobra, Jinji, gotowy do wyjścia.

Dotyka ikony Pani Luny przy zewnętrznych drzwiach służy. Szczęście i opór. Raz już ją pokonał, ubrany tylko we własną skórę, lecz każdy wie, że dona Luna nigdy nie wybacza obrazy. Szum dehermetyzacji cichnie. Śluza otwiera się. Lucasinho wychodzi na regolit. Jinji prowadzi go do śladów łazika Mackenziech. Stąd łatwo już pójść tropem na północ. Nie wie, jak daleko, ile to potrwa, ale wie, dokąd idzie. Pamięć mięśniowa nigdy nie zapomina, szybko wczuwa się w rytm chodzenia w skorupowym skafandrze. Łatwo się w nim poruszać zbyt zamasyście, czujniki dotykowe są bardzo wrażliwe, nawet w tym starym i tandetnym modelu VTO. Trzeba mu pozwolić, niech sam idzie.

Niebawem wszystkie inne ślady rozjeżdżają się i pozostają tylko dwie kreski tropów łazika Mackenziech. Słońce stoi wysoko, powierzchnia jest jasna, Ziemia to blady rąbek błękitu. Lucasinho śpiewa sam do siebie, żeby nie pograć się w myślach. Skafander ma gry, muzykę, całe sezony starych telenowel, lecz systemy rozrywkowe zużywają energię. Piosenki dopasowują się do rytmu kroków, mamrotane w myślach w kółko zmieniają się w halucynacje. Łapie się na tym, że wyśpiewuje własne, wymyślone słowa.

Lucasinho, pora zadzwonić, mówi Jinji.

- *Ola Luna!*

Połączenie, dla oszczędności energii, jest tylko dźwiękowe.

- *Ola* Luca!

Głos Luni, oddzielony od jej ciała, obecności, wizerunku, brzmi mu bardzo dziwnie. Jakby nie słuchał ludzkiej istoty, lecz czegoś wyższego, rzadszego, mądrzejszego i bardziej szalonego. *Anjinho*, mówi do niej, jak to się w rodzinie pieszczotliwie mówiło. Aniołku. I tak właśnie mu ona brzmi.

- Jak się czujesz? Piłaś wodę? - *Lucasinho* zostawił ją z poleceniem, że ma co dwadzieścia minut wypić łyk wody.

To miało odwrócić jej uwagę od tego, że od śniadania w mieszkaniu nic nie jadła.

- Piłam wodę. Kiedy wracasz? Nudzi mi się.

- Jak tylko będę mógł, *anjinho*. Wiem, że się nudzisz, ale niczego nie dotykaj.

- Nie jestem głupia - oburza się Luna.

- Pewnie, że nie jesteś. Zadzwoń znowu za godzinę.

Lucasinho człapie przez pustkowia *Taruntiusa*. Uczepiła się go prosta marszowa melodyjka, która doprowadza go do szału. Mógłby zapytać *Jinjiego*, jaką odległość pokonał i ile jeszcze będzie musiał iść - lecz odpowiedź mogłaby go rozczarować. Ślady prowadzą coraz dalej i dalej. *Lucasinho* idzie coraz dalej i dalej w czerwono-złotym skorupowym skafandrze.

Coś jest. Jedyna zaleta tego nudnego spaceru: uwrażliwił się na krajobraz *Taruntiusa* i wszelkie zmiany w jego monotonii.

- *Jinji*, powiększ.

Szybka hełmu wyświetla mu wystające zza ciasnego horyzontu anteny i maszty łazika. Po kilkunastu minutach łazik się wyłania i zaraz *Lucasinho* jest przy nim. Na fotelu wciąż siedzi prosto postać w elastyku, którą widział w monitoringu stacji. Przez chwilę boi się, że skoczy na niego i walnie go w szybkę kamieniem. Niemożliwe. Nikt nie przeżyje tyle czasu w elastyku. A zwłaszcza, widzi, obchodząc łazik, nie z dwudziestocentymetrową dziurą od prawego sutka po biodro. To jest problem. Kolejny problem. Nim zajmie się później.

- Gdzie jest złącze? — pyta.

Jinji podświetla gniazdo, Lucasinho rozwija swój kabel sieciowy i podłącza się. Tak jak myślał: łożik jest równie martwy, jak jego pasażer. Zaciska zęby, podpinając przewód zasilający skafandra do łożika, ma wrażenie, że opuszcza go nadnaturalna magiczna siła lecząca. Musi jednak zbudzić AI łożika, nawet jeśli tej energii nie wystarczy na powrót do stacji przekaźnikowej. Na soczewkę wysypują się dane, nurkuje w nie głęboko po parę kluczowych parametrów. Hamulce i kierownica - odblokowane. Hak wysunięty. Lucasinho rozwija linkę holowniczą, zarzuca ją sobie na ramię, przypina do własnej uprzęży.

- Luna? Już idę z powrotem.

Napiera na uprzęż. Łozik przez chwilę stawia opór, potem czujniki dotykowe dają silnikom krótki impuls, żeby przewyciężyć bezwładność. Lucasinho ciągnie łożik z powrotem po własnych śladach.

Na Księżycu ślady są wieczne. Cała jego powierzchnia to palimpsest ludzkich podróży.

Droga powrotna zawsze trwa o wiele krócej.

Lucasinho zatrzymuje łożik. Jinji pokazuje mu gniazdo ładowania na ścianie stacji. Naładowanie baterii łożika zużyje prawie całe zapasy energii stacji, lecz był na to gotowy już wtedy, gdy wychodził przez służę na powierzchnię. Złącze łapie, łożik budzi się dziesiątkami małych kontrolerek i lampek.

Teraz skafander. Tak właśnie trzeba o nim myśleć - ratujące życie urządzenie, które wymaga trochę pracy, by dało się wykorzystać. Nie myśl o martwym człowieku w środku. Mocuje się, nie wie, jak najlepiej odczepić trupa od siodełka. Jest zamarznęty na twardo. Zdejmuje z martwej kobiety plecak skafandra i otwiera zewnętrzne drzwi służy.

- Coś ci pošlę przez służę - mówi do Luny.

- Umiem obsługiwać służę - mówi Luna. - I piłam wodę.

Lucasinho delikatnie przewraca trupa na plecy i unosi - nogi

cały czas zgięte w kolanach, jedna dłoń na boku, druga na pulpicie sterowania. Niesie ją do śluzy. Muszą się przepompować razem — nie poprosi przecież Luny, żeby wyciągnęła ze śluzy zamrożonego trupa. Będzie za zimny, dostanie odmrożeń, będzie za ciężki. W końcu to martwy człowiek. Lucasinho wchodzi tyłem do śluzy, aż plecami skafandra dotyka wewnętrznych drzwi. Wciąga do środka ciało, sycząc przez zęby z frustracji, usiłuje ułożyć je na sobie, wpasować jego głowę i tułów pomiędzy własne kończyny. W końcu kładzie się na plecach, trupa ma na sobie, jego kolana na ramionach, hełm pomiędzy własnymi kolanami, głowę przy płytach lędźwiowych skafandra. Sześć na dziewięć z zamarznętym trupem. Lucasinho wydaje mroczny, pełen lęku rechot. Nikt nigdy nie usłyszy tego osobistego żartu.

- Luna, wchodzę. Odejdź spod śluzy. Zrób, co mówię.

Jinji wypełnia śluzę. Lucasinho słucha narastającego wycia powietrza i jest to najprzyjemniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszał. Gramoli się tyłem ze śluzy, obejmując rękoma trupa. Ciągnie go do pustej kapsuły BALTRAN-u i zamyka w niej. Nie chce wiedzieć, co w niej zastanie, kiedy ciało się rozmrozi, ale jest chociaż schowane przed Luną, a kapsuł jest więcej, jeśli - o ile - wróci prąd.

Wydostaje się ze skafandra. Stracił całą siłę. W życiu nie był tak zmęczony - umysł, mięśnie, kości, serce. Ale to jeszcze nie koniec. To nie jest nawet początek. Trzeba jeszcze zrobić tyle rzeczy, tylko on może je zrobić, a tymczasem on ma ochotę po prostu położyć się pod ścianą, odwrócić do tych wszystkich zadań plecami i wyblagać u nich odrobinę snu.

- Luna, dasz mi trochę wody?

Luna jakimś sposobem pojawia się tuż przy nim, daje mu butelkę, a on wysiłkiem woli powstrzymuje się od wypicia wszystkiego, żeby wypłukać z ust posmak skafandra. Skafandrowa woda zawsze pamięta, że niedawno była szczykami.

- Mogę się do ciebie przytulić?

Kiwa głową i kładzie się przy nim. Jest ubrana w resztę jego ciuchów, wiszą na niej jak na biednej sierocie z lat 80. Lucasinho obejmuje ją i próbuje znaleźć wygodniejszą pozycję na stalowej kracie. Boi się, że będzie zbyt zmęczony, by zasnąć. Dygoce. Chłód wdarł się głęboko. Masz tyle do zrobienia, obłędnie dużo, jest tysiąc rzeczy, od których możesz zginąć, ale początek już jest.

- Jinji, nie daj mi zaspać - szepcze. - Obudź mnie, jak ona się rozmrozi.

- Co? - mamrocze Luna. Jest jak okruch ciepła, zwinięty i wtulony w jego brzuch.

- Nic - odpowiada Lucasinho. - Nic, nic.

Budzi się, próbuje się ruszyć. Ból dźga go w żebra, w plecy, w bark i w szyję. Na policzku ma odcisniętą metalową kratkę. Głowa - otępiła i ciężka. Ramię, na którym spała Luna - zdrętwiałe. Uwalnia je, nie budząc jej. Luna śpi jak kamień. Lucasinho musi się wysikać. Po drodze do toalety przychodzi mu do głowy mądrzejszy pomysł.

- Co ty robisz? - Luna nie śpi: patrzy, jak opróżnia nędzną zawartość pęcherza do skafandra skorupowego.

- Skafander zrecykluje siki. Woda się przyda. - Siki są ciemne i mętne. Siki nie powinny tak wyglądać.

- Aha. No dobrze - mówi.

- Jest coś do jedzenia? - pyta Lucasinho.

- Parę batonów.

- Zjedz wszystkie - rozkazuje.

- A ty?

- Ja nie jestem głodny - kłamie, choć w brzuchu ma otchłań. Nigdy dotąd nie zaznał głodu. Czyli tak się czują biedni. Głodni, spragnieni, ze spłyconym oddechem. Spłyconie jeszcze przyjdzie. - Potrzebny jest tylko drugi skafander i zaraz stąd

jedziemy.

- Od tego trupa kobiety, tam w kapsule?
- Tak. Zaglądałaś?
- Zaglądałam.

Kolejna część planu przeraża go. Ostre odłamki paniki wybijały go co chwila z niespokojnego snu. Po chwili zasypiał z powrotem — i znów myślał o tym, co będzie musiał zrobić, żeby zdobyć skafander. Zrób to szybko, sprawnie, tak, żebyś nie miał czasu myśleć. Otwiera drzwi kapsuły BALTRAN-u, chwytając ciało kobiety za ramię i ciągnie na środek. Jest sztywna, ciężko się ją wlecze. Lucasinho czuje przez skafander, że jeszcze nie do końca rozmarzła. Odwraca ją twarzą w dół, zaczyna od odpięcia hełmu. Bucha smród, od którego o mało co nie wymiotuje. W elastyku każdy śmierdzi, ale czegoś takiego jeszcze nie przeżył. Powstrzymuje skurcz za skurczem. Z podchodzącym do gardła żołądkiem odkłada na bok hełm i rozpina paski. Trzęsącymi się rękoma rozpina uszczelkę. Kolejna fala smrodu — dociera do niego, że to zapach śmierci. Lucasinho widział śmierć, lecz nigdy nie czuł jej zapachu. Umarłych zabierają Zabbalini, na swoich wózkach z miękkimi oponami, nie ma żadnego bałaganu, smrodu ani brudu.

Odklejając skafander od ciała, wstrzymuje oddech. Jej skóra jest taka biała. Już chce jej dotknąć, choć powstrzymuje się, czując bijący ze środka chłód. Teraz trudniej. Trzeba wywlec ramię z rękawa. Z drugim pójdzie już łatwiej. Rękawice zasysają się na palcach, a łokieć stawia opór. Klnąc, siada na podłodze, odwraca ją twarzą od siebie i zapierając się jedną nogą o bark, ściąga uparty rękaw z trupa. Potem szybko zrywa drugi. Teraz trzeba odwrócić ciało, żeby zsunąć skafander z tułowia i nóg.

Staje nad martwą kobietą i szarpie za materiał. Ciało podskakuje. Ściąga skafander z piersi i brzucha, rozsmazując po wklęsłym brzuchu krew z potwornej rany ciętej na boku. Teraz trzeba go ściągnąć do końca. Na lewym pośladku kobieta ma wytatuowany kwiatek. Lucasinho zwija się w rozszlochany,

wyjący kłębek. Tatuaż go załamał.

- Przepraszam cię. Strasznie cię przepraszam - szepcze.

Łapie ją oburącz za stopę. Wyciąga lewą nogę, potem prawą. Elastyk zostaje mu w dłoniach, jak zdarta skóra. Pokrwawiona kobieta leży na wznak i gapi się w światła.

Teraz trzeba to włożyć. Zrzuca z siebie ocieplacz do skorupowego skafandra. Do recyklera. Nogi w nogawki, szybko, gładko, jeden ruch ciałem i elastyk sięga mu do piersi. Nie zastanawiaj się, co to za wilgoć. Jedno ramię, oba. Łapie za linkę ściąającą uszczelkę. Zaciska paski. Skafander jest dla niego za mały. Ten ucisk na ramiona, na palce rąk i nóg szybko zmieni się w ból. A hydraulika jest damska. To też przetrzyma. Zanim chwyci w dłonie hełm, drukarka wypluwa nowy ocieplacz, świeży, różowy, w rozmiarze Luny. Poszła na niego masa skąpych zasobów, lecz Luna potrzebuje ocieplacza, żeby móc sterować skorupowym skafandrem.

- *Anjinho*, musisz mi teraz pomóc.

Luna bierze ze śluzы rolkę taśmy uszczelniającej, zakleja rozcięcie w elastyku i obchodzi *Lucasinho* dookoła, oklejając go trzema warstwami.

- Nie zużywaj za dużo, może się jeszcze przydać - drwi *Lucasinho*. -Dobra, teraz wkładaj ocieplacz, ja naładuję oba skafandry.

- A co zrobić z ubraniem?

Już ma jej powiedzieć, żeby je zostawiła, lecz dociera do niego, że wyrzuciliby cenny materiał, substancje organiczne, które w *Montes Pyrea-naeus* mogą zdecydować o ich życiu czy śmierci.

- Wrzuć do recyklera i przedrukuj na taśmę uszczelniającą.

- Dobra.

Nad drugim zapasem cennych substancji organicznych, leżącym twarzą do góry pod służą dla kapsuł, nie zastanawia się dłużej niż sekundę.

Wraca Luna, w różowym ocieplaczu, z małą rolką taśmy uszczelniającej. Zagląda do otwartego twardego skafandra i

krzywi nos.

- Śmierdzi sikami. - Wchodzi do środka, skafander rozpoznaje, że jest mniejsza, i dopasowuje do niej wewnętrzny szkielet dotykowy. - Oj! -krzyczy, gdy skorupa skafandra ją obciska.

- Nic ci nie jest? - pyta Lucasinho.

Luna nigdy nie wkładała takiego skafandra. Teraz ze szczękiem rusza po metalu.

- Robię dwa kroki i wtedy on się orientuje.

- To naprawdę bardzo łatwe, skafander odwala całą robotę - odpowiada Lucasinho.

Bateria, woda i powietrze w pełni naładowane, obwieszczają chowańce. Odtąd policzony i zaplanowany jest każdy oddech, każdy łyk i każdy krok.

- Ja pierwszy się przepompuję - mówi Lucasinho. - Zaczekam po drugiej stronie.

Czeka na opróżnienie śluzy, wydaje mu się, że przez wieczność całą musi zaufać taśmie uszczelniającej pokrywającej cięcie w kradzionym skafandrze. Patrzy na nią podejrzliwie, wyobrażając sobie, że się rozchodzi, że powietrze nagle zaczyna uciekać ze skafandra. Przecież się nie rozejdzie.

Ona do tego służy. Mimo to nie dowierza jej, a palce rąk i nóg już mu drętwieją w zbyt ciasnym skafandrze. Błyskają kontrolki, śluz się otwiera, wychodzi Luna.

Lucasinho wyciąga z plecaka kabel do przesyłu danych i wtyka go w podświetlone gniazdko na jej pancerzu.

- Słyszysz mnie?

Cisza, potem śmieшек.

- Przepraszam. Kiwam głową.

- Jeśli zepniemy się razem, będziemy zużywać mniej prądu.

Z kolejnego pomysłu Lucasinho jest bardzo dumny. Przemyślał to sobie, prowadząc łązik z powrotem do Lubbock. Jeden łązik i jedno siedzenie. Sadowi Lunę w skorupowym skafandrze na fotelu, potem siada jej na kolanach. Siedzi

niepewnie, bo powłoka skafandra jest śliska. Jeśli spadnie przy dużej szybkości, zginie. Tego problemu nie przewidział, lecz rozwiązanie od razu przychodzi mu do głowy. Odrywa kawał taśmy uszczelniającej i mocuje się do Luny - w łydkach, na udach, na tułowiu. Słyszy przez łącze jej chichot.

- Wszystko w porządku, *anjinho*?
- Pewnie, *Lucasinho*.
- No to jedziemy.

Jinji już wpiął się do AI łazika. Jedna myśl i sklejeni taśmą Luna i *Lucasinho* wyjeżdżają spod zadartych ku niebu rogów stacji przekaźnikowej Lubbock na kamienny regolit Morza Żyzności.

Duncan Mackenzie ostatni raz wychodził na powierzchnię dziesięć lat temu, ale i tak nie chce skafandra skorupowego. *Jackaroo* jest się do końca życia. Elastyk jest nowy, wydrukowany na miarę dla człowieka w średnim wieku o problematycznej sylwetce, za to rytuały uszczelniania, zaciskania pasków mocujących, są automatyczne jak pacierz. A sekwencja testów przed wyjściem - jak krótka modlitwa.

Wychodzi pochylnią na powierzchnię. Wielki zikkurat Hadleya za jego plecami, ciemny i groźny, wywiera prawie namacalną presję. Przy pierwszych krokach wzbija kurz jak amator, jednak, dochodząc na strzelnicę, już sunie jak dawniej, luniarskimi susami. Brakowało mu tego. Wita go pięciu typów w garniturach. Pokaz strzelecki urządzono na jednej z dróg technicznych między rzędami luster.

- No to pokażcie.

Kobieta-jackaroo w skorupowym skafandrze malowanym w kosmicznego orka zdejmuje z ramienia długi przedmiot. Składa się do strzału, celuje. Duncan Mackenzie powiększa obraz, by zobaczyć, co stoi w oddali.

- Jeśli rozwali mi któreś z luster... - żartuje.

- Nie rozwali - odpowiada Jurij Mackenzie.

Dziewczyna strzela. Cel wybucha. Karabin wyrzuca łuskę-radiator. Strzelająca odwraca się do Duncana i czeka na rozkazy.

- W zasadzie to jest taki sam karabin gaussowski, jakiego używaliśmy w wojnie na Morzu Wężowym, ale udało się znacznie zwiększyć przyspieszenie. Można celować optycznie albo ze wspomaganiami AI i strzelać za horyzont.

- Trochę mi się nie podoba, że trzeba mieć skafander skorupowy - mówi Duncan.

- Z tym zwiększonym przyspieszeniem odrzut jest naprawdę konkretny - wyjaśnia Yuri. - Skorupa jest bardziej stabilna. No i trochę bardziej chroni, jakby miało się stać najgorsze.

- Zamiast dziesięciu sekund przeżyjesz dwadzieścia - wtrąca Vassos Palaeologos.

Duncan rzuca się na niego:

- Żaden Mackenzie nie ucieka od walki.

- Szefie, on ma rację - zauważa Yuri. - To nie jest nasza wojna. Asamoah nigdy nie byli naszymi sojusznikami.

- Ale myśleliśmy, że Woroncowowie tak.

- Z całym szacunkiem - naciska Yuri - ale my jesteśmy narażeni jak nikt inny. VTO niszczy elektrownie na całej wschodniej ćwierćkuli. Hadley też nie wytrzymałoby bezpośredniego ataku z orbity. Nawet atak na baterię luster praktycznie by nas wyeliminował. Mogę ci pokazać symulacje.

- Wydrukujcie pięćdziesiąt sztuk - rozkazuje Duncan Mackenzie na wspólnym kanale. - Zakontraktujcie każdego zieluniaka, który był w armii. I skafandry skorupowe też załatwcie. Ale bez tego gówna. — Wskazuje palcem w rękawicy kły, płomienie i czaszki na skafandrze strzelającej. - Ma wyglądać tak, żeby każdy wiedział, kim jesteśmy i o co nam chodzi.

Odwraca się i rusza przejściem między płomiennymi lustrami do ciemnej szczeliny śluzy. Nad nim siłą dziesięciu tysięcy

słońc płonie iglica Hadleya.

- Ciasto - mówi Lucasinho Corta — to idealny prezent dla kogoś, kto ma wszystko.

Coelhinho jest godzinę od Lubbock i dociera do łagodnej pochyłości północno-zachodniej ściany Messiera E. To Luna tak nazwała łazik. Upierała się, że łaziki muszą mieć imiona. Lucasinho dla zabicia czasu spierał się, że imiona są głupie. Maszyna to maszyna. A chowańce mają imiona, argumentowała Luna. I tak łazik został Coelhinho. Potem Lucasinho zaproponował, żeby wspólnie coś pośpiewali, potem próbował sobie przypomnieć bajkę na dobranoc, którą opowiadała mu kiedyś *madrinha* Flavia, lecz okazało się, że Luna pamięta ją lepiej. Zadawali sobie zagadki, lecz i w tym Luna była lepsza. Teraz Lucasinho wygłasza traktat o cieście.

— Z rzeczami jest łatwo. Coś chcesz, masz kwotę węglową, to po prostu to sobie drukujesz. Dlatego *przedmioty* to nic specjalnego. Po co dawać komuś coś, co może sobie sam wydrukować? W prezentach jedyna cenna rzecz to twoja myśl, którą w nie włożyłeś. Prawdziwy dar to sam pomysł, nie przedmiot. I żeby być czymś szczególnym, przedmiot musi być rzadki, drogi, albo musisz poświęcić na niego wiele czasu. *Pai* dał kiedyś *vo* Adrianie kawę, bo wiedział, że nie miała okazji jej pić od pięćdziesięciu lat. To było coś rzadkiego i kosztownego, czyli spełnia dwa na trzy kryteria, ale ciasto i tak jest lepsze. Żeby upiec ciasto, potrzebne są surowce, które nie są drukowane, na przykład ptasie jajka, tłuszcz, mąka z pszenicy, a do tego dużo serca lub czasu. Każde ciasto się planuje: czy to będzie babka piaskowa, czy biszkopt, czy będzie miało warstwy, a może to będzie dużo małych ciasteczek, czy to ciasto dla kogoś, czy na jakąś okazję? Będzie pomarańczowe, bergamotkowe, herbaciane, może nawet kawowe? Będzie z lukrem czy z bezą? Ma być w pudełku, przewiązane wstążką,

przywiezie je bot, w środku ma być niespodzianka, ma świecić albo grać? Ma być poważne czy żartobliwe, a może trzeba wziąć pod uwagę jakieś uczulenia, nietolerancje, kwestie kulturowe czy religijne? Kto jeszcze będzie przy krojeniu ciasta? Kto dostanie kawałek, a kto nie? W ogóle będzie się nim częstować inne osoby? Może to ciasto intymne, pełne namietności? Ciasto przemawia subtelnie. Jedna babeczka w dobrym miejscu i w dobrym czasie potrafi powiedzieć, że w całym wszechświecie nie ma kogoś takiego, jak ty, więc daję ci tę chwilę słodkości, kruchości, smaku i wrażeń zmysłowych. A na inne okazje z kolei nada się tylko coś wielkiego i głupawego, na przykład taki tort, z którego mogę wyskoczyć w pełnym makijażu, pełen lukrowych motylków, ptaszków i robocików, co śpiewają piosenki z seriali. Taki tort leczy rany w sercach i kończy rodowe waśnie. Ciasta mają swój język. Ciasto cytrynowe mówi: kwaśno się czuję w tej relacji. Pomarańczowe to samo, tylko z nadzieją. Babka piaskowa, do której dajesz po równo każdego składnika, mówi, że świat jest w porządku, wszystko dobrze, Cztery Żywioły są w harmonii. Wanilia mówi: ostrożnie, nuda; lawenda to nadzieja lub ubolewanie. Czasami jedno i drugie. Kandyzowane płatki róż - myślę, że mnie zdradzasz, za to różany lukier - może byśmy podpisali kontrakt? Niebieskie owoce są na smutne dni, gdy naprawdę czujesz tę próżnię wokół i potrzebujesz przyjaciół albo po prostu bliskości jakiegoś ciała. Czerwone i różowe owoce to seks. Każdy to wie. Kremu po prostu nie wolno jeść samemu. Co do zasady. Cynamon to oczekiwanie, imbir - pamięć, goździki są na rany, prawdziwe czy w sercu. Rozmaryn to żal, bazylia to racja. Widzisz, a nie mówiłem - to jest bazylia. Mięta to coś strasznego. Mięta to złe ciasto. A kawa - o kawę jest najtrudniej, więc ona mówi: poruszę niebo i Ziemię na niebie, żeby tylko cię uszczęśliwić. To są społeczne aspekty ciasta. Potem są kwestie naukowe. Wiesz, że na Księżycu ciasta smakują lepiej? Gdybyś poleciała na Ziemię i spróbowała

tamtejszych ciast, bardzo byś się rozczarowała. Wydałyby ci się płaskie, ciężkie i zakalcowate. Chodzi o wielkość porów, o samą strukturę ciasta, a na Księżycu ona wychodzi o wiele lepiej. Pieczenie ciasta obejmuje trzy gałęzie nauki: fizykę, chemię i architekturę. Fizyka to ciepło, rozszerzalność gazów i ciśnienie. Środki spulchniające działają wbrew ciśnieniu. Im jest słabsze, tym lepiej rośnie. Mogłabyś pomyśleć: skoro w słabszej grawitacji struktura jest lepsza, to może idealne ciasto trzeba robić w nieważkości? Okazuje się, że nie. Rosłoby we wszystkich kierunkach i powstałoby po prostu wielka musująca kula ciasta. I bardzo trudno byłoby ją upiec, żeby nie była niedopieczona w środku. Potem chemia. My mamy nasze cztery żywioły i ciasta też. Dla nas to powietrze, woda, dane i węgiel. Dla ciasta - mąka, cukier, tłuszcz, jajka albo jakiś inny płyn. Weź dwieście pięćdziesiąt gramów mąki, tyle samo cukru, tyle samo masła i tyle samo jajek, czyli mniej więcej pięć. To podstawowy przepis na kilogramową babkę piaskową. Najpierw trzeba ubić cukier z masłem. Ja to robię ręcznie. Wtedy jest osobiste. Tłuszcz tworzy pianę z pęcherzykami powietrza. Potem wbija się jajka. Jajka zawierają białko, które otacza te pęcherzyki powietrza i nie pozwala im pękać i zapadać się po ogrzaniu. Potem trzeba wgnieść mąkę. Wgnięta się ją powoli, bo jeśli zbyt mocno się ją ubije, rozciąga się gluten. Gluten to takie białko w pszenicy. Jest elastyczny. Gdyby nie on, wszystkie ciasta wychodziłyby płaskie. Rozciągniesz go za mocno i masz chleb. Chleb i ciasto to dwa przeciwne końce tego, co można zrobić z mąki. Ja używam specjalnej mąki z proszkiem do pieczenia, o obniżonej zawartości białka. To znaczy, że do niej wmieszany jest taki środek, który reaguje i wydziela gaz, który nadmuchuje pęcherzyki glutenu. To dlatego moje ciasta są słodkie i typu kruchego. Pieczenie to jak budowa miasta, polega na zamknięciu w środku powietrza i utrzymaniu go tam. Gluten to słupy i filary, które podtrzymują ciężar cukru i tłuszczu. Musi stać pionowo, nie może się

zapaść, jest po to, żeby wszystko, co w środku, było bezpieczne, napowietrzone i nawilżone. Na wierzchu trzeba stworzyć skorupkę, która uwięzi wilgoć i powietrze w środku. Można ją zrobić z cukru - taka skorupka twardnieje w temperaturze niższej niż reszta ciasta. Polega to na karmelizacji. Powstaje coś jak uszczelka na górze naszych tuneli, niepo-zwalająca, żeby powietrze uciekło pomiędzy skałami. I na koniec zostaje pieczenie. Pieczenie ma trzy fazy: rośnięcie, wypiekanie i zrumienianie. Kiedy temperatura ciasta rośnie, wmieszane do środka powietrze rozszerza się i rozciąga gluten. Potem, przy około sześćdziesięciu stopni, zaczynają działać środki spulchniające - uwalniają dwutlenek węgla, uwalnia się para wodna z jajek i siup, ciasto rośnie na docelową wysokość. Przy około osiemdziesięciu stopni wiążą się białka z jajek, a gluten traci elastyczność. I wreszcie do głosu dochodzi reakcja Maillarda, to jest to zrumienianie, o którym wspominałem, i uszczelnia powierzchnię, zamykając wilgoć w środku. O ile wszystko dobrze zaplanowaliśmy. Teraz jest najtrudniejszy moment. Trzeba zdecydować, czy można wyciągnąć ciasto z piekarnika. To zależy od wielu czynników - od wilgoci, przeciągów, ciśnienia powietrza, temperatury. Na tym właśnie polega sztuka. Gdy myślisz, że jest gotowe, wyciągasz je, odstawiasz na jakieś dziesięć minut, żeby odeszło od blachy, i stawiasz na ruszcie, żeby wystygło. I starasz się nie próbować od razu po wyciągnięciu. I jest jeszcze gospodarczy aspekt ciasta. Wyjmujemy je z piekarnika. U nas nie ma piekarników. Większość ludzi nawet kuchni nie ma - je się na mieście, w hot-shopach. A piece w hot-shopach są całkiem inne niż te do ciast. Trzeba zamówić taki piekarnik na zamówienie, a na całym Księżycu jest może ze dwanaście osób, które wiedzą, jak skonstruować porządny, umieszczony na wysokości oczu piekarnik. A więc Cztery Żywioły: mąka, cukier, masło, jajka. Mąka to zmielone nasiona rośliny, pszenicy. Takiej trawy. Na Ziemi to jedno z najważniejszych źródeł węglowodanów, ale na

Księżycu za bardzo jej nie uprawiamy, bo jak na zajmowaną przestrzeń i zużywane zasoby nie daje za wiele energii. Żeby dostać sto gramów mąki, potrzeba tysiąc pięćset litrów wody. U nas węglowodany są głównie z ziemniaków, yamów i kukurydzy, bo one o wiele wydajniej zamieniają wodę w jedzenie. I dlatego, żeby otrzymać mąkę, trzeba specjalnie hodować pszenicę, potem zebrać nasiona i zmielić je na drobny pył. A to mielenie to jest jeszcze trudniejsze niż budowanie pieca do ciast - na całym naszym świecie jest może pięć osób, które wiedzą, jak zrobić takie urządzenie. Masło to tłuszcz w postaci stałej wyprodukowany z mleka. Ja używam tylko masła z mleka krowiego. Krowy u nas są głównie dla ludzi, którzy lubią jeść mięso. A jeśli wydawało ci się, że uprawa pszenicy zużywa wodę, to na jeden kilogram mleka czy masła potrzeba jej sto razy tyle. Jajka. Z jajkami nie ma problemu, jajka to stała pozycja w naszej diecie. Ale nasze jajka są mniejsze niż ziemskie, bo wyhodowaliśmy sobie mniejsze kury, więc zawsze trzeba poeksperymentować, żeby dobrać odpowiednią liczbę jajek. Cukier to łatwizna, umiemy go produkować, albo pozyskiwać z roślin, ale cukiernik używa wielu różnych rodzajów cukru. Jest cukier trzcinowy, nierafinowany, albo rafinowany, czyli zwykły cukier, cukier puder, cukier drobno mielony - czasami do jednego ciasta potrzebne są wszystkie naraz. I widzisz, nawet zwykła babka piaskowa wymaga materiałów i umiejętności, które są cenniejsze niż drogie kamienie. Gdy próbujesz ciasta, smakujesz całe nasze życie. I dlatego w świecie, gdzie każdy może wszystko wydrukować, ciasto czy tort to idealny prezent.

- Luca? - pyta Luna.
- Co tam, *anjinho*?
- Daleko jeszcze?
- Nie za tym kraterem, ale za następnym — mówi Lucasinho.
- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Coelhinho wspina się na niską krawędź Messiera A.

- No dobrze - zgadza się Luna. - Ale już nie gadaj o tych ciastach.

Lucasinho dzięki gadaniu o ciastach jest czujny, przytomny i świadomy zimna wkradającego się przez załatane cięcie w skafandrze. Dało się go zakleić, ale na poprzecinane elementy grzejne nic to nie pomogło. Lucasinho pamięta z ćwiczeń przed Biegiem Księżycowym, że ludzkie ciała w próżni wypromieniowują bardzo mało ciepła, czuje jednak, jak ciągły chłód wyziębła mu krew i serce. Chłód podchodzi cię znienacka, atakuje błogością, odrętwieniem, apatią. Kiedy gadał o tych ciastach, musiał całą siłą woli powstrzymać się od szczykania zębami.

Coelhinho zaczyna zjeżdżać do środka podwójnego krateru, lecz w tej samej chwili z drugiej strony nadjeżdża drugi łażik, zeskakuje do środka, dwa razy podskakuje, pędzi przez krater i hamuje z poślizgiem tuż przed nimi. Lucasinho z całej siły wciska hamulec i modli się do Oguna, żeby łażik z wysoko położonym środkiem ciężkości nie przewrócił się.

Jeden łażik, trójka załogi. Unoszą się pałaki bezpieczeństwa, ekipa zeskakuje z siedzeń. Każdy ma na elastyku logo Mackenzie Helium, każdy zgarnia z wieszaka jakieś urządzenie - Lucasinho wie, co to, choć nigdy czegoś takiego nie widział. Karabin.

Pierwszy *jackaroo* podchodzi do Lucasinho i Luny z karabinem w rękach, obchodzi Coelhinho ze wszystkich stron, podchodzi blisko do Lucasinho. Szybka przy szybko.

- Co się dzieje? - pyta Luna.

- Wszystko będzie dobrze - uspokaja Lucasinho i cały aż podskakuje, gdy *jackaroo* Mackenziech gwałtownym ruchem przytyka mu do hełmu swój hełm.

- Włącz, kurwa, radio, papuzi synu. — Głos to stłumiony krzyk przenoszący się po samym plastiku hełmu.

Jinji otwiera publiczny kanał.

- Przepraszam, mam mało baterii - mówi Lucasinho w globo.

- Nie tylko baterii masz mało - odpowiada tamten. Po włączeniu łączności nad ramieniem każdego z nich pojawia się identyfikator: Malcolm Hutchinson, Charlene Owens-Clarke, Efon Batmanglij.

- Potrzeba nam prądu, wody i jedzenia. A mnie jest bardzo zimno.

- Najpierw parę krótkich pytań. - Malcolm podrzuca broń i celuje w Lucasinho. Długie, naprędcie poskładane urządzenie, pełne mocowań i stabilizatorów, magazynków i rzędów uchwytów na kasety elektromagnetyczne, wydrukowane i zmontowane na chybcika. — Prawda, żyjemy w społeczeństwie o najbardziej płynnej tożsamości płciowej, więc możliwe, że Nadia zmieniła płeć, ale jeszcze nie słyszałem, żeby od zmiany płci ktoś urósł o dziesięć centymetrów.

Lucasinho uświadamia sobie, że zaraz po włączeniu łączności skafander rozesał wszystkim identyfikator właścicielki. Dwa pozostałe karabiny obracają się ku niemu.

- Lucasinho, ja się boję - mówi Luna na prywatnym kanale.

- Będzie dobrze, *anjinho*. Wyciągnę nas z tego.

- Elastyk Nadii i łazik też Nadii. A taśmy masz na nim tyle, że od razu widać, co ją zabiło.

- Jakbym chciał zabrać jej elastyk, myślisz, że bym go tak niszczył?

- Jesteś pewien, że to jest odpowiedź, której chcesz mi udzielić?

Na wyświetlaczu w hełmie Lucasinho wszystkie paski wskaźników wahają się na pograniczu czerwonego.

- Nie zabiłem jej. Przysięgam. Utknęliśmy w stacji BALTRAN-u Lubbock. Wyśledziłem ją, przyciągnąłem łazik do stacji, razem ze skafandrem, ściągnąłem go z niej i posklejałem.

- A coście, kurwa, robili, w Lubbock?

- Próbowaliśmy się wydostać z Twe.

- BALTRAN-em.

Lucasinho wścieka się, że ten Malcolm Hutchinson zamienia każdą jego odpowiedź w najgłupszą rzecz, jaką w życiu słyszał.

- Kochany, BALTRAN leży. Leży cała wschodnia ćwierćkula. Wszystko. Bóg jeden wie, co tam się dzieje w Twe. Woroncowowie zatrzymali kolej, a z każdej elektrowni, którą zobaczą, robią dziurę w regolicie. Pół mojej ekipy załatwiły pierdolone koszmary z nożami zamiast rąk, więc mogę chyba być, kurwa, troszeńkę nerwowo. To jeszcze raz: dokąd idziecie i kim wy, kurwa, jesteście?

Lucasinho ma w brzuchu bolesną pustkę, ale i tak ma wrażenie, że zryga się kwasem żołądkowym do hełmu.

- Daj mi z nimi porozmawiać.

- Cicho. Ja się tym zajmę.

- Nie mów mi „cicho”. Ja mu powiem. Proszę.

Luniarze Mackenziech są podminowani. Lucasinho zaraz zarobi kulkę tym swoim pyskowaniem. Dziecięcy głos może ich uspokoić.

- No dobrze.

Chowaniec Luny otwiera wspólny kanał.

- Chcemy się dostać do João de Deus - mówi Luna.

Jackaroos aż podskakują w elastykach.

- Masz w tym sprzęcie dzieciaka? - dziwi się Malcolm.

- W Lubbocku była tylko jedna skorupa - wyjaśnia Lucasinho. - Wyśledziłem wasz łazik i ukradłem skafander, tak - przypomina sobie jej imię - skafander Nadii. Ale jej nie zabiłem.

- Prowadzisz dzieciaka w skorupie przez całe Morze Żyzności.

- Nie miałem innego pomysłu. Musieliśmy iść z Lubbocka.

- Do João de Deus macie kawał drogi - mówi luniarka podpisana „Charlene”.

- Na razie musimy się dostać do Messiera.

- My właśnie jedziemy z Messiera — mówi trzeci *jackaroo*,

Efron. — Zostawiliśmy tam trzy trupy. Boty potną was na plasterki.

- Ej, Efron, nie przy dziecku - odzywa się Charlene.

- Nie ma co owijać w bawełnę.

- Potrzebujemy powietrza i wody - mówi Lucasinho. - W łaziku kończy się bateria, a i nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś jedliśmy.

- Naprawdę jestem bardzo głodna - dodaje Luna.

Lucasinho słyszy, jak Malcolm klnie pod nosem.

- W Secchi jest stary obóz Corta Hélio. Najbliższy punkt z zaopatrzeniem, jaki jest. Możemy was tam podwieźć.

- Ale to jest pół drogi z powrotem - mówi Lucasinho.

- Nie, to nie. Możecie umrzeć z głodu albo się udusić - mówi Malcolm. - Albo zamarznąć, w twoim przypadku. Efron? - Efron odczepia od plecaka skafandra mały pakiecik i rzuca go Lucasinho. To ogrzewacz, powoli działający egzotermiczny żel w szklanym opakowaniu. - To cię ogrzeje. Jest tylko jeden problem. - Szturcha lufą karabinu oklejony taśmą tułów Lucasinho. - Trzeba to wsadzić do środka skafandra.

- Co takiego?

- Ile czasu wytrzymasz bez oddychania, synek?

Lucasinho kręci się w głowie. Z głodu, wyczerpania, zimna. A jeszcze będzie trzeba znowu pokazywać gołą skórę Pani Lunie.

- Mam odznakę za Księżycowy Bieg.

- No i co, kurwa, z tego, panie Kasiasty. Bieg to dziesięć, piętnaście sekund. Trzeba będzie zedrzeć starą taśmę, włożyć ogrzewacz i zakleić cię na nowo. Czterdzieści, może sześćdziesiąt?

To może go zabić. Zimno zabije go na pewno. „Może” kontra „na pewno”. I znów to Pani Luna podejmuje za niego decyzję.

- Dam radę.

- Grzeczny chłopak. Jedna minuta hiperwentylacji i rozszczelniasz hełm. A ja muszę się wpiąć do AI twojego skafandra.

- Mam taśmę — mówi Luna, gdy Lucasinho oddziela się od jej skafandra.

- Grzeczna dziewczynka. Charlene, Efron.

Jinji przełącza instalację oddechową na czysty tlen. Wali Lucasinho jak toporem. Chwieje się, dłonie go podtrzymują. Oddycha głęboko, jeszcze głębiej, przesycając mózg i krew tlenem. Odbył Bieg Księżycowy. Przebiegł piętnaście metrów po powierzchni, tylko we własnej skórze. To łatwizna. Łatwizna. Ale przy Biegu sprowadzali ich do mikrociśnienia przez godzinę. Tu będzie od razu. „Ludzka skóra stanowi odporną powłokę ciśnieniową...”. Pierwsze szkolenie z elastyka. Potrzebne jest tylko coś obcisłego, co utrzyma to ciśnienie, zatrzyma w środku wodę i ciepło.

Dehermetyzacja za pięć...

Lucasinho opróżnia płuca. W próżni wydycha się powietrze, żeby płuca nie popękały.

...dwa, jeden...

- Uwaga - komenderuje Malcolm.

Dehermetyzacja. Powietrze gwizdże i cichnie. Lucasinho bezgłośnie krzyczy z bólu dźgającego go w uszy. Charlene podchodzi z nożem, ostrożnie przecina taśmę i zrywa ją.

- Nie ruszaj się, synek. Trzymajcie go.

- Jest.

Nagle, palące gorąco, gdy Malcolm wpycha ogrzewacz pod grubą tkaninę. Lucasinho musi odetchnąć. Musi nabrać powietrza. Mózg mu gaśnie, neuron po neuronie. Rzuca się. Głos kobiety, słaby i wysoki, jak świętej, krzyczy: „Trzymajcie go!”. Lucasinho otwiera usta. Nic nie ma. Rozszerza płuca nic. Tak się właśnie umiera w próżni, wszystko się zamyka, kurczy, dygoce. Słabiutkie, odległe głosy, przytrzymujące go żelazne dłonie, wszystko pali...

Słabiutkie, odległe głosy...

I wraca. Rzuca się do przodu. Przytrzymują go pałaki bezpieczeństwa. Siedzi bezpieczny w łaziku Mackenziech.

Powietrze. Powietrze jest cudowne. Powietrze to magia. Bierze dziesięć głębokich oddechów, szybki wdech, powolny wydech; powolny wdech, szybki wydech. Usta, nos; nos, usta. Nos. Usta. Wspaniałe oddychanie. Ciepło. Gorąco. Czuje ból pod ostatnim lewym żebrem - to ten ogrzewacz, ściśnięty elastykiem i taśmą. Będzie miał od niego siniaki. Mimo to cieszy go ten ból. Czuje - to znaczy, że nie ma odmrożeń.

- Luna? - chrypi.

- O, wróciłeś - mówi Malcolm na wspólnym.

-Tutaj jestem - odpowiada Luna. - Dobrze się czujesz?

- Skoro gada, znaczy, że nic mu nie jest.

Lucasinho rozgląda się dookoła, patrzy na rurki i kabelki łączące go z łazikiem. Myśli „woda” i nagradza go płynące z sutka zimne, czyste orzeźwienie. Jęk rozkoszy rozchodzi się na wspólnym kanale, budząc rechoty *jackaroos*.

- To i tak są zrecyklowane szczyny, ale chociaż cudze - mówi Malcolm. - Jest też jakiś szajs kaloryczny. Pewnie jesteś na tyle wygłodzony, że go zjesz.

Efron uwiązuje z tyłu jednomiejscowy łazik, który przywłaszczył sobie Lucasinho, i wskakuje na siedzenie.

- No to, Lucasinho Corta, jeśli nie masz nic przeciwko, jedziemy do Secchi.

Ma coś przed twarzą. Budzi się z okrzykiem klaustrofobicznej paniki. Jest w skafandrze, tym samym pieprzonym skafandrze. Na policzku ma zaskorupiałą ślinę. Sam czuje smród własnej twarzy w hełmie.

- O, nie śpisz. - Głos Malcolma. - To dobrze. Bo mamy problem. Jinji rysuje mapę. Widać doskonale i konwój, i skład Corta Hélio, i linię kontaktów pomiędzy łazikiem a bezpiecznym miejscem.

- To są...

- Ja wiem, synek, co to jest.

- Nie da się ich objechać?
- Da się, ale jak tylko nas zobaczą, to nas dogonią. Łazik jest wielki, ciężki, a ja widziałem, jak te skurwiele biegną.
- No to co robimy?
- Ciebie i dziewczynkę wysadzamy. Bierzecie ten drugi łazik, ma tyle baterii, że bez problemu tam dojedzie, i walicie prosto do tego składu. A my próbujemy odciągnąć boty.
- Ale mówiłeś, że są szybsze.
- A gdzie twoja wiara, synek? Bez was może nam się uda. A może i parę rozwalimy. Z tych karabinów całkiem dobrze się do nich pyka. Pewne jest jedno, zostaniemy razem, to razem zginiemy.

Plecaki skafandrów są pełne wody i powietrza, baterie naładowane. Luna sadowi się na siodełku, Lucasinho starannie przykleja ją taśmą do łazika, potem siebie do niej. Wyjaśnił jej prosto i szczerze, na czym polega niebezpieczeństwo. Lunie nie trzeba dużo mówić: nie zadaje żadnych pytań, wie, co ma robić. Jednomiejscowy łazik odpala od strzału Jinjiego. Malcolm dotyka palcem wskazującym hełmu - salut przed bitwą. Przyśpiesza wielkim łazikiem, zakreśla koło i po chwili jest za horyzontem. Lucasinho czeka, aż opadnie za nim pył, dopiero wtedy rusza swoim.

- Wyłączyć radio - polecił Malcolm. - Do zobaczenia w Secchi albo w kolejnym wcieleniu.
- Wiecie, kim jesteśmy - powiedział Lucasinho na prywatnym kanale. - Czemu nam pomagacie?
- Nikt nie wie, jak to wszystko się skończy, ale to już nie będzie ten sam Księżyc.
- Luna? - pyta teraz. Są spięci razem, żeby zachować ciszę radiową.
- Co?
- Piłaś wodę?
- Piłam wodę.
- Niedługo dojedziemy.

Analiese Mackenzie czeka za wewnętrznymi drzwiami służby. Otwierają się wieki całe. W końcu wychodzą, czarni od pyłu mimo dmuchaw, w rękach hełmy i plecaki. Buty są z kamienia, skafandry z ołowiu. Każde ściętno zmrożone wyczerpaniem. Wojownicy człapią obok niej ze spuszczonego wzrokiem. Odbyli bitwę u bram Hypatii. Ładunki wybuchowe zniszczyły trzy boty, które przeżyły nawałnicę strzał AKA, ale za cenę życia siedmiu czarnogwiazdowców.

Misje samobójcze. A plotki mówią, że kolejne odwody już spadają na Wschodnie Morze Spokoju, migocząc na niebie silniczkami hamowniczymi. Odwody. Skąd ona wie, że tak to się po wojskowemu nazywa?

Wychodzi, powłócząc nogami.

- Wagner.

Odwraca się na dźwięk imienia. Zna ją. Nie byłby w stanie jej zapomnieć, nie w ciemnym aspekcie - ona bowiem nigdy nie znała innego Wagnera Corty. Ta wątpliwość, wahanie, zanim uczyni pierwszy krok ku niej, nie wynika z trudności w rozpoznaniu - to poczucie winy. Uciekł do Południka. Sama mu powiedziała, żeby nie wracał do ich domu w Theophilusie, on jednak dobrze wie, że zostawił ją samą, kiedy musiała się zmierzyć ze swoją rodziną. Mackenzie nigdy nie wybaczą zdraycom. Musiała za to drogo zapłacić. On przeżył, gdy jej rodzina zabijała jego rodzinę. Ukrył się i przeżył. Wygląda teraz jak śmierć. Wygląda jak po klęsce.

Popatruje po swojej ekipie. Postawna kobieta o ostrych rysach kiwa głową: „Ja się wszystkim zajmę, *laoda*”.

- Analiese.

Nie ogarnia tego, co widzi. Ona mieszka w Theophilusie, co robi w Hypatii?

- No chodź, wilczku.

Łóżko wypełnia kubik. Wagner wypełnia łóżko, wyciągnięty,

rozwalony, w letargu głębszym niż sen. Analiese cudem udało się zdobyć choćby taki kubik. Gdy padła sieć kolejowa, Hypatia, najbardziej ruchliwa stacja przesiadkowa w całej ćwiartce, stała się obozem dla uchodźców pełnym ludzi śpiących na ulicach, albo na zmianę na tych samych pryczach, uwieczonych pasażerów grzejących się na kratkach wymienników ciepła.

Opiera się o ścianę korytarza i patrzy na wilczka. Jest w opłakanym stanie. Cały posiniaczony, skóra w odciskach od zbyt długo noszonego elastyka. Łagodny beż, tak wspaniały w dotyku, jest zszarzały i matowy ze zmęczenia. Nigdy nie miał masy mięśniowej, lecz teraz to sama skóra i kości. Pewnie od dwóch, trzech dni nic nie jadł. Jest potwornie odwodniony. I śmierdzi.

Wraca pamięcią od tego łóżka do pierwszego wejrzenia sobie w oczy podczas warsztatów o logice doksastycznej i innych systemach poglądów, na 15. Sympozjum Paralogiki na Uniwersytecie Farside. On pierwszy odwrócił wzrok. Nachyliła się do koleżanki, Nang Aein, jeszcze skacowanej po ostrym picu z okazji rozpoczęcia i zapytała: *kto to?* Chowaniec mógłby w sekundę podać jej nazwisko z listy obecności, ale to było przemyślane, chciała, żeby widział, że o niego rozpytuje.

- Wagner Corta - odpowiedziała Nang Aein.
- Corta? Z tych Cortów?
- Z tych.
- Rzęsy ma niesamowite.
- Dziwny jest. Nawet jak na Cortę.
- Ja lubię dziwnych.
- A na groźnych jak się zapatrujesz?
- Ja się Cortów nie boję.
- A wilków się nie boisz?

Potem nastąpiła przerwa, wszyscy poszli na herbatę, a ona nie spuszczała oka z tego groźnego Corty, żeby nie przegapić chwili, w której postanowi się na nią obejrzeć. I zrobił to, w podwójnych drzwiach do sali. Najciemniejsze i najsmutniejsze

oczy, jakie w życiu widziała. Czarny lód tkwiący w wiecznym cieniu od początku świata. Jako dziecko kaleczyła wszystkie zabawki, żeby lepiej móc je opatrywać i leczyć. Znalazła go w punkcie równowagi grawitacyjnej między trzema ośrodkami konwersacyjnymi, ze szklaneczką herbaty w palcach.

- Ja też jej za bardzo nie lubię. - Zawsze była dobra w drobnych spostrzeżeniach stanowiących punkt wyjścia do rozmowy. Herbata była nietknięta. - Nie nadaje się do picia.

- A co się nadaje? Według ciebie?

- Mogę ci pokazać.

Po trzecim moccattini powiedział jej o wilku.

Po piątym powiedziała: „No dobrze”.

Wilczek przesypia całą noc i cały dzień i budzi się w jednej chwili, wszystkie zmysły wyostrzone. Pierwsze słowo:

- Ekipa?

- Cali i zdrowi - mówi Analiese, on jednak nie wierzy jej na słowo, dopóki nie wdzwoni się do biura Taiyangu w Hypatii.

Zehra zadbała o odprawę końcową i dała ekipie Szczęśliwej Ósemki urlop. Taiyang jest w stanie mu zapewnić chowańca z podstawowymi usługami - pełne kopie zapasowe doktora Luz i Sombry są w Południku, a komunikacja pomiędzy miastami ciągle leży. Analiese kręci ten widok -Wagner, pozbawiony chowańca, cyfrowo nagi.

Noc, dzień i noc - podczas wojny to wieczność. Gdy szwankuje informacja, plenią się plotki. Twé nadal jest obleżone, zasypane, milczące, a jego agraria giną w zmierzchu pozbawione światła. Królowa Południa ma żywności na pięć dni, Południk - na trzy. Były ataki na hot-shopy, zhakowano drukarki 3D. Koderzy Taiyang odbili część przejętych sychaczy, ale każda próba skierowania ich na walkę z oblegającymi Twé kończy się ogniem z orbity. To lód. VTO strzela lodem z działa elektromagnetycznego. Woroncowowie

przyciągnęli sobie tam głowę komety -mają dość amunicji, by urządzić nowe Wielkie Bombardowanie¹. Pociągi stoją nieruchome na stacjach, BALTRAN nie działa, a każdy łazik, który wypuści się na powierzchnię, ściąga na siebie boty z nożami. Pośrodku Morza Smytha stoi na szynach cały skład Równikowego Ekspresu. Dzień temu skończyła im się woda. Piją własne szczyny. Kończy im się powietrze. Pożerają się nawzajem.

Plotki i pogłoski. Duncan Mackenzie wysłał dwudziestu, pięćdziesięciu, stu pięćdziesięciu strzelców - co do jednego zieluniaków i byłych trepów -do walki z oblegającymi Twé. Razem z łucznikami AKA mają odbić wejścia do śluz Twé i oswobodzić miasto. Armia Asamoah-Mackenzie została rozniesiona w drobny mak, ich części ciała zaścielają całe Morze Spokoju. Południk jest obleżony. Południk został zajęty. Południk się poddał.

- Muszę jechać do Południka - mówi Wagner.
- Musisz wydobrzeć, *lobinho*.

Płaci za oddzielną kabinę w *bani*. Trzy godziny powinny wystarczyć. Jest łaźnia parowa, kamienna ława i mały basenik. Wagner leży na brzuchu na kamieniu, lśni od potu. Analiese zakrzywioną skrobaczką zdejmuje mu ze skóry brud, pył i zaskorupiały pot.

- Czekalaś na mnie — mówi Wagner, przekręciwszy głowę na bok, przytulając się policzkiem do ciepłego, gładkiego kamienia.

- Wracałam z koncertu w Twé - mówi Analiese. - Utknęłam, kiedy stanęły pociągi.

- Pomogłaś mi w ucieczce, a ja cię zostawiłem.

Analiese siada na nim okrakiem i powoli zeskrabuje mu brud z karku.

- Nic nie mów. Daj rękę. - To nadal ją boli, jak nagłe zderzenie strupa, który dawno uznała za zagojony. Świeża krew.

- Przepraszam - dodaje Wagner.

Analiese klepie go po szczipłym tyłeczku.

- Chodź tutaj.

Pakuje jego oczyszczoną, zarumienioną skórę do gorącej wody. Wagner aż sapie, piecze go. Analiese wślizguje się za nim. Tulą się do siebie. Ona odgarnia mokre włosy z twarzy. Wagner próbuje zatknąć je za uszy i nagle dotyka palcem bladej blizny w miejscu lewej małżowiny.

- Co się stało?

- A, taki wypadek - kłamie ona.

- Muszę jechać do Południka.

- Tu jesteś bezpieczny.

- Tam został chłopak. Ma trzynaście lat. Robson.

Analiese kojarzy to imię.

- *Lobinho*, jeszcze jesteś za słaby.

Nie przekona go. Nigdy nie była w stanie. Zawsze musiała ustępować przed siłą mocniejszą niż ludzka - przed światłem i ciemnością, dwiema naturami Wagnera, przed sforą. Przed rodziną. Dygoce, siedząc po szyję w ciepłej, uzdrawiającej wodzie, pośród wojny.

Schron Secchi to klitka, rura ze spieku nie szersza od śluz na obu końcach, przysypana regolitem. Lucasinho i Luna tkwią w niej jak cząstki pomarańczy. Nie wyobraża sobie, żeby pomieściła jeszcze luniarzy od Mackenziech. Ale jest tu powietrze, jest woda, jedzenie, jest regolit nad głową i miejsce dla Luny, żeby mogła wyjść ze skafandra. Lucasinho jest oklejony taką ilością taśmy, że musiałby rozciąć elastyk, aby go z siebie zdjąć. Ogrzewacz to prostokąt tępego, ciepłego bólu pod lewymi żebrami. Położyć się może tylko na prawym boku, twarzą do ściany. Leży na macie, która wciąż pachnie drukarką, czuje znużenie we wszystkich stawach i wszystkich mięśniach, a jednak nie jest w stanie rozluźnić się i zapaść w sen. Leży w oblepionym pyłem, za ciasnym elastyku i gapi się na

zakrzywioną ścianę ze spieku, wyobrażając sobie grubą warstwę gruntu na niej, wyżej próżnię, promieniowanie cykające przez kosmos, regolit, spiek, Lucasinho Cortę, nasłuchując odgłosu śluzy oznaczającego, że wrócili *jackaroos* Malcolma. Albo boty - których nigdy nie widział, ale wyobrażał sobie z wszelkimi tnącymi, dźgającymi, morderczymi szczegółami - przepompowują się, żeby zarżnąć ich we śnie.

- Luca. Spisz?
- Nie. Co, nie możesz spać?
- Nie.
- Ja też nie.
- Mogę się do ciebie przytulić?
- *Anjinho*, ja jestem cały w pyle. I śmierdę.
- Ale mogę?
- To chodź.

Lucasinho czuje zwarte ciepłoko ciała Luny, jak przywiera do jego pleców.

- Wiesz?
- Co wiesz?
- Tutaj jest całkiem w porządku, prawda?
- I ten posiłek był całkiem dobry, prawda?

Obóz miał paczkowane posiłki w dwóch gatunkach — oparte na pomidorach i na soi. Pomidory, zdecydowała Luna. Ma delikatne uczulenie na soję. A Lucasinho nie chciał żadnych zaburzeń trawiennych w schronie, który ma sześć na dwa metry. Przygotowali samopodgrzewające się pakiety, jeden po drugim, bo tak przyjemnie się słuchało, jak po podgrzaniu pojemnik się sam otwiera. Lucasinho aż bolały ślinianki, gdy czuł zapach sosu pomidorowego na ziemniaczanych kopytkach.

- No nie, nie był. - Luna szepcze kuzynowi do ucha. - Czuć go było pyłem.

Potem się śmieje, cichym, intymnym śmieszkiem, który napędza się własną intymnością, aż nie może się opanować, aż zarazi i Lucasinho - i oboje zaśmiewają się razem na materacu,

jak śmiali się po pierwszym skoku BALTRAN-em, aż zaczyna im brakować oddechu, a po twarzy płyną łzy.

Lucasinho.

Lucasinho, obudź się.

Trzeba się obudzić.

Zrywa się gwałtownie, wali głową w niski strop. Ach, ten obóz. Jest w obozie. Przespał dwie godziny. Dwie godziny. A obok to Luna. Już nie śpi. Oba chowańce ich zbudziły. To niedobrze.

Zbliża się duża ilość kontaktów.

- Cholera. Ile?

Piętnaście.

- Da się je zidentyfikować?

Utrzymują ciszę radiową.

- Kiedy tu dotrą?

Przy obecnej prędkości za dziesięć minut.

Do skafandra, Luna, pakuj się do skafandra, wychodzimy, odpalamy łażik. Bogowie.

- Luna, musisz pakować się do skafandra.

Wybita ze snu jest nieprzytomna. Podnosi ją i wsuwa do skorupy skafandra. Budzi się dopiero, gdy wewnętrzny szkielet zamyka się wokół niej.

- Luca, co się dzieje?

- Luna, Luna, musimy stąd uciekać.

Trzeba stąd wyjść jak najszybciej, najlepiej sposobem. Jest taki trick, Lucasinho widział go kiedyś w serialu i kazał Jinjiemu sprawdzić w sieci, czy to jest możliwe. Było. Zyskają drogocenną minutę, którą musieliby inaczej zużyć na przepompowanie śluzu. Minuta to życie.

Hełmy zatrzaśnięte, skafander robi test i zapala zieloną kontrolkę.

- Luna, trzymaj się mnie.

Ramiona skorupy są wystarczająco długie, by objąć chude

ciało Lucasinho. Rękawice zatrzasują się na stelażu jego plecaka.

- Trzy, dwa, jeden...

Jinji gwałtownie otwiera oboje drzwi śluzy. Wybuchowa dekompresja. Lucasinho i Luna wylatują ze schronu razem z pościelą, posiłkami sojowymi i pomidorowymi, pałeczkami do jedzenia, środkami czystości, kryształkami lodu. Uderzają w ziemię. Wstrząs wyciska mu powietrze z płuc. Coś pęka. Ogrzewacz jest jak stalowa pięść. W serialu nic takiego się nie działo. Toczą się. Luna zderza się z zaparkowanym łazikiem, Lucasinho z nią.

- Nic ci nie jest? - sapie.

- Nic.

- To jedziemy.

Jęczy z bólu, przyklejając Lunę i siebie do Coelhinho. Coś sobie uszkodził. Czy coś się stało ze skafandrem?

- Trzymaj się mocno.

Rękawice Luny zatrzasują się na ramie łazika. Lucasinho daje maksymalne przyspieszenie. Łazik zadziera przednie koła. Jeśli będzie dachowanie, to już nie żyją. Luna odruchowo się pochyła. Lucasinho znów stęka, coś przeskakuje mu w żebrach i w mięśniach. Coelhinho ucieka z Secchi na pełnym gazie. Chmurę pyłu, którą wzbija, widać pewnie na całym Morzu Żyzności. O ile Lucasinho nie da się botom dogonić. Jak to je Malcolm nazywał? „Skurwiele”. No bo to skurwiele. O ile skurwielom pierwszym skończy się prąd. Łazik był wiele godzin na ładowaniu. Skurwiele nie. Trzeba założyć. Muszą mieć mało baterii. Trzeba założyć. Zasięg na bateriach pewnie mają podobny jak jednomiejscowy łazik Mackenzie Metals. Trzeba założyć. Zakłada. Tyle tych założeń. Skurwiele.

- Jinji, czy one są za nami?

Sq.

- Blisko?

Zbliżają się.

- Cholera - klnie pod nosem Lucasinho. - Jak szybko?

Przy obecnej prędkości nasze kursy przetną się za pięćdziesiąt trzy minuty.

„Kursy się przetną”. Noże i krew w języku chowańców.

- Jinji, gdybyśmy wyłączyli czujniki, łączność, znaczniki, wyświetlacze i wszystko, to ile baterii byśmy zyskali?

Przy obecnej prędkości trzydzieści osiem minut.

- Ile dodatkowo przejedziemy?

Jinji wyświetla mapę, miejsce ostatniego spoczynku łazika zaznacza flagą. Dwadzieścia kilometrów od João de Deus.

- A jeśli pojedziemy z taką szybkością jak one?

Flaga przesuwa się o dziesięć kilometrów w stronę równikowego pasa solarnego. Zbyt daleko, żeby przejść na piechotę. Zapada decyzja.

- Zawieź nas jak najbliżej João de Deus.

Coelhinho przyśpiesza na regolicie, a Lucasinho stara się wyprzeć z wyobraźni noże botów na własnym karku. Dość ma tego ciągłego lęku. Potąd go ma.

Czarna linia na skraju świata jest tak ciemna i tak ostra, że prawie zatrzymuje łazik. Jakby brakowało części Księżyca. Czerni rozszerza się z każdą sekundą, z każdym metrem, pożerając świat.

- Szklane Pole - mówi Luna.

Dojechali do krawędzi równikowej elektrowni słonecznej, pasa czerni, którym Sunowie owijają cały świat. Lucasinho nagle rozumie: zmienia się perspektywa - ta czerni jest o wiele bliżej, niż myślał. Wytrzyma ich szybkość? Nie pęknie, nie roztrzaska się pod nimi, nie zapadnie? A chuj z tym. Goni ich piętnaście robotów-morderców.

- Juhuu! - krzyczy, a Luna powtarza po nim, gdy pełną parą wpadają na szkło.

Oglądając się przez ramię, Lucasinho już nie widzi łazika. Nawet czubka anteny. Od dwudziestu minut nie słyszeli też o ścigających ich botach. Są sami na szkle, zwinnie biały elastyk i

ocięwały czerwono-złoty skafander skorupowy. Szkło - gładkie, monotonne, czarne jak smoła, ciągnące się we wszystkie strony. Czerń na górze, czerń na dole, niebo odbite w ciemnym lustrze. Można zwariować, patrząc w dół na własne, cierpliwie maszerujące odbicie. Albo iść w kółko. Jinji nawiguje na podstawie lokalnych map. Ten widmowy kształt poniżej poziomu szkła to João de Deus, pod horyzontem. Wydaje się, że w ogóle się nie przybliżyła. Horyzont - nie da się powiedzieć, gdzie kończy się niebo i zaczyna szkło.

Lucasinho wyobraża sobie, że czuje przez podeszwy butów ciepło zakumulowanej w szkle energii. Wyobraża sobie, że czuje stukanie spiczastych kopytek botów. Kroki zmieniają się w kilometry, chwile w godziny.

- Pierwsza rzecz, jaką zrobię, gdy dojdziemy do João de Deus, to upiekę specjalne ciasto i zjemy je sami, całe - mówi Lucasinho.

- Nie, nie. Pierwsza rzecz to się wykąpiesz - mówi Luna. - Czułam w Secchi, jak śmierdzisz.

- No dobra. Czyli kąpiel. - Lucasinho wyobraża sobie, jak wsuwa się do bulgocącej ciepłej wody, po szyję. Woda. Ciepła. - A ty?

- A ja pójdę do Cafe Coelho na sok z gujawy - mówi Luna. - Chodziłam tam z *madrinhq* Elis, tam jest najlepszy.

- Mogę z tobą?

- No pewnie. Bardzo zimny. - I nagle w hełmie Lucasinho zapala się dziesięć czerwonych alarmów.

Luna ma przebicie skafandra, mówi Jinji swoim jak zawsze spokojnym i rozsądnym głosem.

- Luca!

- Idę! Idę!

Widzi strugę pary wodnej tryskającą, skrzącą się kryształkami lodu, z lewego przegubu kolanowego skafandra. Falista osłona nie wytrzymała ciągłego ścierania przez pył. Skafander jest otwarty na próżnię.

- Wstrzymaj oddech! - krzyczy Lucasinho.

Taśma. Taśma. Taśma, którą kazał Lunie wydrukować i wziąć ze sobą. Bo może się jeszcze przydać. I się przyda. Gdzie ona, gdzie jest, gdzie jest? Zamyka oczy, wizualizuje ją sobie w dłoni Luny. Co zrobiła z tą ręką? Wsadziła do kieszeni na lewym udzie skafandra.

- Już! Już!

Poziom powietrza Luny wynosi trzy procent, mówi Jinji.

- Cicho, kurwa! - ryczy Lucasinho. Wydziera z kieszeni rolkę taśmy, odrywa wolny koniec, owija nią przegub nogi. Spod palców unosi mu się pył, zdradziecki, ścierny księżycowy pył. Kręci i kręci, póki taśma się nie skończy. - Ile jej zostało, Jinji?

Zdaje się, że miałem być cicho.

- Powiedz, a potem bądź cicho.

Wewnętrzne ciśnienie się ustabilizowało. Ale Luna ma za mało tlenu, żeby dotrzeć do João de Deus.

- Pokaż mi, jak się przetłacza powietrze - krzyczy Lucasinho. Na skafandrze Luny zapalają się ikony - Nic ci nie jest? - pyta ją, podłączając węzem swój plecak do jej plecaka. - Mów do mnie.

Cisza.

- Luna?

- Lucasinho, potrzywasz mnie za rękę? - Głos jest cichy i wystraszony, ale zawsze jest to natleniony głos.

- Jasne. - Wsuwa dłoń w cienkiej rękawiczce w pancerną rękawicę jej skafandra. - Jinji, wystarczy jej?

Lucasinho, mam złą wiadomość. Tlenu jest za mało, żeby wystarczyło wam obojgu do João de Deus.

- Luna, możemy iść?

Delikatne drgnięcie skorupy.

- Co, kiwnęłaś głową?

- Tak.

- No to chodźmy To już niedaleko.

Trzymając się za ręce, idą po czarnym szkłe. Stąpają po gwiazdach.

Lucasinho, słyszałeś, co powiedziałem?

- Słyszałem, co powiedziałeś.

Skafander skorupowy robi o pół metra większe kroki od niego. Na wpół biegnie po szklanych panelach. Bola go mięśnie, brakuje mu siły w nogach. Najbardziej na świecie pragnąłby położyć się na czarnym szkłe i nakryć się gwiazdami.

- Po prostu, idziemy, bo musimy iść. Jakie mam opcje?

Nie masz żadnych opcji. Rozwiązałem równania i obojgu wam skończy się tlen minimum dziesięć minut przed służą.

- To mnie przykręć.

To jest już po przykręceniu.

- Zrób to.

Zrobiłem to dwie minuty temu. Mógłbyś odzyskać trochę tlenu od Luny...

- Nie ma mowy. - Już teraz czuje te słowa jak ołów w płucach. Pali każdy krok. - Nic Lunie nie mów.

Nie powiem.

- Ona musi dojść. Musi dotrzeć do João de Deus. Musisz to dla mnie zrobić.

Jej chowaniec już przygotowuje scenariusz.

- Bo nigdy nie wiadomo - mówi Lucasinho Corta. - Coś się może zdarzyć.

Zapewniam cię, że nie, odpowiada Jinji. Naprawdę trudno mi pojąć twój optymizm w obliczu niezaprzeczalnych faktów. Muszę ci także odradzić spieranie się ze mną, przez co marnujesz resztki powietrza.

- A czyje to powietrze, moje czy twoje?

Umrzesz, Lucasinho.

Teraz ta pewność dociera do niego, obchodzi wszystkie wykrety i wyparcia, wbija mu nóż prosto w serce. Teraz Lucasinho Alves Mão de Ferro Arena de Corta umiera. W tym przyciasnym, poklejonym, zapyłonym elastyku. Mackenzie nie dali rady go zabić, nie zabiły go boty. Pani Luna oszczędzała go, żeby zadać mu najbardziej dyskretną śmierć, jaką dysponuje —

pocałunkiem wysysającym z płuc ostatni oddech. Ten czerwono--złoty skafander, te gwiazdy i ich odbicie w szkle, ten błękitny półksiężyc Ziemi, te przyciasne rękawiczki - to są jego ostatnie odczucia, ostatnie widoki. Posykiwanie respiratora i ledwie słyszalne bicie serca — to ostatnie dźwięki.

I okazuje się, że teraz, gdy nie ma już ucieczki, to nic strasznego. Tak jest zawsze. Tak mówi lekcja naszej Pani o Tysiącu Śmierci. Teraz liczy się tylko jedno: czy spotka się z nią, czy pójdzie ku niej z charakterem i godnością. Płuca bołą. Nie jest w stanie nabrać dość powietrza. Idź dalej. Nogi są jak z kamienia. Nie jest w stanie stawiać jednej przed drugą. Wskazania w hełmie — wszystkie czerwone. Zwęża mu się pole widzenia. Widzi hełm Luny, jej dłoń w swojej dłoni. Krąg się zaciska. Nie może oddychać. Musi się wydostać. Kończy się życie, to i kończy się godność. Wrywa rękę z uścisku Luny, szarpie się z hełmem, z elastykiem, usiłuje się z niego wydobyć. Mózg mu płonie. Czerwień zmienia się w biel. Uszy wypełnia pochłaniające wszystko wycie. Nie widzi, nie słyszy, nie oddycha. Nie żyje. Lucasinho Corta pada w białe objęcia Pani Luny.

9. LEW-PANNA 2105

Rodzina wtaszczyła Caia na samą górę, osiem pięter wyżej, w zaimprovizowanej lektyce - krzesła z kuchni przyklejonym taśmą do dwóch bambusowych tyk. Jak papieża. Jak kalekę do uzdrowiciela. Pomogli mu dostać się na brzeg jacuzzi i usadzili na krawędzi, z nogami w wodzie. Potem zostawili ich samych na dachu, Caia i Alexię.

Miała teleskop na statywie, miała ekran, miała lody. Caja, orzechy nerkowca. Nie był to jej ulubiony smak, ale takie się akurat udało dostać, a zresztą wszystko było dla Caio. Usiadła obok niego, włożyła stopy do chłodnej, bąbelkującej wody i zaczęli karmić się nawzajem łyżkami lodów. Alexia wysysała spomiędzy zębów okruchy orzechów. Potem wzeszedł Księżyc, barwiąc morze srebrem, a ona ściągnęła go z nieba na swój ekran.

- Te ciemne plamy to morza, a jasne to wyżyny - powiedziała, powiększając Morze Spokoju. Przez parę dni stała się ekspertką od Księżyca na cały blok. - To dlatego, że kiedyś ludzie myśleli, że tam jest woda. A tak naprawdę to jest po prostu inna skała, taka jak z wulkanów, a ona, kiedy jest roztopiona, płynie trochę podobnie jak woda, więc w sumie „morze” to całkiem dobra nazwa. To jest Morze Spokoju. Jest Morze Żyzności, Morze Nektaru, Morze Spokoju i Morze Deszczów. Jest nawet ocean, gdzieś po zachodniej stronie... - Przepatrzyła ekran. Jak na tani, budżetowy model, powiększenie było niekiepskie. - O. Ocean Burz.

- Ale na Księżycu nie ma żadnych burz - powiedział Caio.
- Na Księżycu w ogóle nie ma żadnej pogody.
- A mogę zobaczyć tego wielkiego kutasa?
- Nie ma mowy. - King Dong był legendą: długi na sto

kilometrów kutas z jajami, wyrysowany przez znudzonych luniarzy śladami opon łazików na Morzu Deszczów. Czas i wydobyć trochę go zamazały, lecz i tak był najlepiej widocznym podsumowaniem ludzkiej działalności na Księżycu.

- Chcę ci pokazać królika.

Alexia zredukowała zoom, żeby widać było cały Księżyc. Obrysowała uszy - Morze Nektarów i Żyzności, głowę - Morze Spokoju, cały kontur wielkiego Księżycowego Zająca.

- Niepodobny - powiedział Caio.
- No wiesz, ludzie zawsze dopatrują się we wszystkim twarzy. W Chinach wierzą, że Onyksowy Królik ukradł receptę na nieśmiertelność i zabrał ją na Księżyc, siedzi tam i mieli zioła. — Obrysowała Morze Chmur, tłuczek. Zakręciła palcami na ekranie i obróciła go do góry nogami. -Nortes widzą twarz. Człowieka z Księżyca. Widzisz?

Caio pokręcił głową, zmarszczył czoło.

- O, teraz widzę. Też mało podobny.
- A czasem widzą staruszkę z chrustem na plecach, ale tego to nigdy nie udało mi się zobaczyć. A ludzie z Księżyca widzą rękawicę. Rękawicę od elastycznego skafandra.
- Jak widzą, jak są na Księżycu?
- Mają przecież mapy.
- A, no tak. Pewnie, że mają.

Alexia obrysowała rękawicę - Morze Żyzności — palce, Morze Nektarów - kciuk, Morze Spokoju - środek dłoni.

- Słabe to - powiedział Caio. Alexia musiała się z nim zgodzić. — To już ten królik lepiej wyglądał.

Statyw śledził wznoszący się Księżyc. Jego blask w ogrodzie na dachu był bardzo intensywny - ulice znów kryły się w mroku, prądu nie było w całych dzielnicach. „Zapalamy światła na Ziemi”, tak się kiedyś przechwalało Corta Hélio.

- Caio, wiesz, dostałam propozycję pracy - powiedziała Alexia. - Fantastyczną. Za kosmiczną kasę. Tyle kasy, żeby wszystkich nas stąd wyciągnąć, żebyśmy już nigdy się o nic nie

bali. Tylko że, Caio, to jest na Księżycu.

- Na Księżycu?
- To nie jest aż takie dziwne. Nasza babcia cioteczna tam polecała. Dokładnie z tego mieszkania aż na Księżyc.
- Wymordowali całą jej rodzinę.
- Nie całą. Caio, ludzie ciągle latają na Księżyc. Milton polecał.
- Jego też zamordowali.

Alexia machnęła nogami w chłodnej wodzie, chlapnęła na niego pianą, lecz on nie był w nastroju do żartów.

- Ty już się zdecydowałaś, nie?
- Caio, leczę. Ale obiecuję, naprawdę obiecuję, że zajmą się tobą najlepsi ludzie w mieście. Będiesz miał lekarzy, fizjoterapeutów, własnych nauczycieli. Zaopiekuję się tobą. Czy ja kiedyś nie dotrzymałam jakiejś obietnicy? - Od razu pożałowała tych słów.

- Już nic nie poradzę, tak?
 - Chciałam ci pokazać, jak to tam wygląda, żebyś wiedział.
 - *Lê*, my ci nie wystarczamy?
- Serce jej pękło.

- Oczywiście, że wystarczacie. Jesteście dla mnie wszystkim, ty, *Mãe*, *Marisa...* *tia* *Iara*, *tia* *Malika* i *tio* *Farina*. Ale to miejsce mi nie wystarcza. Ja chcę więcej. I my, Caio, zasługujemy na więcej. W czasach babci *Adriany* byliśmy potężną rodziną. Stać nas, żeby wydostać się z *Barra*, a ja właśnie dostałam jedyną szansę. Muszę ją wykorzystać.

Policzek mu zadrgał. Spojrzał na swoje stopy w znieruchomiłej nagle wodzie.

- Ale wróć - powiedziała *Alexia*. - Dwa lata, taki jest limit. Dwa lata to nie tak długo, prawda?

Caio wierzgnął nogami w wodzie, chlapnął na ekran. Nie miała serca go upominać.

- Zostały jeszcze te lody?
- Niestety. Wszystko pożarte.

- To mogę zobaczyć tego wielkiego kutasa?

Korytarz tarasowały plastikowe skrzynki i kartony. Faceci w pomarańczowych kombinezonach z trzyliterowymi skrótami na plecach manewrowali wózkami. Alexia, ubrana w Michaela Korsą i szpilki od Carmen Steffens, przycisnęła się pomiędzy okazałymi sprzętami medycznymi i stosami pudeł. Apartament otworzył się na jej kciuk. W środku było jeszcze większe zamieszanie - pomarańczowi pakowali i ustawiali kartony, hotelowa obsługa patrzyła z bezradnymi minami.

- Co tu się dzieje? - zapytała Alexia.

- To zdumiewające, ile fizycznych przedmiotów zdążyłem nagromadzić w trzy miesiące - powiedział Lucas Corta.

Przecisnął się wózkiem pomiędzy człapiącymi stopami i niesionymi pudłami. Alexia ucałowała go w oba policzki.

- Posiadanie rzeczy bardzo mi się podobało. To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Na Księżycu rzeczy się recykluje i drukuje nowe. Nikt tak naprawdę niczego nie posiada. Węgiel zamknięty w tej stercie papierów to węgiel, którego nie możesz zużyć na nic innego. Uwięziony. Martwy węgiel. My jesteśmy planetą najemców. Widzę, że z tym gromadzeniem rzeczy trochę mnie poniosło. Teraz muszę to wszystko zostawić i czuję żal. Będzie mi brakować tego szajsu.

- No nie - mówi Alexia. - Co tu się dzieje?

- Pakuję się. Wracam na Księżyc.

- Zaraz. Nie uważasz, że twoja asystentka powinna o tym wiedzieć? Jedna z pierwszych?

- To moje zalecenie — mówi doktor Wolikowa.

Ciągle ta doktor Wolikowa. Alexia zna ją na tyle, że nie spodziewa się informowania o stanie zdrowia Lucasa. Od pierwszego spotkania wie, że nie spodobała się jej, że doktor uznała ją za parszywą małą oportunistkę. Małą *malandrę* z Barry. Alexia zadbała, by lekarka wiedziała, że niechęć jest

odwzajemniona. Oko za oko - taka jest żelazna zasada na Barra. Wie także, że póki nie zapyta, lekarka sama z siebie nie powie jej, jaki jest powód.

- Mam być informowana o wszystkim, co wpływa na pracę Lucasa.

Ludzie od przeprowadzki, w pomarańczowych kombinezonach, zamierają. Jedno spojrzenie Lucasa każe im pilnować swoich spraw.

- Moje zdrowie monitoruje co najmniej dziesięć medycznych AI na pięciu kontynentach - wyjaśnił Lucas. - Cztery z nich doszły do konsensusu, że muszę opuścić Ziemię w ciągu najbliższych czterech tygodni, żeby mieć większą niż pięćdziesięcioprocentową szansę przeżycia lotu na orbitę.

- Przez ostatnie dwa tygodnie wyniki fizjologiczne *senhora* Corty bardzo się pogorszyły - powiedziała doktor Wolikowa.

- Ziemia to surowa pani - dodał Lucas.

- Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Lucas poturlał się do sypialni.

Alexia zamknęła drzwi. Znajome skanery i monitory, sprzęt do oddychania, wszystko było poskładane i odsunięte. Łóżko wodne stało samotnie, odsłonięte i oddzielone.

- Lucas, czy ja naprawdę jestem twoją asystentką?

- Jesteś.

- No to nie traktuj mnie, kurwa mać, jak siostrzenicy. Nie zatrudniłeś mnie, żebym sobie stała w krótkiej spódniczce, szpilkach i ładnie wyglądała. Wysłałem na głupią na oczach tych ludzi od przeprowadzki. A zresztą kto ich zatrudnił? Przecież to moja praca. Daj mi ją wykonywać, Lucas.

- Mój błąd. Przepraszam. Nie jest mi łatwo delegować obowiązki.

- To rozumiem. Ale kiedy wrócisz na Księżyc, to, jeśli dobrze pojmuję, nie będziesz tam mieć zbyt wielu przyjaciół. Ja będę przy tobie, ale musisz mi ufać, że jeśli mówię, że coś zrobię, to na pewno będzie zrobione.

- Bardzo dobrze. Trzeba, żebyś wyleciała z Ziemi razem ze mną.

Próbujesz mnie zdeprimować, pomyślała Alexia. Obserwujesz moje oczy, gardło, ręce, usta, nozdrza, wypatrujesz oznak szoku. Cały ten spektakl zaaranżowałeś, żeby zobaczyć, jak zareaguję. Chcesz zobaczyć, czy się nadaję. Patrz w moje oczy. Nigdzie nimi nie uciekam.

- Jutro wylatuję do Manaus na trening przed lotem. To minimalna niezbędna długość. Ze swoimi sponsorami mogę rozmawiać przez sieć, ale są sprawy, które trzeba dokończyć tutaj w Rio.

- Co mam zrobić?

- Chcę, żebyś zatwierdziła projekt botów. Tego nie będę w stanie zrobić. Musisz je fizycznie zobaczyć, przekonać się, co potrafią. Ponaciskać na termin dostawy. VTO Manaus jest w gotowości, by wynieść je na orbitę, ale muszą znać termin z dwudziestojednodniowym wyprzedzeniem.

- Zrobię to.

- I chcę, żebyś była w Manaus pięć dni przed startem. Badania medyczne i sprawnościowe są dość rygorystyczne. Mam już dla ciebie bilet.

O kurwa. Wziął ją. Alexia powstrzymała uśmiech.

- Jeszcze jedna rzecz. - Lucas sięgnął pod marynarkę od Bogliolego.

Alexia zachwycała się jego garniturami. Nigdy nie pokazywał się dwa razy w tym samym. W butonierce zawsze kwiatek, świeży, zawsze różowy i zawsze zroszony, choćby i w dni, gdy na Avenida Atlantica skwar walił jak młotem. Z ręki zwisał srebrny amulecik.

- Proszę.

Alexia kucnęła, pochyliła się, a on zapiął jej go na szyi. To nie był żaden prezent. Żadna biżuteria. To było otrzymanie błogosławieństwa przez średniowiecznego rycerza.

- W tym jest kod - dodał Lucas. - Moja rodzina ma go od

pokoleń. I teraz daję go tobie. Jeśli cokolwiek mi się stanie, jeśli nie będę mógł cię o to poprosić, ani wyrazić w jakikolwiek sposób zgody na jego użycie, masz go użyć.

- Ale jak... kiedy...

- Będziesz wiedzieć.

Alexia uniosła amulet, topór o podwójnym ostrzu.

- Topór Xango - powiedziała.

- Pana sprawiedliwości. Matka czciła *orixas*. Nie wierzyła w nie, ale je szanowała.

- Jestem to w stanie zrozumieć. A co on robi?

- Przywołuje grom - powiedział Lucas.

Alexia opuściła amulet na skórę.

- Jak to możliwe, że nie będziesz mógł mnie poprosić?

- Wiesz, co mam na myśli.

Turla go z powrotem do apartamentu. Pakowacze powkładali wszystkie papiery do pudeł, pudła ustawili w stosy, a stosy w rzędy.

- Jedno pytanie.

- Pytaj.

- Gdzie ty, do cholery, trzymałeś te wszystkie rzeczy?

- A, bo wiesz, wziąłem też drugi apartament, ten po sąsiedzku - powiedział Lucas Corta.

- No chodź - powiedziała Alexia i opuściła tylną klapę pickupa.

Poduszki, turystyczna lodówka z Antarcją, wetknięty do gniazdka zapalniczki odstraszacz na owady. Norton wyszczerzył się od ucha do ucha na widok piankowego materaca. Alexia wysunęła go na krawędź paki, wskoczyła nań i poklepała miejsce obok. Norton nastawił radio na wieczorny cichy bulgot i przyłączył się do niej. Podparli się poduszkami i siedzieli obok, z nogami zwieszonymi z paki, z piwem w dłoniach, patrząc na wielki świetlny sierp *Recreio dos*

Bandeirantes i Barra da Tijuca.

Alexia znalazła tę kryjówkę pod osłoną dżungli niemal przypadkiem, szczęśliwie źle skręciwszy podczas jazdy do klienta. Zamiast do niego trafiła na to rozszerzenie drogi dla leśników prowadzącej w głąb rezerwatu Pedra Branca. Rezerwat był ostatnim skrawkiem starego nadmorskiego lasu tropikalnego, sponiewieranym i wybielonym przez zmiany środowiska, ale wciąż trzymającym się pazurami wzgórz ponad Recreio dos Bandeirantes. Wsiadła z pickupa, posłuchała, pooddychała powietrzem, spojrzała w dal. Poczowała cień, chłód, powolny oddech drzew. Zobaczyła w górze między gałęziami przelatującego tukana z upolowanym pisklęciem w dziobie. Usłyszała owady, dalekie fale, wiatr. Wieczny szum aut ścichł tu do niskiego, basowego pomruku.

Uwielbiała to miejsce, choć starała się mieć pod ręką paralizator. Trafiały się tu zdziczałe chłopaki ukrywające się w lesie przed policją, gangami, biletem do wojska czy rodzinami. Ostatnim razem, gdy tu wjechała, zawadziła czubkiem stopy o ludzką piszczel wywleczoną z głębi dżungli przez jakiegoś padlinożercę.

Długo się zastanawiała, czy przywieźć tu Nortona.

Był milkliwy. Miała nadzieję, że to piękno widoku zapało mu dech. Miała nadzieję, że to milczenie ma inną naturę niż przez ostatnie pięć dni, kiedy nie odzywał się, nie odbierał telefonów, drzwi nie otwierał -odkąd powiedziała mu o Księżycu.

Uniosła butelkę piwa. Norton stuknął się z nią.

- Na Księżycu piją piwo?
- Tylko mocne alkohole. Nie da się uprawiać jęczmienia. I mięsa też za wiele nie jedzą. I kawy nie mają.
- To długo tam nie przeżyjesz.
- Próbuję się odzwyczaić jeszcze przed wylotem.

Prawie nie widziała jego twarzy, lecz i tak wiedziała, że przewrócił oczyma. Poczowała, że z powrotem rozpiera się na poduszkach.

- Pięknie tu jest - powiedział. - Dziękuję ci.

To prezent dla ciebie, pomyślała Alexia. Moje miejsce. I zaczęła się zastanawiać, którą tu pierwszą sprowadzi na siodełku swojego motoraka. Aż sama zdziwiła się, jaka jest cyniczna.

- Norton.

- Tak myślałem, że będziesz miała jakąś sprawę.

- Mam już datę startu.

- Kiedy?

Podążyła mu. Znowu nic nie mówił przez dłuższą chwilę.

- Boję się, Norton.

Był milczącą, ciemną, nieruchomą masą.

- To może obejmij mnie, albo coś?

Jedną ręką. Nachyliła się ku niemu.

- To tylko dwa lata.

Jakieś poruszenia w zaroślach; pickup włącza długie światła. Rozpierzchają się spłoszone blaskiem drobne stopki.

- A już zdecydowałaś, co z firmą?

No nie, znowu. Norton uważał, że jest naturalnym spadkobiercą Corta Aqua. Alexia na wiele pomysłowych sposobów sugerowała mu - tak, by nie powiedzieć wprost - że pod jego rządami kasa wyschłaby w miesiąc.

- Zostawiam ją *seu* Osvaldowi.

Poczuła, jak zszokowany Norton sztywnieje z gniewu.

- *Seu* Osvaldo prowadzi siłkę dla pedałów. Nie jest inżynierem od wodociągów.

- Umie zarządzać firmą.

- Ja pierdołę. To gangster i tyle.

A ty to nie? - pomyślała Alexia.

- Jest znany i ludzie go szanują.

- Parę osób zabił.

- On nigdy nikogo nie zabił.

- To taka zabawa słowami, *lê*.

- Norton, on wie, co trzeba zrobić i jak to zrobić. A ty... -

Ugryzła się w język.

- A ja nie. Tak? To chcesz mi powiedzieć? Norton de Freitas nie umiałby poprowadzić twojej firmy.

- Norton, to musi być koniec. - Trzeba zerwać czysto. Żadnych więzów, żadnych sznurów, niczego, co by wiązało ją z Ziemią.

- To tylko dwa lata. Sama tak mi mówisz.

- Norton, przestań.

- Lecisz na Księżyc, mija rok, dwa lata, trzy lata i potem już nie możesz wrócić. Ja wiem, *lê*, jak to działa. Księżyc wyzera ci kości, aż w końcu nie możesz wrócić na Ziemię, choćbyś nie wiem jak chciała.

Nic tu nie pomoże, żadne obietnice, żadne propozycje, żadne próby udobruchania.

- Lecę na Księżyc, Norton. Na Księżyc, kurwa. Wsadzą mnie do rakiety i wystrzelą w kosmos. I się boję.

Siedzieli obok siebie na pace pickupa, patrząc przez przerwę między drzewami na światła cudownego miasta. Nie dotykali się, nic nie mówili.

Alexia otworzyła kolejną butelkę, lecz piwo miało nieświeży i niezdrowy smak. Cisnęła ją daleko w mrok.

- Boję się, kurwa mać.

- Mogę być twoim trenerem.

- Co takiego?

- Sprawdziłem parę rzeczy. Żeby polecieć w kosmos, musisz być w świetnej formie. Ja mogę być twoim trenerem.

Ta propozycja była tak odczapiasta, głupia i tak szczera, że Alexia aż poczuła, że w sercu wyrasta jej maleńki kwiatek. Ktoś ci wybacz, więc to przyjmij.

- I co będę ćwiczyć?

- Mięśnie tułowia. Wytrzymałość. Ćwiczenia na maszynach i z ciężarami. Trochę biegania.

- Żadnego biegania. Głupio wyglądam, jak biegam. Podskakują mi różne rzeczy. Ja chodzę. Energicznie i z

godnością.

Poczuła śmiech Nortona, basowe drgania przez ramę pickupa.

- Dużo czasu nie ma, ale tak, żebyś się nadawała do startu, to spokojnie mogę cię wytrenować. Będiesz umięśniona, *lê*. Napakowana.

Alexii bardzo podobał się obraz wywołany przez te słowa. Pozwoliła sobie wsunąć palec pod koszulkę, dotknąć brzucha. Szczupły, mały, ale i tak trochę wystający, nawet przy ogólnej chudości. W rodzinie, w której każdy miał posturę szafy, każdy wuj, każda ciotka, nawet Caio był solidny jak na dzieciaka, nawet Marisa była grubokoścista - ona uchodziła za tyczkę. Chudzielec. Skóra i kości. A będą mięśnie. Mały kaloryferk.

- To by był najlepszy prezent na pożegnanie, jaki możesz mi dać. - Pożegnanie. Podkreśliła to słowo. Nie chciała, by Norton żywił jakieś złudne nadzieje.

- To będzie ciężka praca.

- Mówisz do mnie.

- Jutro po ciebie przyjadę. Masz odpowiednie buty?

- Mam robocze buty.

- No to najpierw na zakupy.

- O, taki trening to mi się podoba.

Norton położył się na materacu, całym w olejku z cytroneli z psikacza odstrasżającego owady. Splótł palce za głową i spojrzał w górę na listowie.

- A wiesz, co dobrze robi na kondycję?

To był ten sam pokój. Lucas ubolewał, że nie zostawił w nim jakiegoś śladu, jakichś dyskretnych rys, dzięki którym mógłby mieć pewność, że to ten sam pokój do kwarantanny, w którym siedział, gdy spadł na Ziemię. Zbiorniki na wodę, panele słoneczne, anteny satelitarne, niesympatyczny klin żółtego betonu, niebieskie niebo, brązowe, zakurzone drzewa. Przez te czternaście dni niebo było pełne dymu. Czuł jego posmak

nawet po przefiltrowaniu i oczyszczeniu przez agregaty ośrodka.

Ziemia była apartamentami złożonymi z pokoiów przechodzących jeden w drugi, klimatyzowanych, pastelowych, z kontrolowanym oświetleniem, odkurzonych, z obsługą, pachnących środkami czystości, wytartą wykładziną i wspomnieniami o posiłkach z room service'u. Ziemia była ciągiem drobnych spostrzeżeń, widoków kadrowanych ramami okien, trzymanyh na dystans za oknem samolotu, domu, auta. Odizolowana i oddzielona.

Raz tylko udało mu się z tych apartamentów uciec, wybić tę szybę, gdy Alexia zabrała go na Barra de Tijuca, żeby zobaczyć mieszkanie, w którym urodziła się matka. Gołe niebo, dalekie widoki. Piasek w butach - spanikował wtedy i teraz wstydził się tego. Ruch uliczny, otwarte niebo. Zapach morza, wypalonego słońcem piasku, samochodowych opon i akumulatorów, gotowania, szczyń, nasienia i śmierci.

Lucas Corta podniósł się z wózka i pokuśtykał do okna, by spojrzeć na maleńki wycinek Brazylii.

W szybie zobaczył swoją twarz, widmowe odbicie na tle ducha Brazylii. To nie była twarz starca ani kogoś, kto się przedwcześnie postarzał. To było coś bardziej przerażającego — twarz człowieka w średnim wieku przyciśniętego od góry przez grawitację. Każda fałda, każda rysa, każda zmarszczka i każdy por, wypukłość ust, zadarcie nosa, długie, zmysłowe małżowiny uszu, włosy w brodzie, fałdy na szyi, podbródek, policzki, wszystko ciągnięte w dół, obwisłe i rozmyte. Wyprane przez ciężenie z wszelkiego życia, wszelkiego wigoru. Wieczna i bezlitosna grawitacja wycisnęła z niego całe życie, cały sok, cały ogień.

Nie mógł już się doczekać, kiedy wróci do domu na Księżyc. Już nie potrafił sobie wyobrazić, jak tam jest.

Ziemia okazała się piekłem.

Trenerkę dali mu inną niż ta, która przygotowywała go na

Brazylię - ponurą młodą kobietę życzącą mu śmierci za każdym razem, gdy okazywał się wredny, ale ćwiczenia były równie przygnębiające jak wcześniej i o wiele trudniejsze: przy starcie będzie musiał wytrzymać czterokrotność ziemskiego ciężenia. Czyli dwadzieścia cztery księżycowe.

Doktor Wolikowa mówiła, że w cyklerze będzie zespół reanimacyjny.

Dwadzieścia cztery księżycowe ciężenia. Do takiego maltretowania nie mógł go przygotować żaden trening i dlatego Lucas patrzył na te kilka minut pełnego ciągu ze spokojem. Szansę przeżycia miał nieco większą niż pięćdziesiąt procent. To mu wystarczało.

W noc przed startem nie spał. Tyle było rozmów, telekonferencji, szczegółów, które należało sprawdzić i zweryfikować. Sojuszników miał zdradzieckich, wiedział o tym od pierwszego dnia, kiedy w jego wirtualnej sali konferencyjnej pojawili się nieufni przedstawiciele ziemskich mocarstw. Widzieli potęgę i bogactwo Księżyca. Pragnęli go. Potrzebowali tylko twarzy, którą zna Księżyc, i która zna ten świat, jego prawa, jego politykę, zwyczaje i sprawy. Gdy przestanie im być przydatny, gdy dowiedzą się wystarczająco dużo, zwrócą się przeciwko niemu. Ale na razie nie. Na razie musi przeżyć dwadzieścia cztery księżycowe ciężenia.

Przez resztę nocy przed startem opracowywał sobie playlistę z João Gilberto, który miał mu śpiewać w drodze na orbitę. Szemrzące gitarowe akordy, mruczący głos, łatwe jak pacierz słowa miały być kontrapunktem dla grzmiących energii kosmicznego lotu.

Adriana kochała João Gilberto.

Z rana przed startem nic nie jadł. Napił się wody i popływał. Do wahadłowca popchał go na wózku ten sam poważny młody człowiek w kiepskim garniturze, który zwoził go ze statku po przylocie. Pojechali korytarzami, gdzie w oknach frustrująco migały wyprane z kolorów ziemskie widoki.

- Abi Oliviera-Uemura - powiedział Lucas. - Nigdy nie zapomnę nazwisk.

W miejscu, gdzie ze śluzą stykał się rękaw, zostawił swoją laskę ze srebrnym czubkiem.

Doktor Wolikowa i Alexia już siedziały w pasach. Samolot był pełen — oprócz najbliższego personelu Lucasa na górę lecieli dyplomaci i zaufani ludzie jego politycznych partnerów.

- Dzień dobry - przywitał się z Alexią.

Zmusiła się do wąskiego uśmiechu. Była bezgranicznie przerażona.

- Loty w kosmos to teraz nic nadzwyczajnego. Rutyna.

Puścił swojego João Gilberto.

Gdy wahadłowiec odzepił się od rękawa i cofał, nie złapał się podłokietników. Nie oglądał się w strachu na doktor Wolikową po lewej i Alexię Cortę po prawej, kiedy kołowali. Nie chwycił się niczego, gdy zawrócili na końcu pasa i uruchomili silniki turboodrzutowe. Nie jęknął, gdy wystartowali, gdy przeciążenie zrzuciło mu biurowiec na klatkę piersiową. Nie krzyknął, kiedy się unieśli i zadarli nos w górę, coraz wyżej i wyżej, aż miał wrażenie, że patrzy w lufę jakiegoś kosmicznego działa. I wtedy ciągnęły główne silniki.

Samolot kosmiczny wzbił się wysoko nad Amazonię. Na wysokości piętnastu kilometrów odpaliły się główne silniki. Ciąg rakiet pchnął pojazd w niebo. Na Lucasa Cortę spadł ciężar całej planety. Jęknął cicho, gdy wyciskał mu powietrze z płuc. Nie mógł nabrać tchu. Spróbował spojrzeć na doktor Wolikową, bez słów przekazać jej błagalną prośbę o pomoc, lecz nie był w stanie poruszyć głową, a zresztą ona, tak samo wciśnięta w fotel przez wiele g przyspieszenia, ze skórą napiętą wokół oczu i ust, też nic nie mogła zrobić.

Pomocy, powiedział samymi ustami Lucas. Pięść z rozżarzonego żelaza miażdżyła mu serce, zaciskając się mocniej z każdym uderzeniem. Nie mógł oddychać. Próbował się skupić na muzyce, skoncentrować na sekwencjach akordów, zatracić

się w niej, jak to czynił przed lotem na Ziemię, gdy udrękę ćwiczeń pomagał przeżyć jazz. Przeciążenie rozgniało go. Pękały mu kości. Na pewno zaraz pękną gałki oczne, a po nich czaszka. Serce mu umierało, łuszczyło się kawałek po kawałku i czerniało. Zapadał się w siebie, implodował na środkowym fotelu wahadłowca VTO Manaus. Ból przekraczał wszystko, co w życiu przeżył, wykraczał poza pojęcie bólu. To była totalna anihilacja. I ciągnęła się w nieskończoność.

Zobaczył odwróconą ku sobie głowę Alexii, teraz o rozplaszczonych przeciążeniem rysach, obrysowaną rozmytym czarnym konturem i polem widzenia zwężającym się do szczeliny, kwadracika, punkcika — a w nim mały podwójny topór Xango. Coś krzyczała.

„Lekarz! Lekarz!”.

W uszach Lucasa Corty szeptała *Chega de Saudade*. Jednostopniowa rakietka nośna *Domingos Jorge Velho* pięta się w górę na słupach ognia. Wiatr zwiewał kłęby dymu nad resztki amazońskiej dżungli.

Jorge-Maria przyniósł piwo, Orbison - lód. *Tia Ilia* przyniosła *doces*, a *tia Malika* - mięso i szpady. *Tio Mateo* ustawił na balkonie grilla, po czym urządził wielki spektakl z ustalaniem kierunku i siły wiatru oraz rozpalaniem ognia z użyciem jak najmniejszej ilości podpałki. Wuxu z dwunastego przyniósł swoją muzykę, którą ciągle puszczał tak, aż cały blok się trząsał, muzykę, której nikt nie chciał słuchać, bo jedyne, czego wszyscy chcieli od Wuxu to jego umiejętności rzucania wideo z sieci na wszystkie ekrany w mieszkaniu naraz. Ale i tak ją puścił.

Lód wylądował w brodziku pod prysznicem, w lodzie - piwo, szpady trafiły na grilla, a *doces* na talerzyki, które Marisa rozdała gościom. Goście wylądowali na kanapach, a wideo na wszystkich małych i dużych ekranach. Harmider był

niesamowity. Wszyscy krewni, znajomi i sąsiedzi od czterech pięter w dół po ostatnie piętro stawili się, żeby patrzeć, jak Królowa Rur odlatuje z Ziemi.

Cicho, cicho, cicho, to już będzie to.

Starty w kosmos były tak rutynowe, że transmisję upchnięto na jakimś podrzędnym kanale, przerywaną co piętnaście minut reklamami. W mieszkaniu zapadła cisza. W sąsiednim pokoju dudniła muzyka Wuxu. Essen, który mieszkał dwa piętra niżej, złapał nóż kuchenny i poszedł do niego. Ściszyła się trochę, ale nie zamilkła, bo tej muzyki nikt nie był w stanie zatrzymać. Kosmiczny samolot potoczył się po pasie. Potem nic się nie działo, tak długo, że ktoś poprosił Wuxu o sprawdzenie, czy transmisja się nie zawiesiła. Potem ze srebrzystego rozwibrowanego od żaru powietrza wyłoniła się czarna strzałeczka. Popędziła w stronę kamery, uniosła się w powietrze. Wszyscy zaczęli wiwatować. Poleciała w górę na słupie ognia. Wtedy przeskoczyło na reklamy i wszyscy zrobili „uuuuu”.

Matka Alexii płakała niepokieszona.

Wuxu zabrał swoją muzykę i wszystkie dzieciaki z powrotem na 12. piętro, gdzie tańczyły aż do wieczornego spadku napięcia.

Wahadłowiec wyłonił się z cienia Ziemi w poranek i rozpałił się słońcem, igła ognistego srebra. Pędził w stronę świtu z prędkością dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów na godzinę. Ziemia była niebieska i pełna życia, pokryta białymi chmurami; orbiter, okruch ziemskiej technologii, był maleńki na tle jej potężnej krzywizny. Tysiąc kilometrów za jego rufą, z wyższej orbity zjeżdżał już czubek holu, niewidoczny w oślepiającym blasku słońca. Orbiter wszedł w pełne słońce. Okna rzuciły migawkowe cienie, które przeskoczyły po pokładzie i uciekły do zenitu, w czterdzieści pięć minut wydłużając się ku

wieczorowi. Nagły wieczór. Przelecieli nad Saharą, nad oświetlonymi zmierzchem brązowymi wydmami. Farmy słoneczne pięćset kilometrów pod nimi mrugnęły na pożegnanie zachodzącemu słońcu i zgasły. Egipska noc płonęła światłami wzdłuż Nilu, węża złożonego z dwustu milionów światełek. Nic nie mogłoby bardziej dobitnie świadczyć, że Egipt to Nil. Ciemność zapadła nad Morzem Kaspijskim; świetlne sieci rozciągały się po Azji Środkowej, miasta i szosy, przemysł i linie wysokiego napięcia.

Sto kilometrów do transferu. Wahadłowiec uwolnił moduł transferowy. Plunął bezgłośnie iskrami plazmy z silniczków korekcyjnych, dopasowując się wektorem do holu. Ramię manipulatora wyciągnęło moduł z ładowni. Światła zamrugały czerwono, kiedy opadał hol, wysięgnik poczynił ostatnie, drobne korekty. Podczas transferu ich prędkości względne miały przez chwilę wynosić zero. Czerwone światło zmieniło się w zielone. Końcówka holu przyczepiła się do magnetycznego sprzęgu, gdy wysięgnik puszczał moduł. Obracający się hol z coraz większą prędkością kręcił modułem, zabierając go z wahadłowca, który teraz jarzył się niebieskimi ognikami silniczków mających go odsunąć.

W najwyższym punkcie cyklu hol puścił moduł. Poleciał wysoko o swobodnie ponad obliczem Ziemi, prosto we wschodzące słońce. W samym sercu słońca czarny punkcik - cykler VTO *Święci Piotr i Paweł*. Hol zakręcił się wokół błękitnej planety. Moduł transferowy miał tylko jedno źródło napędu - silniczki manewrowe nadające się głównie do dokowania. Gdyby hol cisnął nim zbyt mocno, nie trafiłby w cykler i poleciałby, bezradny, w otwarty kosmos. Gdyby zbyt słabo — spadłby i spalił się w atmosferze o poranku.

W odległości dwudziestu kilometrów cykler nabrał kształtu - oś pośrodku, wokół niej ułożone piętrowo pierścienie, zbiorniki środowiskowe i silniki manewrowe na jednym końcu; na drugim bukiet skrzydeł baterii słonecznych. Delikatny

księżycowy kwiat. Przeciężenia połamałyby mu te panele i belki jak łodyżki. Pięć kilometrów. Hol wycelował idealnie. Nigdy jeszcze nie spudłował, choć wirował wokół Ziemi od sześćdziesięciu lat.

Silniczki znów delikatnie zamigotały, dopasowując moduł orientacją do śluzy cyklera. Oba statki, niczym nieśmiali tancerze na weselu, wyfrunęły z nocy w kolejny świt. Blask słońca rozplómił złotem znaki

VTO na brzuchu kapsuły. Zabiegi porządkowe: oba statki utrzymywały przyzwoity dystans na czas ostatnich sprawdzeń. Silniczki pyknęły jeszcze raz. Prędkość względna statków zmalała do dziesięciu centymetrów na sekundę. Nad Morzem Japońskim spotkały się i złączyły. Trzasnęły sprzęgi, uszczelki napęliły się gazem. W śluzie cyklera w pogotowiu stała ekipa medyczna VTO.

Tego nie dawało się przyśpieszyć.

Otworzył się właz.

Ratownicy wpadli do modułu.

Trzy dni po tym, jak cykler VTO *Święci Piotr i Paweł* okręcił się wokół Ziemi i skoczył w stronę Księżyca, Corta Aqua rozesłała wszystkim swoim klientom zawiadomienia. Po zmianie kierownictwa firmy niezbędne jest zatrudnienie na zlecenia inżynierów, by nadal utrzymać wysokie standardy czystości wody i niezawodności sieci. Z ubolewaniem stwierdzamy, że oznacza to podwyżkę cen. Bardzo niewielką.

Kręciło jej się w głowie od wirujących gwiazd.

Kopuła obserwacyjna stanowiła bąbel z hartowanego szkła na końcu osi obrotu *Piotra i Pawła*. Była wystarczająco duża, by na gwiazdy mogły patrzeć dwie osoby. Dwie młode dziewczyny z VTO w obcisłych lotniczych kombinezonach sprowadziły ją do

piasty i kazały poczekać. *Czekajcie*, zawołała za nimi Alexia, lecz one już odpływały ku linii poręczowej pośrodku, wiosłując miękkimi płetwami. Mam się obracać z gwiazdami czy zachować pozycję względem statku? Kiedy trzymała się ściany, gwiazdy wirowały tak szybko, że kręciło jej się w głowie. A kiedy puszczała poręcz, rozkładała ręce i nogi i zaczynała się kręcić, nie umiała dopasować się prędkością obrotową do gwiazd, a kręcący się pozornie wokół statek dezorientował ją. Nie mogła się skupić i była o krok od zwymiotowania.

Nieważkość i Alexia Corta — to nie był dobry związek. Mięśnie tułowia, które tak pieczołowicie wyćwiczył jej Norton, obroniły ją przed maltretowaniem w trakcie startu, natomiast w zero g albo reagowały zbyt mocno, albo dostawały skurczów. Stopy, dłonie, także, co okropne, twarz, miała obrzękniętą i napiętą. Skóra wydawała się naciągnięta i brudna, a przez obniżone ciśnienie powietrza wszystko ją swędziało. Nie potrafiła opanować włosów, wchodziły jej do oczu, wciągała je nosem, zasłaniały jej widok, póki jakaś dziewczyna z załogi cyklera nie dała jej siatki. A gdy próbowała się poruszać, machała rękoma i nogami jakby pływała pieskiem.

Chwyliła się poręczy i odbiła w głąb bąbla. Aż sapnęła. Unosiła się w kosmosie. Otaczały ją wirujące gwiazdy. Patrząc w dół, widziała baterie słoneczne rozpostarte wokół jak płatki wilca - księżycowego kwiatu. Pod nimi - koncentryczne pierścienie habitatów. A zbliżywszy się do samej szyby, była w stanie dojrzeć moduły łącznościowe i silniki manewrowe. Toczyła się przez kosmos na szklanym tronie.

- Coś chyba w tym jest.

Widok był tak oszałamiający, że nie zauważyła, gdy ktoś wszedł. Zawisł o metr od centralnej liny zakotwiczonej odciągami i karabińczykami.

- Co takiego?

- Ta uroda Cortów. I bezczelność Cortów.

- *Gospodin Woroncow*.

Wzruszył ramionami i skrzywił się. Mężczyzna, pomyślała - bo postać była tak pokrzywiona, wychudzona i rozciągnięta, tak poowijana linkami i rurkami, że trudno było rozpoznać płeć. A to co, woreczki do kolostomii?

- Jestem Alexia Corta.

Starzec skrzywił się raz jeszcze, zignorował wyciągniętą dłoń. Nieznacznie zmienił orientację w przestrzeni, dopasowując się do niej. Savoir-vivre w nieważkości. Przypomniała sobie tę zasadę.

- Była pani inżynierem od wody. Wspaniały zawód. Szanowany. Pierwotny. Wszystko zaczyna się od wody i na wodzie się kończy.

- Dziękuję panu.

- Mówią, że przeżyje.

- Przez siedem minut był w stanie śmierci klinicznej. Ekipa reanimacyjna zajęła się nim dosłownie w ostatniej chwili. Ciężki zawał.

- Mówiłem mu, że Ziemia zmiażdży mu serce. Czyli jesteś ostatnią Cortą.

- Lucas dochodzi do siebie, sir.

- Wiesz, co mam na myśli, „ostatnią Cortą”. Ja byłem na tym statku, kiedy na Księżyc leciała Adriana Corta. Pięćdziesiąt lat to kupa czasu. Tyle trzeba było czekać na kolejną Cortę.

- Pięćdziesiąt lat w kosmosie to kupa czasu.

Walerij błysnął oczyma.

- Pokręcone, chore dziwadła. Debile z chowu wsobnego posiekani promieniowaniem. Całe DNA im zgniło. Nie to, co my. Nie to, co my, o nie.

- Ależ, sir...

- Oni wszyscy tak właśnie myślą. Zawsze nami pogardzali. Asamoah mają nas za barbarzyńców. Mackenzie za zapitych debili. Sunowie w ogóle nie uważają nas za ludzi. Trochę szkoda. Chciałem to wszystko wygarnąć Lucasowi w twarz. A tak muszę powiedzieć tobie.

- Ależ, sir, ja tylko...

- Ostatnia Corta. A i broń masz ze sobą. - Zaczął z wysiłkiem podciągać się na lince. Za nim popłynęły, podskakując, woreczki z odchodami i moczem.

- Sir!

Walerij Woroncow zatrzymał się.

- Lucas coś mi dał. Hasło.

- Za stary jestem na jakieś zagadki, enigmy — powiedział Walerij Woroncow. — Nie wytrzymuję niespodzianek. Powiedz, co masz powiedzieć.

- To jakieś hasło-rozkaz. Nie wiem, co robi.

- A co powiedział Lucas?

- „Przywołuje grom”.

- Czyli masz odpowiedź.

- Powiedział, że jeśli nie będzie mógł mnie o to poprosić, ani w jakikolwiek sposób wyrazić zgody na jego użycie, mam go użyć.

Walerij Woroncow westchnął ciężko i dokończył manewr. Podciągnął się wzdłuż linki zamaszystymi, wielometrowymi skokami. Od windy zawołał jeszcze:

- Nie myślisz, że dwóm światom przydałby się grom?

Gwiazdy wirowały jej nad głową. Alexia Corta uniosła topór Xango Sprawiedliwego do ust i ucałowała go.

Musisz mi ufać, że jeśli mówię, że coś zrobię, będzie zrobione, tak mu wtedy powiedziała. *Máo de ferro*.

Wyszeptwała zaklęcie, którego nauczył ją Lucas.

- Żelazny potop.

10.
SKORPION 2105

Dwieście czterdzieści.

Tyle tych liczb ma w głowie Luna Corta. Osiem. Jeden. Dwadzieścia pięć. Osiem. Trzydzieści. Trzy. Ale od tych wszystkich małych liczb większa jest liczba „dwieście czterdzieści”.

Dwieście czterdzieści. Tyle sekund ludzki umysł jest w stanie przeżyć bez tlenu.

Osiem. Poziom baterii w procentach w skafandrze skorupowym Luny.

Jeden. Stopień Celsjusza. Temperatura, którą ustawił Jinji w środowisku skafandra Lucasinho, gdy skończyło mu się powietrze.

Dwadzieścia jeden. Stopni Celsjusza. Temperatura, przy której u ludzi uaktywnia się zarówno odruch nurkowania, jak i hipotermia, co znacząco chroni mózg przed skutkami niedotlenienia.

Osiem. Odległość w kilometrach do najbliższej służby João de Deus.

Trzydzieści. Kilometrów na godzinę. Maksymalna bezpieczna prędkość biegu skafandra VTO Mark 12.

- Luna: Lucasinho dał mi powietrze, jak mogę mu trochę oddać? -pyta Luna swego chowańca.

Masz za mało powietrza dla was obojga do João de Deus.

— Ale ja nie idę do João de Deus.

Trzy. Ostatnia liczba na HUD-zie w hełmie Luny Corty. Odległość w kilometrach do służby zewnętrznej Boa Vista.

Masz za mało powietrza dla was obojga do Boa Vista.

Dwieście czterdzieści. Tyle sekund ludzki umysł jest w stanie przeżyć bez tlenu. Trzy podzielić przez trzydzieści. Luna nie

umie tego policzyć, ale tyle zajmie jej dotarcie do Boa Vista na maksymalnej prędkości, i to musi być mniej niż dwieście czterdzieści sekund. Ale ma tylko osiem procent baterii, będzie mieć dodatkowe obciążenie, a w ogóle, czy skafander pozwoli dziewięcioletniej dziewczynce puścić się na pełną prędkość?

Luna, liczby zostaw mnie.

Luna każe skafandrowi uklęknąć. Jego łapska są wielkie i niezdarne, Luna nie ma praktyki z interfejsem czuciowym i nigdy nie podnosiła czegoś tak bezcennego jak to, co próbuje unieść teraz.

- No dawaj - szepcze, wsuwając łapska pod ciało Lucasinho, przerażona potwornie, że coś mu uszkodzi. - No, proszę cię.

Rozprostowuje nogi i bierze go w objęcia.

- Dobra, skafander - rozkazuje. - Biegnij.

Od przyspieszenia prawie przewraca się w tył. Krzyczy z bólu wyrwanych i szarpanych stawów. Skafander prawie wyszarpuje jej nogi z miednicy. Nie są w stanie poruszać się tak szybko. Żyroskopy skafandra stabilizują ją, przywracają równowagę. Omal nie wypuszcza Lucasinho. W czerwono-złotym skafandrze skorupowym pędzi przez Morze Żyzności. Zbiega z czerni w szarość, przeskakując susem linię pomiędzy Krainą Szkła a gołą skałą. Regolit sypie się jej spod stóp, zostawiając kilwater powoli osiadającego pyłu.

Sto dziewięćdziesiąt. Nowa liczba, którą chowaniec Luni wyświetla jej w hełmie. To liczba sekund, których potrzebuje na dotarcie do głównej śluzy Boa Vista. Ale potem musi jeszcze dojść od śluzy do schronu. Śluza musi się otworzyć. Jej czytnik musi ją rozpoznać. Ile to dodatkowych sekund do tych stu dziewięćdziesięciu?

- Luna - mówi, i zaczyna śpiewać piosenkę, którą zna od urodzenia, piosenkę, którą śpiewał jej nad łóżkiem *paizinho*, co noc, gdy przychodził do *madrinhas*, do dziecięcego pokoju.

Posłuchaj, *anjinho*, mojej piosenki. Zaśpiewaj mi ją. Ta piosenka uaktywnia awaryjne protokoły Boa Vista.

Ale co, jeśli to wszystko jest popsute? Jeśli nie ma prądu? Jeśli sto różnych możliwych awarii spowoduje, że śluza się nie otworzy? Jeśli Boa Vista nie zechce wysłuchać jej piosenki?

Luna Corta, w skorupowym skafandrze, z obolałymi stawami i odrętwiałymi mięśniami nóg, wstrzymuje oddech.

Mam potwierdzenie od Boa Vista, mówi Luna.

Teraz widzi, jak ożywają znaki orientacyjne - obracające się czerwone światła na słupkach, prowadzące do domu zagubionych i księżycowych rozbitków. Luna, z kuzynem w ramionach, biegnie środkiem klina ze światełek. Przed sobą ma pochylnię ze spieku prowadzącą do głównej śluzy i otwierającą się na ciemną szczelinę.

Boli, boli, boli. W życiu nic jej tak nie bolało. Wszystkie cyferki w HUD-zie hełmu zmieniają się na białe. Białe to koniec. Białe to śmierć. Centymetr za centymetrem, linia czerni rozszerza się w prostokąt.

- Luna, pokaż, gdzie jest schron.

Na szarości i czernie nakłada się żółta, schematyczna mapa Boa Vista. Schron to zielona kostka dziesięć metrów za śluzą. Luna skupia się na niej, chowaniec wypełnia schemat cyframi. Luna wyczytuje z nich: trochę powietrza, trochę wody, trochę pomocy medycznej. Trochę schronienia. Na trochę.

Wbiega pod wciąż unoszącą się gilotynę zewnętrznych wrót śluzy, w ciemność.

Za mało energii na czołówkę, przeprasza Luna-chowaniec, lecz skafander pędzi nieomylnie, na pamięć. Jest. Zielony w ciemności, przez iluminator widać zielone światelko awaryjne w środku. Dobra, kochana zieleń.

Dwieście dziesięć sekund.

- Sok z gujawy, Luca - mówi Luna. - Sok z gujawy w Cafe Coelho. Bardzo zimny.

Czołówki hełmów tańczą w świetle tunelu, omiatają gładkie

ściany, podłogę ze spieku, podskakują w rytm poruszeń postaci. Biegających postaci, tak szybko, jak tylko się odważą w tym niebezpiecznym miejscu, potężnymi, szybującymi, wielometrowymi susami. Geni, Mo, Jamal, Thor i Calyx. Ich elastyki to feeria kolorów i wzorów - żółte i białe szewrony, naszywki i nalepki klubów sportowych, narysowane czerwonym mazakiem kreskówkowe ludziki. Beznamiętna, komicznie błoga twarz Wisznu. Światłne plamy suną w niepokojącym, nieludzkim tańcu przez ciemny tunel. Zwięzłe komunikaty przeskakują z hełmu do hełmu. Uwaga, gruz.

Obwał. Kabel pod napięciem. Opuszczony wagon. Błyskawicznie obstawiają wszystkie przeszkody znacznikami dla AI i pędzą dalej. To wyścig.

Dziesięć metrów.

Mam znacznik.

Tutaj.

Postać w skafandrze z Wisznu zdejmuje z ramienia elektryczny rozpierak i wsuwa go w szparę w drzwiach śluzy. Gdy byli tu poprzednim razem, starannie unikali zostawiania jakichkolwiek śladów, profanowania czegokolwiek, pilnowali, by zamknąć za sobą każde drzwi i każdą bramę. Tym razem to wyścig. Gdy tylko szpara będzie wystarczająco szeroka, przecisną się przez nią po kolei, Genu, Mo, Jamal, Calyx. Thor klinuje drzwi śluzy kawałkiem złamanej belki i zarzuca rozpierak z powrotem na ramię. Urbaniści przeciskają się do śluzy, schodzą po schodkach w wielką pustkę Boa Vista.

Bogowie wiedzą, co tu znajdziemy.

Czujnik się zapalił.

One mogą już tu na nas iść.

Mo. Czujnik się zapalił.

Zapalił się czujnik, po miesiącach milczenia. Po tym, jak ekipa zdążyła się zainteresować archeologią przemysłową i intrygującymi przypominającymi rzeźby niemal wrakami ekstraktorów helu-3 zniszczonymi przez pierwsze BALTRAN-

owe bombardowanie podczas wojny Corta-Mackenzie. Po tym, jak furia Lucasinho Corty w barze wbiła gwóźdź w serce ich wiary w miłość do urbanizmu. Zapalił się znacznik. Ustalili, że drugi raz do Boa Vista nie pójdą - ogrom zniszczeń aż przytłaczał, wszystko to było zbyt świeże, twarze orixas patrzyły z niemym wyrzutem, poczucie profanacji zbyt silne. Na Księżycu duchów nie ma, ale kamień pamięta. Zanim wyszli, rozsiali po umarłym pałacu masę czujników ruchowych. Na okoliczność szabrowników, historyków, innych Urbanistów. Profanujących stóp. Albo poruszających się kamiennych wspomnień.

W mauzoleum Boa Vista coś się poruszyło. Czujnik zamrugał i wysłał Geni powiadomienie.

A co, jeśli to bot?

Geni przesłała obrazy chowańcowi kolegi. Czujnik był o niskiej mocy, obraz przelotny i w ziarnistej rozdzielczości, lecz wystarczający. Człowiek w skafandrze skorupowym. Niesie na rękach coś dużego.

To nie bot.

Czołówka elastyka ma za małą moc, by oświetlić tak wielki ekosystem jak Boa Vista, a wewnątrz ogromnej starej rury magmowej jest usiane groźnymi odłamkami skalnymi, gruzem i lodem. Geni, Mo, Jamal, Thor i Calyx lawirują pomiędzy zawałonymi pawilonami, przechodzą po zdradzieckich kamieniach w zamarznętej rzece, naprowadzani przez siatkę znaczników, przez nakładki AR na soczewkach, ale przede wszystkim przez bładozielony blask dobiegający z północnego końca habitatu, z okolicy głównej śluzy.

Podjedziemy tam łazikiem i przejdziemy przez śluzę. Pryszcz.

Aha. Jasne. Te boty, których tak się bałeś, nie pamiętasz?

A, kurwa.

Idziemy jak poprzednio. Przez tunel tramwajowy.

Zielony blask to awaryjne oświetlenie schronu, który ma mało prądu i zasobów. Urbaniści pędzą przez martwe ogrody Boa

Vista, lawirują, podbiegają, przeskakują. Geni, Mo, Jamal, Thor i Calyx dopadają jarzącego się zielono okienka w drzwiach śluzy schronu. Przez skroploną rosę ledwie widzą postać w skorupowym skafandrze, siedzącą na podłodze, plecami do drzwi. Hełm ma zdjęty. To dziecko. Kurwa mać, w tym schronie siedzi dziecko.

- Calyx.

Neutko podłącza swój plecak do złącza zasilania w atmosferę i przetłacza powietrze do środka.

Jest tam jeszcze jedna postać, w białym elastyku, rozciągnięta na podłodze.

Geni wtyka do gniazdka przewód łączności głosowej.

- Halo. Halo. Słyszysz mnie? Jesteśmy Geni, Mo, Jamal, Thor i Calyx. Zaraz was stamtąd wyciągniemy.

Opadają ku niemu spomiędzy belek świata, zeskakują, robią salta, wyłaniają się znad krawędzi. Elektryczne kolory, koszulki z hasłami, opaski na głowach i przegubach, błękitne paski na policzkach, kościach, ustach. Kaskada ciał przebiegających po poręczach, przelatujących nad rurami i kablami, sfruwających z belek, nurkujących pomiędzy przepustami. Ruchy i triki, których Robson Corta nie jest w stanie powtórzyć, może jedynie zazdrościć. Kiedyś będzie w stanie. Jeśli potrenuje. Jeśli będzie trenował bez końca. Analizuje ich sztandarowe triki jak sztuczki iluzjonistyczne, rozbiera je na części pierwsze. Każdy trik jest złożony z prostych elementów. Nauczysz się tego, to znasz i magię. Nie zdarzyło mu się oglądać żadnego triku, którego nie próbowałby rozłożyć na części i sobie przywłaszczyć.

Południkowi traserzy przybywają z daleka, z trzech kwadr miasta, trasami wiodącymi przez architekturę miejskiego dachu, kilometrami na wysokości, migając ciemnymi sylwetkami na tle płonącej linii słonecznej.

Złoty krąg.

Sieć leży, pociągi nie jeżdżą, BALTRAN nie działa, Twé obłązione przez boty, spychacze, spadające z nieba przedmioty, plotki chodzą po świe-cie, postukując tytanowymi kopytkami, ale wysoko w Kwadrze Antaresa pojawił się Złoty Krąg, pod samym dachem nad Prospektem Tierieszkowej.

Złoty Krąg to wyzwanie, to konkurs, wzywający wszystkich traserów gdzieś wysoko.

Południkowa ekipa opada, tworząc krąg wokół Robsona Corty. Są od niego starsi, więksi, silniejsi. Fajniejsi. Znają go. Dzieciak, co spadł z nieba. Trzynastolatek, który spierdzielił swoją pierwszą trasę. A teraz zrobił Złoty Krąg. Lśni nad nim, pierścień fluorescencyjnej taśmy wysoko na boku złączenia rur na 112. poziomie.

Nikt się nie odzywa. Wszystkie oczy wpatrzone w Robsona.

- Zrobiłeś Złoty Krąg — mówi kobieta w szarych marglowych legginsach i błękitnym kusym topie pasującym jej do makijażu.

Każdy traser nosi inny odcień błękitu. Taki zwyczaj w Południku. Będzie się musiał tego nauczyć. Będą różne nowe reguły.

- Wiem. Pewnie nie powinienem... — Gryzł się i wahał przez pół dnia, zanim wykrzesał z siebie odwagę, by ukraść świecąca taśmę potrzebną na Złoty Krąg.

- Pewnie, że nie powinieneś - mówi facet w fiolecie.

- Po co nas tu ściągnąłeś? - pyta kobieta w błękicie.

- Potrzebuję pomocy - mówi Robson. - Nie mam gdzie się podziąć.

- Robson, przecież masz masę kasy - mówi ten w fioletowych rajtkach. - Jesteś Cortą.

- Uciekłem — dodaje Robson, a w głowie powoli kiełkuje mu świadomość, że to może się nie potoczyć tak, jak by chciał. - Denny Mackenzie...

Fioletowy przerywa mu.

- Nie ma, kurwa, mowy. Hahana?

- Twoja ekipa, Robson - odzywa się błękitna kobieta. Hahana. - Traserzy z Królowej Południa. Ci, co nauczyli cię biegać. Masz z nimi jakiś kontakt?

- Próbowałem, ale nie udało mi się...

- A wiesz, Robson, dlaczego ci się nie udało? Bo oni nie żyją. Robsonowi oddech więźnie w gardle. Serce się przewraca. Był bardzo wysoko, teraz spada w nieskończoność. Jego usta wydają dźwięki, których nie umie wyjaśnić ani opanować.

- A wiesz, Robson, jak zginęli? Noże Mackenziech zabrały ich do Lansberga. I wysadziły za służbę. Wszystkich.

Robson kręci głową i próbuje powiedzieć „nie nie nie nie nie”, lecz nie ma w płucach powietrza.

- Robson, ty jesteś trujący. I mówisz „Denny Mackenzie”? Denny Mackenzie? Nie możemy ci pomóc. Nawet to teraz to może być za duże ryzyko. Nie możemy ci pomóc.

Hahana kiwa głową, po czym traserzy rozbiegają się na wszystkie strony, skokami, saltami i przewrotami, dziesiątkiem różnych ruchów, kreśląc przez górne miasto dwanaście różnych tras.

Baptiste, który nauczył go pozycji i nazw poszczególnych ruchów. Netsanet, który tresował go, aż wbiły mu się w odruchy, jak oddychanie i bicie serca. Rashmi, która pokazała mu możliwości własnego ciała. Lifen, który nauczył go innego postrzegania fizycznego świata. Zaky, który zrobił z niego traserą.

Nie żyją.

Robert Mackenzie obiecał, że nie tknie palcem ekipy Robsona. Tyle że Robert Mackenzie nie żyje, a świat, co kiedyś był tak pewny, co jechał po szynach, stopił się, rozpadł, otworzył na próżnię.

To on ich zabił. Baptiste'a, Netsaneta, Rashmi, Lifena i Zaky'ego.

I jest teraz całkiem sam.

Drugiego dnia Zehra przyłącza się do Wagnera i oboje majstrują przy łąziku. Uszkodzenia są rozległe, ale łatwe do naprawy. Wymontować moduł, zastąpić nowym. Praca jest monotonna, powtarzalna, szybko wpada się w jej rytm. Pracują z Zehrą bez słów, nie potrzebują ich. Czy on nie chciałby pójść na obiad? Zrobić przerwy? Ona widzi to znajome mroczne skupienie, uwagę, która może ogniskować się na czymś przez długie godziny. Wilk i jego cień. Wychodzi z hangaru w ogóle niezauważona przez Wagnera.

Hypatia jest za mała na system trójmianowy i działa według Znormalizowanego Czasu Południka. Trzeciego dnia o północy naprawy się kończą, a Wagner i Zehra odpoczywają po trudach. Łazik łśni w świetle reflektorów. Dla oka laika to ten sam poobijany sześciokołowiec, który przyjechał pod śluzę na holu, a potem wyczerpana załoga przepchała go do hangaru naprawczego. Takie oko nie dostrzeże piękna nowych modułów, nowych silników, świeżutko położonego okablowania, części indywidualnie zaprojektowanych przez Wagnera i wydrukowanych według projektu, ręcznie poinstalowanych przez Zehrę.

- Kiedy jedziesz? - pyta ona.
- Jak tylko skończę wszystkie testy i naładują się baterie.

Wagner obchodzi łązik. W prawym oku migocą odczyty diagnostyczne. Soczewka, którą dostał, jest w miarę, za to z każdą chwilą coraz bardziej nienawidzi bezbarwnej, płaskiej osobowości standardowego chowańca. Drobiazg, ale uwiera jak nie wiem. Nie można się do niego przyzwyczaić.

- Jadę z tobą.
- Nie ma mowy. Bogowie jedni wiedzą, co tam się czai.
- Beze mnie śluzę cię nie wypuści — mówi Zehra.
- Jestem *laodą*...
- A ja podrzuciłam do modułu zarządczego jedną linijkę kodu.

Wagner od razu rozumiał, że relacja z *junshim* nie polega na wydawaniu poleceń, lecz na szacunku. Gdy ją spotkał, jako *junshi* pierwszej ekipy szklarskiej, z którą wyjechał z głównej służby Południka, siedziała na podeście łazika, a inni, starsi, brudniejsi, próbowali nastraszyć, zastraszyć, sponiewierać ładnego, młodego Cortę. A kiedy wyprztykali się z amunicji, wskoczyła na siedzenie po drugiej stronie łazika. Bez słowa. Ekipy już ginęły przez wrogość pomiędzy *laodą* i *junshim*. Gdy powoli podjeżdżali pochylnią do służby, Zehra rzuciła na prywatnym kanale: „Jeszcze nie wiesz, czego nie wiesz, panie młody Corta. Ale masz mnie po swojej stronie”.

Baterie mają sto procent. Łazik — sprawny na dwadzieścia różnych sposobów. Załoga wbita w skafandry, plecaki pełne. Wagner wysyła plan wyjazdu. Gdy siedzenie opuszcza się, a pałak unosi, Zehra dotyka jego ramienia.

- Masz dziesięć minut tego okienka. Leć, pożegnaj się z nią.

Wagner nie potrzebuje pytać swojego dziadowskiego chowańca, żeby wiedzieć, że Analiese jest w swojej kapsule. Już na końcu kładki słyszy brzękliwą, rezonującą harmonię i przenikliwy dźwięk burdonów setaru. Ona improwizuje: ciemny aspekt jego osobowości wędruje po nutach, znajdując własne pasaży i progresje. Nie lubi muzyki, nigdy jej nie lubił, rozumie jednak jej siłę, mogącą oczarować i pokierować umysł, docenia mistrzowskie panowanie nad czasem i rytmem. Obawia się jej. Lucas lubił zatracać się w subtelnych niuansach bossa novy, gdzie każda nuta to inny akord. Wagner widział w ekstatycznym zachwycie brata coś pokrewnego z *ekatą* wilczej sfory, była to jednak przyjemność samotna, zatomizowana. Osobista komunika.

Muzyka urywa się w pół taktu. Chowaniec powiedział jej, że stoi pod drzwiami.

Uwielbia patrzeć, jak zawsze w pierwszej kolejności czule chowa instrument do futerału.

- Dobrze na tobie leży ten elastyk, panie *jackaroo*.

- Dużo lepiej, niż kiedy tu przyjechałem.
- Dużo lepiej.

Gdy wypuszczają się z objęć, Analiese wsuwa mu coś do dłoni w rękawicy.

- Wydrukowałam ci leki.

Zatrzymuje jego dłoń, gdy wciska blister do kieszeni skafandra.

- Widzę, *lobinho*. Masz wziąć jeden. Teraz.

Leki wchodzą tak ostro i tak precyzyjnie, że Wagner niemal się zatacza. Pomylił się, wziął swój stan depresyjny za stan wyczerpania walką i intensywne skupienie na potrzebie dotarcia do Robsona w Południku. Od lat nie popełnił takiego błędu. Na powierzchni mogliby przez to zginąć oboje, i on, i Zehra.

- Dziękuję. Nie, to... to za mało.
- Wróć. Kiedy to się skończy... cokolwiek by się działo.
- Postaram się.

Idąc do hangaru dla pojazdów, znów słyszy perliste nuty setaru. Z okna czasowego na wyjazd zostały mu trzy minuty.

- Będzie mi potrzebny ten kod - mówi do Zehry, siadając plecami do niej na miejscu *junshiego*.

- Jaki kod?

Na pierwsze dwadzieścia kilometrów Zehra zamyka się ze swoją muzyką. Wagner z zadowoleniem zostaje sam, mogąc przeżywać pełne wejście na leki. To jazda przez przedpola wojny. Fizyczny świat raz się wyostrza, raz gubi ostrość. Uwaga skupia się na czymś, potem zbacza na coś innego, z fascynacją. Wyobraża sobie okaleczone ucho Analiese. To nie był wypadek. Wypadki tak gładko nie kroją. Musiała zapłacić za zdradę. Dłoń trzymająca nóż okazała dobroć. Zwyczajowo u Mackenziech za zdradę płaci się palcem. Wtedy perlisty dźwięk setaru umilkłby na zawsze.

Od jak dawna Zehra do niego mówi?

- Przepraszam.

- Powiedziałaś, że mogłeś mnie przynajmniej zapytać.

Droga do Południka, przez szkło, wzdłuż Równikowej Jedyńki, jest łatwa. Łazik ma wysunięty maszt z radarem. Hełm Wagnera nie pokazuje żadnych wrogich elementów między nimi a składem w Silberschlagu. Łączność z Hypatią jest dobra, inżynierowie Taiyang latają sznurkiem i drutem dziury w sieci komunikacyjnej. Kolej też już działa, przynajmniej jedna linia, ze Świętej Olgi do Południka. Wojna skończona, wojna przegrana, wojna wygrana, wojna dalej trwa, wojna zmieniła się w coś innego - Wagner i Zehra jadą w powodzi plotek i niepewności. Nie da się być pośrodku wojny i nic o tym nie wiedzieć, myśli Wagner. I znów się zamyśla, i musi przeprosić.

- O co zapytać?

- Jedziesz do Południka dla Robsona. Nie przyszło ci do głowy zapytać, dlaczego ja chcę z tobą jechać?

Wagner założył, że Zehra jedzie z nim z lojalności, a uświadomiwszy to sobie, stwierdza, że kompletnie nic nie wie o własnej *junshi*.

- Nie przyszło. Przepraszam.

- Mam tam kogoś.

Nie miał pojęcia. Nie przyszło mu do głowy.

- Matkę - mówi Zehra. - Jest stara, jest sama, a wokół wali się Księżyc.

- Aaa - mówi Wagner Corta.

- No właśnie.

Wjeżdżają na idealnie równe szkło.

Wagner dodaje gazu i pędzi łazikiem na maksymalnej prędkości. Pas solarny to jego teren - gładki, bezpieczny i nudny, nudny, nudny.

Nudny to dobry. Nuda to brak niespodzianek i wstrząsów. Nuda oznacza, że wrócisz do ludzi, których kochasz.

Nuda to dobre tło do rozmów. Przez sto pięćdziesiąt

kilometrów Wagner dowiadyuje się o swojej *junshi* więcej niż przez dziesięć poprzednich kontraktów. Zehra ma trzecie nazwisko - Altair. Jej biologiczne i kontraktowe nazwisko, po matce. Prawdziwe. Jej prawdziwą matką jest Nomathemba, zieluniaczka z Johannesburga. A Altairowie to wspólnota środowiskowa, w niej się nikt nie rodzi, jej członkiem zostaje się przez adopcję, przysposobienie lub partnerstwo. Nomathemba adoptowała Zehrę, kiedy ta miała trzy miesiące. Ma troje rodzeństwa i dwie współmatki. Nomathemba od roku powoli umiera na krzemicę płuc, płuca jej twardnieją, zamieniają się w księżycową skałę. Zehra jest w trakcie adopcji małego chłopca z Farside, Adama Karla Jespersona. Boi się tego jak nie wiem, ale Altairowie są silni. Zehra musi zakończyć tę procedurę i przedstawić Nomathembie kolejną kroplę w strumieniu, zanim jej oddech zamieni się w kamień.

Cały HUD w hełmie Wagnera rozświetla się alarmami. Osadza łaźnik w miejscu, z poślizgiem. Zehra odzywa się natychmiast. Staje. Godzinę na zachód od Hypatii. Przerzuca jej tę anomalię na ekran. Razem wspinają się na łaźnik, trzymając się masztu antenowego, by spojrzeć na przyczynę szoku i zaskoczenia. W gładkim, czarnym horyzoncie zije wklęsła luka.

- Coś tu walnęło - mówi Wagner.
- I to konkretnie - zgadza się Zehra.

Podjeżdżają powoli ku kraterowi, choć radar niczego nie wykrywa. Wagner przez trzy kilometry przesuwa łaźnik skokami po poboju zasykanym czarnymi szklanymi łezkami. Kruszą się pomiędzy jego kołami a czarnym szkłem ogniów słonecznych. Ostatnie kilkanaście metrów to niski wał złożony ze szkła. Wagnerowi wydaje się, że widzi wśród szklanych odłamków części maszyn. Maszyn i czegoś innego. Łażnik stoi nad krawędzią; patrzą w najmłodszy księżycowy krater. Ostatnie parę metrów nad samą krawędź pokonują pieszo. Szybki hełmów podają wymiary — dwieście metrów szerokości, dwadzieścia głębokości. Nie ma tego na aktualnej mapie

satelitarnej Flammarionu.

- Niezłą ma to jeszcze sygnaturę ciepłą - mówi Zehra. - A według seismologii dalej dźwięczy jak gong.

- To musiało być coś bardzo ważnego dla VTO, że ryzykowali strzał tak blisko Równikowej Jedyńki — zauważa Wagner. — Mieli jakąś szansę?

- Żadnej.

- Mackenzie, Asamoah? - zgaduje Wagner.

- W każdym razie ludzie, którzy mają kontrakty i długi.

Zginęli. Ich pierwiastki stopiły się razem z krzemem, który wciąż świeci się w podczerwieni, lecz i tak Wagnera najbardziej bulwersuje, jak osobista zniewaga, wielka dziura w czystym i idealnym szkle.

Pierwszy przewrócony spychacz napotykają pięćdziesiąt kilometrów na zachód. Złomu jest na Księżycu pełno, przestarzały czy uszkodzony sprzęt zawsze się zostawiało, gdzie stał. Pola helowe Żyzności i Przesileń, kopalnie Burz, z regolitem przekopanym na głębokość dwustu metrów, są całe zasłane ekstraktorami i spiekaczami, panelami słonecznymi i spychaczami. Metal jest wszechobecny i tani. To pierwiastki życia są drogie. Natknięcie się na porzucony spychacz to nic zaskakującego, zaskoczeniem jest za to napotkanie spychacza tak dokładnie rozwalonego. Wygląda, jakby ktoś go zrzucił z orbity. Leży na boku, panele ma wgniecione, części bebeczków rozrzucone naokoło, połamane zawieszenie, koła pod dziwnymi kątami. Lemiesz przełamany na pół.

Pięć kilometrów dalej natykają się na dwie kolejne równiarki, martwe, rozbite, jedna przewrócona, druga z lemieszem głęboko wbitym w bok pierwszej.

- Coś do uratowania jest? - pyta Wagner.

- Pewnie by było, ale ja do tego nie podchodzę.

- I masa śladów.

- A wszystkie prowadzą do Południka — zauważa Zehra.

Przejeżdżają przez horyzont i lądują na pobojuwisku.

Złomowisko, cmentarzysko spychaczy. Metalowe potwory poprzewracane na grzbiet, na bok, powbijane jeden w drugi, jakby się pieprzyły. Trzydzieści pięć maszyn. Wagner wyobraża sobie sąd boży jakiegoś bóstwa przemysłu ciężkiego.

- Niektóre jeszcze żyją — ostrzega Zehra.

Spycharka z lemieszem wbitym głęboko w silniki rywała wysila się i szarpie, próbując się uwolnić. Koła ślizgają jej się na czarnym szkłe.

Inna równiarka wyłania się zza góry złomu tak pomiażdżonego i splątanego, że Wagner ma trudność ze zidentyfikowaniem w nim maszyn, z których powstał. Staje jak wryta na wprost łazika Szczęśliwej Ósemki i opuszcza lemiesz.

- Zehra! — woła.

Ona już dodaje gazu, jedzie na wstecznym najszybciej, jak się da, lecz to samo zdradzieckie szkło, które utrudniało wyjazd zdychającemu spychaczowi, zdradza i Szczęśliwą Ósemkę. Koła buksują, łazik ześlizguje się jak krab w bok. Spychacz szarżuje.

Zehra puszcza łazik w poślizg, lemiesz mija ich zaledwie o metr. Łazik sunie dalej, Zehra usiłuje odzyskać nad nim kontrolę. Potężny wstrząs, gdy uderzają bokiem we wrak innego spychacza.

- Zawraca i jedzie na nas! - woła Wagner.

- Wiem! — krzyczy Zehra. - Wiem, kurwa!

Spycharka ustawia się. Atakuje. Zdycha. Wagner widzi, jak na jej stalowym szkielecie gasną światła ostrzegawcze. Skończył jej się prąd, ale bezwładność została - niekierowany, bezmyślny, niepokonany stalowy potwór. Sunie na łazik Szczęśliwej Ósemki. Zehra przemyka przez wąską szparę między lemieszem i wrakiem. Wyjeżdżają z cmentarzyska maszyn na gładkie, idealne szkło.

- Pewnie Sunowie włamali się do nich i przełamali kontrolę, przynajmniej nad niektórymi - mówi Zehra. - I wiesz co, w ten sposób chyba uratowali Południk.

- Trochę trzęsie z tej strony - zauważa Wagner.

- Pokazuje mi uszkodzone tylne prawe koło i silnik. Pewnie, jak walnęliśmy poślizgiem w ten wrak.

- Coś nam to szkodzi?

- Jeśli nie trafimy na kolejne takie zamieszanie, to nie. Odłączę je, niech się kręci bez napędu.

W porównaniu z bitwą jazda do Południka jest szybka, gładka i bezproblemowa. Wagner wywołuje swoim paskudnym standardowym chowańcem kontrolę ruchu Południka.

- Mówi Zespół Naprawczy Pasa Solarnego Taiyang, Szczęśliwa Ósemka, Szczęśliwa Ósemka, numer TTC1128, prosimy o natychmiastowy wjazd do głównej śluzy Kwadry Oriona.

- Szczęśliwa Ósemka, proszę pozostać na miejscu.

- Kontrola, jesteście uszkodzeni, mamy mało powietrza i wody.

Niezła ściema, laoda, rzuca Zehra na prywatnym kanale.

Podkoloryzowanie faktów, nic więcej, odpowiada Wagner. Ale jest wściekły. Tysiąc kilometrów masakry, oblężenia, wojny, ataków i odwrotów, zwycięstw i ucieczek, śmierci i okropności, a teraz kontrola ruchu Południka każe mu czekać. Przez was musi na mnie czekać moja sfera, moi ukochani, moje dziecko.

- Ustaw się — rozkazuje Zehrze.

Ta parkuje łazik pomiędzy światłami orientacyjnymi na skraju pochylni, naprzeciwko potężnych szarych wrót śluzy.

- Szczęśliwa Ósemka, proszę zjechać z rampy.

- Prosimy o awaryjne wejście. Powtarzam: brakuje nam tlenu...

- Brak zgody, Szczęśliwa Ósemka. Proszę zjechać z rampy.

- *Laoda* - mówi Zehra, a Wagner w tej samej chwili czuje, że pada na niego cień.

Unosi wzrok i widzi reflektory pod brzuchem księżycowego statku VTO wiszącego pięćdziesiąt metrów nad łazikiem. Wokół niego straż pełni siedem kolejnych statków, także wiszących na silnikach.

- Zjeżdżam.

Łazik odsuwa się, księżycowy statek siada na rampie. Wagner zauważa kapsułę pasażerską. Otwierają się włazy, rozkładają się drabinki. Sylwetki w skorupowych skafandrach wychodzą i maszerują pod służę. Statek unosi się, na to miejsce siada kolejny, wypuszcza ludzi w zbrojach. Po nim następny.

- To jest ich cała flota - mówi Zehra.

- To było siedmiuset ludzi - mówi Wagner.

Wrota służby unoszą się, postacie w pancernych skafandrach ruszają w ciemność. Wrota opuszczają się.

- Ekipa Szklarska Szczęśliwa Ósemka, zgoda na wjazd na rampę - mówi kontrola Południka.

- Co tu się działo? - pyta Zehra.

- Wygląda, że przegraliśmy wojnę, kiedy nas nie było - mówi Wagner.

Pierwsze przychodzą drony. Cały rój, biblijna plaga, unosi się znad centralnego placu Południka buzującą czarną chmurą. Marina w pierwszej chwili myśli, że to dym - największy postrach mieszkańców Księżyca - dym. Ogień! Potem widzi, jak chmura rozdziela się na strumienie, każdy wycelowany w jeden poziom. Zamiera; zamierają jej koledzy z kursu dla powracających, rozchodzący się po skończonych zajęciach. Zamiera cały Południk.

Co to jest?

Strumienie rozpadają się na mniejsze chmurki i rozchodzą po poszczególnych poziomach kwadry. Jedna z chmurki otacza Marinę i jej kolegów. Przed jej okiem zawisa soczewka maleńkiego drona wielkości owada. Unosi się na niewidzialnych skrzydełkach; prawym okiem dostrzega iskierkę lasera. Przesłuchał jej chowańca. I odlatuje, razem z całym rojem, w głąb 27. poziomu.

Nic ci nie jest? — pytają się nawzajem powracający. Nic ci się

nie stało? Nic ci się nie stało?

Chmury dronów zlewają się z powrotem na centralnym placu kwadry, wirują jak prawdziwy rój i skupiają się na kolejnym prospekcie.

Grupka powracających jest zdezorientowana i zdenerwowana. Niewytłumaczalne wiadomości pojawiające się na ich kanałach zaczynają burzyć wiarę, że wszystkim uda się polecieć na Ziemię. Zbuntowane psychacze. Mordercze boty. Twé pod oblężeniem. Niedobór żywności, żadnego niedoboru, reglamentacja, żadnej reglamentacji. Zamieszki, protesty z braku żywności. Po drodze na ich spotkanie Marina minęła niedużą, grzecznie się zachowującą demonstrację pod dawnym biurem LDC. Protestowali przeciwko czemuś, co się nie stało, przed czymś, co już nie istnieje. Pociągi zatrzymane, wyłączony BALTRAN. Wyłączona pętla księżycowa. Luna jest odcięta od świata. Niektórzy z poprzedniej tury musieli zostać, panikują teraz, że wyczerpie im się ważność fizjologicznych wiz. Dzień czy dwa nie zrobią żadnej różnicy, mówi Preeda, mediatorka. Ale jeśli dzień czy dwa zmienią się w tydzień czy dwa, w miesiąc czy dwa? A jeszcze będzie kolejka zaległych lotów? Pętla księżycowa ma ograniczoną liczbę kapsuł, cyklery chodzą po stałych orbitach.

A zegar w kościach tyka cały czas.

Po dronach przychodzą boty. Marina widzi, jak impuls ludzkich poruszeń przepływa ku niej, w głąb 26. poziomu, w miarę jak wieść rozchodzi się po sieci. Ludzie starają się zejść z ulic. Nurkują do barów i sklepów, pędzą do domów, zaszywiają się w zakamarkach i wnękach, zjeżdżają windami i schodami ruchomymi, byle dalej od plotek. Są w mieście. Są na ulicach. Wejdziesz gdzieś, to nic ci nie zrobią. Aby do środka, one potną każdego, kto zostanie na ulicy. Dzieci uniesione na ręce, rozgorączkowane rodzice usiłujący skontaktować się ze swymi nastolatkami, mieszkania zamykające wejścia i opuszczające rolety w oknach.

- Ja wracam - mówi Aurelia.

Stąd już dam radę do domu, odpowiada Marina. Do domu idzie się pod prąd ludzkiej fali. Rusza *ladeirą* z 25. Ulicy, lekkim truchtem. Na dole schodów natyka się centralnie na bota idącego powolnym, zawitym menuetowym krokiem wzdłuż 24. Jest kolczastym trójnogiem, którego nogi to rozkładane noże, a ramiona — sprężynowce wielkości mieczy. Każda jego część jest najeżona ostrzami. Każda potrafi zmienić się w broń. Wielooka głowa zauważa ją, odwraca się błyskawicznie, żeby jej się przyjrzeć.

Zdarzają się wstrząsy tak silne, że ciało potrafi zareagować jedynie paralizem. Nie lękiem, choć lęk byłby na miejscu. To szok wywołany niesamowitością. Stojący przed nią stwór jest tak obcy, tak brzydki, tak różny od wszystkiego, co Marina w życiu widziała, że aż nie ogarnia go rozumem. Paraliżuje ją. Każda jego część zgrzyta w ludzkich zmysłach. Nie jest w stanie poruszyć się, pomyśleć, zadziałać. Za to stwór porusza się, myśli, działa. W oczach, które lustrują ją od stóp do głów, Marina widzi inteligencję i skupienie. Zaraz skupia się na czymś innym. Odańcowuje na trzech stukających nóżkach-sztyletach. Dopiero teraz przychodzi lęk. Marina siada roztrzęsiona na ostatnim stopniu *ladeiry*. Bóg Śmierci spojrział na nią i poszedł dalej. Przez sieć płynie nowa plotka: Nie bójcie się, nic wam nie zrobią.

To po co one są? — myśli Marina.

Ostatnia fala to garnitury.

Ariel i Abena, tak jak większość mieszkańców Placu Oriona, stoją na balkonach, albo przy barierkach na ulicy. Tam je znajduje Marina. Ze stacji kolejowej wychodzi pierwszy oddział garniturów. Noszą na sobie zbroje zdobione w heavymetalowe motywy - płonące czaszki, zęby, demony, kobiety z wielkimi cycami, facetów z wielkimi fiutami, demony, anioły i łańcuchy. Woroncowowie. Kolejny oddział posuwa się Prospektem Gagarina od strony śluzy wejściowej. Ci są ubrani w czarne

pancerze, a uzbrojeni w małą, czarną broń palną. Idą równym krokiem, w szeregach. W Kwadrze Oriona zapadła oszołomiona cisza. Ich buciory brzmią głośno i groźnie.

- Maszerują - mówi Marina.

- Co to mają? Karabiny? — pyta Abena.

- Trochę się zdziwią, jak spróbują tu z tego strzelać — mówi Marina.

- Wiesz co, sorry, ale odrzut nie jest na czołowym miejscu listy moich obaw - ripostuje Ariel.

Z biur i drukarni wylania się trzecia fala oddziałów. Ci nie są opancerzeni, uzbrojeni i wymusztrowani, to zwykli ludzie, księżycowi ludzie, w zwykłych ubraniach i pomarańczowych kamizelkach. Zbierają się po trzech i rozchodzą po wszystkich prospektach i ulicach Kwadry Oriona. Marina każe Hetty powiększyć widok na te kamizelki. Na każdej widnieje logo z Księżycem, nad którym frunie ptak z gałązką w dziobie. Nie zna tej symboliki. Nad logo są słowa. „Lunar Mandate Authority”.

- Pokój, Produktywność, Prosperity - czyta Marina z hasła pod logo ze światem i ptakiem. — Napadli na nas menedżerowie średniego szczebla.

Dwa kartony soku z gujawy i empanada. Kołyszają się w torbie na pasku Robsona Corty, gdy wspina się na górę, przez pięćdziesiąte poziomy, ku instalacji energetycznej Zachodniego Antaresa. Bota zgubił dziesięć poziomów temu - mają ograniczony czas działania na baterii i nie potrafią się wspinać. Jedyne, co potrafią, to próbować pójść za nim schodami i ulicami, wyśledzić go i zidentyfikować, żeby wystawić nakaz sądowy. Powodzenia w doręczaniu go, tam, na górze, nad Bairro Alto. Zagrożeniem jest dla nich to, że ściągają na siebie uwagę ludzi - a tych botów jest teraz wszędzie pełno, pilnują każdego okrucha i każdego kubka.

Robson kradł z hot-shopów we wszystkich kwadrach - bo w Południku zawsze gdzieś jest noc - ale nigdy z Jedenastej Bramy. Kraść z własnego hot-shopu to jak srać na własny próg.

Dwa kartony soku z gujawy i empanada - z tilapią, nie cierpi tilapii - to kiepski zysk z nocnego, zuchwałego wypadu spod instalacji energetycznej Zachodniego Antaresa. Wiele dni poświęcił na wyznaczenie bezpiecznej drogi pomiędzy kablami wysokiego napięcia i przekaźnikami. Oznaczył ją sobie świecąca taśmą podprowadzoną z plecaka luniarza stojącego po fajrancie w zatłoczonej herbaciarni. Wejście jest śladem świetlistych strzałek i kresek. Strzałka - skok nad szczeliną we wskazanym kierunku. Znak większości - przejście wzdłuż ściany. Znak mniejszości - precyzyjny skok na wąską półkę. Znak równości - „koci skok” na ścianę. Pionowy znak równości - przejście po ścianie. Krzyżyk — przeskok z nabiegu przez przeszkodę, prosty lub skośny, zależnie od orientacji. Ukośnik w lewo - przeskok pod barierką z nachwytem. Ukośnik w prawo - przeskok pod barierką z obrotem. X - nie dotykać. Gwiazdka - zagrożenie śmiercią.

Pierwszy sok wypija przed trawersem na 70. poziomie. Pusty karton upycha w swoim złodziejskim worku. Śmieci mogą spaść, dostać się do jakiejś maszyny, mogą stać się zdradziecką pułapką w miejscu, w którym lądujesz po skoku. Empanadę chce donieść do gniazda. Musiał wiele dni szukać, nim znalazł sobie miejsce do spania jednocześnie ciepłe, osłonięte, z dostępem do wody, ale bez wilgoci i rosy, i bezpieczne, żeby nie spaść na dół, kiedy się człowiek przewróci na bok przez sen. Wyłożył je podprowadzonymi opakowaniami, potem wyprawił się do barów, gdzie piją luniarze, żeby kraść izolację termiczną.

Każdy iluzjonista to złodziej. Czasu, uwagi, przekonań, izolacji termicznej.

Robson zakopuje się w swoim gnieździe z pianki i folii bąbelkowej. Zjada empanadę. Ostatni sok zachowuje na później. Nauczył się wydzielać sobie przysmaki. Przynajmniej

będzie mógł się na coś cieszyć. Bo kiedy się ukrywasz, nuda jest najgorszym wrogiem. Innym, zamaskowanym, jest masturbacja, to wróg w masce przyjaciela.

Robson lubi myśleć, że jego gniazdo na wysokości daje mu filozoficzny punkt widzenia na świat. Jest ponad wszystkimi ludźmi, może patrzeć w dół i rozmyślać. Skoro jedzenie jest tak pilnowane, jego wartość musi być wyższa niż zwykle. Podczas złodziejskich wypraw słyszy, o czym gada się w herbaciarniach. Pociągi stoją, stoi BALTRAN. Nimi rządzą Woroncowowie, po co mieliby je zatrzymywać? Twé pogrzebane pod regolitem. To na pewno pogorszy zbiory. Będzie ich mniej albo wcale. Asamoah potrafią być dziwni - każdy, którego poznał, jest dziwny - ale nigdy by nie zrobili czegoś takiego własnej stolicy. Lecz jeśli nikt nie wie, kiedy będzie kolejny zbiór - to może tłumaczyć boty pilnujące każdej empanady i każdego pudełka *bento*.

A są jeszcze inne, bardziej intrygujące historie, te, przez które waha się o sekundę za długo, przez które jego palce zawisają nad przedmiotem, który zamierza ukraść. Na morzach i na wyżynach są takie maszyny. Zginęły całe ekipy, od morderczych maszyn, co mają noże zamiast palców i miecze zamiast stóp. Od bojowych robotów. Kto by mógł je budować? Sunowie by umieli, ale po co? Po co ktoś miałby budować maszyny służące tylko do tego, żeby zastraszać, grozić, kontrolować?

Nikt z tego świata, wyrokuje Robson. Skulony w swoim gnieździe, grzany bucującym wymiennikiem ciepła, otulony kradzionym kocem, dochodzi do wniosku, że choć nikt tego nie obwieścił, nie wypowiedział wojny, choć nikt prawie tego nie wie, Księżyc został zaatakowany. Przez Ziemię. Ziemia najechała Księżyc, błękitna Ziemia wysoko na niebie. Tyle że sami nie byliby w stanie tego zrobić - musieliby mieć kogoś, kto przewiezie im ludzi i sprzęt. A to potrafią tylko Woroncowowie. Woroncowowie dogadali się z Ziemią, że przejmą władzę na Księżycu.

- O kurde - mówi Robson Corta.

I nagle słyszy stuknięcie. Stuk-stuk-klik. Zza rogu wymiennika ciepła wyłania się noga, elegancka i precyzyjna jak chirurgiczne narzędzie. To jej stalowa raciczka tak stuka o kładkę. Robson zamiera. Zza węgła wysuwa się ramię, jak wachlarz noży, potem głowa. Przynajmniej tak myśli, że to głowa. Ma sześćoro oczu i jest zawieszona na niepodobnej do niczego przegubowej kończynie, ale to na pewno głowa, sądząc po tym, jak kołysze się z boku na bok, przyglądając mu się.

Klik. Kolejny krok, kolejna noga. Kolejne ramię.

Powoli odsuwa się od niego.

Teraz bot jest zainteresowany. Klik-klik-klik. Idzie za nim. Robson podrywa się na nogi. Bot rzuca się za nim. Bogowie, jaki szybki. Klik-klik-trach.

Bot nieruchomieje, patrzy w dół. Jedna z jego delikatnych raciczek uwięzła w rzadkiej siatce, z której zrobione jest gniazdo Robsona. Porusza głową z boku na bok, przypatrując się jej uważnie. Za sekundę dojdzie, co ma zrobić. Ta sekunda Robsonowi wystarczy. Tylko wyćwiczony iluzjonista jest wystarczająco szybki i zręczny. Tylko traser, parkourowiec, który spadł z dachu Królowej Południa na samo dno, jest wystarczająco odważny.

Robson łapie swój koc termiczny i rzuca go pętlą pod tułów bota. Gdy ten się obraca, omija go, nurkując pod ramionami z ostrzami. Przerzuca końce koca za balustradę, pociąga. Bot traci równowagę, chwieje się. Robson kuca jeszcze bardziej, napiera barkiem w miejsce złączenia nóg, popycha. Resztę załatwia dźwignia. Bot przewraca się, uwalniając przy okazji stopę; wymachuje rękoma i nogami, rozwijając je w wachlarz paskudnych ostrzy. Ciężar i bezwładność przerzucają go nad niską balustradą. Leci, dziabiąc ostrzami powietrze, uderza w kładkę pięć poziomów niżej i rozsypuje się. Części lecą na Prospekt Tierieszkowej daleko w dół.

Robson zwala się z powrotem w bezpieczny azyl swego

gniazda. Otula się kocem, ma przy sobie ciepły jak krew wymiennik, lecz i tak cały się trzęsie. Sam nie dowierza, że się na to zdobył. Czy ten bot by mu coś zrobił? Może zostawiłby go w spokoju, ale przecież nie mógł ryzykować. Zrobił to, co musiał. Udało się. A mogło się nie udać. Nie wolno mu o tym myśleć. Cały się trzęsie. Niedobrze mu. Ta *empanada* pewnie była zepsuta. Tilapia - trująca ryba. Płyn. Potrzebuje płynów. Płacze. Nie powinien płakać. Otula się mocniej kocem i wysysa resztki z kartonika po soku z gujawy.

Luna ustawia wokół łóżka kolejną porcję maleńkich lampek. Pilnują strategicznych punktów, tworząc obronny krąg, który wypełniła mniejszymi kręgami. Kręgi w kręgach wokół szpitalnego łóżka. Teraz przychodzi jej do głowy nowy pomysł: falujące linie rozchodzące się promieniście od głównego kręgu. Jak promienie słońca, czy coś w tym stylu. Lubi symetrię, więc zaczyna od ułożenia sześciu takich falek, co sześćdziesiąt stopni. Ma za mało lampek, żeby zrobić cały wzór. Posykuje sfrustrowana.

Trzeba będzie skombinować kolejne. W domu Zakonu jest biolampki, ile tylko chcieć.

Teraz trzeba je podlać. Luna człapie w kucki z dzbanuszkami. Tu kropelka, tam kropelka. Zielony blask się nasila.

Ten dźwięk to wchodząca do pokoju Mãe-de-Santo Odunlade. Myśli, że jest bezszelestna i tajemnicza, jednak Lunie wydaje się głośnie jak tarcza do tuneli, ze swoimi ciężkimi krokami, ciężkim oddechem i cichym mamrotaniem pod nosem, którego jest zupełnie nieświadoma.

- Luna, ale my musimy mieć do niego dojsście, żeby go badać — mówi Mãe-de-Santo Odunlade Abosede Adekola. Okrągła, starsza Jorubka w bieli Zakonu Panów Chwili. Cała pobrzękuje i grzechocze, obwieszona koralikami, amuletami i świętymi. I trochę śmierdzi.

- Przecież można po nich przejść — mówi buntowniczo Luna.

Mãe-de-Santo unosi rąbek swoich szat i wstępuje w kręgi obronnego światła. Nie dotyka nawet jednej lampki. Ma bose stopy. Luna nigdy wcześniej nie widziała stóp Matki Wielebnej.

- Skontaktowałyśmy się z twoją matką - mówi Mãe-de-Santo Odunlade.

- *Maame!* - wykrzykuje Luna, zrywając się i przewracając dzbanek z wodą. Wywołuje chowańca, choć siostry w swoim Domu ich nie aprobują. - Luna, dzwoń do *maame!*

- Oj, nie tak szybko, nie tak szybko - upomina ją Matka Wielebna. - Sieć raz działa, raz nie działa. My mamy własne kanały. Twoja matka wie, że jesteś w João de Deus, że jesteś cała i zdrowa, przesyła całusy i mówi, że jak tylko będzie mogła, przyjedzie i zabierze cię do domu.

Luna układa usta w „o” zawiedzionej ekscytacji. Luna-chowaniec rozpada się w rozprysk pikseli.

- A co z Lucasinho? — pyta.

- To musi potrwać — mówi Mãe-de-Santo Odunlade. - Jest w bardzo ciężkim stanie. Bardzo chory młody człowiek.

Nachyla się nad ciałem na łóżku. Tyle rurek wchodzi do niego albo wychodzi. Rurki w przegubach rąk, w ramionach, w boku. Wielka rura w gardle. Luna jest w stanie patrzeć na nią tylko przez chwilę, tylko żeby się upewnić, że on nadal oddycha. Mała cienka rurka wychodząca z dziureczki do sikania. Od tego aż się wzdryga. Kabelki i igły. Woreczki i ramiona z czujnikami. Jest nagi, odkryty, dłonie ma rozpostarte, odwrócone wnętrzem ku górze niczym katolicki święty. Jest we śnie głębszym niż sen. Śpiączka farmakologiczna, jak to nazywają siostry. Nie rusza się, nie śni, nie budzi się. Jest daleko, daleko stąd — podróżuje przez pogranicza śmierci.

Gdyby Siostry Panów Chwili nie miały takich znakomitych sprzętów medycznych. Gdyby Urbaniści nie byli tacy ciekawscy. Gdyby zeszło jej trzydzieści sekund więcej na

otwieraniu służy Boa Vista.

Gdyby-gdyby-gdyb-gdyb-gdyb. Gdybanie.

Luna nadal nie jest pewna, czy zapach Matki Odunlade to nie jest czasem jej własny smród. Smród skafandra wżera się w skórę jak tatuaż.

Części ciała Lucasinho łagodnie unoszą się i opadają razem z łóżkiem, które faluje, żeby zapobiegać odleżynom. Oddycha, ale robi to za niego maszyna. Jego twarz, brzuch, krocze zaczynają porastać włosy. Cienka linia ciemnych włosów biegnie od pępka do jaj.

- A ogolicie go? - pyta Luna. Jest fascynujący i odpychający jednocześnie.

- Zrobimy dla niego wszystko, co w naszej mocy.

- A może *maame* mogłaby przyjechać i wszyscy byśmy tu u was zostali?

- Twoja *maame* jest teraz bardzo ważną i bardzo zajęętą osobą. Ma masę spraw na głowie.

- Chciałabym, żeby się już obudził.

- Wszyscy chcemy, żeby się obudził.

Siostry mówiły, że to potrwa, zanim się obudzi. Dni, może tygodnie. A może lata. Coś jak w bajkach z *berçário* niani Elis. Piękny książę pod wpływem czaru zasypia na wieki w tajemnej grocie głęboko pod ziemią. Przeważnie budzi się go pocałunkiem. Próbuje tego każdego dnia, gdy siostry nie widzą. Któregoś dnia to zadziała.

Mãe-de-Santo Odunlade porusza bezgłośnie ustami, czytając z ekranów nad głową Lucasinho. Czasem wymyka się jej jakieś słowo i wtedy Luna uświadamia sobie, że to nie liczby, lecz modlitwy.

- O! Bym zapomniała — mówi nagle matka wielebna i grzebie pod swoimi białymi sukniemi.

Luna jest pewna, że nie powinna tego widzieć. Wyciąga drewnianą skrzyneczkę, sporą, płaską, rzeźbioną w tak misterne i precyzyjne kwiatowe wzory, że i Luna musi wyteńczyć

wzrok, by się im przyjrzeć.

- Co to? - Na prezenty gotowa jest zawsze.
- Otwórz.

Skrzyneczka jest wyłożona lśniącym jedwabistym materiałem. Czuje go w dotyku. Zakon nie ma zbyt dobrej drukarki, ale i taka wystarcza na piękne suknie. Do widzenia! — krzyczała, wtykając do recyklera znienawidzony, znienawidzony ocieplacz od skafandra. W życiu nie włoży niczego tak obcisłego.

Wtem zauważyła noże. Dwa, przytulone do siebie jak bliźnięta. Ciemne, twarde, połyskujące. Tak ostre, że przecinają i spojrzenie. Dotyka opuszką palca ostrza. Jest równie gładkie i jedwabiste jak wyściółka pudełka.

- Są z księżycowej stali — mówi Matka Odunlade. - Wykute z meteorytowego żelaza sprzed miliarda lat, wykopanego głęboko pod kraterem Langrenus.

- Piękne i groźne jednocześnie.

- To są wasze noże do walki. Należały do twojego wuja Carlinhosa. To nimi zabił Hadleya Mackenziego w Sądzie Claviusa. To nimi Denny Mackenzie zabił Carlinhosa, gdy padło João de Deus. Trafiły pod naszą opiekę. Nie czujemy się dobrze, przechowując je tutaj, bo jest na nich zbyt wiele krwi, ale chronimy je, przez szacunek i miłość do twojej babki. Przechowujemy je, póki nie przyjdzie Corta, który jest odważny, o wielkim sercu, wolny od chciwości i tchórzostwa, Corta, który będzie walczył za rodzinę i mężnie jej bronił. Corta, który jest godzien tych noży.

- Czyli powinien je dostać Lucasinho - oświadcza Luna.
- Nie, skarbie - mówi Mãe-de-Santo Odunlade. - One są dla ciebie.

1

Wielkie Bombardowanie - okres początkowej historii Układu Słonecznego, ok. 4 mld lat temu, zaraz po powstaniu planet, podczas którego pojawiła się większość księżycowych kraterów uderzeniowych (przyp. tłum.).

11.
SKORPION 2105

Zwinięte w kulkę rajstopy trafiają Marinę w policzek.

- Marina! Odebrałaś, kurwa, parę telefonów! — krzyczy Ariel.

Mieszkanie jest jak centrum zarządzania kryzysem. Ariel w swoim pokoju, Abena w kuchence, cały czas gadają, gadają, gadają przez chowańce. Marina siedzi w salonie, patrzy przez otwarte drzwi na słońce wychodzące nad Kwadrę Oriona. Głowę wypełniają jej tylko słowa — powiedz jej powiedz jej powiedz.

- Abena się tym zajmuje.

- Abena rozmawia z ciotką. A ja mam na linii Suna Zhiyuana.

- I co mam zrobić?

Powiedz jej powiedz powiedz.

- Kawał jakiś mu opowiedz. Zapytaj, jak się babcia czuje. Poproś, żeby ci wytłumaczył, jak działa kwantowy komputer. To powinno zająć z pół godziny.

Nie była w stanie jej powiedzieć, kiedy Orzeł pogonił LDC. Ani gdy zatrzymano pociągi i zamknięto niebo. Ani kiedy Twé było zasypywane regolitem i oblegane po ciemku. Ani kiedy pod Flammarionem wyrżnięto ekipę najemników Asamoah-Mackenzie. Ani kiedy w Południk wycelowało wielkie kosmiczne działo. Zbyt dużo się wokół działo historycznych rzeczy. Żadna chwila nie była odpowiednia.

- Zaraz, a ty co robisz?

- Usiłuję porozmawiać z Jonathonem Kayode.

- Przecież masz do niego prywatny kanał?

- No mam, genialna kobieto. Nie odpowiada. Marina, po prostu odbierz tę jedną rozmowę. Bogowie, jaka szkoda, że ja już nie piję.

Hetty odbiera.

- Zhiyuan *géxià*? Dobry wieczór. Mówi Marina Calzaghe, jestem asystentką Ariel Corty. Rozumiem, że nie mógł się pan skontaktować z gabinetem Orła Księżycowego, żeby uzyskać komentarz w sprawie zmiany władz. Ariel próbuje nawiązać kontakt z Orłem...

A teraz zmieniły się władze, księżycowe miasta są pod okupacją, skończyła się Miękka Wojna. Pociągi kursują, Pętla zbiera na orbitę ładunki i pasażerów, VTO potwierdziło jej rezerwację i podało datę. Ma już datę startu, ale wokół nadal za dużo się dzieje historycznych rzeczy. Dalej nie ma dobrej chwili, żeby powiedzieć Ariel, że ją zostawia.

Pięć lat czekał na ten głos w nocy. Adrian Mackenzie budzi się i wstaje.

Oni tu są.

Jonathon chrapie. Zbudzić go to masakra. Musi się zbudzić. Adrian potrząsa nim mało delikatnie.

- Jon.

Łapie powietrze, wielki, oddychający przez usta Ziemniak. Musi się zbudzić.

Są w hallu. Ochrona Gniazda zamyka wszystkie drzwi.

Kolejne potrząśnięcie synchronizuje się z alarmem własnego chowańca Orła. Teraz się budzi.

- Która godzina?

- Atakują nas. Ubieraj się.

Kaliope otwiera na soczewce Adriana widoki z kamer. Trzy grupy. Jedna od frontu, druga przez wjazd dla pojazdów, trzecia schodzi od górnego tarasu. Wiedzą, gdzie mają iść, co atakować i jak. Ładunki kumulacyjne wysadzają drzwi jak papier podczas dehermetyzacji. Księżycowy Orzeł zamiera, słysząc odległe, głuche trzaski.

- Moja ochrona...

- To jest twoja ochrona. - Dlatego właśnie wiedzą o wyjściu z górnego tarasu. A to była jego planowana droga ucieczki. Ma jednak plan B.

Jonathon Kayode wkłada buty, szorty, próbuje wbić się w koszulę.

- Zostaw! - krzyczy Adrian. - Idź tą drabinką techniczną w ogrodzie. Tam nic z dołu nie idzie. - Teraz rzuca Kaliope wiele razy ćwiczone słowa.

Ze ścian wysuwają się panele. W środku wiszą, skąpane w jaskrawym białym świetle, elementy pancerza.

Jonathon wytrzeszcza oczy.

- Co?

- Nie wszystko wiesz o naszym mieszkaniu. - Płyta piersiowa i grzbietowa są ciasne. Utył. Utył i rozleniwił się. Na nagolenniki, naramienniki nie ma czasu. Nasadza mu hełm na głowę. - Kaliope wezwała *moto* pod drzwi serwisowe na pięćdziesiątym poziomie. Zawiozą cię do południowego biura Mackenzie Metals. Tam już będą *jackaroos*, oni cię ochronią. Biegnij!

Na koniec Adrian wysuwa z pola magnetycznego skrzyżowane noże. Światło odbłyśło od wolframowych wstawek, od misternych damasceńskich wzorów na klingach. Są przepiękne. Wsuwa je w pochwy na pasie.

- Leć!

Kaliope pokazuje mu zmierzające z trzech stron do sypialni trzy grupy opancerzonych i uzbrojonych ludzi. Włamali się do systemów bezpieczeństwa Orlego Gniazda.

- Postaram się ci kupić jak najwięcej czasu.

- Adrian...

- Jon, jeszcze nie było takiego Mackenziego, który by uciekał przed walką.

Całus, przelotny jak deszcz.

Adrian Mackenzie opuszcza szybką hełmu.

Na weselu, w samym środku imprezy, ojciec zabrał go na

wysoki balkon z widokiem na plac Antaresa. To dla ciebie. Adrian otworzył pudełko. W środku, na poduszkach z tytanowej waty, spoczywały dwa identyczne noże. Adrian dorastał wśród noży, znał je doskonale - a te nie przypominały żadnych, jakie kiedykolwiek widział. Żadnych w historii Mackenzie Metals. Wypróbuj, powiedział Duncan Mackenzie. Nóż leżał mu w dłoni, jakby wyrósł wprost z jego kości. Świetnie wyważony, pewny chwyt. Ciął, zamarkował, ciął raz jeszcze. Tańczące ostrze wydawało przenikliwy jęk. To krwawi powietrze, powiedział Duncan. Synu, ja cieszę się twoim szczęściem jak nikt, ale przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz potrzebował noża. I one są właśnie na ten dzień.

Tupot. Głosy. Wysadzają drzwi.

Noże Adriana Mackenziego ze śpiewem wysuwają się z pochew.

Księżycowy Orzeł to potężny facet, kompletnie pozbawiony kondycji, facet, którego wielkie, zieluniackie mięśnie zdążyły sflaczeć. Noże łapią go, zadyszanego, już na najwyższym szczeblu drabinki prowadzącej na 50. poziom, w szortach i domowych kapciach. Wywlekają go z powrotem, rozwrzeszczanego. Chwytają, unoszą. Spada jeden kapeć, potem drugi. Dłonie niosą go. Dłonie go rozbierają. Teraz jest nagi i bełkocze ze strachu. Kolejne dłonie. Niosą go między idealnie przystrzyżonymi bergamotkami. Orzeł już widzi, dokąd. Zaczyna wrzeszczeć i szarpać się. Dłonie trzymają go pewnie. Niosą go do małego pawilonu z widokiem na plac Antaresa. Pięć prospektów tej kwadry jest jak świetlne kaniony.

Ręce noży, w doskonałej synchronizacji, unoszą Jonathona i ciskają go wysoko w przejrzyste powietrze.

Ciśnienie atmosferyczne w księżycowych habitatach wynosi 1060 hektopaskali.

Spadając, koziołkuje. Ten Orzeł nie potrafi latać i nie wie, jak

się spada.

Przyśpieszenie grawitacyjne na powierzchni Księżyca to $1,625 \text{ m/s}^2$.

Spadając, krzyczy, wymachuje rękoma i nogami, jakby mógł wspiąć się po powietrzu jak po linie, dopóki nie uderzy w balustradę kładki na 33. poziomie. Łamie się ręka, zaczyna trzepotać pod nienaturalnym kątem. Już nie krzyczy.

Prędkość krytyczna ciała spadającego w takich warunkach wynosi 60 kilometrów na godzinę.

Księżycowy Orzeł będzie potrzebował minuty, żeby spaść ze swego gniazda do parku pośrodku placu Antaresa.

Jest taka fizyczna własność, tak zwana energia kinetyczna. Ma wzór $0,5mv^2$. To energia, której ciało nabiera podczas spadania, a oddaje przy zderzeniu z ziemią. Duże ciało, poruszające się powoli, ma małą energię kinetyczną. Małe, rozpędzone do dużej prędkości, ma dużą. Na przykład bryła lodu wystrzelona z działa elektromagnetycznego w kosmosie, która potrafi wybić dziurę w skalnej pokrywie księżycowego habitatu.

I na odwrót.

Na przykład trzynastoletni chłopiec, chudy jak szczapa, spadający z kilometra, hamujący po drodze, ma małą energię kinetyczną.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna, wielki, gruby i bez formy, niehamujący po drodze, ma większą.

Minuta to aż nadto czasu, żeby policzyć, że trzynastoletni, chudy jak szczapa chłopiec może przeżyć uderzenie w plac Antaresa z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Natomiast pięćdziesięcioletni mężczyzna, wielki, gruby i bez formy - w żadnym razie.

Hetty ją budzi.

Marina, dzień wyjazdu.

Ustawiła sobie taki budzik. Tak jakby mogła o tym zapomnieć.

Jakby w noc przed wyjazdem w ogóle mogła zasnąć.

Patrząc na swój skąpy dobytek, waha się nad frędzlami z Długoego Biegu, zielonymi paskami i sznureczkami od świętego Jerzego. Ważą parę gramów, a przewieźć może parę kilo. Kładzie je na łóżku. Kątem oka ciągle je widzi - nie dają jej spokoju, gdy ubiera się, szybko, cicho, bo w domu jest ciasno. Są jak drobne oskarżenia - rozstawać należy się czysto.

Czysto, ale nie sterylnie.

Marina od wielu dni wahała się, jaki list zostawić. Bo list musi być, to nie ulega wątpliwości. Musi być osobisty, intymny i nie może zostawiać Ariel furtki do powstrzymania jej.

Kartka, napisana odręcznie, w miejscu, gdzie nikt jej nie przeoczy. Bezpośrednia i otwarta. Dar na pożegnanie.

Abena stęka i otwiera oczy, gdy Marina bierze kartkę z drukarki. Odkąd jest okupacja, zamieszkała na stałe na ich kanapie.

- Co robisz?

- Idę na Długi Bieg - kłamie Marina.

To jedyny możliwy pretekst do wyjścia z mieszkania o czwartej nad ranem. Ale teraz będzie musiała się ubrać zgodnie ze swoim alibi. Marina odleci z Księżycy w butach do biegania, krótkim topie i idiotycznie skąpych szortach.

- Baw się dobrze - mamrocze Abena i przewraca się na drugi bok.

Ariel chrapie w swoim pokoju. Marina kuca na łóżku, podciąga kolana pod siebie, próbuje coś pisać. Litery są obolałe i zdeformowane. Słowa ranią do żywego. Idzie do lodówki z nadzieją na uspokajający rękę dżin.

Idiotka. Od upadku Księżycy nie ma żadnego dżinu, żadnej wódki, żadnego alkoholu. Ale w drzwiach lodówki zostawia kartkę.

Na koniec obwiązuje zielonymi paskami swoje nadgarstki bicepsy, kolana i uda. Decyzja w kwestii frędzli sama się podjęła. Abena budzi się jeszcze raz, słysząc otwierane drzwi

mieszkania.

- Tobie nie jest w tym zimno?

Marina ma gęsią skórkę, ale to nie z zimna.

- Spij, musisz się wyspać, od rana ratujecie świat.

Potajemne ubieranie się, zostawianie listu, ukradkowe wymykanie się i ciche zamykanie drzwi.

Marina, masz dwie godziny do wylotu.

Marina powstrzymuje jęk, idąc do *ladeiry* na 25. Ulicy. Ulica jest prawie pusta, nieliczne twarze kiwają na powitanie - odpowiada tym samym; jednoczy je przyjemnie wspólne poczucie winy tych, którzy załatwiają swoje sprawy przed świtem. Kobieta ćwiczy jogę przed drzwiami mieszkania, dwóch mężczyzn cicho rozmawia, opierając się o balustradę; gromadka nastolatków wraca chwiejnie do domu z klubu czy imprezy; czy kiwając jej głową, wyczuwają w niej jakąś niezwykłą misję, niezwyčajny ładunek emocji? Słabe indygo z końca kwadry muska ściany i tarasy. Linia słoneczna budzi się do kolejnego dnia.

Na szczycie *ladeiry* czekają bot i dwóch strażników z VTO w pancerzach w heavymetalowe wzory. Serce Mariny ścisza się ze strachu - boi się, że jeśli spojrzą sobie w oczy, rozpoznają ją i zatrzymają za podejrzaną zachowanie. Nazywasz się Marina Calzaghe, pracujesz dla Ariel Corty. Musimy ci zadać kilka pytań. Nazywasz się Marina Calzaghe i porzuciłaś Ariel Cortę. Dokąd ty właściwie idziesz?

Odwraca delikatnie głowę, zerka. Strażnicy nawet nie patrzą: jeden z nastolatków, upalony jak szop, przygląda się z wielkim skupieniem botowi, ryzykownie podchodząc do prawie nieosłoniętych ostrzy.

Odbyła się wojna, wojna została wygrana i przegrana, nic się nie zmieniło. Dzieciaki upalają się i kleją się do siebie. Faceci gadają, kobiety ćwiczą jogę. Długobiegacze udają się na miejsca zbiórek. Kobieta wyprowadza fretkę na smyczy. Czib w prawym oku Mariny podaje ceny Czterech Żywiołów i stan jej konta.

Zmiana kierownictwa. Tyle. To jednak oznacza, że ludzie zginęli bez sensu. Ci, co padli pod nożami botów, których dotyka teraz ten dzieciak, nie walczyli o wartość dla udziałowców. Nie szli do walki z osobistej lojalności wobec niedostępnych, bogatych Smoków. O takie rzeczy nikt by nie walczył. Walczyli o swój świat, o swoje życie, kulturę, o prawo, by przybysze z zewnątrz nie dyktowali im, co mają robić.

Zjeżdża *ladeirą* na dół. Strażnicy stoją na każdym poziomie. Dla rozrywki liczy sobie w pamięci — liczba poziomów razy liczba *ladeir* po obu stronach prospektu razy liczba kwadr. Wychodzi cała masa botów i jeszcze więcej Woronców.

Na *ladeirze* 3. ulicy z jadących w górę schodów ogląda się na nią jakaś kobieta. Młoda, w stroju do biegania, skąpym, odsłaniającym dużo ciała - żółte wstążki wokół bicepsa, żółte bransoletki na nadgarstkach, zielony sznurek nad lewym kolanem kontrastujący z ciemną skórą. Długobiegaczka. Kiwa Marinie głową, siostrzeństwo Biegu. Opadają ją wątpliwości. Odwraca się, już prawie biegnie za nią po tych schodach. Pęknie jej serce. Pęknie na sto procent. Pragnie pobiec za nią. Wrócić do mieszkania, do Ariel. Pragnie tego najbardziej na świecie.

Schody ruchome niosą je w przeciwnych kierunkach i moment przepada.

Na dole placu Oriona znajduje ławeczkę pod koronami wysokich drzew. Cienie wyostrzają się. Otula się nimi. Z rana w parku siedzą tylko zakochani i ona. Indygo rozjaśnia się do ciemnego błękitu, zmieniając park w palisadę pni. Marina siedzi, póki rozdzierające pierś łkanie nie uspokoi się trochę, nie stanie się czymś, co przejdzie, póki nie będzie mogła spojrzeć komuś w twarz i nie załamać się.

To nie Ariel, lecz jej brat Rafa powiedział, że jedyne, co jest piękne na Księżycu, to ludzie. Wspaniali i straszni. Tak jak i niestabilny, zapalczywy, słaby Rafa. Jak próżna, oddana karierze, samotna Ariel. Jak piękny, skazany na zgubę, pełen

furii Carlinhos. Jak mroczny, skupiony, lojalny Lucas. Od teraz pracujesz dla nas, powiedział wtedy. Gdyby nie przyjęła tej propozycji, gdyby jej nie złożył, gdyby odrobinę wolniej łapała tę muchę. Gdyby nie wzięła kontraktu na kelnerowanie na imprezie z okazji Biegu Księżycowego Lucasinho Corty.

To i tak stałaby pod tym drzewem, szła tutaj, jechała pętlą księżycową do domu.

Bo ten świat jest straszny.

Wysoko nad placem Południka, gdzie w wysokim na trzy kilometry kanionie schodzą się główne bulwary trzech kwadr, powietrze tną spiralami fruwacze - ranne ptaszki. Skrzydła błyskają, odbijając dziesięć tysięcy porannych światła. Rozpościerają nanowęglowe pióra i łapią wznoszące prądy, wirując w nich, aż staną się kreseczkami zagubionymi w ciemnym błękicie.

Jej nigdy nie udało się pofruwać. Na imprezie przed wyjazdem na szkolenie przedstartowe stanęła na barze i obiecała wszystkim, że to akurat zrobi na pewno. Oni tam fruważą, lecz jej nigdy nie udało się pofruwać. Tak samo jak nie pojeździła na desce - tamtego semestru, gdy wszyscy kumple pojechali jeździć do Snoqualmie, a ona musiała pisać pracę. Dziewczyna, Którą Ominęła Deska. Dziewczyna, Którą Ominęło Latanie.

Stacja pętli księżycowej znajduje się w południowo-zachodniej ścianie centralnego placu Południka. Jest dyskretna i mało widoczna, ale to ona jest filarem, wokół którego wyrósł Południk. Winda stała tutaj, w najbliższym Ziemi punkcie Księżycy, na długo, zanim w dniu Sinus Medii wywiercono pierwsze szyby. Marina przechodziła przez te drzwi zaledwie dwa lata temu i wszystko po tej stronie było wtedy nieznanym. Inny świat, inne ciążenie, inny sposób poruszania się, czucia, oddychania, nowy czib w oku kasujący ją za każdy oddech.

Stacja nigdy się nie zamyka. Pętla księżycowa kręci się wokół świata i nigdy nie staje. Obsługa ma ją na liście. Ostatnie badanie medyczne, jakieś papiery do podpisania. Nie za wiele

tęgo. Siada na wysokim białym stołku w małym białym pokoiku. Proszą ją, żeby patrzyła w czarny punkt na ścianie. Błysk, chwilowe oślepienie, mruga, widząc kłębiące się na siatkówce fioletowe powidoki. Gdy odzyskuje wzrok, stwierdza, że cyferki w prawym dolnym rogu pola widzenia zniknęły.

Marina jest odpięta od czuba.

Oddycha nieregulowanym powietrzem.

Bierze głęboki wdech i omal nie spada ze stołka, przedawkowawszy tlen. Kobieta w bieli odbierająca ją z małego białego pokoiku uśmiecha się.

- Wszyscy tak robią.

Po pierwszym szoku wątpliwość. A jeśli coś jest nie tak? Jeśli tu zaszło jakieś nieporozumienie? Co, jeśli nie ma prawa do tlenu w swoim krwiobiegu? Zaczyna oddychać płytko, lekko, hołubić powietrze niczym ukochane dziecko.

- Tak też wszyscy robią - dodaje kobieta, wprowadzając ją do poczekalni odlotów. - Swobodnych oddechów. - Dawne księżycowe pozdrowienie. - Pani bilet pokrywa wszystko, od teraz do wyjścia z orbitera.

Tęgo kawałka jeszcze sobie nie przemyślała. Odlot wyobrażała sobie wiele razy, obracała go w kółko w głowie, ze wszystkimi szczegółami, we wszystkich wariantach, z dokładnością do każdego ruchu i każdej minuty. Natomiast przylotu sobie nie wyobraża. Będzie padać. I tyle. Nie będzie widać planety przez warstwę gęstych szarych chmur.

W poczekalni siedzi pięcioro pasażerów. Jest herbatka, jest alkohol, ale nikt nie tyka niczego poza wodą. Na chłodzonym półmisku bakterie zbiera nieruszone sushi.

Tak jak się spodziewała, zastaje tam Amada, Hatema i Aurelię z grupy wsparcia. Nic już nie mówią, kiwają sobie głowami, nic więcej. Nikt nawet nie mrugnie okiem, widząc ją w stroju do biegania. Nikt nie odważa się na kontakt wzrokowy. Siedzą jak najdalej od siebie. Wszyscy tak robią, mogłaby pewnie powiedzieć dziewczyna z obsługi. Marina każe Hetty przejrzeć

muzykę, ale wszystkie utwory są albo zbyt banalne na tę okazję, albo przeciwnie - nie chce ich zepsuć przez skojarzenie z takim nieodwracalnym zdarzeniem jak to.

- Jeszcze jedna osoba - mówi dziewczyna, zamykając drzwi poczekalni.

- Przepraszam - pyta Marina. - Zdążę jeszcze? - Wskazuje brodą drzwi toalety. Jeśli nie teraz, to wysika się w spokoju dopiero w innym świecie.

Potrzeba fizjologiczna jest zaraźliwa jak ziewnięcie, przenosi się bez słów i niezawodnie - za nią od razu tworzy się kolejka.

Przychodzi ostatni pasażer. Marina spodziewała się kogoś innego - Oksany, która była ostatnią osobą z obecnej grupy, niskiej, ponurej Ukrainki o oczach jak szparki. A to jest wysoki Nigeryjczyk. Oksana najwyraźniej zmieniła zdanie. Pogodziła się ze sobą po ostatnim spotkaniu grupy. Otworzyła drzwi i wróciła do domu. Okrążyła ochroniarzy Woronców na dole *ladeiry* i poszła z powrotem. Zawróciła na pięcie w wejściu do pętli. Wybrała Księżyc. Nagle Marinę ogarniają potworne wątpliwości. Też jeszcze mogłaby to zrobić. Nawet teraz. Wstać z tej białej kanapy, trzasnąć drzwiami i wrócić.

Do Ariel.

Nie może się ruszyć. Paraliżuje ją ta decyzja.

Wtem na drugim końcu poczekalni otwierają się inne drzwi, inna recepcjonistka mówi: „Boarding rozpoczęty” i Marina stwierdza, że razem z innymi wstała i razem z innymi przechodzi przez służbę do kapsuły. Siada na jednym z foteli wokół centralnego rdzenia. Opadają pałaki, pozbawiają ją wszelkich wątpliwości. Zamyka się właz. Odliczanie odbywa się od niechcienia. Takie kapsuły przylatują i wylatują setki razy dziennie. Mimo to ona się boi, w sportowym topie, w szortach do biegania, owinięta wstążkami. Wylatuje tak jak przyleciała - ze strachem.

Pierwszy etap lotu to szalona jazda w górę na placu Południka. W parę sekund jest pół kilometra nad nim. Kapsuła pętli

księżycowej to ciśnieniowa skorupa pozbawiona okien, choć Hetty dostaje obraz z zewnętrznych kamer. Marina widzi plac Południka jako ogromny, pusty szyb, wypełniony światłami z dziesięciu tysięcy okien, liliowy o świcie. Teraz wznosi się wyżej niż fruwacze - bo tam są fruwacze, schodzą właśnie z prądów wznoszących i zataczają kręgi w zapylonej szarówce.

Opuszcza Księżyc z rana, w narastającym świetle.

Migają jej wyloty wentylacyjne i wiatraki, kable energetyczne i wymienniki ciepła na szczycie miasta, potem kamery wyłączają się, a kapsuła wpada do śluzu. Szarpie, czuje poruszające się mechanizmy, dociskające się uszczelki, słyszy, jak gwizd dehermetyzacji cichnie do szmeru, a potem całkiem milknie. Nad sobą ma wieżę wyrzutni. Pętla księżycowa toczy się wokół Księżyca, tu się z nim zetknie i porwie ją ze szczytu tej wieży w kosmos.

Będzie bolało, mówiła Preeda na spotkaniu grupy wsparcia dla powracających. Będzie bolało jak nigdy w życiu.

- Ariel.

Wszystkie *motos* mają restrykcyjnie ograniczoną prędkość, ale kiedy jesteście same na całym prospekcie, w liliowym blasku budzącej się Kwadry Oriona, kiedy pędzicie między wysokimi, ciemnymi drzewami Parku Gagarina, macie wrażenie, że jedziecie z prędkością co najmniej miłości.

- Ariel, to bez sensu.

Abena poruszyła się w płytkim, kanapowym śnie, słysząc szcęknięcie zatrzaszkiwanych drzwi i szum recyklera. Skojarzyła jedno z drugim. Zobaczyła karteczkę przytrzaśniętą drzwiami lodówki. Zaczęła ją czytać. Jeszcze nie doczytała do końca, a już była w pokoju Ariel.

- Marina poleciała z powrotem na Ziemię.

Moto było przy drzwiach, zanim pomogła Ariel naciągnąć na siebie prostą sukienkę bez rękawów.

- Zrób coś z moją twarzą - powiedziała Ariel lodowatym głosem, a Beijaflor tymczasem próbował namierzyć i zadzwonić do Hetty.

Abena uklękała na siedzeniu i ostrożnie nałożyła jej dwukolorowy cień do powiek.

- Nie mogę się dodzwonić. — Tylko tyle powiedziała Ariel. Nie mogę się dodzwonić. - Dalej nie mogę się dodzwonić.

- Ariel, posłuchaj.

Zostawiła karteczkę na podłodze w kuchni, ale wciąż widzi każde słowo, co do jednego, jak wypalone rozżarzoną igłą na siatkówce.

Muszę wyjechać z Księżycy. Muszę. Już.

- Ariel, jej kapsuła odjechała piętnaście minut temu.

Moto zajeżdża na Plac Południka i rozkłada się.

- Ariel. Już poleciała.

Ariel odwraca raptownie głowę, Abena aż mięknie pod bladym ogniem jej spojrzenia.

- Wiem. Wiem. Po prostu muszę to zobaczyć.

Kapsuła powrotna zjeżdża po ścianie Placu Południka, wracając z kosmosu. Jedna w dół i jedna na górę. W górę, na dół, w nieskończonej karuzeli.

- Wolałabym, żebyś sobie poszła - mówi Ariel.

- Ariel, mogę pomóc...

- Zamknij mordę! - krzyczy Ariel. - Nic, kurwa nie mów, durna gówniario, żadnych, kurwa, wykładów, pogodnych, optymistycznych, gówno wiesz, jak się czuję, w ogóle gówno wiesz, dość, kurwa, tych okrągłych zdanków. Nie potrzeba mi twojej pomocy i twojej terapii. Idź sobie. Po prostu. Idź. Już.

Abena z płaczem, chwiejnie, wysiada z *moto*. Biegnie do kamiennej ławki pod obrośniętą hibiskusem ścianą. Liliowy świt zamienia się w złoty poranek, wysoko w przejrzystym powietrzu fikają fruwacze. Parszywy poranek. Wredna baba. Okrutna. Niewdzięczna. Mimo to nie może się oprzeć, by nie spojrzeć na nią przez włosy, zażawionymi oczyma,

rozdygotana. Spojrzeć na bezradną kobietę siedzącą w *moto*. Drzwi rozłożyły się wokół niej jak płatki kwiatu. Opuszcza głowę. Odrzuca ją w tył. Abena próbuje dojść, co ona widzi. Przypomina sobie, jak się sama czuła, kiedy Lucasinho zabawiał się z innymi dziewczynami i chłopakami. Złość, poczucie zdrady, pragnienie zadania mu bezwzględnie takiego samego bólu. Pragnienie zadania ciosu osobie, która cię zraniła. Żeby patrzeć, jak cierpi. Tutaj — to co innego. To życie, z którego coś wydarto. To strata czegoś żywego. Chowaniec szepcze jej do ucha. *Ariel*.

- Abena. Przepraszam. Już dochodzę do siebie.

Abena nie wie, czy jest w stanie spojrzeć jej teraz w oczy. Widziała ją obnażoną głębiej niż skóra. Widziała wrażliwość kobiety, dla której samokontrola jest wszystkim. Wstaje, poprawia pośpiesznie narzucone ubranie, oddycha głęboko, aż oddech przestanie jej więznąć w gardle.

- Już idę.

Nagle taksówkę *Ariel* otacza ze wszystkich stron cała masa *motos* i motocykli.

Z otwierających się *motos* wysiadają uzbrojone, opancerzone postacie. Zsuwają się z motocykli. Woroncowowie w gęsto pokrytym umlautami, nożoodpornym kewlarze, najemnicy w pierwszych z brzegu środkach ochrony, które da się tanio wydrukować, niezdarni ziemscy żołnierze w czarnych kombinezonach. Otaczają *moto Ariel*.

Abena zamiera.

Ariel jej potrzebuje.

- Zostawcie ją! - krzyczy.

Odwraca się jedna postać: niska kobieta, o kasztanowej skórze, ubrana, kompletnie nie na miejscu, w sukienkę od Miucci Prady i dziesięciocentymetrowe szpilki Sergio Rossi.

- A ty kim jesteś?

- Abena Maanu Asamoah - mówi Abena.

Głos Ariel dobiega ze środka pierścienia uzbrojonych mężczyzn.

- Przepuście ją — mówi. - To moja asystentka.

Kobieta w Pradzie kiwa głową, najemnicy rozstępują się.

- Przepraszam, że musiałaś to oglądać — szepcze Ariel. — Nie powinnaś czegoś takiego widzieć.

Abena ma na końcu języka sto werbalnych reakcji, ale wszystkie są pełne dobrych intencji, pogodne, optymistyczne, gównowiedzące i złożone z okrągłych zdanków. Banalna, naiwna i niedojrzała, tak ją Ariel określiła, kiedy spotkały się w Towarzystwie Lunariańskim. Abena nagle rozumie, że to jedyne, co umie — reagować.

- Przyjechaliśmy po Ariel Cortę - mówi kobieta ubrana w Pradę.

Abena nie potrafi umiejscowić jej akcentu. Jej twarz, oczy, kości policzkowe mają w sobie coś dziwnie znajomego. Wyszukiwanie w sieci niczego nie zwraca, a jej chowaniec to cynowa kula w koronkowy wzór. To czemu ja mam wrażenie, że skądś cię kojarzę?

- Księżycowy Orzeł chce się z nią spotkać — dodaje. Głobo nie jest jej ojczystym językiem.

- Przeważnie próśb Orła nie doręczają debile z karabinami - mówi Ariel, a Abena ma ochotę klaskać.

- Nastąpiła zmiana przywództwa - mówi młoda kobieta.

Ariel przygląda się nagle jej oczom, kościom policzkowym, wykrojowi ust. Powoli rozpoznaje... rozpoznaje niemożliwość. A do Abeny dociera, u kogo wcześniej widziała takie rysy. U kobiety u swego boku.

- Kim ty, do cholery, jesteś? - pyta Ariel po portugalsku.

Młoda kobieta odpowiada w tym samym języku:

- Alexia Corta.

Boty naprawcze pracowały pilnie, lecz sądowe oko Ariel i tak wyłapuje okopcenia wokół futryn i ślady zapyłonych buciorów na wypolerowanej spiekowej posadzce. Połyskujące drobinki tłuczonego szkła, które uwięzły tam, gdzie podłoga styka się ze ścianą. W bocznym pomieszczeniu dwa boty zawzięcie czyszczą wielką plamę na wykładzinie.

Szczegóły są dobre. Szczegóły to dyscyplina. A to jest sąd, ona tu przychodzi na proces. Ten sąd może zdecydować o wszystkim, nawet o jej życiu i śmierci.

Eskorcie kazano zostać w hangarze dla pojazdów. Obcasy Alexii Corty wystukują na twardej posadzce wojskowy rytm. Ariel widzi w jej każdym kroku dyscyplinę i opanowanie. Zieluniacy przeważnie ruszają się zbyt zamasyście, nadużywają swoich zbyt silnych nóg. Żarty o świeżych przybyszach, co zsiadli z pętli księżycowej i wyskakują w górę na Prospekcie Gagarina, stały się niemal stereotypem. A ta młoda kobieta nie czyni ani jednego niewłaściwego kroku. I to w szpilkach od Sergio Rossiego.

Kolejny szczegół — mała, błyszcząca moneta wrzucona, z błyskiem i brzękiem, do dziury.

Kapsuła Mariny już zadokowała czy jeszcze leci, w swobodnym spadku, ku tej odległej, jasnej gwiazdzie? Mogłaby to ustalić, pytając Beijaflora o szczegóły lotu.

Ariel przywołuje skupienie. Skoncentruj się na tu i teraz, skup się na użytecznych informacjach. Alexia Corta mieni się Żelazną Ręką, dawnym tytułem Adriany. I wzoruje się na niej. Ma ambicję i wysokie mniemanie o własnej bezwzględności.

- Proszę tu poczekać - mówi Alexia do Abeny.
- Nie proponuj, że mnie popchasz - odzywa się Ariel.
- Oczywiście, *senhora* Corta.

Od chwili gdy Alexia się przedstawiła, Ariel wiedziała, kogo zastanie po drugiej stronie podwójnych drzwi, za tym przeładowanym kretyńskimi ozdóbkami bezsensownym biurkiem. Jednak to, co tam zastaje, sprawia, że całkiem

zapomina o Marinie i łagodzi przenikający ją ból - staje się chroniczny, tępy i w sumie do zniesienia.

- Lucas, ja pierdzielę, ty wyglądasz jak trup. - Mówi po portugalsku, w języku czułości i konkurencji, rodziny i wrogów.

Śmieje się. Ariel nie może tego znieść. Ten śmiech brzmi jak precyzyjny mechanizm, który ktoś zatarł, sypiąc do środka tłuczone szkło.

- Bo byłem trupem. Mówią, że przez siedem minut. Rozczarowałem się. Nic ciekawego. Nie patrzyłem na wszystko z góry, jakbym wlał na szafę. Nie było białego światła i muzyczki ze spa. Nie było przodków nawołujących w tunelu. - Przesuwa na środek gigantycznego pustego biurka butelkę dżinu. - Mój dawny osobisty przepis. Sieć niczego nie zapomina.

- Dziękuję, ale nie.

Chciałaby, i to strasznie. Najbardziej chciałaby zabrać tę flaszkę do jakiejś kryjówki i pić, aż wszystko będzie gładkie, zamazane i bezbolesne.

- Poważnie?

- Teraz tylko przy specjalnych okazjach.

- To nie jest specjalna okazja? Spotkanie z dawno niewidzianą rodziną?

- Ty sobie nie przeszkadzaj.

- No niestety, moja ekipa lekarzy w kwestii alkoholu zarządziła mi to samo, co tobie.

Ta pusta, wybielona, popękana wydmuszka-kukielka to jej brat. Niegdyś piękna cera jest szara. Siwe pasma we włosach i w brodzie. Oczy ma zapadnięte, skórę upstrzoną znamionami i wątrobianymi plamami od bezpośredniego światła. Garbi się, jakby gięły mu się wszystkie kości. Nawet w księżycowym ciężeniu jego mięśnie ledwo są w stanie utrzymać go prosto za biurkiem. Ariel dostrzega też oparte o blat kule. Zupełnie jakby na mocy jakiejś odwrotnej teorii względności, w ziemskim ciężeniu minęło mu trzydzieści lat.

Ariel zerka w oczy Alexii.

- Zostaw nas samych.

Lucas kiwa głową.

- Tak, Alexia. Proszę.

Ariel odczekuje, aż zamkną się drzwi, choć Alexia byłaby głupia, gdyby nie monitorowała każdego słowa wypowiedzianego w Orlim Gnieździe.

- A ona to co?

- Jest bystra, jest głodna sukcesu i odświeżająco ambitna. To chyba najbardziej bezwzględna osoba, jaką w życiu spotkałem. Wliczając i ciebie, *irmã*. Tam, na dole, miała swoje małe imperium, produkowała i dostarczała czystą wodę do domów w swojej okolicy. Nazywali ją Królową Rur. A mimo to, gdy zaoferowałem jej Księżyc, poleciała ze mną. To Żelazna Ręka. Krew z krwi Adriany Corty.

- Lucas, ona cię zabije - mówi Ariel. - Sekundę po tym, jak twoja pozycja się zachwieje.

- Rodzina przede wszystkim, Ariel. I nade wszystko. Lucasinho jest w João de Deus. W ciężkim stanie. Opiekują się nim Siostry Panów Chwili. Zawsze myślałem, że to, że matka się do nich przywiązała, oznaczało, że się starzeje, ale teraz one są głównym ośrodkiem oporu wobec okupacji mojego miasta przez Mackenziech. Tym zajmę się w swoim czasie. Lucasinho przeprowadził Lunę przez czterysta kilometrów po Morzu Żyzności. Wiedziałaś o tym? Oddał swój ostatni oddech, żeby mogła dojść do Boa Vista. Podczas Biegu Księżycowego zawrócił, żeby pomóc małemu Asamoah. Jest odważny i jest dobry. Chcę, żeby wyzdrowiał, i bardzo chcę go znowu zobaczyć. Rodzina przede wszystkim.

Napomnienie, słyszane tysiąc razy, i tak rani niezawodnie. Dziś jest już poraniona, więc wbija się jeszcze głębiej. Ariel zawsze wybierała i zawsze będzie wybierać świat naprzeciw rodziny. Jednakże, tak jak każda okrągła prawda, to zdanie ma w środku i głębszą prawdę, wirujący rdzeń roztopionego

metal. To świat wybiera Ariel Cortę. Świat ją nagabuje, kładzie na niej swoje uparte, chciwe łapska. A niewielu ludzi ma dość charakteru i zdolności, żeby zadowolić świat. On jej potrzebuje, ona go żywi. On wiecznie czegoś chce, ona mu to daje, lecz izoluje ją to od wszystkich innych osób, które mogłyby również czegoś od niej chcieć.

- Lucas, ja nie wejdę na łono twojej radosnej nowej dynastii.
- Prawdę mówiąc, możesz nie mieć wyboru. Jak myślisz, jak bezpieczni będą wszyscy Cortowie, kiedy świat się dowie, kto zasiada w Orlim Gnieździe?

- Wydaje się, że moja zawodowa specjalność to pokazywanie wała kolejnym Księżycowym Orłom - odpowiada Ariel, choć już widzi pułapki, które rozstawia wokół niej Lucas.

- Byłaś radcą prawnym mojego poprzednika. Chciałbym, abyś pozostała na tym stanowisko. Po prostu zmienił ci się szef.

- Twój poprzednik rozbił się o plac Antaresa. Beijaflor streścił jej przebieg rewolucji, która odbyła się, gdy zostawiała ją Marina. Defenestracja. Ariel aż wzdryga się na myśl, że istnieje określenie na takie morderstwo; określenie precyzyjne, uperfumowane i kulturalne.

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego - mówi Lucas. - Jonathon nie stanowił zagrożenia. Był skończony. Doczekałby końca swojej kadencji na jakiejś synekurze wykładowcy na uniwersytecie Farside. Ja nic do niego nie miałem.

- A jednak siedzisz teraz za jego biurkiem, masz jego tytuł, jego pieczęcie, uprawnienia, częstujesz mnie swoim designerskim dżinem z jego drukarki.

- Ja się o to nie prosiłem.
- Lucas, obrażasz moją inteligencję.

Unosi błagalnie dłonie.

- Lunar Mandate Authority potrzebowała kogoś, kto zna Księżyc.

- To nie jest po prostu wymiana jednego trzyliterowego skrótu na inny. Zmiany w zarządzie przeważnie nie mają

ostrzału z orbity w pakiecie.

- Nie jest? - Lucas nachyla się ku niej i Ariel widzi w jego zapadniętych oczach blask, o którym zdążyła już zapomnieć. Niczego nie oświeśla. Rzuca cienie. — Naprawdę? Pojedź sobie windą na wysokie poziomy, zapytaj ludzi, czy w ogóle wiedzą, co robiła LDC, czy znają nazwisko choćby jednego członka, czy w ogóle mają pojęcie, kto był Księżycowym Orłem. Wiesz, co ich obchodzi? Powietrze w płucach, jedzenie w brzuchu, kto się z kim pieprzy na kanałach Gupshup i jaki będą mieli następny kontrakt. Nie jesteśmy państwem, nie jesteśmy demokracją pozbawioną wolności jak tlenu. Jesteśmy organizacją komercyjną. Kolonią przemysłową. Musimy wykręcać zysk. I jedyne, co się stało, to zmiana kierownictwa. A nowe kierownictwo ma sprawić, że znowu popłynie kasa.

- W radzie gabinetowej LDC są przedstawiciele Rosji, Indii, Brazylii, Stanów, Korei, Afryki Południowej, Chin Ludowych. Spodziewasz się, że Pałac Wiecznego Światła będzie przyjmował rozkazy z Pekinu?

- Lunar Mandate Authority to kolektyw wielu sił. Są w nim przedstawiciele korporacji z Ziemi i z Księżyca.

- VTO.

- Tak.

- Lucas, co ty im zaoferowałaś?

- Bezpieczeństwo na Ziemi, imperium w kosmosie, poszanowanie na Księżycu.

- Lucas, to jest inwazja.

- Oczywiście, że tak. Ale to także interes. Całkiem poważny.

- Ty zniszczyłeś Tygiel?

- Nie - odpowiada Lucas.

Ariel nie reaguje. Jej milczenie zmusza go do dopowiedzenia.

- Nie zniszczyłem Tygla.

- Ten program, który przekierował lustra... to był stary kod Cortów. Siedział tam, zaszyty w systemie sterowania, przez trzydzieści lat. Taki kod nie uaktywni się sam z siebie. Ktoś

musiał go obudzić. Wysłać mu rozkaz. Czy to byłeś ty, Lucas?

- Ja nie wydałem tego rozkazu.
- Sto osiemdziesiąt ofiar, Lucas.
- Ja nie wydałem rozkazu zniszczenia Tygła.
- Teraz możesz mnie poczęstować jednym z tych twoich dżinów. Nalewa go niepewnie do kieliszka od martini, dodaje homeopatyczną ilość wermutu, przesuwając szkło po blacie wielkiego orlego biurka. Tyle takich drinków w życiu wzięła w dłonie, delectowała się nimi, czystą i absolutną rozkoszą. Jak ostrym, dorosłym i intymnym seksem w kieliszku. Tego nie tyka.

- Poprosiłeś mnie, Lucas, żebym była twoim pełnomocnikiem.

- Poprosiłem. Nic jeszcze nie odpowiedziałaś.

A dżin jest zimny, zroszony i zawsze niezawodny, zawsze pewny. Rodzina czy świat - jej odwieczny dylemat. A Lucas przeciął go jednym uderzeniem. Rodzina i świat. Jednocześnie. Przyjmij jego propozycję, a będziesz miała jedno i drugie. Ariel długo patrzy na kieliszek stojący na biurku Księżycowego Orła i widzi, że to proste. Najprostsze na świecie. Jak zawsze.

- Nie odpowiedziałam, faktycznie - mówi Ariel. - Odpowiedź brzmi: nie. Nie.

Cierpliwość lady Sun wyczerpuje się po godzinie. Wzdycha i unosi łaskę w kierunku Alexii Corty.

- Ej, ty.
- Lady Sun?

Obserwowała bardzo uważnie tę młodą kobietę siedzącą za małym biurkiem przy drzwiach do gabinetu Orła. Każdym mięśniem zdradza, że urodziła się na Ziemi. Brazylijka. Rodzina. Legenda mówi, że Adriana nie znalazła w rodzinie żadnego Corty godnego dołączenia do niej na Księżycu. A ta dziewczyna ma ambicję i dyscyplinę, żeby do czegoś dojść. Nie

trawi czasu na rzeczy banalne i niepotrzebne. Ładnie siedzi, potrafi siedzieć bez ruchu. Mało który młody człowiek umie teraz siedzieć bez ruchu. Lady Sun woła ją trochę dlatego, żeby wytrącić ją z tego irytującego opanowania, a trochę, żeby sprawdzić, czy nie przesadzi z ruchem i nie polecą przez pół sali. Ona jednak porusza się sprawnie, choć widać, że wymaga to od niej skupienia.

- Każecie nam czekać - mówi lady Sun.

Zarząd Taiyangu przybiera najrozmaitsze znudzone pozy w komfortowym wnętrzu hallu kancelarii Orła.

- Orzeł spotka się z państwem, kiedy będzie gotowy — mówi Alexia Corta.

- My nie mamy w zwyczaju czekać. Nie jesteśmy waszymi pracownikami kontraktowymi.

- Orzeł jest bardzo zajęty.

- Ale dla Jewgienija Woroncowa miał czas.

Stary pijak i dureń zwał się tu pół godziny temu razem z całą świtą opancerzonych przygłupów. Nawet tyle przyzwoitości nie miał, żeby się choć zawstydzić. Lady Sun nie miała wątpliwości, że ci jego ochroniarze to członkowie junty młodszego i twardszego pokolenia, które podobno już rządzi VTO Moon. Wszyscy podobnie wyglądali, muskularni i zdyscyplinowani. A zbroje wymalowane w takie wzory, że aż boli patrzeć. Pstrokate i prymitywne. Dariusz lubi muzykę, z której pochodzi ta ikonografia. To wyjątkowo upokarzające dla lady Sun, że upominają ją siły porządkowe wyglądające jak postacie z gry komputerowej dla chłopców.

„Porządkowe”. Policja. Że w ogóle to pojęcie pojawiło się na Księżycu!

- *Senhor* Woroncow jest członkiem LMA — mówi Alexia Corta, a na te słowa otwierają się podwójne drzwi i wyłazi sam Jewgienij, wielki jak szafa trzydrzwiowa.

Wokół tłoczą się młode kobiety o groźnych twarzach i mężczyźni w jeszcze groźniejszych zbrojach. Prawie wypychają

go na zewnątrz.

- Teraz Orzeł spotka się z państwem - obwieszcza Alexia Corta.

Sunowie podnoszą się leniwie po długim i nudnym oczekiwaniu.

Alexia Corta zastępuje drogę lady Sun.

- Pani nie jest członkiem zarządu, *senhora* Sun.

Sun Zhiyuan aż zamiera. Cała delegacja staje jak wryta. Lady Sun wchodzi pierwsza. Taka jest zasada, taki jest zwyczaj, tego wymaga szacunek.

Alexia Corta ani drgnie.

- To musi być pomyłka - mówi lady Sun.

- Uczestniczy pani w posiedzeniach zarządu Taiyangu, ale nie jest pani jego członkiem.

- Każesz mojej babce czekać, a potem mówisz jej, że nie jest zaproszona? - mówi Sun Zhiyuan głosem pełnym cichej, dyskretnej agresji. - Albo wchodzi razem z nami, albo nie wchodzi nikt.

Alexia Corta unosi dwa palce do ucha - gest typowy dla zieluniaczki, która jeszcze nie nauczyła się podświadomej, bezszelestnej obsługi chowańca.

- Orzeł z przyjemnością spotka się z lady Sun - mówi.

Oczy ma skryte za ciemnymi szklami wayfarerów, lecz w jej mimice nic nie sugeruje ani zażenowania, ani odebrania nauzki. Pewna siebie, beczelna młoda kobieta.

Sun Zhiyuan usuwa się, żeby lady Sun mogła stanąć na czele delegacji.

- Bezczelna mała siksa - syczy, mijając Alexię, lady Sun. W życiu nikt jej tak nie poniżył. Furia to rozkosz, to ogarniająca całe ciało gorączka, to uczucie, którego już nie spodziewała się w swoim wieku.

- Zaszuszonej starej skorpionicy stojącej nad grobem - szepcze po portugalsku Alexia Corta.

Za lady Sun i zarządem Taiyangu zamykają się drzwi.

Jaime Hernandez-Mackenzie przystaje w drzwiach apartamentu, opiera się dłonią o framugę, dyszy ciężko. W płucach rzezi mu tysiąc kamiennych igieł. Zabija go wchłonięty dawno temu pył. Starych *jackaroos* nie powinno się budzić przed świtem na jakieś tam spotkania.

Jednakże starzy *jackaroos* umieją rozpoznać stan wyższej konieczności.

Jedyne światło pada z okna, przy którym stoi Bryce, ciemny ogrom na tle puentylistycznych nocnych świateł Prospektu Kondakowej. Jaime mruga w półmroku. Chowaniec mówi mu, kto gdzie jest, i zaznacza pozycje.

- Sunowie wezwali nas do spłaty - mówi Alfonso Pereztrejo, dyrektor finansowy.

- Kurwa mać - rzuca z szacunkiem Jaime Hernandez-Mackenzie.

- Plan spłaty proponują dość przyzwoity, ale jednak chcą zwrotu - dodaje Rowan Solveig-Mackenzie. - Morza Żyzności i Przesilenń dalej chodzą tylko na czterdzieści procent i żadnych rezerw też nie mamy.

- Lucas Corta chciał się spotkać — odzywa się Alfonso Pereztrejo.

- Nie ma, kurwa, mowy. Nie będę całował go w pierścień - mówi Bryce, odwracając się od okna. — Nie oddam tego wszystkiego Lucasowi Córście.

- VTO może nałożyć na nas embargo - zauważa Rowan.

- No to na Ziemi zgaśnie światło - stwierdza Bryce. - Ja wiem, co on kombinuje. Pozwoli Duncanowi po kawałku nas spychać, podczas gdy my będziemy dostarczać Ziemi hel. Tu kawałek terytorium, tam kawałek. A tak naprawdę temu LMA, czy jak tam oni się nazwali, chodzi tylko o statki z helem.

- Ja myślę, że musimy się z tym LMA dogadać.

- Ale tam rządzi Lucas Corta.

- Ja wiem, czego chce Lucas - wypala Bryce. - Chce odbić swoje miasto. Ja mu je kurwa, rozwalę, zdehermetyzuję, razem ze wszystkimi ludźmi, a nie oddam.

- Jest trochę mniej krwawa opcja - wtrąca Jaime. - Kojarzysz Zakon Panów Chwili?

- Coś tam słyszałem. Jakiś tam brazylijski zabobon, co wali w bębunki i podburza biedaków.

- Ludzie je szanują - mówi Jaime. - A i ty będziesz miał większy szacunek, jak ci powiem, że słyszałem, że siostry ukrywają Lucasinho i Lunę Cortów.

Bryce Mackenzie prostuje się, wyraźnie rośnie na tle ulicznego światła.

- Co ty powiesz?

Jedzie sam, wynajętym wagonikiem, prosto do twierdzy wroga. Po przyjeździe twierdza prowadzi go do swego serca, otwierając przed nim tylko właściwe drzwi.

Kule Lucasa postukują na polerowanym kamieniu Hadleya.

To było oczywiste, że Duncan zbuduje sobie ogród. W końcu Gaj Paproci Roberta był jednym z cudów Księżyca. Lucas nigdy go nie widział, choć go zniszczył. Robert Mackenzie tworzył z paproci i piór, zieleni i wilgoci. Duncan Mackenzie rzeźbi w kamieniu i piasku, w szmerach wiatru i szeptach. Pomieszczenie ma sto metrów średnicy, a strop - agorafobicznie wysoko, jak na ciasnotę Hadleya. Lucas czuł na swoich barkach ciężar jego skały, teraz mu ulżyło. Powietrze jest bardzo suche i bardzo czyste, pachnie nutą drobnego piasku. Ułożona z płaskich kamieni ścieżka meandruje pomiędzy wygrabionymi w piasku Zen-ogrodami. Snopy światła padają z wysokich okien na surową kamiennie-piaskową geometrię.

Stuk, puk.

Duncan Mackenzie czeka w kamiennym kręgu, nad

ramieniem opalizuje mu Esperance. Ustawione pionowo kamienie reprezentują wszystkie typy skał z Księżyca i sporo spoza Księżyca. To menhiry pamiętające narodziny Układu Słonecznego, kawałki Ziemi i Marsa wybite z nich w kosmos uderzeniami tytanicznych asteroid; metalowe jądra meteorów, które wryły się w powierzchnię Księżyca miliard lat temu.

Lucas nie może nie zauważyć, że wszystkie te kamienie są niższe od Duncana Mackenziego.

- Mogłem ci dziesięć razy wypruć flaki - mówi Duncan.

Lucas opiera się na kulach.

- Byłaby z ciebie dziura w regolicie.

- Działo elektromagnetyczne zapewnia dobre stosunki sąsiedzkie.

- Duncan, ja nic do ciebie nie mam.

- Wiesz, ja byłem w Tyglu. Uciekałem jak wszyscy, kiedy zaatakowały nas lustra. Słyszałem, jak inni łomocą do drzwi kapsuły ewakuacyjnej. Widziałem, jak się palą. A chowańca mojego ojca złożyłem w tabernakulum w Królewskim Dworze.

- Rozpamiętywanie agresji nie posunie nas do przodu ani o krok -mówi Lucas. - Bryce ma João de Deus. Ono jest moje. A jego helowy biznes możesz sobie wziąć.

- Ja nic od ciebie nie chcę.

- Ja ci nic nie daję. Po prostu: ciągniesz wojnę z Bryce'em o teren, a LMA udaje, że nie widzi.

- A kiedy odbiorę mu helowy biznes, ty mi go zabierzesz. Proszę, odrodzone Corta Hélio.

- Nic, co powiem, i tak cię nie przekona, że nie interesuje mnie hel. Za to João de Deus chcę mieć, naprawdę.

- Mackenzie Metals nie ma żadnego strategicznego interesu w João de Deus.

Lucas Corta powstrzymuje uśmiech. Dogadał się.

- Zatem się rozumiemy. Nie będę ci zajmował więcej czasu.

W połowie meandrującej kamiennej ścieżki odwraca się jeszcze na kulach.

- Aha, zapomniałem. Gdybyś jednak postanowił pogodzić się z bratem, to, jak sam zauważyłeś, mam jeszcze działo elektromagnetyczne.

- Działo elektromagnetyczne to mają Woroncowowie! — odkrzykuje Duncan.

Duncan Mackenzie patrzy, jak Lucas Corta idzie, postukując, pomiędzy usypanymi z piasku spiralami i kręgami.

Pierdolony Corta. Pierdolony Corta.

Masz wielką armatę, ale zapomniałeś, że najlepszy sposób obrony przed wielką armatą to zasłonięcie się czymś.

Odczekuje, aż zamkną się za nim drzwi, i dzwoni do Denny'ego.

- Przyrowadź mi Robsona Cortę.

Pierdolony Corta.

Windy i *ladeiry* kończą się w okolicach osiemdziesiątego piątego poziomu. Wagner Corta pnie się na szczyt miasta po schodach i stopniach, po drabinkach i szczeblach. Coraz wyżej, przez Bairro Alto, jego półki i przewieszki, niskie tunele i druciane kładki, gdzie mieszkają wydziedziczeni i bezkontraktowi; jeszcze wyżej, gdzie powietrze bucha z wylotów wentylacyjnych, szemrze na wiązkach rur i talerzach anten, a wąskie druciane galeryjki drgają od pulsu maszyn. Kiedy ten puls choć odrobinę się zmienia, Wagner łapie się poręczy i zmusza do patrzenia na wprost. Patrząc w dół to prosić się o zawrót głowy. Przepaść ma dwa kilometry - jest dokładnie nad Prospektem Tierieszkowej.

Powyżej setnego kończą się nawet poręcze. Wagner pełźnie wzdłuż spawów, omija wilgotne od rosy zbiorniki na wodę. Przez pięć minut siedzi, grzejąc plecy od wymiennika ciepła, próbując zebrać odwagę do przekroczenia trzymetrowej

szczeliny pomiędzy dwoma agregatami kontroli wilgotności. Wreszcie łapie się oburącz zwisającej wiązki kabli i przerzuca się na półkę po drugiej stronie. Śmierć od porażenia prądem jest szybsza niż śmiertelny upadek. Mimo to widzi ślady, że ludzie zamieszkują to miejsce - butelki po wodzie, opakowania od batonów białkowych i węglowodanowych, zwiane do kątów i wnek przez nieustające sztuczne wiatry górnego Południka. Tak wysoko nie zapuszczają się nawet Zabbalini ze swoją legendarną gorliwością w odzyskiwaniu węgla do ostatniej częsteczki. Wyżej jest tylko linia słoneczna, którą Wagner czuje jak nieustający, oślepiający atak. Dach świata płonie. A jednak wydaje się, że fluorescencyjne symbole, znaczniki parkourowców prowadzą jeszcze wyżej.

Przebył morza i wyżyny, walczył z potworami i gigantami, widział odwagę i desperację, doświadczył energii, które potrafią wybić dziurę w mięście i otworzyć je na próżnię. Przeżył wyczerpanie, głód, odwodnienie, wyziębienie, przeżył roboty i promieniowanie, lecz ostatnie pół kilometra wyprawy na poszukiwanie Robsona jest gorsze niż to wszystko. Postawcie go przed tysiąckilometrową połacią szkła, zrzućcie pomiędzy rozszalałe noże bojowych robotów, zbombardujcie rozpędzonymi bryłami lodu, a przebije się przez to wszystko. Wystarczy jednak trzymetrowa szczelina, w której zieją dwa kilometry powietrza, a będzie sparaliżowany. Wagner ma lęk wysokości.

Z walącym sercem, oddychając płytkimi łyczkami, wciska się jak najgłębiej w szczelinę między kolumnami dwóch wymienników gazowych. Na szczycie świata powietrze jest zauważalnie rzadsze. Wagner oddycha głęboko, przesycając ciało tlenem.

- Robson Corta!

Woła trzy razy, potem opada z sił i dyszy. Pulsuje mu w głowie. Mógłby ten gówniarz chociaż mieć włączonego chowańca. Jednakże to Reguła nr 1 znikania - odpiąć się od

sieci. Wagnerowi udało się wytropić Robsona na dachu Kwadry Antaresa dzięki skomplikowanym algorytmom rozpoznawania wzorców i analizie biernych śladów.

- Robson! To ja, Wagner. - Napętnia płuca i dodaje: - Robson, jestem sam. Tylko ja. Przysięgam.

Jego głos niesie się echem po tytanowych metalowych krajobrazach górnego Antaresa. Wagnera zawsze przerażały podniesione głosy, wrzaski, niepotrzebny hałas. Ściąganie na siebie zbędnej uwagi. Głośni ludzie. Jest wilkiem, który nie wyje.

Jest wilkiem, który robi w gacie ze strachu, ukrywając się w stalowych zakamarkach przed otchłanią.

- Robson! - Głos znów odbija się trzykrotnie od wielkich metalowych powierzchni. Nienawidzi jego brzmienia.

- Wagner.

Robson odzywa się z tak bliska, że Wagner aż podskakuje ze strachu. Wciska się z powrotem we wnękę.

I serce staje mu z przerażenia. Robson stoi na dziesięciocentymetrowym gzymsie, bez żadnych uchwytów dla rąk. Palce stóp w butach do wspinaczki zawijają się wokół krawędzi. Pod nimi są dwa kilometry otwartego powietrza. Pomiędzy Wagnerem a Robsonem ziele pięciometrowa szczelina. Dla Wagnera równie dobrze mogłaby to być odległość między Ziemią i Księżycem - i tak nie potrafi jej pokonać.

- Jesteś cały?

Chłopak jest w opłakanym stanie. Szorty ma brudne i dziurawe. Przyduża koszulka ma oberwany, zwisający rękaw. Włosy to sfilcowana szopa, prawie dredy, skórę ma brudną, usianą siniakami i gojącymi się otarciami. Nigdy nie był zbyt mocnej budowy, lecz teraz wygląda na zagłodzonego. W szerokim dekolcie koszulki Wagner widzi sterczące obojczyki. Oczy ma błyszczące i dzikie.

- A ty?

- Tak. Nie. Ale wiesz, już wszystko się uspokoiło.

- Tak? A ja biłem się z botem - mówi Robson. - Przyszedł chyba tylko sprawdzić, ale miał ostrza. Przewróciłem go. Nie domyślił się, co robię. Jak sztuczka karciana. Spadł na kładkę na sto piętnastym i rozbił się. Części poleciały na poziomy od dwudziestego do czterdziestego. Ale poszło ostrzeżenie przed spadającymi odłamkami, więc nikomu nic się nie stało.

- Robson, przyszedłem zabrać cię do domu.

- Ja tam nie wracam.

- Wiem. Amal mówiło. Ono też cię kocha, tylko... wiesz, nasza miłość jest trochę inna. Było ciężko ranne, Robson. Próbowало cię bronić.

- A jak się teraz czuje?

- Wyjdzie z tego. — Pęknięta śledziona, poważne obrażenia wewnętrzne. „Mieli Żelazną Pięść”, powiedziało Wagnerowi, gdy odwiedzał je w szpitalu. — Próbowало cię bronić.

- Wiem. Wagner, ja nie zostanę kimś takim jak ty. Nie potrafię.

- Teraz już wiem. Nie wrócimy do Domu Sfory. Obiecuję.

- Czyli co zrobisz?

- Będę z tobą.

- Ale tobie potrzebna jest sfora. Bez niej nie jesteś sobą.

Serce Wagnera Corty pęka odrobinę; tkwi na górze miasta, wciśnięty w szczelinę ledwie mieszczącą jego chudy tyłek, z kolanami podciągniętymi pod brodę i owiniętym ramionami, by zasłonić jak najwięcej tego przerażającego widoku.

- Ale będę miał ciebie.

Robson mówi:

- Ty tam byłeś, prawda?

- Widziałem rzeczy nie do uwierzenia. Rzeczy, których nikt wcześniej nie widział. I nie powinien widzieć. Widziałem rzeczy, o których nigdy nikomu nie powiem.

I znów długa cisza.

- Robson, muszę ci coś powiedzieć: widziałem różne rzeczy,

bałem się ich, ale teraz boję się jeszcze bardziej. Przerażony jestem. Nie mogę tu być. Boję się że zginę, nie wiem, czy będę w stanie się ruszyć. Pomożesz mi zejść na dół?

Nie dostrzega żadnego fizycznego wysiłku, żadnego napięcia mięśni ani zamachu, a mimo to Robson szybuje nad przepaścią, wyciąga rękę i łapie się filara. Przerzuca się przed silosem wymiennika gazowego, przelatuje nad wnęką, w której kuli się Wagner, chwyta kolejny filar, robi salto i ląduje pewnie i stabilnie na galeryjce.

To tą galeryjką czołgał się na czworakach Wagner. Robson wyciąga rękę.

- Trzymaj. Nie patrz nigdzie, tylko mi w oczy.

Wagner posuwa się o milimetr naprzód. Mięśnie nóg ma zdrętwiałe, kostki niepewne.

- Weź mnie za rękę.

Wyciąga dłoń. Przez chwilę spada, przed nim otwiera się otchłań. Wtem łapie go ręką Robsona i Wagner uświadamia sobie, że nigdy dotąd go nie dotknął, nie objął jego ciała. Czuje w nim siłę, miękkość i ciepło. I zawzięty opór. Zbiera się na nogi, chwiejnie.

- Patrz na mnie.

I już obchodzi drugi wymiennik gazowy, zbliża się do wyjścia.

- Jak tam? Dasz radę?

- Zaraz się zrzygam.

- Nie nad otwartą przepaścią.

Wagner ściska poręcz, sapie, blady, spocony. Trzy razy czuje, jak wzbierają mu mdłości, prostuje się, oddycha głęboko.

- No to chodźmy. W pierwszej kolejności *bania*. Wali od ciebie jak nie wiem, *irmão*.

Uśmiech Robsona mógłby zatrzymać światy na orbitach.

- Ty, *lobinho*, też za świeży nie jesteś.

Wagner długo leży w półmroku i ciepłe *bani*. Gładki kamień

pod plecami, przyjemne łaskotanie potu, który wydziela się, zlewa w krople i spływa, wyciągając z głębi mięśni pokłady zmęczenia. Nad głową gwiazdy ułożone w nieruchome konstelacje na kopule. Ziemia w pełni, z niebiesko-białej mozaiki.

Ziemi przybywa. Czuje to, nawet głęboko w czeluściach księżycowych grot. Wie, że to leki, że to zawsze były leki oraz jego własne rytmy psychologiczne i fizjologiczne, lecz nie musi widzieć, by wiedzieć, że nad Południkiem stoi teraz błękitny półksiężyc Ziemi. Czuje, że ciągnie go do jedności stada.

Mimo to nie może. Nie wolno mu. Ma dziecko. Leży w ciepłe, na kamiennej ławie, i ogarnia go panika. Będzie poza stadem, nie tylko podczas tego wschodu Ziemi: podczas wszystkich następnych wschodów. Nie wie, jak to wytrzyma. Wytrzyma. Musi. Ma dziecko.

Dźwięczy Sombra.

Halo, ja już wyszedłem.

Robson przysiadła na stołku w barku herbacianym łaźni. Wydrukował sobie zsuwającą się z ramienia skalistoszarą koszulkę, krótką, z zawiniętymi rękawami, i dresowe spodnie z trzema paskami na nogawce. Jego włosy to wspaniała, puszysta, kasztanowa szopa.

- Lepiej pachnę? - mówi Robson. Aż promienieje.
- Eukaliptus, mentol. Jałowiec. Bergamotka, odrobina drzewa sandałowego. - Jeszcze raz pociąga nosem. - I ślad kadzidła.
- Skąd ty to wszystko wiesz?
- W ciemnym stanie to ja wiem dużo rzeczy.
- Pokażę ci jedną sztuczkę — oświadcza Robson. Wyciąga z kieszeni dresowych spodni swoje pół talii kart. Wybiera jedną i pokazuje Wagnerowi. Presto i karta znika.
- Ma ją wewnątrz dłoni — odzywa się jakiś głos. — Między kciukiem a dłonią. Z miejsca, gdzie ty siedzisz, nie widać. Ale ja widzę.

Iluzja to sztuka odwracania uwagi. Dłoń zwraca uwagę tutaj, dlatego nie widać, co dzieje się z kartą. Nie widać też wejścia Pierwszego Noża Mackenziech.

Denny Mackenzie opiera się o kontuar barku. Widzi, jak Wagner rozgląda się po hallu za innymi nożami.

- Sam przyszedłem. Niezły jesteś, że tak szybko chłopaka znalazłeś.

- Nazywam się Robson - denerwuje się Robson. - Nie „chłopak”, nie „Robbo”. Robson.

- Masz rację - mówi Denny Mackenzie. - Przepraszam. A ty...

- zwraca się do herbaciarza - ...nie rób tego. Dam radę całej twojej ochronie, ale wolałbym nie robić zbędnego zamieszania.

- Czego chcesz? - pyta Wagner.

- Słyszałem, że przyjechałeś aż spod Twe. Straciliśmy tam całą masę *jackaroos*.

- Dobrze słyszałeś. Czego chcesz?

- Też chciałem być pod Twe, ale jestem Pierwszym Nożem i to mnie zatrzymuje w Hadleyu. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy Duncan każe mi coś dla niego załatwić. On chce Robsona.

Wagner wchodzi pomiędzy Robsona i Denny'ego Mackenzie.

- Wagner, to bardzo ładnie i honorowo, ale wojownikiem to ty nie jesteś - mówi Denny - Duncan potrzebuje jakiejś żywej i ciepłej osoby, żeby się nią zasłonić przed twoim bratem. Wagner, masz otwarte usta. Wytrzeszczasz oczy. Ty naprawdę nie wiedziałeś? Gdzie się podziewałeś? A, no tak, faktycznie. Twój brat, Lucas Corta, jest Księżycowym Orłem.

- Lucas nie... - zaczyna Wagner.

- Się rozpytaj, dowiesz się, że raczej żyje, i to nieźle żyje. Duncan chce mieć zakładnika, Lucas chce głowy Bryce'a. Duncan jest za bardzo Mackenzie, żeby dotarło do niego, że Lucas nie jest jego wrogiem. Byłby idiotą, gdyby skłócił się z Orłem i obecną LDC, czy jak tam ona się teraz nazywa. Ze mnie żaden polityk, ale i ja to widzę. Wagner, jest wyjście z tej sytuacji.

- Jesteś mi coś winny, Denny, i to będzie moje trzecie i ostatnie żądanie.

- I ja je wypełnię, Wagnerze Corta. - Denny Mackenzie wyciąga nóż z pochwy ukrytej pod marynarką od Armaniego i całuje ostrze. - Dług został spłacony. — Chowa nóż. — Wagner, jedź stąd gdzieś daleko. Jak najszybciej. Już.

- Dziękuję ci - mówi Wagner. Wyciąga rękę.

- Nie będę ścisnął dłoni jebanego Corty - mówi Denny Mackenzie. Od drzwi rzuca jeszcze: — Robson. Skoro umiesz oszukać kartami, umiałbyś oszukać i nożem. Pamiętaj o tym,

- Tio Lucas jest Orłem? - pyta Robson.

- Nie rozumiem tego - odpowiada Wagner. — Ale jeszcze zrozumieć. - „Jedź gdzieś daleko”, powiedział Denny Mackenzie. Daleko od noży Duncana, daleko od machinacji Lucasa Corty. Daleko od ciepła, miłości i wspólnoty sfory. Gdzieś daleko, gdzieś, gdzie czeka miłość o innej naturze. - Chodź, Wilczku. Idziemy.

Denny uważa ten piaskowy ogród za bezsensowny i pretensjonalny. Marnowanie zasobów na coś takiego to w stylu Sunów, żeby mogli potem myśleć, że są cywilizowani, i napawać się własną wyższością. Paskudne mięczaki. Już ten dawny Gaj Paproci przyprawiał go o gęsią skórę. Wilgoć, rośliny, żywe stworzenia. Za każdym razem, gdy tam wchodził, miał wrażenie, że coś po nim łązi. To musiał być pomysł Jade Sun. To był ten moment, kiedy stary Bob zaczął się odklejać. Mackenzie kopią i topią metale. Nasza praca to jest nasz ogród.

- Miałeś mi przyprowadzić trzynastoletniego chłopca — mówi Duncan.

- Spłaciłem dług.

- Musimy coś mieć na Lucasa Cortę.

- Spłaciłem dług.

- U jebanego Corty.

- Spłaciłem dług.
- Kurwa mać. Zawiodłeś własną rodzinę.

Denny unosi lewą dłoń. Brakuje jej małego palca. Amputacja była szybka i bolesna, ale do wytrzymania. Sekundanci zaraz odkazili ranę i zatamowali krwawienie. Ze znieczulenia zrezygnował. Ból jest do zniesienia. Już bardziej denerwująca jest utrata czucia w miejscu przecięcia nerwów.

- I myślisz, że to wystarczy? Jakiś durny honorowy dług i wszystko już jest w porządku? Zabieram ci wszystkie dostępy i wszystkie uprawnienia. Wszystkie prawa. Odcinam cię od wszystkiego. Już się nie nazywasz Mackenzie. W ogóle nie masz nazwiska. Nie masz domu. Nie masz ojca.

Denny'emu drga kącik ust.

- Skoro tak uważasz.

Odchodząc, stuka obcasami po kamieniach. Mógłby przejść przez te misterne kółka i falki z piasku. Przez ten Zen-szajs. Ale to byłoby małostkowe. Pozwala się prowadzić ścieżce. Żłote liczby na jego czubie zmieniają się w zielone. Na razie jeszcze oddycha. Potrzeba mu tylko tyle oddechów, żeby mógł wyjść z Hadleya.

W korytarzu przed kamiennym ogrodem stoją szpalerem *jackaroos*. Elastyki, kombinezony robocze, stroje sportowe, klasyczne legginsy i bluzy z kapturem. Ani śladu retro z lat osiemdziesiątych. To siła robocza. Denny Mackenzie nie patrzy, idąc pomiędzy szeregami noży. Gdy ich mija, salutują, dotykając czół knykциями dłoni. Za nim narasta fala aplauzu, niesie go naprzód.

Z całej siły zaciska lewą pięść.

Gdy skręca do windy, a drzwi zaczynają się zamykać, kiwa im nieznacznie głową.

Na stacji czeka bilet. Pierwszej klasy. Chib ma nadal zielony. Wie, kto za niego teraz płaci. Siada w kopule obserwacyjnej. Gdy pociąg wyłania się z tunelu, odwraca się, by popatrzeć na Hadleya. Patrzy na wielką piramidę, dopóki nie zostaje z niej

tylko czubek, rozpłomieniony blaskiem dziesięciu tysięcy słońc.
Potem i on chowa się za horyzontem.

W ranie na lewej dłoni nadal nie ma czucia.

Za oknem pociągu błyska nieznaczny odłamek, ściniek, ostatnia igielka ziemskiego blasku. Robson śpi głęboko, zwinięty na siedzeniu, z otwartymi ustami, trochę zaśliniony. Sen to potężna siła lecząca, można w nim przebyć długą drogę ku odnowie i regeneracji. Wagner nie może spać, ale to nie wilczy blask nie daje mu zasnąć. Ostatnie resztki swej ciemnej koncentracji poświęcił na analizę wiadomości, księżycowych i ziemskich -komentarzy, opinii, forów politycznych, historii. Zaczyna rozumieć, co się działo, kiedy razem z Zehrą odbywali hidżrę przez Morze Spokoju, nad czym jego brat pracował przez osiemnaście lun od upadku Corta Hélio i zniszczenia Boa Vista - przez czas, gdy Wagner ukrywał się, a dwa światy sądziły, że Lucas nie żyje.

Widzi, że wojny, które wyniosły do potęgi Cortów i Woroncowów, to tylko potyczki w ramach bitew, które potrząsną Księżycem aż po jego zimne serce. Bitwy filozofii i polityk, rodzin i przywilejów, władz i dynastii, praw i wolności, przeszłości i przyszłości.

Mądry wilk w tej sytuacji zaszywa się gdzieś głęboko.

Trzydzieści minut do stacji przesiadkowej Hypatia, przesiadka na lokalny pociąg dojazdowy do Theophilusa i Annaliese.

Robson wierci się przez sen. Wydaje cichy okrzyk, wtula się w Wagnera. Wagner obejmuje chłopca rękoma. Jest taki chudy, taki kanciasty, nie ma w sobie nic okrągłego i nic miękkiego. Robson mości się głębiej w ciepłe ciało Wagnera, a ten rozkłada fotel, rozpira się i patrzy na chudą, zdradziecką Ziemię. Przytyka policzek do włosów Robsona. Eukaliptus, mentol. Jałowiec. Bergamotka, drzewo sandałowe, kadzidło. I Wagner Corta przekonuje się, że wcale nie tak trudno mu zapaść w sen.

Uchwyty zatrzasują się wokół *moto*. Lady Sun łapie się uchwyty. W jednej chwili są z Dariusem dziesięć metrów na ziemią i pędzą w górę po ścianie wieżowca. Zadrzewione dno Królowej Południa raptownie opada, jeden oddech i są sto metrów w górze. Pną się dalej. Darius patrzy przez przezroczysty bąbel na setki wież łączących strop z dnem Królowej Południa. Po dominujących w Tyglu poziomach, po światłocieniowym labiryncie Pałacu Wiecznego Światła pionowy świat wygląda oszałamiająco. Przyciska dłonie do bąbla. Są na wysokości kilometra, półtora kilometra. Winda zwalnia i wypuszcza *moto* na setnym poziomie. Maleńka taksówka automatycznie rusza zewnętrzną drogą. Nie ma balustrady.

- Tutaj?

Moto zaparkowało przed zwijaną bramą, nieciekawą, przemysłową i pozbawioną jakichkolwiek znaków szczególnych, fizycznych czy wirtualnych. Ale kto by zakładał magazyn na setnym poziomie Wieży Jiana Mao?

- Tutaj - odpowiada lady Sun i czeka, aż Darius poda jej dłoń.

Robi to błyskawicznie i nie trzeba go prosić. Z mniejszych drzwi w wielkiej rolegie wychodzi drobny człowieczek o oliwkowej cerze i schludnie przystrzyżonej brodzie. Darius zwraca uwagę na jego ubranie. Eleganckie, klasyczne, pięknie skrojone. Żeby dojść do swych gości, potrzebuje tylko trzech kroków, ale i te trzy kroki są wyważone, dostojne i oszczędne jak u tancerza.

- Lady Sun. — Całuje dłoń starszej pani.

- Mariano.

Elegancki pan kłania się. Darius ujmuje wyciągniętą dłoń, czuje uścisk i napięcie mięśni tego człowieka. Tamten uśmiecha się.

- Nieufny on.
- U Mackenziech to chwalebna cecha — mówi lady Sun. — Nie zabraknie ci materiału do pracy i do obróbki.

- O co tu chodzi? - pyta Darius. Jest na setnym poziomie na pozbawionej balustrady półce ulicy. Opcje ucieczki są ograniczone. - Kto to jest?

- Chodzi tu, skarbie, o powolną i wyrachowaną złośliwość - mówi lady Sun. - Cortowie mnie upokorzyli. Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego. Upokorzenie ich w zamian nie jest dla mnie wystarczającą zemstą. Potrzebuję broni, która wyrznie im żywe, bijące serce, przyżegnie ranę, odbierze im całą nadzieję, wszystkich potomków i wymaże ich z historii. Chcę, żeby patrzyli, jak umierają ich dzieci i kończy się ich ród. I chcę, żebyś ty, Dariusie, był tą bronią. Stanie się nią zajmie ci dużo czasu, być może nie dożyję końca tej drogi, będę jednak czerpać otuchę z faktu, że jeszcze po mojej śmierci spotka ich moja zemsta. To słowo niektórym nie przechodzi przez gardło: zemsta. Myślę, że jest teatralne, kiczowate. Melodramatyczne. Absolutnie nie. Ich języki są dla niego zbyt delikatne. Musisz się z tym słowem zrosnąć. Posmakować je.

Elegancki pan kłania się Lady Sun.

- Nazywam się Mariano Gabriel Demaria i jestem dyrektorem tej instytucji. Dariusie, będę osobiście odpowiadał za twoją naukę, wyszkolenie i sprawowanie. My tu robimy właśnie taką broń. Witam w Szkole Siedmiu Dzwonów.

Nikt nie chce odezwać się pierwszy, ale ktoś musi, w tak dziwnej sytuacji - pięcioro obcych ludzi zamkniętych razem w hermetycznej kapsule, lecącej swobodnie po uwolnieniu się z rozpędzającego ją holu.

Najpierw chichoty. Poczucie winy tego, kto przeżył. Udało się! (Choć wszyscy przylecieli tu dokładnie w ten sam sposób, choć codziennie pętlą księżycową latają dziesiątki ludzi). Potem pytania. Dobrze się czujesz? Ja tak, a ty? Wszyscy cali? No, niezła jazda była. A Oksana? Wszystko w porządku.

Marina? Marina?

- Wszystko w porządku - szepcze.

Nic nie jest w porządku i nigdy nie będzie. Nic już nie będzie. Straciła jedyną osobę, jaką w życiu kochała, i jedyną, co uświadamia sobie z astronomiczną pewnością, gdy kapsuła orbituje na spotkanie z gigantycznym cyklerem Woronców, która ją kiedykolwiek kochała.

Ekipa schodzi w dół od głównej śluzy. Czołówki rzucają długie, rozkołysane snopy światła, a gruz rzuca w nich postrzępione, ekspresjonistyczne cienie. Ograniczony zasięg światła tylko podkreśla ogrom ciemności poza nimi.

Postać w żółtym skafandrze skorupowym podnosi rękę. Oddział staje — pięciu luniarzy w elastykach, jeszcze jedna postać w pancernym skafandrze.

- Zróbcie światła - mówi Lucas Corta.

Boty rozbiegają się w mroczną otchłań. Światło: przewrócony dach, pawilony, potrzaskane kolumny, bezlistne drzewa, przemrożone aż po swe mocne serca. Chwilę później budzi się kolejne światło - pełne, zmysłowe usta lansy, połysk lodu. I kolejne - skaliste koryto martwej rzeki, zamrażający w sekundę trawnik. Po minucie udaje się oświetlić całą rurę lawową. Twarze *orixas*, podświetlone dramatycznie od spodu, patrzą z góry na ruiny Boa Vista.

Lucas Corta słyszy zatchnięcie się Alexii na wspólnym kanale.

- Ty tu mieszkałeś?

- To był pałac mojej matki - odpowiada.

Jak na zieluniaczkę, to całkiem nieźle radzi sobie z tym skafandrem, myśli. Kolejna z jej widocznych na pierwszy rzut oka umiejętności. Lucas, w skorupie, tłumaczy się tym, że jej wewnętrzny szkielet podtrzymuje mu zrujnowane mięśnie. To jego pierwszy spacer w próżni od dzieciństwa. Odkąd matka zabrała go, żeby popatrzeć na daleką Ziemię. A nie, nieprawda,

uświadamia sobie. Było jeszcze pięć metrów przez Morze Żyzności, od łazika do stacji pętli księżycowej. Bez skafandra, bez tlenu, bez ciśnienia. Jego prywatny Księżycowy Bieg.

Schodzi pochylnią, mija schrony. Luna przyniosła tu Lucasinho i jakimś cudem uratowała mu życie. Lucasinho wyprowadził Lunę z Twe. Głupota i spryt jednocześnie. Dzieciaki.

Z końca pochylni na zasuszony trawnik. Bucioro rozgniatają zamarzną trawę na pył. Zniszczenia są gorsze, niż sobie wyobrażał - a właściwie, dociera do niego, nigdy sobie zniszczonego Boa Vista nie wyobrażał, nigdy nie pozwolił sobie zbłądzić myślami do zdarzeń tamtego dnia, gdy noże Mackenziech wysadziły służbę ewakuacyjną i otworzyły pałac na próżnię. Obraz zniszczenia, mrocznej, mroźnej śmierci jest gorszy, niż sobie wyobrażał, ale lepszy, niż się obawiał.

Sam nigdy nie kochał Boa Vista tak jak Rafa i Lousika, Luna i Lucasinho, Adriana. Wolał João de Deus, wolał dystans od wymagań rodziny i rodzinnych dramatów, wolał swoje mieszkanie z balkonem nad Prospektem

Kondakowej i najlepszy pokój odsłuchowy na dwóch światach. A teraz ten trup miasta należy do niego i obejmie go w posiadanie. Do niego należy cały ten świat.

Świta gromadzi się wokół niego - starannie dobrani *escoltas*, co do jednego dawni pracownicy Corta Hélio.

- *Senhor* Corta?
- Kiedy możemy zaczynać?

SŁOWNICZEK

Na Księżycu mówi się wieloma językami i beztrąsko używa zapożyczeń z chińskiego, portugalskiego, rosyjskiego, joruba, hiszpańskiego, arabskiego, czy akan.

A - częsty skrót od „aseksualny”

Abusua - grupa ludzi mających wspólnego przodka w linii żeńskiej; na ewidencji linii żeńskiej opierają się zakazy małżeńskie AKA, wynikające z dbałości o różnorodność genetyczną

Adinkra - symbole wizualne w języku akan, przedstawiające pojęcia abstrakcyjne lub aforyzmy; często używane przez rodzinę Asamoah

Amor - kochanek/kochanka, partner/partnerka

Amoria - poliamoria, jedna z wielkiej różnorodności księżycowych form małżeńskich i partnerskich

Anjinho - aniołek; pieszczotliwy termin u Cortów

Bania - rosyjska łaźnia parowa

Blackstar, czarna gwiazda, czarnogwiazdny - pracownik powierzchniowy (głównie AKA) (pochodzi od popularnego określenia ghańskiej reprezentacji piłkarskiej)

Czib — wirtualny wskaźnik w interaktywnej soczewce kontaktowej, pokazujący stan konta Czterech Żywiołów

Coração — serduszko, czuły zwrot

Cztery żywioły - powietrze, woda, węgiel, dane; cztery podstawy księżycowej egzystencji, za które płaci się codziennie przez system czibów

Ekata - jedność, zbiorowy umysł wilczej sfory

Elastyk - skafander do wyjść na powierzchnię *Escolta* — ochroniarz

Galah — papuga kakadu różowa; australijskie slangowe określenie hałaśliwego przygłupa

Globo — uproszczony angielski, ze znormalizowaną wymową zrozumiałą dla maszyn

Gupshup — główny kanał plotkarski w księżycowej sieci społecznościowej

Irmã/Irmão — siostra/brat

Jackaroo — w slangu Mackenzie Metals pracownik powierzchniowy; pochodzi od australijskiego słowa oznaczającego pomocnika pasterza

Junshi — zastępca dowódcy ekipy powierzchniowej Taiyangu

Keji-oko — druga małżonka

Kotoko — rada AKA, w której członkostwo jest rotacyjne

Kuozhao - maska przeciwpyłowa

Ladeira — schody pomiędzy piętrami kwadry

Laoda — szef ekipy powierzchniowej Taiyangu

Laowai - po mandaryńsku: nie-Chińczyk

Madrinha - matka zastępcza, dosłownie „matka chrzestna”

Malandragem - sztuka oszustwa, podstępu, cecha „twardzieli”

Miudo - dziecko

Moto — automatyczny trójkołowy pojazd

Mamãe/Mãe, Papai/pai - matka/ mama, ojciec/tato

Nana - akański sposób zwracania się do starszej osoby

Nikah - z arabskiego; umowa małżeńska

Oko — małżonek lub małżonka

Omahene- prezes AKA, o ośmioletniej kadencji

Orixas - bogowie i święci w synkretycznej afrobrazylijskiej religii umbanda

Santinhos— „świętki”; w slangu: mieszkańcy João de Deus

Saudade - melancholia; tkliwa melancholia jest niezbędnym, przydającym wyrefinowania składnikiem muzyki bossa nova

Ser - forma zwracania się do neutka

Tia/Tio - ciotka/wuj

Zabbalini — wolni strzelcy zajmujący się odzyskiwaniem substancji organicznych, sprzedający je później LDC, która jest ich jedyną właścicielką

Zaszczynnik — wojownik wynajęty do pojedynku sądowego; dosłownie: „obrońca”

Zieluniak — człowiek świeżo przybyły na Księżyc

Spis treści

Str.tyt.	2
Str.red.	3
WILCZA PEŁNIA	4
SPIS POSTACI	5
PO UPADKU: BARAN 2103	9
1. PANNA 2105	17
2. PANNA - WAGA 2105	46
3. BARAN 2103 - BLIŻNIĘTA 2105	74
4. WAGA 2105	108
5. WAGA - SKORPION 2105	151
6. BLIŻNIĘTA 2105	202
7. SKORPION 2105	231
8. SKORPION 2105	270
9. LEW-PANNA 2105	322
10. SKORPION 2105	343
11. SKORPION 2105	370
SŁOWNICZEK	410